ZABAWA W DOBIE SPOŁECZEŃSTWA KONSUMPCYJNEGO

Ryszard Kantor

ZABAWA W DOBIE SPOŁECZEŃSTWA KONSUMPCYJNEGO

Szkice o ludyzmie, ludyczności i powadze,
a w istocie o jej braku

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Seria: Varia Culturalia

Publikacja dofinansowana przez Uniwersytet Jagielloński ze środków Instytutu Studiów Regionalnych

Projekt okładki
Agnieszka Winciorek

Recenzent
dr hab. Ludwik Kozołub, *prof. UO*

ISBN 978-83-233-3518-4



www.wuj.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków
tel. 12-631-18-81, 12-631-18-82, fax 12-631-18-83
Dystrybucja: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98
tel. kom. 506-006-674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl
Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

„Nasza kultura, dająca priorytet pracy, spowodowała między innymi to, że niewiele wiemy właściwie o zabawie. Badacze zajmowali się głównie analizą społecznego charakteru wytwórcy – ostatnio uwaga przesuwa się ku konsumentowi; człowiek bawiący się czeka dopiero na swego Kolumba. Czy jednak nakłanianie do badań nad zabawami człowieka jest rzeczą rozsądną? Przecież może to doprowadzić do zwiększenia publicznego nadzoru nad dziedziną, w której panować powinna dyskrecja i swoboda. A może zmowa milczenia wokół spraw czasu wolnego i zabawy jest ich najlepszą obroną?"

David Riesman

Ewie za całokształt

SPIS TREŚCI

WSTĘP

David Riesman, to jego słów użyłem jako motta tej książki, uważał, że nasza kultura – mając na myśli kulturę amerykańską, a w istocie ta formacja, którą zwykło się określać nazwą cywilizacja euroamerykańska – dawała dotychczas priorytet pracy. Praca była najważniejszą, skupiającą największe zainteresowanie, także nauki, sferą życia, formą aktywności. W konsekwencji niewiele wiedzieliśmy o zabawie, rozrywce, o konsumpcji; o człowieku nie pracy, o człowieku zabawy[1]. Zdaniem Riesmana, w drugiej połowie XX wieku powinna nastąpić zmiana perspektywy, już nie człowiek – wytwórca, a człowiek – konsument miał się stać przedmiotem zainteresowania. Człowiek konsumujący, bawiący się, zatem – konsumujący zabawę i rozrywkę; *homo ludens* nowych czasów, członek społeczeństwa konsumpcyjnego – zdaniem amerykańskiego badacza – czekał na swojego odkrywcę – Kolumba.

Z pewnością rozwój społeczeństwa konsumpcyjnego, najpierw po drugiej wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych, nieco później w Europie Zachodniej, a w Polsce i innych krajach postkomunistycznych pod koniec XX wieku, skłonił badaczy do systematycznych studiów nad cechami tego społeczeństwa, do zajęcia się problematyką konsumpcji, ale również do rozważań nad ludyzmem i ludycznością[2]. Badania te, uprawiane na gruncie socjologii (socjologia zabawy) i antropologii kulturowej (antropologia zabawy) pozwoliły na wyjście poza dotychczasowy krąg poznawania tych zjawisk przez psychologię czy pedagogikę. Pozwoliły na przejście od biologicznego, instynktownego, ponadczasowego traktowania zabawy, do ujęcia jej jako zespołu zachowań społecznych, zmieniających się wraz ze zmianą charakteru społeczeństw. Pozwoliły także na oderwanie się badaczy od traktowania zabawy jako formy socjalizacji dziecka; zajęto się zabawą dorosłych i jej funkcjami. Jest to – moim zdaniem – właściwa droga do rozszyfrowania owego człowieka bawiącego się, *homo ludens* naszych czasów, czasów masowej konsumpcji. O zaawansowaniu studiów nad tymi problemami świadczyć może fakt, że dziś mówi się już o nowej, odrębnej dyscyplinie badań, o ludologii[3].

---

[1] D. Riesman, N. Glazer, R. Denney, *Samotny tłum*, tłum. J. Strzelecki, Warszawa 1996. Pracę wydano pierwszy raz w roku 1950, jej poprawione wydanie pojawiło się w roku 1989.

[2] Ludyzm (od łac. *ludus* – bawienie się, granie, żartowanie, także widowiska, igrzyska publiczne, miejsca ćwiczeń ciała i umysłu) to cecha gatunkowa człowieka; zakładam, że wszyscy ludzie, niezależnie od miejsca i epoki historycznej, w której żyją, mają potrzebę/skłonność do zabawy. Mogą ją zaspokajać w rozmaitym stopniu, w rozmaity sposób, o czym decyduje kultura, jej reguły i wzory, którą tworzą i której są użytkownikami i przekazicielami. Przez ludyczność z kolei rozumiem historycznie zmienną cechę ludzkich społeczeństw, wszystkie prezentują ludyczność, lecz stopień jej jest różnorodny. Są społeczeństwa mniej lub bardziej ludyczne, w społeczeństwach rozwarstwionych poszczególne warstwy społeczne mogą się różnić ludycznością. Cechy tej nie potrafimy precyzyjnie zmierzyć, choć istnieją pewne wskaźniki, które mogłyby temu służyć: liczba form zabawy, ilość czasu jej poświęcanego itp.

[3] Dzieje badań nad zabawą, sposoby rozumienia jej genezy i funkcji itd. zob. W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995. Ludologia – nauka o zabawie – raczej nie może być uważana

Przedmiotem prezentowanej pracy, którą uważam za wypowiedź antropologa kulturowego, ze względu zarówno na temat, jak i zastosowane metody badawcze, jest współczesny bawiący się człowiek, członek społeczeństwa konsumpcyjnego. Jest to człowiek chętnie korzystający z rozlicznych proponowanych mu rozrywek, ale także umiejący zorganizować sobie i swojemu otoczeniu rozmaite formy zabawy. Ze względu na fakt, że dziś nawet rozrywka najczęściej miewa charakter interaktywny, nie dzielę opisywanych okazji ludycznych na zabawy i rozrywki. Podział taki na tyle uległ zatarciu, że nie odgrywa istotniejszej poznawczo roli.

Okazje ludyczne, sytuacje, w których współczesny człowiek bawi się i korzysta z rozrywek, są niezmiernie liczne. Interesują mnie przede wszystkim – ale nie wyłącznie – takie, które odbywają się w miejscach publicznych i gromadzą licznych aktorów i widzów. W pracy pomijam, rzecz jasna również ważne, zabawy i rozrywki „prywatne", odbywane w zamkniętym gronie rodzinnym czy sąsiedzkim, w rodzaju rodzinnych biesiad organizowanych z rozmaitych okazji[4]. Szczególną uwagę poświęcam piknikom, świętom dzielnic i ulic, festiwalom nauki, rekonstrukcjom historycznym i tym podobnym imprezom masowym odbywającym się na ogół w przestrzeniach miasta.

W pracy, która w pierwszej kolejności jest dokumentacją form i sposobów bawienia się współczesnego *homo ludens*, formułuję kilka tez, mam nadzieję, że przytoczony materiał uprawomocni je w oczach czytelnika.

Po pierwsze, uważam, że społeczeństwo polskie – ograniczam moje przypuszczenia do społeczeństwa polskiego – stało się w ostatnim dwudziestoleciu społeczeństwem konsumpcyjnym ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Sąd taki wydaje mi się słuszny przede wszystkim w odniesieniu do mieszkańców miast dużych i średniej wielkości, liczących nie mniej niż 150–200 tys. mieszkańców. W miastach takich zachodzą procesy, które pozwalają mówić o społeczeństwie konsumpcyjnym, wręcz o społeczeństwie konsumpcji zabawy.

Po drugie, twierdzę, że w społeczeństwie konsumpcyjnym, w którym znaczącą częścią owej konsumpcji jest konsumpcja zabawy, nawet w społeczeństwie takim, jak polskie – jeszcze średnio w konsumpcję zaangażowanym – mamy do czynienia z procesem „uludyczniania" kultury, przez wielu badaczy niesłusznie nazywanym „karnawalizacją kultury". Przez określenie to rozumiem ustawiczne rozszerzanie się społecznego zasięgu zabawy, mnożenie się jej form, ogarnianie przez nią obszarów czy dziedzin życia społeczno-kulturowego, które były dotychczas sferami powagi, w których powaga dominowała, jak nauka, wiedza naukowa, życie religijne.

Po trzecie, choć uludycznienie kultury współczesnej, jak i w ogóle zabawa, niesie wiele pożytków dla człowieka i zbiorowości[5], to przecież nie można nie zauważać

---

za odrębną dyscyplinę naukową, gdyż nie posiada sobie tylko właściwego przedmiotu badań (dzieli go z wieloma innymi dyscyplinami), a przede wszystkim sobie właściwych metod badawczych. Moim zdaniem, ludologia to jedynie subdyscyplina antropologii kulturowej.

[4] Zob. R. Kantor, *Biesiada i biesiadowanie we współczesnej kulturze polskiej*, „Zabawy i Zabawki" 2008, R. 8, (wyd. 2010), nr 1–4.

[5] Pisałem o tym w artykule: R. Kantor, *Człowiek – kultura – zabawa. O socjalizacyjnych i pacyfikacyjnych funkcjach zabawy*, „Zabawy i Zabawki" 1998, R. 2, nr 3.

negatywnych konsekwencji tego procesu. Nie ukrywam, że „wypłukiwanie" z życia społecznego i kultury powagi, powszechne uleganie hedonizmowi, narastająca dominacja zabawy i rozrywki, budzą mój niepokój, któremu w pracy wielokrotnie daję upust.

Materiał, który ilustruje i podbudowuje moje tezy, a także dokumentuje współczesną ludyczność społeczeństwa polskiego, gromadziłem poprzez obserwacje, zwykle uczestniczące, oraz luźne wywiady od roku 2003 do połowy roku 2012. Bardzo użyteczne były również artykuły i notki prasowe, zawierające dziennikarskie obserwacje i opisy imprez o charakterze ludycznym. Pochodzą one głównie z dwóch krakowskich dzienników – „Gazety Krakowskiej" i „Dziennika Polskiego". Zwłaszcza ten ostatni tytuł okazał się szczególnie przydatny ze względu na starannie prowadzony i zazwyczaj wiarygodny dział miejski. Korzystałem też z nielicznych niestety publikacji naukowych poruszających interesujące mnie tematy.

Scenerią opisywanych wydarzeń i procesów jest Kraków, choć w kilku rozdziałach wykraczam poza to miasto i zajmuję się kwestiami o szerszym zasięgu terytorialnym. Moją domeną jest teraźniejszość, ale w kilku przypadkach ukazuję historyczną ciągłość zwyczajów ludycznych, dotyczy to na przykład majówek i współczesnych pikników, dawnych miejskich świąt, które przetrwały do dziś, lecz nabrały dodatkowych treści.

W pracy nagminnie używam określenia spektakl, rzadziej widowisko. Słownikowe znaczenie tych pojęć, a także pojęcia przedstawienie, oznacza „zdarzenie, sceny odbywające się w obecności patrzących"[6]. Takie rozumienie spektaklu ewokuje istotny dla mnie aspekt, podział uczestników spektaklu na widzów i aktorów, choć w spektaklach, o których piszę, często zdarza się, iż podział ten zaciera się, lub w trakcie spektaklu, można wręcz powiedzieć, że w wyniku spektaklu, aktorzy i uczestnicy oddają się wspólnej zabawie.

Jeszcze więcej treści posiada koncepcja widowiska kulturowego Miltona Singera, który rozumiał je jako „instytucję ucieleśniającą główne aspekty symboliczne jakiejś tradycji kulturowej"[7]. Tak rozumiany spektakl-widowisko nasycony jest znakami kulturowymi, a jak pisał Christopher Balme: „w widowiskach tego typu członkowie danej kultury wyrażają samych siebie oraz potrafią udzielić informacji na temat użytkowanych znaków i symboli"[8].

---

[6] Zob. *Uniwersalny słownik języka polskiego*, red. S. Dubin, t. 3, Warszawa 2003, s. 415.

[7] Cyt. za: L. Kolankiewicz, *Wielki mały wóz*, Gdańsk 2001, s. 8. Nie używam pojęcia performans, zbyt moim zdaniem obszernego i mało operatywnego, w badania nad ludyzmem i ludycznością. Performans bowiem to – za R. Schechnerem – „każdy występ jednostki wobec innych – realizacja roli społecznej w życiu codziennym, to pokaz umiejętności, to każde działanie rytualne oraz zrytualizowane, obrzęd religijny, ceremonia o istotnej skuteczności społecznej, rozrywka, zabawa, gra, sport, teatr, taniec, koncert i inne spektakle artystyczne, pielgrzymka, defilada, manifestacja, wojna, sposoby sprawowania władzy, egzekucja, uzdrawianie itd., itp. – wszystkie działania, dzięki którym stajemy się tymi, kim jesteśmy jako reprezentanci danej kultury i jako tacy możemy być postrzegani, opisywani, rozumiani przez innych" (W. Dudzik, *Posłowie do wydania polskiego*, [w:] *Rytuał, dramat, święto, spektakl. Wstęp do teorii widowiska kulturowego*, red. J.J. McAloon, tłum. K. Przyłuska-Urbanowicz, Warszawa 2009, s. 424).

[8] Ch. Balme, *Wprowadzenie do nauki o teatrze*, tłum. i uzup. W. Dudzik, M. Leyko, Warszawa 2002, s. 228. Szczególna jest sytuacja np. cudzoziemców – widzów śledzących krakowskie spektakle kulturowe

Spektakl ludyczny może być także – idę tu za sugestiami Guy Deborda, twórcy specyficznego, mocno ideologicznego pojęcia spektaklu – „pojmowany jako całość [...] równocześnie rezultatem i celem istniejącego sposobu produkcji [...]. We wszystkich swych poszczególnych formach – informacji lub propagandzie, reklamie lub bezpośredniej konsumpcji rozrywek – spektakl wyznacza dominujący model życia społecznego”[9]. Czyż współczesne spektakle ludyczne nie są wyrazem dominującego modelu życia społecznego, modelu hedonistyczno-konsumpcyjnego?

Mam nadzieję, że ta prezentacja procesu uludyczniania współczesnej polskiej kultury – głównie miejskiej – nasycania jej ludycznymi treściami i formami, oraz procesu kształtowania się *homo ludens* naszych czasów, wzbudzi zainteresowanie. Pracę swoją traktuję jako skromną próbę uporania się z problemem nadzwyczaj szerokim i w dużym stopniu enigmatycznym, niedookreślonym, wymykającym się – ze względu na swoją naturę – analizie naukowej.

---

w rodzaju Emaus, Lajkonika czy Rękawki. Odbierają oni jedynie zewnętrzny, czysto zabawowy, ewentualnie także estetyczny wymiar widowiska.

[9] G. Debord, *Społeczeństwo spektaklu* oraz *Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, tłum. M. Kwaterko, Warszawa 2006, s. 34. Pojęcie spektaklu od G. Deborda przejął i zastosował z dużym powodzeniem w swojej pracy L. Pułka, *Kultura mediów i jej spektakle na tle przemian komunikacji społecznej i literatury popularnej*, Wrocław 2004.

I. KULTURA KONSUMPCJI ZABAWY

„Człowiek jest tylko wtedy całkowicie człowiekiem, gdy się bawi".
Fryderyk Schiller

Słowa, które są mottem tego rozdziału, napisał dwieście lat temu w słynnym dziele *Listy o estetycznym wychowaniu* Fryderyk Schiller, uczony historyk, bardziej nam dziś znany jako romantyczny poeta[1]. Erik H. Erikson już w czasach współczesnych zauważył: „Człowiek dorosły podczas zabawy wchodzi w inną, jakby równoległą rzeczywistość, podczas gdy bawiące się dziecko idzie naprzód, osiąga kolejne fazy panowania nad przedmiotami i sytuacjami"[2]. Pogląd Eriksona odnosi się do znaczenia zabawy, uświadamia także, że – co warto szczególnie podkreślić – czymś innym (ze względu na funkcję) są zabawy dzieci, a czym innym aktywność ludyczna dorosłych. O tej ostatniej, jak już wspomniano we *Wstępie*, głównie traktować będzie ta praca.

Przez wieki, w obrębie kultury europejskiej, zabawa jako problem naukowy nie istniała. Horyzonty refleksji i badań nad nią określiła myśl Arystotelesa, że

> zabawa jako wypoczynek jest konsekwencją pracy jako zmęczenia. Gdzie jest praca, tam musi być zabawa, bo zmęczenie wymaga wypoczynku, a ponieważ praca jest wykonywana z trudem i wysiłkiem, zatem zabawa istniejąca dla wypoczynku może być stosowana tylko we właściwym czasie, gdy się jej potrzebuje jako lekarstwa. Taka bowiem czynność duszy jest wytchnieniem i z powodu łączącej się z nią przyjemności – wypoczynkiem[3].

Zabawa, podobnie jak praca – zajęcie niewolnika – uważana była w starożytnej Grecji za zajęcie poślednie, daleko niższe niż *schole* – czas wolny dający najwyższą przyjemność, służący rozwijaniu sprawności fizycznej i umysłowej ludzi „wolnych od pracy, którzy świętują". Przy takim rozumieniu zabawy nie niesie ona żadnego pożytku, poza mało istotnym, z punktu widzenia wolnego człowieka, odzyskaniem sił do pracy, ani też nie przyczynia żadnej szkody.

Zabawa tolerowana jako źródło odzyskiwania sił do pracy nie interesowała filozofów. Była niezbędna do utrzymywania społecznego ładu, lecz nieistotna z punktu widzenia kształtowania człowieka. Pogląd taki utrzymywał się aż do zaiste rewolucyjnego wystąpienia Schillera, który przyznał zabawie status niemal równy sztuce. Dziś nikt nie wątpi w kulturotwórczą rolę zabawy, studia nad nią w ciągu dwóch wieków zaowocowały rozlicznymi definicjami, zwłaszcza na gruncie psychologii

---

[1] F. Schiller, *Listy o estetycznym wychowaniu człowieka i inne rozprawy*, tłum. I. Krońska, J. Prokopiuk, Warszawa 1972, s. 104.

[2] E.H. Erikson, *Dzieciństwo i społeczeństwo*, tłum. P. Hemej, Poznań 1997, s. 232.

[3] W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995, s. 61.

i pedagogiki. Znacznie mniej do powiedzenia, jak dotąd, co może nieco dziwić, miały nauki o kulturze. Stan ten da się wytłumaczyć, do pewnego stopnia, dyktatem poglądów Johana Huizingi.

Dyktat poglądów Johana Huizingi

Nie da się zaprzeczyć, że zabawa, w wyniku przyspieszonych procesów społeczno-kulturowych w XIX i na początku XX wieku (industrializacja, urbanizacja, emancypacja upośledzonych dotychczas warstw społecznych, wzrost ilości wolnego czasu itd.), stawała się zjawiskiem, rodzajem aktywności ludzkiej coraz bardziej znaczącym, obok którego nie sposób było przejść obojętnie. Refleksje nad zabawą zdominowało niezwykle sugestywne dzieło Johana Huizingi *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, prezentujące pogląd zwany panludyzmem[4].

W arcydziele Huizingi znajdziemy wiele uwag, które mogą sprawiać wrażenie uniwersalnych, dotyczących roli zabawy w dziejach ludzkiej egzystencji. „Zabawa jest nie-powagą, antytezą powagi"[5], jest „swobodnym działaniem"[6]. „Jakkolwiek by było – czytamy w dziele holenderskiego historyka kultury – dla człowieka dorosłego i odpowiedzialnego zabawa jest funkcją, której równie dobrze może zaniechać. Zabawa jest zbyteczna. Potrzeba jej staje się tylko o tyle gwałtowna, o ile wywodzi się z niej przyjemność"[7].

W innym miejscu znajdziemy kolejny istotny trop, fundamentalny dla dalszych rozważań. „Zabawa nie jest »zwykłym« czy też »właściwym« życiem. Jest to raczej wykraczanie z takiego życia w sferę tymczasowej aktywności o swoistych tendencjach"[8].

Od Huizingi dowiadujemy się także, że: „W sferze zabawy nie obowiązują prawa i obyczaje pospolitego życia"[9]. I wreszcie pochylamy się nad daną przez niego definicją zabawy, która to definicja – zdaniem wielu badaczy – raz na zawsze rozwiązała problem rozumienia tego fenomenu:

> [...] można więc, reasumując, nazwać zabawę czynnością swobodną, którą odczuwa się „nie tak pomyślaną" i pozostającą poza zwykłym życiem, a która mimo to może całkowicie zaabsorbować grającego [tj. bawiącego się – R.K.]; czynnością, z którą nie łączy się żaden interes materialny, przez którą żadnej nie można osiągnąć korzyści, która dokonuje się w obrębie własnego określonego czasu i własnej, określonej przestrzeni; czynnością przebiegającą w pewnym porządku według określonych reguł i powołującą do życia

[4] J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, tłum. M. Kurecka, W. Wirpsza, wyd. 2, Warszawa 1985.

[5] *Ibidem*, s. 17.

[6] *Ibidem*, s. 20.

[7] *Ibidem*, s. 20–21.

[8] *Ibidem*, s. 21. Zabawa: „To coś, co nie jest »zwyczajnym życiem«, znajduje się poza procesem bezpośredniego zaspokajania konieczności i żądz, a nawet proces ów przerywa" (s. 22).

[9] *Ibidem*, s. 27.

związki społeczne, które ze swej strony chętnie otaczają się tajemnicą lub za pomocą przebrania uwydatniają swoją inność wobec zwyczajnego świata[10].

Nie można przecenić wywodów Huizingi opartych na jego znakomitej, choć oczywiście ograniczonej stanem ówczesnej wiedzy, znajomości kultur archaicznych (głównie greckiej) i prymitywnych, istniejących jeszcze w pierwszej połowie XX wieku, a badanych przez najwybitniejszych etnologów, m.in. F. Boasa i B. Malinowskiego. Jak nie zachwycać się tak precyzyjnym, jednym z wielu, stwierdzeniem Huizingi: „Zabawa i gra leży [...] poza granicami rozsądku życia praktycznego, poza sferą konieczności i korzyści"[11]. Jego celne i głębokie uwagi wielokrotnie wykorzystuje się, niestety, jakby miały walor ponadczasowy, w pracach dotyczących współczesnego ludyzmu. A przecież sam Huizinga nie akceptował tego rodzaju postępowania, pisząc na przykład, że ludyzm czasów rzymskich i dodajmy – późniejszych: „To [opisywane wcześniej szczegółowo przez autora – R.K.] ostateczne pomieszanie odświętnych rozrywek i życia publicznego niewiele ma już wspólnego z archaiczną jednością zabawy i czynności sakralnych, jednością, w której rozwijały się formy kulturowe. Był to już tylko podźwięk"[12]. Bezkrytyczne i wręcz naiwne jest zatem stosowanie ustaleń Huizingi, odnoszących się do owych „archaicznych czasów jedności zabawy i czynności sakralnych" (niezależnie od tego, czy podzielamy pogląd o ich istnieniu), do czasów współczesnych. Największy jednak błąd to uznanie, że Huizinga „odkrył" jakieś uniwersalne prawa rządzące zabawą, odnoszące się do wszystkich czasów i miejsc.

Moim zdaniem, wielkim osiągnięciem Huizingi było rozpoznanie zjawiska puerylizmu, niedojrzałości, rodzaju zdziecinnienia społeczeństwa jego czasów, będącego zupełnie czymś innym niż kulturotwórcze „dzieciństwo" ludzkiego gatunku, o czym pisze bez złudzeń: „Gdyby powszechny puerylizm był prawdziwą zabawą, społeczeństwo musiałoby się cofnąć ku archaicznym formom kultury, w których zabawa była żywotnym czynnikiem twórczym[13]".

Zatem puerylizm czasów najnowszych, będzie o nim niejednokrotnie mowa, nie jest reliktem czasów archaicznych, o których głównie pisze w swoim dziele J. Huizinga. Społeczeństwo współczesne nie cofa się ku archaicznym formom kultury, a zabawa nie będzie już nigdy żywotnym – w rozumieniu Huizingi – czynnikiem twórczym. Nie będzie, gdyż zatraciliśmy duchowe pokrewieństwo z przeszłością, nie będzie, ponieważ w czasach dzisiejszych zabawa straciła wymiar religijny, pozostały jedynie ludyczne formy, falsyfikat archaicznej ludyczności. Co zatem pozostaje współczesnym badaczom? Próba odpowiedzi na pytanie, które zadawał sobie Huizinga: „Co stanowi treść naszej własnej epoki, kultury żywej w świecie dzisiejszym?"[14]. Naszej własnej epoki, nie epoki, o której pisał Huizinga, ani tej, w której żył!

---

[10] *Ibidem*, s. 28. „Zabawa różni się od zwyczajnego życia swym miejscem i okresem swojego trwania. Odrębność jej i ograniczoność stanowią trzecią jej cechę charakterystyczną" (s. 28).

[11] *Ibidem*, s. 225–226.

[12] *Ibidem*, s. 254.

[13] *Ibidem*, s. 290.

[14] *Ibidem*, s. 247.

Dwie rzeczywistości: „rzeczywista" i „na niby". Poglądy Wincentego Okonia

„Zabawa to nie-powaga. Zabawa jest antytezą powagi. Zabawa i gra leży poza granicami rozsądku życia praktycznego, poza sferą konieczności i korzyści. W sferze zabawy nie obowiązują prawa i obyczaje pospolitego życia". Te poglądy Johana Huizingi, rodzaj skróconej charakterystyki zabawy, były już przytaczane. Czy oznaczają one, że badacz ten zabawę ulokował jednoznacznie w innej przestrzeni niż owo życie zwyczajne, pospolite, praktyczne, ową sferę konieczności i korzyści? Z pewnością tak właśnie należy interpretować jego słowa.

W wywodach J. Huizingi bez trudu dostrzegamy mocne przekonanie, że istnieją dwie odmienne, choć łączące się w szczególny sposób, zgodnie z regułą opozycji, sfery. Jedną włada rozsądek, odpowiedzialność, konieczność, korzyść, druga jest domeną zabawy, gry, wolności, wyboru; obowiązują w nich inne prawa i obyczaje. Huizinga swoich myśli nie precyzuje, nie wyciąga z nich dalszych wniosków, czyni to natomiast Wincenty Okoń, wybitny polski pedagog, w pracy zatytułowanej *Zabawa a rzeczywistość*[15]. Już tytuł tego dzieła, przełomowego – bez żadnej przesady – nie tylko w polskiej literaturze dotyczącej ludyzmu, sugeruje, iż istnieją dwa odmienne światy: świat zabawy i świat rzeczywistości i że istnieją między nimi znaczące związki.

Owa rzeczywistość przeciwstawiana zabawie przyjmuje u Okonia różne nazwy. Jest to rzeczywistość pierwsza, zwykła, najbardziej prawdziwa, praktyczna, rzeczywistość dnia codziennego, świat realny. Wszystkie te określenia są znaczące, ich suma daje syntetyczny opis owej rzeczywistości, której rzecz jasna ulokować się nie da w konkretnej przestrzeni geograficznej, będącej po prostu życiem społeczno-kulturowym, w którym człowiek jest całkowicie zanurzony. Ta rzeczywistość jest ważniejsza (w istocie jest pod każdym względem „pierwsza") w stosunku do drugiej, zwanej przez W. Okonia także fikcyjną (zabawową, ludyczną), albo najprościej światem „na niby". „W tej pierwszej rzeczywistości – podkreśla badacz – nie ma miejsca dla zabawy"[16]. Analogicznie, w drugiej nie ma miejsca na nic innego niż zabawa i gra. Świadomie nie używam tutaj określenia powaga, gdyż bardzo często i zdecydowanie w sposób nieuzasadniony mówi się o „powadze zabawy". W istocie oznacza to jedynie, że bawimy się z pełną świadomością zabawy i zabawie przydajemy taką samą wartość i znaczenie, jak – na innej płaszczyźnie – powadze. Takie semantyczne zrównanie zabawy i powagi nie oznacza bynajmniej nabywania przez zabawę powagi i odwrotnie, jest wyłącznie podkreśleniem podobnego ich wartościowania na dwóch całkowicie odmiennych płaszczyznach rzeczywistości.

Płaszczyzna pierwsza, płaszczyzna realnego życia jest niejako pierwotna, być może pod każdym względem, nie tylko genetycznie, wobec płaszczyzny zabawy, płaszczyzny „na niby". Można mówić o dynamice obu rzeczywistości, bądź – jak

---

15 Zob. W. Okoń, *Zabawa a...*, *passim*.

16 *Ibidem*, s. 4.

czyni to W. Okoń – o różnych rzeczywistościach płaszczyzny pierwszej i drugiej, zgodnie ze zmieniającym się życiem ludzkim.

> Jak zmieniają się rzeczywistości w życiu potocznym (z inną na przykład rzeczywistością ma człowiek do czynienia w zakładzie pracy, a z inną w domu), tak zmieniają się rzeczywistości zabawowe. Zależą one od wieku i osobowości tego, kto się bawi, jak również od rodzaju zabawy. Im bardziej dojrzała i bogatsza w doznania jest ta osobowość, tym bardziej złożony i ciekawszy jest ów fikcyjny świat zabawy, im bardziej realistyczna, tym treść drugiej rzeczywistości w silniejszym pozostaje związku z pierwszą, a im więcej jest skłonna do fantazji, tym bardziej jest od zwykłej rzeczywistości odległa[17].

Życie człowieka to mniej lub bardziej harmonijne przemieszczanie się z płaszczyzny życia realnego, która dostarcza środków do biologicznego przetrwania, na której toczą się wszelkie działania zabezpieczające ludzką jednostkową i zbiorową egzystencję, która lepiej lub gorzej zaspokaja wszystkie potrzeby człowieka (poza oczywiście potrzebą zabawy), na płaszczyznę ludyczną, która z kolei pozwala w zabawie przezwyciężać ograniczenia realnego życia, rekompensując jego trudy. Zabawa – pisze Okoń – to „swoisty rodzaj kontaktu człowieka z jego rzeczywistością w różnych okresach życia, jako taki sposób przeżywania świata rzeczywistego, który nie tylko dostarcza przyjemności, lecz także zapewnia równowagę i harmonię między człowiekiem a jego światem"[18].

Z kolei, w znaczeniu globalnym, „zabawa jest działaniem wykonywanym dla własnej przyjemności, a opartym na udziale wyobraźni, tworzącej nową rzeczywistość. Choć działaniem tym rządzą reguły, których treść pochodzi głównie z życia społecznego, ma ono charakter twórczy i prowadzi do samodzielnego poznawania i przekształcania rzeczywistości"[19].

Płaszczyzna realności i płaszczyzna zabawy nigdy nie bywają symetryczne. W jednych kulturach zdecydowanie dominuje ta pierwsza, a zabawa bywa ograniczana do minimum. W innych przeciwnie, jest wiele miejsca dla zabawy, której znaczenie docenia się bądź wręcz przecenia. Najczęściej jednak, aż do naszych czasów, płaszczyzna zabawy pod każdym względem ustępowała płaszczyźnie pierwszej, co Huizinga skomentował krótko: „Mniejsza wartość zabawy ma swoje granice w większej wartości powagi"[20]. Tam, gdzie powaga się cofa, jej miejsce zająć może jedynie zabawa. Z taką sytuacją, jak mniemam, mamy dziś do czynienia w kulturze konsumpcyjnej, którą nazwać można kulturą konsumpcji zabawy. W kulturze tej chwieją się dotychczasowe relacje między płaszczyzną realności a płaszczyzną zabawy. Ta druga nieoczekiwanie (czy w istocie nieoczekiwanie?) zaczyna dominować, rugując powagę, zdaje się pochłaniać coraz to nowe obszary należące do niedawna do płaszczyzny realności.

Mam przekonanie, że można dojrzałość człowieka dorosłego (a także dojrzałość całej zbiorowości) w każdej kulturze, niezależnie od kryteriów dojrzałości, które

[17] *Ibidem*, s. 5.
[18] *Ibidem*, s. 6.
[19] *Ibidem*, s. 44.
[20] J. Huizinga, *Homo ludens...*, s. 21.

mogą się różnić, oceniać wedle jego umiejętności bawienia się bez szkody dla swojej obecności i zadań, które go oczekują na płaszczyźnie realnej. I przeciwnie, niedojrzałość to permanentna ucieczka ze świata realnego do świata zabawy, a w rezultacie niezgoda na wypełnianie obowiązków społecznych, które wynikają z życia na płaszczyźnie realności.

Czyż nie o tym właściwie pisał Roger Caillois, jeden z bardziej znanych współczesnych teoretyków zabawy, dowodząc:

> Nie ma cywilizacji bez zabawy i uczciwej gry, bez świadomie ustalonej i dobrowolnie przyjętej konwencji, nie ma kultury tam, gdzie człowiek nie umie czy nie potrafi już uczciwie wygrać lub przegrać, nie mając przy tym żadnej ukrytej myśli, panując nad sobą w zwycięstwie i nie nosząc w sobie urazy, kiedy ponosi klęskę – właśnie jak „doskonały gracz"”[21].

I dalej, wedle Caillois,

> [...] nie można mówić o moralności, o wzajemnym zaufaniu, o szacunku dla innego, które są warunkami wszelkiego twórczego działania, jeśli ponad zyskiem nie stawia się świętych przykazań, których żaden człowiek nie odważa się kwestionować i w obronie których – jak wie – warto poświęcić własne życie, a nawet – jeśli zajdzie taka potrzeba – zaryzykować istnienie społeczności, do której należy[22].

Dojrzałość „bycia" człowiekiem na płaszczyźnie realnej i płaszczyźnie zabawy w istocie jest tym samym. Prawdziwa dojrzałość dorosłego ujawnia się na tej drugiej w kryterium zabawy, oczywiście całkowicie subiektywnym. Jak pisze W. Okoń, przytaczając znamienne poglądy J. Leifa i L. Brunella z pracy wydanej w Paryżu, a zatytułowanej równie znamiennie *Le jeu pour le jeu*. Kryterium tym jest przyzwolenie (*auto-permission*). „Dorosły bawi się od momentu, kiedy sobie pozwala nie być zobowiązanym do tego, do czego się zabiera"[23].

Społeczeństwo konsumpcji i jak ono kształtuje konsumenta zabawy

Przejawy i formy zabaw ludzkich („zabawy zwierząt" to tylko metafora wynikająca z pewnych zewnętrznych podobieństw zachowań ludzi i zwierząt) są tak liczne i zróżnicowane, że – w moim przekonaniu – stanowią podstawową oznakę i dowód partykularyzmu, odzwierciedlenie zróżnicowania społeczności ludzkich pod względem na przykład rozwoju kultury, komplikacji społecznej struktury, tradycji itd. Podzielam pogląd Tadeusza Palecznego, który zauważył:

> Każda zbiorowość – od najmniejszych, wspólnotowych typu rodzinnego, sąsiedzko-lokalnego bądź rówieśniczego, poprzez społeczności plemienne, klanowe czy wspólnoty pierwotne, skończywszy na rozwiniętych społeczeństwach obywatelskich i zbiorowoś-

---

[21] R. Caillois, *Człowiek i sacrum*, tłum. A. Tatarkiewicz, E. Burska, Warszawa 1995, s. 186.

[22] *Ibidem*.

[23] Zob. W. Okoń, *Zabawa a...*, s. 328.

ciach narodowych, wytwarza właściwe tylko sobie, oryginalne i niepowtarzalne formy zabawy-rozrywki. Niezależnie od niemożliwej do ogarnięcia różnorodności form zabawy, posiadają one wiele elementów wspólnych, cech powtarzających się [...][24].

Uniwersalizm zabawy polegałby zatem na tym, że występuje ona we wszystkich znanych nam społecznościach ludzkich, posiada pewne wspólne cechy (co eksponują definicje zabawy), lecz przejawia się w partykularnych formach charakterystycznych (a czasem wyłącznych) dla poszczególnych ludzkich społeczności. Jan Grad, analizując pojęcie i koncepcje zabawy, trafnie zauważa:

Kulturowe uwarunkowania zatem, nie czynniki psychologicznej natury, decydują o tym, że pewne zjawiska uzyskują status zabawy. To właśnie unormowania systemu kulturowego wyodrębniają sferę ludyczności. Jej zidentyfikowanie i zdefiniowanie konkretnych zabaw wymaga znajomości konkretnych reguł kulturowych ustanawiających je. Brana w abstrakcji od nich zabawa przedstawia się jako pewien ciąg lub zbiór niezrozumiałych, bezsensownych ruchów czy mniej lub bardziej skoordynowane manipulowanie przedmiotami. Behawioralnie ujęta zabawa i gra ma swoją myślową, świadomościową postać, formę. Zabawa w ścisłym sensie to jej wyobrażeniowy „scenariusz", egzystujący w świadomości społecznej wzór. Realizacją tego wzoru, modelu są owe rozliczne, proste bądź złożone i ustrukturowane czynności ludyczne. Wyznacza on ich postawy aksjologiczne i semantykę, sensy. Zachowania stanowią więc jedynie fizyczny substrat ideacyjnie rozumianej zabawy i gry[25].

Owo ideacyjne rozumienie zabawy (i gry – w tych rozważaniach traktowanej jako szczególny rodzaj zabawy) pozwala na zbudowanie całkowicie kulturowego ujęcia zachowań ludycznych, na oddzielenie tego, co jest w sensie kulturowym zabawą, od tego, co jedynie zdaje się nią być. Wynika stąd także jasna dyrektywa badawcza – studia nad zachowaniami ludycznymi to poszukiwanie i porównywanie „wzorów zabawy" przyjętych i respektowanych w różnych społeczeństwach. Konsekwentnie kulturowe rozumienie zabawy pozwala uniknąć nieporozumień, umożliwia wyodrębnienie jej jako niedającego się sprowadzić do czegokolwiek innego typu aktywności ludzkiej. Przyjmując antyredukcjonistyczną postawę, ujrzymy wyraźnie fundamentalną różnicę między życiem na serio (powagą) a zabawą.

Z kulturowego charakteru zabawy, z jej ścisłego związku z kulturowo-społecznym konkretem, zdawał sobie z pewnością sprawę Bogdan Sułkowski, gdy pisał: „zabawa [...] jest rodzajem kontaktów między ludźmi, wyrazem potrzeby wspólnego działania bądź przeżywania"[26]. Ale w różnych grupach społecznych, w różnych kulturach ludzie kontaktują się w odmienny sposób, inne mają potrzeby, inny sposób ich zaspokajania, w inny sposób przeżywają swoją kulturę, swój egzystencjalny czas. A zatem, czyż owo zróżnicowanie, owa różnorodność nie odzwierciedlają się w zabawie? Oddajmy znów głos B. Sułkowskiemu: „Istnieją przecież grupowe, nie tylko indywidualne prawidłowości w wyborze zabaw, jakieś środowiskowe upodo-

---

[24] T. Paleczny, *Społeczne podłoże zabawy*, „Zabawy i Zabawki" 1997, R. 1, nr 1–2, s. 20.

[25] J. Grad, *Zabawa – analiza pojęć i koncepcji*, „Zabawy i Zabawki" 1997, R. 1, nr 1–2, s. 16.

[26] B. Sułkowski, *Zabawa. Studium socjologiczne*, Warszawa 1984, s. 7.

bania w określonym typie rozrywki, może więc postawa człowieka w zabawie wyraża jego ogólniejszy stosunek do życia, do własnego wzoru kulturowego, do pracy”[27].

Historyczne studia nad ludycznością społeczeństw minionych mogą wiele powiedzieć o dziejach i zróżnicowaniu ludzkiej kultury, o jej zmienności, także o samym człowieku, który swój ludyzm realizował w rozmaity i niewyobrażalnie różnorodny sposób. Tu trzeba postawić pytanie, jak bawi się człowiek współczesny, członek społeczeństwa konsumpcyjnego.

George Ritzer, autor głośnej pracy *Magiczny świat konsumpcji*, pisał:

> Na całym świecie konsumpcja znaczy w życiu człowieka coraz więcej. Niektórzy uważają, że jest ona symbolem współczesnego społeczeństwa Ameryki Północnej i większości rozwiniętego świata. Konsumujemy wiele oczywistych rzeczy – szybkie dania, T-shirty, dzień w Disney Worldzie – i dużo innych, które już tak oczywiste nie są (wykład, usługę medyczną, dzień na stadionie baseballowym). Konsumujemy liczne towary i usługi, które są nam niezbędne do życia, i mnóstwo innych, na które po prostu mamy ochotę[28].

Człowiek zawsze był konsumentem, na czym zatem polega współczesna konsumpcja, która jest fundamentem współczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego?

Za społeczeństwo konsumpcyjne uważa się takie, w którym „konsumpcja stała się zjawiskiem masowym, nie zaś tylko domeną bogatych, czy też klasy średniej. [...] Społeczeństwo wtedy dopiero staje się konsumpcyjne, kiedy konsumeryzm jest fenomenem na skalę masową”. Ponadto społeczeństwo konsumpcyjne

> oparte jest na ustawicznym wzroście wydatków konsumenckich, a wzrost ten jest zasadniczy dla ekonomicznego funkcjonowania systemu. Co więcej, kultura, ideologia i moralność rozwijają się w zgodzie z tym układem ekonomicznym. [...] Nienasycenie staje się tu powszechną normą. Stabilizacja społeczna i polityczna pozostają uzależnione od dostarczania dóbr konsumpcyjnych[29].

Jean Baudrillard jakże celnie zauważył:

> Społeczeństwo konsumpcji jest także społeczeństwem przyuczania do konsumpcji, społecznego tresowania i wdrażania w konsumpcję, innymi słowy, nowym i swoistym modelem uspołecznienia, mającym związek z pojawieniem się nowych sił wytwórczych i monopolistyczną restrukturyzacją systemu gospodarczego o wysokim poziomie produkcji[30].

---

[27] *Ibidem*, s. 7–8.

[28] G. Ritzer, *Magiczny świat konsumpcji*, tłum. L. Stawowy, Warszawa 2001, s. 9.

[29] J.B. Schorr, *The Overspent American. Why We Want We Do Not Need*, New York 1999, cyt. za: T. Szlendak, *Supermarketyzacja. Religia i obyczaje seksualne młodzieży w kulturze konsumpcyjnej*, Wrocław 2004, s. 6. Zob. także F. Bylok, *Model społeczeństwa konsumpcyjnego i jego zastosowanie na początku XXI wieku*, [w:] *Konsumpcja – istotny wymiar globalizacji kulturowej*, red. A. Jawłowska, M. Kempny, Warszawa 2005.

[30] J. Baudrillard, *Społeczeństwo konsumpcyjne. Jego mity i struktury*, tłum. S. Królak, Warszawa 2006, s. 94. W innym miejscu czytamy: „To ludyczność w coraz to większym zakresie rządzi naszymi stosunkami wobec przedmiotów, ludzi, wobec kultury, rozrywki, a czasem nawet pracy czy polityki. To ludyczność staje się dominującym trybem naszego codziennego zachowania i działania, naszym habitusem, w tej samej mierze, w jakiej wszystko, przedmioty, dobra, relacje, usługi, stają się gadżetami” (s. 144).

Podsumowując cechy społeczeństwa konsumpcyjnego, oddajmy głos Małgorzacie Lisowskiej-Magdziarz, autorce rewelacyjnej pracy *Pasażer z tylnego siedzenia. Media, reklama i wychowanie w społeczeństwie konsumpcyjnym*. Pisze ona:

> Mówiąc „społeczeństwo konsumpcyjne", myślimy [...] o takiej wersji porządku społecznego i o takim układzie wartości, w którym kupowanie i zużywanie rzeczy oraz korzystanie z usług nie prowadzi tylko do zaspokajania praktycznych potrzeb, choćby były to potrzeby dość wygórowane. Chodzi o stałe nabywanie i użytkowanie rzeczy niezależnie od ich praktycznych zastosowań, bieżących potrzeb oraz od realnych możliwości ich zużycia[31].

W innym miejscu czytamy:

> [...] społeczeństwo konsumpcyjne to takie, w którym konsumują wszyscy, choć nie wszyscy na jednakowym poziomie. Konsumowaniu przypisuje się tu wartość etyczną – jest ono uznawane za zasadniczo pozytywne i dobre mają być też te działania, które poprawiają możliwości konsumpcyjne ludzi. Konsumpcja to nie tylko pozytywna wartość, lecz także źródło innych wartości społecznych i kulturalnych. Właśnie dlatego w takim społeczeństwie poczucie zadowolenia, szczęścia, powodzenia, sukcesu jest dla ludzi związane z poziomem konsumpcji i dostępności rozmaitych dóbr materialnych. [...] Dążenia ludzkie koncentrują się na zwiększaniu rozmiarów poziomu konsumpcji[32].

Na pytanie, dlaczego ludzie konsumują, odpowiemy, częściowo wykorzystując rozważania autorki, że – zaspokajają swoje potrzeby materialne i emocjonalne (w tym potrzebę hedonistyczną); bo konsumowanie odgrywa rolę integrującą; bo konsumowanie spełnia funkcję klasyfikującą, włącza lub wyłącza jednostki z grona konsumentów danych dóbr; bo konsumowanie ma rolę interakcyjną, czyli ułatwia komunikację między ludźmi i grupami ludzkimi; bo kreuje tożsamość i osobistą autoekspresję.

Konsumowanie odgrywa zatem rolę centrum kultury, nie przez przypadek zwanej konsumpcyjną. Konsumpcja jest

> środkiem do osiągnięcia innych celów: szczęścia, prestiżu, szacunku innych ludzi, władzy, sublimacji duchowej [...]. Decyduje o stylu życia. W społeczeństwie konsumpcyjnym bardzo trudno jest nie być konsumentem. [...] Media masowe podsycają potrzeby i ambicje, prezentują konsumpcję jako działalność ze wszech miar pożądaną: źródło satysfakcji, poważania wśród ludzi i po prostu szczęścia[33].

Społeczeństwo konsumpcyjne to społeczeństwo hedonistyczne, choć oczywiście nie wszyscy jego członkowie mają świadomość, że prezentują postawę hedonistyczną, ba, wielu postawę taką wręcz odrzuca. Społeczeństwo konsumpcyjne działa jednak w taki sposób, jakby postawa hedonistyczna była powszechna. Powszechność jej w przyszłości ma zagwarantować odpowiednie wychowanie, wychowanie wzorowego konsumenta. „W kulturze konsumpcyjnej – zauważa M. Lisowska-Magdziarz –

---

[31] M. Lisowska-Magdziarz, *Pasażer z tylnego siedzenia. Media, reklama i wychowanie w społeczeństwie konsumpcyjnym*, Warszawa 2010, s. 10.

[32] *Ibidem*, s. 12.

[33] *Ibidem*, s. 13.

chodzi bowiem o to, by wychować jednostkę emocjonalną, hedonistyczną i stawiającą przyjemność nad zdrowie"[34].

Czy istnieje świadomie wykreowany system pedagogiczny, który miałby powoływać do bytu pożądanego „idealnego konsumenta"? Z pewnością nie, na ów praktycznie istniejący system składają się rozliczne działania, świadome, a najczęściej nieświadome, rozmaitych instytucji istniejących we współczesnym świecie masowej konsumpcji. Środki masowego przekazu można o wyższy stopień świadomości podejrzewać, wiele innych instytucji realizujących swoje zadania z pewnością odrzuciłoby zarzuty o świadome kreowanie „idealnego konsumenta", choć taki skutek ich działalności daje się łatwo zauważyć. Można zaryzykować twierdzenie, że pomijając na przykład instytucje religijne, które nie akceptują ideologii konsumpcyjnej, wszystkie inne instytucje współczesnych państw, mniej lub bardziej świadomie, działają na rzecz kształtowania owego „idealnego konsumenta". Nie jest to konsument prymitywny, jednowymiarowy, choć i takich, oczywiście, nie brakuje. Przeciwnie, jest to konsument dynamiczny, niepozbawiony Kantowskiej i Huizingowskiej „władzy sądzenia", w ograniczonych jednak ramach konsumpcyjnej kultury.

> Współczesny konsument – pisze M. Lisowska-Magdziarz – może być, i często jest, krytyczny w stosunku do nadmiernego konsumpcjonizmu. Jest kreatywny, gotowy do samorozwoju, poszukuje samorealizacji. Może chętnie poświęcić czas i uwagę innym oraz mocno się angażować w twórczość artystyczną albo ochronę naturalnego środowiska. Kultura konsumpcyjna zapewne wyrobi w nim także otwartość na rozmaite wzorce życia, style, upodobania i zwyczaje; powinien więc być tolerancyjny, empatyczny kulturowo (nawet jeśli jest to empatia raczej płytka, oparta przede wszystkim na zafascynowaniu zewnętrzną atrakcyjnością tego, co dziwne i egzotyczne). Jako taki jest też wolny od fundamentalizmów i i skłonności do postaw ekstremalnych. Zainteresowany natomiast rozmaitością kulturalnych wzorców, obyczajów i upodobań, gotowy do próbowania i włączania w obręb własnej kultury wzorów z rozmaitych źródeł i systemów[35].

Słowem, jest to człowiek o „zmiennej, otwartej tożsamości". Otwartej także, a może przede wszystkim na konsumpcję! Jednostka, której wpojono nawyk wydawania pieniędzy na wszelkie zachcianki i nowości, jednostka łaknąca nowych przeżyć, emocjonalna i hedonistyczna, czerpiąca radość z konsumpcji.

Przypomina się tutaj Combsowskie określenie naszych czasów nazwą „postintelektualizm". „Gdy – pisał – intelekt zostaje zastąpiony przez intuicję [moim zdaniem przede wszystkim przez emocje – R.K.], prawdą staje się wszystko to, co daje nam szczęście"[36].

Świadomość „postintelektualna" powoduje, że „teraźniejszość będzie cenna o tyle, o ile będzie rodzić zabawę, zaś przyszłość obiecywać będzie dalsze podążanie za zabawą. Stanie się ona mitem nadającym życiu sens, zyska ontologiczy status etyki i celu – zabawa jest z natury dobra"[37].

---

[34] *Ibidem*, s. 34.

[35] *Ibidem*, s. 33.

[36] J.E. Combs, *Świat zabaw. Narodziny nowego wieku ludycznego*, tłum. O. Kaczmarek, Warszawa 2011, s. 187.

[37] *Ibidem*.

Niedojrzałość i hedonizm w społeczeństwie konsumpcji zabawy

Niedojrzałość i idący z nią w parze hedonizm zdają się kluczami, nie zapominając wszakże o ekonomicznych fundamentach społeczeństwa konsumpcyjnego, kluczami do zrozumienia „świata zabawy" oraz okoliczności i rodzenia się, a także postępów Combsowskiego „nowego wieku ludycznego"[38].

Francesco M. Cataluccio przywołał zapomnianą na Zachodzie, a w Polsce chyba w ogóle nieznaną pracę J. Huizingi z roku 1935, w której ten autor śledzi oznaki nadciągającego schyłku zachodniej cywilizacji. Jedną z oznak owego schyłku jest dziecinność/zdziecinnienie, zjawisko permanentnej niedojrzałości: „Dziecinnością – cytuje F.M. Cataluccio – oznacza się postawa społeczeństwa, które zachowuje się o wiele infantylniej, niż pozwala na to poziom jego mądrości, i zamiast wychowywać chłopca na mężczyznę, pozwala mu na pozostanie dzieckiem"[39].

J. Huizinga w innym miejscu dodaje:

> Wielu ludzi, wykształconych i niewykształconych, podchodzi do życia jak do zabawy, podobnie jak czynią to dzieci, i to w końcu staje się ich trwałą postawą. Taka wieczna niedojrzałość odznacza się zapominaniem o własnej godności oraz brakiem szacunku dla innych i ich poglądów, co płynie z nadmiernej koncentracji na swojej osobowości. Bowiem powszechne zaniżanie poziomu władzy sądzenia i zdolności krytycznych tworzy korzystny grunt dla tego stanu rzeczy. Tłum czuje się doskonale, kiedy może się wywyższyć względnie swobodnie. Taka sytuacja, w której odrzuca się hamulce wynikające z niezachwianych przekonań moralnych, może się okazać w pewnych okolicznościach bardzo niebezpieczna[40].

Takie zachowanie można tolerować w przypadku dzieci, które nie mają jeszcze utrwalonych przekonań moralnych (w istocie chodzi o system wartości), nie u dorosłych. W ich przypadku są one dowodem niebezpiecznej społecznie niedojrzałości.

Istotnie, niedojrzałość kojarzy się w naszej kulturze ze stanem dziecka, które żyje w świecie fantazji i zabawy, gdyż świat dorosłych, świat odpowiedzialności, jest jeszcze dla niego zamknięty. Stan ten cechuje się fizyczną słabością, ale również duchowym lękiem, obawą przed przemocą ze strony dorosłych i niepokojem wobec ich nieznanego świata. Niedojrzałość dziecka jest stanem naturalnym, młody człowiek jest i musi być niedojrzały. Niedojrzałość w okresie dojrzewania stanowi niezbędny element zdrowia. Cataluccio cytuje te i inne uwagi amerykańskiego psychologa Donalda W. Winnicotta, który także stwierdził:

> Istnieje tylko jeden środek na niedojrzałość, upływ czasu i powolne zdobywanie dojrzałości zgodnie z tym, co czas przynosi. Niedojrzałość jest bezcennym składnikiem okresu dojrzewania. W niej mieszczą się najbardziej inspirujące cechy twórczego myślenia, świe-

---

[38] *Ibidem*, s. 115–116.

[39] F.M. Cataluccio, *Niedojrzałość. Choroba naszych czasów*, tłum. S. Kasprzysiak, Kraków 2006, s. 8. Praca J. Huizingi nosiła tytuł *In de schauduwen van morgen. Een diagnose van het geestellijk lijden van onzen tijd*.

[40] Cyt. za: F.M. Cataluccio, *Niedojrzałość...*, s. 9.

> że odczucia i nowe pomysły na to, jak należy żyć. Społeczeństwu potrzeba, by potrząsały nim aspiracje tych, co nie są jeszcze za nic odpowiedzialni. Jeśli dorośli wycofają się w takiej sytuacji z gry, dorastający stają się dojrzałymi przedwcześnie, zmusza ich do tego nienaturalny bieg wydarzeń. Społeczeństwo należy więc przekonywać, że dla dobra dorastających i ich niedojrzałości nie można pozwolić na awans i zdobycie sztucznej dojrzałości, bo to obarcza ich odpowiedzialnością, która jest dla nich niestosowna, chociaż bardzo jej pragną[41].

Prawdziwy niepokój budzi niedojrzałość dorosłych. Ich naturalnym i społecznie oczekiwanym stanem jest właśnie dojrzałość, która oznacza – zgodnie ze standardami naszej kultury, wyrażanymi przez pokolenia filozofów i pedagogów – rozsądek, mądrość, pełne usamodzielnienie (także ekonomiczne), umiejętność utrzymania się przy życiu i utrzymania rodziny, cierpliwość, wytrwałość, samokontrolę i najwyższe oznaki oczekiwanej od dorosłego dojrzałości: intelekt, cnotę rozumu. Można to nazwać kompletnym wyposażeniem dojrzałego człowieka, które pozwala mu uczestniczyć w życiu realnym, choć oczywiście stopień opanowania umiejętności należących do owego wyposażenia może być bardzo zróżnicowany. Człowiek dorosły, dojrzały, podejmuje wyzwania świata realnego. Natomiast:

> Ludzie niedojrzali unikają trudności, starają się sprawy upraszczać i wygładzać – dojrzali potrzebują czegoś przeciwnego, choć oczywiście czasami nie odmawiają sobie tego, co mniej skomplikowane, co łatwo wchodzi w ucho, co jest tylko rozrywką. Człowiek dojrzały może sobie pozwolić na chwile niedojrzałości – niedojrzały nie wie nawet, co to takiego niedojrzałość[42].

Jeśli zatem jest tak, jak sugeruje Cataluccio, i wielu innych autorów, że wiek XX okazał się wiekiem niedojrzałych dorosłych, że niepokojąco upowszechnił się, ze wszystkimi negatywnymi skutkami, syndrom wiecznego dziecka (*puer aeternatus*), zwany bardziej popularnie postawą Piotrusia Pana, czyli skłonność, pragnienie, by nigdy nie dorastać, to wielkim zadaniem dla badaczy współczesnej kultury jest odpowiedź na pytanie, jakie są tego przyczyny, a zwłaszcza, jakie są już dziś i jakie będą w przyszłości tego skutki. Wydaje się bowiem, że problem ten nie zaniknie w XXI wieku, przeciwnie – moim zdaniem – nabierze jeszcze większego znaczenia.

Jedną z przyczyn rozpowszechniania się syndromu Piotrusia Pana, objawiania się syndromu niedojrzałości dorosłych jest, co zostało już podniesione, lęk przed odpowiedzialnością za siebie i innych, lęk przed wyzwaniami realnego świata. Lęk ten każe ludziom trwać w świecie wiecznej zabawy, w świecie ułudy i fantazji, w świecie przyjemności. O innej jeszcze przyczynie tego stanu rzeczy pisał J.E. Combs: „Jeśli o młodości myślimy jako o czasie zabawy, a o dorosłości jako o okresie nudy, w obliczu takiej alternatywy nie sposób oprzeć się syndromowi Piotrusia Pana – pozostania na zawsze młodym dzięki dobrej zabawie"[43].

---

[41] *Ibidem*, s. 10. Jest to cytat z pracy D.W. Winnicott, *Playing and Reality*, London 1972.

[42] M. Cataluccio, *Niedojrzałość...*, s. 49.

[43] J.E. Combs, *Świat zabaw...*, s. 197–198.

Nie sposób nie zauważyć ideologii stojącej za świadomym wyborem postawy Piotrusia Pana, ideologii hedonistycznej. To:

> Powszechny – zacytujmy za Cataluccim słowa kardynała C.M. Martiniego – sceptycyzm, brak zainteresowań wyższymi wartościami, przekonanie, że w życiu nie warto szukać niczego innego oprócz własnej przyjemności i własnego doraźnego szczęścia. Ludzie unikają ryzyka i odpowiedzialności, nie chcą dorastać, chcą tkwić w dzieciństwie, już nie w tym niewinnym, tylko w tym za nic nie odpowiedzialnym, odkładają zawarcie małżeństwa, prokreację, trudne zadania, nie chcą się troszczyć o innych. Słowem, wciąż trwa zabawa, żyje się wyłącznie chwilą, i tyle[44].

Pragnienie, by nie dorastać, to w istocie pragnienie wiecznej przyjemności, to kwintesencja hedonizmu, czyli – jak poucza nas *Słownik wyrazów obcych* – doktryny etycznej uznającej przyjemność (rozkosz) bądź unikanie przykrości za najwyższe lub jedyne dobro, cel życia i naczelny motyw ludzkiego postępowania[45].

Postawa hedonistyczna dziś jest kojarzona nie tyle z unikaniem przykrości, ile raczej po prostu z czerpaniem przyjemności (rozkoszy) z niekończącej się zabawy. Zachęcają do niej przede wszystkim środki masowego przekazu, wedle których dążenie do przyjemności (zabawy) jest niezbywalnym „prawem człowieka". Opisując rozszerzanie się we współczesnym świecie granic zabawy (ustalenia tego typu nazywa autor „pragmatyką zabawy"), J.E. Combs zauważył ironicznie: „rolą rządu jest zapewnienie »świadczeń ludycznych«, tak jakby istniała jeszcze jedna poprawka do Konstytucji głosząca, że nie wolno ograniczać prawa ludzi do zabawy [podkreślenie C.M.B.]"[46].

W atmosferze nie tyle sprzyjającej postawie hedonistycznej, ile raczej w sytuacji dyktatu, narzucania tej postawy społeczeństwu, nie dziwi upowszechnianie się przekonania, które można wręcz nazwać najbardziej potoczną i jednocześnie najszerszą definicją zabawy, polega to na traktowaniu jako zabawy wszystkiego, co zadowala, co dostarcza radości, odprężenia, co zaspokaja niepohamowaną i promowaną przez rozliczne instytucje społeczeństwa konsumpcyjnego potrzebę przyjemności (hedonizmu). Konsumpcja zabawy staje się często, jak w ogóle konsumpcja, nie tylko źródłem przyjemności, ale wręcz narzuconym obowiązkiem, który może nieco zmniejszać przyjemność, ale przecież jej nie ruguje. Wiele racji ma J. Baudrillard, który stwierdził, że: „Jednym z najmocniejszych dowodów na poparcie tezy, iż zasady i celu konsumpcji nie stanowi bynajmniej rozkosz, jest fakt, że ta ostatnia zyskuje dziś postać przymusu czy nakazu i zostaje zinstytucjonalizowana nie jako uprawnienie czy przyjemność, lecz jako obywatelsko obowiązek [podkreślenie J.B.]"[47]. To, że rozkosz/przyjemność nie jest (czy z pewnością nie jest?) zasadą i celem konsumpcji, oznacza tylko tyle, że nie jest zasadą naczelną i celem podstawowym.

---

[44] M. Cataluccio, *Niedojrzałość...*, s. 275–276.

[45] *Słownik wyrazów obcych*, red. J. Tokarski, Warszawa 1971, s. 270.

[46] J.E. Combs, *Świat zabaw...*, s. 144.

[47] J. Baudrillard, *Społeczeństwo konsumpcyjne...*, s. 92.

Niedojrzałość i hedonizm współczesnego społeczeństwa zabawy wyjaśniają wiele. Co jednak z nudą, o której – czasem na marginesie – wspominają liczni autorzy. Czy i ona ma jakieś znaczenie dla obrazu owego nowego świata zabawy?

> Człowiek – pisze R. Winter – do którego ze wszystkich stron docierają różnego rodzaju bodźce, w pewnym momencie traci zdolność głębokiej refleksji na cokolwiek. Ponieważ bombarduje nas tak wiele ekscytujących spraw, które domagają się naszej uwagi, tracimy zdolność rozróżniania i dokonywania wyboru. W rezultacie przestajemy zwracać uwagę na cokolwiek. Nuda, którą odczuwa współczesny człowiek, prawdopodobnie jest wynikiem nadmiernej, a nie zbyt małej stymulacji. Kiedy dociera do nas tak wielka ilość informacji, z trudem wyłuskujemy z nich to, co ważne, i odnajdujemy w czymkolwiek sens[48].

Niedojrzali, przepełnieni dążeniami hedonistycznymi i przestymulowani rozrywką stajemy się doskonałym materiałem plastycznym, z którego formuje się współczesny świat kultury konsumpcji zabawy.

Karnawalizacja, ludyzacja, uludycznienie kultury konsumpcyjnej

Dostępność przyjemności, jakie daje zabawa, w społeczeństwie konsumpcyjnym rozszerza się nieustannie, jednostka ludzka sama aranżuje zabawy w spontaniczny sposób w gronie rodzinnym czy koleżeńskim (ten temat, choć bardzo ciekawy, tu mnie nie interesuje[49]), bądź przyłącza się do zabaw tego rodzaju. Zabawa odnajduje człowieka, na zabawę – zwaną niekiedy rozrywką, która ma mniej czynny niż w przypadku zabaw spontanicznych w kręgu rodzinnym i przyjacielskim charakter (jednak dawcy rozrywki stosują rozmaite formy interaktywności, by upodobnić ją do zabawy), natrafiamy na każdym kroku. Powstaje wiele instytucji, których głównym, choć zwykle nie jedynym, zadaniem jest dostarczanie przyjemności. W społeczeństwie konsumpcyjnym niewyobrażalnie rośnie nie tylko liczba okazji do zabawy i rozrywki, lecz także liczba miejsc, przestrzeni zabawowych. Rzecz jasna, wzrasta również niepomiernie liczba form zabawy, jedne się upowszechniają i zdobywają świat, inne mają zasięg lokalny, a jeszcze inne jawią się jako efemerydy o nader krótkim żywocie. Są wśród nich proste i bardzo wyrafinowane, adresowane do wszystkich i do wybranych. Ich rozpoznanie, opisanie, klasyfikacja, ocena funkcji i znaczenia, niemal przekracza możliwości badaczy współczesnego ludyzmu. To tsunami ludyzmu we współczesnej kulturze traktuję jako proces i określam go mianem uludycznienia (ewentualnie ludyzacji)[50]. Proces ten – jest w moim przekonaniu – cofaniem się na plan drugi i to dość szybko, spektakularnie, tego, co nazwane zostało rzeczywistością realną, pierwszą, rzeczywistością powagi i odpowiedzialności, na rzecz rzeczywi-

---

[48] R. Winter, *Nuda w kulturze rozrywki. Poradnik*, tłum. Z. Kasprzyk, Kraków 2012, s. 44.

[49] Zob. R. Kantor, *Biesiada i biesiadowanie we współczesnej kulturze polskiej*, „Zabawy i Zabawki" 2008, wyd. 2010, R. 6, nr 1–4.

[50] Zob. R. Kantor, *Społeczeństwo konsumpcji zabawy. Przypadek polski*, [w:] *Wąż w raju. Zabawa w społeczeństwie konsumpcyjnym*, red. R. Kantor, T. Paleczny, M. Banaszkiewicz, Kraków 2011.

stości drugiej, ludycznej (zabawowej). Ten proces, jak zauważył J.E. Combs, charakteryzuje dzisiejszy świat masowej konsumpcji, w którym życie ludzkie „ulega postępującej karnawalizacji”[51]. Dla Combsa karnawalizacja oznacza po prostu „niekończące się świętowanie”. Określenie „karnawalizacja”, bez kontekstu naukowej tradycji, mogłoby z powodzeniem posłużyć do alternatywnego, wymiennego nazwania procesu, który w moich pracach określam mianem uludyczniania kultury konsumpcyjnej. Niestety, istnieje ów kontekst tradycji, który każe pojęcie karnawalizacji potraktować inaczej.

> Obserwowane [...] pospolite dążenia hedonistyczne, kojarzone z zabawą – czytamy we *Wprowadzeniu* do ważnej publikacji zatytułowanej *Ludyczny wymiar kultury* – skłaniają wielu badaczy do głoszenia tezy o urzeczywistnianiu się konsumpcyjnego ideału „wielkiej zabawy”, pozwalającego zasadnie mówić o „ludyczności kultury współczesnej” bądź jej „karnawalizacji”. Takie ujęcie obecnej sytuacji kulturowej inspiruje się teoretycznymi ideami Michaiła Bachtina, który tworząc koncepcję karnawalizacji literatury, nie sądził zapewne, że wykorzystana ona będzie w ogólniejszych rozważaniach nad kondycją kultury współczesnej jako narzędzie diagnostyczne i eksplanacyjne[52].

Jak rozumiał „karnawalizację” Michaił Bachtin, badacz bardzo konkretnych, czasowo określonych świąt – zwanych karnawałem, zapustami lub ostatkami? Pisał:

> Karnawał wytworzył własny, bogaty język konkretno-zmysłowych symbolów – od złożonych masowych igrzysk do odrębnych karnawałowych gestów [...]. Języka tego nie da się przełożyć na mowę słowną w sposób mniej więcej adekwatny i pełny, zwłaszcza w zakresie pojęć oderwanych; możliwe jest jednak pewne transponowanie go na pokrewny, również konkretno-zmysłowy język obrazów artystycznych, czyli na język literatury. Takie transponowanie karnawału na język literatury nazywam karnawalizacją[53].

Nie wdając się w krytykę zastosowania Bachtinowskiego pojęcia „karnawalizacja” do opisu zjawisk kultury współczesnej, gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca, stwierdzę jedynie, że w pełni podzielam pogląd W. Dudzika, który zwrócił uwagę na nadmierne i niczym nieuzasadnione rozszerzenie przez badaczy współczesnej kultury pola semantycznego słowa karnawał. „Karnawalizacja – pisze on – zdominowała myślenie o karnawale i stała się narzędziem (by nie rzec, przynajmniej niekiedy: wytrychem) do analizowania wszelkich zjawisk z zakresu kultury współczesnej, pozostających poza sferą kultury oficjalnej lub wysokiej”[54].

Kiedy J. Grad stawia pytanie „na ile karnawałowe ujęcie współczesnej rzeczywistości kulturowej stanowi jej adekwatny ogląd, na ile zaś jest jedynie jej meta-

---

[51] J.C. Combs, *Świat zabaw...*, s. 115–116.

[52] J. Grad, H. Mamzer, *Wprowadzenie*, [w:] *Ludyczny wymiar kultury*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004, s. 7.

[53] M. Bachtin, *Problemy poetyki Dostojewskiego*, tłum. N. Modzelewska, Warszawa 1970, s. 187–188.

[54] W. Dudzik, *Karnawały w kulturze*, Warszawa 2005, s. 10. Wydana ostatnio praca zbiorowa pod red. A. Stoffa i A. Skubaczewskiej-Pniewskiej *Teoria karnawalizacji. Konteksty i interpretacje*, Toruń 2011, upewniła mnie, że „teoria karnawalizacji”, jeśli w ogóle w tym przypadku o teorii można mówić, odnosi się wyłącznie do wąsko rozumianych badań literaturoznawczych.

forycznym obrazem?”[55], narzuca mi się prosta odpowiedź: karnawałowe, w duchu Bachtinowskim, ujęcie kultury współczesnej, jest tylko przejawem nierzetelności postmodernistycznych analityków pokroju Pierre’a Bourdieu czy Alaina Finkielkrauta. Jako metafora „karnawał”, w moim przekonaniu, również się nie sprawdza. W literaturze naukowej pojęcia „karnawalizacja” sensownie używać można jedynie na określenie rozprzestrzeniania się współcześnie na świecie europejskiego karnawału/ostatków[56]. Dla zjawiska rozszerzania się zabawy, i jednoczesnego ograniczania powagi, we współczesnej kulturze stosowniejsze jest używanie terminu „uludycznienie” lub „ludyzacja”, najmniej „hedonizacja” – to bowiem jest znacznie ogólniejsze.

Zakończenie

> Jeżeli zabawa jest najwyższą formą wyrażania człowieczeństwa – pyta J.E. Combs – to czy potrafimy wyobrazić sobie opartą na niej cywilizację? Zabawa byłaby wówczas podstawowym entymematem nowej kultury, dominowałaby jako podstawowe dobro, zakorzenione w micie i prawach człowieka; na niej budowano by reguły, role i relacje międzyludzkie. Czy w takiej cywilizacji zabawa ulegałaby uniwersalizacji, wszyscy by się bawili, ale jakie byłyby tego konsekwencje? Czy zabawa rozdzielona byłaby niesprawiedliwie, czy równo przez wszystkich zasłużona? Czy stateczności by zakazano, karano by ją, czy ledwie tolerowano? [...] Czy cywilizacja zabawy ewoluowałaby do postaci ludzkiej i szczęśliwej utopii, czy podlegałaby stopniowej degradacji, by ostatecznie stać się nieśmieszną i anomiczną despotią?[57]

Wydaje mi się, że taka cywilizacja – cywilizacja zabawy – powstaje na naszych oczach w wyniku procesu, który nazywam uludycznieniem, ludyzacją kultury. Obserwacja tego procesu, nawet w skali jednego miasta, może dać podstawy do choćby cząstkowej odpowiedzi na pytania zadane przez Combsa. Sam on przecież zauważył: „świat postintelektualny wymusza przejścia od powagi ku zabawie i nie jesteśmy tu świadkami zjawiska przejściowego, lecz raczej czegoś, co ma potencjał przekształcania naszego sposobu życia [rozstrzelenie tekstu – R.K.]”[58].

Istnieją jednak siły, które mogą zaburzyć, czy wręcz zawrócić proces powstawania owej cywilizacji zabawy. Najpoważniejszym zagrożeniem dla tego procesu jest megakryzys ekonomiczny, który powali podstawy istnienia społeczeństwa konsumpcyjnego. Rozwój kultury (cywilizacji) zabawy może również powstrzymać „siła moralnej krucjaty”, powrót do odpowiedzialności i powagi, czyli odrodzenie autorytetu rzeczywistości pierwszej połączone z „demonizacją zabawy” – odrzuceniem postaw hedonistycznych.

---

[55] J. Grad, *Problem karnawalizacji kultury współczesnej*, [w:] *Ludyczny wymiar...*, s. 19.

[56] Zob. np. opis „majskiego karnawału” we wsi Chamula w stanie Chiapas (Meksyk), [w:] A.R. Fiedler, *Majowie. Reaktywacja*, Pelplin 2011, s. 199–212.

[57] J.E. Combs, *Świat zabaw...*, s. 197–198.

[58] *Ibidem*, s. 159.

Nawet jednak załamanie się procesu powstawania świata zabawy – według mnie bardzo prawdopodobne – nie będzie oznaczało ostatecznego wyrugowania tego rodzaju aktywności człowieka (aktywności ludycznej), co najwyżej postawi tę aktywność na właściwym dla niej miejscu, a miejsce to wcale nie jest – jak uczy nas historia kultury – poślednie, gdyż – o czym przypomina J.E. Combs – „istnieje bowiem starożytne i urokliwe przekonanie, że bogowie są najszczęśliwsi, gdy widzą ludzi pogrążonych w zabawie”[59].

[59] *Ibidem*, s. 200. Warto jeszcze zwrócić uwagę na „zdrową osobowość zabawową”, ideał człowieka zabawy w ewentualnym świecie cywilizacji ludycznej: „Osobowość zabawowa – pisze Combs – umie zachowywać równowagę między pragnieniem zabawy apollińskiej i dionizyjskiej, czerpie przyjemność zarówno z rozrywek umysłowych, jak i cielesnych i zdaje sobie sprawę, że rozwiązanie problemu intelektualnego lub inteligentna rozmowa są nie mniej fajne niż rozkosze fizyczne czy figlarna wymiana żartów. Osobowość zabawowa dysponuje dobrze rozwiniętą wrażliwością estetyczną związaną z przekonaniem, że sztuka jest najwyższą formą zabawy, a kultywować należy tyleż sztukę życia, co sztukę doceniania piękna. Ci, którzy definiują sens życia jako przyjemność, skupiają się na dobrym życiu, a nie na zdobywaniu władzy, bogactwa czy sławy. Życie poważne oznacza dążenie do realizacji celów, tymczasem dobre życie poświęcone zabawie jest celem samym w sobie. Życie jest bowiem zbyt ważne, by traktować je serio” (s. 194).

II. LUDYCZNOŚĆ WSPÓŁCZESNEGO MIASTA. OD TRADYCYJNYCH ZABAW DO NOWYCH ROZRYWEK

„Miasto nie staje się historyczne przez sam fakt zajmowania tego samego miejsca przez długie lata. Przeszłe wydarzenia nie wyciskają piętna na współczesności, jeżeli nie są upamiętnione w historycznych książkach, pomnikach, paradach i poważnych lub radosnych obrzędach, uznanych za część ciągle obecnej tradycji”.

Yi-Fu Tuan

Współczesne miasto, jak w ogóle miasto w dziejach kultury, to przestrzeń, w której jego mieszkańcy przejawiali rozmaite formy aktywności i zaspokajali rozliczne potrzeby, w tym również istotną potrzebę zabawy i rozrywki. Patrząc na miasto z tego punktu widzenia, zauważam, że staje się ono w czasach dzisiejszych przestrzenią coraz bardziej „wypełnioną” ludycznością, w coraz większym stopniu nie tylko zaspokaja potrzeby ludyczne, lecz także je generuje. Udział w tym biorą zarówno obywatele miasta, ich rodziny i kręgi przyjaciół, jak też w coraz wyraźniejszy sposób wyspecjalizowane instytucje działające w mieście. Aranżowane przez nie zabawy i rozrywki adresowane są nie tylko do stałych mieszkańców miasta, ale też do przybyszów, w szczególności do turystów, którzy w trakcie swoich podróży poszukują poza nowymi wrażeniami, widokami, przeżyciami estetycznymi, wiedzą o świecie i ludziach także – niektórzy przede wszystkim – dobrej zabawy. Z tego też powodu organizatorzy zabawy i rozrywki przygotowują dla nich odpowiednie spektakle – widowiska, których pewna kategoria, przeze mnie określona mianem spektakli ludycznych, będzie w tym rozdziale przedmiotem moich zainteresowań.

Spektakle ludyczne adresowane do mieszkańców miasta oraz do przybyszów w pierwszej kolejności służą zabawie, dostarczają rozrywki. Nie sposób jednak nie zauważyć ich promocyjnej, reklamowej funkcji. Dzięki nim, taka przynajmniej jest nadzieja organizatorów, napłyną do miasta kolejne fale turystów, stanie się ono popularne i w związku z tym można oczekiwać również finansowych profitów. Zabawa i rozrywka w nierozerwalny sposób splatają się z reklamą uroków miasta, stają się istotnym argumentem w jego promocji[1].

---

[1] Chyba jednak nie chodzi o promocję w rodzaju: „Kraków miastem taniego piwa!”, co ma ściągać do miasta tabuny młodych Brytyjczyków, których jedynym celem jest kilkudniowe picie.

Kraków, to miasto jest bowiem przedmiotem moich analiz, ma wiele do zaoferowania swoim mieszkańcom i przybywającym do niego turystom. Obok tradycyjnych świąt, z którymi niekiedy od wieków związane są zabawy i rozrywki, powstają nieustannie nowe, mniej lub bardziej udane, przywołując terminologię G. Ritzera, środki zabawy. Często wyrastają one lub choćby nawiązują do tradycji miejskich, czy szerzej: regionalnych. Kraków, jak wiadomo, był i jest centrum dużego regionu o wielkich tradycjach ludowych[2]. Wzajemne oddziaływania miejskiej kultury Krakowa i regionalnej kultury ludowej zaowocowały wieloma obrzędami i zwyczajami, często dziś zapomnianymi bądź na nowo odkrywanymi. Widzimy współcześnie zarówno odradzanie się ich w formie rekonstrukcji, co rzadsze, jak i wykorzystywanie pewnych ich elementów do tworzenia nowych zwyczajów, budowanych niejako na kanwie starych, choć intencjonalnie i faktycznie dzieje się tak w celu dostarczenia zabawy i rozrywki. Spektakle ludyczne, tradycyjne, zawsze jednak nasycone współczesnymi treściami, nowe zabawy i rozrywki, mało najczęściej, a niekiedy w ogóle niezwiązane z tradycją miejską czy ludową, oraz te, które do tradycji świadomie nawiązują, czasem do tradycji mniemanej, albo po prostu wymyślonej, tworzą w sumie coś, co nazwać można ludycznym spektaklem dorocznym, cyklicznym. Spróbuję uporządkować ową mnogość starych, tradycyjnych i nowych, skompilowanych z rozmaitych elementów, albo i wymyślonych, form zabaw i rozrywek miejskich, jawiących się badaczowi jako ludyczne spektakle, dzieląc je na te, które:

A. Stanowią współczesną kontynuację odległych tradycji miejskich Krakowa.
B. Wiążą się w rozmaity sposób z tradycjami ludowymi regionu krakowskiego, w tym w szczególności z tradycją wsi wcielonych w przeszłości do miasta.
C. Są luźno związane z miastem i regionem, choć mają niemałe znaczenie dla ich promocji.
D. Są ewidentnie kuriozami, pomysłami osobliwymi, często szalonymi, albo i wręcz głupimi, nastawionymi na zaszokowanie uczestników, za co płacą najczęściej najwyższą cenę: są efemerydami. Ich znaczenie dla badacza zjawisk ludycznych jest ogromne, obrazują bowiem skutki niczym niepohamowanej twórczości ludycznych form, co wydaje się cechą wszystkich ludzi niezależnie od czasu i przestrzeni.

Poświęcę też nieco uwagi nowym, oryginalnym, patriotycznym spektaklom, urządzanym przy okazji ważnych historycznych rocznic; spektaklom niosącym z założenia duży ładunek ludyczności. Skupię się także na równie nowym zjawisku, będącym sztandarowym przykładem rodzenia się i krzepnięcia zwyczaju ludycznego, na świętach dzielnic i ulic.

Wszystkie przywoływane w tym rozdziale spektakle ludyczne po pierwsze, rozgrywają się w Krakowie, najczęściej na otwartych przestrzeniach publicznych; po drugie, nasycone są dużym ładunkiem ludyczności, służą – pełniąc oczywiście także inne funkcje – zabawie i rozrywce; po trzecie, promują miasto i jego kulturę (również

[2] R. Kantor, *Krakowiacy znani czy nieznani? Kilka uwag o stanie wiedzy o Krakowiakach i ich kulturze* [w:] *Ludoznawstwo i etnografia między Wiedniem, Krakowem a Pragą*, Kraków 1999, s. 107–114.

kulturę regionu krakowskiego), zarówno wśród krakowian, jak i niezliczonych turystów krajowych i zagranicznych.

Przypomnieć tu muszę, że cytowany materiał badawczy pochodzi z krakowskiej prasy, a jego weryfikacji dokonałem m.in. na podstawie własnych obserwacji i relacji innych obserwatorów. Z każdej wyodrębnionej kategorii spektakli ludycznych, co oczywiste, przedstawiam jedynie wybrane, najbardziej reprezentatywne, niekiedy szczególnie spektakularne.

Spektakle związane z miejskimi tradycjami Krakowa

Emaus[3]

Odpust zwany Emaus, odbywający się w Wielki Poniedziałek na Salwatorze – tradycyjna nazwa części dzielnicy Zwierzyniec, położonej wokół klasztoru Norbertanek – sięgający tradycją XII wieku, to – jak wiadomo – jedno z najbardziej ulubionych przez krakowian świąt. O „odwiecznie" ludycznym charakterze Emausu świadczą źródła historyczne, a o współczesnej atmosferze opisy prasowe pochodzące z ostatnich lat. Oto ich przykłady:

> Wczoraj nad Salwatorem unosił się las kolorowych balonów. Ich szum słychać było już z daleka, podobnie jak gwar rozmów i śmiechów licznie przybyłych na Emaus krakowian, których z domu wygnała piękna pogoda. Na kramach rozstawionych wzdłuż ulic Kościuszki i Senatorskiej królował plastik – zabawki, ozdoby do włosów, baloniki.
>
> Najwięcej było plastikowych karabinów – takich na wodę oraz tych, które świecą kolorowymi żaróweczkami i wydają dźwięki mające przerazić przeciwnika. Z tych bardziej przerażających zabawek były też gumowe pająki różnej wielkości, gumowe maski potworów oraz plastikowe modele różnych kosmicznych wojowników. Dla młodszych i łagodniejszych wybrać można było pluszowe serduszka i słoneczka oraz kolorowe przytulanki [...]. Ze świecą można było szukać tradycyjnej emausowej zabawki, czyli kiwających się drewnianych żydów (ale w końcu udało się znaleźć). Na pojedynczych straganach kryły się drewniane ptaszki-gwizdki czy drewniane terkotki. Honor odpustu ratowały klasyczne jarmarczne słodycze: cukrowa wata, lizaki i pasiaste cukierki o różnych nadzieniach: grylażowym, orzechowym, cytrynowym i nawet poziomkowym. Nie zabrakło również piernikowych serc z lukrowanymi wyznaniami miłosnymi nie tylko dla ukochanej, ale i dla całej rodziny – łącznie z ciotką i teściową[4].

W innej relacji czytamy:

> Pistolety na wodę, samochodziki, balony i wata cukrowa – to rzeczy, które cieszyły się największą popularnością na tegorocznym Emausie. Na Salwatorze znaleźliśmy tylko jedno stoisko z tradycyjnymi figurami żydków. Były też dodatkowe atrakcje w postaci band miejscowych wyrostków, przechadzających się z pełnymi wody wiadrami i butelkami.

[3] O Emausie zob. np. T. Seweryn, *Tradycje i zwyczaje krakowskie*, Kraków 1961, s. 33–38.

[4] *Na Emausie królował plastik*, „Dziennik Polski" (dalej jako DP), z dn. 22.04.2003.

Kłaniali się grzecznie policji, żeby kilka metrów dalej urządzić klientkom odpustu tradycyjne, śmigusowo-dyngusowe lanie[5].

Ludyczność, wedle dziennikarzy dość wątpliwej jakości – badacz musi się z tym zdaniem w pełni zgodzić – króluje na Emausie od niepamiętnych lat, pozostawiając w cieniu religijne fundamenty święta.

Czy były kiwające się „żydki", czy funkcjonowały strzelnice, w których dzieci i starsi mogli strzelać do papierowych kwiatków, czy można było nabyć piernikowe serca z dedykacjami: kocham Zosię, dla Taty, moje serce dla Ciebie? Oczywiście, jak co roku również to wszystko można było zobaczyć i obejrzeć na Emausie, dorocznym odpuście przy klasztorze Norbertanek. Ponadto funkcjonowały karuzele, była wata cukrowa, a dmuchane balony o różnych kształtach mogły przyprawić o zawrót głowy. Mszę świętą, zgodnie z tradycją, odprawiał ks. kardynał Franciszek Macharski. W kazaniu mówił o Miłosierdziu Bożym i wszystko mogącej miłości[6].

Emaus – jedna z wizytówek Krakowa – niezależnie od pseudoludycznych agresywnych działań rozwydrzonych wyrostków (w ostatnich latach udało się ich nieco poskromić) należy, jak każdy odpust, do spektakli o wysoce ludycznym charakterze. Emaus to radosne święto parafialnej wspólnoty, w którym dziś chętnie uczestniczą nie tylko krakowianie z innych parafii i krajowi turyści, ale również coraz liczniej zagraniczni goście. Rodzinny spacer, oglądanie i zakup – niekonieczny – chińskiej tandety, ale również tradycyjne zabawki drewniane, strzelnice, karuzele, cukrowa wata i piernikowe serca, wszystko to zdaje się dominować nad sacrum, nad religijną stroną odpustu, czyni spektakl ludycznym. Emaus, w mojej opinii, bądź co bądź uczestnika Emausu od dziesiątków lat, w swym ludycznym wymiarze chylił się ku upadkowi w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dziś wprawdzie nie kwitnie – nikt jakoś nie znajduje formuły, aby go uatrakcyjnić – ale przynajmniej prezentuje się mieszkańcom miasta i turystom w nieco odrodzonej szacie.

Słynne w całym kraju kiwające się „żydki" – czytamy w relacji dość życzliwego odpustowi dziennikarza, co jest raczej rzadkością, zwykle znęcają się oni nad „tandetą" oferowaną spacerowiczom, nie zauważając towarów estetycznie atrakcyjnych i nie „czując" atmosfery zabawy – oraz różańce z ciasta i bibuły można było kupić na tradycyjnym Emausie, który w wielkanocny poniedziałek odbył się na Zwierzyńcu. „Żydki" na sprężynie kosztowały ok. 40 zł, sprzedawano także drewniane figurki Żydów z grosikiem (6–18 zł). Na straganach można też było kupić m.in. watę cukrową, balony, plastikowe zabawki z Chin, drewniane kwiaty, figurki Buddy oraz faraonów. Na Emaus przybyły tłumy, głównie rodziny z dziećmi. Maluchy były zafascynowane skaczącymi pająkami z pompką, pistoletami na wodę oraz balonami w kształcie zwierząt. Przy straganach ulokowało się wesołe miasteczko z karuzelą i dmuchanymi zamkami. Nie zabrakło także strzelnicy, na której można było zestrzelić ukochanej czerwoną różę. – „Można ją także kupić" – zachęcała sprzedawczyni pana, który nie wierzył w swoje możliwości[7].

---

[5] A. Kajtoch, *Dyngusowa kąpiel pod okiem policji*, „Gazeta Krakowska" (dalej jako GK), z dn. 29.03.2005.

[6] *Emausowy odpust*, GK z dn. 18.04.2006.

[7] *Tradycja. Stragany z „żydkami" na Emaus*, DP z dn. 14.04.2009.

Ten opis z roku 2009 można będzie zapewne powtórzyć bez zmian za pięć czy dziesięć lat. Może się zmieniać pogoda w czasie odpustu, sam Emaus jest przewidywalny do bólu, co, zdaniem wielu uczestników – moich informatorów, jest jego zaletą!

Rękawka[8]

Rękawka obchodzona przez krakowian w trzeci dzień Wielkiej Nocy (niegdyś dzień wolny od pracy), tajemnicze nawet dla archeologów, historyków i etnografów wiosenne święto (zmarłych?), korzeniami głęboko tkwiące w czasach przedchrześcijańskich, przeżywa w ostatnich latach niezwykły renesans. Odbywało się niegdyś na wzgórzu Lasoty, obecnie na znacznie większym obszarze pod pobliskim kopcem Krakusa. Ludyczny charakter tego święta, zapewne od zarania dominujący, choć nie można zapominać o jego znaczeniu obrzędowym (nie dziś oczywiście, a w odległej przeszłości), od kilkunastu lat jeszcze bardziej narasta. Wystarczy zapoznać się z programem tego spektaklu:

> Dziś – czytamy – między godziną 11 a 18 pod kopcem Krakusa zapanuje średniowiecze. Przybędą uzbrojeni w miecze wojowie, którzy zaprezentują swoje umiejętności w walce, a także nadobne niewiasty, które pokażą, jak warzono średniowieczną strawę. W święto Rękawki pod fortem św. Benedykta odbędzie się tradycyjny już jarmark, natomiast pod kopcem Krakusa – impreza pod hasłem: „Pląsy – korowody – igrce", zorganizowana przez Dom Kultury Podgórza, Radę Dzielnicy XIII i Drużynę Wojów Wiślańskich „Krak". Przez cały czas trwania festynu odbywać się będą pokazy tradycyjnych rzemiosł: warzenia soli, kowalstwa, garncarstwa, tkactwa i mielenia zboża. Średniowieczna wiedźma będzie wróżyć, a kat zaprezentuje narzędzia tortur.
>
> Będzie też można skorzystać z przymierzalni średniowiecznych strojów. Specjalny namiot wystawi Muzeum Archeologiczne oraz Koło Naukowe Studentów Wydziału Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego.
>
> W południe odbędą się pokazy walk średniowiecznych, o godz. 13 posłuchać będzie można pogadanki historycznej o wczesnośredniowiecznych zabawach, a o 13.10 rozpocznie się mecz piłki szkockiej. Na godz. 14 zaplanowano pokaz średniowiecznych obyczajów weselnych, później popisy bardów i dudziarzy. Między godz. 16 a 17 odbędzie się konkurs łuczniczy, a po nim prezentacja dawnych obrzędów słowiańskich. Przez cały czas organizatorzy zapraszają na wspólne pląsy. Imprezę zakończy koncert zespołu Drewutnia[9].

Podczas Rękawki w roku 2007 pojawiły się nowe atrakcje, wciąż jednak dominował duch odległej, wręcz bajkowej przeszłości, o czym świadczy poniższy fragment relacji:

> Tegoroczna impreza odbywała się pod hasłem – „Początki grodu Kraka", dlatego wśród atrakcji znalazła się m.in. opowieść o najdawniejszych dziejach grodu, bitwa Czechów z Polakami i pojedynek najdzielniejszych wojów obu armii. Kto chciał mógł też przymie-

---

[8] O Rękawce zob. T. Seweryn, *Tradycje...*, s. 51–57.

[9] *Pląsy i walka*, DP z dn. 22.04.2003.

rzyć średniowieczne stroje, kupić wyroby oferowane przez poszczególne bractwa i rzemieślników, nauczyć się strzelania z łuku, a na koniec zjeść pajdę chleba ze smażoną kiełbasą i cebulką.

Oczywiście każdy mógł także przejść na sąsiednie wzgórze Lasoty i wziąć udział w tradycyjnym odpuście, przespacerować się wśród stoisk zapełnionych plastikowymi zabawkami i słodyczami oraz zajrzeć do otwartego kościółka św. Benedykta[10].

Odpust na Rękawkę i związany z nim kiermasz wykazuje podobne cechy co odpust emausowy, jest dość stabilny pod względem zarówno formy, jak i treści, tu mam na myśli na przykład zestaw towarów oferowanych na straganach. Inaczej jest z imprezami towarzyszącymi, co roku można obserwować i uczestniczyć w coraz to nowych zabawach i rozrywkach. Wyobrażenie o inwencji organizatorów może dać relacja z kolejnego spektaklu, z roku 2011:

Wróżba z ogromnym kołaczem, o średnicy ok. 1,6 metra, możliwość postrzelania z łuku lub powróżenia sobie u wiedźmy – to niektóre atrakcje dzisiejszego święta Rękawki pod Kopcem Krakusa. [...] Tegoroczne święto odbędzie się pod hasłem: „W cieniu świętego dębu", tematem przewodnim imprezy będą wierzenia przedchrześcijańskie. [...] Zrekonstruowana została na tę okazję świątynia przedchrześcijańska – na wzór znaleziska z Niemiec, świątyni pogańskiej z Gross Raden, z XI wieku. Ma 5 na 3 metry podstawy, w środku zasłony z tkaniny, z tkaniny jest też dach. Podczas święta Rękawki będzie można zaglądać do świątyni, jak też do urządzonych warsztatów [...]. W samo południe na szczycie Kopca Kraka zapłonie ogień (do ognia ulewany będzie miód – bóstwom opiekuńczym w ofierze). Pół godziny później odbędzie się bieg uzbrojonych wojów wokół kopca, dla uczczenia Kraka – zgodnie z obyczajem znanym z różnych kultur, takie wyścigi urządzało się, by uczcić pamięć przodków. Na godz. 13 zaplanowano z kolei pochód Jarowita (z gaikami, wieńcami kwiatów). To bóstwo wiosny i płodności [...]. O godz. 14 będą celebrowane w świątyni obrzędy mające zapewnić pomyślność mieszkańcom Krakowa [...][11].

Lajkonik *vel* Konik zwierzyniecki[12]

Zwyczaj harców Lajkonika w oktawę Bożego Ciała najprawdopodobniej nie jest tak dawny jak Emaus czy Rękawka. Nawet jeśli został on wymyślony i upowszechniony w połowie XIX wieku, a XIII-wieczna geneza to tylko sympatyczna bajka, jest – podobnie jak poprzednie zwyczaje – wizytówką Krakowa. Nawiązuje do dawnych zabaw cechowych, znanych w innych miastach europejskich, choć dziś prawie nigdzie już niekultywowanych.

Ludyczny charakter i nastrój obrzędu Lajkonika oddaje poniższa relacja z roku 2011:

---

[10] *Wojów było co niemiara*, DP z dn. 11.04.2007.

[11] *Zapraszamy na Rękawkę*, DP z dn. 26.04.2011.

[12] O Lajkoniku zob. J. Bujak, B. Pilichowska, *Lajkonik w oczach badaczy*, „Polska Sztuka Ludowa" 1980, R. 24, nr 1, s. 3–14. *Eidem*, *Lajkonik – dzieje i przemiany krakowskiego zwyczaju ludowego*, ZN UJ „Prace Etnograficzne" 1986, z. 21, s. 7–36.

> Lajkonik – to słowo było wczoraj na ustach większości krakowian. Włodarze miasta, dostojnicy kościelni, starsi, młodzież i dzieci, wszyscy czekali na tę niezwykłą postać, która przeszła w barwnym pochodzie ulicami miasta. Lajkonik, wraz ze swoim orszakiem i kapelą, zwaną Mlaskotami, tradycyjnie wyruszył spod siedziby wodociągów pod klasztor ss. Norbertanek, gdzie czekało na niego wielu krakowian. Starodawne stroje włóczków, dźwięk bębnów, taniec i wesołe śpiewy – wszystko to tworzyło niezwykły nastrój pochodu. – „To dla nas już rodzinna tradycja, przyprowadzałam swoje dzieci, teraz przychodzą też wnuki. Trzeba coś wrzucić, kiedy Lajkonik otworzy sakwę, ale wtedy i szczęścia nie zabraknie w rodzinie, i młodym w pracy" – mówi pani Helena, mieszkanka Krakowa[13].

Być może pani Helena to postać fikcyjna, prawdą jednak jest, że krakowianie uczestniczą w obrzędzie całymi rodzinami, a śmiechom i radości, nie tylko dzieci, w jego trakcie nie ma końca. Oto dalszy ciąg zabawy:

> Na dziedzińcu klasztoru ss. Norbertanek odbył się pierwszy taniec z chorągwią, po którym Lajkonik złożył uszanowanie Kseni, czyli przełożonej klasztoru. Potem przyszedł czas na krótkie spotkanie z najmłodszymi mieszkańcami miasta, którzy zostali hojnie obdarowani słodyczami i uderzeniami buławy na szczęście. – Przyjechałam z Warszawy, na wakacje do babci. Pierwszy raz widzę Lajkonika. Na początku trochę się bałam, ale potem nawet dotknął mnie swoją buławą i mogłam z nim przez chwilę zatańczyć. Ta bardzo ładne święto, u nas nie ma takich zabaw" – opowiada 8-letnia Sylwia[14].

Można tu wtrącić uwagę: o to właśnie idzie, turysta powinien docenić, nawet jeśli to jest dziecko, oryginalność, niepowtarzalność zabawy!

Korowód Lajkonika trwał dalej:

> Spod klasztoru Norbertanek Lajkonik przeszedł ulicami Kościuszki i Zwierzyniecką, gdzie przy Filharmonii zatoczył kolejny magiczny krąg i zatańczył. Dalej wraz z orszakiem udał się na Rynek, odwiedzając po drodze kupców i restauracje, by się posilić. Hojnie rozdawał razy buławą oraz odbierał należny haracz. [...] Wieczorem pochód dotarł na Rynek Główny, gdzie Lajkonik po raz trzeci wykonał magiczny taniec z chorągwią. Chwilę później spotkał się z włodarzami miasta, od których odebrał pękatą sakiewkę oraz wzniósł toast za mieszkańców. Impreza zakończyła się kolacją w restauracji Hawełka[15].

Emaus, Rękawka i Lajkonik to spektakle znane wielu pokoleniom krakowian, wyrastające z miejskich tradycji, o ukształtowanym przebiegu i wyraźnym ludycznym charakterze. Inne ich funkcje, na przykład religijna w każdym przypadku, bo Emaus i Rękawka łączą się z odpustem, a Lajkonik z obrzędowością Bożego Ciała, czy magiczna, którą uważny obserwator dostrzeże w przypadku Rękawki, a jeszcze wyraźniej w obrzędzie Lajkonika, zeszły na dalszy plan. Szczególną uwagę należy poświęcić Rękawce, spektakl ten jest najdobitniejszym przykładem szybkiego rozszerzania i ludycznej funkcji dawnego zwyczaju, który bez tego pewnie uległby zapomnieniu.

---

[13] *Barwny pochód Lajkonika*, DP z dn. 1.07.2011.

[14] *Ibidem*.

[15] *Ibidem*.

Do tej kategorii spektakli (zwyczajów) ludycznych można zaliczyć jeszcze inne: wybór Króla Kurkowego[16], Konkurs Krakowskiej Szopki[17], Targi Bożonarodzeniowe i Wielkanocne na Rynku Głównym, Targi Wielkanocne na placu Wolnica[18]. Nie da się zaprzeczyć, że podobne imprezy – targi – mają przede wszystkim wymiar komercyjny, są jednak również okazją do zabawy, wszak zakupy dla wielu to znakomita zabawa.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ludyczne spektakle będące nawiązaniem do zapomnianych miejskich zwyczajów i próbą ich wskrzeszenia. Dobrym przykładem jest zamysł odnowienia jarmarków świętojańskich:

> Puśta mnie – darła się na cały głos Aniela Mucha z Czarnej Wsi, którą za swarliwą naturę i nieuczciwe metody handlowe rajcy miejscy na rzezanie w koszu skazali. Krzyki nie pomogły. Nieugięci strażnicy miejscy wsadzili babę do kosza i energicznie turlali wzdłuż Grodzkiej. Taką m.in. scenkę można było zobaczyć podczas jarmarku, nawiązującego do tradycji świętojańskiej. Na Grodzkiej rozłożyli się żebracy w łachmanach. Były przekupki i gospodynie domowe, które mieszając ciasto w makutrach, pokrzykiwały na mężów. Na Placu Marii Magdaleny panny plotły wianki, obok dybów przechadzał się kat. U wylotu Kanoniczej powiewało pranie, zaś obok kobiety męczyły się nad ogromnymi baliami.
>
> Artystyczną oprawę jarmarku przygotowali studenci Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej oraz aktorzy teatrów Osmoza i Scena „i”. Oprócz nich na Grodzkiej pojawili się także współcześni kupcy. Były oryginalne zabawki jarmarczne, malowane koniki, ptaszki na kółkach, gliniane garnki i dzbanuszki. Góralki częstowały przechodniów oscypkiem białym i wędzonym.
>
> W organizacji jarmarku wzięli również udział właściciele knajp i restauracji z Grodzkiej, którzy wystawili na ulicy stoliki. Najlepiej bawili się goście węgierskiej restauracji Balaton, gdzie przygrywała ludowa kapela[19].

Relacja jest nieco myląca, historyczne targi świętojańskie nie miały charakteru ludowego, był to zjazd kupców i ziemian z całej Rzeczpospolitej, na którym dokonywano wielkich transakcji, handlowano m.in. majątkami ziemskimi, lasami itd. Oczywiście, przy okazji kwitł także handel uliczny, była to również okazja dla mieszkańców wsi podkrakowskich do sprzedawania swoich produktów. Zabawę, której opis podałem powyżej, uważałem do niedawna za jedną z efemerycznych atrakcji letniego sezonu turystycznego w Krakowie. Dziś, kiedy Krakowska Kon-

---

[16] „20 lat temu w podpoznańskim Kórniku podpisana została deklaracja o reaktywacji Zjednoczenia Kurkowych Bractw Strzeleckich RP, organizacji zrzeszającej organizacje kurkowe w Polsce, założonej w roku 1922. – »Możemy mówić o sukcesie, gdyż nastąpił żywiołowy rozwój bractw w naszym kraju. Do tej pory reaktywowano i powołano do życia 116 [...]« – mówi Zdzisław Grzelka, wiceprezes Zjednoczenia i ceremoniarz krakowskiego Bractwa Kurkowego” (*Już 116 bractw w Polsce*, DP z dn. 26.09.2011).

[17] Konkursy szopki krakowskiej odbywają się na krakowskim Rynku przy pomniku Mickiewicza od roku 1937 z przerwą w latach 1939–1944. W roku 2004 Nowa Huta pozazdrościła Krakowowi tej tradycji i zaczęła organizować podobne konkursy.

[18] Oficjalnie noszą nazwę Wielkanocnego Festiwalu Tradycji i Obrzędu. Organizowane są przez Staromiejskie Centrum Kultury Młodzieży od 2003 roku.

[19] *Rzezanie baby w koszu*, GK z dn. 28.06.2004.

gregacja Kupiecka organizuje wielkie targi, nie bez elementów ściśle ludycznych, jak ten z okazji jej 600-lecia, idea odnowienia targów świętojańskich nie wydaje mi się już utopijna[20].

Spektakle związane z tradycjami ludowymi

Jak już wspomniałem, bogata tradycyjna kultura ludowa okolic Krakowa, czy wręcz dzisiejszych dzielnic miasta – dawnych podmiejskich wsi doń włączonych w przeszłości – stanowi niezwykle obfite źródło i podstawę wielu organizowanych współcześnie spektakli ludycznych odbywających się w przestrzeniach miasta. Pomijam tu te, jakże liczne, spektakle, które odbywają się poza miastem, choć wielu krakowian w nich uczestniczy. Jedne i drugie poza funkcją ludyczną spełniają funkcję promocyjną, reklamują miasto i region krakowski.

Poniżej przedstawię kilka tego rodzaju spektakli, wybranych z wielkiej ich liczby. Pominę m.in. tak znane i ważne, jak Targi Sztuki Ludowej (im należałoby poświęcić osobną pracę), Regionalny Jarmark Wielkanocny, Zjazd Orszaków Trzech Króli, Festiwal Tradycji i Obrzędu na Wolnicy. Te i inne jeszcze imprezy folklorystyczne – ich nazwy czasami ulegają zmianom, duch jest raczej niezmienny – zdołały się już wpisać w kalendarz imprez miejskich, niektóre nawet, choć bynajmniej nieliczące wiele lat istnienia, nazywane bywają, nie tylko w relacjach prasowych, „tradycyjnymi", co oczywiście jest formą ich nobilitacji.

Dożynki miejskie[21]

Ogólnokrakowskie dożynki – często zapomina się, że Kraków to również gmina wiejska! – odbywają się od niedawna, od 2005 roku, bo wcześniej każda dzielnica miasta, w której istniały gospodarstwa rolne, organizowała je oddzielnie. Ich wymiar ludyczny był raczej skromny, nie budziły większego zainteresowania krakowian. Dożynki w Mogile w roku 2005 (w następnych latach organizowały tę imprezę kolejne dzielnice) były udaną próbą spektaklu bogatszego zarówno w elementy powagi, jak i zabawy. Wymiar ludyczny, moim zdaniem, z czasem zdominuje ten pierwszy. Oto dwa skrócone opisy pierwszych ogólnokrakowskich dożynek. Z pierwszego wybrane zostały fragmenty eksponujące powagę spektaklu (aspekt religijny i obrzędowy), z drugiego to, co obrazuje jego stronę ludyczną.

---

[20] „Około dwustu rzemieślników i kupców, pokazy konne, warzelnia soli i jatka solna, ścieżki edukacyjne, kramy i warsztaty rzemieślnicze oraz karczma benedyktyńska – mnisze co nieco – i znacznie więcej czeka, dziś i jutro na mieszkańców Krakowa i turystów podczas Jarmarku Świętojańskiego na Bulwarze Czerwieńskim nad Wisłą. To podróż w czasie do średniowiecznego miasteczka z jego zwyczajami, tradycjami, rzemiosłem i hulankami [...]". Zob. *Walki rycerskie na Jarmarku Świętojańskim*, DP z dn. 25.06.2011.

[21] O dożynkach zob. np. B. Ogrodowska, *Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce. Mały słownik*, Warszawa 2000, s. 44–47.

Niedzielne uroczystości rozpoczęły się nabożeństwem w bazylice cystersów przy ul. Klasztornej. Kościół wypełnił się kolorowymi chłopskimi strojami. Na okolicznych ulicach zaparkowały furmanki [...]. Po mszy, przez plac kościelny przeszła procesja, na której czele umieszczono wizerunek św. Bartłomieja – patrona mogilskiej parafii. Za nim znalazły się figurki Matki Boskiej i Chrystusa, a dalej – 11 wieńców dożynkowych. Słomiane dzieła sztuki wzięły potem udział w konkursie na najbardziej okazały wieniec. W chwilę później uczestnicy procesji przeszli w barwnej paradzie, która ruszyła spod bazyliki w stronę Błoń Mogilskich [...]. Kiedy kawalkada dotarła na błonia, starostowie przywitali prezydenta chlebem i solą[22].

To dla ducha, ale było też wiele dla ciała.

Dla mieszkańców Krakowa, którzy licznie przybyli na błonia, starosta dożynek [...] przygotował wiele atrakcji. Dla najmłodszych były karuzele, starsi mogli spróbować swoich sił na strzelnicy. Straż Miejska zorganizowała pokazy sprawnościowe oraz zaprosiła dzieci do zabawy np. w podbijanie piłeczki tenisowej przy użyciu pałki. Swoje tegoroczne zbiory prezentowali krakowscy działkowcy oraz przedstawiciele sąsiednich gmin. Można było też bezpłatnie wykonać badanie ciśnienia, cukru we krwi, EKG – swój namiot rozstawili bowiem pracownicy Szpitala im. Żeromskiego. Wieczorem dla zgromadzonych wystąpił Rudi Szubert, a potem do nocy trwała zabawa taneczna[23].

Jarmark na Wzgórzach Krzesławickich

Jarmark ten jest przykładem imprez często organizowanych u schyłku lata, noszą one niekiedy nazwę „pożegnanie lata". Odbywają się w różnych dzielnicach Krakowa, mają raczej kameralny wymiar i często jest na nich prezentowany folklor oraz w ogóle dorobek kulturalny podkrakowskich gmin. Nie przeceniam znaczenia tych imprez dla promocji miasta, ich rolę widzę raczej w uświadamianiu mieszkańcom Krakowa związków miasta z regionem krakowskim, przypominanie, że Kraków jest stolicą wielkiego i bogatego kulturowo obszaru.

O tym, jak wyglądają tego typu spektakle, mówi poniższa relacja prasowa:

Gliniane ptaszki, kosze plecione z wikliny i chleb z domowym smalcem można było kupić w sobotę na jarmarku w Zielonym Jarze na Wzgórzach Krzesławickich. Tradycyjną na Wzgórzach imprezę na pożegnanie lata tym razem zorganizowano na ludową nutę, zapraszając między innymi artystów ze Skomielnej Czarnej, Gdowa i Wróblowic. Na scenie śpiewały i tańczyły zespoły artystyczne [...]. Goście objadali się znakomitym chłopskim jadłem z Dąbrowy i podziwiali plecenie wiklinowych koszy, robienie bibułkowych kwiatów i słomianych pająków w wykonaniu ludowych twórców. O godz. 18 w forcie 49 „Krzesławice" oficjalnie otwarto wystawę sztuki ludowej artystów ze Skomielnej Czarnej, a o 19 na fortecznym placu zagrał zespół Czerwony Tulipan[24].

---

22 *Barwny korowód*, GK z dn. 22.08.2005.

23 *Dobre, bo polskie*, DP z dn. 23.08.2005.

24 *Na ludową nutę*, GK z dn. 13.09.2004.

Festyn. Promocja krakowskiego folkloru

Spektakl zrelacjonowany poniżej należy do tych, które folklor regionu krakowskiego prezentują w sposób najszerszy i najbardziej profesjonalny, przy tym w wyraźnym ludycznym opakowaniu. O profesjonalizmie decyduje udział wśród organizatorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Warto zwrócić uwagę na tego rodzaju spektakle również ze względu na fakt, że z założenia podkreślają one ścisły związek miasta i jego kultury, a przynajmniej wielu jej przejawów, z kulturą regionu krakowskiego.

O atrakcjach oferowanych uczestnikom imprezy czytamy na łamach prasy:

> Na najbliższą niedzielę mnóstwo atrakcji przygotowało Muzeum Etnograficzne we współpracy z Dzielnicą I, Staromiejskim Centrum Kultury Młodzieży, wieloma innymi instytucjami i osobami. W samo południe, w salach przy ul. Krakowskiej 46 obędzie się wernisaż wystawy „Strój krakowski. Między prawdą a wyobrażeniem" [...]. Niedzielny wernisaż wyjdzie z muzeum na pl. Wolnica; otwarcie wystawy odbywać się będzie w oprawie festynu „Po krakowsku na Kazimierzu". Już o 11.30 orkiestra dęta ze Skrzeszowic da znak do rozpoczęcia świętowania. O godz. 13 odbędzie się pokaz autentycznych strojów z muzealnej kolekcji, a autorki wystawy opowiedzą m.in. – co i w jakiej kolejności należało na siebie nakładać. Potem wystąpią „Krakowiacy" (po sąsiedzku – siedziba zespołu mieści się przy ul. Meiselsa), a o godz. 14 zacznie się gościnny występ kabaretu Loch Camelot. Na godz. 15.30 organizatorzy festynu zapraszają wszystkich krakowian mających w szafie (w skrzyni, na pawlaczu, czy zgoła na strychu) stroje krakowskie. Przewidziano wielką paradę krakowską. Potem wystąpią Małe Słowianki, a po nich raper Karramba. Podczas festynu będzie można przyjrzeć się pracy garncarza, wikliniarza, koronkarki, zjeść odpustowe pierniki, cukrową watę i nie tylko: Czernichów obiecał tradycyjne placki mosiężne (kołacze z serem, według starej, czernichowskiej receptury pieczone), a restauracja „Pod Aniołami" żur po krakowsku i inne specjały. Będzie można sobie zrobić okolicznościową fotografię z jarmarku albo wziąć udział w którymś z konkursów organizowanych przez Centrum Kultury Młodzieży[25].

W tej bogatej ofercie, bardzo ludycznej, najbardziej zaskakujący jest występ rapera Karramba, czyż nie jest to symboliczne niemal potwierdzenie zabawowego wymiaru imprezy?

Obrzędy wiosenne: Marzanna i powitanie wiosny

Z bogatej ludowej tradycyjnej obrzędowości wiosennej, zanotowanej przez etnografów[26], we współczesnej krakowskiej obrzędowości miejskiej pozostało niewiele. W ostatnich latach odrodził się zwyczaj topienia Marzanny, ale ogranicza się do zabawy przedszkolaków i uczniów niższych klas szkoły podstawowej w pierwszych dniach kalendarzowej wiosny. Zakres zabawy i liczba uczestników zależy od inwencji organizatorów (przede wszystkim nauczycieli i wychowawców przedszkolnych) oraz od pogody. Przykład najnowszy, z roku 2011:

---

[25] *Po krakowsku na Kazimierzu*, DP z dn. 1.10.2003.

[26] O Marzannie zob. B. Ogrodowska, *Marzanna* [w:] *Eadem*, *Zwyczaje, obrzędy i tradycje...*, s. 112–114.

Wczoraj na przystani Krakowskiej Żeglugi Pasażerskiej kilkudziesięciu uczniów nadwiślańskich szkół wzięło udział w barwnym korowodzie oraz wspólnym topieniu marzanny. Jedną z najliczniejszych reprezentacji miała Szkoła Podstawowa nr 11 im. Józefa Dietla, która przygotowała aż cztery zimowe kukły. – „Dzieci włożyły wiele pracy i energii w przygotowanie marzanny. Już od kilku dni niecierpliwie czekały, aby przywitać wiosnę" – mówiła nauczycielka Agnieszka Plawecka. Wszystkie prace przygotowane przez uczniów przez najbliższe kilkanaście dni można podziwiać na wystawie zlokalizowanej na przystani. – „Nasza marzanna nie ma jednego zęba, gdyż uciekając przed wiosną, przewróciła się i sobie go wybiła" – żartował Kuba, uczeń klasy III[27].

Koniec zimy i początek wiosny można, jak się okazuje, świętować w rozmaity sposób, nie tylko topiąc Marzannę. Można sadzić hiacynty, przyrządzać surówki i sałatki, jak w Szkole Podstawowej nr 16, urządzać happening teatralny czy plener malarski.

Wszystko rozpocznie się o godzinie 12 od przemarszu, w którym wezmą udział uczniowie [z Zespołu Szkół Ogólnokształcących Integracyjnych nr 7 – R.K.] poprzebierani za dżdżownice, grzyby trujące, ważki czy zawilce. – „To będzie wyjątkowo radosne święto wiosny dla wszystkich mieszkańców Woli Duchackiej. Wiemy, że znalazły się pieniądze na nasz park [impreza odbyć się miała na miejscu, gdzie powstanie park dzielnicowy – R.K.], który jest nie tylko płucami całej dzielnicy, ale także miejscem spotkań, ostoją przedwojennej historii i tradycji" – opowiada współorganizator akcji Jarosław Gawlik. W programie przewidziany jest plener rzeźbiarsko-malarski, w którym udział zapowiedział także Andrzej Talkowski z kabaretu „Kuzyni", który wystąpi w klaunadzie wiosennej[28].

Powitaniem wiosny w Krakowie zajmuje się także, ni mniej, ni więcej... Stowarzyszenie Wiosna:

Wiosnę na Rynku Głównym, kwadrans po godzinie 14, obwieści sygnalista, grając „Wiosnę" Antoniego Vivaldiego. W ślad za nim mają pójść inni muzycy, rozproszeni po całym Rynku Głównym. Autorem takiego nietypowego pomysłu jest Stowarzyszenie Wiosna. – „Wiosna niesie radość, chcemy więc ją radośnie powitać. Nie bez powodu tak właśnie nazywa się nasze stowarzyszenie. Pomaganie daje ogromną radość i budzi do życia" – mówi ks. Jacek Wiosna Stryczek, prezes Stowarzyszenia Wiosna. Jak zapewniają organizatorzy, dzięki tak nietypowej akcji Kraków ma szansę stać się wiosenną stolicą Polski[29].

Czy tak będzie, pokaże czas. Inny pomysł na powitanie wiosny ma młodzież szkół średnich, jest nim Dzień Wagarowicza, budzący wiele kontrowersji i wątpliwości, zwłaszcza wśród wychowawców. „Spokojnie przebiegło wczorajsze święto wiosny i wagarów. Biura Prasowe małopolskiej Komendy Policji i krakowskiej straży miejskiej poinformowały, że obyło się bez ekscesów. Dyrektorowi Januszowi Szklarczykowi z kuratorium dzień minął spokojnie"[30]. Nie zawsze tak jest, często grupy agresywnej młodzieży, będącej pod wpływem alkoholu, a może i narkoty-

---

[27] *Dzieci wypędzały zimę*, DP z dn. 22.03.2011.

[28] *Tysiąc sposobów, by przywitać wiosnę*, DP z dn. 21.03.2011.

[29] *Ibidem*.

[30] *Nareszcie wiosna*, GK z dn. 22.03.2005.

ków, wywołują burdy. Z tego też względu pojawiła się w Nowej Hucie inicjatywa, aby Dzień Wagarowicza, ryzykowny dla porządku publicznego, choć spontaniczny i z gruntu ludyczny ze względu na zabawowy nastrój, zastąpić Dniem Krakusa:

> Konkurs twórczości, spektakle oparte na krakowskich legendach, chociaż po angielsku i twórcze wykorzystanie surowców wtórnych zaproponowało swoim uczniom Gimnazjum nr 44 na Wzgórzach Krzesławickich. W ten sposób zastąpiono tradycyjny Dzień Wagarowicza. Chociaż uczniowie spędzili go w szkole, na pewno był to milszy sposób niż zwykłe lekcje[31].

Przy całym zrozumieniu dla pomysłu nauczycieli, nie sądzę, aby zyskał on uznanie wśród młodzieży. Dzień Wagarowicza pełni bowiem funkcję karnawałową, jest chwilowym odrzuceniem zasad i reguł obowiązujących w życiu codziennym, ich odwróceniem[32]. Ma cechy i nastrój anarchistyczny, czyż zatem może być zastąpiony nawet najciekawszymi zajęciami szkolnymi?

Jak z powyższego widać, współczesne miejskie spektakle ludyczne w niewielkim stopniu nawiązują do wiosennej tradycyjnej obrzędowości miejskiej, podmiejskiej czy wiejskiej. Raczej dają się zauważyć próby powołania wiosennych spektakli, przede wszystkim adresowanych do dzieci i młodzieży, choć próby angażowania dorosłych (Stowarzyszenie Wiosna) też mają miejsce. Dziś nie wiadomo jeszcze, jaki będzie rezultat tych usiłowań.

Promocja stroju krakowskiego i krakowiaka: „Hej! Na krakowskim Rynku!" – Święto Stroju Krakowskiego

Czy tradycje kultury regionalnej tak dalece zostały zapomniane, że trzeba je przywracać i promować za pomocą efektownych ludycznych spektakli? Czy krakowski strój ulega zapomnieniu, podobnie jak jedna z jego istotniejszych części, krakuska? Czy warto przypominać, jak się niegdyś tańczyło krakowiaka? Byli o tym przekonani członkowie Towarzystwa Przyjaciół Kultury Ludowej, z którego inicjatywy zorganizowana została w roku 2000 impreza pod nazwą „Hej! Na krakowskim Rynku!". Organizatorzy oszacowali liczbę uczestników na 2 tys. Kolejne tego typu spotkanie odbyło się w roku 2009[33]. Jak się wydaje, w następnym roku wykrystalizował się podstawowy scenariusz i nazwa imprezy:

> Święto Stroju Krakowskiego odbyło się wczoraj na Rynku Głównym. – „Najważniejsze to kontynuować ideę. Trzeba robić wszystko, aby więź narodową i ludową połączyć ze współdziałaniem wsi i miasta" – podkreśla Bronisław Kurek, prezes Towarzystwa Przyjaciół Kultury Ludowej. W pierwszej edycji imprezy wzięło udział prawie pół tysiąca osób: dzieci przedszkolne, zespoły ludowe, koła gospodyń wiejskich i członkowie innych instytucji kultywujących zwyczaj noszenia stroju krakowskiego. Mogło być ich jeszcze więcej, ale część nie dotarła na święto z terenów dotkniętych powodzią. Uczestnicy prze-

---

[31] *Dzień Krakusa*, GK z dn. 22.03.2005.

[32] Zob. J. Minksztyn, *Elementy ludyczne w młodzieżowych obchodach Dnia Wagarowicza*, „Zabawy i Zabawki" 1999, R. 3, nr 1–4.

[33] Inf. według: *Będzie żywy wianek wokół Sukiennic*, DP z dn. 13.04.2011.

defilowali najpierw Plantami na Rynek Główny, gdzie wspólnie z zespołem „Krakowiacy" odśpiewali sztandarową pieśń święta: „Hej, na krakowskim Rynku!". Wystawiona została uroczysta warta przy płycie Tadeusza Kościuszki, a pod pomnikiem Adama Mickiewicza dzieci utworzyły „wianek krakowski" i zaprezentowały część artystyczną. Impreza zakończyła się przy płycie Stanisława Wyspiańskiego[34].

Kolejnym pomysłem Towarzystwa Przyjaciół Kultury Ludowej jest promocja krakuski. U podstaw działania towarzystwa, jak czytamy,

znalazły się słowa Jana Pawła II, które skierował do pielgrzymów w trakcie audiencji w Rzymie w 1985 roku. – „Papież powiedział wówczas: *dbajcie o kulturę ludową, bo to jest podstawa tożsamości narodowej.* Staramy się podtrzymywać to przesłanie, choć wiele osób wręcz wstydzi się nurtu ludowego w kulturze polskiej" – mówi Bronisław Kurek. Właśnie dlatego zrodził się pomysł, aby każdy krakowianin, który wybiera się na uroczystości beatyfikacyjne do Rzymu, przypiął sobie miniaturową krakuskę, która będzie symbolizować jedność mieszkańców naszego miasta w tak ważnym dniu. Krakuski są dostępne w wielu biurach podróży, a także w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Kultury Ludowej przy ul. Batorego 2. Kwota, za którą można je nabywać, jest symboliczna[35].

Z kolei 1 lipca 2011 roku na Małym Rynku odbył się festiwal „Krakowiak 2011", podczas którego każdy mógł wziąć udział w konkursie na wykonanie tego tańca. Na łamach „Dziennika Polskiego" zamieszczono przyspieszony kurs tańca, ilustrując go zdjęciami poszczególnych figur. Jednocześnie przypomniano, że krakowiak należy do korpusu tańców narodowych, obok mazura, poloneza, oberka i kujawiaka[36].

Towarzystwo Przyjaciół Kultury Ludowej ma jeszcze wiele pomysłów na promocję regionalnej kultury i przy okazji Krakowa.

[...] należy przystąpić do wyposażania przedszkoli w strój krakowski. – „Każdy, kto ma jakiś element stroju krakowskiego, niech go przekaże do najbliższego przedszkola lub przyniesie do siedziby naszego towarzystwa [...]. Zadbamy, by trafił we właściwe ręce" – deklaruje prezes Bronisław Kurek. Dodaje, że innym pomysłem, który zgłosił, jest rozdawanie małych czapek krakusek we wszystkich lokalach gastronomicznych w dniu święta „Hej! Na krakowskim Rynku!". Niestety, na jego apel odpowiedzieli zaledwie dwaj restauratorzy[37].

Zobaczymy, czy Święto Stroju Krakowskiego (zwane na łamach prasowych świętem „Hej! Na krakowskim Rynku!") zyska zainteresowanie krakowian i turystów, czy stanie się cyklicznym spektaklem ludycznym promującym kulturę regionalną i Kraków. Podobne pytanie można postawić w przypadku kolejnej próby reaktywowania i dostosowania tradycyjnego święta ludowego do oczekiwań współczesnych mieszkańców Krakowa.

---

[34] *Będzie żywy wianek wokół Sukiennic*, DP z dn. 13.06.2011.

[35] *Hej! Na krakowskim Rynku!*, DP z dn. 10.06.2011.

[36] *Ibidem*.

[37] *Ibidem*.

Święto Matki Boskiej Zielnej[38]

> Święto Matki Boskiej Zielnej – czytamy w notatce dziennikarskiej – rozpoczęło się w Krakowie rozdawaniem symbolicznych snopków ziół. Przed bazyliką Bożego Ciała, u Franciszkanów, u Dominikanów, u Karmelitów na Piasku już od 9 rano rozdawano małe bukieciki z wrotyczu, mięty, jarzębiny – części polskiego zielnika, pożytecznego ludziom, polecanego w tym dniu opiece Matki Boskiej. [...] Wczoraj snopki [lub raczej bukiety] niesiono także na plac Mariacki, gdzie Instytut Dziedzictwa przyjmował zgłoszenia do konkursu „Cudowna moc bukietów". Bukiety przynoszono indywidualnie i zbiorowo; wśród pierwszych, którzy zgłosili swoje kolorowe, pachnące dzieła, były koła gospodyń wiejskich z Wiśniowej i Kobielnik oraz Kapituła Sztandaru Kupców z Sukiennic. Wśród zgłaszających do konkursu swoje zielne bukiety dominowały – zgodnie z tradycją – panie, ale zdarzali się też panowie; nietradycyjnie, ale całkiem udanie. – „To święto jest tak bogate w znaczenia, że można je definiować bez końca – mówi Liliana Sonik, prezes zarządu Instytutu Dziedzictwa – Zaniedbane, a przecież takie, którym możemy się chwalić przed Europą. Jest świętem XXI wieku mówiącym o botanice, o ekologii, o potrzebie kontaktu ze światem prawdziwym, nie wirtualnym". Po poświęceniu bukietów [zgłoszono ich 95], zostały złożone przy estradzie na Małym Rynku i poddane oglądowi jurorów. [...] Naturalnym zwieńczeniem konkursu są nagrody. Czas oczekiwania na werdykt skracał skutecznie Loch Camelot. Jury po kilkakrotnym przejrzeniu 95 zgłoszonych na konkurs uznało, że I nagrodę otrzymuje Koło Gospodyń Wiejskich ze Sławkowic, II – Katarzyna Trojanowska z Krakowa, III – Bronisława Stelmach z Wiśniowej. Przyznano ponadto 31 wyróżnień[39].

Impreza udała się nie najgorzej, przede wszystkim dopisała pogoda. Niestety, organizator – Instytut Dziedzictwa – raczej mało w Krakowie znany ze swojej działalności, nie zadbał o udział w jury choćby jednego etnografa, co jakże słusznie wytknął autor cytowanej we fragmentach relacji.

Święto Chochoła w Rydlówce

Do zestawu ludycznych spektakli związanych z miejskimi i ludowymi zwyczajami zdecydowałem się wprowadzić również spektakl znany jako Święto Chochoła, kameralny, niemal rodzinny, bardzo jednak oryginalny, wspierający się raczej na tradycji literackiej niż jakiejkolwiek innej, lecz przecież związany z Krakowem i Kraków promujący.

> Właśnie mija 106. rocznica ślubu Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny. Z tej okazji w „Rydlówce" przy ulicy Tetmajera 28 w Krakowie odbyło się wczoraj doroczne Święto Chochoła, podczas którego bronowickie dzieci otuliły słomą krzew róży [...]. Tradycja osadzania chochoła sięga 1969 r., kiedy to w dworku, w którym odbywała się zabawa weselna Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny, utworzono Muzeum Młodej Polski [...]. Nie obyło się też wczoraj bez programu artystycznego, a na koniec uroczystości – jak każe tradycja – uraczono gości kołaczem weselnym i herbatą z rumem[40].

---

[38] Zob. ks. W. Smoleń, *Uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny*, [w:] *Idem*, *Ilustracje świąt kościelnych w polskiej sztuce*, Lublin 1987, s. 237–245.

[39] *Snopki na Wniebowzięcie*, DP z dn. 16.08.2011.

[40] *Z mgły i widziadeł*, DP z dn. 21.11.2006. Spektakl ten zaliczam do miejskich ze względu na jego literacką, związaną z miastem proweniencję.

Spektakle luźno związane z miastem, choć nie bez znaczenia dla jego promocji

W tej kategorii pomieszczone zostały, przypominam, spektakle, które nie mają wyraźnej proweniencji krakowskiej (miejskiej czy regionalnej), co nie znaczy, że nie mogą z czasem stać się specyficznie krakowskie czy z Krakowem jednoznacznie łączone. Należą do nich m.in. Wigilia na Rynku (także Wigilia w Nowej Hucie), festiwale pierogów, zup, chleba, ziemniaka, miodu itp. Imprezy tego rodzaju właściwie mogłyby się odbywać w innych miastach, co istotnie się zdarza, niekiedy – co warto odnotować – z krakowskiej inspiracji.

Wigilia na Rynku. „Największa Wigilia w Europie". Wigilia w Nowej Hucie

Wigilia na Rynku Głównym w Krakowie odbywa się od pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Połączona jest ze śpiewaniem kolęd i choć w tym spektaklu pojawia się wyraźny element powagi, to i element zabawy jest także obecny, choćby poprzez świąteczny wystrój Rynku, liczne kramy, stoiska z gorącą strawą – i ogólnie zabawowy nastrój uczestników i obserwatorów. Daje się to odczuć w relacjach prasowych.

> Sto tysięcy pierogów, 8 kotłów kapusty z grochem, tysiące litrów zupy grzybowej – to menu wigilii dla ubogich, która rozpocznie się w najbliższą niedzielę w południe w Rynku. Kucharze z restauracji „Chłopskie Jadło" pracują pełną parą, by zdążyć z przyrządzaniem posiłków [...]. Wypożyczone przez wojsko kotły z wigilijnymi potrawami staną tradycyjnie między pomnikiem Adama Mickiewicza a kościołem św. Wojciecha. Organizowana po raz szósty akcja charytatywna ma umożliwić najuboższym spotkanie przy świątecznym stole, połamanie się opłatkiem i zjedzenie ciepłego posiłku. Doświadczenie poprzednich lat wskazuje, że w kolejce po pierogi, kapustę czy zupę grzybową ustawiają się nie tylko ubodzy, ale także panie w futrach i panowie w nienagannie skrojonych płaszczach [...]. Swoją pomoc i udział w wigilii zapowiedzieli, jak co roku, przedstawiciele środowiska artystycznego i sportowego. Na Rynku pojawi się też ksiądz kardynał Franciszek Macharski i prezydent Krakowa, który sprawuje honorowy patronat nad tym charytatywnym przedsięwzięciem. Wigilia rozpocznie się w niedzielne południe, a wydawanie potraw potrwa do wieczora[41].

Jestem przekonany, że owe panie w futrach i panowie w nienagannie skrojonych płaszczach są znaczącym elementem ludycznym w poważnym z założenia spektaklu, spektaklu wyrażającym ideę działań charytatywnych na rzecz wykluczonych z dobrodziejstw społeczeństwa konsumpcyjnego.

Można uznać, że popołudniowe, masowe śpiewanie kolęd na krakowskim Rynku w nierozerwalny sposób wiąże się z coroczną wigilią.

> Po południu atmosfera świąteczna udzieliła się tysiącom krakowian śpiewającym kolędy po drugiej stronie Sukiennic, przy Ratuszu. Tysiące śpiewników zniknęło natychmiast,

[41] *Opłatek w Rynku*, GK z dn. 16.12.2004.

ale wiele osób miało nasze „Dziennikowe", z sobotniego wydania. Prowadzący tę lekcję śpiewania Waldemar Romanowski i Kazimierz Madej oraz aktorzy Lochu Camelot mieli więc ogromne wsparcie w postaci chóru zgromadzonego na Rynku. Wielokrotnie zdarzało się też, że ochotnicy zgłaszali się, aby z estrady solo pokazać swój talent muzyczny. A śpiewano nie tylko kolędy znane, ale także pastorałki staropolskie[42].

W roku 2007 Zarząd Dzielnicy XVIII oraz Miejski Ośrodek Opieki Społecznej z partnerami: Ośrodkiem Kultury Kraków – Nowa Huta i Strażą Miejską, zorganizowali pierwszą „nowohucką wigilię", nadając jej znacznie bardziej ludyczny charakter, niż ma wcześniej omawiana, krakowska.

Po raz czwarty mieszkańcy Nowej Huty spotkali się w alei Róż na pięknie przystrojonym placu, aby wspólnie kolędować i podzielić się opłatkiem. – „Niechaj spełniają się marzenia i nadzieje, które niosą z sobą Święta Bożego Narodzenia i nadchodzący Nowy Rok" – życzyła kierowniczka Elżbieta Matuzik z Miejskiego Ośrodka Opieki Społecznej. Specjalnie na tę okoliczność nowohuccy restauratorzy przygotowali tradycyjne potrawy wigilijne – ponad 3 tysiące porcji. W menu znalazły się m.in. bigos, kluski z makiem, kapusta z grzybami, żur, barszcz, łazanki i pierogi. Można było także kupić ręcznie wykonane ozdoby świąteczne oraz posłuchać muzyki. Na scenie wystąpił Hamernik, zespół góralski, który od 1983 roku działa w Nowohuckim Centrum Kultury [...] oraz zespół Joker, który wywodzi się z Nowej Huty. Najmłodsi dostali słodki upominek od Świętego Mikołaja[43].

Jak łatwo można zauważyć, wigilia w Nowej Hucie to raczej zabawowe spotkanie przedświąteczne, okazja do integrowania się mieszkańców tej dzielnicy, gdy tymczasem Wigilia na Rynku to akt charytatywny, niepozbawiony jednak wydźwięku ludycznego.

W Krakowie zaczyna się upowszechniać nowy zwyczaj, „wielkanocne stoły dla gości i ubogich", choć nie ma on jeszcze takiej popularności, jak wigilie pod gołym niebem.

Kupcy z największych krakowskich placów targowych zapraszają na święcenie koszyczków wielkanocnych. Na Nowym Kleparzu, pod figurką Matki Bożej ks. prałat Jan Czyrek poświęci potrawy w sobotę o godz. 10. – „Dla bezdomnych i potrzebujących przygotowaliśmy paczki z żywnością, poczęstujemy ich również na placu wspaniałą grochówką" – informuje Zenon Baran, Prezes Spółki Kupieckiej Nowy Kleparz – „Dziś zawozimy również żywność, owoce i słodycze do Domu Opieki Społecznej dla dzieci głęboko upośledzonych [...]". Na Starym Kleparzu święcenie wielkanocnych stołów odbędzie się w sobotę o godz. 10.30. Kupcy z placu przygotują ponad tysiąc jajek, pół tony wędlin, tonę owoców i pieczywa. [...][44].

Można tu dodać nawiasem, że na dorocznych Targach Wielkanocnych – o imprezie tej wcześniej jedynie wspomniałem – mają miejsce podobne przedsięwzięcia:

W sobotę o godz. 12 świąteczne stoły na Targach Wielkanocnych poświęci ks. inf. Bronisław Fidelus. Aż do godz. 15 krakowianie i turyści będą mogli podziwiać pokaz wielka-

[42] *Jedli i śpiewali*, DP z dn. 22.12.2004.

[43] *Nowohucka wigilia w alei Róż*, DP z dn. 21.12.2010.

[44] M. Satała, *Wielkanocne stoły dla gości i ubogich*, GK z dn. 9.04.2009.

nocnych stołów regionalnych, które pod kierunkiem instruktorów z Małopolskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego przygotują panie z Kół Gospodyń Wiejskich. Dla bezdomnych i potrzebujących przygotowanych zostanie 700 porcji świątecznego poczęstunku ze śledziami, jajkami, wędlinami i owocami[45].

Międzynarodowy Festiwal Zup

Festiwale zup, pierogów, chleba, Małopolski Festiwal Smaku i wiele innych, podobnych imprez, na których prezentowane są mniej lub bardziej „tradycyjne", „krakowskie" czy „polskie" – a także innych regionów i narodów – potrawy, to niewątpliwie, pomijając inne przyczyny, reakcja na zalew pożywienia typu fast food[46]. Powrót do „tradycyjnych" potraw ma często spektakularny i ludyczny charakter. Oto kilka przykładów:

a) Tatarskie kibiny, kulebiaczki, krokiety, z kapustą, a nawet ze szpinakiem, cepeliny w kształcie sterowców, ukraińskie czebureki, specjały meksykańskie i senegalskie, to tylko drobny ułamek tego, co pojawiło się w weekend na Małym Rynku na IV Festiwalu Pierogów [...]. Festiwal Pierogów, impreza głośna, z muzyką i z gruntu wesoła (ci, którzy lubią jeść, nie mogą być przecież ponurakami) to atrakcja przede wszystkim turystyczna – na Małym Rynku rozlegały się słowa włoskie, angielskie, niemieckie, nie brakło Duńczyków czy Holendrów [...][47].

Impreza wesoła, głośna, atrakcyjna, dla turystów... słowem, doskonała promocja wesołego, gościnnego miasta. A że pierogi niekoniecznie tradycyjne, raczej będące wynikiem „postmodernistycznej" inwencji kucharzy, jakie to ma znaczenie.

b) Zupa pomarańczowa z marchewką wykonana przez kucharzy „Flower Power" wygrała w IV Międzynarodowym Festiwalu Zupy. Jurorzy ocenili 27 zup [...]. Przy każdym ze stoisk wydających zupę ustawiały się kilometrowe kolejki. Każdy mógł skosztować płynnych frykasów. Były zupy polskie i egzotyczne, np. zupa syczuańska, cukiniowa czy chmielowa. – „Nie tyle o zupy chodziło, ile o atmosferę i wspaniałą zabawę" – zapewniał Jerzy Zoń, dyrektor Teatru KTO, który współorganizował festiwal. Gorącą atmosferę na placu Nowym umiejętnie podgrzewały występy zespołów artystycznych [...]. Szampańska zabawa na placu Nowym i okolicznych ulicach trwała do białego rana. Do późna świętował pub „Flower Power" – zwycięzca festiwalu. Przed jego wejściem ustawiono kabriolet pomalowany w kwiaty. Tańczyli przy nim chętni na marchewkowe frykasy[48].

Rzecz jasna, spektakle, ten i inne do niego podobne, mają równie silny wymiar ludyczny, jak i komercyjny.

c) Przez dwa dni trwało w Krakowie, na placu Wolnica, zorganizowane po raz pierwszy Święto Chleba. W Krakowie – bardzo na swoim miejscu zważywszy, że tu właśnie jest

[45] *Ibidem*.

[46] Zob. J. Burszta, W. Kuligowski, *Sequel. Dalsze przygody kultury w globalnym świecie*, Warszawa 2005, rozdz. *Fast food, slow food, smalec babuni*, s. 88–123.

[47] M. Frenkel, *Wiśniowe z makiem*, GK z dn. 14.08.2006.

[48] *Egzotyczna najlepsza*, GK z dn. 23.05.2005.

najstarszy Cech Piekarzy, założony w pierwszej ćwierci XIII stulecia. Święto, pierwsze, ale nie ostatnie, ma być doroczne – zorganizowane zostało przez Ogólnopolskie Porozumienie Piekarzy, Cech Rzemiosł Spożywczych w Krakowie, Stowarzyszenie Rzemieślników Piekarstwa RP, Polską Izbę Produktów Regionalnych i Lokalnych. Na Wolnicy przez dwa dni najważniejszy był chleb. Krakowscy i małopolscy piekarze (była nawet piekarnia z Zakopanego) pokazali, że w praktyce harmonijnie łączą stare z nowym, a liczba odmian i smaków chleba była imponująca [...]. Było „żywe" stoisko jedynego w Polsce Muzeum Chleba [...]. Święto dobiegło końca, ale w Muzeum Etnograficznym przy pl. Wolnica jeszcze przez całe wakacje można oglądać wystawę eksponatów z Muzeum Chleba w Radzionkowie i przejść „drogą chleba" przez stałą ekspozycję muzealną[49].

Warto zwrócić uwagę na ton relacji, impreza bardzo podobna do poprzednio opisanych, ale potraktowana poważniej, wszak chleb to nie pierogi czy zupa!

d) Miód prosto z pasieki, zabytkowe ule, prezentacja hodowli pszczół – to atrakcje, jakie zapowiadają organizatorzy, zapraszając na jutrzejsze Dożynki Pszczelarskie. Między 9.30 a 19.30 na placu Wolnica trwać będzie kiermasz produktów pszczelich. Kupić będzie można różnego rodzaju miody bezpośrednio od pszczelarzy, a wcześniej będzie możliwość spróbowania tych smakołyków. Przygotowano także wystawę zabytkowych uli figuralnych. Właściciele pasiek prezentować będą sprzęt pszczelarski oraz hodowle pszczół. Między godz. 10.30 a 17.30 zapowiedziano również pogadanki na temat roli pszczół w przyrodzie, produktów pszczelich i apiterapii. Imprezę urozmaicą występy artystyczne, m.in. orkiestry dętej z Budzowa. Jubileuszowe, dziesiąte już spotkanie pszczelarzy rozpocznie o godz. 9.30 uroczysta ceremonia pasowania na pszczelarzy nowych członków Koła Śródmieście i Krowodrza. O godz. 11 odbędzie się msza święta w kościele św. Katarzyny. Po mszy poczty sztandarowe przemaszerują przez plac Wolnica[50].

Jak łatwo zauważyć, organizatorzy tego spektaklu w bardzo przemyślany sposób połączyli powagę z zabawą, z pewną jednak preferencją powagi.

Wielkie dzisiejsze zainteresowanie pożywieniem (regionalnym, polskim narodowym, innych narodów) jest w pełni zrozumiałe. Wszak, jak pisze wybitna badaczka tej problematyki: „Smak łączy nas z przeszłością. Poprzez doznania smakowe dociera do naszej świadomości świat zewnętrzny, który zapamiętujemy często jako element rodzimej kultury, z którym identyfikujemy się po latach i za którym tęsknimy na obczyźnie"[51]. Równie często poznajemy i identyfikujemy obce kultury poprzez doznania smakowe.

Warto jednak zauważyć, że współczesne odwoływanie się do tradycyjnej kuchni chłopskiej, zwanej najczęściej regionalną, do jej jakoby wielkiej rozmaitości i bogactwa smakowego, jest w znacznym stopniu przekłamaniem. Kuchnia ta aż do czasów najnowszych była niezwykle skromna i monotonna, typowa dla społeczeństw ubóstwa[52]. To, co dziś nazywa się kuchnią regionalną czy ludową, najczęściej z egzysten-

---

[49] *Małopolski smak*, DP z dn. 28.06.2004.

[50] *Święto pszczelarzy*, DP z dn. 6.09.2003.

[51] Z. Szromba-Rysowa, *Smak potraw w aspekcie tożsamości kulturowej*, „Małopolska. Regiony – regionalizmy – małe ojczyzny", t. 5, Kraków 2003, s. 151.

[52] Zob. np. A. Brencz, *Chłopskie jadło*, [w:] *W kuchni i za stołem. Dystanse i przenikanie kultur*, Gdańsk 2003, s. 136–144.

cją i kulturą ludu ma niewiele związków. To zespół współczesnej, przyznać trzeba, że niemałej, inwencji kucharzy, stymulowanej komercją (*vide* niezliczone „regionalne" karczmy i restauracje). Zastrzeżenia mogą budzić również inne kuchnie: mieszczańska, polska narodowa, także innych narodów; wiele w nich pomysłów całkowicie współczesnych oraz współczesnych składników w przeszłości nieznanych bądź nieużywanych.

Ludyczne spektakle patriotyczne

Istnieje przekonanie, że Polacy nie potrafią w ludycznym nastroju, w nastroju radości i zabawy świętować rocznic patriotycznych, świąt narodowych, z których nie wszystkie przecież wiążą się z dramatycznymi klęskami, z nieudanymi powstaniami czy martyrologią narodu. „Polacy – twierdzi Anna Zadrożyńska, jedna z nielicznych badaczy zajmujących się kwestiami ludycznymi – nie mają tradycji uroczystego i radosnego obchodzenia świąt narodowych. Zbyt długo byliśmy najpierw pod zaborami, a potem pod sowiecką kuratelą"[53].

Z takimi poglądami można polemizować, podając przykłady uroczystości patriotycznych z dużym ładunkiem ludyczności, które miały miejsce na przykład w Rzeczpospolitej Krakowskiej czy w zaborze austriackim, w okresie autonomii (jakże dobitnym przykładem są obchody rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem w 1910 roku w Krakowie!)[54]. Nie o polemiki jednak idzie, a o zmianę współczesnej sytuacji, o przełamanie braku zainteresowania Polaków świętowaniem patriotycznym, o uczynienie tych świąt dniami radości i wesela, o wplecenie ich w sensownie prowadzoną edukację historyczno-patriotyczną. Przykłady tego rodzaju działań, mających znaczący wymiar ludyczny, podaję poniżej.

a)

Patriotyczny tramwaj.

> „Mazurek Dąbrowskiego", „Rota", „Marsz Polonia", „Pierwsza Brygada", „Hej, hej ułani" i inne patriotyczne pieśni rozbrzmiewały w tramwaju, który kursował wokół Plant. Młodzież rozdawała krakowianom śpiewniki i biało-czerwone chorągiewki. Była to 15. edycja akcji „Młodzież pamięta", organizowanej w Małopolsce od 2002 r., zawsze w czasie obchodów Święta Konstytucji 3 Maja i Święta Niepodległości. Już od rana uczniowie krakowskich gimnazjów i liceów spacerowali po Starym Mieście, rozdając mieszkańcom polskie flagi, śpiewniki z utworami patriotycznymi, ulotki o 91. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości [...]55.

W relacji z tej cyklicznej imprezy, z roku 2010, czytamy:

---

[53] Podaję za: W. Knap, *Polskie świętowanie*, DP z dn. 10.11.2005.

[54] Zob. I. Kleszczowa, *Ceremonie i parady w porozbiorowym Krakowie 1796–1815*, Kraków 1999; R. Kantor, *Kalejdoskop krakowski. Gawędy o Krakowie, krakowianach i ich zwyczajach*, Kraków–Toruń 1996.

[55] *Młodzież pamięta o patriotyzmie*, DP z dn. 12.11.2009.

Swym zasięgiem akcja obejmuje całe województwo małopolskie, na terenie którego rozdane zostanie ok. 90 tysięcy materiałów. – „[...] będziemy rozdawać chorągiewki m.in. w Urzędzie Wojewódzkim i Urzędzie Miasta. Chcemy przypomnieć także urzędnikom i samorządowcom, jak ważne jest promowanie świąt narodowych wśród mieszkańców”[56].

W istocie problemem jest nie tyle promowanie świąt, ile atrakcyjność owej promocji we współczesnym społeczeństwie konsumpcyjnym. Dotyczy to również Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, święta obchodzonego od 2004 roku.

b)

Biało-czerwone flagi oraz śpiewniki z utworami patriotycznymi rozdawali w piątek przechodniom na Rynku Głównym młodzi ludzie z Centrum Młodzieży im. dra H. Jordana. Przy kościółku św. Wojciecha – bo tam właśnie odbyła się akcja – kłębił się tłum. Nie wszystkich udało się zadowolić, bo flag było znacznie mniej niż chętnych: kilkadziesiąt sztuk [...][57].

Mam wrażenie, że istnieje wiele możliwości uatrakcyjnienia świętowania uroczystości patriotycznych, zwłaszcza tych nowych. Nie wątpię, że zostaną one wcześniej czy później zrealizowane. Duże nadzieje mogą budzić, w tym względzie, gry miejskie, zwane też niekiedy terenowymi. Są one coraz bardziej popularne nie tylko w Polsce, łączą w sobie elementy gier fabularnych, przeprowadzanych w terenie, z atrakcjami harcerskich podchodów. Można im nadawać charakter lekcji w plenerze, co bardzo nęci nauczycieli.

c)

Jeszcze tylko dziś szkoły mogą zgłaszać chęć udziału w grze terenowej pt. „Śladami Niepodległości”. Gra odbędzie się jutro, uczestniczyć w niej będzie kilkuset uczniów krakowskich podstawówek i gimnazjów. Grę terenową [...] zorganizowały [...] III Społeczne LO, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa i MDK „Dom Harcerza”. [...] jutro uczniowie – ubrani w stroje z elementami patriotycznymi – wybiorą się wraz z opiekunami na spacer po Krakowie, podczas którego będą poznawać miejsca związane z okresem, kiedy to Polska odzyskiwała niepodległość. W każdym z tych miejsc na młodych ludzi będą czekać różne zadania, a na koniec trzeba będzie jeszcze napisać test z wiedzy zdobytej podczas gry. Dla najlepszych drużyn i szkół przewidziano nagrody; uczniowie będą też mogli walczyć o nagrody także indywidualne, pisząc artykuł – reportaż z przebiegu gry[58].

Ta gra nie wydaje mi się zbyt atrakcyjna, zanadto przypomina lekcję. Inaczej było w kolejnym wspomnianym tu spektaklu.

d)

W niedzielę o godz. 12 na alei Róż odbyła się gra terenowa „Uwolnij sztandar!”. Młodzież przemierzała ulice Nowej Huty, wykonując specjalne zadania. Imprezę zorganizowało Muzeum PRL-u w Krakowie. Zbiegła się ona z uroczystością złożenia kwiatów pod pomnikiem Solidarności przy placu Centralnym, w której wzięli udział m.in. uczniowie nowohuckich

---

[56] *Młodzież da przykład jak pamiętać*, DP z dn. 29.04.2010.

[57] *Święto polskiej flagi*, DP z dn. 5.05.2000.

[58] *W poszukiwaniu śladów niepodległości*, DP z dn. 9.11.2009.

szkół, byli i obecni członkowie „Solidarności". [...] W grze wzięło udział piętnaście 2–4-osobowych drużyn. Uczestnicy zabawy musieli m.in. sprawdzić, o której odjeżdża pociąg do Gdańska oraz tak powiesić ogłoszenie informujące o mszy św., żeby nie przyuważył tego patrol milicji. Wszystko odbywało się w obłokach świec dymnych, wśród głośnego huku petard i okrzyków zomowców, którzy uganiali się z pałkami za uczestnikami gry. Teren, na którym odbywała się zabawa, patrolowało nawet kilka milicyjnych wozów[59].

W przytoczonej relacji padło określenie zabawa, rzeczywiście idzie o to, aby to była zabawa, nie lekcja, choć oczywiście nie zaprzeczam, że gry miejskie posiadają również wymiar dydaktyczny, którego jednak nie należy przeceniać. O tej kwestii wspomnę jeszcze w rozdz. V i VI.

e)

Patriotycznie na wesoło i bez pompy.

Tłum na krakowskim Rynku Głównym gęstniał już znacznie przed godz. 19, dowodząc raz jeszcze, że lekcje śpiewania to znakomity pomysł. Wczorajsza była wszak już trzydziestą, i kolejną wypełnioną pieśniami i piosenkami związanymi z wymarszem Pierwszej Kadrowej z Krakowa. Był zatem historyczny repertuar, m.in. „My, Pierwsza Brygada", „Przybyli ułani", „Stoi ułan na widecie" i wiele innych, bo wykonano 29 piosenek. Odnaleźć je można było w przygotowanych jak zawsze śpiewnikach; i raz jeszcze 3,5-tysięczny nakład okazał się rarytasem. A że lekcje te ich twórcy Waldemar Domański i Kazimierz Madej, szef kabaretu Loch Camelot, od początku traktują jako spotkania rodzinne, zatem po „Kadrówce" pierwszy z panów zaproponował zebranym, by się po sąsiedzku wzajemnie przedstawiali i przeszli na ty. Najliczniejsze prawdziwe rodziny zostały wczoraj nagrodzone pięknymi oleandrami, kwiatami jakże wpisanymi w tę tradycję. Prezentów, jak na lekcję jubileuszową przystało, było znacznie więcej. Osoby, które odważyły się wejść na estradę i śpiewać z artystami Lochu, w nagrodę odbierały zestaw złożony z koszulki (na niej logo Biblioteki Piosenki Polskiej i hasło „Patriotyzm nie musi być cierpieniem"), które od początku lansuje Waldemar Domański, dwóch płyt [...] i jeszcze kwartalnika „Piosenka". [...] Kolejny też raz okazało się, że krakowskie lekcje przyciągają wiele osób spoza Krakowa; gdy Kazimierz Madej zapytał wczoraj o to, skąd przybyli goście, wymieniano miejscowości od Olsztyna, poprzez Toruń i Piłę, po Lublin[60].

Niezwykła popularność wspólnych śpiewów na Rynku Głównym, nie tylko patriotycznych, ale również odbywających się przy innych okazjach, pokazuje, jak wielkie znaczenie dla łączenia ludzi ma śpiew. Śpiew – rodzaj ludzkiej aktywności, dający radość i integrujący, łączący uczestników, ludyczny w swej istocie.

Spektakle kurioza

Do kategorii tej zaliczam imprezy, które na ogół nie mają żadnego związku z tradycjami Krakowa, czy dziedzictwem regionu krakowskiego, nie mają też innych ambicji niż dostarczanie zabawy i rozrywki. Nazwanie ich kuriozami nie jest w żad-

---

[59] *Uwolnij sztandar w rocznicę stanu wojennego*, DP z dn. 14.12.2009.

[60] *Patriotyzm nie musi być cierpieniem*, DP z dn. 6.08.2008.

nym przypadku oceną, pełnią one – czemu zaprzeczyć się nie da – rolę integrującą zbiorowość, spełniają niebagatelną funkcję ludyczną, a ponadto – choć raczej mimowolnie, bez intencji ich organizatorów – w jakimś stopniu promują miasto, choć promocja ta bywa uznawana niekiedy za dwuznaczną. Zaliczam do tego typu spektakli m.in. Mistrzostwa Krakowa w Jedzeniu Pączków, Krakowski Bieg z Jajami Dookoła Ratusza, Doroczny Marsz Jamników, Zjazd Krystyn, Jadwig, Jerzyków, Michałów i Twardowskich, Zjazd Modrzaków, Bitwę na Poduszki. Przykładami zilustruję jedynie kilka z nich.

Mistrzostwa Krakowa w Jedzeniu Pączków

Spektakl ten ma, w stopniu o wiele większym niż wszystkie opisywane wcześniej, charakter medialny. Wymyślony został przez „Gazetę Krakowską" w 2004 roku, a zorganizowany wspólnie z krakowskimi restauracjami „Hawełki", później z „Wierzynkiem". Przez wiele dni przed Tłustym Czwartkiem – w dniu tym odbywa się konkurs – „Gazeta Krakowska" poświęca mu wiele miejsca na swoich łamach.

> Dziś jest ostatnia szansa – czytamy – na telefoniczne zgłoszenie się do udziału w III Mistrzostwach Krakowa w jedzeniu pączków na czas [...]. Mistrzostwa w pożeraniu pączków na czas wzbudzają coraz większe zainteresowanie. W poniedziałek podamy skład zawodników, którzy wystartują w konkursie. Do dyspozycji zawodnicy będą mieć tylko pięć minut [...]. Czekamy więc jeszcze dziś na zgłoszenia[61].

Nastał wreszcie wielki dzień, a oto relacja z wydarzenia:

> Rekord w jedzeniu pączków na czas nie został pobity. Marek Ungar, który wygrał III Mistrzostwa Krakowa w jedzeniu pączków na czas, zjadł ich 11, a więc tyle co triumfator sprzed roku. Niespodziankę sprawiła Barbara Kowal, która uporała się z 9 pączkami. Na starcie stanęło 13 zawodników, w tym pięć kobiet. Krzysztof Daniel, hejnalista z wieży Mariackiej oznajmił początek zawodów. Uczestnicy zaczęli pożerać pączki, dopingowali ich jurorzy [...]. Panikę wywołał Łukasz Grzymalski, który zakrztusił się pączkiem, ale obeszło się bez interwencji lekarskiej (pomoc medyczna była na miejscu). Marek Ungar odebrał nagrodę – zaproszenie na kolację do Wierzynka – pozostali uczestnicy – albumy[62].

Spektakl zyskuje popularność, stał się już imprezą doroczną, pojawiły się w prasie głosy, że jest imprezą „tradycyjną".

Krakowski Bieg z Jajami

Kolejnym przykładem spektaklu, także zaproponowanego przez „Gazetę Krakowską" i równie ludycznego z założenia, jest Krakowski Bieg z Jajami, będący fragmentem większego spektaklu, jakim są Targi Wielkanocne, odbywające się corocznie na Rynku Głównym w Krakowie. Nagrody fundują kupcy uczestniczący w targach.

---

[61] *Pożeracze pączków – czekamy*, GK z dn. 17.02.2006.

[62] *Pączkowi mistrzowie*, GK z dn. 24.02.2006.

Oto krótka relacja z pierwszego biegu:

> Baliśmy się, że będzie gorzej. Że mało kto z uczestników wyścigu dobiegnie do mety z całymi jajami. Ale nie było tak źle, choć komisja sędziowska, rozstawiona na śliskiej od padającego deszczu trasie, zdyskwalifikowała wszystkich, którzy jajka przytrzymywali palcami [...]. Na starcie „dorosłego" biegu stanęło 40 zawodników. Zaledwie jedna trzecia przybiegła na metę z całymi jajami. Pozostali porozbijali je, zwłaszcza że tuż przed metą organizatorzy przygotowali pułapkę – trzeba było pokonać ratuszowe schody [...]. Pierwszy bieg z jajami przeszedł do historii. Za rok zapraszamy na następny[63].

Totalny wygłup? Nie, po prostu czysta ludyczność z Krakowem w tle. Na pierwszej relacjonowanej imprezie „pojawił się" hejnał mariacki, oznajmiający początek biegu, na drugiej rozdawano krakowskie obwarzanki, pisanki, a rzecz działa się na krakowskim Rynku, w okolicach Ratusza.

Bitwa na poduszki

Może być jeszcze weselej, bardziej ludycznie.

> Ponad 1000 osób walczyło na poduszki na Rynku Głównym; podobnie było w ponad stu miastach na całym świecie w związku ze Światowym Dniem Bitwy na Poduszki (*Word Pillow Fight Day*). W okolicach pomnika Adama Mickiewicza zebrały się drużyny. W składzie przeważali studenci, każda grupa wystąpiła w ustalonych barwach. – „Jagielloński, już do książki" – krzyczeli studenci w czarnych koszulach (AGH). – „AGH do kopalni" – odpowiadał tłum w bieli (UJ). Słychać było jeszcze Uniwersytet Rolniczy, Politechnikę Krakowską i Uniwersytet Ekonomiczny. Oficjalnie walka trwała około kwadransa, ale spore grupy osób niedobitych walczyły dalej. – „Zabawa była świetna" – powiedziała Aneta z grupy czerwonych (UR). – „Cudownie się odstresowałem" – przyznał Grzesiek w białym kitlu (Collegium Medium UJ)[64].

Jeszcze lepiej opisuje ludyczny nastrój owej bitwy inna relacja:

> Morze falujących poduszek, wszechobecne pierze, tłum gapiów, uczucie uderzenia kogoś miękkim pociskiem – bezcenne. Tak w skrócie można opisać walkę poduszkową, do jakiej doszło w sobotę na krakowskim Rynku. Na placu boju stanęli naprzeciw siebie studenci trzech uczelni: Akademii Górniczo-Hutniczej, Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Uniwersytetu Ekonomicznego. Starli się z sobą w wielkiej bezkrwawej walce, zakończonej stratą wielu poduszek. Następnie ci, co w boju polegli, skwapliwie leczyli swe rany w pobliskich pubach. Zobacz, jak walczyli z sobą krakowscy żacy [tu 6 zdjęć obrazujących imprezę – R.K.][65].

Przyznaję, tego rodzaju spektakle szczególnie mnie urzekają; jest w nich najistotniejsza, ale jakże rzadko widywana cecha: spontaniczność i całkowita bezinteresowność zabawy. Zabawa dla zabawy! Ale takie zabawy raczej rzadko mają charakter

---

63 M. Satała, *Wkoło Ratusza*, GK z dn. 8.04.2004.

64 *Bitwa na poduszki*, DP z dn. 6.04.2009.

65 D. Serafin, *Poduchowa bitwa studentów o Kraków*, GK z dn. 6.04.2009.

cykliczny, spontaniczność trudno ująć w takie ramy. Stąd też pojawiają się jakby nieoczekiwanie, znienacka, zadziwiają i znikają! W istocie dobrą zabawę należy organizować, a najlepiej łączyć z jakimś szlachetnym celem.

Zwierzęta przed kościołem

> Na najbliższą niedzielę – czytamy w prasowej notatce – zaplanowano nabożeństwo w intencji opiekunów zwierząt; rozpocznie się o godz. 13.30 na placu przed kościołem oo. Bernardynów przy ul. Bernardyńskiej. Krakowskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami zaprasza wszystkich właścicieli zwierząt ze swoimi podopiecznymi, w tym także dorożkarzy z końmi. Takie nabożeństwa odbywają się w Krakowie od kilkunastu lat, ale tylko raz w roku – w Miesiącu Dobroci dla Zwierząt – w niedzielę bliską dniu wspomnienia św. Franciszka z Asyżu [...] można przyjść nie tylko w towarzystwie psa i kota, ale z dowolnym „małym przyjacielem"; w minionych latach przynoszono m.in. chomiki, świnki morskie, szynszyle, oswojone myszki i szczury, a nawet patyczaki[66].

Nie da się zaprzeczyć, że owo nabożeństwo, przy całym szacunku dla powagi *sacrum*, dostarczało wielu doznań dalekich od powagi. W roku 2011, jak mi się wydaje, wzięto pod uwagę ludyczny wymiar imprezy:

> W najbliższą niedzielę zaplanowano nabożeństwo w intencji opiekunów zwierząt; rozpocznie się o godz. 11 na placu Szczepańskim. Po nim odbędzie się m.in. charytatywny Piknik Rodzinny „Podaj łapę". [...] – „W minionych latach [nabożeństwa odbywały się] na dziedzińcu kościoła oo. Bernardynów, ale tym razem zaplanowaliśmy je w nietypowym miejscu, na placu Szczepańskim – mówi Jadwiga Osuchowa, prezes Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – To większy, otwarty teren, a my zaplanowaliśmy w tym roku także inne działania – ma to być święto zwierząt w Miesiącu Dobroci dla Zwierząt". [...] W czasie nabożeństwa wystąpi chór dziewczęcy „Ziarenko" [...]. Ponadto zaplanowano: godz. 12.20 Franciszek Klimek czyta swoje wiersze o kotach; godz. 13 – prezentacja psów i kotów do adopcji, godz. 13.30 – Arisa Vinci – piosenki z najnowszej płyty pod tytułem „Moja Grecjo", godz. 14.30 – wystąpi Paulina Więckiewicz – laureatka programu „Szansa na sukces" i Ogólnopolskiego Festiwali Dzieci i Młodzieży „Tęczowe Piosenki", godz. 15.30 – Marta Wilk – przeboje musicalowe, godz. 16.30 – Dave Nilaya & Daniel Domański. Piknik poprowadzi Łukasz Lech[67].

Co z tego wyniknie, jeszcze nie wiadomo, ale czy nie jest to dowód na rozrastanie się imprez, na ich coraz większe „uludycznienie", czyli – jak w tym przypadku – rozbudowywanie sfery zabawy? Rozbudowywanie sfery zabawy widzimy wyraźnie w przypadku świąt dzielnic i ulic. Im też poświęcę teraz więcej uwagi.

Święta dzielnic i ulic pojawiły się w latach 90. ubiegłego wieku i mają krótszy żywot niż święta miast. Przykładem mogą być Dni Krakowa, obchodzone już w pierwszej połowie XX wieku (1936 rok). Niektóre z nich były efemerydami, inne doczekały się kilkunastoletniej tradycji. Stanowią, w moim przekonaniu, swoistą formę festynów, niekiedy bywają nazywane, głównie przez dziennikarzy, ale zdarza się, że

---

[66] *Zwierzęta przed kościołem*, DP z dn. 4.10.2008.

[67] *Święto zwierząt na placu Szczepańskim*, DP z dn. 13.10.2011.

również przez ich organizatorów, piknikami, festynami osiedlowymi, kiermaszami, nawet karnawałami, choć najczęściej po prostu świętami.

Ich wspólną cechą jest to, że odbywają się w miesiącach letnich, może należy stwierdzić, że w miesiącach wiosenno-letnio-wczesnojesiennych. Większość spektakli tego rodzaju odbywa się w maju, czerwcu i wrześniu, rzadziej w kwietniu i październiku. Te ramy czasowe są oczywiście bardzo łatwe do wyjaśnienia, święta dzielnic i ulic to imprezy plenerowe, wymagające dobrej, ciepłej pogody. Tylko w takim przypadku gwarantowany jest masowy w nich udział dorosłych, młodzieży i dzieci. Z tego też względu niezbyt korzystne są miesiące wakacyjne, stąd też opisywane imprezy rzadko odbywają się w lipcu i sierpniu.

Poniżej podaję przykłady i możliwie wyczerpujące opisy spektakli ludycznych, które dzielę na: a) święta dzielnic; b) święta ulic oraz dodaję jeszcze opis wyjątkowej imprezy, która sama dla siebie jest kategorią – c) Święto Sukiennic.

Święta dzielnic

Nieomal każda dzielnica Krakowa, a jest ich obecnie osiemnaście, obchodzi swoje święto. Niektóre z tych świąt mają charakter cykliczny, inne nie potrafiły z rozmaitych względów przyciągnąć uczestników i zniknęły po nieudanej próbie wpisania się w miejski ludyczny pejzaż. Różny jest też rozmach poszczególnych świąt, ostatnio o święcie mojej dzielnicy (Dzielnica IV – Prądnik Biały) dowiedziałem się już po jego zakończeniu. Niezależnie od mojego gapiostwa mogę mniemać, że zawiodła reklama.

Omówię święto Dzielnicy VI – Bronowice, święto Dzielnicy XI – Kurdwanów i święto Dzielnicy XIV – Czyżyny. Są to dzielnice dość oddalone od centrum Krakowa, mające różne tradycje kulturowe, ale wszystkie niemałe ambicje dorównania dzielnicom centralnym, a przynajmniej zwrócenia na siebie uwagi.

A. Dni Bronowic – Święto Bronowic (nazwa wymienna); termin nieustabilizowany: maj, czerwiec bądź wrzesień

Pod koniec maja 2006 roku ukazała się w krakowskiej prasie następująca informacja:

> Na niedzielę (4 czerwca) zaplanowano główną imprezę Dni Bronowic oraz obchody 70-lecia klubu sportowego „Bronowianka”. Teraz już odbywają się zawody sportowe w ramach tegorocznych Dni Bronowic. Na uczniów szkół z terenu Dzielnicy VI Bronowice czekał bieg przełajowy, turnieje: piłki nożnej, piłki siatkowej, tenisa stołowego [...]. W niedzielę o godz. 12 w kościele pw. św. Jana Kantego na os. Widok zostanie odprawiona msza święta i nastąpi poświęcenie sztandaru KS „Bronowianka”, a o godz. 13.30 rozpocznie się uroczysta akademia jubileuszowa w hali klubu. O godz. 16 w obiektach klubu przy ul. Zarzecze 124 A przewidziane są pokazy taneczne. Mini Playback Show – konkurs wokalny dla dzieci, występy laureatów programu „Szansa na sukces”. Drużyny szkolne o godz. 17.30 wezmą udział w zawodach w wiosłowaniu na ergometrze. O godz. 21 zagra gwiazda wieczoru – zespół Żuki. Imprezę zakończy pokaz sztucznych ogni o godz. 21.55. Pośród imprez towarzyszących są: wystawy obrazujące dokonania klubu „Bronowianka” w ciągu 70 lat działalności [...] i wystawa malarstwa Bronowickiego Koła Przyjaciół

Sztuk Wszelkich w Klubie „Jordanówka” [...]. Na imprezę zapraszają Rada Dzielnicy VI i Zarząd KS „Bronowianka”[68].

Były to już czwarte Dni Bronowic, tym razem – jak widać – związane z obchodami jubileuszu klubu sportowego. Warto cofnąć się o kilka lat i zobaczyć, jakie początki miała ta impreza.

Przygotowania do święta zakrojono na szeroką skalę – czytamy w notatce prasowej z roku 2003 – na miejscu parkingu stanęła słomiana baba z Bronowic i charakterystyczna dla tego miejsca malowana skrzynia. Nagrano także hymn – płytę z piosenką o ulicy Tetmajera w wykonaniu Anny Treter, solistki grupy „Pod Budą”, którą można było kupić podczas imprezy. W sobotę na Tetmajera bawiły się prawdziwe tłumy. Gwiazdy estrady, smakołyki rodem z Bronowic Małych, przejażdżka wozem drabiniastym, a także wizyta w kuźni to tylko niektóre atrakcje, jakie przypadły uczestnikom festynu w Bronowicach. Wymagany był wielki luz, ale gorączka wyczuwalna była już na osiedlu Widok, gdzie handlujące owocami babcie zapraszały na świętowanie[69].

Dalszy fragment odsłania kulisy organizacyjne imprezy.

„Festyn ma służyć promocji Bronowic” – usłyszeliśmy od Bogusława Gruszki przewodniczącego dzielnicy. Ale prawdziwym duchem opiekuńczym i sprawcą imprezy był Wiesław Wójcik, mieszkaniec ulicy Tetmajera i bronowicki radny. – „O organizację specyficznego święta Bronowic po raz pierwszy radny Wójcik upomniał się już dwa lata temu, ale wtedy nie było na to pieniędzy” – wspomina Bronisław Gruszka, przewodniczący rady dzielnicy VI. – „Teraz przeznaczyliśmy na to pewne środki [...]. Radny Wójcik i jego żona to artyści, zaprosili na festyn wiele znanych sobie osobistości z muzycznego świata” – opowiada przewodniczący Gruszka. – „Dzięki temu goście wystąpili na festynie w większości za darmo”. Atrakcją imprezy był także kiermasz ludowy, na którym prawdziwą furorę zrobiły zabawki sprzed 50. lat: drewniane ptaki klaskające skrzydłami i pukawki. Oblegane były także stoiska z tradycyjnymi bronowickimi wyrobami cukierniczymi [...]. – „Bronowice ogłaszają secesję! To święto ulicy Tetmajera” – mówi o swym święcie radny Wójcik. W Bronowicach o festynie aż huczy. – „Na pewno spotkamy się na Tetmajera za rok” – obiecuje z uśmiechem Bogusław Gruszka[70].

O kosztach omawianego spektaklu ludycznego mówi szczegółowo inna notatka prasowa: „Na imprezy kulturalne w ramach Dni Bronowic dzielnica wydała br. 15,7 tys. zł. plus 4,5 tys. na organizację wystawy z katalogiem [...] oraz 6,2 tys. na organizację festynów szkolnych. [...] Barwnym wydarzeniem jest »Święto ul. Tetmajera« – na nie przewidziano 5,8 tys. złotych”[71].

Dni Bronowic to właściwie cykl spektakli, o czym donosi ta sama notatka:

W Bronowicach Małych niespełna 10 lat temu powrócono do dawnego zwyczaju święcenia pokarmów w Wielką Sobotę na świeżym powietrzu. „Święcone w Bronowicach” odbywa się na placu przed kościołem św. Antoniego, organizowane są też konkursy stroików

[68] *Święto Bronowic i Bronowianki*, DP z dn. 31.05.2006.

[69] *Niepodległość na Tetmajera*, GK z dn. 22.09.2003.

[70] *Ibidem*.

[71] *Świętowanie w Bronowicach*, DP z dn. 16.04.2004.

świątecznych czy na najładniejszą pisankę. W tym roku Dzielnica VI przeznaczyła na tę imprezę 1 tys. złotych. W listopadzie przed „Rydlówką" odbywa się uroczyste osadzanie chochoła – od 1969 roku, gdy powstało tu Muzeum Młodej Polski, którego siedzibą jest dworek, gdzie w 1900 roku bawiono się na weselu Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny. Przyjęcie stało się tłem dramatu Wyspiańskiego *Wesele*, tam zaś jedną z ważniejszych postaci jest właśnie Chochoł[72].

Jak widać, cykl imprez, z których część nosi nazwę Dni Bronowic, wyraźnie nawiązuje do bogatej tradycji ludowej i literackiej dzielnicy, o czym zwykle w stosownym momencie się przypomina.

B. Kurdwanów – Jesienny Festyn na Kurdwanowie. Jesień – Kurdwanów (pierwsza impreza odbyła się w 1994 roku)

Takich tradycji, jak bronowickie, nie ma Kurdwanów, stąd też wyraźne dążenie do ich budowania poprzez m.in. współcześnie organizowane spektakle ludyczne.

„Kochani, idźcie do domów, weźcie swetry i kurtki, na nogi ubierzcie gumowce i wróćcie do nas" – zachęcała z estrady Małgorzata Krzysica. – „Udowodnijmy, że niestraszna nam kiepska pogoda". Na Kurdwanowie w sobotę i niedzielę trwał festyn urządzany już po raz 14. przez Spółdzielnię Mieszkaniową Kurdwanów Nowy. Planowano wielką imprezę, deszcz popsuł wszystko. – „Przybiegłam tutaj z sąsiedniego osiedla Piaski Wielkie" – zdradza Wiktoria Szutkowska. – „Namówiłam koleżankę Patrycję Piszczek i Alę Piekarską i pozowałyśmy do gazetowego zdjęcia". Na scenie do ostatecznej rozgrywki przygotowywały się rodziny rywalizujące o miano „Super Rodziny Kurdwanowa". Państwo Kozerowie, ubiegłoroczni zwycięscy teraz przyszli namówieni przez córkę Monikę. Również zdobywcy 3. miejsca w ubiegłym roku, państwo Kołodziejowie, zdecydowali się wystąpić publicznie i walczyć o zwycięstwo. W finale jedynymi debiutantami była rodzina państwa Stanków, która wystąpiła w nietypowym zestawieniu: babcia Elżbieta, jej syn Artur i wnuk Norbert. „Zielono mi..." słowa piosenki dobiegły w pewnej chwili z estrady. Nieliczna widownia odkrzykiwała – deszczowo nam. To śpiewał Andrzej Dąbrowski, jedna z gwiazd tegorocznego festynu [...]. Nagrody odebrali też zwycięscy sobotniego minimaratonu rozegranego na dystansie 4200 metrów[73].

Inna notatka prasowa, z roku 2003, więcej mówi o charakterze imprezy oraz o jej celu. Porusza także problemy finansowe.

Wyjątkową oprawę będzie miała tegoroczna Jesień Kurdwanowa. W ramach zaplanowanego w najbliższy weekend osiedlowego festynu zaplanowano m.in. występy Skaldów i Krystyny Giżowskiej. Imprezę poprowadzi Agata Młynarska. Jedną z większych atrakcji będzie, zdaniem organizatorów, specjalny pokaz sztucznych ogni. Mieszkańcy Kurdwanowa i okolicznych osiedli zobaczą program, który zwyciężył w fajerwerkowych Mistrzostwach Europy. – „Będzie to specjalny prezent na 10. urodziny naszej imprezy" – mówi Stanisław Sierant, prezes Spółdzielni Mieszkaniowej Kurdwanów Nowy, inicjator przedsięwzięcia. – „Proszę mi wierzyć, mistrzowski pokaz naprawdę robi wrażenie [...]. Niedziela zarezerwowana została na rodzinny piknik [...] – Impreza ma integrować miesz-

[72] *Ibidem*.

[73] *Wspaniała zabawa mimo deszczu*, GK z dn. 10.09.2007.

kańców osiedla" – mówi Stanisław Sierant. – „Zresztą nie tylko. Mile widzianymi gośćmi będą też sąsiedzi z okolicznych blokowisk. Całe przedsięwzięcie, którego budżet wynosi około 100 tys. zł, finansowane jest przez prywatnych sponsorów. – Pieniądze pochodzą od firm wykonujących różne prace na terenie spółdzielni" – mówi prezes Sierant[74].

Z kolei relacja z roku 2004 dostarcza dodatkowych informacji na temat sponsorów imprezy, a także ma dość znaczący podtytuł: „Kurdwanów na dobry początek jesieni":

Po raz jedenasty Spółdzielnia Mieszkaniowa Kurdwanów Nowy zaprasza wszystkich krakowian na jesienny festyn, który odbędzie się w niedzielę w kurdwanowskim parku w rejonie ulicy Halszki i Turniejowej. Największą gwiazdą Jesieni Kurdwanowa 2004 będzie Maryla Rodowicz [...]. Po jej występie odbędzie się pokaz sztucznych ogni. Najlepiej jednak spędzić w kurdwanowskim parku cały dzień [...] przewidziano m.in. koncert hip-hopowy, konkurs plastyczny „Kredą na asfalcie", występ zespołu Boba Jazz Band, pokaz teakwondo, koncert zespołu Krywań [...]. – „Festyn od lat integruje lokalną społeczność i przyciąga mieszkańców całego Krakowa. Zawsze finansowany jest przez darczyńców i za każdym razem świetnie się udaje" – zachęca Stanisław Sierant, prezes SM Kurdwanów Nowy [...]. W niedzielę będzie też pobierana krew od osób zdrowych, pełnoletnich, trzeźwych i mających przy sobie dokument potwierdzający tożsamość. O organizację punktu krwiodawstwa zadba Kazimierz Nowak, prezes Klubu Honorowych Dawców Krwi działającego przy Hucie im. Sendzimira. – „Rocznie w województwie małopolskim pobiera się około 30 tys. litrów krwi. Potrzeba przynajmniej 35 tys. litrów" – przypomina Nowak. Głównym sponsorem imprezy są STO-IPSO i firma budowlana „Gołuszko"[75].

Przytoczone relacje nasuwają wiele pytań, jedno z głównych może dotyczyć dobrowolności działań sponsorów, którzy – co przecież podkreślał prezes spółdzielni mieszkaniowej – pracują na rzecz tejże spółdzielni, tak świetnie się promującej poprzez organizowaną od lat imprezę.

C. Czyżyny – Czyżynalia, Święto Czyżyn – maj, czerwiec, odbywa się od 2004 roku

Jest to właściwie cykl imprez, przez mieszkańców dzielnicy i w dziennikarskich relacjach nazywany Dniami Czyżyn, stąd omawiam go jako pewną całość, mając świadomość, że spektakl ten nie osiągnął jeszcze – czy kiedykolwiek osiągnie? – pełnej krystalizacji. Za początek Dni Czyżyn uważam pikniki lotnicze, które odbywają się na terenie Muzeum Lotnictwa Polskiego od 2004 roku i które szybko znalazły uznanie uczestników z całego Krakowa i z innych terenów Polski.

Tłumy odwiedziły w niedzielne popołudnie teren Muzeum Lotnictwa Polskiego. Dzielnica XIV zorganizowała tam święto Czyżyn, skierowane specjalnie do najmłodszych mieszkańców. Oprócz piknikowych atrakcji: zabaw, konkursów, małej gastronomii czy odpustowych kramów, dodatkowym atutem była możliwość bezpłatnego zwiedzenia ekspozycji muzeum. Organizatorzy przygotowali blok edukacyjny; prezentowały się szkoły i przedszkola z terenu dzielnicy, które przygotowały wiele gier i zabaw dla najmłodszych. Był

[74] *Integracja z sąsiadami*, GK z dn. 4.09.2003.
[75] *Maryla w parku*, GK z dn. 9.09.2004.

konkurs „Każdy śpiewać może”, było rzucanie rzutkami do balonów czy workami z ryżem do kół hula-hoop [...]. Najmłodsi mogli się przejechać na koniku oraz małych elektrycznych samochodzikach, można było też poskakać na dmuchanym zamku. Dla publiczności przygotowano także blok dotyczący bezpieczeństwa. Policja zorganizowała konkursy dla najmłodszych, wiele osób oglądało pokazy interwencji Straży Miejskiej, można też było sprawdzić swoje umiejętności w miasteczku rowerowym. Wielkim powodzeniem – bo kolejka sięgała kilkudziesięciu osób – cieszyła się możliwość popatrzenia na świat z kilkunastometrowego strażackiego wysięgnika[76].

W tym opisie zwraca uwagę duża liczba propozycji zabawowych o charakterze dydaktycznym. O dalszych atrakcjach wspomina reporter następująco:

Zorganizowano też potyczki rodzinne, w których rodziny musiały wykazać się wiedzą o dzielnicy, a także np. zdolnościami wokalnymi. Nagrody były atrakcyjne, bo wygrać można było odtwarzacze DVD czy żelazko. Dzielnica XIV postanowiła także pomóc przy okazji zabawy bezdomnym zwierzętom i zaprosiła przedstawicieli azylu z psami szukającymi domu. Udało się znaleźć dom dla dwóch piesków [...]. Na scenie prezentowały się zespoły młodzieżowe z terenu dzielnicy, wystąpił też zespół YesKiezSirumem, a kilkaset osób wysłuchało wieczorem kończącego zabawę koncertu Zbigniewa Wodeckiego[77].

Opis Święta Czyżyn zawiera niemal wszystkie atrakcje charakterystyczne dla tego rodzaju imprez oraz ukazuje ich schemat organizacyjny, na przykład kończący imprezę koncert „gwiazdy”, nierzadko dość już przebrzmiałej.

Rok później odbyła się podobna impreza. Nie warto powtarzać tu wachlarza atrakcji proponowanych uczestnikom, nie zmienił się bowiem zupełnie. Warto natomiast przytoczyć wypowiedź przedstawiciela organizatorów:

„Festyn na terenie Muzeum Lotnictwa Polskiego organizowaliśmy już po raz czwarty. Miejsce imprezy nie jest przypadkowe. W ten sposób chcemy wśród mieszkańców podkreślić lotnicze tradycje Czyżyn. Z każdym rokiem współpraca dzielnicy z muzeum jest mocniejsza. W obecnym roku szkolnym wspólnie z muzeum i Ośrodkiem Kultury Kraków – Nowa Huta zorganizowaliśmy konkurs o tematyce lotniczej »Na skrzydłach historii« dla uczniów nowohuckich gimnazjów. Planujemy, by w przyszłym roku konkurs miał charakter ogólnopolski” – poinformował Jerzy Woźniakiewicz, przewodniczący Rady Dzielnicy XIV, która wraz z Ośrodkiem Kultury Kraków – Nowa Huta i Muzeum Lotnictwa Polskiego była organizatorem imprezy[78].

Oprócz pikników lotniczych, które – o czym już wspomniałem – przez organizatorów i uczestników traktowane są jako Święto Dzielnicy Czyżyny, lub po prostu Święto Czyżyn, odbywają się inne imprezy, które z omawianą łączy nie tylko fakt, że odbywają się w tej samej dzielnicy, ale przede wszystkim to, że nazywają się Czyżynaliami, czyli są połączeniem studenckich juwenaliów ze – jeśli tak można powiedzieć – świętem Czyżyn. Warto o nich napisać kilka słów, gdyż są ciekawym przykładem ludycznej inwencji środowiska studenckiego, które – zdaniem wielu ob-

---

[76] *Świat z wysięgnika*, DP z dn. 21.06.2005.

[77] *Ibidem*.

[78] *Strzały między samolotami*, DP z dn. 13.06.2006.

serwatorów – cierpi w ostatnich latach na brak ochoty do działań na tym polu, czego dowodem mają być kolejne niemrawe juwenalia, dawniej bardzo mocno wpisujące się w ludyczny kalendarz miasta, dziś zajmujące w nim marginalne miejsce. Może to być dowodem na to, że studenci raczej chcą być zabawiani, niż bawić innych. Jeśli nawet tak jest, to poniższy przykład może nieco złagodzić tę opinię.

> Ogniskiem plenerowym i dyskoteką w klubie „Kwadrat" – czytamy w sprawozdaniu – rozpoczęły się wczoraj Czyżynalia „AVE PK 2006" zorganizowane przez Samorząd Studentów Politechniki Krakowskiej [...]. Czyżynalia odbywają się na terenie miasteczka PK przy ul. Skarżyńskiego. Tym razem ma być ono ozdobione na styl rzymski: akademiki zyskają nowe nazwy (np. Leonidas, Bartos czy Romulus), a przy wejściach do nich zawisną wieńce laurowe. Już dziś rozpocznie się także budowa kartonowego Koloseum. Nietypowa budowa ma mieć wysokość 7 metrów i średnicę 20 metrów. – „Będzie widoczna z daleka – zapowiada współorganizator Czyżynaliów Tomasz Haziak. – Do budowy zużyjemy 2,2 tysiąca wielkich pudeł i 2,5 km taśmy samoprzylepnej"[79].

Z innych atrakcji wymienię tylko niektóre, w cytowanym sprawozdaniu, pomijając godziny imprez:

> [...] rozpoczną się prezentacje obcokrajowców. Studenci m.in. z Nigerii, Kazachstanu, Ukrainy, Hiszpanii czy Portugalii przygotują stoiska informacyjne, bądź będą serwować swoje potrawy regionalne. Siłacze będą mogli natomiast wziąć udział w konkursie strongman, w ramach którego zaplanowano konkurencje typu: przeciąganie „malucha", piłowanie drewnianych bali na czas czy podnoszenie ciężarów. Nie zabraknie również pokazów sztuk walki, pokazu wysokościowego w wykonaniu kadetów z Krakowskiej Szkoły Aspirantów Państwowej Straży Pożarnej oraz pokazów Bractwa Rycerskiego [...], zaplanowano spotkanie kabaretowe w Klubie „Kwadrat", [...] imprezę przebierańców, podczas której obowiązywać będą stroje rzymskie, [...] odbędzie się wielki piknik [...] oraz impreza karaoke[80].

Te i inne atrakcje adresowane były nie tylko do studentów, znaczna część imprez miała charakter otwarty.

Jak można stwierdzić na podstawie przedstawionych przykładów, stanowiących zaledwie część zgromadzonej dokumentacji, święta dzielnic mają bądź ustalone terminy, bądź odbywają się w terminach dowolnych, zawsze jednak w miesiącach gwarantujących dobrą frekwencję i – tu już takiej gwarancji być nie może – dobrą albo przynajmniej nadzieję na dobrą pogodę. Ich formuła jest raczej otwarta, liczba atrakcji wciąż się poszerza, rozmach imprezy zależy w dużym stopniu od sponsorów, zarówno tych, którzy wspomagają organizatorów finansowo, jak i tzw. sponsorów medialnych, zapewniających reklamę prasową czy telewizyjną. Głównymi organizatorami są samorządy dzielnicowe, ale niekiedy również na przykład zarządy spółdzielni mieszkaniowych czy domy kultury. Nie oni jednak pokrywają gros kosztów, stąd znaczenie sponsorów. To, kim są, jakie wnoszą sumy i – co nie bez znaczenia – jakie ze sponsorowania czerpią profity (poza, oczywiście, możliwością reklamowa-

---

79 *Z Koloseum w plenerze*, DP z dn. 10.05.2006.

80 *Ibidem*.

nia się podczas imprezy, na czym nie wszystkim zapewne zależy), wymaga dokładniejszych badań. Pewne światło w tej kwestii dać może analiza podobnych, choć nie tożsamych imprez – spektakli ludycznych, jakimi są święta ulic.

Święta ulic

Święta dzielnic organizowane są najczęściej przez dzielnice, należące do najpóźniej przyłączonych do Krakowa, których historia i tradycje są stosunkowo mało znane nie tylko mieszkańcom innych dzielnic miasta, lecz także obecnym mieszkańcom tych dzielnic, są to bowiem przybysze, zaludniający niezliczone blokowiska – pierwsze, najwyżej drugie pokolenie osadników. Znaczenia świąt dzielnic, które poza wymiarem ludycznym, bez wątpienia bardzo istotnym, niosą jakieś informacje o przeszłości i tradycjach, a przede wszystkim integrują mieszkańców – tworzą w czasie zabawy wspólnotę, kształtują więzi, które w przyszłości mogą zaowocować wspólnymi działaniami – nie sposób przecenić.

Święta ulic to z kolei święta miejsc znanych powszechnie krakowianom, niezależnie od ich miejsca zamieszkania, to święta miejsc z Krakowem kojarzonych nawet przez ludzi w nim niemieszkających: ulica Bracka, Miodowa, Gołębia, Kanonicza, Poselska, Krupnicza, św. Anny. Bez wątpienia mieszkańcy najstarszych dzielnic Krakowa identyfikują się ze swoim miastem poprzez najbardziej znane ulice. Czynić tego nie mogą mieszkańcy nowych dzielnic, tam bowiem znanych ulic po prostu nie ma, w niektórych dzielnicach w ogóle brak ulic, są osiedla. Czy można identyfikować się z osiedlem? Mało prawdopodobne. Muszą zatem uzyskać identyfikację z miastem poprzez dzielnicę, oczywiście nie poprzez numer dzielnicy, ale jej utrwaloną w świadomości mieszkańców nazwę, na przykład Czyżyny, Prądnik Biały, Kurdwanów itd. Święta dzielnic stanowią dobrą okazję do budowania tożsamości, tożsamości nie tyle krakowskiej, ile dzielnicowej. Święta ulic z kolei budują tożsamość miejską, poczucie dumy, że jest się mieszkańcem Krakowa.

Omówię poniżej święto ulicy Poselskiej, ulicy Józefa i ulicy Skałecznej. Wszystkie one leżą w ścisłym centrum Krakowa, posiadają – jak zobaczymy – nie tylko bogatą historię i tradycję, zasłużonych mieszkańców, nie tylko czcigodnych nieboszczyków, ale i żyjące współcześnie znane postacie oraz specyficzną atmosferę. Wszystko to, z większym lub mniejszym powodzeniem, bywa eksponowane podczas świąt ulic.

A. Święto ulicy Poselskiej. Odbywa się od 2003 roku, pod koniec sierpnia

> Kolejna trzecia edycja Święta ulicy Poselskiej – czytamy w prasowej informacji – odbędzie się w konwencji ulicznego karnawału. Dzisiaj (sobota) na scenie i pośród publiczności wystąpią artyści i tancerze, reprezentujący restauracje narodowe mieszczące się przy ulicy Poselskiej: meksykańską, włoską, węgierską i irlandzką. Restauratorzy wystartują także w konkursie na najlepszy deser. Najmłodsi wraz z rodzicami będą mogli spędzić popołudnie na beztroskiej zabawie, na placu zabaw dla dzieci (parking Urzędu Miasta Krakowa przy ulicy Poselskiej). Wyjątkową atrakcją będzie możliwość skorzystania także z trawiastego pola golfowego. Na ulicy przy Plantach ustawione zostaną rampy i pode-

sty dla rolkarzy i deskorolkarzy oraz tor przeszkód dla rowerzystów. Uczestnikom zabaw sprawnościowych miksować muzykę będą znani krakowscy didżeje MK Fever i DJ Crime. W Muzeum Geologicznym odbędą się specjalne prezentacje minerałów i skamieniałości znajdujących się w zbiorach Muzeum oraz konkurs rysunkowy dla dzieci z nagrodami[81].

Z kolei w sprawozdaniu z roku 2006 czytamy:

W minioną sobotę ulica Poselska obchodziła swoje święto. Na chodniki wyległy restauracje, sklepy, a nawet... pole golfowe. U wylotu ulicy, tuż przy Plantach, ustawiono rampy i podesty dla rolkarzy i deskorolkarzy. Młodzi, a czasem całkiem mali chłopcy zadziwiali wysokimi skokami i efektownymi ewolucjami na deskach. – „Fajnie, że coś takiego postawili"– mówi jeden z chłopaków. – „W Krakowie niewiele jest takich miejsc, gdzie można poszaleć. Rampy są na niektórych osiedlach, ale w centrum miasta nie ma gdzie poskakać" [...]. W zaułku ulicy Senackiej usadowiło się natomiast pole golfowe. Na sztucznym trawniku trener udzielał lekcji prawidłowych uderzeń. – „Rzeczywiście, golf jest sportem elitarnym, ale my chcemy przekonać wszystkich, że wcale nie oznacza to, iż jest niedostępny" – podkreśla Paulina Furmanik z Krakow Valley Golf and Country Club w Paczółtowicach. – „Nasze pole to jedno z największych pól w Europie Środkowej, ale ceny nie są wcale tak wygórowane, jak się powszechnie wydaje" [...]. Na chodniki ulicy Poselskiej przeniosły się również lokalne restauracje, co na co dzień jest niemożliwe. – „To świetna forma promocji – uważa Eliza Pobożniak z restauracji Taco Mexicana. – Klienci są bardzo zainteresowani, ogródki są pełne"[82].

Obie relacje eksponują przede wszystkim komercyjno-zabawowy charakter święta ulicy, przy której poza restauracjami mieszczą się dwa muzea, geologiczne i archeologiczne (jedno i drugie miało pewien udział w organizacji imprezy). Kolejna notatka prasowa zwraca jednak uwagę na inny aspekt święta, nazwijmy go ostrożnie „historycznym":

W sobotę, już po raz trzeci, odbyło się w Krakowie „Święto ulicy Poselskiej". Słynna ulica związana z takimi osobistościami, jak Joseph Conrad, Stanisław Wyspiański czy Wit Stwosz, którzy mieszkali tam i tworzyli, tym razem stała się najlepszym miejscem dla amatorów dobrej zabawy i... dobrego jeżdżenia [...][83].

A zatem atrakcje Święta ulicy Poselskiej to restauracje serwujące kuchnie etniczne, golf, deskorolki itp., ale także wspomnienie ważnych postaci, które z nią były związane, oraz okazja zwiedzenia Muzeum Geologicznego. Dla każdego coś miłego w całkiem interesującej i bogatej ofercie organizatorów.

Jeszcze wyraźniej próby wyeksponowania dziejów ulicy i jej niepowtarzalnej atmosfery, ale także współczesnej roli w życiu miasta, widać w przypadku Święta ulicy Józefa. Postawiono na wielokulturowość tego miejsca.

[81] *Karnawał na Poselskiej*, GK z dn. 26.08.2006.
[82] *Golf na Poselskiej*, GK z dn. 28.08.2006.
[83] *Dla każdego coś miłego*, GK z dn. 28.08.2006.

B. Święto ulicy Józefa. Odbywa się od 2004 roku, w czerwcu

Tego jeszcze nie było jak ulica Józefa ulicą Józefa – pisze sprawozdawca prasowy w notce pod znamiennym podtytułem: „Wielokulturowe święto ulicy Józefa" – a jest nią bardzo długo. Nazwa młodsza niż ulica – na cześć Najjaśniejszego Pana, który u ówczesnej społeczności Kazimierza cieszył się dużym poważaniem. Zostawmy jednak historię, bo oto wczoraj ulica Józefa zafundowała sobie najprawdziwsze z prawdziwych i wielokulturowe święto; dla wszystkich – dla dorosłych i dzieci, dla gości i tutejszych, tych z dobrą opinią i niekoniecznie. No i z próbami przywołania dawności, charakteru i duszy miejsca. Powodów do świętowania (gdyby były konieczne) znalazłoby się parę. Po pierwsze, Szalom, najstarsza z prywatnych galerii czynnych na tej ulicy i na całym Kazimierzu, obchodzi 10-lecie. A że inni szaleńcy poszli za przykładem Kuberskich, przy Józefa, po obu stronach ulicy, od Szerokiej po Krakowską, wyrósł w następnych latach cały ciąg galerii sztuki, dwa profesjonalne salony antykwaryczne i wiele osobliwych sklepów, ogólnie rzecz biorąc – z historią na półkach. Po drugie, galeria Szalom ogłosiła „Dni Kazimierza Wiśniaka" [...] znakomitego scenografa, współzałożyciela Piwnicy pod Baranami, malarza, miłośnika i znawcy dzielnicy Kazimierz [...]. Rabin, który w południe pojawił się na ulicy, był jak prawdziwy, tylko jeden mały kłopot: siedział w zabytkowym samochodzie nie bacząc, iż pobożny, ba, ortodoksyjny Żyd, w święty czas szabatu nie podróżuje, a jeśli już absolutnie musi, to po wodzie, czyli łodzią-autem w żadnym przypadku [...][84].

Zaprezentowano kilka wystaw, „akcję poetycką", konkurs rysowania i malowania na asfalcie, loterię fantową, targ perski z orientalnymi wyrobami.

W Arcydziełowni starannie mierzono wąsy startujących po tytuł Wąsatego Józefa [...]. Pierożkarnia „U Vincenta" wykreowała wczoraj cesarskie pierogi, które pod tą nazwą już po wieczne czasy figurować będą w menu. Z pięciu propozycji: pierogi nadziane jagnięciną, serem z bakaliami, soją, kaszą jaglaną, ruskim farszem z koperkiem dostojne jury (para cesarska, a jakże) wybrało, przy aplauzie pospólstwa, pierogi z jagnięciną. Wieczorem zaczęły się koncerty jazzowe i muzyki klezmerskiej, a w galeriach wernisaże[85].

Z innego sprawozdania warto zacytować kilka fragmentów:

„Chcieliśmy, by święto było wielokulturowe, tak jak ulica Józefa" – tłumaczy Karol Kuberski z galerii Szalom, jeden z organizatorów imprezy. – „Mamy tu kilka galerii prowadzonych przez mieszane małżeństwa, jest Chorwat, Pers i obywatel Togo. Dawniej przy tej ulicy mieszkali i chrześcijanie, i żydzi. Była kręgosłupem Kazimierza, prowadziła do wsi Bawół. Do zabawy z entuzjazmem włączyli się właściciele lokali przy ulicy Józefa. – Wyrazy uznania należą się ostatniemu stolarzowi na Kazimierzu Antoniemu Ulmanowi, który za darmo zbudował podest pod fortepian, pomagał przy budowie stelażu i wieszaniu baneru" – dodaje Kuberski[86].

Przy tej notatce „Gazeta Krakowska" umieściła krótką historię ulicy Józefa: „W 1773 r. cesarz Józef II odwiedził Kazimierz. Zatrzymał się w kamienicy Wojewodzińskiej na rogu Krakowskiej i ówczesnej Żydowskiej. Stałą pamiątką wizyty

---

[84] *Dla ducha i dla ciała*, DP z dn. 6.06.2004.

[85] *Ibidem*.

[86] *Ognisko na Kazimierzu*, GK z dn. 7.06.2004.

stała się nowa nazwa Żydowskiej, która do dzisiaj nosi imię cesarza”[87]. Nie dodano jednak, że wizyta ta odbyła się już po I rozbiorze Polski, dokonanym m.in. przez dobrany duet władców Austrii: matkę – Marię Teresę i syna – fetowanego Józefa II.

Dodać trzeba, że Święto ulicy Józefa – bez wątpienia ze względu na podnoszoną wielokulturowość tej ulicy, a właściwie całej dzielnicy Kazimierz – miało i ma w prasie krakowskiej największe *publicity*, które zmierzyć można liczbą i wielkością notek poświęcanych imprezie.

C. Święto ulicy Skałecznej. Odbywa się od 1999 roku, w czerwcu

Oryginalność Święta ulicy Skałecznej polega na tym, że jest ono organizowane przez oo. Augustianów z parafii pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej i zawiera liczne elementy religijne, co upodabnia je do popularnych około ćwierć wieku temu parafiad, dziś już nieco zapomnianych.

> Święto to to radosny festyn organizowany już od siedmiu lat przez oo. Augustianów z parafii św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Wczoraj znów na ustawionej przy kościele scenie tańczyły przedszkolaki poprzebierane m.in. za aniołki i krakowiaków. Dzieci grały w piłkę, biegały po trawie z wielkimi różowymi kłębami waty, a dorośli relaksowali się, oglądając występy i jedząc pieczone kiełbaski. Uśmiech nie schodził z twarzy maluchów i ich opiekunów. W zielonych ogrodach augustiańskich, oświetlonych pięknym słońcem i owianych aromatem grilla, można się było poczuć nie jak w centrum miasta, ale jak na wsi. – „Przychodzę tu z dziećmi co roku. W ubiegłym wyciągnęliśmy los »Świątecznego Wyciągacza Przypadkowego« i wygraliśmy sześć zdobionych filiżanek. Używam tylko jednej, bo reszty mi szkoda” – mówiła Monika Bydoń, mama czwórki dzieci [...]. Atrakcji było mnóstwo. Przedstawienie Teatru Groteska, odczytanie fragmentów Biblii w językach oryginału: hebrajskim i aramejskim, coroczny konkurs malowania na asfalcie, mecz piłkarski księży i policjantów, pokaz walk obronnych w wykonaniu straży miejskiej, koncert jazzowy. – „Kiedyś sama przyprowadzałam swoje wnuki, ale już wyrosły. Miło przyjść, popatrzeć na dzieci. Dobrze, że księża coś takiego organizują” – cieszyła się Ryszarda Kłapa, 70-letnia parafianka[88].

Jeszcze więcej szczegółów ukazujących specyfikę tego święta znajdujemy w notce prasowej z następnego roku:

> Impreza rozpoczęła się uroczystą mszą w plenerze kwitnących ogrodów augustiańskich i trwała do późnej nocy. Festyn jest organizowany już od ośmiu lat, a przygotowania do tegorocznej edycji trwały dwa miesiące. [...]. Tradycją jest, że na obchodach święta Skałecznej prezentuje się jakiś zakon. W tym roku byli to bracia Bonifratrzy. Czteroosobowy zespół The Chinchillas rozgrzał publiczność w rytmie fun rocka, a w klimaty gorącej Brazylii wprowadziły przybyłych dziewczęta z zespołu Flicker[89].

Zanim dokonam podsumowania tego rozdziału, przytoczę jeszcze informacje o Święcie Sukiennic, prawdopodobnie najstarszym, istniejącym od XIII wieku, działającym nieprzerwanie centrum handlowym w Polsce.

---

[87] *Ibidem*.

[88] *Siódmy raz radość*, GK z dn. 12.06.2006.

[89] J. Turczyńska, *Festyn w ogrodach*, GK z dn. 18.06.2007.

D. Święto Sukiennic. Obchodzone od 2004 roku, w sierpniu

> Odegraniem hejnału z Wieży Mariackiej – czytamy w sprawozdaniu prasowym – rozpoczęło się wczoraj w południe Święto Sukiennic, nazywanych też najstarszym krakowskim domem handlowym. Z tej okazji dla klientów przygotowano liczne atrakcje. Do wspólnego świętowania krakowian i turystów zaprosiła Samorządna Wspólnota Kupców Sukiennic „Kram", działająca jako sekcja Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej i kultywująca tradycje kupieckie Sukiennic. – „W zeszłym roku obchodziliśmy jubileusz 10-lecia istnienia »Kramu«. Zorganizowaliśmy z tej okazji zamkniętą imprezę. Wtedy też postanowiliśmy, że w kolejnych latach będzie ona miała charakter cykliczny i będzie otwarta dla wszystkich" – przypomniał Wiesław Bąkowski, prezes SWKS „Kram"[90].

Impreza była doprawdy imponująca:

> Możliwość skosztowania pysznych ciasteczek i chleba ze smalcem, konkursy z nagrodami czy rabaty do 20 procent – to tylko niektóre z atrakcji, jakie czekały wczoraj na klientów Sukiennic. Do wspólnego świętowania włączyły się również kapele podwórkowe „Andrusy" i „Centusie" oraz Góralska Dziecięca Orkiestra Dęta ze Skomielnej Czarnej i Pogdanówki [...]. Sporo emocji towarzyszyło zebranym podczas ogłoszenia wyników konkursu na „Panią Kumę", czyli najsympatyczniejszą sprzedawczynię Sukiennic. Ten zaszczytny tytuł przypadł Jadwidze Dybczak z kramu nr 38. Obchody Święta Sukiennic trwały do późnego wieczora. Przewidziano, że na jego zakończenie (po hejnale o godz. 24) z Wieży Mariackiej zjedzie na specjalnej linie podarunek dla kupców – kosz z kwiatami. Technicznym zabezpieczeniem tego przedsięwzięcia zajęli się żołnierze VI Brygady Desantowo-Szturmowej[91].

Do notki tej dołączona została krótka informacja o historii Sukiennic, zakończona wypowiedzią wiceprezes Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej, z której wynikało, że obecnie w Sukiennicach mieści się 58 kramów, a około 80% klientów stanowią turyści zagraniczni.

Z kolei w roku 2007, zapytany „Po co to święto?" – Przewodniczący Samorządnej Wspólnoty Kupców Sukiennic „Kram", W. Bąkowski, odpowiedział: „By zachęcić mieszkańców i turystów do wspólnej zabawy i zwrócić uwagę na to, że właśnie w Sukiennicach działa wiele zasłużonych dla miasta rodzin kupieckich, wreszcie by pokazać, że kramy oferują bardzo duży i różnorodny asortyment"[92].

Trzeba dodać, że sierpniowa data Święta Sukiennic nie jest przypadkowa, nie wynika bynajmniej z faktu, że w tym okresie Kraków nawiedza najwięcej turystów, do których wyraźnie impreza jest adresowana. Data nawiązuje do 2 sierpnia 1875 roku, kiedy to „rozpoczęła się przebudowa Sukiennic, podczas której architekt Tomasz Pryliński nadał budowli obecny kształt. Wtedy też powstał m.in. ciąg drewnianych kramów według projektu Jana Matejki. Restaurację Sukiennic, która wymagała ogromnych nakładów, w znacznym stopniu wsparli wówczas kupcy z tamtejszych kramów"[93].

---

[90] *Z rabatem i podwórkowymi kapelami*, DP z dn. 3.08.2006.

[91] *Ibidem*.

[92] *Z kupieckimi tradycjami*, DP z dn. 3.08.2007.

[93] *Ibidem*.

Podsumowanie

Sądząc po popularności spektakli nasyconych dużą dawką ludyczności, choć nie wszystkie nazwać można po prostu spektaklami ludycznymi (zob. rozważania we *Wstępie*), jest na tego rodzaju imprezy zapotrzebowanie społeczne – ludyczność, zabawa i rozrywka bardzo dobrze „się sprzedają". Imprez o takim charakterze będzie zatem coraz więcej. Biorą to pod uwagę organizatorzy spektakli i obawiając się rosnącej konkurencji, nadmiernie dbają o nasycenie ich elementami ludycznymi o wątpliwej wartości. Takie postępowanie, tylko częściowo wywołane przez działanie konkurencji, oznacza najczęściej wypieranie powagi ze spektakli, które tę powagę zawierały w rozsądnych granicach. Jeśli uznamy, że harmonijna relacja powagi i zabawy w większości obrzędów i zwyczajów oraz w akceptowanych przez zbiorowość zachowaniach publicznych, czasem z wyraźnym wskazaniem na powagę, jest – a przynajmniej do najnowszych czasów była – opoką życia społeczno-kulturowego, to osłabienie powagi, wręcz jej rugowanie, jest niebezpiecznym naruszeniem równowagi, szkodliwym dla społecznego ładu.

Istnieje też inne niebezpieczeństwo: tworzenia na użytek spektakli ludycznych tego, co Eric Hobsbawm nazwał „tradycją wymyśloną" (ewentualnie wynalezioną), a sam proces „wynajdowaniem tradycji" (jeśli nie po prostu jej wymyślaniem)[94]. Jego rozważania odnosiły się przede wszystkim do tradycji narodowych, wydaje się jednak, że doskonale pasują do innych, na przykład regionalnych. O tych, o ich – jakże często – wymyślaniu, będzie traktował rozdział VIII. Kreowanie spektakli, także ludycznych, które wypełniane bywają po brzegi ową tradycją wymyśloną na użytek m.in. zabawy i rozrywki, czy wręcz komercji, czasem wynika to z błędnych interpretacji przeszłości bądź jej przeinterpretowania, budowanie na takiej podstawie fałszywego poczucia na przykład swojskości, przywiązania do tradycji grupy, stanowi zaprzeczenie idei regionalizmu opartej na czci dla prawdy, dobra i piękna i nie ma nic wspólnego z postawą regionalistyczną. Trzeba o tym pamiętać.

Wszystkie opisywane spektakle, a zwłaszcza spektakle nowe, jak święta dzielnic i ulic, czy Święto Sukiennic, wpisały się już wyraźnie w ludyczny krajobraz Krakowa. Z pewnością przetrwają, choć nie wszystkie. Część z nich wygaśnie z rozmaitych względów, nie tylko finansowych, choć te mogą być najistotniejsze. Powodem może być na przykład to, że jest ich zbyt wiele. Bywają takie soboty i niedziele, kiedy w Krakowie odbywa się po kilka świąt dzielnic czy ulic, nie licząc innych imprez plenerowych: pikników rodzinnych, odpustów itp. Przeglądając sprawozdania z obrad samorządów dzielnic, stwierdziłem, że rajcy zauważyli ten problem i niejednokrotnie był on argumentem do cofnięcia dotacji, co miało zmniejszyć liczbę tego rodzaju imprez. Tu jednak trzeba podkreślić, że liczba ta nie zależy, albo w małym stopniu zależy, od decyzji rajców, raczej od całościowych nakładów finansowych, których tylko część pochodzi z funduszy budżetowych i samorządowych. Najwięcej łożą sponsorzy prywatni. Jeśli oni odmówią wspierania lub poważnie wspiera-

[94] Zob. E. Hobsbawm, *Wprowadzenie*, [w:] *Tradycja wynaleziona*, red. E. Hobsbawm, T. Ranger, tłum. M. Godyń, F. Godyń, Kraków 2008.

nie omawianych świąt ograniczą – na przykład z powodu narastającego kryzysu lub zmiany przepisów fiskalnych (może to działać razem!) – z pewnością ich liczba i rozmach się zmniejszą.

Poziom imprez – spektakli ludycznych jest bardzo zróżnicowany co do liczby zabaw i rozrywek dla dzieci i dorosłych. Ogólnie wydaje się także, że znaczna ich część nie grzeszy oryginalnością i inwencją. Są raczej sztampowe, powielane z roku na rok, mało atrakcyjne i rzadko zaskakują. Nie jest łatwo poszerzyć paletę propozycji zabawowych. Trzeba odważniej sięgnąć do tradycji lokalnych i historii, zwłaszcza do historii zabaw i gier, na przykład do coraz liczniej pojawiających się na rynku księgarskim leksykonów, korzystać z doświadczeń innych krajów, gdzie tradycje zabaw plenerowych są o wiele bogatsze.

Jak zawsze decydujący jest czynnik ludzki; jeśli znajdzie się dostateczna liczba organizatorów spektakli mających nie tylko zapał – takich akurat nie brakuje – ale i wiedzę oraz wynikającą z niej inwencję – z tym jest znacznie gorzej, to spektakle ludyczne typu plenerowego, niezależnie od konkurencji innych imprez, których w dużym mieście, takim jak Kraków, w miesiącach wiosennych i letnich jest pod dostatkiem, cieszyć się będą nieustającym powodzeniem i satysfakcjonującą organizatorów frekwencją.

Omawiany typ imprez – spektakli ma wymiar ludyczny – co oczywiste, wszak ze względu nań zostały wybrane i omówione – ale spełnia także inne funkcje poza dostarczaniem zabawy i rozrywki. Najważniejsza jest funkcja integracyjna, szczególnie widoczna w przypadku świąt dzielnic. Integrowanie się ludzi na gruncie zabawy to rzecz cenna z punktu widzenia życia społecznego[95]. Już to stanowi argument, aby śledzić uważnie powstawanie, rozwój i przemiany zwyczajów ludycznych, owych ludycznych spektakli, zarówno tradycyjnych, jak i nowych, nawet tych osobliwych, kuriozalnych czy być może efemerycznych.

---

[95] Zob. R. Kantor, *Człowiek – kultura – zabawa*, „Zabawy i Zabawki" 1998, R. 2, nr 3.

III. REKREACJA – MAJÓWKA – WSPÓŁCZESNY PIKNIK. CZTERYSTA LAT LUDYCZNEGO ZWYCZAJU

„Człowiek pozbawiony rozrywki, najszczęśliwszy nawet na pozór, uschnie ze zgryzoty i nudy. Jeśli zaś ktoś najbardziej nawet przejęty jest smutkiem, lecz można sprawić tyle, aby go wciągnąć do jakiejś zabawy, to już jest szczęśliwy".

Blaise Pascal

Można odnieść wrażenie, że w przeszłości, w czasach, gdy nikt nie wmawiał ludziom, że zabawa i rozrywka jest ich niezbywalnym prawem, bawiono się równie dobrze jak dziś, może nawet lepiej, gdyż to, co trudno dostępne, rzadkie, bywa w każdej epoce (poza naszą!) wysoko cenione. Ciężka praca, solidna nauka, nagradzane były niezbyt częstymi chwilami beztroskiej zabawy.

Każdy wiek, każdy stan – pisał Walenty Baranowski, pod koniec życia biskup lubelski, wspominając swoje lata szkolne w okresie Rzeczpospolitej Krakowskiej (1816–1822) – ma swoje upodobane zabawy i przyjemności. Jeden lubi teatr, drugi polowanie, ten jazdę konną, inny bale i tańce; dla młodzieży atoli szkolnej najmilszą i najbardziej upragnioną bywała zawsze majówka. Sama wycieczka do oddalonego zazwyczaj lasu, sama wspólność urozmaiconej zabawy i to bratanie się młodszych ze starszymi miało pewien urok i najwyższą obudzało radość[1].

O majówkach, poprzedniczkach dzisiejszych pikników – z tej racji stanowią przedmiot mojego zainteresowania – tak pisał w swojej *Encyklopedii staropolskiej* Zygmunt Gloger:

W szkołach dawnych obchodzono uroczyście rekreację wiosenną, o ile pogoda sprzyjała, zwykle w dniu 1-go maja. Już w wilję nie było lekcji, bo przygotowywano się do upragnionej wycieczki. Dzwonek szkolny i muzyka uczniowska, jak tylko świtać zaczynało, zwoływała wszystkich przed gmach szkolny. Uszykowani w rzędy pod chorągwiami, niby wojsko rycerskie, z dyrektorami i nauczycielami duchownymi na czele, szli zwykle do jakiegoś dworu o milę lub dalej, gdzie gościnny szlachcic, wcześnie o tym uprzedzony, częstował wszystkich radośnie: mleczywem, pierogami, piwem i piernikami domowymi. Niektórzy panowie polscy zapisywali całe folwarki, żeby młodzież szkolna miała się gdzie bawić i czem poczęstowana być podczas majówki. Gra w piłkę, bieganie do mety,

[1] W. Baranowski, *Wspomnienia majówek młodzieży szkolnej w czasach Rzplitej Krakowskiej 1816––1822*, [w:] Praca zb., *Galicyjskie wspomnienia szkolne*, Kraków 1955, s. 293.

huśtawka, przebieranie się za żołnierzy, sprawiały radość powszechną. Wieczorem przy śpiewach i muzyce powracano do domu[2].

Piszący o zabawach studenckich w okresie panowania Augusta III, czyli w latach 1734–1763, Jędrzej Kitowicz co prawda wspomina o rekreacjach, słowa jego zacytuję niebawem, lecz nic nie mówi o majówkach. Być może oznacza to, że nazwa majówka pojawiła się albo upowszechniła później. Rekreacje z majówkami miały jednak wiele wspólnego, co zdają się potwierdzać słowa Kitowicza:

> W biegu szkolnych nauk były dwa dni w każdym tygodniu studentom na rekreacją, czyli rozerwanie umysłu pracą szkolną utrudzonego; a te dni były wtorek i czwartek, i to nie zawsze całe, lecz częściej po pół dnia, zaczynając od popołudnia; w maju niemal zawsze bywały te dnie na rekreacją studentom oddawane; kiedy zaś po wtorku albo po czwartku następowało jakieś święto, to w takim przypadku nie dawano rekreacji, ażeby wiele czasu naukom nie ujmować. Dlatego i rekreacje albo święta zupełnie od nauki studentów nie uwalniały. Naznaczano pomierne pensa, których się trzeba było nauczyć, i okupacją, którą w czasie rekreacji lub święta trzeba było napisać; inaczej gdy się pierwszego albo drugiego nie przyniosło do szkoły, po wesołej rekreacji następowały płaczliwe pod batogiem lamentacje.
>
> Na rekreacją wychodzili studenci hurmem z profesorami i dyrektorami, lecz niekoniecznie wszyscy; kto chciał, wolno mu było zabawić się w osobnej małej kompanii. Zabawy na rekreacji zwyczajne były: piłka i palcat, których też zabaw studenci i między szkołami, nim się zaczęła lekcja szkolna, zażywali[3].

Trzeba tu dodać, że owi studenci to uczniowie szkół średnich, studiujących w szkołach wyższych nazywano akademikami.

Z kolei, zwykle wylewny, J.S. Bystroń jedynie stwierdza: „Gdy wiosna nastała, pozostawiano uczniom więcej czasu; urządzano też czasem wspólne wycieczki w okolicę, zawsze pod przewodnictwem profesorów”[4].

A zatem wydaje się, że jeszcze w połowie XVIII wieku, choć w ramach rekreacji miały miejsce wycieczki za miasto połączone z zabawą, nie były one wielkim studenckim świętem, nie uważano ich nawet za obowiązkowe, a przede wszystkim nie miały tej powszechnie używanej od początków XIX wieku nazwy: majówka.

Warto zadać pytanie o genezę owych studenckich wycieczek za miasto, a także o przyczyny, dla których, ze sporadycznych wypraw na łono natury, przerodziły się w trwały i powszechny wśród uczniów szkół średnich zwyczaj majówek szkolnych tak chętnie i często opisywany we wspomnieniach szkolnych w wieku XIX.

Wybitny znawca dziejów Krakowa, Klemens Bąkowski, podkreśla, że do wieku XVIII mieszkańcy miasta niezbyt chętnie opuszczali jego mury, co najwyżej odwiedzali pobliskie ogrody, wsie i mieszczące się w nich ogródki z mleczarniami i kawiarniami. Bardziej ruchliwa była młodzież szkolna, która „już od połowy XVIII w. stale robiła wycieczki w nieco dalsze okolice, pociągając za sobą rodziców i starszych

---

2 Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, t. 3, Warszawa 1994, s. 178–179.
3 J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Warszawa 1985, s. 66.
4 J.S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, t. 1, Warszawa 1976, s. 369.

przynajmniej w pewne swoje uroczystości, z których powstały później majówki"[5]. Podobnie było w innych miastach Rzeczypospolitej.

Bąkowski przypomina, że w średnich wiekach w niemieckich miastach urzędową wycieczkę rekreacyjną odbywała młodzież nie wiosną, lecz w jesieni. Wycieczka taka zwała się *virgatum*, ponieważ na niej wśród żartów i wesołości żacy cięli rózgi (*virga* – rózga) i uroczyście przynosili je do szkoły na zapas, z którego czerpał nauczyciel, wymierzając im chłosty za rozmaite wybryki. Kraków – sądzi Bąkowski – wzorując się na niemieckich miastach, prawdopodobnie przejął ten zwyczaj. Tłumaczenie to byłoby dość zgrabne – inne miasta w Polsce z kolei wzorowały się na Krakowie! – gdyby nie fakt, że nie ma najmniejszej wzmianki o występowaniu zwyczaju *virgatum* w królewskim mieście.

Bystroń zauważył:

> W miastach zaczynał się wytwarzać [pod koniec istnienia I Rzeczypospolitej – R.K.] zwyczaj odbywania w te dni [chodzi o Zielone Świątki, Niedzielę Zesłania Ducha Świętego – R.K.] dalszych spacerów podmiejskich. [...] Mieszkańcy miast odbywali w te dni tradycyjne wycieczki podmiejskie, połączone z wesołymi zabawami; tak na przykład warszawiacy spędzali te święta na Bielanach. „Wiadomości Warszawskie" z roku 1766 tak o tym informują: Z rozkazu JKMości na Bielanach był bal tak wspaniały, jakiego tu nie pamiętają. Wschody od Wisły na górę i różne bramy, teatra i machiny nowo wystawione, rzęsistym ogniem i piękną inwencją iluminowane, przedziwny okazywały widok. Dodał wesołości fajerwerk pięknie zapalony. Nie tylko dla państwa, ale i dla pospólstwa wszystkiego hojnie dodawano. Dla chłopów też rozrywki i premie były wyznaczone[6].

Zielone Świątki, czyli Niedziela Zesłania Ducha Świętego (*Dominica Pentecostes* – ruchome święto obchodzone w pięćdziesiąt dni po Wielkiej Nocy), w interesujący sposób łączą tradycję chrześcijańską z dawnymi pogańskimi obrzędami, pożegnaniem wiosny i powitaniem lata, zapewnieniem płodności zwierzętom i roślinom; są w nim też echa obrzędów zadusznych. Na Zielone Święta dekorowano domy gałęziami drzew liściastych i modrzewia, gałęziami – w miastach – przyniesionymi z odwiedzanych w tych dniach podmiejskich terenów leśnych.

Także Kraków miał swoje Bielany, o których znajdujemy wzmiankę u K. Bąkowskiego:

> Odpust Bielański na Zielone Święta, zwykle w rozkwicie wiosny przypadający, gromadził liczne zastępy z Krakowa, a tem samym wielu kramarzy, kuglarzy, przekupniów. Połączono odpust z zabawą i oba popołudnia Zielonych Świąt gromadzą tysiące wycieczkowiczów w miłym lasku Bielan i Skał Panieńskich. W dzień ten ubierano gałęziami bramy domów i kraty okienne, podłogi wykładano tatarakiem[7].

---

[5] K. Bąkowski, *Dzieje Krakowa*, Kraków 1911, s. 274. Zob. także R. Kantor, *Przestrzenie ludyczne dawnego i współczesnego Krakowa. Wprowadzenie do problemu*, [w:] Praca zb., *Kraków ludyczny*, Kraków 2009, s. 47–68.

[6] J.S. Bystroń, *Dzieje obyczajów...*, t. 2, s. 62.

[7] K. Bąkowski, *Dzieje Krakowa...*, s. 276.

Zwyczaj udawania się na wiosnę na odpust z okazji Zielonych Świąt i połączoną z tym zabawę – nie sposób ściśle ustalić jego początków – utrwalił się w Krakowie i Warszawie pod koniec XVIII wieku. W tym samym czasie nie tylko w tych miastach, ale i w innych, w których działały szkoły średnie, utrwalił się zwyczaj organizowania majówek szkolnych. Oba te zwyczaje mają – jak sądzę – ścisły z sobą związek, choć niekoniecznie genetyczny. Okrzepły w czasach, gdy Polacy chętniej niż poprzednio opuszczali miasta, aby bawić się poza nimi. Zauważył to podróżujący po Polsce w latach 1791–1793 Fryderyk Schulz, który stwierdził, że mieszkańcy Warszawy – a prawdopodobnie i innych większych miast w Polsce – chętnie urządzają pikniki, w czym – zdaniem podróżnika – wyprzedzają ich jedynie berlińczycy.

> Piknik – pisze ten bystry obserwator – dla większego świata przedsiębierze i zajmuje się nim jeden z panów. On oznacza cenę po dziesięć, osiem, sześć i cztery dukaty od osoby i do tego stosownie się urządza. Stara się o salę, muzykę, jedzenie, wino i inne napoje. Na wiosnę wyprawiają się pikniki te najchętniej za miastem, w Marymoncie, Wilanowie, na Woli itp., zimą w salach za teatrem, w Radziwiłłowskim pałacu lub innych gmachach... Każdy, kto tylko bilet opłacić jest w stanie, udział w nich bierze, jakiegokolwiek stanu i pochodzenia. Nikt tu o to się nie troszczy, przy zabawach na nic się nie zważa... Z tego powodu podobne zgromadzenia, jak i inne w Warszawie, zawsze są liczne, wesołe i nader świetne. Taniec głównie zabawia młodzież i płeć piękną, karty płeć brzydką i starych. Ci mogą sobie siedzieć spokojnie, nikt ich nie ruszy, bo członkowie towarzystwa rzadko są sobie tak poufale znanymi, aby coś dla grzeczności lub wyrachowania czuli się w obowiązku uczynić. Do tańca wymaga się zręczności, ładnej postawy i można by najpochlebniejsze powziąć wyobrażenie o ludności Warszawy, gdyby się o niej sądziło z pikników, na których najdorodniejsze, najmilszej powierzchowności postacie się spotyka. Zaszedłszy do bocznych pokojów, można dopiero odkryć odwrotną stronę medalu[8].

Piknik, moim zdaniem, nie jest właściwym określeniem dla owych demokratycznych zabaw opisanych przez Schulza, zabaw, które jedynie wiosną odbywały się poza miastem, a i wtedy w zamkniętych pomieszczeniach. Ich urok polegał głównie, jak można sądzić, na tym, że ich uczestnicy mieli poczucie anonimowości i w związku z tym mogli sobie na wiele pozwolić. Na tak wiele, że nawet mało pruderyjny Schultz zawiesza w pewnym momencie relację.

Piknik (ang. *picnic*) – pojęcie to będzie wielokrotnie użyte – oznacza wedle słownika języka angielskiego *pleasure trip on which foot is carried to be eaten outdoors*[9]. Jak się przekonamy dzięki przytaczanym opisom majówek szkolnych, odpowiadały one tej wąskiej zresztą definicji. Były przyjemnymi wycieczkami, na które zabierało się jedzenie, aby je spożyć na świeżym powietrzu. Majówką zatem można (pomijając jej semantyczny związek z majem!) nazwać każdą wycieczkę za miasto, połączoną z posiłkiem. Piknik i majówka w istocie, aż do naszych czasów, oznaczały ten sam rodzaj zabawy[10].

---

[8] F. Schultz, *Podróż Inflantczyka z Rygi do Warszawy w latach 1791–1793*, Warszawa 1956, s. 185–186.

[9] A.S. Hornby, *Oxford Advenced Learners Dictionary of Current English*, vol. 2, Oxford 1974, s. 629.

[10] W polskim słowniku wyrazów obcych czytamy: „Piknik (ang. *picnic*) przestarz. zabawa towarzyska, zwykle składkowa, na wolnym powietrzu; majówka, wycieczka" (*Słownik wyrazów obcych*, red. J. Tokarski, Warszawa 1971, s. 570). W definicji tej zastanawiać może uznanie terminu piknik za przestarzały.

Odpust i zabawa na Bielanach (krakowskich i warszawskich), warszawskie pikniki opisane przez Schulza, uczniowskie majówki, w takiej formie, jaka nam się jawi we wspomnieniach z XIX wieku – mają z sobą wiele wspólnego, jednak majówka szkolna wyróżnia się tym, że jej dojrzały kształt był wynikiem administracyjnej decyzji, a forma ograniczona została czasem surowymi przepisami szkolnej dyscypliny. Otóż bowiem pisze K. Bąkowski:

> Wycieczki wiosenne, majówki, wzięły jak się zdaje początek swój koło r. 1783, kiedy Komisya Edukacyjna [Komisja Edukacji Narodowej – R.K.] zwróciła uwagę na fizyczne wychowanie młodzieży i w tym celu zaprowadzono w wielu szkołach musztrę pod kierunkiem podoficerów wojskowych, kiedy profesorowie geometryi i nauk przyrodniczych zaczęli z uczniami robić wycieczki dla pomiarów i zbierania roślin i minerałów. [...] We wszystkich rozkładach powtarza się polecenie dyrektorów, by w lecie w dniach wolnych od nauki chodzili z uczniami swoimi do ogrodu i tam odbywali z nimi ćwiczenia gimnastyczne, wojskowe, bawili się z nimi to w potykanie się w palcaty, w piłkę, w wyścigi itp. Zdaje się, że jedna z takich wycieczek, przeznaczona wyłącznie na zabawę, dała początek majówkom[11].

Tak oto nadano dotychczas sporadycznym i nieobowiązkowym wycieczkom młodzieży szkolnej „metodyczny" charakter. Po upadku I Rzeczypospolitej i jej systemu szkolnego majówki przetrwały, choć być może w szczątkowym kształcie (wydaje się, że ograniczono ćwiczenia wojskowe); w czasach Królestwa Polskiego (Kongresowego) i w okresie istnienia Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815–1846) były – o czym świadczą liczne relacje – częścią szkolnego rytuału. Przyjrzyjmy się bliżej majówkom szkolnym młodzieży krakowskiej, ich opisy bowiem odznaczają się barwnością i są nader bogate w szczegóły.

Majówki szkolne w Krakowie odbywały się niezmiennie na Bielanach, o których z rozrzewnieniem pisał krakowski polihistor Ambroży Grabowski, zapewne oddając uczucia wszystkich krakowian: „Śliczny to też mały kawałeczek Bożego świata... Piękny wyszedł z rąk Stwórcy i ludzie dotąd go przyozdobieniem swojem nie oszpecili"[12].

Majówki bielańskie podobno najwspanialszą formę przybrały w latach 1816––1822. Odbywały się zwykle w okolicach 3 maja i łączono je z obchodami patriotycznymi. Dyrektor Himonowski, chodząc od klasy do klasy wielce starożytnego Liceum Nowodworskiego (założonego w roku 1588), takimi słowami zapowiadał majówkę: „Po pracy potrzebne jest wytchnienie i skromna rozrywka; w nagrodę przeto dobrego sprawowania się waszego i pilności w naukach, będziecie mieli majówkę. Jutro więc znajdziecie się rano przed Kapucyny, a stamtąd udacie się na Bielany, przygotujcie

---

W jednym z leksykonów czytamy: „Piknik (majówka, wycieczka) przen. zabawa towarzyska, zwykle składkowa, na wolnym powietrzu" (D. i W. Masłowscy, *Leksykon uniwersalny*, t. 1, Kęty 2000, s. 421). Nie będę mnożył przykładów, kończę zatem definicją zamieszczoną w słowniku języka polskiego: „Piknik (ang. *picnic*) zabawa towarzyska na wolnym powietrzu, zwykle za miastem, połączona ze zjedzeniem zabranych ze sobą posiłków; majówka" (*Uniwersalny słownik języka polskiego*, t. 3, red. S. Dubisz, Warszawa 2003, s. 140).

[11] K. Bąkowski, *Dzieje Krakowa...*, s. 274–275.

[12] A. Grabowski, *Wspomnienia*, t. 2, Kraków 1909, s. 282.

się zatem, zachowajcie się przyzwoicie, a pojutrze daję wam rekreację"[13]. Była to zapowiedź aż dwóch dni wolnego – w końcu, jak głosił Arystoteles, niewolnik po ciężkiej pracy musi się zabawić!, a czyż dola ucznia nie upodabnia go do niewolnika? – co naturalnie wywoływało entuzjazm:

> Głośne, po wiele razy powtarzane: „dziękujemy – dziękujemy", radosnym odezwało się chórem. Przepadła po wyjściu rektora reszta godziny, przepadła lekcja cała, bo w powszechnym rozstroju, wszystka myśl koncentrowała się na upragnionym jutrze. Rozsądni też profesorowie, wyrozumiewając po ojcowsku ten szał dziecinny, kapitulowali z lekcjami swymi, zastępując takowe zajmującym jakim opowiadaniem, oraz życzliwymi a do okoliczności zastosowanymi radami[14].

Resztę dnia poprzedzającego wycieczkę wypełniało gorączkowe gromadzenie żywności:

> Pierwsze miejsce zajmowały sławne, ulubione, prosto z pieca, kapitalne babki... Były one na różne ceny... nawet po trzy grosze; ale choć najmniejsze, miały zawsze dużo rodzynek i migdał. Do niezbędnych przyborów należały zawsze serki owcze, bułki, masło i posilne serdelki. Kto miał rodziców lub krewnych, tego zaopatrywano w pieczone mięsiwo, szynki, ciasta i różne przysmaki; ale i najubożsi, choć nikogo z bliskich nie mieli, nie szli z próżnymi rękami, bo się z nimi zamożniejsi dzielili, wtedy bowiem znikały różnice rodu i stanu, a zostawało braterstwo[15].

W dzień wyprawy młodzież zbierała się „przed Kapucyny", to jest na placu przed kościołem i klasztorem Kapucynów, skąd ruszano pochodem, gdy „na dany znak odezwała się muzyka janczarska z ogromnym, większym od beczki bębnem, blaszanymi talerzami, dzwonkami i brząkadełkami na drzewcu"[16]. Młodzieży towarzyszyła bowiem orkiestra krakowskiej policji, z powszechnie ulubionym w mieście doboszem Jabłońskim na czele.

W tym dorocznym obrzędzie udział brało „niemal całe miasto", do pochodu dołączała młodzież akademicka, „za synami wybierały się matki, za braćmi i młodsze i starsze siostrzyczki. Podążali za ogółem poważni profesorowie Almae Universitatis, a do ich towarzystwa dołączali się sami nawet [...] senatorowie ówczesnej Rzeczypospolitej Krakowskiej"[17]. Zgodzić się wypada zatem, że „majówka na Bielanach była zarazem i świętem dla całego Krakowa"[18].

Intonowano pieśń, do której muzykę i słowa napisał jeden z nauczycieli, pieśń oddającą nastrój wycieczki i nadzieje jej uczestników, stąd godnej zacytowania mimo mizernej wartości literackiej:

---

[13] W. Baranowski, *Wspomnienia majówek...*, s. 294.
[14] *Ibidem*.
[15] *Ibidem*, s. 294–295.
[16] *Ibidem*, s. 295.
[17] *Ibidem*, s. 294.
[18] W. Goczałkowski, *Student Liceum św. Anny 1820–1824*, [w:] Praca zb., *Galicyjskie wspomnienia...*, s. 320.

Stawajmy bracia w szeregi
Już dzień nadszedł pożądany,
Oto widać Wisły brzegi,
Ujrzymy wkrótce Bielany [...]

Wiedząc, że nasza wyprawa
Wielkie mieć musi zapasy,
Że zajdzie potyczka żwawa,
Zginą pieczenie, kiełbasy.

Niech rycerz w hartownej stali
Doda blasku swojej skroni,
My w piłkę będziemy grali,
Nie brocząc braterskiej dłoni.

Wnet się z tej gry zrobią inne:
Palanty, lisy i mety,
Gdy tymczasem chłopcy zwinne,
Ustawią roty, pikiety.

Kiedy już z sił wycieńczeni
Pod cieniem drzewa siądziemy,
Miłym uczuciem wzruszeni
Inną piosnkę zanucimy[19].

Kawalkada wycieczkowiczów zmierzających ku Zwierzyńcowi i Bielanom wyglądała imponująco:

Ciągnęły długim łańcuchem karety, powozy, bryki, bryczki i fiakry. Na dwunastu akademickich koniach, na czele nauczyciel jazdy konnej Kogen, jechali jednako strojni dorośli akademicy, za nimi okazały zastęp majętniejszej młodzieży na własnych lub najętych koniach, wreszcie mastalerze i zwinne chłopcy krakowiaki. Szły taborem ładowne bryki i jednokonne wózki, jechali piekarze z bułkami, rzeźnicy z szynkami i mięsiwami, przekupki z pomarańczami i całymi kramami przysmaków. Na ten dzień Kraków w połowie się prawie wyludniał, ustał ruch i hałas, było pusto i głucho, i tę ciszę same tylko przerywały dzwony, zegary i staroświeckie z wieży mariackiej trąby[20].

Po tradycyjnej mszy odprawionej w eremie św. Romualda młodzież przystępowała do zabawy.

Po różnych stronach – wspomina W. Baranowski – potworzyło się co najmniej dwadzieścia oddziałów, a w każdym odmienne wymyślano rozrywki; profesorowie wszędzie czuwali, a obecność ich, zamiast krępować i onieśmielać, dodawała raczej ochoty i animuszu, bośmy byli przekonani, że nas kochali, bo w zabawach naszych chętnie brali udział; stąd wszędzie wesołość, ruch, wrzawa i życie. Tu pod cieniem drzew sami malcy w kółku posiadawszy bawili się w pierścień; tam między brzozami zrobiwszy z gałęzi huśtawki jedni od drugich wyżej się wznosili; gdzie indziej ubiegali się do mety i w tych wyścigach

[19] W. Baranowski, *Wspomnienia majówek...*, s. 295–296.
[20] *Ibidem*, s. 293–294.

zawstydzali głośnych szybkobiegów. Choć jeszcze uczonej gimnastyki nie znano, zręczna młodzież nasza wdrapywała się na gładkie wysokie drzewa co większa, przerzucali się z jednego drzewa na drugie, nieraz chwyciwszy się kruchej gałęzi już spadał i byłby się potłukł, gdyby się zręcznie nie wykręcił i na drugiej silniejszej gałęzi oparł. Ci głową na dół na rękach chodzili, ci migające się koziołki stawiali; jedni ręce w tył założywszy drobne przedmioty ustami z ziemi podnosili, inni się mocowali; inni długą żerdź pionową na zębach oparłszy, nie tracąc równowagi długo z nią chodzili[21].

Doprawdy, imponujący popis umiejętności niemal cyrkowych!

Do ulubionych zabaw młodzieży należała w owym czasie gra w lisa, zwana inaczej pytką, pytą. Polegała ona na gonitwach, które kończyły się okładaniem najwolniejszego biegacza pytą, czyli skręconą chustką lub sznurem. Zwykle wolno było bić tylko po rękach.

Po różnych miejscach widać było żwawe gonitwy, w których zawsze z wielką uciechą okładano pytką pana profesora Ludwika Kosickiego, ulubionego towarzysza podobnych zabaw. Ale gdy się przypadkiem jaki z nielubianych uczniów, który się pochlebiał, który skrycie donosił i skarżył, dostał pod pytkę, biada mu! bo takiego nie oszczędzano i takiego *ad intende* [tj. mocno, dosadnie – R.K.] dano, że całe życie pamiętał. Nie tyle go wszakże bolały dotkliwe razy, ile powszechny śmiech, radość i krzyki zadowolenia; a choć w skrytości płakał na tak surową i doraźną karę nie mógł się skarżyć, boć to przecież zabawa, żart, a przed chwilą sam pan profesor nielitościwie był bitym[22].

Zabawa ta, warto zauważyć, miała w sobie coś z inwersji karnawału, dozwolone było bicie profesora, który w „normalnym" czasie miał prawo do takiego traktowania ucznia!

Grano również w piłkę, ale nie nożną jeszcze, lecz w palanta, która to gra, dziś niemal zapomniana, dawała okazję do popisów zręczności[23]. Miłośnicy muzyki i śpiewu w „oddalonej ustroni" mogli ćwiczyć swoje talenty; dźwięki gitar, piszczałek, klarnetów i skrzypiec przyciągały amatorów.

Jednakże ze wszystkich zabaw największym powodzeniem cieszyła się podczas majówek „wojna". Początkowo, jak się zdaje, była to zabawa polegająca na podchodach, fortelach wojennych, działaniach taktycznych poszczególnych oddziałów i końcowym – przesądzającym o ostatecznym zwycięstwie którejś ze stron – pojedynku na drewniane miecze. Pojedynkowali się wybrani przedstawiciele obu „wojsk". Z czasem jednak, prawdopodobnie wkrótce po roku 1818, gdy w Krakowie powstało formalnie w obrębie liceum św. Anny (Nowodworskiego) drugie liceum, św. Barbary, istniejące zresztą niezbyt długo, boje toczyły się między grupami młodzieży z obu szkół nie na żarty, bo miewały niekiedy smutny koniec.

Pokaleczeni do chwili wymarszu kryli się po zaroślach i dopiero na apel wkręcali się niepostrzeżenie między swoich; tak czynili bursacy. Miastowi zaś, po odbytych turnie-

---

[21] *Ibidem*, s. 299–300.

[22] *Ibidem*, s. 300.

[23] Zob. W. Lipoński, *Rochwist i palant. Studium etnologiczne dawnych polskich sportów i gier ruchowych na tle tradycji europejskiej*, Poznań 2004, *passim*.

jach, nie czekając apelu, jak maruderzy wracali z guzami do swoich kwater, susząc sobie mózgi podczas wędrówki nad sposobami tłumaczenia się z odniesionych sińców, najprzód w domu, a potem w szkole. Rodzice czy opiekunowie zamiast podziwiać w odniesionych bliznach męstwo, niekiedy do nie zabliźnionych ran dodawali jeszcze nowe cięcia. Zwycięzca czy zwyciężony jednemu ulegał losowi[24].

Zwykle dobrze już po południu, jeśli deszcz – ten największy wróg majówek! – wcześniej nie rozpędził zgromadzonych, zbierano się, by zażyć odpoczynku i posilić się po trudach wojennych. Zapasów nie brakowało, zdarzały się też miłe niespodzianki, gdy znaczni krakowianie, prezes Senatu Stanisław Wodzicki, hrabia Artur Potocki, posyłali młodzieży podarunki w postaci rozmaitych przysmaków. „Pamiętam jednego roku p. Artur hrabia Potocki, niedługo po swoim do Krakowa przybyciu i zamieszkaniu Pod Baranami, [...] dla całej majówki sutą sprawił ucztę; kilka furgonów przysłał zapełnionych jadłem i trunkami tak dla uczniów, profesorów, jak niemal i dla całej publiczności tu zebranej zgoła – było to prawdziwie pańskie poczesne"[25]. Z kolei biskup Woronicz zyskał sobie wielkie uznanie, posyłając uczestnikom majówki: „wóz pełen darów [...] gdzie był kosz ciastek, ogromny ser szwajcarski i kilka beczek lekkiego bo owsianego piwa, zwanego powszechnie szlacheckim"[26].

Młodzież ucztowała w typowy dla majówek sposób: na trawie, racząc się suchym prowiantem. Profesorowie natomiast oraz ich goście, a wśród nich również reprezentanci młodzieży, gromadzili się na wystawny obiad w pobliskim budynku wiejskiej szkoły. Zwykle jedna i druga grupa ochoczo spełniały toasty, bynajmniej nie wodą, gromko wiwatowały na cześć lubianych profesorów i dobroczyńców młodzieży. Wszystko ma jednak swój koniec, czas było wracać.

Wracaliśmy uszczęśliwieni – pisze Walenty Baranowski – i mimo całodziennego ruchu i utrudzenia nie czuliśmy prawie zmęczenia, tylkośmy już nie szli takim samym szykiem co wprzódy; jedni się spieszyli, drudzy z wolna dążyli za ogółem: alež można się dziwić, że z powrotem naszym łączył się nieporządek, kiedy sami przewodnicy, nasi profesorowie, w nienormalnym stanie wracali[27].

Przed wejściem do miasta szyk porządkowano, aby przed Pałacem Biskupim przemaszerować z głośnymi wiwatami. Po zwyczajowym przemówieniu biskupa rozchodzono się do domów i burs. Następny dzień był wolny od nauki, młodzież mogła wypocząć, lecząc rany po tradycyjnej „majowej wojnie". Zdarzało się jednak, że poszczególne klasy pod kierunkiem swoich wychowawców, albo i bez nich, odwiedzały w tym dniu okolice Krakowa: Dąbie, Prądnik, Wolę Justowską, Olszę w poszukiwaniu „pamiątek historycznych".

Walenty Baranowski, z którego wspomnień obficie korzystałem, opisując krakowskie majówki, relację swoją podsumowuje obszerną i nader celną refleksją.

---

[24] T. Biechoński, *Bursa krakowska i bursacy w pierwszej ćwierci XIX wieku*, [w:] Praca zb., *Galicyjskie wspomnienia...*, s. 341.

[25] W. Goczałkowski, *Student Liceum...*, s. 320.

[26] W. Baranowski, *Wspomnienia majówek...*, s. 303.

[27] *Ibidem*, s. 304.

Pierwszym celem majówki jest zabawa – pisze – jednak obok zabawy był z niej pożytek pod względem higieny, a więcej jeszcze pod względem moralnym. Tu każdy dał się poznać, jakim jest i tu można było odgadnąć, jakim będzie. Tu był probierz usposobień i charakterów, tu w zarodzie samym można było dopatrzyć rzeczywistych przymiotów, bo tu wszystko na jaw wychodziło i choćby kto najtroskliwiej chciał ukryć ujemną swą stronę, mimowolnie się zdradził. Ten się okazał skąpcem – ten chciwym, ten popędliwym, ten podstępnym i chciwym. Kto wśród najżywszej wesołości stał z daleka, nie łączył się, nawet się nie uśmiechał, w tym odgadniono przyszłego człowieka i sąd doraźny zawyrokował, że będzie ambitnym i zimnym. Kto obfite pożywał przysmaki, a obok niego ubogi współuczeń miał tylko kawałek chleba i sera, a nie zwrócił na to uwagi i nie podzielił się z nim, to naprzód zawyrokowano, że będzie nieużytym [...]. Sąd współuczniów zwykle trafny i sprawiedliwy, wpływał nieraz na poprawę dopatrzonej podczas majówki wady. Niekiedy jeden fakt, jedna okoliczność zdradzająca jakie usposobienie lub skłonność, służyła do nadania uczniowi stosownego przydomku, który mu na całe życie pozostał, a często na poprawę wpłynął[28].

Majówki odbywały się, oczywiście, również w innych polskich szkołach, nie tylko w Rzeczypospolitej Krakowskiej. Dla porównania przytoczę opis majówki uczniów Liceum Krzemienieckiego, z około roku 1820.

W Krzemieńcu – pisze Aleksander Kozieradzki – gdzie było tyle młodzieży zamożnej i gdzie lubiano we wszystkim wystawę, i majówki odbywały się świetniej jak po innych szkołach. Około wioski Podleście o cztery wiorsty odległej, a pięknym odznaczającym się położeniem, między miłymi gaikami wcześniej już urządzano kilka namiotów, aby na przypadek chwilowego deszczu można było znaleźć schronienie. Dobrzyjałowski reputowaną swą cukiernię także tam urządzał. Na koniec inni przemysłowcy z bakaliami, pomarańczami, piernikami i innymi łakociami przygotowywali sobie namioty, tak iż wśród gaików podlesieckich tworzył się rodzaj bazaru[29].

Nie tylko „przemysłowcy", ale i uczniowie krzemienieccy oczekiwali na majówkę z wielką niecierpliwością.

Nareszcie w naznaczony dzień po bardzo rannej mszy studenci ze swą zwierzchnością przebywali miasto triumfalnie, bo naprzód szła muzyka, a za nią chorągwie szkolne, z jezuickich czasów jeszcze pozostałe, a niesione przez ochotników, dalej postępowała jazda, to jest ci uczniowie, którzy mieli ochotę i byli w stanie nająć sobie na cały ten dzień konie wierzchowe u nauczyciela konnej jazdy Olszańskiego; pod jego więc przewodnictwem konno udawali się na rekreację majową. Na końcu reszta szła uczniów. Za rogatką i chorągwie i muzyka przechodziły na wozy i reszta uczniów najętymi przez siebie bryczkami na poczcie lub u furmanów, bądź też piechotą udawali się do Podlesiec. Tam już pod czujnością zwierzchności dzień wesoło spędzano bądź na przechadzkach, bądź na rozmaitych grach. Około południa zgromadzała się reszta nauczycieli, a po południu i wielki świat krzemieniecki przybywał chcąc uczestniczyć w tej publicznej wiosennej rozrywce szkolnej. W tej to porze majowa rekreacja do najświetniejszego stopnia dochodziła. Muzyka w kilku miejscach rozłożona ciągle przygrywała, a młodzież tłumem spieszyła do nauczycieli, których przy okrzykach: Ura! do góry podnosiła[30].

---

[28] *Ibidem*, s. 303.

[29] A. Kozieradzki, *Wspomnienia z lat szkolnych 1820–1831*, Wrocław 1962, s. 193.

[30] *Ibidem*, s. 193–194.

Rozrywek było jeszcze więcej niż na Bielanach krakowskich.

> Pospolicie później przyjezdny sztukmistrz dawał reprezentację skoków na linie i sztuk konnych, po czym następowały między uczniami wyścigi piesze, a później wyścigi konne. Na koniec zmierzchem fajerwerk kończył rekreację, po którym wszyscy wracali do miasta, późnym już wieczorem zgromadzili się u rogatek, gdzie znowu młodzież takim porządkiem, jak wychodziła, zwykła wchodzić, to jest poprzedzana przez muzykę, chorągwie, pochodnie, postępowała jazda i piechota studencka przy wesołych a skromnych śpiewach, przebywała miasto i zatrzymywała się dopiero przed mieszkaniem dyrektora liceum, któremu głośnymi okrzykami radości podziękowawszy za dozwoloną rekreację, udawała się na spoczynek, a nazajutrz do dalszej pracy[31].

Jak widać, w zaborze rosyjskim młodzież była bardziej dyscyplinowana, miała mniej czasu na rekreację niż we wcześniej opisywanej Rzeczypospolitej Krakowskiej!

Interesująco pisze Kozieradzki o ciemniejszych stronach majowej zabawy.

> Ponieważ zaś już doroślejsza niektóra młodzież (bez czego się obejść nie może) miewała czasem niezbyt dobre skłonności, podczas więc rekreacji majowej policja szkolna pilnie czuwała i nad taką młodzieżą, i nad ludźmi, którzy gotowi są zadość czynić chęciom takiej młodzieży. Dlatego cukiernie były ciągle pod okiem jakiego bedela, dlatego i winiarz, który otrzymał pozwolenie być ze swoim towarem, był ciągle w towarzystwie bedela, który patrzył, aby młodzież wstrzemięźliwie się znajdowała. Każdej prawie majówki czyniono kontrabandy, to jest chwytano winiarzy, którzy w laskach pobudowali lochy i tajemnie niektórej zepsutej młodzieży, a na szczęście zbyt nielicznej, dostarczali trunków. Schwytani takim sposobem przedsiębiorcy oddawani byli w ręce policji, towar im konfiskowano na korzyść miejskiego więzienia, a młodzież obwiniona ulegała karom szkolnym[32].

Spójrzmy przy okazji, jakie to kary groziły młodzieży krzemienieckiej, w tym i za przewinienia popełnione podczas majówek.

> Kary szkolne – wspomina Kozieradzki – redukowały się do trzech rodzajów: do napomnień, do aresztu i do kary cielesnej. Ta ostatnia była wyłącznie używana w klasach, to jest dla dzieci, dla których różdżka hańby nie przynosi. Później czasem i na kursie pierwszym dla młodszych wiekiem, ale pod wielkim sekretem, używano rózgi. Lecz na ostatnich dwóch kursach kara cielesna nie była i nie mogła być używana bo by taki uczeń nie był cierpiany przez kolegów, a Bokszczanin [dyrektor liceum – R.K.], który chciał parę razy spróbować tego, naraził się na dotkliwe awantury i nie ośmielił się już więcej do tego kroku. Raz o mało nożem nie został pchnięty, a drugi raz o mało uczeń, którego chciał cieleśnie ukarać, życia sobie nie odebrał. Po strofowaniu zatem areszt od kilku godzin do kilku dni był jedyną karą. Jeśli uczeń był niepoprawny albo przewinienie większe, to go ekskludowano ze szkoły[33].

W tym samym czasie, czyli w pierwszej połowie XIX wieku, organizowano również majówki dla dorosłych. Wiemy o nich znacznie mniej, choć kilka opisów takich wycieczek daje wystarczający, moim zdaniem, pogląd na ich charakter. W roku

---

31 *Ibidem*, s. 194.

32 *Ibidem*.

33 *Ibidem*, s. 194–195.

1844, przykładowo, odbyła się majówka krakowskich aktorów. O przyczynach jej zorganizowania tak pisze Fryderyk Hechel, wybitny krakowski lekarz: „Pan Meciszewski, przedsiębiorca teatru krakowskiego, dla zjednania sobie umysłów aktorów tutejszych, którzy od niejakiego czasu zaczęli mu się buntować, zaprosił ich wszystkich na majówkę, czyli na zabawę wiosenną do Bielan; przysłał także do każdego z członków dyrekcji teatru list zapraszający do tejże majówki”[34].

F. Hechel był jednym z owych członków, lecz na majówkę przybył ze znacznym opóźnieniem, lepiej zatem oddać głos Stanisławowi Krzesińskiemu, znanemu aktorowi, który uczestniczył w imprezie od samego początku.

> W maju – [dokładnie 20 maja – R.K.] – pisze Krzesiński w swym nader interesującym pamiętniku zatytułowanym *Koleje życia* – wybrawszy dzień najpiękniejszy, dyrekcja wyprawiła artystom świetną majówkę. Raniutko dwa galary przystrojone chorągwiami teatralnymi, wieńcami, wyładowano żywnością i napojami; na jednym umieszczono całą teatralną muzykę, na drugim była dyrekcja z artystami. Gdy się wszyscy zebrali przy hucznej kapeli, galary podciągnięto aż pod Bielany, tam wysiadłszy, w lasku rozłożyliśmy się pokotem. Zastawiono stół obszerny, z przekąskami zimnymi jako pierwsze śniadanie, po czym wszyscy, to gromadnie, to częściowo, zabawiali się w różne gry. Śpiewano przy odgłosie muzyki różne chóry, były i huśtawki i gonitwy, póki nie przyrządzono obiadu. Stół obficie zastawiono różnością potraw, wybornym winem, piwem, które w porównaniu z winem było droższe, różne gatunki wódek, likierów maraskino, słowem, wszystkiego nie podobna wyliczyć. Z kolei spełniano rozmaite zdrowia, najprzód dyrekcji, potem Pfeiffra jako byłego dyrektora, a teraz czynnego reżysera, Anczyca jako nestora sceny, na koniec w ogóle wszystkich artystów[35].

Nie obeszło się bez zabawnej, a dla zainteresowanego nieco przykrej pomyłki.

> Przy licznych toastach – kontynuuje Krzesiński – między mnogością butelek, które wypróżniane znikały, a natychmiast ich miejsce pełne zastępowały, przypadkiem przed Królikowskim postawiono butelkę maraskino, które zupełnie miało kolor wina. Nalawszy spełnia duszkiem wzniesione zdrowie i poznaje pomyłkę. Zrazu nie podziałało to na nim widocznie, lecz po paru jeszcze lampkach wina, mimo czarnej kawy, którą mu obficie dawano, stał się bezprzytomnym, tak że w krzakach padł jak nieżywy[36].

Wydaje się, że Krzesiński stara się zatuszować fakt pijaństwa aktorów na tej, głośnej później w Krakowie majówce. Z kolei Hechel, przybywszy dopiero na obiad, zgryźliwie zauważył: „Wielu aktorów zastałem mocno podweselonych”[37].

> Po obiedzie – idźmy dalej za relacją Krzesińskiego – dyrekcja zaproponowała przechadzkę do Skał Panieńskich. Całe towarzystwo tam pociągnęło, lecz ja, Wisłocki i Holtzman pozostaliśmy przy śpiących. Urządzeniem całej tej uroczystości zajmował się Żebrowski i Czerski przy licznej usłudze. Wielu zamożnych kupców i obywateli krakowskich przybyło przypatrzyć się tej zabawie, a wielu brali wspólny udział. Wieczorem Królikowskie-

[34] F. Hechel, *Człowiek nauki, jakim był*, t. 2, Kraków 1939, s. 215–216.

[35] S. Krzesiński, *Koleje życia, czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych*, Warszawa 1957, s. 298.

[36] *Ibidem*.

[37] F. Hechel, *Człowiek nauki*..., s. 214.

go odwieziono do domu. Jedni wrócili galerami, inni pieszo, szosą przez Zwierzyniec, a ci, co poszli do Skał Panieńskich, powracali przez Błonie. Zabawa ta długo była pamiętna wszystkim. Mówiono o niej w całym mieście i chwalono wystawność i serdeczność Meciszewskiego, z jaką podejmował swoich artystów[38].

W następnym roku, bodajże 1 czerwca, odbyła się na Bielanach inna impreza, tym razem nadzwyczaj bogobojna, majówka połączona z loterią „na korzyść biednych protestantów". Środowisko protestantów nie było w tym czasie w Krakowie zbyt liczne, ale dość wpływowe, należał do niego wspomniany F. Hechel. Jemu należy oddać zatem głos jako uczestnikowi protestanckiej majówki:

Pastor Otremba – wspomina Hechel – który pensje utrzymuje, zebrał wszystkich swych uczniów i pospraszał wiele młodzieży, inni zaś poprzywozili z sobą swe córki i inne panny, tak iż wiele bardzo młodzieży zebrało się. Pastor ze swą czeredą już rano tam udał się, aby dzieciom swoim majówkę sprawić. My zaś udaliśmy się po południu. Pan Pape [dyrektor poczty pruskiej – R.K.] dał dwa pojazdy do zawiezienia swych znajomych; w koczu czterokonnym pani Viard, majorowa francuska, pani Maciołek, dyrektorowa poczty austriackiej, pani Pape, moja żona i pan Maciołek jechali, a w wielkim dyliżansie pruskim ja, pan Pape i pan Viard w kabriolecie na przodzie, 6 zaś młodych panien i 2-ch młodzieńców jechało wewnątrz tego wielkiego pojazdu. Około 4-tej stanęliśmy na Bielanach, tam zastaliśmy już liczne towarzystwo, a wielu jeszcze po nas przyjechało [...][39].

Główną atrakcją była loteria. „W godzinę po naszym przyjeździe – pisze Hechel – ciągniono loterię, było sto fantów a 250 biletów. Ja miałem kilka fantów po 2 złp. jeden, wygrałem figurę Napoleona bronzową, a żona moja piękną szklankę szlifowaną, inni inne rzeczy"[40].

Na tym nie kończyły się atrakcje wycieczki poza miasto.

Po loterii – relacjonuje dalej Hechel – ja z kilku paniami udałem się do klasztoru kamedułów, gdzie miałem znajomego przeora, Włocha, padre Dionisio i ten nas z największą grzecznością wszędzie oprowadzał; w godzinę stamtąd wróciliśmy i zastaliśmy młodzież tańcującą przy pięknej muzyce, a starsi popijali sobie winko i młodzieży po murawie skaczącej przypatrywali się. Tak pięknie, zgodno i wesoło bawiono się aż do pół do 9-tej, po czym wszyscy, z muzyką na czele, zeszliśmy pieszo na dół do publicznej drogi, gdzie mnóstwo pojazdów na nas czekało, a na 10-tą wróciliśmy do domu[41].

Jak się zdaje, podobnych majówek nie było zbyt wiele, każda odbijała się głośnym echem w mieście i zapewne zachęcała do naśladownictwa. Wycieczki za miasto rodzin wywodzących się z jednego kręgu towarzyskiego czy majówki, które łączyły ludzi na przykład na zasadzie wspólnoty wyznania bądź wykonywanego zawodu, to najprawdopodobniej naśladownictwo zwyczajów zagranicznych. Polacy przebywający poza granicami kraju chętnie przejmowali zwyczaj piknikowania (bo trudno go określić mianem rodzimym – majówkami), o czym świadczyć mogą dwa z wielu

---

[38] S. Krzesiński, *Koleje życia...*, s. 298–299.

[39] F. Hechel, *Człowiek nauki...*, s. 307.

[40] *Ibidem.*

[41] *Ibidem.*

opisów. Emigrant Józef Łoś wspomina o wycieczce *à la campagne* (na wieś, na łono natury), którą zorganizowało grono przyjaciół z Mickiewiczem na czele.

Jesień się zbliżała – pisze J. Łoś – [...] Z ochotą studentów na wakacje jadących porzuciliśmy mury naszego przebrzydłego Babilonu i jak ptaszkowie długo w klatce więzieni [...] przefrunęliśmy do St. Germain [...]. Za miastem, w niewielkiej odległości od pałacu, na wzgórkowatej przestrzeni, dość rozległy znajduje się lasek. Wśród młodej krzewiny wznoszą się z rzadka majestatyczne dęby. Na chropowatej piersi jednego z tych patriarchów Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, mieszkająca jakiś czas w St. Germain, polskim obyczajem obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej zawiesiła. Dąb ten każdemu z nas przywiódł na pamięć rodzinne ustronie, ja przeniosłem się myślą do mojej miłułowskiej zagrody, pod podobny dąb, z takim że samym obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, gdziem w dzieciństwie przy zachodzie słońca przesiadywał z siostrami, wijąc z modraku wieńce do naszej ukochanej kapliczki. Rozsiedliśmy się na zielonym kobiercu, otoczyli Mickiewicza, który swoim zwyczajem, prawie w ciągłym będąc podnieceniu ducha, gorącym do nas przemówił słowem[42].

Potem Juliusz Słowacki, który również uczestniczył w tym niezwykłym spotkaniu, zaczął czytać – ponoć dość monotonnie – *Pana Tadeusza*. Niezbyt to odpowiadało zebranym.

Któryś więc – pisze Łoś – zawołał „Pójdźmy na grzyby" – i wszyscy naraz rozbiegli się w różne strony lasu między krzaki, z panią Celiną Mickiewiczową i panną Deybel. Niechcący, choć w miniaturze, powtórzyliśmy jeden z owych miłych obrazków, jakimi przepojona jest nasza narodowa epopeja. Żniwo było dosyć obfite. Co tu z nim zrobić? Skonsumować na miejscu, uchwalono. Wyborna myśl! Zaraz też ten pobiegł do miasteczka po tygiel, ten po sos, pieprz i masło, drudzy po suche gałązki i chrust. Rozniecono ogień wbrew zakazowi na tablicy przybitemu i przy pomocy licznych kuchcików panie nasze wyborną sporządziły potrawę. Dziwne, że Polacy tak chętnie u siebie obce naśladują zwyczaje. W dalekich od ojczyzny krajach lubią otaczać się swojską atmosferą i wtedy, to co lekceważyli, staje się miłym i świętym. Późno wróciliśmy do Paryża[43].

Oczywiste jest, że w tym przypadku europejski zwyczaj odbywania wycieczek na wieś, wiosennych na ogół, ale też jesiennych, nasycony został polską specyfiką – grzybobraniem. Musiało to zaskakiwać Francuzów, którzy – poza truflami – grzybów w owym czasie w ogóle nie spożywali.

Kilkadziesiąt lat później, z początkiem XX wieku, Jakub Wojciechowski, młody emigrant zarobkowy z Poznańskiego, przebywał w Niemczech.

Było to już lato – czytamy w jego zadziwiających pamiętnikach pisanych fonetyczną polszczyzną, a zawierających pierwszorzędny materiał obrazujący życie i obyczaje emigrantów – to my też raz sobie z naszem polskiem towarzystwem zrobili wycieczke do lasu, który sie też znajdował między Wanne a Herten. I tam to też my się wybrali z całą bagażą jechać: wóz z piwem i cygarami. Polskie dudy i skrzypce odgrywały polskie koncerty. Były rozmaite mowy gadane w duchu narodowym. W tym lesie też się tam bardzo wiele naszych rodaków dało widzieć, tak samo niejedne rodaczki ze swojemu córkami. I też już

[42] J. Łoś, *Na paryskim i poznańskim bruku*, Kórnik 1993, s. 40–41.
[43] *Ibidem*, s. 40.

się polskie dzieci szkolne mogły zdomóc i polskie piosenki zaśpiewać. I tak my się tam ładnie ucieszyli. Chociaż na niemieckiej ziemi, ale była polska zabawa[44].

Takie polskie zabawy odbywały się dość często w środowiskach polskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych. Przejęły one – bo przecież emigranci byli w ogromnej przewadze pochodzenia wiejskiego i nie przynieśli z sobą tradycji majówek nieznanych na polskiej wsi nieomal do naszych czasów – anglosaski zwyczaj piknikowania. Pikniki etniczne, czyli gromadzące uczestników jednej narodowości, odbywały się w miejskich parkach (na przykład w Chicago), co niekiedy prowadziło do zatargów między grupami i owocowało zakazami organizowania podobnych imprez[45].

Wróćmy na obszary Polski. Zwyczaj szkolnych majówek, bo one są głównym tematem moich rozważań, trwał nieprzerwanie przez cały wiek XIX, choć – jak się zdaje – o ile można tak sądzić na podstawie Krakowa, ich popularność po upadku Rzeczypospolitej Krakowskiej malała. Atrakcyjność wycieczek szkolnych była największa wtedy, gdy młodzież i dorośli mieszkańcy miast rzadko je opuszczali w celach rekreacyjnych, gdy zaczęto czynić to częściej, w grupach rodzinnych, w gronie przyjaciół, o majówkach szkolnych pamiętniki i wspomnienia donosiły już znacznie rzadziej. Być może, jeśli wierzyć wspomnieniom ówczesnych uczniów, pod koniec XIX wieku nastała znów moda na majówki szkolne. Miały one jednak wyraźnie odmienny charakter od wcześniej opisywanych, były pozbawione efektownej oprawy i o wiele mniej gromadne. W majówkach szkolnych w ostatniej ćwierci XIX wieku brali udział uczniowie z jednej lub co najwyżej kilku klas, nie jak przedtem całe szkoły i wszyscy nauczyciele – a ich organizacją zajmowały się komitety uczniowskie, w rzeczywistości najczęściej – jak między innymi wspomina uczestnik takich imprez Karol Korta – „mamusie komitetowych".

One to – czytamy we wspomnieniach tego ucznia Gimnazjum św. Anny w Krakowie – kupowały ze składek uczniowskich prowianty w formie bochenków chleba prądnickiego, bułek, szynek, całych dyszków pieczonej cielęciny, zwojów kiełbasy, kół sera szwajcarskiego i innych „jadowitych" rzeczy. Zapasy te zabierały wozy przybrane zielenią, na których komitetowi dążyli już wczesnym rankiem na miejsce majówki, aby koledzy, którzy nadciągnąć mieli przed południem, zastawali wszystko na ich przyjęcie gotowe. A kilkugodzinny spacer wywoływał wilczy apetyt! Więc chłopcy rzucali się na jadło, zapijając je cieńkim piwem, kwaśnym mlekiem, herbatą lub, z braku innego napoju, świeżą zimną wodą, która najlepiej gasiła pragnienie. A kiedyśmy zaspokoili głód zaczynały się gry i zabawy. Odchodziła ulubiona wówczas zabawa „w zbóje i żandarmy", graliśmy w piłkę i „w pliszkę", urządzali wyścigi do mety lub próbowali sił w zapasach. Brutalnego boksu na szczęście nie znaliśmy[46].

Majówki odbywały się, jak niegdyś, na Bielanach, ale też w wielu innych miejscowościach w okolicach Krakowa (Krzeszowice, Tenczynek, Alwernia, Mników,

---

[44] J. Wojciechowski, *Życiorys własny robotnika*, Warszawa 1985, s. 317.

[45] Zob. np. R. Kantor, *Uniwersalizm i partykularyzm zabawy. Spojrzenie etnologa*, „Zabawa i Zabawka" 1999, R. 3, nr 1–4, s. 21.

[46] K. Korta, *Gimnazjum św. Anny w Krakowie. Wspomnienia ucznia z lat 1888–1896*, Kraków 1938, s. 184.

Mogiła). Karol Korta konkluduje: „majówki za naszych lat młodych gruntowały uczucia koleżeństwa i solidarności wśród młodzieży. Ale poza tym dawały w czasach niewoli politycznej sposobność do nieskrępowanego niczym ujawniania swych uczuć patriotycznych. W drodze – jadąc czy idąc – oraz na miejscu majówki śpiewaliśmy chórem pieśni narodowe”[47].

W jednym z listów do Józefa Weyssenhoffa, późniejszego znanego pisarza, Konstanty Górski (po latach ceniony historyk sztuki, jedna z bardziej znanych postaci młodopolskiego Krakowa), opisuje majówkę zorganizowaną w roku 1878 również w Gimnazjum św. Anny. Opis ten zasługuje na przytoczenie, jest bowiem nader szczery, jak przystało na korespondencję między przyjaciółmi. Ma również szczególny nastrój.

> W pierwszych dniach maja – pisze Górski – była u nas majówka szkolna. Dyrektor postanowił sobie nie dopuścić do tego, nauczyło go bowiem przeszłoroczne doświadczenie, że i z prześwietnym gronem profesorów i z uczniami, i z nim samym dzieje się jak z Dolskim [bohater sztuki Fredry *Wielki człowiek do małych interesów* – R.K.], to jest, że wszystko lata w koło „kosem, kosem”. Ale *nec Hercules contra plures*, a cóż dopiero Stawarski contra uczniów? Kazaliśmy zamknąć drzwi do gimnazjum. Tłumy otoczyły kancelarię i zapełniły podwórze wrzeszcząc: „majówka, no! Dyrektorze, majówka!”, a niektórzy krzyczeli: „na szubienicę z dyrektorem”! Przerażony wyleciał Stawarski z kancelarii, kłaniał się w koło, zbladł i czerwoną chustką poty obcierał. Zaczął coś mówić, ale mu okrzyki przerwały. Zadowoleni zwycięstwem opuściliśmy szkołę. I nie wierz teraz w rewolucję[48].

Wymuszona na dyrektorze majówka opisywana przez Górskiego, nawet biorąc poprawkę na sporą przesadę widoczną w tym opisie, to istna orgia alkoholowa.

> Teraz zmiana scenerii – kontynuuje Górski – a nowa dekoracja śliczna. Las olszowy i bukowy, pod lasem łąka, wśród lasu wielkie białe samorody, na jednym z nich posąg Matki Boskiej ubrany w kwiaty przez wiejskie dziewczyny, na innych chorągwie, stoły, ławek kilka dookoła, ognisko opodal, a pod dębem jeden z uczniów wybrany na gospodarza majówki na antałku piwa jak Bachus siedzi i w szklanki rozlewa. Na górze nad głową krzyczą: „Wiwat!”, tak, że aż się las trzęsie, na dole w parowie odezwał się drugi toast, jak echo, aż wreszcie wzniosło i echo zdrowie profesorów. Potem u nas wiwaty i tak po kilkunastu obozach, bo każda klasa ma osobne prowizje wina, a każden z profesorów musi przynajmniej raz pić w każdym obozie. Mowy gorące sypią się do belfrów, gorące, bo wszyscy Bacha ciągniemy kwas. Miałem pięć długich oracji, ogromnie gorących i zupełnie nie w duchu konserwatywnego „Przeglądu Polskiego”. Cytaty z Mickiewicza sypały się jak z księgi. Profesorowie, bardzo czuli, dziękowali mię ściskaniem, podawaniem ręki, częstowaniem papierosami[49].

Niewykluczone, że niemożność utrzymania dyscypliny zarówno wśród uczniów, jak i profesorów skłoniła władze szkolne do ograniczenia, czy wręcz zaniechania podobnych, grupujących całe szkoły, w tym niemałą liczbę mocno patriotycznie nastawionych uczniów, i ogół nauczycieli, majówek. O wiele spokojniej, jak się wydaje,

[47] *Ibidem*.

[48] M.K. Górski, J. Weyssenhoff, *Z młodych lat. Listy i wspomnienia*, Warszawa 1985, s. 184.

[49] *Ibidem*.

bawiła się młodzież w mniejszych grupach, pod okiem nauczyciela klasowego lub wybranych rodziców.

Kiedy już – pisze na koniec Górski – koledzy moi profesorów napodnosili do góry do woli, a mnie nawysyłali w deputacji z 10 razy, zaczęli i mnie podnosić. Po różnych lisach, kotkach i myszkach wróciliśmy do domu. Po szerokich błoniach otaczających miasto szliśmy śpiewając różne drogie pieśni [...], zacząłem deklamować, co mi tylko na myśl przyszło [...]. O dziesiątej wieczorem byliśmy w Krakowie. Nazajutrz, bo musi być i epilog, byłem kwaśny, niezdrów i śpiący[50].

O majówkach urządzanych przez „towarzystwo krakowskie", w tym samym czasie, pisze inny akademik, znany później pisarz, Ferdynand Hoesick:

[...] gdy przyszła wiosna i początek lata, zbiorowe majówki za miasto, urządzane przez panią Beaupre, zawsze się udawały znakomicie; czy to się szło pieszo na Panieńskie Skały, czy się jechało wynajętymi, zielenią ustrojonymi wozami na Bielany lub do Mnikowa. Wycieczki te, w ogromnym towarzystwie z koszami pełnymi prowiantów, z samowarem, z tańcami na trawie, ze śpiewami chóralnymi, z różnymi dobranymi parkami, które się miały ku sobie, z powrotami w świetle księżyca, odznaczały się dziwnie sielskim i polskim urokiem. Bawiliśmy się na nich cudownie, serdecznie wdzięczni ich zacnej inicjatorce, która nam umiała przysporzyć tak miłych wrażeń, tak niezapomnianych chwil. Bo jak zapomnieć chwil, w których na tle pięknej natury, jak np. wśród romantycznych skał Mnikowa, wśród słonecznej pogody wiosennej, w wesołej i rozbawionej gromadzie miało się wiosnę w duszy, czuło się młodym i szczęśliwym[51].

Uroków wycieczek poza miejsce zamieszkania, na łono przyrody, doświadczać zaczęła w początkach XX wieku, zrazu nieśmiało, również ludność chłopska, która wcześniej – jeśli w ogóle – podróżowała w celach innych niż praktyczne, to jest do miejsc kultu religijnego czy do Krakowa, miejsca pielgrzymek patriotycznych[52]. Okazji po temu dostarczyć mogły kościelne uroczystości, o czym świadczy poniższy opis.

W roku 1908 – pisze ks. Józef Dembieński – przypadł jubileusz 50-lecia kapłaństwa Ojca św. Piusa X. [...]. Uchwaliliśmy na ten obchód najpierw akademię uroczystą po nieszporach na sali w Bierzgłowie, a po niej pochód ze sztandarami papieskimi przez wioskę Łążyn na jakąś łączkę poza wioską. [...] zabawa przy pięknej majowej pogodzie udała się znakomicie. Ludzie przeze mnie usilnie upomnieni, zachowali się wzorowo. Tylko jeden z uczestników, niejaki Kwiatkowski, znany nałogowiec, nieco sobie podpił. Bynajmniej się nie upił, jak to zwykle czynił przy każdej sposobności, ale bądź co bądź się już nieco taczał. Uczestnicy tej imprezy byli bardzo zadowoleni, ba, zachwyceni. Po też przy zakończeniu, w ostatnich przemówieniach, nie mieli dość słów, aby mi wyrazić swą wdzięczność, za taką imprezę, jaką pierwszy raz w życiu przeżywali[53].

---

[50] *Ibidem*, s. 185.

[51] F. Hoesick, *Powieść mojego życia*, t. 1, Wrocław 1959, s. 435–436.

[52] Zob. R. Kantor, *Kraków – wielka scena narodowego teatru*, [w:] Praca zb., *Klejnoty i sekrety Krakowa*, Kraków 1994, s. 37–62.

[53] Ks. J. Dembieński, *Radości mało – goryczy dużo*, Warszawa 1985, s. 218–219.

Podsumowując, majówki szkolne, które rozwinęły się ze szkolnych rekreacji, przerodziły się w pierwszej połowie XIX wieku w wielkie, ceremonialne wycieczki ogółu uczniów, nauczycieli i zapraszanych gości w podmiejskie okolice. Często towarzyszyły im zastępy przypadkowych mieszczan – obserwatorów. Takie majówki stawały się gromadnymi zabawami, czymś w rodzaju znanych również powszechnie zabaw łączonych z odpustami w niedaleko od miast położonych klasztorach (na przykład w krakowskich i warszawskich Bielanach). Majówki szkolne z czasem utraciły swoją wystawność, swój niemal rytualny charakter. Przerodziły się w podmiejskie wycieczki jednej czy kilku klas. Podobne, choć bardziej kameralne, wycieczki – znane przez cały XIX wiek, nie nazbyt częste – stały się na przełomie XIX i XX wieku bardzo popularne. Miewały charakter ściśle rodzinno-towarzyski, ich uczestnicy należeli do stosunkowo wąskiego kręgu rodzinnego i z daną rodziną związanego kręgu towarzyskiego. Bywały jednak wycieczki członków rozmaitych organizacji: charytatywnych, zawodowych, politycznych, religijnych. Wycieczki poza miasto organizowały też kółka krajoznawcze, a także drużyny skautingowe (harcerskie), organizacje patriotyczne (Gniazda Sokole), związki młodzieży katolickiej, socjalistycznej itp. Można powiedzieć bez jakiejkolwiek przesady, że wycieczki majówkowe (tak zwane tradycyjnie, choć odbywane w owym czasie nie tylko wiosną, ale i latem oraz jesienią) często połączone z zabawami tanecznymi na wolnym powietrzu były powszechne w XX wieku, odbywały się nawet na przykład w okresie okupacji niemieckiej; należały do najbardziej popularnych form spędzania wolnego czasu w środowiskach przede wszystkim miejskich. Uczestniczyli w nich dorośli, młodzież i dzieci ze wszystkich warstw społecznych.

Czy obecnie, w początkach XXI wieku odbywają się majówki, czy pojęcie to oznacza coś innego niż popularne codzienne nabożeństwa majowe, czy i w jakim rozumieniu używa się współcześnie pojęcia piknik, które przez cały wiek XX w polskiej kulturze co najwyżej używane było zamiennie z pojęciem majówka?

Spróbuję odpowiedzieć na te pytania na podstawie obserwacji własnych, dokonywanych w latach 2003–2011 w Krakowie oraz na podstawie skrupulatnego studiowania wybranej prasy codziennej wychodzącej w tym mieście.

Nie trzeba wnikliwej obserwacji życia współczesnej społeczności miejskiej, takiej jak krakowska, aby stwierdzić, że najrozmaitsze organizacje samorządowe, korporacje, towarzystwa, fundacje itp. organizują niezliczone imprezy, których ludyczny charakter nie ulega wątpliwości, choć rzeczywiste, a nie deklarowane cele organizatorów nie ograniczają się do tej sfery. Zauważalne jest również wielkie urozmaicenie nazw, którymi te imprezy są określane. Przykładowo (kolejność wymieniania raczej przypadkowa): jarmarki, targi, kiermasze, zjazdy, spotkania, zloty, majówki, festyny (na przykład rodzinny, przeciw przemocy), zabawy plenerowe, święta (na przykład kopca Wandy, ulicy Brackiej, Sukiennic, ale czasem bardziej oryginalnie: Wrzosowe Święto Ziemniaka, karnawały na przykład ulicy Poselskiej – w sierpniu!), festiwale (na przykład pierogów), parady (na przykład jamników, zabytkowych tramwajów). Do najbardziej popularnych określeń należy piknik, o wiele rzadziej pojawia się określenie majówka.

Wyselekcjonowany materiał badawczy stanowi kilkadziesiąt relacji z imprez nazwanych przez organizatorów, niekiedy przez piszących o nich dziennikarzy, pikni-

kami. Relacje te zostały ujęte, zgodnie niekiedy z sugestiami dziennikarzy, czasem zgodnie z intuicją badacza, w kilka kategorii. Ich przegląd poparty przykładami posłuży do sformułowania wstępnych wniosków na temat, czym są dziś pikniki, kto je organizuje, dla kogo, jakie treści zawierają i jaką odgrywają rolę we współczesnym – przypomnijmy: miejskim społeczeństwie konsumpcyjnym. Czy mają i ewentualnie jakie wspólne cechy z piknikami (majówkami) sprzed wieku lub dwu. Czy dzisiejsze osławione „wyjazdy integracyjne" to skrajnie zwulgaryzowana forma pikników – jak zdają się sądzić ich krytycy – połączenie seksualnych orgii z grillowaniem na łonie natury?

Pierwszą wyselekcjonowaną kategorię stanowią, moim zdaniem, pikniki, które określam mianem klasycznych. Urządzane poza miastem przez zakłady pracy, rzadko wzbudzają zainteresowanie prasy, toteż trudno ustalić ich zasięg i liczebność, a tym samym znaczenie dla określania stopnia ludyczności kultury danej zbiorowości. Bez wątpienia warto im poświęcić więcej uwagi i miejsca w trakcie systematycznych badań nad kwestiami współczesnego ludyzmu.

Oto fragmenty opisu jednego z owych, zdaje się, że licznych, klasycznych, współczesnych pikników.

> Co roku pracownicy Walcowni Zimnej kilkakrotnie spędzają kilka weekendów w plenerze. Dla wielu jest to jedyna okazja do wypoczynku i wyjazdu z Krakowa. W ostatnim wyjeździe do Pińczowa wzięło udział 450 osób. Wyjazdem tym zainaugurowano 45-lecie zakładu. [...] Podczas samego pikniku najważniejsze były oczywiście rozgrywki sportowe. [...] Wśród konkurencji sportowych znalazły się zawody w przeciąganiu liny, [...], łowienie rybek, przebieranie fasoli, biegi w workach czy rzutki. Aplauz towarzyszył kręceniu hula-hoop, a zwłaszcza występowi Magdy Mozol, która kręciła przez ponad 40 minut, bijąc nieoficjalny rekord świata. [...] Kto nie kibicował sportowcom lub nie brał udziału w zawodach, mógł posilić się grochówką lub kiełbasą lub posłuchać zespołu muzycznego BB[54].

Nawiasem pisząc, w tekście dziennikarskim użyto określenia weekend, jak wiadomo od jakiegoś czasu ten termin oznaczający koniec tygodnia wszedł do potocznej polszczyzny. Należy przypomnieć, że w polskiej tradycji mocno tkwiącej w chrześcijaństwie, przynajmniej przez wieki, to sobota była końcem tygodnia, a jego początkiem niedziela.

Aby uwypuklić zasadniczą różnicę między klasycznym a współczesnym piknikiem, przytoczę przykład drugi:

> Jedni siłowali się na rękę, inni w tym czasie „wyciskali" sztangę. Potem wszyscy posilili się darmową kiełbaską z grilla. Po raz pierwszy na miasteczku Politechniki Krakowskiej w Czyżynach zorganizowany został piknik, połączony z wielkim grillowaniem. [...] Całą imprezę zorganizowali sami studenci. Zdobyli pieniądze od sponsorów na jedzenie, czyli kiełbaski i chleb, i napoje, a także na nagrody. Żacy we własnym już zakresie zaopatrzyli się w piwo. – „To było pierwsze, zorganizowane, wielkie grillowanie przed akademikami. W ciepłe dni i tak niektórzy wychodzą grillować na trawę przed akademikami. Niektórym nie przeszkadza nawet deszcz. Wtedy przenoszą się na schody przy wejściu do akademi-

---

[54] *Piknik na początek*, GK z dn. 14.10.2004.

ków" – opowiada Robert Kamieniarz [członek Rady Osiedla Politechniki Krakowskiej – R.K.]. Studenckie grillowanie zakończyło się o godz. 2 w nocy[55].

Dwa opisane powyżej pikniki (drugi – „grillowanie" – chyba współcześnie najprostszy i najbardziej rozpowszechniony sposób spędzania wolnego czasu, grillować można dosłownie wszędzie, nawet na balkonie bloku osiedlowego) różnią się głównie tym, że pierwszy odbył się daleko od miejsca zamieszkania uczestników, choć w mieście (Pińczów, Ośrodek Sportu i Rekreacji), drugi – tuż „za progiem" akademika. Relacjonowane przez prasę współczesne pikniki odbywają się najczęściej w miejscu zamieszkania ich uczestników. Nie oznacza to, oczywiście, że przestano wyjeżdżać za miasto, „na świeże powietrze". Grzybobrania połączone z piknikiem, nieśmiertelne „pieczenie ziemniaków" itp. imprezy poza miastem odbywają się na ogół w małym gronie towarzyskim, nie są to imprezy masowe, nie zajmuje się nimi prasa.

Wszelkie spotkania towarzyskie, łącznie z rodzinnymi, pełnią funkcję integracyjną i dotyczy to również współczesnych pikników. Często pojęcie „integracja" znajduje się w nazwie imprezy. Oto kilka przykładów ukazujących, jak rozumiana jest przez organizatorów owa integracja.

> Emocje sportowe, warsztaty ceramiczne, przebieranie się, grillowane kiełbaski – na wczorajszym pikniku szkół Społecznego Towarzystwa Oświatowego im. J. Słowackiego atrakcji nie brakowało. Już od dwunastu lat dyrekcja na początku czerwca organizuje integracyjne pikniki. Wczoraj rodzice, nauczyciele i uczniowie spotkali się na stadionie KS Zwierzyniecki. – Dorośli przychodzą, by porozmawiać i odpocząć. Uczniowie zaś mogą liczyć na dobrą zabawę. Organizujemy dla nich mecze, konkursy, występy. Integrują się też poprzez pracę – pieką sami kiełbaski, sprzedają sałatki i ciasta, przygotowane przez mamy – mówi Mirosława Ćwierzyk, nauczycielka języka francuskiego[56].

O innym wymiarze integracji (tu oznacza ona wspólną zabawę dzieci niepełnosprawnych i w pełni sprawnych) świadczy kolejna relacja:

> Nawet ulewny deszcz nie zepsuł dzieciom zabawy podczas II Pikniku Integracyjnego „Witaj smoku", zorganizowanego przez Samorządowe Przedszkole nr 28 i Agencję Artystyczną „Socjeta". W tym roku odbył się on na Małych Błoniach w Krakowie. [...] Pomysł zorganizowania pikniku zrodził się wśród nauczycieli Przedszkola nr 28. O tym, jak bardzo był trafiony, może świadczyć fakt, że w zeszłym roku z planowanej imprezy w ogródku przedszkolnym przerodził się w wielki festyn na bulwarach wiślanych. – „Nauczyciele z naszego przedszkola przyglądali się – jak wygląda życie i kto zajmuje się dziećmi niepełnosprawnymi. Zauważyły [sic! – R.K.], że często ich edukacja odbywa się tylko w przedszkolu i właściwie te dzieci nie mają się gdzie poza nim spotkać, gdzie się pobawić. Postanowiły to zmienić i zorganizowały piknik integracyjny [...] – opowiada dyrektor Bożena Michalska. „Dostaliśmy zaproszenie od organizatorów, ponieważ w naszym przedszkolu funkcjonuje grupa specjalna. To bardzo fajnie zorganizowana impreza. Dzieciom najbardziej podobają się koniki i ruady, choć myślę, że później zainteresują się także dmuchaną zjeżdżalnią i radiowozem. Nasze przedszkolaki wystąpią także na scenie z pokazem tańców świata" – mówiła Joanna Gondek, nauczycielka z Przedszkola nr 99.

[55] *Studenckie grillowanie*, DP z dn. 26.04.2005.

[56] *Piknik z tradycją*, GK z dn. 7.06.2004.

Oprócz wymienionych atrakcji dla dzieci przygotowano również rozmaite konkursy plastyczne, pokaz tresury psów, pokaz straży pożarnej oraz wiele innych zabaw na świeżym powietrzu, a także poczęstunek. Wszystkie dzieci zostały obdarowane również wieloma prezentami pozyskanymi przez przedszkole od sponsorów, ponieważ – jak mówią organizatorki – „w Krakowie jest wiele dobrych serc, które chcą pomagać. Trzeba tylko umieć poprosić”[57].

Inny tego typu piknik opisuje sprawozdawca z „Dziennika Polskiego”:

Chłopcy grali w siatkówkę i strzelali karne, dziewczynki ustawiały się w kolejce do malowania paznokci. W Pikniku Integracyjnym Domu Kultury „Podgórze” wzięło udział ponad 400 osób niepełnosprawnych. „Zabawy w parku Bednarskiego organizujemy już od prawie czterech lat. Dzieci niepełnosprawne bawią się na wolnym powietrzu, a ich zdrowi rówieśnicy wymyślają dla nich gry i konkursy” – tłumaczy Andrzej Ormowski, prezes Fundacji „Podarować Sport”, która wraz z DK „Podgórze” i Wydziałem Spraw Społecznych Urzędu Miasta organizują piknik. [...] Młodzież pod opieką doświadczonych alpinistów wspinała się na skałki, starsi woleli rzucać obręczą do celu i jeździć na kucykach do hipoterapii. Prawdziwa kolejka młodych i starszych dam ustawiła się przed stolikiem, przy którym dziewczyny z Technikum Gastronomicznego nr 2 malowały buzie i paznokcie. [...] Chłopcom wolontariuszki malowały twarz w węże albo na „komandosa”[58].

Na zakończenie prezentacji pikników integracyjnych jeszcze jeden przykład:

Kilkaset osób bawiło się wczoraj na pikniku w domu pomocy społecznej przy ul. Łanowej 41. Do późnego wieczora tańczono i śpiewano. Była też uczta dla żołądków – częstowano gości grochówką, pizzą i mnóstwem innych smakołyków. Piknik jesienny w domu pomocy społecznej przy ul. Łanowej ma już dziewięcioletnią tradycję. I za każdym razem przybywają tu setki osób. Bawią się razem mieszkańcy krakowskich domów pomocy społecznej, lokatorzy sąsiednich osiedli, uczniowie i dzieci z przedszkoli. [...] Pokaz umiejętności dała straż pożarna i policja. Dziecięce zespoły taneczne zachęcały obecnych do tańca. Przejażdżki na koniach i ostra jazda na motorach najbardziej trafiały w gusta pensjonariuszy. „Choć organizujemy zabawę od dziewięciu lat, cel imprezy pozostaje ten sam. Dążymy do tego, by zbiorowość lokalna odrzuciła wrogość i brak zrozumienia dla osób chorych psychicznie. Poprzez takie pikniki próbujemy też włączyć mieszkańców placówki w życie społeczne” – podkreśla dyrektorka domu opieki społecznej Anna Stefańska[59].

Opisy te nie wymagają szerszego komentarza, rola tego rodzaju pikników wykracza daleko poza ich funkcje ludyczne. Cieszyć się należy, że z roku na rok rośnie w Krakowie (nie wątpię, że podobnie jest w innych polskich miastach) ich liczba. Dziś szacować można, że odbywa się ich 15–20 rocznie, a przynajmniej o tylu wspomina miejscowa prasa.

Wiele interesujących nas imprez ma charakter pikników rodzinnych. Ich celem jest gromadzenie całych rodzin (w praktyce rodzin trzypokoleniowych) i wciągnięcie ich w zabawę. Osiąga się to różnymi sposobami, o czym świadczą poniższe przykłady:

---

[57] *Mogły się spotkać – były szczęśliwe*, DP z dn. 10.06.2006.

[58] *Wspinaczka i manicure*, DP z dn. 18.06.2005.

[59] *Piknik z pizzą i grochówką*, GK z dn. 11.11.2003.

Pogoda w sobotnie popołudnie dopisała jak nigdy! Boisko przy Szkole Podstawowej nr 162 na Kurdwanowie zapełniło się dzieciakami i ich rodzicami, którzy przyszli zabawić się na dorocznym Rodzinnym Pikniku Regionalnym. [...] Piknik odbył się po raz dziewiąty. Na gości czekało mnóstwo atrakcji, m.in. występy zespołów tanecznych, pokazy sztuk walki, gimnastyki artystycznej i zawody sportowe: przeciąganie liny, rzut wałkiem do celu, rodzinny bieg w workach czy ciesząca się największym zainteresowaniem dzieciaków siatkówka – kocówka. [...] Jak na prawdziwy piknik przystało, nie zabrakło balonów, cukrowej waty i dmuchanych zamków[60].

Jak widać, udział rodziców w zabawie dzieci był w tym wypadku raczej symboliczny. Lepiej pod tym względem wypadł inny piknik:

Przez trzy dni trwały imprezy w ramach Rodzinnego Pikniku Olimpijskiego na bulwarze Czerwieńskim pod Wawelem. [...] Kasia Kołodziej uczestniczy z rodzicami w wielu imprezach. [...] Wczoraj razem z rodziną uczestniczyła w wieloboju rodzinnym, zajmując wysokie drugie miejsce. [...] Do wieloboju rodzinnego, który zawierał następujące konkurencje: skakanka lub kapkowanie piłką, hula-hoop i podnoszenie 10-kilogramowego ciężarka zgłosiło się 8 rodzin. 11 rodzinnych zespołów rywalizowało w jeździe na deskorolce. [...] Do turniejów strzałów na bramkę zgłosiło się 12 rodzin[61].

Wydaje się, że organizatorzy nie mają jeszcze pomysłu na piknik rodzinny, na prawdziwie rodzinną zabawę, nie jest bowiem rzeczą łatwą znaleźć wspólny „mianownik zabawowy" dla dorosłych i dzieci. Mimo tej uwagi nie zapominam, że na niemal wszystkich piknikach, które obserwowałem, przeważającą część uczestników stanowiły rodziny.

Wyróżnić można kolejną kategorię pikników, które nazwałem piknikami tematycznymi, są adresowane do szczególnego rodzaju uczestników, do osób różnej płci i wieku, których łączy wspólna pasja. W Krakowie wśród wielu tego rodzaju imprez największym zainteresowaniem cieszą się pikniki wojskowe, lotnicze i archeologiczne. O tym, co ich organizatorzy proponują uczestnikom, czytamy w relacjach prasowych:

[...] ledwie rozpoczął się Piknik Militarny na stadionie WKS „Wawel", deszcz się uspokoił. Po raz pierwszy krakowianie mieli okazję obejrzeć taką ilość sprzętu wojskowego i broni, używanych współcześnie podczas pokojowych misji przez polskich żołnierzy. Przy wejściu na stadion witał wszystkich BRDW, czyli bojowy rozpoznawczy dowódczy wóz, znany może lepiej jako kołowy transporter opancerzony. [...] Na stadionie można też było zajrzeć do polowej komory dekontaminacyjnej [...]. Wielu widzów przyciągało [...] stanowisko saperów, gdzie można było nie tylko obejrzeć, ale też samemu przymierzyć buty przeciwwybuchowe – nadmuchiwane „materace", które nakłada się na nogi. „O 95 procent zmniejszają nacisk człowieka na podłoże" – opisywał podporucznik Cezary Godlewski z I Brzeskiej Brygady Saperów – „Można w nich chodzić po minach przeciwpiechotnych. Robiliśmy różne eksperymenty: można w tych butach przejść po jajku czy po pustym pudełku z papierosów i te przedmioty wychodzą bez szwanku". Nie zabrakło ciekawskich przy kuchni polowej, która po złożeniu zamienia się w zgrabną,

[60] *Siatkówka – kocówka i rzut wałkiem do celu*, GK z dn. 15.05.2006.
[61] *Deszczowy konkurs*, GK z dn. 6.09.2004.

łatwą w transporcie przyczepę. Dzieciaki z zachwytem podziwiały także ciężki sprzęt wojskowy: dźwigi, pojazdy do odkażania czy dostarczania wody pitnej. Piknik umilały występy orkiestr wojskowych, zespołów rockowych i ludowych. Na zgłodniałych czekały przysmaki z grilla i wojskowego kotła[62].

Równie wielką atrakcją dla mieszkańców Krakowa są pikniki lotnicze. Tak pisano o pierwszej tego rodzaju imprezie:

Przez dwa dni w Muzeum Lotnictwa Polskiego odbywał się piknik lotniczy – Chcieliśmy nawiązać do popularnych w okresie międzywojennym i w latach pięćdziesiątych [ubiegłego wieku – R.K.] masowych imprez – pokazów lotniczych, które gromadziły tłumy gości. Takich pokazów nie było tutaj od 40 lat i uważamy, że warto odnowić starą tradycję, bo Muzeum (jedyne w Polsce) ma się czym pochwalić – tłumaczy Krzysztof Radwan, dyrektor muzeum. W lotach i podniebnych akrobacjach zaprezentowało się ponad 20 samolotów, [...] gościom szczególnie podobał się występ Zespołu Akrobatycznego Żelazny. Trzech pilotów (pierwsza w Polsce cywilna grupa pokazowa) zaprezentowało niesamowite podniebne ewolucje [...]. Nie były to jedyne atrakcje, jakie czekały na odwiedzających gości – dostali oni do dyspozycji cały 40-hektarowy obszar Muzeum Lotnictwa. Mogli zwiedzać stałe ekspozycje (historyczne i współczesne samoloty i helikoptery), stoiska firm motoryzacyjnych, wystawę sprzętu i wyposażenia 6. Pomorskiej Brygady Desantowo-Szturmowej i straży pożarnej, a także wystawy modeli latających. [...] Dodatkową atrakcją były pokazy skoków spadochronowych. Najmłodsi mieli do dyspozycji lunapark Smokoland – oczywiście i tutaj nie zabrakło elementów lotniczych. [...] – „Mamy nadzieję, że impreza wpisze się na stałe w kalendarz imprez lotniczych" – podsumował dyrektor Radwan[63].

Rzeczywiście tak się stało, zarówno pikniki wojskowe, jak i lotnicze są imprezami dorocznymi, niezwykle popularnymi wśród krakowian. Przybywają na nie mieszkańcy nawet z daleko od Krakowa położonych miejscowości[64].

Do podobnej popularności aspirują pikniki archeologiczne, z których jeden z pierwszych zorganizowano koło kopca Wandy, a kolejne w podkrakowskich Branicach.

W niedzielę odbył się pierwszy przy kopcu Wandy piknik archeologiczny. Były też specjalne pokazy [...] walk Wojów Wiślańskich z drużyny Krak, warsztaty tkanin i lepienia garnków. Kto miał ochotę, mógł własnoręcznie ulepić coś z gliny, ewentualnie utkać.

---

[62] *Piknik po wojskowemu*, DP z dn. 21.06.2004.

[63] *Żelazne skrzydła*, GK z dn. 28.06.2004.

[64] Wypadek, jaki miał miejsce w 2009 roku, kiedy to samolot wracający z pikniku rozbił się na Osiedlu Tysiąclecia i zginął pilot oraz jeden z pasażerów, być może zakończył tak popularną imprezę. „Piknik Lotniczy w Czyżynach – czytamy w krakowskiej prasie – w tym roku nie odbędzie się, ponieważ Urząd Lotnictwa Cywilnego uchylił przepisy, na podstawie których był organizowany. [...] Teraz lądowisko w Czyżynach ma status regulowany przez ustawę o prawie lotniczym. Zgodnie z nią, mogą tam lądować samoloty tylko w sytuacjach kryzysowych i w czasie akcji ratunkowej" (*Koniec lotniczych pikników w Krakowie?*, DP z dn. 14.06.2011). Ale już w 2012 roku można było przeczytać: „Do kalendarza tegorocznych imprez lotniczych w Polsce dopisano właśnie Małopolski Piknik Lotniczy 2012. Impreza ma się odbyć na terenie Muzeum Lotnictwa Polskiego na Czyżynach 1 i 2 września. Oznacza to, że jeden z największych pokazów lotniczych w Polsce wraca po rocznej przerwie". Zob. A. Agaciak, *Piknik lotniczy powraca na Czyżyny*, DP z dn. 16.07.2012.

Dzieci żywo interesowały się walkami wojów, było także wiele chętnych na czasowe tatuaże celtyckie (Celtowie zasiedlali tereny dzisiejszej Nowej Huty ok. 300 r. p.n.e.). Wśród pań niebywałą sensację wzbudziła oryginalna biżuteria, wykonana według starych wzorów i sposobów. Już za 20 złotych można było stać się posiadaczem oryginalnych kolczyków albo naszyjnika. Po południu na kopcu Wandy zagrała muzyka. Organizatorzy zaprosili zespoły Dark Hamsters i Inshallah i TSA[65].

W przypadku pikników tematycznych daje się zauważyć dążenie organizatorów do wzbogacania z roku na rok ich programów – są to zwykle imprezy doroczne. Z początkowo skromnych, lokalnych pokazów przeradzają się one w imprezy masowe o zasięgu wręcz międzynarodowym (chodzi tu przede wszystkim o pikniki lotnicze i militarne) z bardzo bogatym programem adresowanym nie tylko do „fanów" danej tematyki, niektórzy z nich to kolekcjonerzy, ale do najszerszych kręgów społeczeństwa.

Niektóre pikniki nazywane są edukacyjnymi, co – moim zdaniem – podkreśla najczęściej jedną tylko, nie zawsze najistotniejszą ich funkcję. W istocie edukacyjnymi można by nazwać nieomal wszystkie pikniki, tak jak wszystkie pełnią funkcję ludyczną-zabawową; przyjmijmy jednak, że można wyróżnić kategorie pikników edukacyjnych ze względu na subiektywne intencje organizatorów oraz obiektywnie wysuwającą się na plan pierwszy funkcję dydaktyczną. Oto anons jednego z pikników, który został nazwany edukacyjnym:

XVI-wieczny warsztat szewski i fryzjerski, kuchnię, stanowisko astrologiczne i mennicę królewską będą mogły odwiedzić dzieci w najbliższą niedzielę. [...] Dzieci będą odwiedzać poszczególne stanowiska, zbierając sprawności. Zyskają okazję, aby wykazać się umiejętnością plecenia warkoczy na czas, nauczyć się żonglerki od kuglarzy, wziąć udział w miniturnieju rycerskim. Po zebraniu wszystkich sprawności będą pasowani na damę dworu lub rycerza. Uczestnicy proszeni są o przybycie w strojach z epoki – zorganizowany zostanie konkurs na najlepszy kostium renesansowy. – „Piknik edukacyjny to okazja, aby poznać kulturę dworską i przenieść się do dawnych wieków. Dzieci będą mogły uczestniczyć w atrakcyjnej lekcji historii odbywającej się poza murami szkolnymi" – mówi koordynator programu Katarzyna Tojanowska[66].

Coraz częściej organizowane są pikniki charytatywne, zwykle z inicjatywy korporacji zawodowych i fundacji.

II Charytatywny Piknik Rzemieślnika i Kupca odbył się w sobotę w Krakowie. Małopolska Izba Rzemiosła i Przedsiębiorczości oraz Krakowska Kongregacja Kupiecka zadbały o to, by uczestniczyli w nim członkowie obu organizacji z całego województwa, a w przypadku kupców również z Przemyśla. Impreza rozpoczęła się od meczu piłkarskiego na boisku Tramwajarza. Drużyna kupców i rzemieślników rywalizowała z reprezentacją Telewizji Kraków. Po ubiegłorocznym remisie, tym razem lepsi okazali się kupcy i rzemieślnicy wygrywając 2:1 [...]. W pikniku, który przebiegał pod hasłem „Piracka podróż na wyspę otwartych serc", uczestniczyli m.in. prezydent Krakowa [...] i Przewodniczący Rady Miasta [...]. Obaj przekazali na aukcję dary, które wśród wielu innych zlicytowano.

---

[65] *Piknik z Wandą*, GK z dn. 3.07.2006.

[66] *Piknik dla dam i rycerzy*, GK z dn. 30.05.2006.

Zysk zostanie przeznaczony na pomoc podopiecznym DPS im. Helclów i Domu Dziecka im. Jana Brzechwy[67].

Wielu pikników nie udaje się zakwalifikować do żadnej z wymienionych kategorii. Być może imprezy takie stanowią pierwociny nowych kategorii, które się z czasem ustalą, być może mają charakter efemeryczny. Są jednak na tyle interesujące, że warto im poświęcić nieco miejsca.

Przykład I. Flisacki Piknik Góralski:

Jutro na Błoniach zapanuje góralski klimat. Ci, którzy zdecydują się przyjść o godz. 12 na al. Focha, będą mogli zobaczyć, jak wygląda robienie oscypka – od udoju do gotowego wyrobu, na czym polega gręplowanie wełny i przędzenie, a także jak się strzyże owce [...]. W programie imprezy także inne atrakcje. Będą pokazy związane ze żniwami: robienie powróseł, młócenie cepami, czyszczenie i mielenie zboża. Organizatorzy – Stowarzyszenie Flisaków Pienińskich i Fundacja „100 lat KS Cracovia" zadbają, by tego dnia nikt się nie nudził. Będą konkursy z nagrodami, a wieczorem na wszystkich gości czeka muzyka i tańce na łące. Do tańca przygrywać będzie góralska kapela Lubań[68].

Podobne imprezy, odbywające się zwykle poza wielkimi miastami, często w skansenach, nazywane bywają targami, jarmarkami, festiwalami folkloru, dniami folkloru, bądź mają różne gwarowe nazwy. Niezwykle rzadko, jak w tym przypadku, noszą nazwę pikniku, intuicyjnie nawet mało stosowną. Dodam tylko, że łąka przy al. Focha to oczywiście krakowskie Błonia, wielkie „pastwisko" w środku miasta.

Przykład II. Kurdwanowski Piknik Europejski:

Słoń z wrocławskiego zoo, łososie na kanapce prosto z Gdańska, pierniki prawdziwe toruńskie, pyry z czosnkiem, krakowska zupa z kaszą i grochem – na sobotnim pikniku europejskim, zorganizowanym przez Szkołę Podstawową nr 126, znaleźć można było przysmaki z ośmiu polskich miast. Uczniowie przedstawili ponadto legendy, architekturę i tradycje prezentowanego grodu. Wszystko zaczęło się od programu europejskiego, w którym uczniowie SP 126 aktywnie uczestniczą – „Po prezentowaniu państw UE i euroregionów przyszedł czas na polskie miasta" – wyjaśnia zastępca dyrektora szkoły Janina Illukowicz. Uczniowie przygotowali programy o Gdańsku, Toruniu, Wrocławiu, Gnieźnie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Zakopanem. Dużym zainteresowaniem cieszyły się kramy. Na krakowskim stoisku królowała krakowianka Agnieszka, z preclami, widokówkami i opowieściami ze smoczego grodu [...]. Uczniowie zapraszają za rok. Co pokażą? To jeszcze tajemnica[69].

Podobne „europejskie" imprezy, o charakterze dość kameralnym, odbywały się często w roku 2004, w związku z przystąpieniem Polski do UE, ale nie były nazywane piknikami. Cykl imprez organizowanych w Krakowie w związku z tym wydarzeniem w tzw. długi weekend majowy nazywano długą europejską majówką. W prasie krakowskiej, pomijając wspomniany powyżej przykład, nie zetknąłem się z określeniem „piknik europejski".

---

[67] *Bawili się kupcy i rzemieślnicy*, GK z dn. 25.09.2006.
[68] *Piknik na Błoniach*, GK z dn. 18.08.2006.
[69] *Od Krakowa po Gdańsk*, GK z dn. 10.05.2004.

Przykład III. Piknik Galicyjsko-Morawski:

W imprezie uczestniczyli nie tylko krakowianie, ale także goście z Czech, m.in. zespół Kruszpanek z Wielkiej Bystrzycy, który zaprezentował ludowe tańce z okolic Ołomuńca. [...] Na pikniku, prócz strawy dla ducha, nie zabrakło też uciech dla ciała, serwowano bowiem grochówkę, prawdziwy wiejski chleb ze smalcem, kiszone ogórki oraz kwargle – ołomunieckie serki o ostrym smaku i wyjątkowo intensywnym (niektórzy twierdzą, że wprost nieznośnym) zapachu, cieszące się w Ołomuńcu wielkim powodzeniem[70].

Wydaje się, że opisany piknik jak najbardziej zasługuje na nazwę „europejski", wcześniej czy później organizatorzy podobnych imprez – można je nazwać międzynarodowymi – zapraszając uczestników z sąsiednich krajów, czy w ogóle z krajów Unii Europejskiej, będą korzystali z tego określenia.

Przykład IV. Piknik Ekologiczny:

Pokaz mody zabawek ekologicznych, wierszyki o zatrutej wodzie i głośnej muzyce w lesie, a także piosenki o segregacji śmieci można było usłyszeć podczas pikniku ekologicznego w Przedszkolu Niepublicznym „Bajka", zorganizowanego w ramach obchodów Dni Ziemi 2005. Od rana zaplanowano występy artystyczne. W przerwach zaproszeni goście mogli podziwiać zabawki ekologiczne wykonane na warsztatach z rodzicami: samochody z puszek po napojach, owady z plastykowych butelek, strachy na wróble z kapsli itp. W przedszkolnych salach przygotowano też wystawę prac plastycznych o tematyce przyrodniczej. [...] Dzisiaj przedszkolaki z „Bajki" wybierają się na spacer – z plenerem plastycznym na Łąkach Nowohuckich. W czwartek, jeśli pogoda dopisze, odbędzie się kolorowy korowód dzieci wokół osiedla, propagujący życie w czystym środowisku[71].

Przykład V. Piknik dla zwierzaka:

W niedzielę na Błoniach można było zaadoptować bezdomnego kota lub psa, pokazać pupila weterynarzowi albo porozmawiać o kłopotach zwierząt z behawiorystą. Najwięcej atrakcji było dla dzieci, bo to one mają najbardziej czułe serca i w przyszłości mają dbać o dobro czworonogów. – „Zawsze chciałem mieć psa i bardzo długo na niego czekałem. Psy trzeba brać ze schroniska, bo są smutne i trzeba je uszczęśliwić" – mówił ośmioletni Dymitr, który z mamą i młodszym bratem Benedyktem jako pierwsi wzięli do domu młodego kundelka. Rodzinny piknik dla zwierzaka przygotowali po raz drugi Fundacja Nauka i Kultura oraz Agencja PR Point. „Piknik daje możliwość zbadania zwierzęcia przez psiego kardiologa, bez umawiania wizyty, kolejek i stresu. W przyszłości chcemy naszą akcję rozszerzyć na inne miasta w Polsce. Kraków na razie daje dobry przykład" – mówi Katarzyna Góralczyk[72].

Akcja bez wątpienia cenna, a także okazja do dobrej zabawy na Błoniach, ale co to wszystko ma wspólnego z klasycznym piknikiem. Czy zabrakło pomysłu, aby sensowniej nazwać imprezę?

---

[70] *Piknik z kwarglami*, DP z dn. 17.05.2004.

[71] *O segregacji śmieci to piosenka*, DP z dn. 20.04.2005.

[72] *II Piknik dla zwierzaka*, DP z dn. 20.09.2010.

Jak widać, inwencja organizatorów pikników jest ogromna, choć – trzeba to przyznać – nie wszystkie tak określane imprezy mieszczą się w nawet najszerszej definicji tego pojęcia.

Czas sformułować wnioski z dotychczasowych rozważań i analiz zaprezentowanych przykładów. Będą one miały charakter wstępny, niemal wszystkie warto byłoby zweryfikować na podstawie liczniejszych materiałów i pogłębionych obserwacji.

Po pierwsze, wydaje się, że pojęcie piknik jest nadużywane, często po prostu stosowane bezrefleksyjnie. Utożsamiane niekiedy z majówką[73], co bywa najczęściej sensowne, służy również do określania imprez, którym przysługiwać powinny inne nazwy, na przykład festyn, zabawa szkolna. W ten sposób zatraca się współczesne rozumienie podstawowej cechy pikniku, czyli miejsca. Dziś piknik rozumiany jest, przede wszystkim, jako zabawa miejska – odbywająca się w mieście – nie poza nim, w podmiejskim, wiejskim plenerze – jak bywało jeszcze pół wieku temu. To zabawa pod gołym niebem, choć nawet i ten wymóg nie bywa brany pod uwagę. Pikniki odbywają się w parkach miejskich, na bulwarach nadrzecznych, na łąkach (w Krakowie na wielkiej łące w środku miasta – Błoniach), w ogródkach przyszkolnych i przyprzedszkolnych, na boiskach, słowem, niemal na każdej, nawet najmniejszej, zielonej przestrzeni miasta.

Po drugie, coraz więcej instytucji państwowych, samorządowych i fundacji ochoczo pomnaża liczbę pikników, w ostatnich latach, zwłaszcza po roku 2000, liczba ich narasta lawinowo. Nie przesadzę, szacując, że w ciągu roku odbywa się ich w Krakowie nie mniej niż 500–1000. Trudno oszacować liczbę uczestników, bowiem jedne z nich przyciągają kilkudziesięciu uczestników, inne kilkuset, a nawet kilka tysięcy.

Po trzecie, udział sponsorów, co jest nieuniknione z powodu ambicji organizatorów (na przykład chcących zaserwować choćby skromny darmowy poczęstunek), ponoszących coraz większe koszty, powoduje z kolei, że pikniki stają się coraz bardziej komercyjne, stają się imprezami promującymi sponsorów i reklamującymi ich produkty.

Po czwarte, daje się zauważyć, że pikniki w zasadzie adresowane są do wszystkich, co często jest deklarowane w ogłoszeniach, w istocie jednak przede wszystkim do dzieci i ich rodziców oraz – to w przypadku pikników tematycznych – do określonych kategorii zainteresowanych, na przykład hobbystów. Obserwacja działań reklamowych w trakcie pikników pozwala rozpoznać po ich charakterze właściwego adresata, czyli jak to dziś potocznie się mówi „rozpoznać target".

Po piąte, większość zabaw miejskich pod gołym niebem, zwanych piknikami, łączona jest z konsumpcją potraw (raczej dość prostych: najczęściej to kiełbaski z grilla oraz przysłowiowa grochówka, albo i jeszcze mniej wyrafinowany chleb ze

---

[73] Niekiedy dochodzi do zabawnych nieporozumień. „Zrezygnowano z pikniku, jaki dotąd – czasem przy niepogodzie i ulewach – towarzyszył tej uroczystości. W tradycyjnej majówce uczestniczyli uczniowie i studenci szkół tischnerowskich" (*Elitarnie, bez pikniku*, DP z dn. 15.05.2006). Z tekstu wynika, że owa „tradycyjna majówka" to wykłady i dyskusje w zamkniętych pomieszczeniach, zatem – możemy podejrzewać, że piknik, bez którego owa elitarna impreza się odbyła, to też wykłady i dyskusje, tyle że na wolnym powietrzu!

smalcem, ale „prawdziwym”, „domowym” lub „wiejskim”). Również zestaw napojów nie bywa nadto urozmaicony, jeśli pojawia się alkohol, jest to piwo.

Po szóste, zadziwia rozmaitość zabaw oferowanych uczestnikom pikników, od bardzo tradycyjnych (na przykład biegi w workach, przeciąganie liny, choć brakuje jakże niegdyś popularnego wspinania się na wysmarowany mydłem słup, na którego szczycie umieszczano cenne przedmioty), do całkiem nowych, nieraz zaskakujących (na przykład zabawa polegająca na wykonywaniu tatuaży).

Współczesne pikniki przypominają pod wieloma względami niegdysiejsze pikniki – wycieczki za miasto połączone z zabawami i konsumpcją jadła i napojów. Jest także wiele różnic, poczynając od fundamentalnego faktu, że dzisiejsze pikniki odbywają się w mieście. Największa różnica, moim zdaniem, polega jednak na tym, iż niegdyś pikniki były rzadkim ludycznym przerywnikiem w egzystencji skupiającej się na pracy lub nauce, były prawdziwym świętem, oczekiwanym i przeżywanym bardzo emocjonalnie, były otoczone – przynajmniej do jakiegoś czasu – rozbudowanym ceremoniałem (zwłaszcza majówki – pikniki szkolne). Dziś jest to masowa rozrywka, owszem wyrażająca dążenie współczesnego człowieka (dzieci i dorosłych) do realizowania się w zabawie, z pewnością dająca wielu zadowolenie, sprawiająca przyjemność. Jednakże jest to zabawa jedna z wielu, przez swoje częste występowanie i wspomnianą masowość zbanalizowana, a z pewnością nie tak znacząca, aby ją po latach opisywać w pamiętnikach. Któż zresztą pisze dziś pamiętniki?

IV. NOWE PRZESTRZENIE ZABAWY. SUPERMARKETY JAKO DOMY POPKULTURY. BONARKA W OCZACH STUDENTÓW

„Naprawdę nie rozumiem, czemu antropolodzy uważają, że muszą jechać w najdalsze zakątki świata, dostawać dyzenterii i malarii w celu studiowania osobliwych kultur plemiennych o dziwacznych wierzeniach i tajemniczych obyczajach, skoro najdziwniejsze, najbardziej zagadkowe plemię ze wszystkich mamy tuż-tuż za drzwiami".

Kate Fox

Nowe przestrzenie zabawy

Wyjaśniając problematykę swojej głośnej książki, G. Ritzer pisał: „Jej temat to mnożenie się z zawrotną szybkością miejsc, które umożliwiają nabywanie mnóstwa towarów i usług, zachęcają do tego, a nawet zmuszają. Będziemy je nazywać nowymi środkami konsumpcji"[1]. Te nowe środki konsumpcji są także, moim zdaniem, środkami konsumpcji zabawy, gdyż podstawowym towarem w nich oferowanym nabywcom jest zabawa, zabawa połączona z konsumpcją.

Najbardziej spektakularnym przykładem nowych środków konsumpcji zabawy, choć nie jedynym, jest centrum handlowe[2], w którym odbywa się na wielką skalę konsumpcja różnorodnych towarów, w tym także zabawy i rozrywki, a ponadto sam proces konsumowania – dzięki m.in. wyrafinowanym sposobom zagospodarowania przestrzeni, formom ekspozycji towarów, nastrojowi budowanemu coraz bardziej uwodzącymi środkami – staje się po prostu zabawą. Konsumpcja nabiera autote-

[1] G. Ritzer, *Magiczny świat konsumpcji*, tłum. L. Stawowy, Warszawa 2001, s. 15.

[2] O genezie i rozwoju centrów handlowych pisze G. Makowski, *Świątynia konsumpcji. Geneza i społeczne znaczenie centrum handlowego*, Warszawa 2003, s. 15–60. Nie mogę zaprzeczyć, że centra powstały w XX wieku, gdy rodziło się społeczeństwo konsumpcyjne, w nowoczesnym rozumieniu tego terminu. Jednak już wcześniej intensywnej konsumpcji oddawały się zamożne grupy społeczne, dla których budowane były galerie handlowe – protoplaści dzisiejszych „demokratycznych", przeznaczonych „dla każdego" galerii handlowo-rozrywkowych. Jedna z nich Gallerie Vittorio Emanuele w Mediolanie do dziś robi wielkie wrażenie: „Czterokondygnacyjna galeria handlowa została zbudowana w bombastycznym stylu z lat 60. XIX wieku. Ze swoimi wzorzystymi kafelkami, kratownicami ze szkła i stali i 50-metrową kopułą wieńczącą rotundę nad skrzyżowaniem dwóch pasaży, galeria do dzisiaj pozostaje bodajże najładniejszym centrum handlowym na świecie. Wysokością, pełną ech ciszą, a nawet kształtem przypomina katedrę; z drugiej strony ma w sobie coś z handlowego charakteru wielkiego, dziewiętnastowiecznego dworca kolejowego. Każde centrum handlowe powinno tak wyglądać" (B. Bryson, *Ani tu, ani tam. Europa dla początkujących i średniozaawansowanych*, tłum. T. Bieroń, Poznań 2010, s. 222).

liczności, praktyczny cel nabywania towarów traci podstawowe znaczenie. Liczy się przede wszystkim przyjemność, jaką daje nabywanie, a nie to, co się nabywa. Hedonizm zdaje się, przynajmniej w wielu przypadkach, dominować nad praktycznym sensem procesu ekonomicznego, jakim w końcu jest sprzedaż–kupno. Kupujący, odcięty od rzeczywistości, przebywający w owej szczególnej przestrzeni konsumpcyjno-zabawowej (ludycznej), nierzadko popada w rodzaj oszołomienia (*ilinx*), tak charakterystycznego, w opinii R. Caillois, dla pewnych form zabawy[3].

Centra handlowe, w istocie są one centrami handlowo-rozrywkowymi i tak bywają określane przez właścicieli w reklamach, to miejsca, gdzie rodzi się i udziela *ilinx*. Doprawdy, nie jest łatwo w takich przestrzeniach zachować powagę i dystans, a niekiedy nawet odrobinę zdrowego rozsądku. Jakże to inny świat od świata codzienności. Przypominam, że według W. Okonia, zabawa przenosi nas ze świata rzeczywistego na płaszczyznę ludyczną[4]. Centrum handlowo-rozrywkowe przenosi nas tam w sposób doskonały. Ten świat iluzji, nierzeczywistości, fantazji, świat, w którym czujemy się dowartościowani, bogaci i piękni, nazywam „złotą klatką". W świecie tym, do którego drzwi otwiera niewidzialna siła, nie ma brudu, nędzy i zła, króluje w nim piękno, bogactwo i gościnność. Czas przestaje istnieć, bywalcy tej przestrzeni łatwo zatracają poczucie świata rzeczywistego.

Polacy mieli okazję poznać takie miejsca podczas wyjazdów zagranicznych już w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Ja ujrzałem typowe centrum handlowo-rozrywkowe w 1985 roku w Stanach Zjednoczonych. Już wtedy wzbudziło moje zainteresowanie, wręcz mną – etnologiem znającym dotychczas jedynie społeczeństwa niedostatku – wstrząsnęło. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że podobne instytucje mogą rychło zagościć w Polsce.

Źródła podają, że pierwsze wielkopowierzchniowe centrum handlowe powstało w Polsce w roku 1993, w 1995 (Ikea w Jankach pod Warszawą) bądź dopiero w roku 2000 (Galeria Mokotów)[5]. Różnice w datowaniu wypływają z tego, jaki obiekt uznaje się za „całościowy", czyli posiadający pełny zestaw propozycji handlowych i rozrywkowych. Można by – choć raczej z dużą dozą sarkazmu – nazwać centrum handlowym siermiężne domy towarowe w rodzaju Domy Centrum w Warszawie w okresie PRL bądź również w tych czasach istniejący w Krakowie „Gigant" (spalił się kilka lat temu doszczętnie, prawdopodobnie w wyniku podpalenia). Z mojego punktu widzenia nie były to nowe środki konsumpcji zabawy, gdyż te mogą jedynie powstawać i funkcjonować w społeczeństwie konsumpcyjnym.

W Krakowie pierwsze centra handlowo-rozrywkowe zaczęły powstawać pod koniec ubiegłego stulecia[6]. Dziś powierzchnia tego typu placówek znacznie przekroczyła 500 000 m^2, ich powierzchnia całkowita wynosi około półtora miliona m^2. Znajdują się one poza Galerią Kazimierz (38 000 m^2) i Galerią Krakowską (90 000 m^2)

---

[3] Zob. R. Caillois, *Gry i ludzie*, tłum. A. Tatarkiewicz, M. Żurowska, Warszawa 1995, *passim*.

[4] W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995, *passim*.

[5] Informacje zebrane z różnych źródeł prasowych.

[6] Jak wyżej. Krakowianie uważają, że za ewentualnego protoplastę centrum handlowego w Polsce należy uznać Sukiennice. Zob. *Kraków. Przestrzenie kulturowe*, red. J. Bujak, A. Kunachowicz-Steczkowska, R. Godula, Kraków 1993, *passim*.

– ta ostatnia usytuowana jest przy Dworcu Głównym – poza ścisłym centrum miasta. Wymienię kilka największych: CH „Zakopianka" (50 000 m^2), M1 (52 000 m^2), Plaza (40 000 m^2). Ostatnio otwarte Bonarka City Center, o którym będzie szerzej mowa, uchodzi za największe nie tylko w Krakowie, ale i w Polsce Południowej (92 000 m^2). Trzeba jednak zauważyć, że powierzchnie handlowe wymienionych obiektów (różnie zresztą szacowane i podawane w reklamach prasowych) nie imponują w porównaniu z ogromem istniejących w wielkich miastach świata zachodniego, należą co najwyżej do średnich. W prowincjonalnym Krakowie ich pojawienie się stanowiło jednak prawdziwy szok cywilizacyjny.

Z wymienionych obiektów systematyczną obserwacją objąłem CH Plaza i Galerię Kazimierz. Zwłaszcza ta ostatnia od momentu jej powstania (2005)[7] stała się miejscem, gdzie najchętniej prowadzę obserwacje w różnych dniach tygodnia i o różnych porach. Dodatkowym i ważnym źródłem informacji – przypominam – była dla mnie krakowska prasa codzienna. Przeprowadziłem też wiele wywiadów swobodnych z bywalcami tych placówek, jak również z osobami, które z różnych powodów w centrach handlowo-rozrywkowych nie bywają.

Na marginesie dodam, że w Polsce – wbrew opinii krytyków centrów – jest dość niski wskaźnik powierzchni tych obiektów w przeliczeniu na jednego mieszkańca (niewiele ponad 100 m^2 na tysiąc mieszkańców), gdy tymczasem w najbardziej rozwiniętych krajach Unii Europejskiej wskaźnik ten wynosi powyżej 150 m^2 na tysiąc mieszkańców. W USA już w roku 1998 wynosił on 210 m^2. Daje to wyobrażenie, co będzie i w naszym kraju w niedalekiej przyszłości, o ile – rzecz jasna – nie załamie się budowa społeczeństwa konsumpcyjnego z powodu na przykład ekonomicznej katastrofy, globalnego kryzysu oraz – co zdaje się wieszczyć J.E. Combs – z powodu „siły krucjaty moralnej", odrodzenia autorytetu powagi i odpowiedzialności w sferze konsumpcji[8].

Budowa Galerii Kazimierz[9] wzbudziła spory opór społeczny. Argumenty przeciwników można streścić następująco: centra handlowe rujnują drobny handel, jest ich za dużo, są wykwitem „dzikiego kapitalizmu" prowadzącego do bezwzględnego traktowania pracowników (źle opłacana i ponadwymiarowa praca), centra unikają płacenia podatków, korzystają z infrastruktury miejskiej, nic do niej nie dokładając, klienci kupują w nich rzeczy niepotrzebne, niskiej jakości, przy okazji zadłużając się bezsensownie itp. Wydaje się, że – niezależnie od jej trafności – krytyka tego rodzaju stała się w Polsce działalnością rytualną, ma miejsce przy okazji otwierania każdego kolejnego centrum. Wokół centrów handlowo-rozrywkowych istnieje atmosfera podejrzeń, nikt

[7] „Galeria Kazimierz powstała w miejscu dawnych zakładów mięsnych. Odnowiono zabytkowe budynki starej rzeźni, wkomponowane w nowoczesne, przeszklone, stworzyły w sumie raczej nietypową bryłę architektoniczną. Galeria Kazimierz to największa inwestycja spółki GTC w Krakowie i drugie po Galerii Mokotów nowoczesne centrum handlowo-rozrywkowe w Polsce wybudowane przez tę firmę. Na 112 000 m^2 znajduje się 130 sklepów, punkty usługowe, miejsca zabawy i rozrywki. Na parkingu mieści się 1800 samochodów" (*Galeria Kazimierz nagrodzona*, GK z dn. 1.12.2005).

[8] Zob. J.E. Combs, *Świat zabaw. Narodziny nowego wieku ludycznego*, tłum. O. Kaczmarek, Warszawa 2011, s. 159 i n.

[9] Jak wszystkie centra, również Galeria Kazimierz ma swoją stronę internetową: www.galeriakazimierz.pl.

ich jednak nie odpiera ani nie potwierdza konkretnymi argumentami. Zarzuty, z których nic nie wynika, wobec Galerii Kazimierz i innych centrów nie cichną, budowa nowych, rozbudowa już istniejących nieodmiennie wywołują emocje[10].

Argumenty zwolenników Galerii Kazimierz, a jest ich wielu, są również od dawna niezmienne: w zaniedbanej części Krakowa (dawne rzeźnie) powstał ciekawy architektonicznie obiekt ku zadowoleniu większości mieszkańców okolicy. Choć opinię taką, często wyrażaną w prasie przez „anonimowych rozmówców", można uznać za rodzaj reklamy, to wydaje się jednak – przynajmniej w świetle moich badań – że podziela ją znaczna, a może nawet przeważająca część krakowian. Można zaryzykować twierdzenie, że mieszkańcy miasta zaakceptowali nowe przestrzenie konsumpcji zabawy. Zagłosowali nogami, chętnie przebywają w centrach handlowo-rozrywkowych, stosunkowo rzadko mają na ich temat bardziej sprecyzowane opinie czy głębsze refleksje. Centra są dla nich atrakcją, miejscami nęcącymi.

Inaczej jest w przypadku badaczy współczesnej kultury, ci przyglądają się centrom handlowo-rozrywkowym z wielką uwagą, na ogół krytycznie, próbują ująć ten fenomen kultury konsumpcyjnej w kategoriach naukowej analizy.

Centrum handlowe jako świątynia konsumpcji.

> Centrum handlowe – pisał G. Makowski, szukając uzasadnienia metafory świątynia konsumpcji – łącząc i organizując konsumpcję i czas wolny w pewien schemat, sprawia, że osoby wstępujące w jego progi, zachowują się w jeden określony sposób, biorą udział w tym samym rytuale. Centrum spełnia więc funkcję podobną do świątyni – organizuje rytuał. Jest miejscem, w którym można obcować z bóstwem – produktami. W jego wnętrzu konsumpcja, z której wcześniej uczyniono jeden ze sposobów spędzania czasu wolnego, zostaje zrytualizowana zazwyczaj jako zespół trzech czynności – zakupów, zabawy i posiłku. [...] Konsumpcja, a szczególnie ta w centrach handlowych, ma charakter religijny, dlatego, że, podobnie jak religia, dostarcza doświadczeń i możliwości uczestnictwa w życiu całego społeczeństwa. *Mall* przyciąga przede wszystkim rodziny i całe grupy ludzi, jest jednym z niewielu miejsc w dzisiejszych miastach, w których można się przyjrzeć sobie i spotkać innych ludzi. W zasadzie więc centra handlowe spełniają podobne funkcje co wiejskie kościoły – są miejscem spotkań lokalnych (dzielnicowych) społeczności[11].

Ma prawdopodobnie rację Makowski, twierdząc, że obserwacja funkcjonowania centrum handlowego pozwala dostrzec wiele interesujących analogii do świata religijnego rytuału (konsumpcyjny wzór „roku liturgicznego"), co tłumaczy, dlaczego tak często i chętnie badacze posługują się takim konceptem – metaforą świątyni. Jej opisowa użyteczność nie ulega wątpliwości, śmiem jednak wątpić, czy może ona mieć jakiekolwiek znaczenie dla badań recepcji centrum handlowego wśród jego bywalców. Muszę tu dodać, że w świetle moich dotychczasowych badań porównanie centrum handlowo-rozrywkowego do wiejskiego kościoła wydaje mi się wyjątkowo chybione.

Centrum handlowe jako miasto. „Do supermarketu – pisze R. Sulima – przyjeżdżamy i wchodzimy jak do miasta. Patrzymy na SHM jak na »miasto w mieście«

[10] *Radni na nie*, GK z dn. 8.11.2005.

[11] G. Makowski, *Świątynia konsumpcji...*, s. 73.

[...]. We współczesnym wielkim mieście, w mieście wysokościowców i »szklanych ekranów« horyzont naturalny (orientacja na naturalne źródło światła) przechodzi niepostrzeżenie w horyzont sztuczny”[12].

Równie często jak metaforą „miasto w mieście” określa się centrum handlowe „miniaturowym miastem”. Jedno i drugie określenie wydają mi się chybione, bardziej przekonuje mnie traktowanie przestrzeni centrum handlowego jako *quasi*-miejskiej.

> Przestrzeń centrów handlowych – pisze M. Nieszczerzewska – jest przestrzenią *quasi*-miejską. Miniaturowe miasta do złudzenia przypominają rzeczywiste metropolie. Zewnętrznymi ulicami, chodnikami, latarniami, kawiarniami i parkingami. Naturalna zieleń, sadzawki, fontanny, źródełka nawiązują do idei miasta ogrodu [...]. W city-mallach to nie funkcje handlowe dominują. Centra handlowe odbierają miastu przechodniów, służą życiu społecznemu, rozrywce oraz edukacji. Najnowsze projekty przewidują również świątynie oraz urzędy miejskie[13].

Sądzę, że zasadne jest nazywanie centrów handlowych niby-miastami, nie mają one ambicji bycia miastem w mieście ani imitowania miasta w miniaturze, spełniają natomiast pewne funkcje miasta, choć nim nie są i nigdy nie będą, stanowiąc poniekąd ich przeciwieństwo, gdyż zapewniają bezpieczeństwo, radość, uwalniają od codziennych trosk i niepokojów. Prawdziwe miasto jest natomiast areną realnego życia z jego blaskami i – głównie – cieniami.

Centra handlowo-rozrywkowe to twór całkowicie nowy i oryginalny, nie da się go zrozumieć przez łatwe analogie i nawet najbardziej wyszukane metafory. Jedynie metafora *quasi*-miasta wydaje mi się interesująca, koresponduje bowiem ze znanymi mi z wywiadów odczuciami bywalców centrów, odczuciami jednak rzadko werbalizowanymi.

Żelazna klatka czy miniklatki? Posługując się teorią M. Webera, opisującego współczesny świat, w którym racjonalizacja reprezentowana przez kapitalizm i biurokrację niszczy świat magiczny (zaczarowany, tajemniczy, mistyczny), G. Ritzer pisze: „Świątynie konsumpcji, wszystkie razem, tworzą zracjonalizowaną, żelazną klatkę, z której trudno uciec, jeśli w ogóle to możliwe. To świat, gdzie wszystko jest towarem, gdzie nie można lub prawie nie można mieć nadziei na znalezienie przestrzeni, w której się będzie wolnym od nacisku komercji”[14].

Centra handlowe można też postrzegać jako miniklatki.

> Każda świątynia konsumpcji to miniklatka – zauważa G. Ritzer – a będący w niej konsumenci są zniewoleni. Przez analogię do Foucaultowskiego pojęcia archipelagu karceralne-

---

[12] R. Sulima, *Supermarket. Przyczynek do retoryki konsumpcji*, [w:] *Idem*, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000, s. 161. Autor stosuje określenie SHM (super/hipermarket), które jest analogiczne do używanej przeze mnie nazwy centrum handlowo-rozrywkowe.

[13] M. Nieszczerzewska, *Miasta nie-miasta*, „Kultura i Społeczeństwo” 2005, nr 1, s. 23–24. Na uboczu pozostawiam ciekawy, choć dla mnie mało przekonujący koncept: supermarket jako „teatr narodowy”. Zob. L. Pułka, *Kultura mediów i jej spektakle na tle przemian komunikacji społecznej i literatury popularnej*, Wrocław 2004. Rozdz. 1 tej pracy zatytułowany jest *Hipermarket jako teatr narodowy*.

[14] G. Ritzer, *Magiczny świat...*, s. 312.

go, można uznać, że nowy środek konsumpcji to ufortyfikowana wyspa, która jest częścią większego archipelagu, a konsumentowi wolno się przenosić z wyspy na wyspę (na przykład z jednego centrum handlowego do drugiego), ale na każdej z nich jest zniewolony[15].

G. Ritzer podaje też trzecią interpretację zjawiska „świątyni konsumpcji", być może najbliższą prawdy. Pogląd ten – pisze autor –

[...] związany jest z teorią racjonalnego wyboru. Mówi on, że konsumenci mogą wchodzić do świątyni konsumpcji i z niej wychodzić według własnej woli, a wewnątrz sami decydują, czy będą konsumować, czy też nie. Wynika z tego, że mogą zdecydować, iż będą unikać niektórych albo wszystkich świątyń konsumpcji, że jeśli chcą, wolno im w ogóle zrezygnować z konsumowania[16].

Może istotnie centrum handlowe jest miejscem racjonalnych wyborów konsumpcyjnych, a nie miejscem tragicznego zniewolenia? Sam Ritzer zdaje się raczej przychylać do metafory miniklatek, co współgra z dość pesymistyczną wizją zniewolonego człowieka w deterministycznym społeczeństwie konsumpcyjnym, prezentowaną w jego książce.

W tym sporze – choć nie jest to w istocie spór, lecz raczej wielowątkowość myślenia o centrach handlowych, czy wręcz o społeczeństwie konsumpcyjnym i jego kulturze – nie opowiadam się po żadnej stronie. Moim zdaniem, wymienione metafory wzięte oddzielnie nie wyrażają istoty centrów handlowo-rozrywkowych. Mogą one być postrzegane jako świątynie konsumpcji, jako *quasi*-miasta, jako żelazne klatki, jako ogniwa w łańcuchu archipelagu klatek, albo jako miejsca racjonalnego wyboru konsumpcji. Czym jest centrum, czym może być, to zależy od człowieka, który dla większości obserwatorów współczesnej kultury już został zniewolony przez konsumpcję i dążenie do przyjemności. Moim zdaniem, nic nie jest jeszcze przesądzone, jeszcze konsumpcja i hedonizm nie zdominowały człowieka. Znakomita większość ludzi jest bowiem wciąż w stanie w łagodny sposób powrócić z płaszczyzny ludycznej (konsumpcji zabawy) na płaszczyznę rzeczywistości.

Centra handlowo-rozrywkowe traktuję jako „złote klatki", przez co chcę podkreślić, że dostrzegam uzależniające działanie bożka konsumpcji na jednostki ludzkie. Wierzę jednak, że większość przedstawicieli naszego gatunku nie straciła i nie straci umiejętności racjonalnego wyboru. Istnieje wielka nadzieja, że nowe środki i przestrzenie konsumpcji zabawy nigdy nie zniewolą człowieka całkowicie, choć postawią mu trudne warunki. Klatka bowiem jest złota, bo oferuje nadzwyczajne atrakcje, daje radość i zadowolenie. Świat konsumpcji to świat nowej magii, feeria oszałamiających propozycji. To raj dostępny dla każdego, lecz – jak wiadomo – w raju czai się wąż[17]. Złota klatka tylko udaje raj, dla wielu może się stać śmiertelną pułapką. Czy bywalcy centrów handlowo-rozrywkowych, przynajmniej część z nich, mają tego świadomość? Moje obserwacje na to wskazują!

[15] *Ibidem*, s. 308.

[16] *Ibidem*, s. 308–309.

[17] „Może tak właśnie wygląda ziemski raj?" – pyta B. Dobroczyński w eseju *Derrida w supermarkecie (widmo postmodernizmu krąży po Europie Wschodniej)*, [w:] *Idem*, *Trzecia Rzesza Popkultury i inne stany*, Kraków 2004, s. 95.

Supermarkety jako domy popkultury

G. Makowski, uważny obserwator działalności warszawskiej Galerii Mokotów, zauważył, że w tym centrum handlowo-rozrywkowym

> [...] organizowane są również imprezy kulturalne w bardziej tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Najczęściej są to koncerty albo wystawy. Dzięki nim osoby znajdujące się akurat w Galerii, robiące zakupy, spacerujące lub siedzące w restauracji, kawiarni, mogą jednocześnie obcować z innym ważnym elementem kultury popularnej, na przykład z muzyką pop. Jednak nawet te przedsięwzięcia nie mają znaczenia stricte kulturalnego, ponieważ towarzyszą zwykle promocji czegoś innego[18].

Istotnie, rzecz to łatwa do zaobserwowania, w centrach handlowo-rozrywkowych odbywają się rozmaite imprezy kulturalno-oświatowe, jeśli można tu użyć określenia z innej epoki. Imprezy takie, jak słusznie zauważa G. Makowski, promują rozmaite towary, mają mniej lub bardziej jawny wymiar komercyjny. Towarzyszą konsumpcji, nakłaniają do niej, są z nią związane genetycznie (czyli bez niej nie miałyby racji bytu), czasem tylko dyskretnie jej służą, wywodząc się niejako z innego źródła. Są po prostu częścią tego, co możemy nazwać kulturą konsumpcji, kulturą komercyjną. Czy przez to nie są kulturą, a może są kulturą gorszą?

W moim przekonaniu, imprezy kulturalne, które odbywają się w centrach handlowo-rozrywkowych, reprezentują to, co ogólnie nazywa się kulturą masową bądź inaczej – kulturą popularną. Jej poziom – być może niezbyt sprawiedliwie – określił J. Baudrillard słowami:

> Jest to osobliwy korpus znaków i odniesień, szkolnych wspomnień i zmieniających się wraz z modą sygnałów intelektualnych, które zwiemy „kulturą masową", a której moglibyśmy nadać miano Najniższej Wspólnej Kultury (NKW) przez analogię do najmniejszego wspólnego mianownika w dziedzinie arytmetyki, a także w znaczeniu „pakietu standardowego", definiującego najmniejszy zbiór przedmiotów, które powinien posiadać przeciętny konsument, by móc dostąpić zaszczytu bycia obywatelem społeczeństwa konsumpcyjnego. NKW określa zatem najmniejszy wspólny zbiór „właściwych odpowiedzi", który powinna posiadać jednostka, by otrzymać świadectwo kulturowego obywatelstwa[19].

Komunikacja masowa, fundament społeczeństwa konsumpcyjnego, nie niszcząc bynajmniej – czego tak obawiał się Baudrillard – kultury wysokiej i wiedzy, może jedynie, istotnie grzesząc próbami sprowadzenia ich do poziomu NKW, mniej lub bardziej skutecznie, stwarzać doskonałe warunki do rozkwitu kultury masowej, tej kultury, którą na użytek niniejszych rozważań nazwałem konsumpcyjną, ponieważ towarzyszy konsumpcji i ma z pewnością cechy komercyjne.

Ta kultura, co oczywiste, powstaje głównie tam, gdzie koncentruje się konsumpcja, a gdzież jest jej najwięcej jak nie w centrach handlowo-rozrywkowych. „Centra – pisze dziennikarz, a dziennikarze dość często porywają się na śmiałe konstatacje,

---

[18] G. Makowski, *Świątynia konsumpcji...*, s. 113.

[19] J. Baudrillard, *Społeczeństwo konsumpcyjne. Jego mity i struktury*, tłum. S. Królak, Warszawa 2006, s. 128–129.

które rzadko wychodzą spod piór profesjonalnych badaczy kultury – coraz częściej pełnią funkcję tradycyjnych domów kultury”[20]. Słowa te brzmią odkrywczo, choć akurat pojęcie „tradycyjnych” nie pasuje tu zupełnie. Wolę przyjąć hipotezę, że centra handlowo-rozrywkowe pełnią we współczesnym świecie masowej konsumpcji funkcje kojarzone do niedawna z funkcjami domów kultury. Jeśli stają się one – co będę dowodził – domami kultury, to kultury konsumpcyjnej (komercyjnej), masowej, popularnej. Byłyby to zatem „domy popkultury”, instytucje powstałe i działające w obrębie społeczeństwa konsumpcyjnego, na miarę jego potrzeb i możliwości recepcyjnych.

Zanim przedstawię kilka ocen dotyczących cech owych instytucji, ich repertuaru i adresata, pokażę kilka konkretnych przykładów – spektakli. Ich dobór oczywiście nie jest przypadkowy, ale też – ze zrozumiałych względów – nie wyczerpuje bogactwa działań domów popkultury.

Spektakl I. 17–19 czerwca 2005 roku Galeria Kazimierz.

> Gorące Lato Latino, czyli Wielki Festiwal Kultury Latynoskiej. Wybór atrakcji: warsztaty dla dzieci i dorosłych (samba, tango argentyńskie, flamenco, salsa); konkurs taneczny dla uczestników kursów; „Los Bomberos” – gorące rytmy znad Wisły; koncert gwiazd – Gipsy Kings; „koncert na trąbkę i mnóstwo gitar”; zespół flamenco – Lacho drom, sztuczne ognie, prowadzenie – Claudia Carlos[21].

Spektakl II. 15 marca 2009 roku Galeria Krakowska.

> Już po raz trzeci Teatr im. Juliusza Słowackiego gościł w Galerii Krakowskiej. W ten sposób aktorzy promują teatr i swoje spektakle. W specjalnie przygotowanej Hali Grodzkiej koło Empiku można było na telebimach obejrzeć fragmenty spektakli, podziwiać kostiumy i rekwizyty z dawnych spektakli. Ustawiono także fragment scenografii ze spektaklu „Kraina Kłamczuchów” Macieja Wojtyszki. – „Bardzo dużo ludzi odwiedza nasze stoisko” – cieszy się Krzysztof Dubiel, szef marketingu Teatru Słowackiego. – „Postaramy się taką akcję kontynuować w przyszłości”. Teatr przygotował dużo materiałów reklamowych. Można je było otrzymać na stoisku, ale foldery i ulotki rozdawały także wolontariuszki na terenie całej galerii. Chętni mogli dostać również gadżety teatralne. Klienci Galerii mieli możliwość na miejscu zarezerwować bilet na spektakle w specjalnych promocyjnych cenach[22].

Dotychczas w galeriach odbywały się jedynie spektakle teatralne dla dzieci, zapewne niebawem będziemy do nich chodzić także na spektakle dla dorosłych!

Spektakl III. Lipiec 2004 roku. Impreza pod nazwą „Juliada”,

> [...] skierowana do młodych ludzi, którzy spędzają wakacje w mieście, odbędzie się po raz szósty. Jej hasło przewodnie to: „Młodzież przeciwko przemocy”. Impreza ta odbywała się wcześniej na Rynku krakowskim, usunięta stamtąd, została przygarnięta przez Centrum Handlowe M1. „Było trochę kontrowersji – mówi ks. Andrzej Augustyński [organizator „Juliad” – R.K.] – wokół Juliady na krakowskim Rynku, że hałas, zamieszanie. Jednak

[20] M. Zamorski, *Supermarket kultury*, „Wprost” 2002, nr 50.

[21] Według tekstu reklamowego, GK z dn. 18–19.06.2005.

[22] M. Satała, *Teatr Słowackiego w Galerii Krakowskiej*, GK z dn. 16.03.2009.

tego rodzaju imprezy powinny się odbywać na najważniejszych placach w mieście, by prezentować ideę, że aktywność, sportowe współzawodnictwo powinno być alternatywą do problemów, które zaczynają się, gdy młodzi ludzie nic nie robią, siedzą na ławce na osiedlu lub w jakichś zakamarkach. Młodzież jest przeciw przemocy i nie należy się bać młodzieży. To lęk dorosłych generuje agresję młodych ludzi[23].

Wygląda na to, że „Juliada" jest już stałym punktem kulturalno-oświatowej działalności CH M1, czy zatem parking przed tym centrum, gdzie impreza się toczy, już stał się jednym z najważniejszych placów miasta?

Spektakl IV. 2–3 października 2004 roku CH „Czyżyny". Zaproszenie „na bezpłatne specjalistyczne badania dla dzieci. Uzyskać będzie można porady m.in. pediatry, okulisty, ortopedy, logopedy. Akcji towarzyszyć będą zabawy i konkursy z nagrodami dla dzieci; zaplanowano m.in. występy Rudej i Budzika, bohaterów telewizyjnego programu dla dzieci"[24].

Spektakl V. 31 marca 2007 roku CH Plaza.

Wiosna przyszła – czas się zmienić. Jeśli chcesz zaskoczyć nowym wyglądem znajomych, koniecznie przyjdź w sobotę do Plazy. Od godz. 14 czekać będą na Ciebie styliści, wizażyści i fryzjerzy, którzy pomogą Ci zaprojektować całkiem nowy wygląd. Ci, którzy nie będą chcieli skorzystać z wiosennych metamorfoz, mogą przyjść, aby posłuchać nowinek o nowych trendach w modzie na sezon wiosna–lato 2007. Mogą też wziąć udział w konkursach z nagrodami, które organizowane będą w przerwie metamorfoz. Plaza przygotowała także atrakcje dla najmłodszych krakowian. Specjalnie dla nich odbędą się pokazy mody dziecięcej. Na dzieci czeka także pyszna wielkanocna zabawa: będą mogły robić wyklejanki, malowanki, a także samodzielnie skomponować koszyczek wielkanocny[25].

Spektakl VI. 29 lipca 2006 roku Galeria Kazimierz.

Kto znał legendy – mógł zdobyć nagrodę w konkursie. A kto nie znał – miał okazję zaznajomić się z królewną Wandą czy z kogutem z Krzysztoforów. Spotkanie z legendami Krakowa zorganizowała w minioną sobotę w Galeria Kazimierz fundacja „NADwyraz". Z kartonowych pudeł i papieru pakunkowego dzieci budowały tu kościół Mariacki. Poznawały przy tym legendę dotyczącą przerwanej melodii hejnału [...]. Cykl organizowanych przez fundację „NADwyraz" akcji zachęca dzieci do poznawania dziedzictwa kulturalnego regionu – Krakowa i Małopolski, ma rozbudzić lokalny patriotyzm. Fundacja zarazem promuje czytelnictwo wśród dzieci i młodzieży (na zwycięzców konkursu czekały książki)[26].

Spektakl VII. 25–26 listopada 2006 roku Galeria Kazimierz.

Akcja „Patriotyzm jutra" to interesujące rozwiązanie dla dzieci i dla rodziców. Gdy starsi będą zajęci zakupami w Galerii Kazimierz, ich pociechy – pod fachową opieką – mogą spędzić miło czas na zabawie, równocześnie poznać historię i zabytki Krakowa. Sobotnie spotkania dla maluchów organizowane są w Galerii Kazimierz co miesiąc. Zwykle związane są z historią i kulturą Krakowa oraz regionu małopolskiego. Prowadzone są przez

[23] *Na sportowo przeciw przemocy*, DP z dn. 2.07.2004.

[24] Notka prasowa, DP z dn. 1.10.2004.

[25] *Metamorfozy w Plazie*, GK z dn. 30.03.2007.

[26] *Wanda do teatrzyku*, DP z dn. 31.07.2006.

wykwalifikowanych instruktorów, a dzieciaki cały czas są pod okiem wykwalifikowanych opiekunów mających uprawnienia pedagogiczne. Projekt finansowany jest przez Narodowe Centrum Kultury w ramach Programu Operacyjnego „Patriotyzm Jutra"[27].

Spektakl VIII. Marzec 2005 roku Centrum Witek.

Wiosenny salon sztuki odbył się w Centrum Witek w Modlniczce. Zaproszono dostojne grono gości z profesorami Akademii Sztuk Pięknych [...]. Karolina Witek, właścicielka Centrum Handlowego, zwabiła wszystkich i zaproponowała, by uczcić święto kobiet wielką wystawą malarstwa [...]. Cała impreza odbyła się w Centrum Handlowym Witek na poziomie pierwszego piętra, gdzie na co dzień sprzedaje się meble. Zresztą to nie pierwsza taka impreza. Przed kilkoma miesiącami swój nowy album promował tu prof. Wiktor Zin, który przy okazji pokazał ponad sto wielkoformatowych obrazów przedstawiających przede wszystkim polskie krajobrazy[28].

Przedstawiłem zaledwie kilka imprez kulturalnych zorganizowanych przez centra handlowo-rozrywkowe lub przy ich udziale. W latach 2003–2012 udokumentowałem ich ponad 300. Na tej podstawie można uznać, iż centra wpisały się w szeroko rozumiany pejzaż kulturalny Krakowa. O tym, że jest to dobrze przemyślana działalność, może świadczyć wypowiedź Moniki Janczewskiej-Lei, dyrektora zarządzającego Galerii Kazimierz:

Chcemy być ważnym punktem na kulturalnej mapie Krakowa. Gościliśmy już wystawy Ryszarda Horowitza i Jerzego Skolimowskiego oraz przegląd prac National Geographic. Dużym zainteresowaniem cieszyła się też wystawa zorganizowana przez oo. Kapucynów w ramach Tygodnia Misyjnego. Ale ktoś powie, że to tylko pojedyncze wystawy – owszem, ale współpracujemy również z organizacjami o uznanej marce – Stowarzyszeniem Festiwalu Kultury Żydowskiej, Krakowskim Biurem Festiwalowym, Małopolską Organizacją Turystyczną oraz wydziałami Urzędu Miasta Krakowa. Galeria Kazimierz to również sport – już dwukrotnie zapraszaliśmy na rajd samochodowy oraz uroczystości wręczania nagród. W tym roku po raz pierwszy podjęliśmy współpracę z Biurem Miss Polonia, realizując wraz z TVP3 wybory Miss Małopolski i zamierzamy tę współpracę kontynuować. Staramy się, aby nie tylko oferta handlowa, ale również ta rozrywkowa była jak najszersza[29].

Jest rzeczą oczywistą, że wszelkie działania kulturalno-oświatowe podejmowane przez centra handlowo-rozrywkowe, często we współpracy z fundacjami oraz z instytucjami państwowymi i samorządowymi, mają podłoże komercyjne. Nie ma wątpliwości, że imprezy kulturalne, wymagające sporych nakładów, w ostatecznym rachunku centrom się opłacają. Są doskonałą reklamą, co nie jest bez znaczenia w sytuacji, gdy rośnie konkurencja, gdy powstają coraz to nowe galerie.

Analizując programy kulturalne realizowane przez krakowskie centra handlowo-rozrywkowe, możemy zauważyć, po pierwsze, że są adresowane przede wszystkim do dzieci i młodzieży, do całych rodzin, do dorosłych, a dopiero w ostatniej ko-

[27] *Plastelinowy Dżok*, DP z dn. 27.11.2005.

[28] *Wiosna w salonie*, GK z dn. 10.03.2006.

[29] *Galeria ciągle się zmienia... O sukcesach Galerii Kazimierz i planach na przyszłość opowiada p. Monika Janczewska-Leja, Dyrektor Zarządzający*, DP z dn. 24.11.2006.

lejności wyłącznie do dorosłych. Dzieci i młodzież to najbardziej perspektywiczna, z punktu widzenia komercji, grupa i zainteresowanie nią jest w pełni zrozumiałe.

Po drugie, proponowane przez centra handlowo-rozrywkowe treści imprez są najczęściej lekkie, łatwe i przyjemne, co zresztą nie odbiera im walorów na przykład informacyjnych czy wychowawczych. Centra dają uczestnikom imprez to, czego ci oczekują, czyli zabawę i rozrywkę, ale niejednokrotnie przy okazji „przemycają" treści poważniejsze, budząc i utrwalając patriotyzm, także lokalny, kształtując prospołeczne postawy młodzieży itp.

Po trzecie, imprezy organizowane przez centra dość łatwo nabierają charakteru cyklicznego. Cykle te mają związek z szeroko rozumianym rokiem obrzędowym (Dzień św. Mikołaja, Boże Narodzenie, Wielkanoc, do tego dochodzi Dzień Kobiet, Dzień Matki, Halloween, walentynki). Okazją do organizowania cyklicznych imprez kulturalnych są też rocznice powstania danego centrum, tzw. kolejne urodziny danego centrum. Są to także okazje do promocji i przecen towarów.

Po czwarte, przy centrach handlowo-rozrywkowych już dziś powstają jeszcze mało sformalizowane grupy zainteresowań, coś w rodzaju kółek istniejących w tradycyjnych domach kultury. W Galerii Kazimierz na przykład spotykają się miłośnicy gier komputerowych, rolkarze związali się z CH M1, jedyną instytucją w mieście, która nie tylko ich toleruje, ale także w rozmaity sposób popiera, na przykład oddając na treningi i zawody część przestrzeni wokół centrum.

Po piąte, warto zauważyć, że imprezy organizowane przez centra odznaczają się na ogół wysokim profesjonalizmem, rozmachem i zapewne z tego powodu są dość kosztowne. Prowadzone przez fachowców, łączą bardzo zręcznie treści rozrywkowe i komercyjne (wszelkiego rodzaju reklamy i promocje) z przekazem treści kulturalno-oświatowych, czasem nawet, choć nie przesadnie często, należących do kultury wysokiej.

Można zaryzykować twierdzenie, że domy popkultury, jakimi w moim przekonaniu stają się centra handlowo-rozrywkowe, będą odgrywały coraz większą rolę w polskim społeczeństwie konsumpcyjnym, ze względu na urozmaicone i niespecjalnie głębokie treści oferowane w atrakcyjnym miejscu, za darmo, wraz z szerokim „pakietem konsumpcyjnym", co skutecznie ukrywa perswazyjny sens całego przedsięwzięcia. Nie znaczy to jednak, że klasyczne domy kultury stracą sens bytu. Obserwacja działalności na przykład Nowohuckiego Centrum Kultury czy Dworku Białoprądnickiego – znanych i cenionych krakowskich domów kultury – skłania mnie do dwóch uwag. Po pierwsze, wciąż istnieje zapotrzebowanie na usługi „klasycznych" domów kultury, o ile potrafią one we właściwy sposób rozpoznać potrzeby współczesnego społeczeństwa i są w stanie zaspokoić jego oczekiwania bez nadmiernego dydaktyzmu i elitaryzmu (idąc zatem śmiało w stronę zabawy i rozrywki, ale na wysokim poziomie!). Po drugie, zdrowa konkurencja między domami popkultury (w istocie między centrami handlowo-rozrywkowymi) a „klasycznymi" domami kultury powinna polegać do jakiegoś stopnia na podziale zadań, propagowaniu różnych treści. W konsekwencji może to przynieść znaczące rozszerzenie oferty kulturalnej.

Bonarka w opinii studentów

Pierwsze prasowe informacje o powstającym w Krakowie nowym osiedlu – Bonarka, którego główną częścią miało być centrum handlowo-rozrywkowe, pojawiły się w prasie krakowskiej na początku roku 2008. „Bonarka City Center – pisano – ma być nowym, wielkim osiedlem Krakowa z wieloma blokami, biurami, centrum handlowym, częścią rekreacyjną, hotelem. Powstanie miasto w mieście dla co najmniej kilku tysięcy osób". W tej samej notce prasowej pojawiły się nutki sceptycyzmu, który zresztą towarzyszył nowej inwestycji przez cały okres jej powstawania. „Jak będzie się tam dojeżdżać – czytamy – skoro już teraz okoliczne ulice są zakorkowane". Mieszkańców miasta miała uspokoić wypowiedź Bożeny Piekarczyk, przewodniczącej Dzielnicy XI Podgórze Duchackie: „Nowej zabudowie muszą towarzyszyć odpowiednie rozwiązania komunikacyjne. Wiem, że w przypadku Bonarki są takie plany, ale wciąż są to wiadomości nieoficjalne".

Zainteresowani Bonarką krakowianie mogli się dowiedzieć ponadto, że plany obejmują m.in.

> [...] budowę galerii handlowej z hipermarketem oraz siecią 20 sklepów o powierzchni około 500 m.kw., a także 230 butików oraz kina i centrum rozrywki. Przed centrum znajdą się trzy place. W sąsiedztwie zaplanowano osiedle mieszkaniowe oraz budynki biurowo-hotelowe. Zaplanowano również 3500 podziemnych i naziemnych miejsc parkingowych, infrastrukturę drogową, małą architekturę i tereny rekreacyjne oraz nasadzenie roślin, w tym... palm. Do tego mają powstać alejki spacerowe i trasy rowerowe. [...]. Zamierzeniem inwestora jest, aby Bonarka City Center stała się centrum miejskim dla dynamicznie rozbudowujących się południowych dzielnic Krakowa: Woli Duchackiej, Podgórza, Kurdwanowa i Piasków[30].

Dziennikarzy najbardziej interesował koszt inwestycji, początkowo pisano o 190 milionach euro, później kwota wzrosła do 500–600 milionów. Inwestorem okazała się węgierska grupa TriGrant oraz jej lokalny partner IPR Ltd. Budowa i oprawa układu komunikacyjnego miała pochłonąć 15 milionów euro, a w nowym centrum miało się pojawić 6 tysięcy nowych miejsc pracy[31].

Jak zwykle w przypadku budowy nowego centrum handlowego zaniepokoili się krakowscy kupcy, w których imieniu głos zabrał Wiesław Jopek, prezes Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej: „W tego typu galeriach handlowych – zauważył – głównie pojawiają się sklepy i usługi firm sieciowych reprezentujących obcy kapitał. Powstanie Bonarka City Center na pewno spowoduje zmniejszenie korzyści okolicznych, rodzimych przedsiębiorców i może wiązać się z utratą pracy"[32]. Przy okazji podniesiona została poważna kwestia wyludniania się Starego Miasta oraz zamierania w nim handlu, czego przyczyną miały być nowe centra handlowe, na przykład Gale-

---

[30] Wszystkie cytaty z: *Bonarka – miasto w mieście*, DP z dn. 1.03.2008.

[31] P. Tymczak, *Kto zarobi na Bonarce?* DP z dn. 1.03.2008.

[32] *Ibidem*.

ria Krakowska, do powstania Bonarki największa tego typu placówka w Krakowie, usytuowana przy Dworcu Głównym.

Dyskusje na temat sensowności budowy nowych centrów handlowo-rozrywkowych i ich lokalizacji trwały na łamach krakowskiej prasy wiele miesięcy. Jednak większym zainteresowaniem mieszkańców miasta cieszyła się postępująca budowa Bonarki, do czego przyczyniła się niezwykle szeroka i zręczna reklama inwestycji, podkreślająca m.in. rozmach prac przy rekultywacji terenu. Pojawiły się ogłoszenia prasowe poświęcone tej kwestii, a na Małym Rynku otwarto atrakcyjną wystawę fotograficzną „Bonarka, wczoraj, dziś i jutro". Warto zacytować kilka fragmentów ogłoszeń reklamowych:

> Pełne industrialnego uroku zdjęcia pokazują, jak zmienia się teren podgórskiej Bonarki [...]. Prezentowane fotografie mają niezaprzeczalny czar, ukazują jednak również skalę zdegenerowania miejsca [...]. Bonarka to miejsce szczególne w pejzażu Krakowa. Na jej terenie mieściła się Państwowa Fabryka Supertomasyny „Bonarka", której nazwę zmieniono później na Zakłady Chemiczne „Bonarka". Zaniedbana przez lata fabryka popadła w ruinę i została ostatecznie zamknięta w 2003 roku. Aby możliwe było ponowne bezpieczne korzystanie ze skażonego terenu, niezbędna stała się rekultywacja gruntu, którą w roku 2006 rozpoczął nowy właściciel. Roboty obejmowały rozbiórkę poprzemysłowych obiektów, usunięcie ponad 250 tys. ton różnego typu odpadów i prace niwelacyjne. Ta jedna z największych w Polsce rekultywacji po byłym zakładzie przemysłowym kosztowała 11,6 mln euro[33].

Prawdziwym majstersztykiem reklamy było prezentowanie przez prasę inwestora Bonarka City Center, prezesa firmy TriGranit, węgierskiego miliardera i filantropa, Sandora Demjana, znanego już w Polsce z budowy Silesia City Center w Katowicach. Sporą rolę w promocji jego osoby odegrał ks. Andrzej Augustyński – dyrektor Krakowskiego Stowarzyszenia „U Siemachy", który w roku 2008 odwiedził miliardera w Budapeszcie, o czym pisała prasa krakowska:

> [...] ks. Augustyński usłyszał kilka zdań na temat biednego dzieciństwa [pobyt w zakładzie opiekuńczym – R.K.]. Demjan nie wstydził się o tym mówić, choć o wiele bardziej interesowały go sprawy przyszłości. Oczywiście sprawy, które związane były z niesieniem pomocy. – „Sandor powiedział, że jest niewierzący, ale uważa Kościół za jedną z najbardziej stabilnych instytucji, z którą warto współpracować" – mówi ksiądz Augustyński i przypomina, że wsparcie węgierskiego miliardera trafia już do polskich dzieci od 2006 roku. Wtedy – w grudniu 2006 roku – po raz pierwszy Stowarzyszenie „U Siemachy" zorganizowało niełatwą akcję rozdania 4 tys. paczek świąteczno-noworocznych od firmy TriGranit wśród potrzebujących dzieci z Małopolski. – „Sandor docenił nasze stowarzyszenie, zwłaszcza że każda paczka miała potwierdzenie odbioru. Dowiedziałem się później, że zaniemówił z wrażenia, gdy na adres jego firmy w Budapeszcie przyniesiono 4 tys. zaprojektowanych przez dzieci świątecznych kartek z podziękowaniem. Z czymś takim Sandor się nie spotkał" – ksiądz Augustyński zwraca uwagę, że te paczki od firmy TriGranit były zrobione bogato. Każda miała wartość około 200 zł[34].

---

33 Ogłoszenie prasowe z roku 2008 zatytułowane: *Historia Bonarki w obiektywie*.

34 J. Świder, *Sandor Odważny, Sandor Bogaty*, DP z dn. 21.11.2008.

Nic tak nie wzrusza czytelnika prasy, jak wiadomość, że miliarder miał biedne dzieciństwo i stąd dziś jest czuły na biedę dzieci!

„Filantrop Krakowa", taki tytuł od władz miasta uzyskał za swoją działalność Sandor Demjan w 2007 roku. Nie zawiódł i później. W Bonarka City Center na ostatniej kondygnacji powstał całodzienny ośrodek dla młodzieży, o którym tak mówił ks. A. Augustyński:

> To najprawdopodobniej pierwsze takie centrum na świecie [...]. Wszystkie problemy młodzieży znane z miasta zostaną tutaj przeniesione, a nasze centrum będzie miało dla młodych ludzi konkretną ofertę. Chcemy otwierać młodym ludziom okna na świat, więc będą mogli tutaj przyjść w każdej chwili i skorzystać choćby z pracowni multimedialnych. To nie wszystko – przede wszystkim chcemy uczyć odpowiedzialności, więc zakładamy, że bywalcy naszego ośrodka w Bonarka City Center będą wykonywać proste prace dla firm wynajmujących tutaj powierzchnię handlową. Nasza wspomniana pracownia mogłaby przygotowywać filmy reklamowe czy prowadzić akcje promocyjne dla konkretnych podmiotów. Nie chcemy litości, chcemy wymiany usług[35].

Bez wątpienia wypowiedzi takie budziły sympatię i zainteresowanie dla nowego centrum handlowo-rozrywkowego.

Oczywiście, nie wszystkich interesowała filantropijna działalność S. Demjana, wielu potencjalnych klientów zwracało raczej uwagę na informacje typu: „Zasadzono już pięć palm, a dziś pojawią się kolejne trzy – w przygotowywanym do otwarcia centrum handlowo-rozrywkowym Bonarka City Center. Mają 10–12 metrów wysokości, a do Krakowa przyjechały z Holandii – gdzie się aklimatyzowały, bo tam przyjechały m.in. z Hiszpanii – w zamkniętych, ogrzewanych ciężarówkach. Jedna palma waży 2,5 tony"[36].

Oczekiwane przez krakowian z wielkim zainteresowaniem, a poprzedzone niebywałą reklamą nie tylko prasową, ale i telewizyjną, otwarcie Bonarka City Center nastąpiło 21 listopada 2009 roku.

Studenci socjologii o Bonarce. W tym czasie, od początku roku akademickiego 2009/2010, prowadziłem na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, na kierunku socjologia, zajęcia z przedmiotu socjologia zabawy (bardziej precyzyjnie – ze względu na rozległość problematyki – kurs ten należałoby nazwać antropologią zabawy). Poza wykładami odbywały się, zarówno na studiach stacjonarnych, jak i niestacjonarnych, ćwiczenia z tego zakresu w czterech grupach. Jednym z tematów dyskutowanych na zajęciach było pojawienie się we współczesnym społeczeństwie konsumpcyjnym nowych środków konsumpcji (według terminologii G. Ritzera). Interesowały nas w szczególności konsekwencje pojawienia się nowych środków konsumpcji zabawy, a tym samym wpływ centrów handlowo-rozrywkowych, najbardziej spektakularnych nowych środków konsumpcji.

W trakcie ćwiczeń studenci śledzili przygotowania do otwarcia Bonarka City Center, dyskutowane były formy reklamy, a także stosunek mieszkańców Krakowa

---

[35] *Ibidem.*

[36] *Bonarka otworzy swoje podwoje w listopadzie*, DP z dn. 24.07.2008.

do powstającego centrum handlowo-rozrywkowego, i w ogóle do tego typu instytucji, co ujawniała krakowska prasa, m.in. publikując wywiady z czytelnikami. Po otwarciu Bonarki studenci otrzymali zadanie odwiedzenia kompleksu i przedstawienia na piśmie wrażeń i refleksji z tej „naukowej" wyprawy. W rezultacie otrzymałem 110 prac o różnej objętości i wartości. Prace te, a właściwie jawiący się na ich podstawie „obraz" Bonarka City Center w świadomości młodych ludzi uważam za interesujący i ważny poznawczo, choć nie jest on z pewnością reprezentatywny dla tej kategorii wiekowej (20–25 lat). Studenci socjologii bowiem (podobnie byłoby w przypadku studentów etnologii, pedagogiki i wielu innych kierunków humanistycznych) to specyficzna grupa obserwatorów. Zostali przygotowani do metodycznej obserwacji zachowań ludzi (w tym zachowań własnych!) w różnych sytuacjach, a w przypadku grupy omawianej – szczególnie nastawieni na obserwację w centrach handlowo-rozrywkowych. Ponadto ich refleksje oparte są także na znajomości literatury naukowej, „przerabianej" na ćwiczeniach; w sumie – bez wątpienia – wykraczają poza granice poznania „przeciętnego", nieprzygotowanego teoretycznie bywalca „świątyń konsumpcji". Mam tego pełną świadomość i w sprawozdaniu z obserwacji dokonywanych przez grupę moich studentów pomijam te fragmenty prac, których scjentyzm, w tym przypadku echo przeczytanych lektur, zaciemnia czy dominuje nad osobistą, spontaniczną refleksją obserwatora.

Przedstawione przez studentów prace poruszają wiele problemów, na co zresztą liczyłem, prosząc o swobodną i możliwie szeroką refleksję. Z wielu tematów, dokonanych obserwacji, z bogatej palety refleksji, wybrałem jedynie to – mój wybór miał charakter arbitralny – co raczej obrazuje zakres opinii studentów bardziej niż ich głębię, co w większym stopniu ilustruje indywidualizm ich refleksji, a nie ich „typowość". Tej ostatniej zresztą raczej nie oczekiwałem, gdyż – jak już wspomniałem – studenci, nie tylko socjologii, nie są typowymi konsumentami, zarówno ze względu na wiek i sytuację materialną, jak i, przede wszystkim, z powodu stopnia świadomości i wiedzy o zjawiskach społecznych zwanych ogólnie konsumeryzmem, kulturą konsumpcji czy społeczeństwem konsumpcyjnym.

Ogólnie moim zamiarem był taki dobór materiału, aby studenci socjologii, obserwatorzy, co prawda początkujący, życia społecznego oraz reprezentanci pewnej kategorii konsumentów, mogli swobodnie wypowiedzieć się na tematy ważne nie tylko dla nich, ważne dla całego społeczeństwa uwikłanego w konsumpcję. Poniżej przedstawię, często posługując się wymownymi cytatami, spojrzenie studentów (tak naprawdę jest to spojrzenie studentek, wśród wypowiadających się było ich o wiele więcej niż studentów; proporcja 99 : 11 na rzecz tych pierwszych obrazuje nie od dziś znaną przewagę kobiet na studiach humanistycznych), na niektóre interesujące mnie w niniejszej pracy tematy[37].

Bonarka City Center – centrum handlowo-rozrywkowe inne niż wszystkie? Jak już wspomniałem, deweloperzy Bonarka City Center w imponującej kampanii propagandowej ze szczególnym naciskiem podkreślali inność, niepowtarzalność nowej

[37] Pełny materiał, umożliwiający dalsze analizy, został złożony w Muzeum Zabawek i Zabaw w Kielcach.

galerii. Miała być ona nie tylko największa, przynajmniej w Małopolsce, najbardziej atrakcyjna ze względu na liczbę i rodzaj sklepów czy świadczonych usług i proponowanych rozrywek, ale po prostu inna. Miało to być nowe centrum miasta (a przynajmniej południowych dzielnic Krakowa), pod każdym względem konkurencja dla krakowskiego Rynku. Palmy miały stanowić jedynie estetyczny (egzotyczny) ozdobnik.

Studenci poddawani naciskowi reklamy poczuli potrzebę – niemal wszyscy! – ustosunkowania się do tej kwestii. Pojawiają się zatem w pracach takie uwagi: „Bonarka City Center, największe w Małopolsce i z pewnością jedno z większych w kraju. 270 sklepów[38], 20 sal kinowych, kilkadziesiąt kawiarni i restauracji, parking na ponad 3 tys., samochodów"[39]. Dalej jednak pojawiają się refleksje raczej mijające się z nadziejami twórców galerii:

> Migocące światełka, tryskające fontanny i bujne palmy obecne w Bonarce nie różnią się od wystroju pozostałych galerii krakowskich. Galeria ta nie robi wielkiego wrażenia, nie zachwyca, jest jedną z wielu. Prawdą jest, że Bonarka może jedynie przewyższać wielkością, ilością sklepów czy miejsc parkingowych i obecnością tropikalnej roślinności oczywiście, ale cała reszta jest typowa dla każdego centrum handlowego. Bonarka City Center nie stała się, jak zapowiadano, nową generacją galerii, nieznaną jakością, jest po prostu kolejnym kompleksem tego typu, jednym z elementów wszechobecnej popkultury.

Inna wypowiedź odnosi się do podkreślanych w reklamach odmienności układu galerii:

> Przechodząc przez próg nowo otwartego centrum handlowego, miałam wrażenie, jakbym znalazła się w domu. Drewniane, kręcone schody wywarły na mnie niemały wpływ. Dodają one wnętrzu ciepła. Posadzka z niemal białego granitu przydaje elegancji i sprawia, że wnętrze jest bardziej przytulne. To jednak tylko jedno oblicze galerii. Druga koncepcja to wrażenie, jakbym znajdowała się na miejskim placu. Wybór materiału do fasad i elewacji, czyli czerwona cegła to przecież widok typowy dla zewnątrz [? – R.K.]. Ponadto przepiękna fontanna oraz wkomponowana w nią kawiarnia pośrodku pasażu – w centrum – nie gdzieś na uboczu, czy w oddzielnym pomieszczeniu. Spełni bowiem ważną potrzebę człowieka współczesnego – konsumowania na pokaz. Kolejne oblicze wnętrza Bonarki to wrażenie bycia na wakacjach – oderwanie od rzeczywistości, codziennych obowiązków. Efekt osiągnięty dzięki niewątpliwej atrakcji [...] mianowicie palmiarni – ogromnych drzew sięgających od parteru do pierwszego piętra.

Albo:

> Człowiek z szarego i nudnego tła wchodzi nagle do środka Bonarki i jak zwykle w takim miejscu – uderza w niego z dużą mocą intensywność barw i ozdób; ciepłe, przyjemne dla oka oświetlenie i znana, lubiana melodia – w tym przypadku, ze względu na bliskość świąt – była to oczywiście kolęda. Szalony kontrast, który pokazuje konsumentowi, że świat

---

[38] W największym na świecie centrum handlowo-rozrywkowym, w Dubaju, sklepów jest 1200!

[39] Cytuję jak w oryginałach, oczywiście poprawiając błędy ortograficzne i niekiedy interpunkcję (gdy oryginalna uniemożliwia zrozumienie wypowiedzi). Nie da się zaprzeczyć, że studenci w większości nie potrafią poprawnie pisać bądź nie czytają swoich tekstów i nie poprawiają ich po napisaniu, co świadczyłoby o wielkim niedbalstwie.

konsumpcji jest magiczny i niesie z sobą niekończącą się przyjemność – w porównaniu ze światem na zewnątrz – który jest ponury i brak w nim spełnienia.

Były jednak opinie mniej pozytywne:

Bonarka City Center – pisze jedna ze studentek z dużą dozą ironii – jest, jak podkreślają właściciele centrum, współczesną interpretacją sieci miejskich ulic i placów handlowych. Z zewnątrz gmach prezentuje się jednak mało efektownie. Kolos o nieciekawym kolorze, niczym nieróżniący się od innych galerii. Bonarka jest oczywiście ogromna, choć tym ogromem nie przytłacza tak bardzo. Zwłaszcza główny hol podkreśla dużą przestrzeń. Szklane płyty przykrywają gmach Bonarki, zaprojektowano tak, by do środka wpadało jak najwięcej naturalnego światła. Trzy wielkie pawilony znajdują się w głównych pasażach budynku, a poszczególne części galerii łączą drewniane mostki. W centralnym punkcie głównego korytarza, nazywanym Palmiarnią, znajduje się sadzawka z ciekawą fontanną. Przyznam, że fakt umieszczenia palm w tym centrum handlowym jest dość ciekawy, bo skoro Bonarka jest interpretacją współczesnych ulic miejskich, to raczej rzadkością jest widok palm na naszych ulicach, ale z drugiej strony jest to interpretacja, a nie odzwierciedlenie otaczającej na rzeczywistości, to palmy mogą doskonale pasować do wnętrza galerii, która ma przecież zachwycać i cieszyć oczy każdego konsumenta. Do mnie jednak taka interpretacja nie trafia.

Palmy jednak przykuwają uwagę i budzą pochlebne reakcje. „Najefektowniejszą częścią Bonarki jest aleja palmowa, która choć trochę pozwala odwiedzającym poczuć się jak w dalekich egzotycznych krajach".

Na ogół Bonarka City Center podobała się studentom.

Wnętrze centrum handlowo-rozrywkowego „Bonarka" – możemy przeczytać w dość typowej opinii – zrobiło na mnie dobre wrażenie. Zachwyciło mnie niepowtarzalną konstrukcją architektoniczną, wystrojem i przestrzenią [...]. Podobał mi się również układ galerii. Lubię takie centra handlowe, w których są uliczki, tworzące swego rodzaju plan miasta. Nigdy nie byłem zwolennikiem „Galerii Krakowskiej", która przez swoją lokalizację w ścisłym centrum Krakowa może także zniechęcić do zakupów. Jest tam zawsze bardzo dużo ludzi, a sama galeria jest pozbawiona duszy. Centrum handlowe „Bonarka" ma w sobie coś magicznego. Sporo ludzi z góry skazało ją na niepowodzenie ze względu na istnienie wielu innych podobnych obiektów na terenie Krakowa. Do stworzenia dobrej galerii nie potrzeba pięknie ubranej choinki, ozdób sprowadzanych zza granicy czy światełek otaczających wszystkie witryny sklepowe. W większości centrów sklepy są podobne, jednak to uliczki i zakamarki na planie galerii tworzą atmosferę dżungli, nieodkrytego raju, w którym znaleźliśmy się i musimy odkryć skarb, po który przybyliśmy.

Opinie o Bonarka City Center, skonfrontowane z reklamami, można nazwać ostrożnie i umiarkowanie optymistycznymi, choć przyznać należy, że miejsce to nie zrobiło, z małymi wyjątkami, piorunującego wrażenia na studentach. Okazało się zresztą, że znają oni nieźle nie tylko galerie krakowskie oraz te, które powstały w miejscach ich stałego zamieszkania (na przykład Chrzanów, Tarnów). Wiele również mogą powiedzieć o najbardziej znanych tego typu miejscach w Polsce, na przykład o Arkadach we Wrocławiu, Starym Browarze w Poznaniu, Manufakturze w Łodzi, Silesia City Center w Katowicach czy Złotych Tarasach w Warszawie. Wygląda na to, że w dzisiejszych

czasach zwiedzanie obcych miast, nawet w środowisku studenckim, nie może się obejść bez wizyty w znanych centrach handlowo-rozrywkowych[40].

Najogólniej rzecz ujmując, największym uznaniem studentów cieszą się galerie małej lub średniej wielkości. W ich opinii właśnie one mają najwięcej uroku, są przytulne, „człowiek czuje się w nich lepiej". Jedna ze studentek pracuje w takiej galerii, w Galerii Kazimierz, którą i ja uważam za najbardziej sympatyczną ze wszystkich centrów handlowo-rozrywkowych w Krakowie. Jej niezbyt pozytywna opinia o Bonarce City Center wypływa z doświadczeń nie tylko klienta, ale i pracownika galerii. Nawiasem pisząc, najprawdopodobniej w galeriach w charakterze sprzedawczyń, czasowo, na godziny, pracuje znacznie więcej niż jedna studentka. Faktu tego owe osoby jednak nie podkreślały.

Syntetyczne opinie o centrach handlowo-rozrywkowych, które można było znaleźć w pracach, brzmią na tyle interesująco, że warto je tutaj przytoczyć:

– „wesołe miasteczko dla dorosłych";
– „Mekka konsumpcji i zabawy";
– „przepych i rozpusta" (niestety, ta opinia nie została rozwinięta);
– „większe nie oznacza lepsze" (najogólniejsza, dość częsta krytyka niezbyt w opinii studentów sensownej gigantomanii, na którą zdają się cierpieć właściciele i projektanci centrów handlowych);
– „miejsce zbyt przereklamowane";
– „kolejne wcielenie demona konsumpcji";
– „jaskinia konsumpcjonizmu";
– „arabskie targowisko";
– „centrum zaspokajania potrzeb";
– „»Bonarka« jest pozbawiona duszy" (opinia dość częsta, choć to, co miałoby decydować o owej oczekiwanej przez studentów duszy, nie zostało precyzyjnie określone);
– „budowla ekologiczna, światło naturalne, zużycie energii ograniczone do minimum" (reklama „ekologiczna", niekoniecznie posługująca się prawdziwymi faktami, mocno działa na studentów, raczej mało krytycznych w tych kwestiach);
– „unikatowy miejski plac Krakowa";
– „enklawa w Krakowie";
– „przyjazne centrum handlowe, robiące dobre wrażenie na kupujących" (opinia dość banalna, pojawiająca się jednak najczęściej, do niej można sprowadzić większość wypowiedzi na temat Bonarka City Center. Oczywiście, padały

[40] O tej kwestii czytamy w następującej wypowiedzi: „[...] niejednokrotnie moi znajomi wprawiali mnie w lekkie zakłopotanie, kiedy podczas wizyt w Poznaniu czy Wrocławiu oprócz standardowego zwiedzania Rynku i jego okolic, zaprowadzali mnie do znajdujących się w pobliżu centrów handlowych. To troszkę zaskakujące, że miejsce wszechobecnej konsumpcji stało się dla wielu ludzi wręcz atrakcją turystyczną. Zauważyłam coś jeszcze – co niezwykle mnie rozbawiło swoją drogą – mianowicie, po otwarciu Bonarki, na portalach społecznościowych typu nasza-klasa.pl zaczęły pojawiać się zdjęcia z tego miejsca. Dumne podpisy typu »ja w nowo otwartym centrum handlowym Bonarka« i zdjęcie zrobione na tle alei palmowej świadczą chyba o tym, że spora część ludzi uważa bycie w takim miejscu za prestiżowe, godne pochwalenia się".

również określenia znane studentom z wykładów i literatury dotyczącej supermarketów, na przykład „miasto w mieście", „świątynia konsumpcji", „*quasi*-miasto" itp.).

Podsumowanie tej kwestii znajdziemy w jednej z wypowiedzi:

Całej wyprawy do Bonarki nie mogę podsumować ani dobrze, ani źle. Było miło zobaczyć nowe, pięknie i dobrze wyposażone miejsce, ale z drugiej strony Bonarka nie oferuje mi nic, czego nie znalazłabym w innych centrach handlowych. Nie zaczarowało mnie to miejsce i raczej szybko tam nie wrócę. Poczekam na otwarcie kolejnej galerii (bo zapewne niebawem to nastąpi), a do tego czasu pozostanę wierna osiedlowym sklepikom i szybko dostępnej mi Galerii Krakowskiej.

Ogólnie, studenci nie wierzą w możliwość wykreowania Bonarki na nowe centrum miasta.

Tworząc takie galerie, ich twórcy chcą bez wątpienia przenieść życie społeczne do tego rodzaju miejsc, ponieważ patrząc co się w nich znajduje: wielkie przestrzenie, długie alejki brukowane, ustawione sztuczne drzewa, latarnie i ławki, można pomyśleć, że jesteśmy w centrum miasta i spacerujemy po deptaku. Jednak musimy zrozumieć, że to iluzja, bo centrum handlowe nigdy nie stanie się miastem, bo to po prostu niemożliwe. Zresztą źle by się stało, gdyby Polacy zamienili na stałe miasto na centrum handlowe.

Jak można sądzić z niektórych wypowiedzi, Bonarka jest dla wielu studentów symbolem przechodzenia społeczeństwa polskiego z epoki industrialnej do czasów postindustrialnych, wszak niejednokrotnie centra handlowo-rozrywkowe powstają na miejscu zakładów przemysłowych, jakże niegdyś uciążliwych dla miasta i jego mieszkańców.

Jedynym, zauważonym przez nielicznych piszących, elementem różniącym Bonarkę od innych centrów handlowo-rozrywkowych jest wyeksponowany w jej centrum, w miejscu spotkań, efektowny zegar. Zegary raczej rzadko można spotkać w tego typu miejscach, szczęśliwi – a czy są inni w raju konsumpcyjnym – czasu nie mierzą. Aluzja do Rynku krakowskiego, pomnika Mickiewicza oraz zegara na wieży ratuszowej dla każdego krakowianina jest oczywista. Bonarka City Center ma konkurować z najpopularniejszym miejscem spotkań w Krakowie. Co do szans w owej konkurencji, to zdaniem studentów Bonarka stoi raczej na straconej pozycji. Krakowskie gołębie nie polecą – jak sugerowały reklamy – do Bonarki!

Na zakończenie tego fragmentu, zacytuję jeszcze, moim zdaniem, niezwykle celne pytanie postawione przez krytycznie nastawioną do Bonarka City Center studentkę: „[...] czy nie lepiej byłoby wybudować park rozrywki, którego nie ma w Krakowie, najbliższy jest dopiero w Chorzowie?".

Nie tylko o Bonarce. Dlaczego Polacy kochają galerie, centra handlowo-rozrywkowe? Wizyta w Bonarka City Center dała studentom okazję do ogólniejszych uwag, uwag dotyczących nie tylko centrów handlowych, ale także kwestii współczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego, jego głównych cech, oczekiwań konsumentów i sposobów ich zaspokajania oraz konsekwencji przyjęcia nowego, konsumpcyjnego

stylu życia dla na przykład kontaktów międzyludzkich, kondycji rodziny, przemiany obyczajów itp. Wiele refleksji zamieszczonych w analizowanych tekstach, bezkrytycznie powielało poglądy, czasem po prostu spekulacje, z którymi studenci mieli okazję się zapoznać, czytając i omawiając na ćwiczeniach prace na przykład Ritzera, Baumana czy Baudrillarda, poświęcone społeczeństwu konsumpcyjnemu. Często studenci posługiwali się cytatami ze znanych sobie prac, choć zadając pracę ćwiczeniową, prosiłem ich o coś innego, o osobiste refleksje. Zresztą i takich było sporo i one głównie, jak wcześniej podkreślałem, będą tu eksponowane.

Niemal wszyscy studenci, których prace przekroczyły granicę banalnego sprawozdania z przeczytanych lektur i zdawkowej wizyty w Bonarce i nabrały charakteru ogólniejszego, bardziej refleksyjnego, zadawali sobie pytanie, dlaczego Polacy w tak krótkim czasie (w końcu proces powstawania w Polsce społeczeństwa konsumpcyjnego rozpoczął się niedawno) „pokochali" centra handlowo-rozrywkowe i co więcej, stali się ich namiętnymi bywalcami. Nawiasem pisząc, studenci uznają polskie społeczeństwo za „konsumpcyjnie raczkujące", w czym zresztą doszukują się m.in. przyczyn fascynacji galeriami.

Polacy kochają centra handlowo-rozrywkowe to prawda oczywista dla niemal wszystkich wypowiadających się studentów. Polakom w ogóle odpowiada konsumpcyjny styl życia, aprobują go i pożądają wynikających z niego atrakcji. Raczej nie widzą niebezpieczeństw i zagrożeń, które mogą się z nim wiązać. Jedna ze studentek tak uzasadnia prokonsumpcyjne postawy Polaków:

> Sądzę, że ogromne zainteresowanie, jakim w Polsce cieszą się obecnie centra handlowe, wynika w dużej mierze z historii naszego kraju. Po wielu latach pustych półek i długich kolejek, by zdobyć chociażby papier toaletowy, społeczeństwo postkomunistyczne zachłysnęło się tą różnorodnością, z jaką mamy do czynienia w galeriach handlowych. Niezliczona liczba towarów, wymyślne, kolorowe wystawy i uśmiechnięci sprzedawcy to zjawiska, do których polskie społeczeństwo ma dostęp od niedawna. Możliwość zakupu tego, na co ma się ochotę (wyłączając aspekt materialny), powoduje, że ludzie czują się lepsi, wyróżnieni. A to przekłada się na częste wizyty w centrach handlowych. Przeszłość naszego narodu wpływa też na fakt, że duża liczba Polaków daje się zwieść licznym akcjom promocyjnym, programom lojalnościowym czy też innym technikom manipulacji klientem, których jest w dzisiejszych czasach mnóstwo. [...] Można zaobserwować, że odwiedzanie galerii zaczyna wpisywać się w nasz styl życia. Dawniej w niedzielę przeciętna polska rodzina wybierała się wspólnie do kościoła, a potem na spacer np. do parku. Dziś miejscem spaceru jest centrum handlowe. Niewykluczone, że w przyszłości w galeriach w Polsce pojawią się także kapliczki, by i tę sferę życia przenieść do centrum handlowego.

Z powyższymi uwagami koresponduje inna wypowiedź, zresztą nader optymistyczna:

> [...] społeczeństwo staje się coraz bogatsze, mamy do czynienia ze wzrostem płac, jak i długości czasu wolnego, jaki ma każdy z obywateli. Zmniejsza się też różnica między sposobem życia obywateli krajów zachodnich i obywateli państw postkomunistycznych. W krajach takich jak Polska, usilnie dążących do osiągnięcia „zachodnich standardów", centra handlowe uważane są dziś za symbol rozwoju i rosnącego bogactwa.

Aby wyjaśnić pociąg Polaków do odwiedzania galerii, czy w ogóle do konsumpcyjnego stylu życia, nie są oczywiście konieczne analizy dziejów naszego narodu.

> Co takiego sprawia – czytamy w innej pracy – że ludzie tak tłumnie przychodzą do galerii? Wydaje mi się, że głównym powodem jest dostępność. Wystarczy wsiąść w tramwaj lub samochód, pojechać w to jedno miejsce i całe zakupy można „odhaczyć". Może być to znacznym ułatwieniem, ta koncentracja najróżniejszych towarów i usług, może nie tyle czasowym [...], co raczej praktycznym. Na przykład, w deszczową pogodę nie muszę martwić się płaszczem i parasolem, wszystko zostawiam w szatni, po czym mogę chodzić od sklepu do sklepu, nie martwić się tym, że kapie mi po głowie albo że powoli zaczynają mi przemakać buty. [...] galerie łączą praktycznie wszystko, co przeciętny człowiek uważa za atrakcyjne.

Polacy z radością przyjęli konsumpcyjny styl życia, bo dość już mieli pamięci o zgrzebnej przeszłości bądź po prostu z czystej wygody. A może również z tego względu, że są po prostu ludźmi podatnymi na przyjemne bodźce. O takich ludziach czytamy w poniższej wypowiedzi:

> Centra handlowe są tak zaaranżowane, że ludzie zapominają o czekającej na nich za drzwiami codziennej, szarej rzeczywistości, poddają się magii miejsca, są wchłaniani w wir przeróżnych atrakcji konsumenckich. To chwile beztroskiej zabawy, wolności bez problemów. Dla kilku chwil radości i zabawy, zbytków i słabości gotowi ponosić najwyższe koszty, jakim jest np. debet na koncie. Wszystko jest tak zaplanowane, by konsumenta nic nie rozpraszało, wręcz przeciwnie, by mógł spokojnie oddać się rozkoszom, jakie zostały dla niego przygotowane.

Dziś Polacy w centrach handlowo-rozrywkowych:

> Wydają pieniądze, spacerują, oglądają. I nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ społeczeństwo traktuje centra handlowe jak dobrego przyjaciela. Wydaje im się, że dzięki zakupom mogą poprawić sobie humor, stać się kimś wyjątkowym, wysłuchanym, zauważonym, czy dopieszczonym. W ten sposób często odreagowują sobie porażki w życiu osobistym, towarzyskim, zawodowym, złe dni, trudy życia codziennego. Centra są czyste, bezpieczne, stwarzają dogodne warunki do spotkań ze znajomymi. [...] A zimą jest jeszcze ciepło i sucho. Raj na ziemi.

Zdaniem studentów:

> Ludzi przyciąga bajkowość i fantastyczność miejsc konsumpcji, obietnica spełnienia marzeń, jak również pragnień. Centra handlowe są zaaranżowane w taki sposób, że ludzie zapominają o czekającej na nich za drzwiami ponurej i przytłaczającej rzeczywistości [...]. Mają możliwość zanurzenia się choć na moment w beztroskiej, wolnej od wszelkich problemów, radości. Robią to bez wahania, nawet jeśli cena, jaką przyjdzie im zapłacić za tę chwilę słabości, będzie bardzo wygórowana.

Zatem eskapizm, chęć ucieczki od rzeczywistości, byłby – przynajmniej w jakimś stopniu – powodem wielkiego powodzenia centrów handlowo-rozrywkowych? Studenci zdają się tak właśnie uważać.

Polacy, a zwłaszcza młodzież, zostali „zarażeni" konsumpcją na pokaz, która

> [...] w obecnych czasach staje się coraz bardziej popularnym zjawiskiem i szybko zyskuje sobie coraz większe grono wyznawców. Niektórym samo konsumowanie jak największej ilości dóbr materialnych wystarczy do tego, by czuć się szczęśliwie i bezpiecznie. Konsumując na pokaz, osiągają [zaspokajają – R.K.] jeszcze jedną ważną dla nich potrzebę, która do poczucia się szczęśliwym i spełnionym jest konieczna, a mianowicie taką, aby stać się aktorem [...] i dzięki temu „wyrobić" sobie pozycję w społeczeństwie (obecnie pozycja liczy się dużo bardziej niż sam człowiek; kto ma wysoką pozycję, staje się „kimś" – a raczej tak o sobie myśli – wśród innych, którzy w jego mniemaniu są „nikim"). Oczywiście zjawisko to możemy zaobserwować w wielu miejscach i wielu sytuacjach, jednak ogromne centrum handlowe w znacznym stopniu ułatwia i stwarza dogodne warunki konsumowania na pokaz. [...] takich klientów nie brakuje, a zwłaszcza wśród młodzieży, która jest najszerszym gronem konsumującym na pokaz, bo to wśród nich panuje najgłębsze przekonanie o tym, że tworzenie własnej tożsamości wiąże się przede wszystkim z pokazywaniem się z jak najlepszej strony wśród innych. Nowoczesne miejskie centrum jest świetnym sposobem na spędzenie wolnego czasu po szkole czy po zajęciach.

Istotnie, obserwacje galerii potwierdzają, że większość ich klientów to ludzie młodzi. Byliby to owi „konsumujący na pokaz"? Warto się nad tym zastanowić, stąd przytoczyłem powyższą relację, nie bacząc na jej pokrętną stylistykę.

Ciekawe jest także inne stwierdzenie: „Centra handlowe zastępują również podwórko, na którym spotykamy się z rówieśnikami, by wspólnie spędzić czas, zamiast spędzać go na osiedlowym boisku".

Studenci zauważają pozaekonomiczną działalność centrów handlowo-rozrywkowych, działalność, o której była już mowa, a którą można by nazwać, może z pewną przesadą, działalnością kulturotwórczą.

> Dzisiaj centra łączą kulturę, rozrywkę i sztukę. Coraz częściej ludzie przychodzą do centrów, by pooglądać wystawę lub posłuchać występu gwiazdy na żywo. Zakupy są tylko dodatkiem. Kultura wyższa w centrach łączy się z kulturą masową. To dobre dla ludzi, których nie stać finansowo na potrzeby wyższego rzędu. Tam oglądają spektakle czy wystawy, na które gdzie indziej nie mogliby sobie pozwolić przez brak funduszy.

Inna studentka podaje konkretne przykłady:

> [...] wielkie centra handlowe, by utrzymać zainteresowanie klientów [...], rozpoczęły walkę na wielu frontach. Organizują najróżniejsze imprezy i happeningi, dla przykładu przytoczę tu archiwum wydarzeń z Galerii Krakowskiej [...]. Mamy tu „Lato z wikingami", „Pokaz mody jesiennej", „Pokaz małych samochodów typu mini", „Armia terakotowa", a z okazji zbliżającego się Bożego Narodzenia spotkania z Mikołajem, pieczenie pierniczków, ubieranie choinki itp. Jak widać, zakres tematyczny jest bardzo szeroki, każdy znajdzie tu coś dla siebie.

Gdyby zebrać opinie studentów na temat przyczyn, dla których Polacy tak ochoczo rzucili się w objęcia konsumpcji, a zwłaszcza dlaczego tak gremialnie odwiedzają galerie handlowe, można by uzyskać dość obfity i zastanawiający zestaw powodów. Jest tak – zdaniem studentów – ponieważ Polacy:

– chcą (muszą) odreagować długi okres niedostatku, komunistycznej siermiężności;
– są podatni na „magię miejsca”, na „wielkie kuszenie”, którego sztukę do perfekcji opanowali właściciele galerii;
– uważają galerie za wygodne miejsce zakupów, są to miejsca „kumulujące wygody”, w najszerszym zrozumieniu;
– aby zapomnieć o szarej rzeczywistości czającej się za drzwiami galerii;
– aby poprzez zakupy, „konsumpcję na pokaz” dowartościować się; Polacy „kupują rzeczy, których nie potrzebują, za pieniądze, których nie mają, aby zaimponować tym, których nie lubią”;
– dla „zabicia czasu”; aby „ciekawie spędzić czas”;
– aby „być wśród innych”; „obserwować ludzi”;
– bo „przestrzeń [galerii – R.K.] kojarzy im się z wolnością”; „centra handlowe dają poczucie anonimowości”;
– „ponieważ jednostka ludzka nie może uciec od konsumpcji, jest na nią skazana”. To ostatnie stanowisko to determinizm konsumpcyjny w czystej formie!

Najbardziej dosadne i najprostsze wyjaśnienie problemu znajdziemy w twierdzeniu: „Polacy lubią galerie, bo nie ma tu psich odchodów i zapijaczonych meneli”. Nie da się zaprzeczyć, że kwestia bezpieczeństwa jest dla Polaków niesłychanie ważna, a galerie są po prostu jednym z nielicznych miejsc naprawdę bezpiecznych.

Nawiasem pisząc, jedna z najbardziej krytycznych opinii o galeriach (o krytycyzmie studentów będzie jeszcze mowa) zasadza się na poczuciu braku wolności:

> [...] galerie handlowe nie tylko z budowy przypominają rynek. Organizowane są w nich cykliczne wystawy tematyczne, koncerty, pokazy mody itd. Jednak podobieństwo jest pozorne. W galerii nie można manifestować swoich poglądów, spontaniczny performance także jest zabroniony, nie wspominając już o ludziach niepasujących do obrazu galerii (bezdomnych), którzy są z niej bezwzględnie usuwani.

Czy konsumpcja to zabawa, a galeria to miejsce konsumpcji zabawy? Studenci wiele pisali na te tematy. Ogólnie zgadzali się z twierdzeniem, że społeczeństwo konsumpcyjne to zarazem społeczeństwo zabawy (samo kupowanie – *shopping* – to zabawa), a galeria to – oczywiście nie zapominając o innych jej funkcjach – „wielki plac zabaw”.

> Wszystko – pisze jedna ze studentek, a jej poglądy uznać można za charakterystyczne dla członków badanej grupy – co dostają ludzie społeczeństwa konsumpcyjnego, ma służyć przyjemności. Centra handlowe spełniają funkcje „świątyń konsumpcji”, gdzie wierni oddają cześć rozrywce, jaką jest nabywanie nowych dóbr. „Nabożeństwom” tym nie ma końca. Są też licznie i chętnie odwiedzane, gdyż cechą społeczeństwa kultywującą konsumpcję jest hedonizm. Kupowanie jest środkiem osiągania przyjemności. Ta z kolei stała się w XXI wieku wartością najwyższą i najbardziej pożądaną. [...] Nienasycenie staje się powszechną normą. Liczy się osiągnięcie największej satysfakcji z życia [...]. Proces konsumowania w centrach handlowych służy zabawie. Jest to bardzo ważne dla całego systemu, którego trybami poruszają konsumenci. W interesie oferodawców jest więc takie zaprojektowanie wnętrza świątyni, aby odwiedzający ją chcieli w niej jak najdłużej prze-

bywać. [...] Znaczenie ma wszystko: oświetlenie wnętrza, rozkład przestrzenny, muzyka, którą słychać z głośników i, co bardzo ważne, ogólne wrażenie estetyczne.

Inna studentka z kolei zauważa:

Masowy charakter, dostępność czy ludyczność miejsc tego typu [galerii – R.K.] stanowi ich siłę. Gromadzą się w nich osoby bardzo zamożne, jak i te o niskich dochodach. Z jednej strony przyciągają bogatą ofertą, jednocześnie zwracają uwagę na przystępne ceny, promocje czy obniżki. Doskonale zaobserwować to można na przykładzie wyprzedaży, które wyglądają jak współczesne bachanalia czy igrzyska na arenie.

Kupowanie to szczególny rodzaj zabawy.

We współczesności zakupy weszły na stałe do naszego życia. Nie stanowią jednego z elementów życia powszedniego, ale są swoistą celebracją. Wychodząc na zakupy często ubieramy najlepsze markowe ubrania i spędzamy więcej czasu przed lustrem, niż przed wyjściem do kościoła. Dobrym przykładem przeniknięcia konsumpcjonizmu do naszego świata jest znaczenie angielskiego słowa *shopping* rozpatrywane na dwóch płaszczyznach. Samo słowo *shopping* jest niewystarczające, dlatego Amerykanie rozbili to słowo na dwie kategorie. Pierwsza *doing shopping* określa codzienną czynność, czyli podróż do sklepu w celu zakupienia niezbędnych do życia produktów. Druga, *going shopping* z zaspokojeniem podstawowych potrzeb ma niewiele wspólnego. Oznacza wielogodzinne krążenie po sklepach „w bliżej nieokreślonym celu". Cel ten da się jednak łatwo określić, to zabawa, poszukiwanie rozrywki, spędzenie wolnego czasu na przyjemnościach związanych z zakupami, przy czym same zakupy są ważne, ale nie najważniejsze. Galeria to doskonałe miejsce zabawy, zabawy „w zakupy". Galeria to miejsce „zadaszone i chronione przed deszczem". To darmowa toaleta i wolne ławki do siedzenia. To czyste, bezpieczne otoczenie. Alternatywa spędzania wolnego czasu nad wodą czy w lesie. W aktywną kooperację z centrami handlowymi weszły linie lotnicze i w okresie wyprzedaży oferują tanie bilety do Londynu czy Paryża. Zrodziła się idea Festiwalu Zakupów: łączonych superwyprzedaży w wielkich europejskich miastach.

Galerie w opinii studentów to idealne miejsce do spędzania wolnego czasu, czasu poświęconego zabawie, oczywiście zabawie w zakupy. W galeriach „czas płynie niepostrzeżenie, a z nim nasze pieniądze". Zabawa jest doskonała, choć trochę szkoda, że bywa również bardzo kosztowna.

Mimo wszystko galerie oraz ludzie je odwiedzający w opinii wielu studentów zasługują na „rozgrzeszenie", choć są – oczywiście galerie, a nie ludzie – „złodziejami czasu i pieniędzy". Bo przecież, „to właśnie w galeriach ludzie mają możliwość spotkania się ze znajomymi, wypróbowania nowych specjałów w znajdujących się tam restauracjach, czy też spędzenia odrobiny czasu na zabawie ze swoimi dziećmi". Jednak autorka tych słów w innym miejscu zauważa:

Jednostki pochłonięte konsumpcyjnym stylem życia narażone są na liczne pokusy związane z nabywaniem coraz to nowych, czy też bardziej popularnych produktów. Zdarza się, iż są one zupełnie niepotrzebne, jednak możliwość ich nabycia daje poczucie ogromnej przyjemności. Konsumpcja kreuje sztuczne potrzeby, manipuluje naszymi zachowaniami, wykorzystuje nasze słabości, aby tylko sprzedać dany produkt. Centra handlowe są dobrym przykładem ulegania przymusowi i konieczności kupowania.

Wielu studentów ma większą lub mniejszą świadomość, że galerie handlowo--rozrywkowe nie tylko oferują zabawę, przyjemność, nie tylko pozwalają niektórym ludziom dowartościować się, nie tylko ułatwiają życie i czynią je bardziej atrakcyjnym, ale również niosą wiele zagrożeń. O tych zagrożeniach, rozpoznawanych i opisywanych przez studentów warto powiedzieć kilka słów.

„Nie dajmy się zwariować". Studenci krytycznie o galeriach handlowo-rozrywkowych i świecie konsumpcji. Studenci prezentują dużą wyrozumiałość dla konsumpcyjnych postaw polskiego społeczeństwa, co może wynikać z wielokrotnie pojawiającego się przekonania, że „przed konsumpcjonizmem nie da się uciec".

> Żyjemy w czasach – pisze jedna ze studentek – w których konsumpcjonizm jest wszechobecny. Bardzo ciężko się przed nim bronić, gdyż ogarnął on wszystkie sfery naszego życia. I dalej zauważa z pewną dozą współczucia: Ludzie nie zdają sobie sprawy, że tak naprawdę padają ofiarą specjalistów od konsumpcjonizmu. Wszystko jest dokładnie zaplanowane. Wiadomo, gdzie ma znajdować się odpowiedni sklep, kawiarnia czy inny obiekt, aby przyciągał jak najwięcej klientów. Także towary są odpowiednio ułożone na półkach, właśnie po to, aby klienci kupili te konkretne, aby poczuli fałszywą potrzebę, iż właśnie tego teraz potrzebują. Choć tak naprawdę nie jest to im w ogóle potrzebne. Warto więc zastanowić się, czy ogromne centra handlowe są stwarzane dla naszej wygody, czy wprost przeciwnie, po to, aby trwonić nasz czas i pieniądze. Niestety, mało kto się nad tym zastanawia, „zaczarowani" klienci nie mogą się opanować i robią to, czego się od nich oczekuje... kupują, kupują.

Kupowanie niepotrzebnych artykułów pod wpływem reklamy i atmosfery panującej w centrach handlowych to główny zarzut wobec Polaków – konsumentów ze strony studentów. Oto dwie charakterystyczne wypowiedzi:

> Swoisty rytuał kupowania można rozpocząć od razu po pracy i pozwolić, by nasza cała uwaga była skoncentrowana na pomnażaniu, kupowaniu nawet zbędnych rzeczy. Atmosfera sprzyja wydawaniu pieniędzy bez głosu rozsądku. Zamiast pójść do teatru coraz powszechniej i łatwiej współczesnemu człowiekowi udać się na „wycieczkę" do nowo otwartego centrum handlowo-rozrywkowego.

Wizyty w galeriach i wydawanie tam pieniędzy odciąga zatem współczesnego człowieka od kontaktu z wysoką kulturą! Niestety, zdaniem studentów, dziś człowiek jest podatny na reklamę i czar galerii, brakuje mu świadomości, że stał się przedmiotem manipulacji. Ma to dalsze konsekwencje.

> Popularność centrów handlowych – uważa inna ze studentek – sprawia, że Polacy zamiast robić zakupy w mieście, w zwykłych sklepach, wolą iść do marketów, supermarketów, galerii handlowych, w których mogą kupić wszystko, co im jest potrzebne. Jednak nie jest to pozytywne zjawisko, bowiem w ten sposób miasta się wyludniają, życie przenosi się do centrów handlowych.

W innej wypowiedzi czytamy: „[...] dokonuje się prywatyzacja przestrzeni publicznej na dużą skalę. Przestrzeń publiczna kurczy się, dziadzieje, przestaje być funkcjonalna, w końcu umiera. Mieszkańcy miast wycofują się do centrów handlowych".

Studenci, przynajmniej niektórzy, uważają, że konsumpcja to sprawa prywatna, co najwyżej rodzinna, że centra handlowe atomizują zbiorowość, koncentrują jej zainteresowania na zakupach i indywidualnej rozrywce, nie budują więzi społecznej, w istocie nie pełnią żadnych funkcji integracyjnych. Zakupy bowiem, jak również większość oferowanych rozrywek, przypominam tu znane powiedzenie, nie łączą ludzi, co najwyżej „ustawiają ich obok siebie".

Powstaje nowy rodzaj człowieka, człowieka ery konsumpcyjnej. Budzi to niepokój studentów:

> „Zwiedzanie" galerii handlowych staje się powszechną formą spędzania wolnego czasu i rozrywką. Więzi rodzinne, przyjaźń ograniczają się do dawania i otrzymywania prezentów, rzeczami wynagradzamy brak poprawnych relacji międzyludzkich. Wybory mające na celu samorealizację to wybór środka transportu, coraz to nowszych gadżetów. Wszystko obraca się wokół wydawania pieniędzy na produkty i usługi. [...] Centra handlowe zastąpiły parki, kościoły, wspólnoty, ludzie już nie mają czasu porozmawiać ze swoimi sąsiadami, często nie znają ich imion. Hipermarkety stały się celem rodzinnych wycieczek, miejscem kontaktów ludzi w świecie, w którym konsumpcjonizm stał się ideą przewodnią.

Degradacja człowieka, rodziny, społeczeństwa trwa. Co należy czynić, pyta studentka, „aby rodzina i dom nabrały znów znaczenia pierwszorzędnego, żeby więzi międzyludzkie nie zamieniały się w transakcje, a rzeczy, które posiadasz, w końcu nie zaczęły posiadać ciebie?". I nie znajduje odpowiedzi, jak my wszyscy.

Wyjścia nie widać, wszak młode pokolenie wychowywane jest na konsumentów.

> Młody człowiek, który zewsząd otoczony jest sferą konsumpcji, w końcu w nią wchodzi i zatraca się w niej. Zapomina, że są inne wartości ważne w życiu oprócz dóbr konsumpcyjnych. [...] Coraz częściej młode matki z dziećmi zamiast w parku w niedzielne popołudnie, można spotkać w galerii handlowej. To czasami bardzo przykry widok dla osoby, która patrzy z boku na te biedne zmęczone dzieci, które są ciągane przez swe matki od jednego do drugiego sklepu.

Bywa jeszcze gorzej:

> Przebywając już dłuższy czas w galerii i obserwując osoby wokół siebie, stwierdziłam – relacjonuje jedna ze studentek – że najbardziej jest mi żal dzieci, które muszą jechać na zakupy do takiego centrum handlowego. Matki ciągną je za rączkę z jednego końca galerii na drugi, nie zwracając uwagi na ich potrzeby. Dziecko często krzyczało, że jest głodne, że chce iść do toalety, a matka nawet słowem nie odezwała się do niego, tylko oglądała i przymierzała ubrania. Dostrzegła je dopiero wtedy, gdy dziecko zrobiło taką awanturę w sklepie, że sprzedawczynie zwracały uwagę matce i prosiły ją o opuszczenie sklepu.

Dlaczego, pytają studenci, człowiek społeczeństwa konsumpcyjnego kieruje się nie rozumem a instynktem (impulsem)?

Szczególnym zainteresowaniem studentów cieszył się problem tzw. galerianek, podjęty w filmie fabularnym pod takim tytułem, który wszedł na ekrany w 2008 roku i był przedmiotem dyskusji podczas zajęć z socjologii zabawy.

W pracy dotyczącej galerii handlowej – pisze studentka – nie mogę pominąć grup [bywalców – R.K.], o których jest szczególnie głośno w ostatnich miesiącach za sprawą filmu Katarzyny Rosłaniec o tytule „Galerianki". Tytułowe galerianki – dziewczęta, poszukują sponsorów w zamian za uciechy cielesne. Film, który miał pokazać problem i zachęcić do walki z nim, moim zdaniem nie spełnił swojej roli, gdyż [raczej – R.K.] rozpoczął swego rodzaju modę na bycie galerianką. Dziewczęta nie krępują się tym, co robią. Przeciwnie, stało się to rzeczą godną podziwu ze strony rówieśniczek. Można je [galerianki – R.K.] obserwować w każdej galerii właściwie o każdej porze. Uważam, że po obejrzeniu filmu wielu z nas wytworzyło w sobie swego rodzaju znieczulicę. Każdy z nas myśli, że ten problem nie dotyczy jego dziecka, bo przecież nie tak je wychowaliśmy. Problem jednak pozostaje i nie zmniejsza się.

Inna studentka zauważa: „W galeriach handlowych rozwija się, można powiedzieć sponsoring, młode dziewczyny zwane galeriankami oferują usługi seksualne za mniejszy lub większy podarunek od starszego mężczyzny. Budując kolejne galerie, buduje się kolejne miejsca, gdzie te młode dziewczyny mogą szukać sponsorów"[41].

Relacjonując swoją wizytę w Bonarka City Center i wyszczególniając typy studentów, kolejna studentka pisze:

Moją uwagę przyciągnęły także słynne od jakiegoś czasu galerianki. Młode dziewczyny, ubrane w kuse ciuchy poszukują nowych atrakcji. Widać, że podoba im się to centrum handlowe i zaraz zjednają sobie niejednego sponsora na nowy ciuch czy drogi gadżet. Jest to przykre zjawisko, przykład albo niewłaściwego wychowania, albo biedy w domu.

Galerianki to postacie wyróżniające się wyraźnie w tłumie bywalców galerii, zwracają na siebie uwagę strojem, makijażem, zachowaniem, tym bardziej dziwią słowa jednej ze studentek, uważającej, iż „zostały one wymyślone dla potrzeb filmu"!

Zdaniem studentów, galerie sprzyjają powstawaniu patologii społecznych:

[...] problemem, który wyrasta na łonie galerii, jest obnażona całkiem niedawno kwestia galerianek, młodych dziewcząt prostytuujących się w zamian za modne prezenty. Można by się zastanowić nad tym, czy jest zatem sens ich ciągłej ekspansji i budowania kolejnych, skoro centra handlowe same w sobie rodzą jakieś patologie, jednak po namyśle doszłam do wniosku, że takie postulaty i tak niczego nie zmienią. Prawda jest taka, że inwestycje pokroju Galerii Krakowskiej przynoszą zbyt wiele zysku, by przejmować się tym, jaki wpływ mają na młodzież.

Jak wiadomo, galerie przyciągają także wagarowiczów, studenci przypuszczają jednak (co bardzo wątpliwe), że nie będzie ich w Bonarka City Center z powodu znacznego oddalenia tej galerii od szkół. W tym kontekście studenci umieszczali także raczej banalnie pozytywne opinie o „świetlicy", która powstała w tej galerii. Owa „świetlica" to oczywiście ośrodek ks. Augustyńskiego, o którym była wcześniej mowa.

---

41 O problemach wychowawczych, które wynikają z upowszechnienia się centrów handlowo-rozrywkowych zob. np. A. Kowalik, *Centrum handlowe jako nowa przestrzeń zabawy młodzieży*, [w:] *Wąż w raju. Zabawa w społeczeństwie konsumpcyjnym*, red. R. Kantor, T. Paleczny, M. Banaszkiewicz, Kraków 2011.

Studenci o sobie – „galerie są dobre dla innych, nie dla mnie". Studenci postawieni zostali w pozycji obserwatora, mieli obserwować zachowania konsumpcyjne bywalców galerii, komentować je, nie stroniąc od ocen. Tak też czynili, jednakże sytuacja w naturalny sposób skłaniała ich do samoanalizy, do odpowiedzi na pytanie o własne odczucia, preferencje, zachowania konsumpcyjne. Z zebranego materiału wynika jednoznacznie, że nisko, choć na ogół z pewnym pobłażaniem, oceniając obserwowanych, ich zauroczenie konsumpcyjnym stylem życia, naiwnością wobec stosowanych przez handlowców technik wpływania na klientów, marnowania przez nich czasu i pieniędzy, siebie nie widzą w tym gronie!

> Na mnie osobiście – czytamy – magia centrów handlowych nie działa. Może dlatego, że od dwóch lat w takich miejscach pracuję i mam świadomość wszelkich technik oddziaływania na konsumentów. [...] Ja mam słabość do miejsc klimatycznych [sic! – R.K.], oryginalnych, bardziej kameralnych i tajemniczych. Gdzie można się spokojnie zrelaksować, odpocząć. Dlatego zamiast multipleksów wybieram kina studyjne, zamiast fast fooda mniejsze restauracje czy kawiarenki. Nie przekonują mnie też wszelkiego rodzaju wystawy [...], które mają służyć tworzeniu złudnego przekonania, że w centrum handlowym nie chodzi tylko o pieniądze, ale także o strawę duchową dla klienta. Mam wrażenie, że miejsce, które jest od wszystkiego, tak naprawdę nie służy niczemu.

Inna studentka z dystansem komentuje: „[...] ja nie rozumiem ludzi, którzy spędzają w centrach całe weekendy, organizując coś na kształt rodzinnych wycieczek. Sama wybieram się na zakupy z przygotowanym planem (tzn. z listą rzeczy potrzebnych). Nie zawsze sztywno się go trzymam, ale unikam szaleństw". Podobnie w innej wypowiedzi, gdzie czytamy:

> Mnie rozrywka gigantycznego centrum nie zadowala, nigdy nie poszłabym na randkę do kawiarni Bonarki, czy raczej nierzadko jej imitacji, która jest usytuowana w przejściu i bynajmniej nie stwarza klimatu do miłej, spokojnej rozmowy. Lubię bardziej kameralne sale kinowe, takie, w których seans nierzadko emitowany jest dla kilkunastu osób. Osobiście nie bawią mnie wielkie przestrzenie, w których jest bardzo wielu ludzi, zwłaszcza kiedy muszę coś załatwić. Nie jestem także zwolenniczką poszukiwania rozrywki w wielkich centrach. Zwykle po wizycie czuję zmęczenie, które chyba nie jest warte tego, aby ponawiać wizytę... Jednocześnie jestem daleka od potępiania ludzi, którzy w ten sposób realizują różnorodne potrzeby.

Najciekawszy i chyba również najzabawniejszy cytat na ten temat brzmi: „[...] bardzo niepokoi mnie rozwój wydarzeń. Nie wiem dlaczego, ale mnie nadal o wiele bardziej cieszy pójście na rynek [krakowski – R.K.] i poobserwowanie ludzi, niż spędzenie całego dnia na chodzeniu po sklepach. Oby tylko nie okazało się, że kiedyś będzie to obowiązkowe".

Społeczeństwo polskie pogrążone jest w szaleństwie konsumpcji – tak przynajmniej sądzą studenci – a jedynym wyjątkiem są oni! Prezentują wobec konsumpcjonizmu krytycyzm, nieufność, stosowny dystans, demonstrują odmienność potrzeb i poglądów, daleko idący indywidualizm. Czy jednak jest tak rzeczywiście, czy nie są to czcze deklaracje? Tylko bardzo pogłębione jakościowe badania mogłyby dać na to pytanie wiarygodną odpowiedź.

Jedyna rada, jaka może wynikać ze studenckich tekstów, rada na amok konsumpcyjny, to podejście racjonalne. Ten racjonalizm konsumpcyjny, to po prostu, po pierwsze, nie ufać reklamom, po drugie, kupować tylko rzeczy potrzebne, po trzecie, nie szastać pieniędzmi, po czwarte, zawsze pamiętać, że są sprawy ważniejsze niż zakupy i wizyty w centrach handlowo-rozrywkowych. Program dla jednych minimalistyczny, dla innych zbyt maksymalny, dla wszystkich trudny, bądź wręcz nie do zrealizowania. Bo przecież:

> [...] ludzie szukają rozrywki, szczęścia, przyjemności, urozmaicenia. Producenci, sponsorzy, architekci prześcigają się w wymyślaniu coraz to nowszych i bardziej skomplikowanych budowli centrów handlowych. Wszystko po to, aby nie zawieść oczekiwań ludzi, którzy mają przyjść i zakochać się w tym małym, łatwym do zdobycia raju. Sztab ludzi pracuje nad tym, byśmy czuli, że raj żyje swoim własnym życiem, a my możemy stać się jego częścią i być szczęśliwymi. Nikt nie powie nam, ile potrwa to szczęście. Jest ono podobne do szczęścia Ewy w niebiańskim raju. Trwa chwilę i nie da się go osiągnąć na wieki. Ludziom zawsze będzie czegoś brakowało, a to jest doskonały pretekst, by znów wyruszyć na poszukiwanie szczęścia ukrytego w jednym ze sklepów w galerii.

Czy te słowa wystarczą jako podsumowanie nie tylko wypowiedzi studentów, ale również kwestii związanych z istnieniem i rolą centrów handlowo-rozrywkowych we współczesnym świecie konsumpcji?

V. ZABAWA HISTORIĄ – ZABAWA W HISTORIĘ

„Antropologię na pewien czas zapędzono w zbyt wysokie przeintelektualizowane rejestry, z których – jak wynika z pewnych oznak – chciałaby się teraz wydostać. Stwarza to, być może, okazję, by w końcu obdarzyć szacunkiem i zaufaniem zwykłych ludzi oraz to, co mają oni do powiedzenia o najgłębszych pobudkach swych działań".

Edith Turner

Kulturę współczesną przenika w wielkim stopniu ów niezbyt jasno określony, a przez J. Huizingę mocno akcentowany duch zabawy[1]. Jeśli nawet twierdzenie, iż współczesna kultura to kultura zabawy zawiera nieco przesady, to jednak nie ulega wątpliwości, że jesteśmy świadkami – a praca moja ma to potwierdzać – nasycania jej, niemal we wszystkich przejawach, potężnym ładunkiem ludyczności. Proces ten, jak już szerzej pisałem, określany bywa błędnie jako karnawalizacja, a bardziej precyzyjnie jako uludycznianie kultury lub jej ludyzacja. W rezultacie we współczesnej kulturze konsumpcyjnej zaciera się, w przeszłości wyraźnie widoczna, granica między powagą a zabawą. Wszystko, bądź niemal wszystko, staje się lub może się stać zabawą, służy zabawie, ma dostarczać przyjemności, odprężenia. Społeczeństwo zabawy, społeczeństwo konsumpcyjne, społeczeństwo hedonistyczne, to określenia precyzyjnie wskazujące na dążenia znacznej części społeczeństwa, podsycane przez środki masowego przekazu. To w istocie uzupełniające się cechy naszej rzeczywistości społeczno-kulturowej.

Wśród dziedzin życia znaleźć można jeszcze takie, które w opinii obserwatorów plasują się w sferze powagi. Należą do nich religia, nauka oraz będąca rezultatem jej uprawiania wiedza naukowa. Czy rzeczywiście tak jest, czy są one dziś wolne od presji wszechpotężnej ludyczności? W kolejnych rozdziałach tej pracy postaram się odpowiedzieć na to pytanie. Na początek zajmę się nauką i jej relacją z zabawą. „Nauka – jak pisał T. Sozański – jest szczególnego rodzaju wiedzą zobiektywizowaną w postaci określonych wytworów, a także szczególnego rodzaju działalnością zbiorową ludzi, mniej lub bardziej zinstytucjonalizowaną, wytwarzającą taką wiedzę"[2].

Huizinga pisał przed laty:

> Zabawa związana jest z czasem, ma określone trwanie i nie ma żadnego celu poza samą sobą. Polega na świadomości, iż stanowi miły odpoczynek poza wymogami powszednie-

---

[1] Zob. J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa 1985, *passim*.

[2] „Nauka jest szczególnego rodzaju wiedzą zobiektywizowaną w postaci określonych wytworów, a także szczególnego rodzaju działalnością zbiorową ludzi, mniej lub bardziej zinstytucjonalizowaną, wytwarzającą taką wiedzę". T. Sozański, *Co to jest nauka?*, [w:] *Nauka, tożsamość i tradycja*, red. J. Goćkowski, S. Marmuszewski, Kraków 1995, s. 23.

go życia. Wszystko to nie odnosi się do nauki. Nauka szuka przecież usilnie kontaktu z rzeczywistością i chce być dla ogólnej rzeczywistości obowiązującą. Reguły nauki nie są, tak jak reguły zabawy, ustalone raz na zawsze, w sposób niewzruszony. Doświadczenie co chwila zadaje im kłam i wówczas nauka się zmienia. Regułom zabawy kłamu zadać nie można. Grę można zastąpić inną, lecz nie można jej zmodyfikować[3].

Huizinga doszedł do wniosku, że nauka to nie zabawa, ale można nią igrać, to jest bawić się. Uznał ponadto, że nie można wykluczyć obecności „cech ludycznych w zajęciach naukowych" (czyli można się bawić, uprawiając naukę), ale w konkluzji jasno stwierdził, iż „okazuje się [nauka – R.K.] niezbyt podatna na wpływy ludyczne i z pewnością przejawia mniej cech ludycznych niż w okresach swoich początków"[4].

Skłonny jestem zgodzić się z wywodami Huizingi i przyjąć za nim, że współczesna nauka oraz wiedza naukowa, rezultat uprawiania nauki, są mniej podatne na wpływy ludyczne niż inne formy, i ich rezultaty, aktywności ludzkiej, co nie oznacza bynajmniej, że omijają je procesy „uludyczniania". Współczesna nauka i współczesna wiedza naukowa – choć to nie zabawa i do pewnego stopnia słusznie umieszczane bywają w sferze powagi – często, coraz częściej służą zabawie, a już w szczególności idea przekazywania wiedzy naukowej poprzez zabawę stała się kanonem współczesnej pedagogiki nie tylko dzieci, ale i dorosłych. To w sposób nieuchronny kieruje naukę i wiedzę naukową w stronę zabawy, niezależnie od woli i przekonania pedagogów.

Przedmiotem moich rozważań w tym rozdziale będzie proces „uludyczniania" dziejów, a także historii we współczesnym społeczeństwie konsumpcyjnym. Za dzieje, utożsamiane potocznie z historią, uznaję „proces rozwoju życia społecznego lub przyrody; przebieg wydarzeń zwłaszcza przeszłych"[5]. Ten proces, ów przebieg wydarzeń, określam tu mianem przeszłości, historia to dla mnie „historiografia, nauka o dziejach/przeszłości, dzieło/dorobek historyka/badacza przeszłości"[6]. Kiedy zatem piszę o „uludycznianiu" historii, chodzi mi o wykorzystywanie do celów ludycznych/zabawowych ustaleń badaczy – historyków. Zabawa przeszłością – zabawa w przeszłość, to z kolei określenia dla rozmaitych zabaw i rozrywek, których kanwą jest przeszłość, nieistotne, czy jest to przeszłość wyobrażona, fantastyczna, czy rekonstruowana na podstawie wiedzy ściśle historycznej.

Zabawa przeszłością i zabawa w przeszłość. To dwie strony jednego medalu. Zabawa przeszłością to wykorzystywanie rekwizytów, postaci i wydarzeń z przeszłości do celów zabawowych i rozrywkowych. Należą do niej na przykład dawne ubiory i stroje wykorzystywane współcześnie podczas maskarad i zabaw sylwestrowych jako akcesoria tych zabaw, filmy – dramaty lub dziś najczęściej komedie, których akcja „dzieje się" w przeszłości. Do tej kategorii zaliczam także wszelkie rekonstrukcje historycz-

[3] J. Huizinga, *Homo ludens*..., s. 285.

[4] *Ibidem*, s. 287.

[5] „Historia" [w:] *Słownik wyrazów obcych PWN*, red. J. Tokarski, Warszawa 1971, s. 282.

[6] „Historiografia", *ibidem*.

ne: bitwy, turnieje, pikniki archeologiczne[7], parady lokacyjne[8] itp. spektakle. Służą one rozrywce, przyciągają tłumy, uświetniają rozmaite imprezy – niekiedy z gruntu poważne, na przykład wiążące się z istotnymi dla danej zbiorowości wydarzeniami historycznymi[9]. Ich uczestnicy dzielą się na aktorów i widzów, często ci pierwsi to aktorzy zawodowi, wynajęci na takie okazje. Wielokrotnie takie spektakle mają nieskrywany komercyjny charakter, łączone są z akcjami promocji regionów, miast czy mediów: stacji telewizyjnych, lokalnych lub ogólnopolskich, dzienników lokalnych bądź o szerszym zasięgu. Zabawy tego rodzaju trzeba określić mianem rozrywki, aby podkreślić element bierności w zachowaniach większości uczestników-widzów[10].

Zabawa w przeszłość natomiast wymaga całkowicie odmiennego rodzaju aktywności, wymaga zaangażowania głębszego, trwalszego. Jest to zabawa uczestnicząca, aktywna, czyli w istocie zabawa „prawdziwa", jakby kwintesencja zabawy. Do tej kategorii zaliczam uczestnictwo we wszelkiego rodzaju grupach rekonstrukcyjnych, we wszystkich działaniach grupowych wynikających z zainteresowania historią[11]. Członkowie takich grup traktują swoje działania jako rodzaj pasji, zajmują im one wiele czasu, są rodzajem nader absorbującego hobby, wręcz częścią innego niż zwykłe życia. Zabawa w przeszłość może być traktowana jako odtwarzanie i bytowanie (częściowe) w zrekonstruowanym świecie przeszłości.

Zabawa bowiem, przypomnijmy tu opinię W. Okonia, to tworzenie innej rzeczywistości, innej niż codzienna[12]. Zabawa przeszłością to zaledwie rzut oka na ową inną rzeczywistość, zabawa w przeszłość to próba zadomowienia się, choćby chwilowego, w niej, a nawet nadzieja na dłuższy w niej pobyt.

Można zadać sobie pytanie, dlaczego człowiek współczesny bawi się przeszłością, a już zwłaszcza intrygujące jest dociekanie, dlaczego bawi się w przeszłość. Zanim spróbuję na tak postawione pytania odpowiedzieć, niech wystarczy banalna, ale być może celna refleksja: dlatego że jedna i druga forma zabawy stanowią odpowiedź na ludzkie potrzeby, pragnienia, dążenia i zaspokają je w jakiejś przynajmniej mierze.

Zabawa przeszłością, jak już wspomniałem, przyjmuje liczne formy, wszystkie one jednak są raczej rozrywką, odznaczając się biernością odbioru niż *stricte* zabawą. Powieści historyczne, komiksy, gry komputerowe, których tematem jest przeszłość, filmy, spektakle uliczne, pikniki archeologiczne itp. przede wszystkim służą rozrywce (nie da się zaprzeczyć, iż dziś rozrywka zastąpiła w znacznym stopniu dawną aktywną zabawę, charakterystyczną dla tradycyjnych społeczeństw), choć – bywa – że przypisuje się im inne cele, na przykład poznawcze czy dydaktyczne.

---

[7] Zob. np. Ł.M. Dominiak, *Zabawa w przeszłość. Festyn archeologiczny jako forma karnawału*, [w:] *Karnawalizacja. Tendencje ludyczne w kulturze współczesnej*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004. Muszę zauważyć, że pikniki archeologiczne uważam za zabawę przeszłością, nie zabawę w przeszłość.

[8] Zob. np. A. Skórzyńska, *Od karnawalizacji do teatralizacji miejskiego święta. Parada lokacyjna*, [w:] *Ludyczny wymiar kultury*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

[9] O cyklu rocznym takich spektakli związanych z najnowszymi (XX wiek) dziejami Krakowa piszę w artykule *Najnowsza historia Krakowa w cyklu ludycznych spektakli miejskich* (w druku).

[10] B. Sułkowski, *Zabawa. Studium socjologiczne*, Warszawa 1984, s. 54.

[11] Zob. np. W. Krawczuk, *Żołnierzyki i przebierańcy (Wargaming i reenacting). Zabawa w wojnę?*, „Zabawy i Zabawki" 2008, wyd. 2010, nr 1–4.

[12] W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995, s. 44.

Poniżej, aby poruszane kwestie odnieść do konkretnej rzeczywistości i udokumentować, przedstawię kilka spektakli ludycznych, adresowanych do mieszkańców Krakowa i odwiedzających miasto turystów. Scenariusze tych spektakli odwoływały się do konkretnych okresów dziejowych i wydarzeń historycznych, choć bynajmniej niekoniecznie gwarantowały tzw. historyczną prawdę.

Spektakl I. Szarża na Błoniach

W sobotę – czytamy w „Dzienniku Polskim" – miłośnicy polskich tradycji wojskowych zgromadzili się na Błoniach, by podziwiać pokazy kawaleryjskie, zorganizowane z okazji 92. rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej do zaboru rosyjskiego. Na Błoniach rozbito obóz kawaleryjski, w którym można było oglądać konie i ułanów z trzech grup kawaleryjskich. Zwiedzający obóz mogli przyjrzeć się koniom i ekwipunkowi kawalerzystów, najmłodsi mogli liczyć na przejażdżki wierzchem. Atrakcją były też przejażdżki na taczance w towarzystwie... karabinu maszynowego[13].

To nie koniec atrakcji, opisywana impreza była w nie niezwykle bogata.

Kawalerzyści – czytamy dalej – przygotowali pokaz musztry paradnej oraz władania szablą i lancą. – Grać! Na koń! – padła komenda, a prowadzący pokaz tłumaczył, że rozkazy wydawane ustnie byłyby dla kawalerzysty słabo słyszalne, dlatego wydawano je, używając trąbki [...]. Publiczność zobaczyła pokaz musztry paradnej. „To wygląda jak figury w polonezie" – stwierdziła starsza pani, która podziwiała w kawaleryjskim wykonaniu grzebienie, przekładańce, wolty, węże. Ułani zaprezentowali także szarżę kawaleryjską; galopując z szablami w dłoniach, prezentowali, jak wyglądał atak na nieprzyjaciela[14].

Spektakl ten związany z patriotycznymi, zatem z założenia poważnymi obchodami historycznej rocznicy, miał stosowny wymiar dydaktyczny, o co zadbał narrator pokazu i czego nie omieszkał podkreślić reporter:

Pokazy kawalerii mają przypominać, że przed wymarszem piechurów z I Kompanii Kadrowej do zaboru rosyjskiego wkroczyła grupa 7 kawalerzystów pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego. Co prawda, pojechali oni na furmankach, jednak szybko zdobyli wierzchowce. Błonia to także miejsce szczególne dla historii polskiej kawalerii. Obok obozu postawiono kilka plansz ze zdjęciami wielkiej rewii kawalerii w 1933 roku, którą na Błoniach odbierał Józef Piłsudski[15].

Omawiany spektakl zgromadził tłumy krakowian i turystów, jego zdecydowanie ludyczny wymiar doskonale współgrał z obchodzonymi corocznie w Krakowie i okolicach (na przykład Michałowice) uroczystościami upamiętniającymi wymarsz I Kompanii Kadrowej do zaboru rosyjskiego. Była to także demonstracja niemałych umiejętności kilku grup kawaleryjskich, tym godniejsza podkreślenia, że miała miej-

[13] *Szarża na Błoniach*, DP z dn. 7.08.2006.
[14] *Ibidem*.
[15] *Ibidem*.

sce w czasach, kiedy umiejętność jazdy konnej należy do elitarnych. Mamy tu do czynienia jednocześnie z zabawą przeszłością (zabawa dla uczestników – widzów) i z zabawą w przeszłość (w nią bawią się członkowie grup rekonstrukcyjnych, tu kawalerzyści). Wymiar dydaktyczny imprezy, choć nie pierwszorzędny, jest widoczny.

Spektakl II. Deszczowa kopia Matejki

> Jedni mówili – czytamy w lokalnej prasie – że to romantyczne, inni – że to przygoda. Nikomu jednak, jak się okazało, ulewny deszcz nie przeszkodził w stworzeniu fragmentu historii. Wczoraj na Rynku Głównym powstała ogromna kopia znanego obrazu Jana Matejki „Zawieszenie dzwonu Zygmunta”[16].

Zachęcający wstęp, dalej było jeszcze bardziej interesująco:

> Chyba wszyscy krakowianie słyszeli wczoraj po południu potworny huk armat i kanonadę wystrzałów. To walczyły z sobą na Rynku Głównym oddziały austriackie z 32. Regimentem Pruskim. Rekonstrukcją XIX-wiecznej bitwy rozpoczęła się impreza pod hasłem „Baw się historią”, przygotowana przez Urząd Miasta Krakowa oraz kanał Discovery Historia. Organizatorzy podkreślali, że chodzi przede wszystkim o przybliżenie historii w formie odmiennej od nudnej lekcji[17].

Nawiasem pisząc, nie wiem, kiedy i z jakiego powodu upowszechniło się przekonanie, że lekcje historii są niejako z założenia nudne. Moje doświadczenia szkolne przeczą takiej opinii.

> Zmagania austriacko-pruskie – kontynuuje reporter – po zaciętej wymianie ognia i walce wręcz, zakończyły się kapitulacją Prusaków. Po bitwie, na płycie Rynku stanęło 140 sztalug – na tyle podzielony został obraz Matejki. Każdy z fragmentów malowała jedna osoba – pędzle otrzymali aktorzy, muzycy, gwiazdy telewizyjne, strażacy, strażnicy miejscy oraz wszyscy chętni krakowianie. [...] Wśród malujących było aż 10 strażników miejskich. – „Ostatni raz malowałem w przedszkolu” – przyznał jeden z nich [...] – „Nie wiem więc, co z tego teraz wyjdzie, ale to świetna zabawa”. Poszczególne fragmenty „dzieła”, opatrzone podpisami znanych osób, przekazane zostaną na licytację, z której dochód zasili Fundację TVN „Nie jesteś sam”[18].

W odróżnieniu od poprzedniego spektaklu, w tym mamy element interaktywności zabawowej, każdy odważniejszy krakowianin mógł wziąć aktywny udział w imprezie – mógł namalować fragment kopii obrazu Matejki. Uczestnicy i widzowie mieli pełną świadomość, że biorą udział w zabawie historią. Istotę tej zabawy celnie rozpoznał dziennikarz oraz – co oczywiste – jej organizatorzy, akcentujący zabawowy charakter imprezy, choć – co należy uznać za dań na rzecz opinii publicznej, która, jak się wydaje, z trudem akceptuje autoteliczność zabawy – zwracano także uwagę

---

[16] *Deszczowa kopia Matejki*, DP z dn. 10.09.2007.

[17] *Ibidem*.

[18] *Ibidem*.

na owo, w istocie raczej mało znaczące, „przybliżanie historii w formie odmiennej od nudnej lekcji". Jaką bowiem lekcją historii miała być inscenizacja mało ważnej potyczki austriacko-pruskiej połączona nie wiedzieć czemu z malowaniem obrazu przypominającego wydarzenie z XVI wieku? Wydaje się, że impreza miała w rzeczywistości na celu promocję konkretnego kanału telewizyjnego.

Spektakl III. Wjazd palatyna Ottheinricha

> Pogoda wczoraj – donosi „Gazeta Krakowska" – nie sprzyjała aktorom i rycerzom, którzy wcielili się w postaci z orszaku palatyna Ottheinricha, który w grudniu 1536 roku przyjechał do Krakowa. Wtedy było mroźno, ale palatyn wybrał tę drogę dlatego, by łatwiej przejechać w drodze do naszego miasta przez wszystkie rzeki, które po drodze miał pokonać[19].

Ten niezbyt jasny wstęp – w jednym zdaniu trzy „drogi"! – w dalszym ciągu relacji znajduje uściślenie.

> Wczoraj w południe – czytamy – w Barbakanie rozpoczęła się inscenizacja wjazdu palatyna. Przyjechał z Neuburga nad Dunajem w Górnej Bawarii, by zrealizować skrypt dłużny na niewypłacony posag jego babki, polskiej księżniczki Jadwigi, córki Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburżanki wydanej w 1475 roku za księcia na Landshut Jerzego Bogatego. Wyjątkowym plonem tej podróży palatyna było wykonanie 50 obrazów z widokami miast, przez które przejeżdżał orszak. W Barbakanie przemawiali zarówno palatyn, jak i król polski, w orszaku karnie stali rycerze, urodą swoją zachwycały dwórki, pięknie grała dworska orkiestra. Potem wszyscy przeszli w barwnym pochodzie przez ulicę Floriańską i Rynek Główny do Krzysztoforów. Tu po przemowach, powitaniach, toastach odbyły się pokazy tańców dworskich i walk rycerskich. A potem nastąpiło otwarcie wspaniałej wystawy widoków miast, przez które przejeżdżał orszak palatyna[20].

Powyższy opis pokazuje, jak błahe w końcu i dawno zapomniane wydarzenie historyczne staje się kanwą spektaklu wyraźnie adresowanego do turystów odwiedzających Kraków, co wynika chociażby z faktu przeniesienia parady na maj, gdy tymczasem rzeczywista wizyta miała miejsce w grudniu, zatem poza dzisiejszym sezonem turystycznym.

Spektakl IV. Autobusowa lekcja historii

> Piękne, stare autobusy – czytamy w „Dzienniku Polskim" – wraz z niezapomnianym „ogórkiem", przejechały ulicami Krakowa. Parada i piknik zorganizowane zostały w rocznicę uruchomienia komunikacji autobusowej w Krakowie. 80 lat temu ruszyła w Krakowie pierwsza regularna linia autobusowa. Na 4-kilometrową trasę Barbakan – Prądnik

---

[19] *Wjazd palatyna Otteinricha*, GK z dn. 13.05.2005.

[20] *Ibidem*.

Czerwony wyruszyły m.in. Chevrolety. Dziś już ich nie ma, ale obecne Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne wkłada sporo wysiłku w remontowanie zabytkowych pojazdów. To właśnie dzięki tym staraniom możemy przejechać się po mieście starym tramwajem lub chociażby słynnym już „ogórkiem" z przyczepą. Do tej przyczepy ogromny sentyment ma Jan Pilszczek, prezes MPK. – „Usiąść w tej przyczepie, w pierwszym rzędzie tuż za szybą – to było przeżycie" – wspomina. „Jeździłem tak niegdyś linią 303. Pamiętam też autobusy pospiesznej linii A, które wjeżdżały na Rynek". Przystanek na linii AB miały z kolei autobusy, a właściwie mikrobusy (nysy). To właśnie taka nyska z roku 1959 otwierała sobotnią paradę. Tuż za nią sunął dostojny san H01. To pierwsza jego publiczna prezentacja po remoncie [...]. Po całej Polsce w poszukiwaniu części do starych autobusów jeździ Marek Rembecki z Klubu Miłośników Komunikacji Miejskiej w Warszawie. Do Krakowa przyjechał liczącym 35 lat sanem H100, prowadzonym przez Andrzeja Pszczołę [...]. Podróż trwała 9 godzin, ale nic się po drodze nie zepsuło. – „Polujemy na zdewastowane autobusy, porzucone na wsiach, gdzie służą czasem jako szopy" – opowiada Rembecki. [...] Na uroczystość przyjechał również jelcz O43 z Jaworznik (rocznik 1984), skoda 706 RTO z Nowego Sącza (rocznik 1969) oraz jelcz berliet PR100 z Warszawy (rocznik 1980), a także znany w Krakowie kabriolet jelcz O43 Szwagropolu. Paradę zamykał ikarus, który już za dwa tygodnie pożegna się z krakowianami już na zawsze. Julian Pilszczek podkreśla, że parada to nie tylko wydarzenie sentymentalne. – „To również lekcja historii. Dzieje myśli technicznej są człowiekowi bardzo bliskie, wiążą się z jego codziennym funkcjonowaniem. Starsi ludzie jeszcze pamiętają te autobusy, bo sami nimi jeździli, ale dzieci i młodzież mogą się tutaj nauczyć czegoś nowego[21].

Parada starych autobusów z pewnością może stanowić jakąś lekcję dla dzieci i młodzieży, dla starszych pokoleń może być z kolei okazją nie tylko do sentymentalnych wspomnień, ale i do złośliwych uwag na temat obecnego stanu komunikacji miejskiej i zaradności miejskich włodarzy, co usłyszałem w trakcie obserwacji przejazdu zabytkowych pojazdów. Była to przede wszystkim, podobnie jak i inne sytuacje, kiedy na ulice Krakowa wyjeżdżają zabytkowe tramwaje (rzadziej autobusy), zabawa przeszłością, atrakcyjna, ale bierna, zatem rozrywka. Formę aktywną, choć aktywność ta nie przeradza się jeszcze, a może nigdy się nie przerodzi w aktywność permanentną, której wymagam od form zabawy w przeszłość, o czym będzie mowa niebawem, przybierają tzw. gry miejskie. Była o nich mowa w innym kontekście. Tutaj dam dwa tylko przykłady bez szerszego ich omawiania.

Spektakl V i VI. Gry miejskie: „Domino dynastyczne" oraz „Rozpędzili demonstrantów" – happening historyczny

Interaktywna gra miejska – czytamy o pierwszej z zabaw – „Domino dynastyczne", przedstawiająca w niekonwencjonalny sposób postać księżnej Kingi, odbyła się wczoraj na Małym Rynku. Jej uczestnicy mieli za zadanie jak najszybciej uzupełnić otrzymany na starcie pusty schemat przedstawiający drzewo genealogiczne Piastów i Arpadów. Gra, przygoto-

[21] *Autobusowa lekcja historii*, DP z dn. 10.09.2007.

wana przez Małopolski Instytut Kultury, zakończyła się ustawieniem drzewa genealogicznego z osób, które wcieliły się w postacie historyczne[22].

Jak się wydaje, o wiele bardziej atrakcyjny dla wykonawców i widzów był happening historyczny (nazwa niezmiernie rzadko używana na określenie tego typu spektakli!), zorganizowany w ramach projektu edukacyjnego „13 XII Młodzi Pamiętają" przez Stowarzyszenie „Krzyk wolności", Fundację Odpowiedzialność Obywatelska, Stowarzyszenie „Pokolenie" i Klub pod Jaszczurami.

„Solidarność!", „Precz z komuną!" – krzyczeli wczoraj demonstranci podczas inscenizacji zorganizowanej z okazji obchodów 25. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Na Rynku Głównym w Krakowie przez chwilę życie wyglądało jak w roku 1981. U stóp pomnika Adama Mickiewicza zbiera się grupa demonstrantów z flagami „Solidarności". Obok kościoła św. Wojciecha ZOMO-wcy grzeją się przy koksownikach. Wokół nich gromadzi się tłum ludzi. Uwagę młodzieży przyciąga transporter opancerzony. O godz. 14 rozpoczyna się demonstracja. Opozycjoniści skandują: „Solidarność!", „Precz z komuną!", „Jaruzelski, będziesz wisiał!". Po 15 minutach do akcji wkracza milicja. Bije i rozpędza demonstrantów[23].

Reporter gromadzi opinie widzów i „aktorów" wydarzenia:

„Dziwnie się czułam. Miałam wrażenie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Takie przedstawienie działa mocniej niż to, co widzimy w telewizji czy Internecie" – mówi 17-letnia Patrycja, która razem z klasą i nauczycielką przyjechała zobaczyć happening. Justyna, licealistka, jest zdania, że to jedynie namiastka tego, co działo się w 1981 roku i nie oddaje w pełni tego, co wówczas czuli ludzie. – „Historię znamy tylko ze szkoły, dlatego takich akcji powinno być jak najwięcej" – przekonuje Ola, studentka, która przyszła na Rynek z grupą znajomych. Występująca w roli opozycjonistki Ewelina Pytel mówi, że to było dla niej duże przeżycie. – „Emocje zadziałały" – przyznaje. – „Uświadomiłam sobie, jak mogli się wtedy czuć nasi rodzice". Happening skupił wielu młodych obserwatorów. Niektórzy się śmiali, inni traktowali inscenizację bardzo poważnie. Przeważała ciekawość, bo wszystko, co widzieli, było dla nich nowe. W ruch poszły aparaty fotograficzne i telefony komórkowe[24].

Jako biorący przed laty udział w podobnych wydarzeniach, odnotowuję zbieżne z moimi, opinie zebrane przez reportera:

Ci, którzy przeżyli stan wojenny, też obserwowali, co się dzieje na Rynku. Patrzyli, ale inaczej niż młode pokolenie. – „Oglądam to wszystko i tak jakbym tam szukał samego siebie" – mówi pan Andrzej i wspomina lata 80. Podpalenie pomnika Lenina, „ścieżki zdrowia" i to, jak ZOMO-wcy zgarnęli go na ulicy. – „Takie inicjatywy jak ta dzisiejsza są potrzebne. Dlatego, że historia się zaciera. Może młodym się wydaje, że to zabawa. Ale przecież my się wtedy baliśmy. Ilu ludzi skatowano, zabito..."[25].

---

[22] *Gra dynastyczna na Małym Rynku*, DP z dn. 21.06.2008.

[23] K. Klimek, *Rozpędzili demonstrantów*, DP z dn. 14.12.2008.

[24] *Ibidem*.

[25] *Ibidem*.

W przypadku gier miejskich i historycznych happeningów, zwłaszcza inscenizujących wydarzenia z najnowszej historii, następuje pomieszanie zabawy z powagą. Dla młodzieży element zabawy jest dominujący, choć nie wyklucza poważnej refleksji, dla świadków historycznych wydarzeń zabawa schodzi na daleki plan, dominuje powaga. Odnosi się to do coraz częstszych na naszych ulicach rekonstrukcji dramatycznych wydarzeń, na przykład scen z Powstania Warszawskiego, mających miejsce nie tylko w Warszawie, ale i w Krakowie[26]. Nieodległa przeszłość może być jednak prezentowana bez powagi, a przynajmniej w małym stopniu budzić nastrój powagi u widzów, o czym mówi opis kolejnego spektaklu.

Spektakl VII. Traktorzystki w pochodzie

Pochód robotników, chłopów – czytamy w sprawozdaniu z imprezy, która odbyła się 1 maja 2006 roku – oraz przedstawiciele ludu pracującego z czerwonymi flagami i balonami w dłoniach przemaszerował w niedzielne popołudnie wokół Rynku Głównego. Zastępy junaków, traktorzystek, kombajnistów i ludu pracującego wsi; były również transparenty z „górnolotnymi" hasłami, m.in. „Precz z kułakami", „Śpij spokojnie ORMO czuwa", „Robotnicy, inżynierowie, technicy: produkujcie więcej, taniej i lepiej", „Kobiety na traktory" [...] „Kobiety karmcie dzieci czystą piersią". W barwnym korowodzie nie zabrakło też jadącej na meleksie trybuny, z której przemawiał partyjny aparatczyk, traktora z przyczepą oraz legendarnego motocykla marki WSK. Imprezę, która przeniosła wszystkich do czasów PRL-u, przygotowali artyści z krakowskiego teatru KTO. Do pochodu licznie dołączali się krakowianie niosący w dłoniach czerwone chorągiewki z napisem *The end* („Koniec"). Literę „e" przy słowie „end" zastąpiono symbolicznym sierpem i młotem. Manifestacja wzbudzała ogromne zainteresowanie, szczególnie wśród zagranicznych turystów, którzy ustawiali się w szpalerze wzdłuż trasy, by sfotografować niecodzienny przemarsz [...]. Pochód był jednym z wydarzeń nocy socrealistycznej, przebiegającej pod hasłem „... I nie wróci więcej". W ramach imprezy przez cały czas odbywały się występy i konkursy. O to, aby było wesoło, dbali też artyści z Kabaretu Miejskiego Loch Camelot, Biblioteki Polskiej Piosenki oraz Teatru Łaźnia Nowa. Na scenie pod ratuszem każdy mógł opowiedzieć dowcip ze „świetlanego" okresu [...]. Wielką atrakcją było również wspólne śpiewanie przebojów nawiązujących do czasów PRL-u. Można było też skorzystać z przejażdżki autobusem „ogórkiem". Jej uczestnicy – jadący w czynie społecznym budować Nową Hutę – byli obdarowywani deficytowym towarem – papierem toaletowym[27].

Jak widać, także niespecjalnie wesołe dzieje najnowsze mogą się stać kanwą imprezy całkowicie rozrywkowej, ulicznej parady adresowanej do krakowian i turystów, dowcipnej, parodystycznej igraszki socrealistycznymi hasłami i rekwizytami.

---

[26] „W sobotę przez cały dzień na Rynku Głównym odbywały się obchody 65. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Pod kościołem Mariackim stanęła powstańcza barykada, a obok niej prawdziwy niemiecki transporter opancerzony z czasów wojny. Dużym powodzeniem cieszyli się członkowie Krakowskiej Grupy Historycznej »Niepodległość«, których wypytywano o szczegóły umundurowania i uzbrojenia i z którymi chętnie się fotografowano" (*Rocznica Wybuchu Powstania Warszawskiego*, DP z dn. 3.08.2009).

[27] *Traktorzystki w pochodzie*, DP z dn. 2.05.2006.

W tej zabawie pojawiają się momenty interaktywne, opowiadanie dowcipów przez uczestników – widzów i wspólne śpiewy. Jednakże, mimo zabiegów mających na celu ich uaktywnienie, utrzymuje się dominacja podstawowego podziału uczestników na aktorów i widzów.

Najbardziej spektakularny, w ostatnich latach, był w Krakowie spektakl historyczny z okazji 325. rocznicy Wiktorii Wiedeńskiej. Przygotowania trwały miesiące, o ich przebiegu, a także o kosztach, które nieco bulwersowały opinię publiczną, regularnie donosiła prasa krakowska. Debatowano również na jej łamach, kto ma odgrywać główne historyczne role. Zainteresowanie opinii publicznej rosło, rosły też być może – co jest nie do potwierdzenia – nakłady prasy i zwiększała się oglądalność lokalnej telewizji. Oto bardzo skrócony opis tej niezwykłej imprezy, zabawy historią adresowanej do tysięcy krakowian i turystów.

Spektakl VIII. „Przybył, zobaczył, Bóg zwyciężył"

> Triumfalny przemarsz króla Jana III Sobieskiego z Wawelu na krakowski Rynek Główny – relacjonuje „Dziennik Polski" – zakończył wczoraj obchody 325. Rocznicy Wiktorii Wiedeńskiej. Orszak królewski, który podziwiały tysiące krakowian i turystów, składał się z kilkuset osób. Króla witano okrzykami „Vivat!", „Niech żyje Sobieski!". Na czele barwnego orszaku kroczyła straż przednia, potem szli bębniarze, strzelający na wiwat puszkarze oraz piechota. Wielkie wrażenie na zgromadzonych wywarła husaria, która poprzedzała parę królewską [...]. Pochód zamykali jeńcy oraz wozy z łupami wojennymi, które dzień wcześniej „zdobyto na Turkach pod Wiedniem". Na krakowskich Błoniach w sobotni wieczór husaria dowodzona przez Jana III Sobieskiego – jak niegdyś pod Wiedniem – pokonała tureckie wojska [...]. Na znak zwycięstwa na niebie rozbłysły sztuczne ognie. – „Przybyłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył" – mógł w sobotę powiedzieć Daniel Olbrychski, który odgrywał rolę Jana III Sobieskiego. Kiedy, siedząc na koniu uniósł buławę w zwycięskim geście, rozległy się gromkie brawa. Wśród widzów sporo było dzieci i młodzieży, która w ten sposób mogła przeżyć niecodzienną lekcję historii[28].

Jak widać, banał o niecodziennych lekcjach historii, także i w opisie tej imprezy, okazał się niezbędny.

Kolejny fragment relacji zawiera informacje, które mogą stanowić rodzaj wprowadzenia do dalszych rozważań:

> Dzięki widowisku wyreżyserowanemu przez Jacka Spychałę krakowianie i turyści mogli przenieść się w czasy chwały polskiego oręża. W inscenizacji wzięło udział około 400 osób i 70 koni [...]. Krakowskie obchody [...] zorganizowane przez miasto i Discovery Historia zakończył wczoraj triumfalny wjazd króla na Rynek Główny, gdzie zwycięskiego wodza powitała Marysieńka. Tu też odbyły się pojedynki rycerskie i pokazy tańca. Występujący w obchodach rekonstruktorzy wydarzeń historycznych podkreślali, że Kraków ze względu na piękno i tradycje historyczne idealnie nadaje się na takie inscenizacje. – „Do przyjazdu do Krakowa nie trzeba było nas specjalnie zachęcać. Udział w takim przedsięwzięciu

---

[28] *Przybył, zobaczył, Bóg zwyciężył*, DP z dn. 15.09.2008.

dla każdej grupy rycerskiej jest dużym wyróżnieniem. Nie mam wątpliwości co do tego, że grupy rekonstruktorów chętnie powracałyby do Krakowa na kolejne inscenizacje, tak jak co roku przyjeżdżają pod Grunwald [...]" – stwierdził Krzysztof Nowak, występujący w rycerskich inscenizacjach. Pomysłodawcą krakowskich obchodów [...] był radny miasta Paweł Bystrowski. Uroczystości odbyły się pod patronatem „Dziennika Polskiego"[29].

Chodzi tu oczywiście o tzw. patronat medialny, istotny jeśli chodzi o rozpropagowanie imprezy wśród mieszkańców Krakowa i turystów.

Podsumowując, opisywane powyżej spektakle – zabawy przeszłością – charakteryzują się: masowością, medialnością i wyraźnym podziałem na aktorów i widzów. Najczęściej „przypisane" są do hucznie obchodzonych rocznic znaczących wydarzeń historycznych, choć niekiedy mają związek z wydarzeniami mniejszej rangi oraz bywają częścią większych imprez, które można nazwać wielotematycznymi.

Spektakle – zabawy przeszłością – organizowane są przez lokalne władze różnego szczebla, a przynajmniej są przez nie w poważnym stopniu finansowane, co bywa słusznie uzasadniane tym, że stanowią ważny fragment promocji miasta. Wśród innych patronów tego rodzaju imprez szczególną rolę odgrywają media, które – jak już wspomniałem – zapewniają im pożądaną reklamę, częściowo oprawę scenograficzną (poprzez wizualną samoreklamę!) oraz dzięki którym pozostaje po nich ślad na łamach lokalnej czy ogólnopolskiej prasy, a także – w przypadku telewizji – nagrane i zarchiwizowane filmy.

Spektakle te, zwane przeze mnie zabawą przeszłością (historią, dziejami), adresowane są do widza masowego, mieszkańców miasta i turystów, w tym także do licznych turystów zagranicznych. Organizatorzy niektórych z nich definiują adresata wyraźniej, zwykle jest to młodzież szkolna jakoby łaknąca wiedzy historycznej podanej inaczej niż w szkole. W istocie niemal regułą jest otwartość imprez, co oznacza m.in., że nie trzeba znać historii, a tym bardziej mieć chęci na jej pogłębianie, aby na nich się bawić. Widz spektaklu nie musi spełniać żadnych wstępnych warunków, jego wiedza historyczna może być równa zeru, zarówno przed imprezą, jak i po niej. Zatem uczestnictwo w podobnych imprezach, a właściwie wyrażając się precyzyjnie oglądanie ich, w moim przekonaniu, nie ma znaczenia dla pogłębiania wiedzy historycznej. Być może, niektórzy uczestnicy spektaklu zapałają chęcią dowiedzenia się, co właściwie oglądali; pojawienia się podobnej motywacji do pogłębienia wiedzy nie można wykluczyć w jednostkowych przypadkach.

Uczestnictwo w opisywanych spektaklach ma charakter incydentalny, w trakcie imprez tworzy się co prawda więź między uczestnikami (wyrażana na przykład komentarzami wymienianymi przez obcych sobie widzów), ale ma ona chwilowy charakter, jest to raczej mało znacząca wspólnotowość uczestnictwa w rozrywce. Jak wiadomo, to zabawa aktywna łączy ludzi, rozrywka zaledwie na jakiś czas ustawia ich obok siebie.

Zabawy dziejami (historią), których rocznie można obserwować w Krakowie kilkadziesiąt (pominąłem na przykład jakże liczne turnieje rycerskie urządzane coraz częściej jako atrakcyjne dodatki do kiermaszy, festynów i pikników wszelkiego rodzaju), ujawniają najistotniejszą cechę zabaw, ich autoteliczność. Zabawy

---

[29] *Ibidem*.

i rozrywki mają bawić, mają dostarczać przyjemności, wprawiać w dobry nastrój, i z tego punktu widzenia są oceniane. Oczywiście, mogą one również nieść informacje, poszerzać wiedzę historyczną, a przynajmniej zachęcać do jej zdobywania, ale przekonanie, że „uczą historii", uważam za wysoce przesadne, nawet za wyraz swoistej hipokryzji, która nakazuje doszukiwać się sensu dydaktycznego w zabawie i rozrywce, jakby fakt, że dostarczają one jedynie przyjemności, oznaczał, iż nie posiadają żadnej wartości.

Nie da się zaprzeczyć – jak sadzę – że organizatorzy zabaw historią dbają najczęściej, choć nie przesadnie, o szczegóły historyczne, starają się unikać anachronizmów i fantazjowania ze szkodą dla prawdy historycznej, prawdy raczej mało interesującej widza. Wierność historyczna spektakli tego rodzaju nie jest jednak podstawowym wymogiem. Jest nim spektakularność, dlatego też na ołtarzu widowiskowości nierzadko składa się bez skrupułów wierność historyczną.

Zupełnie inaczej jest w przypadku zabaw w przeszłość, które również możemy nazywać zabawami w historię, gdyż jedną z najistotniejszych ich cech jest wielka dbałość uczestników o historyczną prawdę, wręcz dążenie – nie zawsze rzecz jasna zrealizowane – do maksymalnej historycznej wierności. Stąd wysiłki bawiących się w historię, aby sceneria, w której przebiega zabawa, była możliwie najwierniejsza, aby używane akcesoria były „jak prawdziwe", jeśli po prostu nie mogą być prawdziwe, co wymaga pilnego studiowania ustaleń historyków i drobiazgowej analizy zabytków przeszłości w celu ich kopiowania.

Zabawę w przeszłość/historię nazywam czymś o wiele więcej, nazywam ją próbami, mniej lub bardziej udanymi, „zanurzania się" w nią. Tu nie mamy do czynienia z bierną rozrywką bądź pozorną interaktywnością uczestnictwa w atrakcyjnym widowisku. „Zanurzanie się" w przeszłość/historię to sekwencja skomplikowanych i czasochłonnych działań, działań wyzwalających aktywność jednostek i całych grup na wielu polach. Wyobrażenie o charakterze i rozległości takich działań można sobie wyrobić na podstawie kilku wybranych i poniżej przedstawionych przykładów. Pominąłem niezwykle popularne i wielokrotnie opisywane w prasie oraz – rzadziej – w pracach naukowych bractwa rycerskie nawiązujące do średniowiecznego etosu rycerskiego[30], koncentrując się na mniej znanych grupach bawiących się w przeszłość.

Przykład I. Spektakl IX. Eksperyment według Cezara[31]

Ponad 40 kilogramów na sobie, upał i słońce, 112 kilometrów do przejścia – rzymski legionista powinien pokonać taką drogę najwyżej w trzy dni. Naukowcy i studenci ze Stowarzyszenia „Pro Antica" postanowili przekonać się, ile prawdy jest w pamiętnikach Juliusza Cezara i w dziełach starożytnych historyków. Jako legion XIII naukowcy przeszli

[30] Zob. np. K. Kazimierczak, *Zabawa w rycerstwo*, „Kultura Popularna" 2005, nr 2 (12).

[31] Wszystkie informacje i cytaty pochodzą z artykułu J. Lamparska, *Eksperyment według Cezara*, DP z dn. 18.08.2004 oraz z www.proantica.org (ostatni wgląd listopad 2011).

ze Zwardonia do słowackiego Trenczyna. W tej okolicy właśnie na przełomie 179/180 roku n.e. przez trzy miesiące stacjonowały wojska Marka Aureliusza. 855 legionistów. Dowodził nimi Maksymianus, który być może jest pierwowzorem głównego bohatera filmu „Gladiator". Zadaniem jego żołnierzy było przejęcie Przełęczy Trenczyńskiej i odcięcie Germanom drogi ucieczki.

Tak rozpoczyna autorka artykułu w „Dzienniku Polskim" opis działalności Stowarzyszenia „Pro Antica" – powstało ono w roku 2001– które „tworzą ludzie z całej Polski, ale trzon stowarzyszenia pochodzi z Lublina". W Lublinie powstał pomysł zrekonstruowania antycznego wyposażenia wojsk oraz dokonania archeologicznych eksperymentów.

„Zaczęło się – czytamy w artykule – od pomysłu naszego seminarzysty, żeby zbudować balistę, starożytną machinę do miotania długich strzał i kamiennych kul" – wspomina dr Stanisław Ducin z Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, kierownik grupy i główny logistyk wyprawy. – „Chcieliśmy w ten sposób przybliżyć ludziom antyk, a ponieważ działo się to akurat na fali »Gladiatora«, to nasze działania spotkały się z dużym zainteresowaniem. Balista do tej pory nie powstała, zaczęliśmy natomiast odtwarzać rzymskie hełmy, pancerze, broń i ubiory. I tak stworzyliśmy grupę rekonstrukcyjną zajmującą się okresem od III wieku p.n.e. do II wieku naszej ery".

Towarzystwo ma ambicje weryfikowania naukowych teorii dotyczących wyposażenia rzymskiej armii. W tym celu zamówiono broń i hełmy u wyspecjalizowanych rzemieślników – koszty były niemałe – natomiast członkowie stowarzyszenia samodzielnie wykonali tarcze, tuniki i sandały. Koszty częściowo pokryła lubelska uczelnia, w większości jednak zainteresowani.

Podstawowy cel Stowarzyszenia „Pro Antica" – czytamy – to właśnie odtworzenie owych cech antycznego wyposażenia. A te najłatwiej sprawdzić w praktyce. W warunkach nieco zbliżonych do tych sprzed dwudziestu wieków [...]. Współcześni legioniści zbierają się podczas siedmiodniowego marszu o siódmej rano. Najpierw śniadanie, a za chwilę codzienne czyszczenie pancerzy i uzbrojenia. Czyszczenie w tym przypadku oznacza szorowanie blachy papierem ściernym, ta powtarzająca się monotonna czynność wymaga zdyscyplinowania i pokory.

Jeden z pierwszych eksperymentów dokonanych przez członków „Pro Antica" polegał na pokonaniu w pełnej zbroi dystansów, które przemierzała ówczesna armia.

Trzynastu mężczyzn w czerwonych tunikach i błyszczących w słońcu pancerzach rozpoczęło tygodniowy marsz 7,5 km odcinkiem. Sandały podbite ćwiekami, w których legionista podbijał barbarzyńskie kraje i które starczały mu co najmniej na trzy miesiące, na współczesnym asfalcie okazały się prawdziwym przekleństwem [...]. Każdy niesie tarczę, którą przeciętna kobieta z trudem podnosi obydwoma rękami. W upale i słońcu to naprawdę wielkie wyzwanie. Przez tydzień „legioniści" maszerowali z jednodniową przerwą około pięciu, sześciu godzin dziennie. W czasie takiego przejścia każdy wypijał zaledwie dwa litry płynów. Wzorem antycznych próbowali też pić białe wino, oczywiście wymieszane z wodą. O dziwo, skutecznie gasiło pragnienie, zmniejszając niemal o połowę zużycie płynów.

Eksperyment zakończył się powodzeniem.

„W czasie tygodniowego marszu, podobnie jak dzięki wcześniejszym badaniom, udało nam się zweryfikować pewne informacje, które podają starożytni historycy" – mówi doktor Stanisław Ducin. – „Sądzimy, że nieco inaczej, niż się przypuszcza, mogły być szyte pokrowce na tarcze, ważne, bo to właśnie od ich konstrukcji zależało rozłożenie na ramionach legionisty ponad 10 kg. Wbrew opiniom wełniane tuniki nie musiały powodować przegrzania organizmu, okazało się też, że nie powodują otarć, jak lniane. Pancerze segmentowe, które nosiła większość naszej grupy, okazały się o wiele wygodniejsze, niż dotąd sądzono, wcale nie przypominają sztywnej skorupy. Wiemy już, jaką trudność musiała sprawiać wspinaczka po skałach w takim sprzęcie i z wielką, mającą ponad 110 cm wysokości tarczą. Bardzo ważne, że osiągnęliśmy także cel popularyzatorski. Co prawda wielu Słowaków pytało, czy idziemy bić Madziarów, ale wielu, których mijaliśmy, interesowało się naszym przedsięwzięciem. Ta wyprawa to także lekcja charakterów.

Eksperyment historyczny, weryfikacja informacji starożytnych pisarzy, lekcja charakteru, to wszystko zapewne ważne dla młodych studentów i naukowców, historyków i archeologów, ale – bez wątpienia – najważniejsza była zabawa w doborowym towarzystwie ludzi o takich samych zainteresowaniach. I o tym nawet nie warto wspominać – toteż o zabawie uczestnicy wyprawy nie wspominali – takie to oczywiste.

Przykład II. Spektakl X. Kultura bez gwoździ[32]

Chaty są na razie dwie – czytamy w artykule K. Kobylarczyk – Jedna kryta: trzcinowy dach nadaje jej wygląd wielkiego stogu siana. Co może nieco dziwić archeologów, dach jest czterospadowy. Czy taki zrobiliby oni? Bo oni są w tym wszystkim ważni, może najważniejsi. Oni i ślady, jakie zostawili w ziemi. [...] Ten okrągły dom, który – jak czterospadowy dach – może zburzyć spokój archeologów, Agata, Bogusz i inni członkowie Stowarzyszenia Dziejba postawili latem. W Woli Radziszowskiej, niedaleko Skawiny. Wraz z nimi powstanie cała osada, jaką zbudowaliby oni, ludzie sprzed 3,5 tysiąca lat.

Stowarzyszenie Dziejba zostało zarejestrowane w roku 2004, a jego działalność oddaje następujący cytat:

Pomysł był zuchwały: zbudować wieś, posługując się wyłącznie narzędziami z epoki brązu. Bez gwoździ, młotków, cementu, kupionych sznurów i żelaznych siekier, postawić chaty i pokryć je strzechą, zbudować piece i wytapiać w nich brąz, robić dziegieć i gliniane garnki. Żeby wszystko było tak jak 1400 lat przed naszą erą. Udało się. W Woli Radziszowskiej koło Skawiny stanęły cztery chaty: wsparte na dębowych słupach, kryte trzcinowym dachem, ze ścianami z obmazanej gliną wierzbowej plecionki. [...] Zbudowali je młodzi ludzie ze Stowarzyszenia Dziejba, na działce, którą przekazał im burmistrz Skawiny. Zaprosili do pomocy wszystkich, którzy chcieli spędzić wakacje w sposób ory-

[32] Tekst opracowany na podstawie: K. Kobylarczyk, *Kultura bez gwoździ*, DP z dn. 7.01.2005; *Eadem*, *Powrót do przeszłości*, DP z dn. 3.09.2005 oraz www.dziejba.org.

ginalny. Na ich ogłoszenie odpowiedziało ponad 50 osób: studenci socjologii, członkowie Kręgu Miłośników Starego Krakowa [...]. Przez lipiec i sierpień ścinali drzewa brązowymi siekierkami, mazali ściany gliną, wyplatali sznurki z łyka lipy szerokolistnej i eksperymentowali z produkcją dziegciu.

Osada powstała, teraz

[...] co niedziela przyjeżdżają z Krakowa całe rodziny. Dorośli oglądają chaty i słuchają o tym, jak żyli ludzie sprzed 3,5 tysiąca lat. Maluchy włażą do jamy zasobowej, którą Bernadetta wykopała motyką ze śródstopia krowy, i nie chcą z niej wyjść. – „Pragniemy, aby w Osadzie odbywały się żywe lekcje historii oraz plenery artystyczne i spotkania, poświęcone dawnym rzemiosłom. Raz na tydzień powinno się tu coś dziać [...]. Myślimy też o pracy z trudną młodzieżą i socjoterapii [...]". Już teraz Dziejba zaprasza na festyn „Wpośród archeologii doświadczalnej", który odbędzie się w dniach 16–17 września. Będzie można samemu spróbować pracy brązowymi narzędziami i zobaczyć, jak w dawnych czasach budowano, robiono smołę oraz brąz. Wieczorem wystąpią tancerze z pochodniami i żeński chór Cantica z Woli Radziszowskiej.

Opiekę nad Dziejbą sprawuje Instytut Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czytamy:

To, co Dziejba robi w Woli Radziszowskiej, nosi nazwę archeologii doświadczalnej. Dr Wojciech Blajer, archeolog, który na Uniwersytecie Jagiellońskim zajmuje się ludami epoki brązu, od początku był dla budowniczych Osady pełen podziwu. – „Krakowscy naukowcy prowadzą wykopaliska, badają pozyskany materiał i wyciągają wnioski. Brakuje osób, które weryfikowałyby teorie, wcielając je w życie. Na przykład robiąc kopię siekierki z brązu i próbując ścinać nią drzewa" – mówi. Chwalił młodych ludzi za to, że uważnie dokumentują wszystkie swoje prace. To dzięki tej staranności wiadomo, ile uderzeń brązowej siekierki trzeba, żeby ściąć topolę (wystarczy dwa). W tym roku udało się w Osadzie uzyskać dziegieć, czyli smołę drzewną z kory lub drewna brzozy. Powstawał w szczelnie zamkniętych, glinianych kopułkach, opalanych drewnem do temperatury 300–380 stopni Celsjusza. Można go używać na przykład do oprawiania siekier z brązu.

Stowarzyszenie liczy około 50 członków i otrzymuje dotacje na swoją działalność z Urzędu Marszałkowskiego. Cieszy się też poparciem, także finansowym, Gminy Skawina oraz Sołectwa Grabiec.

Kilkadziesiąt osób, młodszych i nieco starszych, ale jednakowo zainteresowanych archeologią i historią, poświęca wiele czasu na rekonstrukcje dziejowe oraz na działania popularyzatorskie[33]. Co ich motywuje? Zapewne ciekawość, chęć poznania przeszłości, ale czy nie również pragnienie udziału w oryginalnej zabawie?

---

[33] Wielkim zainteresowaniem cieszy się nowo otwarty interaktywny Skansen Archeologiczny „Karpacka Troja" w Trzcinicy na Podkarpaciu. „Do niedzieli w skansenie potrwa I Karpacki Festiwal Archeologiczny »Dwa oblicza«; będzie można zobaczyć m.in. rekonstrukcje bitew, wierzeń, obrzędów oraz posłuchać muzyki Słowian" (P. Subik, *Przeszłość pod ręką*, DP z dn. 25.06.2011).

Przykład III. Spektakl XI. Powrót wikingów[34]

> Nikt nie poznałby w nich – pisze „Gazeta Krakowska” – biznesmenów, naukowców, handlowców czy studentów. Oto zbliżają się do siebie dwa szeregi dzikich wojowników schowanych za malowanymi, drewnianymi tarczami, słychać ogłuszający łomot mieczy i toporów tłukących miarowo o ich brzegi. Słychać bojowy wrzask, dźwięk rogów, przekleństwa. Szeregi wpadają na siebie z impetem, ostrza zderzają się z hukiem, z tarcz lecą drzazgi i kawałki desek, pierwsi zabici walą się pod nogi walczących. Widzowie, dla bezpieczeństwa odgrodzeni barierami z grubych lin, spoglądają po sobie niepewnie. To wygląda stanowczo zbyt realnie i wcale nie przypomina maskarady.

To nie maskarada, to coś o wiele poważniejszego, to przejaw ruchu zwanego odtwórstwem historycznym, który

> [...] staje się coraz szerzej znany na świecie. Ludzi poświęcających czas i niemałe pieniądze, by odtworzyć przedmioty codziennego użytku, broń i obyczaje dawnych ludów, można w Europie liczyć w tysiącach. Są grupy odtwarzające kulturę wikingów i Słowian, są takie, które fascynują się rzymskimi legionami lub walkami gladiatorów. Istnieją ludzie zajmujący się okresem późnego średniowiecza i tworzący bractwa rycerskie, są odtwarzający czasy wojen husyckich albo napoleońskich.

Z artykułu J. Grzędowicza dowiadujemy się jednak, że życie współczesnych wikingów nie sprowadza się do wywijania mieczem lub toporem, „to pasja, hobby i sposób na życie”.

Zostać wikingiem nie jest łatwo. „Zanim przybierze się normańskie lub słowiańskie imię i stanie do bitwy, trzeba zgromadzić olbrzymią wiedzę. O historii, o kulturze, również materialnej. Bowiem najważniejsza jest dbałość o szczegóły. Kiedy pierwsze, improwizowane drużyny pokazywały się na Wolinie, ich wyposażenie i umiejętności były dalekie od doskonałości”.

Autor artykułu zadaje wiele celnych pytań: skąd się biorą polscy wikingowie? Z czego żyją? Jakim sposobem stać ich na tak kosztowną pasję? I odpowiada słowami wikinga „Olafa” Świdzińskiego, który tłumaczy, że

> [...] żyją jak inni ludzie, aczkolwiek najchętniej szukają pracy tam, gdzie można zachować odrobinę niezależności i możliwość zagospodarowania wolnego czasu. Bywają wśród nich i bezrobotni, i naukowcy, i biznesmeni. Jednak „weekendowi wikingowie” szybko się wykruszają. Odtwórstwo historyczne jest do pogodzenia z pracą zawodową w zupełnie innej dziedzinie, ale nie jest to łatwe. Przecież to nie tylko miecz, kolczuga i portki, które można kupić. To również książki, muzyka z epoki, pasja historyczna i archeologiczna. To podróże po Europie do skansenów i na festiwale. Dania, Norwegia, Niemcy, Wielka Brytania. Nagle. O różnych porach roku. To również obrzędy i obyczaje, także pielęgnowanie niemodnych cnót, takich jak odwaga, honor, przyjaźń, lojalność.

Okazuje się jednak, że z bycia współczesnym wikingiem można żyć.

---

[34] Wszystkie cytaty z artykułu: J. Grzędowicz, *Powrót wikingów*, „Gazeta Polska” z dn. 11.05.2005.

Niektóre bractwa zmieniają się w profesjonalne firmy obsługujące imprezy – korporacyjne wyjazdy integracyjne, szkolenia, imprezy masowe. Przybycie drużyny wikingów na ogół robi na „garniturach" ogromne wrażenie. Z bliska budzą respekt. Autentycznością stroju i wyposażenia, pokazami walk, a potem wikińskimi grami i zabawami, jakimi umilano sobie czas podczas uczt; są pieśni i rubaszne konkursy. Zderzenie sztywnych menedżerów z żywiołowymi wojami powoduje czasem, że krawaty idą precz i rozbuchani pracownicy biurowi nie chcą wypuścić swojej atrakcji do białego rana.

Bycie wikingiem zobowiązuje.

Jeden z wikingów niedawno został ojcem. Zniknął na rok, a na kolejnym zjeździe na Wolinie pojawił się z żoną i dzieckiem. Roczny bobas otrzymał lniane giezło i powijaki z epoki, drewnianą kołyskę ustawioną w namiocie wyłożono mu futrem i wszystko wróciło do wikińskiej normy. Polskim wikingom przyrastają kolejne pokolenia. Organizują sobie zupełnie prywatnie wczesnośredniowieczne obrzędy – odprawiają śluby, wesela i chrzciny, niezależnie od tych oficjalnych. Zdarza się, że ktoś – żona, dziewczyna – nie akceptuje pasji. Zdarza się, że pada ultimatum – albo ja, albo to. Na ogół reakcja jest jednego rodzaju [...]. Wiking zostaje wikingiem. Na zawsze.

Ilu jest wikingów w Polsce? Prawdziwych, jak sądzę, co najmniej kilkuset. To liczba nie do przeoczenia.

Przykład IV. Spektakl XII. Historia na żywo[35]

Przemysław Kapturski ze Swarzędza, pracownik miejscowej pizzerii, raz w tygodniu spotyka się z kolegami. Wspólnie omawiają plany na najbliższy czas, zakupiony sprzęt, propozycje wyjazdów. Jego koledzy to m.in. mechanik samochodowy, tapicer, historyk, kolejarz, planista przestrzeni, stolarz, meliorant i inżynier środowiska. Wiek – od 20 do 37 lat. Łączy ich jedno: wszyscy są członkami Grupy Rekonstrukcyjnej 1. Samodzielnej Kompanii Commando.

Kompania wpisuje się dokładnie w działający w zachodniej Europie od kilkudziesięciu już lat ruch „rekonstrukcji historycznej" (w języku angielskim określany jest jako *reenactment*, stąd polscy uczestnicy ruchu określają się niekiedy dość niezgrabną nazwą „reenaktorzy"), który w Polsce pojawił się w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Reenactment – czytamy w artykule P. Stachnika – to niestety drogie hobby. Skompletowanie żołnierskiego wyposażenia z okresu II wojny światowej (niekoniecznie oryginalnego) może kosztować kilka tysięcy złotych. [...] skompletowanie całości spadochroniarskiego ekwipunku, łącznie z repliką broni, to koszt 3–4 tys. złotych. Członkowie łódzkiej grupy „Strzelcy Kaniowscy" obliczyli, że na pełny zestaw wyposażenia przedwrześniowego żołnierza piechoty, przy założeniu, że wszystkie elementy będą najwyższej jakości, trzeba wydać od 8 do 9 tys. złotych.

---

[35] Informacje i cytaty pochodzą z artykułu: P. Stachnik, *Historia na żywo*, DP z dn. 14.07.2006.

Istotnie, koszty to niemałe, ale i tak ruch przyciąga coraz szersze grono chętnych. Jeden z członków grupy rekonstrukcyjnej mówi: „W pewnym momencie uznałem, że byłoby przyjemnie nie tylko zbierać stare mundury, ale także je nosić. Później doszedłem do wniosku, że jeszcze przyjemniej byłoby mieć towarzysza. Tak powstał nasz oddział". Jakże znamienne słowa.

Przykłady ukazujące działania podobnych grup ludzi z pasją bawiących się w historię można by mnożyć. Grup takich jest dziś w Polsce co najmniej kilkaset, szacując bardzo ostrożnie. W skali światowej, dodając europejskie i tworzone w Stanach Zjednoczonych, liczba ich idzie w tysiące. Uczestników niepodobna zliczyć.

Grupy te, choć najczęściej niezbyt liczne – mają zwykle kilkudziesięciu, góra kilkuset członków – stanowią ciekawe zjawisko, być może zwiastują one erę nowoplemienności, zbliżającą się dominację nowych form zróżnicowania społeczno-kulturowego, nowego rodzaju grup społecznych[36].

> Choć różne są znaczenia przypisywane temu pojęciu [nowoplemienności – R.K.] – pisze Marian Golka – to wydaje się, że można je pojmować jako zbiorowości ludzi często odległych przestrzennie, których poczucie wspólnoty i tożsamości wyrasta nie w wyniku wspólnego wychowania i przebywania, tylko wskutek wspólnych zainteresowań, pomysłu na spędzanie czasu wolnego, wspólnych ideałów czy choćby poglądów[37].

Przyjmując interpretację nowoplemienności proponowaną przez M. Golkę, stwierdzimy, że w istocie członkowie interesujących nas grup – nowoplemion – zazwyczaj na co dzień nie żyją ani nie pracują obok siebie. Wręcz można powiedzieć, że nie interesuje ich codzienność współuczestników. Spotkania członków są okazjonalne, ale dość częste, a czasem długie (na przykład wspólne wyjazdy na imprezy mogą trwać do tygodnia). Nie spotykają się przypadkowo (nie mieszkają na ogół w tych samych miejscowościach), a ich spotkania nie mają charakteru towarzyskiego, zawsze są podporządkowane celom grupy. Celem jest doskonalenie umiejętności bojowych, ćwiczenia i walka oraz odpoczynek po niej (biesiady). Członkowie tych grup mają silne poczucie wspólnoty wynikające przede wszystkim z takich samych zainteresowań i nie zależy ono od wieku, zawodu, wykształcenia, pozycji społecznej. Pozycję w grupie osiąga się dzięki zaangażowaniu w sprawy łączące członków, wiedzy dotyczącej wspólnych zainteresowań i „wartości" bojowej.

Obserwując działania zaprezentowanych grup rekonstrukcyjnych, a zapewne można to odnieść do wszystkich innych, zauważam:

– poczucie elitarności ich członków w stosunku do reszty społeczeństwa, przynależność do grupy wynika z zainteresowań, często bardzo oryginalnych, niepowtarzalnych i rzadko podzielanych przez szersze kręgi społeczne;
– szerokość bazy rekrutacyjnej, stowarzyszenia rekonstrukcyjne przyciągają ludzi w różnym wieku, zróżnicowanych pod względem wykształcenia i zawodu oraz pozycji społecznej;

---

[36] M. Maffesoli, *Czas plemion. Schyłek indywidualizmu w społeczeństwach ponowoczesnych*, tłum. M. Bucholc, Warszawa 2008.

[37] M. Golka, *Socjologia kultury*, Warszawa 2007, s. 200.

– głębokie zaangażowanie członków w działalność grupy, co oznacza, że nie można w niej działać z doskoku; członkowie poświęcają swojej pasji wiele czasu, są gotowi na duże nakłady finansowe, a także angażują się emocjonalnie, co jest niewymiernym, ale istotnym wkładem;
– zróżnicowane motywacje skłaniające członków do angażowania się w działalność.

Z wypowiedzi zawartych w przytaczanych tekstach i ze źródeł własnych wnoszę, że zaangażowanie w działalność grup rekonstrukcyjnych wynika:
– z chęci poznania przeszłości, z chęci pogłębienia wiedzy o niej;
– z ciekawości, co oczywiście ma ścisły związek z poprzednią motywacją;
– z chęci sprawdzenia się „jako mężczyzna" poprzez uczestnictwo w walce, w wymagających wysiłku eksperymentach; uczestnictwo w grupach rekonstrukcyjnych to „próba charakteru";
– z przekonania, że należy propagować wiedzę o przeszłości, ale najpierw należy ją lepiej poznać (motywacja wyraźnie dydaktyczna);
– z niechęci do rzeczywistości (ucieczka w przeszłość);
– z dążenia do bycia kreatywnym[38].

Wśród powodów angażowania się ludzi w działalność grup uprawiających zabawę w przeszłość są z pewnością także inne, niekoniecznie podkreślane w rozmowach z obcymi, dziennikarzami czy badaczami. Zaliczyłbym do nich: chęć pokazania się na imprezach publicznych, podczas demonstrowania rekonstrukcji historycznych, zwłaszcza tych, które wymagają dużej sprawności fizycznej i znajomości technik walki, korzyści materialne (niekiedy całkiem znaczne, choć nie wypada o nich mówić) oraz – ogólnie – chęć przebywania wśród ludzi o podobnych czy identycznych zainteresowaniach.

Rzadko w rozmowach pojawiała się opinia, że uprawiana działalność to po prostu doskonała zabawa. Zauważają to raczej obserwatorzy, dla członków grup jest to – jak przypuszczam – tak oczywiste, że nie wymaga żadnych deklaracji. Sądzę, że gdyby przeprowadzić dokładniejsze badania, chęć zabawy uplasowałaby się na czele motywacji. Stawiam zatem tezę, że organizacje omawianego rodzaju – bawiące się w przeszłość/w historię – to rodzaj nowoplemion, które można równie dobrze nazwać tradycyjnie subkulturami zabawy.

> Wstępując do klubów i stowarzyszeń – pisze Robert Scruton – zawiązując drużyny sportowe i zespoły artystyczne, organizując konkursy, kreując zamiłowania i rozrywki, które

[38] Warto przytoczyć ciekawą wypowiedź Rafała Zapadki, pseudonim organizacyjny Burisleif, wojewody Drużyny Białozór z Olsztyna, która jest oddziałem Drużyny Wikingów Nidhogg z Braniewa (zob. www.bialozor.olsztyn.pl). „Przynależność do takiej drużyny to w wielkim skrócie cykliczna możliwość przenoszenia się w inny wymiar. Odtwarzanie atmosfery dawnych czasów, bo podczas zjazdów staramy się odwzorowywać ją w nawet najdrobniejszych szczegółach (mieszkamy w namiotach, dokładnie takich, w jakich żyło się na przełomie X i XI wieku, jemy drewnianymi łychami na drewnianych talerzach), pozwala oderwać się od rzeczywistości. Od pracy, szarości i przewidywalności dnia codziennego. Pozwala na odreagowanie wszystkich stresów. Śmieję się, że taki weekendowy zjazd to trzy w jednym: wytchnienie, zabawa, no i to, co kocha każdy mężczyzna – rywalizacja. Sprawdzenie się na autentycznym polu walki. [...] Wychodzisz do walki i czujesz się jak prawdziwy mężczyzna niezależnie od tego, co w poniedziałek usłyszysz od szefa w pracy".

wyciągają ludzi z domów i zbliżają ich do siebie, ludzie nabierają poczucia przynależności, które w momentach zagrożenia odgrywa większą rolę niż prywatne różnice dotyczące religii czy życia rodzinnego[39].

Niezwykle cenną rzeczą dla społeczeństwa jest fakt, nawiązując do powyższych słów Rogera Scrutona, że ludzie różnego wieku, wykształcenia, zawodu, pozycji społecznej itd. integrują się na gruncie uczestnictwa w grupach omawianego powyżej typu, że budują poczucie przynależności, wspólnotowość, że godnie i użytecznie (to akurat dla wielu obserwatorów może być wątpliwe!), że rozwijając swoje indywidualne zainteresowania, doskonaląc się (zapewne byłby z nich zadowolony Arystoteles!), spędzają wolny czas „wolnego człowieka" oraz – *last but not least* – dobrze się przy tym bawią.

[39] R. Scruton, *Zachód i cała reszta*, tłum. T. Bieroń, Poznań 2003, s. 52.

VI. NAUKA I WIEDZA W LUDYCZNYCH SPEKTAKLACH W PRZESTRZENIACH WSPÓŁCZESNEGO MIASTA

> „Z perspektywy rozwoju człowieczeństwa nauka należy do naszych najwspanialszych osiągnięć. Możemy się spodziewać, że na Sądzie Ostatecznym będzie ona pierwszą niemal rzeczą, z której będziemy musieli zdać sprawę".
>
> Neil Postman

Współczesna nauka i wiedza naukowa[1] – choć to nie zabawa wedle J. Huizingi – często zabawie służą, można nimi igrać, a już w szczególności jest to widoczne w praktykach pedagogicznych, które wychodzą z założenia, że przekazywanie wiedzy poprzez zabawę jest doskonałym sposobem jej przyswojenia.

W świecie konsumpcji nauka i wiedza naukowa stały się w sposób nieuchronny i niepokojący towarem, podlegają prawom popytu i podaży, jednym słowem – nie zachowały, ale czy było to możliwe? – wyniosłej postawy powagi, tego wyśmiewanego i potępianego przez niektórych trwania w przysłowiowej wieży z kości słoniowej, oblewanej jak samotna wyspa falami agresywnej ludyczności. Nauka i wiedza, zapewne wbrew woli wielu jej twórców, stanęły równie śmiało, jak i bezmyślnie na wolnym rynku kulturowej i ekonomicznej rywalizacji. W większym niż kiedykolwiek stopniu podlegają ocenie społecznej, społecznej akceptacji bądź negacji. Tym samym nauka i wiedza naukowa, a w istocie ci, którzy ją uprawiają i oferują jej wyniki społeczeństwu, przyjęły reguły panujące w świecie konsumpcji, reguły reklamy, promocji, czasem wręcz bezwstydnego zalecania się odbiorcy, adresatowi, konsumentowi. W tych warunkach, jak zobaczymy, owe przez Huizingę nisko szacowane wpływy ludyczne na naukę i wiedzę naukową nabierają podstawowego znaczenia, potężnieją.

Stawiam tezę, że we współczesnym świecie konsumpcji, także konsumpcji zabawy, nauka i wiedza naukowa uległy w znaczącym stopniu „uludycznieniu", przesunęły się wyraźnie z płaszczyzny powagi na płaszczyznę zabawy. Ze wszystkimi tego konsekwencjami, o czym będzie w tym rozdziale mowa. Stawiam w nim pytanie, w jakich spektaklach ludycznych biorą dziś udział współczesna nauka i jej córa: wiedza naukowa? I czy owe spektakle wpisują się i w jakim stopniu w proces budowy i krzepnięcia społeczeństwa konsumpcji zabawy?

---

[1] Zob. Rozdział V. Tam definicja nauki i wiedzy naukowej, a także poglądy J. Huizingi na temat ludyczności nauki.

Powyższe pytanie można sformułować inaczej, zgodnie z dotychczasową tradycją: w jaki sposób popularyzuje się współczesną naukę i wiedzę naukową? Odpowiedź jest jednoznaczna, choć sposobów popularyzacji może być wiele, do najczęściej dziś stosowanych i jednocześnie najbardziej spektakularnych, a zatem skupiających uwagę społeczeństwa – co do skuteczności jeszcze się nie wypowiadam – należą: festyny, kiermasze, jarmarki i pikniki naukowe. Najczęściej jednak imprezy takie zwane są festiwalami nauki.

W Krakowie festiwale nauki odbywają się od roku 2001 i stanowią, do pewnego stopnia, kontynuację skromnych pod względem atrakcji „dni otwartych uczelni". Obserwacja tego rodzaju imprez dokonana została w Krakowie, choć – rzecz jasna – odbywają się one także w innych ośrodkach uczelnianych i naukowych. Różnorodność nazw stosowana przez ich organizatorów nie zmienia faktu, że są one bardzo podobne, a różnią się jedynie rozmachem, pomysłowością i bogactwem propozycji. Wszystkie one zawierają bogaty ładunek ludyczności, co widać w przytaczanym przeze mnie materiale – relacjach prasowych, tu ze względów oczywistych cytowanym w dużej ilości.

Festiwale nauki odbywają się w przestrzeniach miejskich: w budynkach uczelni (sale wykładowe, laboratoria), w ich bezpośredniej bliskości (tereny położone wokół budynków uczelnianych) lub wokół akademików, ale także – coraz częściej – w miejscach publicznych o dużym natężeniu ruchu. W Krakowie na Plantach i na Rynku Głównym oraz na ulicach od Rynku odchodzących.

Odbiorcami popularyzowanych przez festiwale nauki treści mogą być, z założenia, wszyscy, w domyślnej intencji organizatorów, przede wszystkim młodzież szkół podstawowych, a zwłaszcza średnich, potencjalni kandydaci na studia. Imprezy omawiane, choć propagują naukę i wiedzę, to w istocie zajmują się głównie reklamą uczelni i poszczególnych kierunków studiów. Reklama ta, jak zobaczymy, obficie czerpie z arsenału ludycznego.

Fundament ideowy festiwali nauki przekazywany jest wyraźnie w wypowiedziach rektorów i dziekanów poszczególnych uczelni. Wypowiedzi te zamieszcza lokalna prasa na kilka dni przed imprezami. W sposób najdobitniejszy ideę tego rodzaju – promocyjnych – działań ujął Rektor Akademii Górniczo-Hutniczej profesor Ryszard Tadeusiewicz.

> Minęły szczęśliwe czasy – pisał uczony – kiedy rozwój nauki był dziełem genialnych, ale odosobnionych jednostek, samotników zdanych zwykle na łaskę i niełaskę suwerena, który chętnie trzymał w wieży swego zamku uczonego astrologa, lecz jednym skinieniem ręki mógł także strącić go na dno zamkowego lochu, gdy uznał, że postęp prac badawczych (na przykład nad zamianą ołowiu w złoto) nie odpowiada jego oczekiwaniom. Minęły też czasy, kiedy wprawdzie nauką zajmowali się zawodowi uczeni, głównie profesorowie zreformowanych uniwersytetów, ale badania naukowe traktowano dalej jako coś, co dostępne jest tylko nielicznym „wtajemniczonym", a przysłowiowy człowiek z ulicy mógł jedynie dowiadywać się o odkryciach naukowych z prasowych relacji, na przykład związanych z wręczaniem kolejnych edycji Nagrody Nobla[2].

---

[2] R. Tadeusiewicz, Festiwal Nauki. Dodatek do prasy krakowskiej, zatytułowany *Festiwal Nauki w Krakowie 13–21 maja 2005*, z dn. 9.05.2005, s. 2.

Ten baśniowy skrót „dziejów nauki", lekki, bezpretensjonalny ton wypowiedzi doskonale koresponduje z charakterem festiwali, należy także zwrócić uwagę na zdecydowanie ludyczny nastrój wypowiedzi, choć słowo „zabawa" nie pada ani w przytoczonym fragmencie, ani też w następnych.

> Dzisiaj wyniki badań naukowych – kontynuuje R. Tadeusiewicz – są obserwowane i relacjonowane tak samo żywo, jak wyniki zmagań sportowych, a rosnąca rzesza „naukowych kibiców" coraz częściej garnie się na odczyty popularyzujące odkrycia naukowe, kupuje popularnonaukowe czasopisma i książki, ogląda kanały telewizji związane z popularyzacją wiedzy – i w ogóle uczestniczy w wielkim dziele naukowego opisywania świata w roli życzliwych obserwatorów. Dla większości badaczy fakt ten jest bardzo miły i pod każdym względem radosny. Zainteresowanie mediów stwarza nowe możliwości dotarcia z wynikami naukowymi do potencjalnych inwestorów, chętnych do przetworzenia na nowe formy działalności gospodarczej – co w warunkach deklarowanej w Unii Europejskiej „gospodarki opartej na wiedzy" jest bardzo ważne. Możliwość dotarcia „pod strzechy" z wynikami naukowymi jest bardzo ważna dla budowania zaufania ludzi do nauki i naukowców, a także stanowi rodzaj „spłacania długu", jaki badacze zaciągają wobec społeczeństwa, wyposażając swe laboratoria i prowadząc badania głównie w oparciu o pieniądze publiczne, to znaczy pieniądze podatników[3].

W dalszej części wypowiedzi podkreślono liczne zalety popularyzacji nauki „w warunkach plenerowych, w których można wygodnie i bezpiecznie przedstawić różne wyniki badań naukowych w postaci demonstracji, a nie tylko w formie »drętwych« odczytów". Tekst kończy się zaproszeniem na imprezę, na której „znajdą interesujące ich rzeczy zarówno żądni wiedzy gimnazjaliści lub licealiści, jak i ich ciekawi świata Rodzice i Dziadkowie".

Należy jeszcze przytoczyć ostatni już, jakże dobitny, akapit z wypowiedzi krakowskiego uczonego:

> Nauka wyjęta z chłodnych murów uczelni i instytutów badawczych wychodzi do Państwa i zaprasza na radosne i ciekawe spotkanie na najpiękniejszym placu Europy – na krakowskim Rynku. Nie dajcie się długo prosić – przyjdźcie i weźcie udział w wydarzeniu, które może na zawsze zmienić Wasz stosunek do nauki, a z pewnością Was zaciekawi, rozbawi – no i sporo nauczy przy okazji[4].

Nauka was zabawi, a ponadto, być może, czegoś nauczy. Warto tę konkluzję zapamiętać. To właściwie jest motto omawianych imprez.

W roku 2010 obchodzono dziesięciolecie krakowskich festiwali nauki. Ich ideologiczna podbudowa jeszcze bardziej się wykrystalizowała.

> Jak tłumaczy prof. Kazimierz Furtak, rektor PK [Politechniki Krakowskiej – R.K.], festiwal jest świętem nauki, ale też sztuki i kultury, adresowanym zarówno do dzieci i młodzieży, jak i dorosłych. – „W XXI wieku ludzka wiedza osiągnęła bezprecedensowy poziom, ale przeciętnemu człowiekowi łatwo zagubić się w gąszczu informacji, formułek, twierdzeń, zasad, często przekazywanych »na sucho« bez szczególnych wyjaśnień i odniesienia teorii do życiowej praktyki. Dlatego inicjatywy takie, jak Festiwal Nauki w Krakowie są

[3] *Ibidem*.
[4] *Ibidem*.

tak cenne" – podkreśla prof. Kazimierz Furtak. – „Pozwalają tłumaczyć prawa rządzące naszym światem w przystępny i zrozumiały dla każdego odbiorcy sposób"[5].

Spróbujmy zatem na czterech przykładach – nazywać je będę konsekwentnie spektaklami – pokazać, czego uczą w „przystępny" sposób festiwale nauki, a przede wszystkim, jak przy okazji zabawiają uczestników.

Spektakl A. „Wybuchy i róża w termosie"

Festiwale nauki to właściwie pewien cykl imprez organizowanych corocznie w maju z kulminacją, jaką bywa 2–3-dniowy Festyn Naukowy na krakowskim Rynku. „Festiwal Nauki w Krakowie 13–19 maja 2007 roku – czytamy w załączonym do codziennej prasy anonsie tej imprezy. – Prezentacje w namiocie »Festyn Nauki« w Rynku Głównym [...]. W programie: wystawy, koncerty i spektakle teatralne. Prezentacje prac studentów uczelni artystycznych. Doświadczenia i eksperymenty naukowe. Panele dyskusyjne"[6]. Naukowy cyrk przyjechał! Przesada?

> Nauka nie musi być nudna. Wystarczy tylko ciekawie o niej opowiadać. W Krakowie ruszają poszukiwania naukowego idola. [...] Famelab to największy światowy konkurs, którego celem jest wyłonienie młodych talentów w zakresie popularyzacji nauki. Projekt skierowany jest do badaczy, którzy potrafią myśleć niestandardowo i w oryginalny sposób odpowiadać o poważnych rzeczach ze świata nauki. Można więc rymować, śpiewać, żonglować, stepować, czy używać rekwizytów, by zainteresować publiczność daną dziedziną naukową. Zdobywca pierwszego miejsca otrzyma ufundowane przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej stypendium w wysokości 30 tys. zł na badania oraz 5 tys. zł na własne wydatki[7].

Prasa codzienna zamieszcza festiwalowy dodatek liczący osiem stron dużego formatu, w którym można znaleźć dokładny program wielodniowej imprezy, informacje o organizatorach (są nimi głównie uczelnie), wypowiedzi – najczęściej w formie wywiadów – uczonych (rektorów i dziekanów) na temat sensu i celów proponowanych atrakcji, w duchu już znanym z poprzednich cytatów. A że atrakcje są niebywałe, świadczyć o tym mogą liczne sprawozdania zamieszczane przez prasę już po imprezie. Zaznaczyć tu muszę jeszcze raz, że – w moim przekonaniu – sprawozdania prasowe w doskonały sposób odzwierciedlają atmosferę imprez, skupiają się zwykle i nie przez przypadek na ich ludycznym wyrazie. Potwierdzają to moje własne obserwacje, gdyż – czego być może nie muszę kolejny raz podkreślać – w wielu opisywanych przez prasę spektaklach uczestniczyłem.

Przyglądnijmy się najpierw fragmentom anonsu prasowego, a następnie sprawozdaniu z imprezy, zamieszczonemu w codziennej prasie krakowskiej.

> Eksperymenty, prezentacje, gry, zabawy, konkursy – te i inne atrakcje czekają na wszystkich, którzy pojawią się na Rynku Krakowskim. O godz. 11 rozpocznie się Festyn Nauki. Jest on częścią – trwającego od niedzieli – Festiwalu Nauki. W trzydziestu jeden namio-

[5] *Jutro rozpoczyna się w Krakowie Dziesiąty Festiwal Nauki*, DP z dn. 11.05.2010.
[6] Dodatek do prasy krakowskiej, zatytułowany *Festiwal Nauki w Krakowie* 13–19 maja 2007, s. 1.
[7] *Naukowcy żonglują i rapują*, DP z dn. 2.12.2011.

tach prezentować się będą przedstawiciele krakowskich uczelni wyższych, instytutów naukowych i instytucji kultury. W namiocie Akademii Górniczo-Hutniczej będzie można zmierzyć się z robotem grającym w szachy, zobaczyć lewitację magnetyczną, a także wziąć udział... w płukaniu złota. Akademia Rolnicza przygotowała testy sensoryczne na daltonizm smakowy i rozpoznawanie zapachów, pokazy izolacji DNA oraz degustacje pieczywa enzymatycznie modyfikowanego. Uniwersytet Jagielloński zaprasza na inscenizacje i rekonstrukcje związane z 750-leciem lokacji Krakowa. Odtworzony zostanie najazd Tatarów na Kraków, lokacja miasta, bunt wójta Albrechta. Na estradzie – przy Wieży Ratuszowej – wystąpią: Orkiestra Reprezentacyjna AGH oraz Zespół Pieśni i Tańca AGH „Krakus", Chór Politechniki Krakowskiej „Cantata", a także studenci Instytutu Pedagogiki UJ [...]. O godzinie 12 na scenę przy ratuszu wkroczą rektorzy biorących udział w Festiwalu Nauki uczelni, by uroczyście otworzyć festyn[8].

Tak miało być, a było jeszcze bardziej interesująco i zabawnie.

Punktualnie o godzinie 12 w południe hejnał mariacki odegrany przez dyżurnego strażaka ze sceny pod Wieżą Ratuszową zainaugurował wczoraj Festyn Nauki na Rynku Głównym w Krakowie. [...] Wczorajsza słoneczna pogoda sprzyjała zwiedzaniu rozłożonego na płycie Rynku od strony ul. Szewskiej miasteczka namiotowego. Gospodarze namiotów prześcigali się, by jak najatrakcyjniej zaprezentować swoją uczelnię. Akademia Rolnicza przygotowała np. instalacje do produkcji biopaliwa i liczne rośliny. Jak zawsze, dużą popularnością cieszył się wystawiony przez Akademię Górniczo-Hutniczą robot grający w szachy. Na stoisku filologii orientalnych Uniwersytetu Jagiellońskiego przebrani we wschodnie stroje studenci udzielali rad, jak najtaniej dostać się na Bliski Wschód, jak wschodnimi alfabetami napisać swoje nazwisko i jak nabić fajkę wodną. Dzieci wręcz oblegały namiot Instytutu Pedagogiki UJ, w którym studenci organizowali dla nich gry, zabawy i konkursy. Na stoisku Papieskiej Akademii Teologicznej można było poczęstować się macą i winem oraz spróbować ułożyć religijne puzzle. Z kolei namiot Instytutu Fizyki Jądrowej odwiedził kardynał Macharski, który z ciekawością posłuchał o badaniach prowadzonych przez Instytut[9].

Kilka lat wcześniej tę samą imprezę, w owym czasie dopiero raczkującą, opisał reporter słowami:

Wszystkiego o studiach na krakowskich uczelniach można dowiedzieć się podczas prezentacji szkół wyższych odbywających się w ramach Festiwalu Nauki w Krakowie na terenie kwartału uniwersyteckiego przy ul.: Gołębiej, Jagiellońskiej i św. Anny. Na osoby, które tam zajrzą, czeka wiele atrakcji. Pracownicy i studenci szkół wyższych prześcigali się wczoraj w pomysłach na prezentację swoich uczelni, by ofertą zainteresować jak największą liczbę kandydatów na studia[10].

Jak widać, dziennikarze nie mieli wątpliwości, jaki jest główny cel imprezy: rekrutacja kandydatów na studia. Już wtedy bowiem przynajmniej niektóre kierunki studiów miały problemy z tzw. niżem, malała liczba chętnych do studiowania zwłaszcza trudnych dyscyplin, na przykład fizyki, matematyki itp. Cel – rekrutacja, metoda działania, jak zwykle zabawa i rozrywka.

---

[8] *Gry, zabawy i nauka pod namiotami*, DP z dn. 17.05.2007.

[9] *Hejnał na inaugurację*, DP z dn. 18.05.2007.

[10] *Wybuch i róże w termosie*, DP z dn. 15.05.2004.

Studenci Akademii Pedagogicznej organizowali gry i zabawy dla dzieci i młodzieży. Można było także wziąć udział w konkursie karaoke. Specjałami starożytnej kuchni grecko-rzymskiej częstowali studenci Koła Naukowego Historyków AP. Zdrowych wypieków można było natomiast posmakować na stoisku Akademii Rolniczej. – „Chleb może mieć także właściwości profilaktyczne i zdrowotne. Trzeba tylko dodać do niego lnu oleistego. Zjedzenie takiego chleba powoduje obniżenie o 50 procent cholesterolu, a także obniża poziom glukozy. Sprawdzono to doświadczalnie na szczurach" – przekonywali przedstawiciele Wydziału Technologii Żywienia AR. Wybuchy towarzyszyły natomiast prezentacjom studentów Wydziału Chemii UJ. Duże zainteresowanie wzbudziło m.in. doświadczenie polegające na wkładaniu do termosu z ciekłym azotem (temperatura około minus 200) kwiatu róży, który po wyjęciu kruszył się w rękach. Swoje doświadczenia prezentowali też przedstawiciele Wydziału Fizyki, Anatomii [błąd, chodzi o astronomię – R.K.] i Informatyki Stosowanej UJ. Udowadniali oni, że jeżeli usiądziemy na obrotowym krześle z obracającym się kołem w dłoniach, to po chwili sami zaczniemy się obracać wraz z siedzeniem. Studenci Wydziału Historii UJ do odwiedzania swoich stanowisk zachęcali ubrani w stroje z różnych epok. [...] Przy stoisku Politechniki Krakowskiej uwagę zwracał pojazd badawczy „Sławek". Który na 100 km spala jeden litr benzyny i ma wystartować w „Rajdzie o kroplę benzyny". Na stanowisku Akademii Wychowania Fizycznego można było sprawdzić się w próbach sprawnościowych i wydolnościowych [...]. Wydział matematyki przygotował zagadki matematyczne[11].

Już wtedy, jak widać, bogactwo propozycji zabawowych było zadziwiające. W następnych latach impreza z okolic Uniwersytetu Jagiellońskiego przeniosła się na bardziej prestiżowy Rynek Główny, co świadczy o jej zwiększającej się randze i rosnącym nią zainteresowaniem mieszkańców Krakowa.

Ciekawe uzasadnienie dla podobnych imprez prezentujących naukę znajdziemy w innej relacji: „Według przeciętnego Kowalskiego, nauka to podejrzana działalność, w wyniku której powstają nowe rodzaje bomb. Zaś naukowiec ze stereotypowego wyobrażenia to maniak, który wydaje pieniądze podatników na drogie zabawki. – »Chcieliśmy przezwyciężyć taki wizerunek uczonego i jego pracy« – wyjaśnił wczoraj dr Maciej Kluza z UJ, współorganizator astronomicznego pikniku przed Collegium Novum UJ"[12]. Przypominają się tu słowa – wcześniej przytoczone – prof. Ryszarda Tadeusiewicza.

Sprawa jasna, nauka – reprezentowana przez naukowców i adeptów nauki – studentów, w żadnym wypadku nie są to osoby podejrzane o konstruowanie bomb najnowszej generacji czy maniacy, pragnąc poprawić swój nieco nadwerężony wizerunek, atakuje społeczeństwo zmasowanym ogniem popularyzacji łatwej, lekkiej i przyjemnej, bo ludycznej. Atak ten ma charakter niemal permanentny, odbywa się nie tylko corocznie w maju w postaci Festiwalu Nauki. Ma on miejsce również w innych miesiącach, celem są młodzi, kandydaci nie tylko na studia, a na każdy kolejny etap edukacji, zarówno uczniowie liceów, gimnazjów, szkół zawodowych, podstawowych, ale też – perspektywicznie – dzieci przedszkolne. Oto cztery dobitne przykłady.

---

11 *Ibidem*.

12 Ł. Grzymalski, *Pryszcz na Słońcu*, GK z dn. 9–10.05.2004.

Przykład I

Makietę Biskupina, chemiczny ogródek czy ziemniaczaną elektrownię z zaciekawieniem oglądali szóstoklasiści, którzy przyszli do Gimnazjum nr 34, by wziąć udział w dorocznym Kiermaszu Nauki. „To już 7. edycja kiermaszu. Jak zwykle zaprosiliśmy uczniów klas szóstych szkół podstawowych (w sumie około 250 osób), by zapoznać ich z ofertą naszej placówki" – podał dyrektor Gimnazjum nr 34 Jan Maciejowski. – „Prezentacje, które można oglądać podczas imprezy, nasi uczniowie przygotowują sami (oczywiście, pod okiem nauczycieli). Nie trzeba ich zresztą do tego specjalnie namawiać, zawsze chętnie angażują się w organizację kiermaszu[13].

Elementy zabawowe w prezentacji zauważa reporter bez trudu:

Otworem stała wczoraj m.in. pracownia geograficzna, gdzie można było obejrzeć skamieniałości (np. ząb niedźwiedzia jaskiniowego), tellurium (urządzenie do prezentacji ruchów Ziemi, faz Księżyca i zaćmień Ziemi), a nawet piasek złotonośny. Z kolei w pracowni historycznej prezentowano makietę Biskupina (wykonaną z setek wykałaczek) i opowiadano o bitwie powietrznej o Anglię oraz o bitwie pod Akcjum, w której cesarz rzymski Oktawian walczył przeciw Markowi Antoniuszowi. Atrakcją pracowni biologicznej był natomiast chemiczny ogródek – naczynie wypełnione szkłem wodnym, w którym zanurzono chlorek wapnia, chlorek żelaza i siarczan miedzi. „Pod wpływem dyfuzji wszystkie te sole rosną i przybierają różne ciekawe kształty (np. nitek)". – tłumaczyła Małgorzata Kozioł z klasy III b. Spory tłumek szóstoklasistów zgromadził się również przy mikroskopach, za pomocą których każdy mógł zobaczyć na własne oczy pierwotniaki z grupy orzęsków. – „Szybko! Szybko trzeba patrzeć" – instruowała Iwona Gruszka – „Te pierwotniaki dzięki rzęskom prędko się poruszają, łatwo więc mogą uciec z pola widzenia". Wielkim powodzeniem cieszyły się też doświadczenia, jakie przeprowadzano w pracowni fizycznej. Zwiedzający podziwiali np. toczący się pod górę stożek, kulę plazmową czy elektrownię z ziemniaka. Bardzo widowiskowe było doświadczenie z ugotowanym na twardo jajkiem (bez skorupki), „zasysanym" do butelki. – „Do butelki wrzucamy płonący papierek. Powietrze wewnątrz się nagrzewa, rozszerza i ucieka, dzięki czemu powstaje podciśnienie, które wciąga jajko do butelki" – wyjaśnił Mateusz Maciejasz z III c[14].

Nic nie umknie uwadze uczniów, a uciekające orzęski i wsysane jajko z pewnością umocnią autorytet nauki i skłonią ich do wytężonej pracy, która zaowocuje w przyszłości badawczą karierą i równie rewelacyjnymi własnymi odkryciami.

Przykład II

Jak popularyzować fizykę i wiedzę przez tę dziedzinę nauki, przecież nie najłatwiejszą, wymagającą przygotowania, gromadzoną? To proste, poprzez Jarmark Fizyczny.

W sobotę – czytamy w lokalnej prasie – zakończył się w Krakowie Jarmark Fizyczny. Przez trzy dni uczeni z 10 krakowskich instytucji naukowych przybliżali wszystkim chętnym tajemnice fizyki. Imprezę zorganizował krakowski oddział Polskiego Towarzystwa Fizycznego, a udział wzięły w niej m.in. Instytut Fizyki i Obserwatorium Astronomiczne

[13] *Tellurium i uciekające orzęski*, DP z dn. 4.12.2006.

[14] *Ibidem.*

> UJ, Wydział Fizyki i Informatyki Stosowanej AGH, Instytut Fizyki Akademii Pedagogicznej oraz Instytut Fizyki Jądrowej PAN. Krakowski Jarmark Fizyczny miał na celu popularyzację fizyki i jej nauk pokrewnych. Przez trzy dni w specjalnych namiotach, w salach wykładowych i seminaryjnych studenci i naukowcy starali się przybliżyć mieszkańcom Krakowa i Małopolski oraz gościom przyjeżdżającym specjalnie spoza regionu na tę imprezę dziedziny wiedzy, które decydują o współczesnym rozwoju cywilizacyjnym. W programie jarmarku znalazły się m.in. wykłady popularyzujące fizykę, prezentacje doświadczeń pokazowych, eksperymenty oraz sesja dydaktyczna dla nauczycieli fizyki. [...] W bloku prelekcji dla uczniów mówiono m.in. o materii widzianej z bliska, najniższych temperaturach we wszechświecie, informatyce kwantowej, a nawet o programowaniu robotów z klocków lego[15].

Tekst ten, w moim odczuciu, mówi wiele o autorze. Z pewnością nie jest on miłośnikiem fizyki, nie zna się na niej, dopiero – jak i czytelnika – ożywia go nieco informacja o programowaniu robotów z klocków lego. Organizatorzy imprezy przesadzili z powagą, nie odwołali się do takich ikon popkultury, jak lalka Barbi i Batman. A przecież fizyka miałaby wiele do powiedzenia zwłaszcza o tym ostatnim. Stanowczo popularyzacja fizyki za pomocą zabawy i odwoływania się do kultury popularnej nabrałaby bardziej spektakularnego charakteru.

Przykład III

Nieco więcej inwencji znajdziemy w kolejnym przykładzie.

> Młodzi ludzie z różnych stron Małopolski odwiedzali wczoraj tłumnie krakowską Akademię Pedagogiczną. W środę w AP rozpoczęły się bowiem tegoroczne Dni Otwarte Uczelni. Przybywających do AP witała stojąca przed wejściem do budynku głównego przy ul. Podchorążych... luneta wycelowana w niebo. Tak promował się Instytut Fizyki. Przez lunetę pod fachowym okiem studentów – fizyków, można było spojrzeć na Słońce. – „Pokazujemy plamy słoneczne, atmosferę Słońca, a gdy dobrze się przyjrzeć – nawet perturbacje słoneczne. Obraz podawany jest na ekran, bo na Słońce nie można patrzeć bezpośrednio" – mówi Mateusz Krzemień, student IV roku fizyki. [...] Powszechną uwagę zwiedzających zwracali przechadzający się korytarzami studenci Wydziału Humanistycznego przebrani w stroje z epoki. Można było wśród nich dostrzec średniowiecznego mnicha, powstańca warszawskiego i żołnierza z września 1939. Z kolei Instytut Politologii promował się celnym hasłem: – IP – niepowtarzalna szansa zostania wykształciuchem[16].

Nie mogę się powstrzymać od złośliwego komentarza, hasło zaiste jak ulał, biorąc pod uwagę orientacje polityczne większości kadry naukowej IP.

Podobne zabiegi i chwyty reklamowe stosują dziś, podczas tzw. dni otwartych, także szkoły średnie.

---

[15] *Roboty z klocków lego*, DP z dn. 2.10.2006.

[16] *Luneta przed uczelnią*, DP z dn. 29.03.2007.

Przykład IV

Wydaje mi się, że pomysły promocyjne szkół średnich są równie zabawne i zabawowe jak te, które stosują szkoły wyższe. Świadczyć o tym może następujący opis:

> Zespół Szkół Środowiska i Melioracji przy ul. Ułanów 9 przeżywał wczoraj istne oblężenie. Na korytarzach i w salach lekcyjnych kłębiły się tłumy gimnazjalistów, którzy podziwiali np. strój królowej Elżbiety I czy makietę mostu zwodzonego, poznawali zasady działania czujnika deszczu, uruchamiającego wycieraczki w aucie i delektowali się koktajlem „Piękny fiolet". Te i inne atrakcje przygotowano z okazji V „Styczniowych Spotkań Gimnazjalistów" – imprezy mającej na celu prezentację oferty edukacyjnej krakowskich zespołów szkół zawodowych. – „Poprzednie edycje »Spotkań« udowodniły, że są one uczniom klas trzecich gimnazjów bardzo potrzebne i pomocne w wyborze dalszej drogi kształcenia" – podkreśla dyrektorka ZSzŚiM Dorota Kocur. Dodała również, że z roku na rok w imprezie tej uczestniczy coraz więcej osób, a materiały informacyjne są coraz ciekawsze. [...] gospodarze „Spotkań" przygotowali m.in. pokazy fryzjerskie. – „Obecnie modny jest blond, wiele osób robi też sobie balejaż" – objaśniły Sylwia Wcisło i Kinga Heimo. – „Nie kolor jest jednak najważniejszy, ale strzyżenie. Hitem są teraz ukośne, krótkie grzywki. Bardzo dużo dziewcząt tak się strzyże. Z kolei chłopaki robią sobie irokezy i wycinają wzorki we włosach (nad uszami). [...] Na brak wrażeń nie mogli też narzekać gimnazjaliści, chcący w przyszłości kształcić się w zawodzie kucharza. Na stoliku Zespołu Szkół Gastronomicznych nr 1 pyszniły się jabłka w karmelu, bardzo chętnie kosztowano też smakołyków przygotowanych przez uczniów klas gastronomicznych Zespołu Szkół Budowlanych nr 2: koreczków i czekoladowego fondue z chrupkami kukurydzianymi. Hitem wśród napojów był natomiast koktajl „Piękny fiolet". – „Bardzo łatwo go zrobić: 100 ml coca-coli, 50 ml świeżego soku z cytryny i 2–3 kostki lodu miesza się w shakerze i gotowe" – zdradził Rafał Makuch. – „Polecam wszystkim ten koktajl. Jest smaczny, dodaje energii i orzeźwia"[17].

Jak widać z przytoczonych dotychczas przykładów, a można je mnożyć, nauka i wiedza opakowane w ludyczny spektakl, stają się źródłem nieustającej radości, intrygują, stwarzają okazję do żartu i śmiechu, są jak kufer pełny kuglarskich sztuczek, zaskakujących i komicznych gadżetów.

Spektakl B. „Piękne oczy modliszki" i „Kanibalizm biedronek"

Przyjrzyjmy się bliżej, w jaki sposób popularyzowane są wyniki badań biologicznych i zoologicznych, jak przedstawiany jest świat przyrody ożywionej i jego tajemnice. Dobrą okazją do tego są od pewnego czasu organizowane, w ramach Festiwali Nauki, Dni Owada.

> Karaczanom nie chciało się już syczeć – czytamy w jednym ze sprawozdań z tej imprezy – ale straszyki chętnie pozwalały brać się na ręce. Kilkaset osób odwiedziło w sobotę trwające od piątku Dni Owada. – „Modliszki mają przepiękne oczy – zapewniał Wojciech Tałka z Akademii Rolniczej, pokazując roczną samiczkę afrykańskiej modliszki". – „Wprawdzie to oczy złożone, owadzie, ale kiedy człowiek w nie patrzy, widzi czarny punkcik, jakby

---

[17] *Z witrażem i skośnymi grzywkami*, DP z dn. 12.01.2007.

tęczówkę". Hodowca i pasjonat pokazał też wypożyczone od kolekcjonera czarno-żółte tanzańskie pluskwiaki. – „Są wredne, śmierdzące i plują kwasem, ale to takie piękne stworzenia..." – zachwycał się. Pluskwiaki [...] potrafią wyrzucić z siebie strumień kwasu, a ich ugryzienie jest niezwykle bolesne i groźne, gdyż owady te przenoszą niebezpieczne bakterie. – „Trzeba z nimi uważać, bo plując, doskonale trafiają w oczy. Choć Bóg jeden wie, skąd wiedzą, gdzie człowiek te oczy ma". Na wystawie na Wydziale Ogrodniczym Akademii Rolniczej zaprezentowano ponad 70 gatunków owadów: zarówno tropikalnych, jak i krajowych. Były m.in. syczące karaczany z Madagaskaru, patyczaki skrzydlate i kolczaste, zielone gąsienice brudnicy nieparki i azjatyckie ćmy [...] o rozpiętości skrzydeł 15 cm. Większość niegroźnych gatunków pozwalała się brać na ręce i głaskać, z czego skwapliwie korzystały dzieci i co odważniejsze mamy. – „Bo owadów nie trzeba się bać" – przekonywał Kazimierz Wiech z Katedry Ochrony Roślin AR. – „Trzeba za to podziwiać ich różnorodność. Na świecie jest ich ponad 1,2 mln gatunków, z czego większość nie stanowi żadnego zagrożenia. No i musimy pamiętać, że to nie one żyją obok nas, ale my koło nich: na jednego człowieka przypada około 250 mln różnych owadów" – dodawał[18].

Podziwiamy zatem różnorodność „uczłowieczonych" i „uludycznionych" owadów i gromadzimy o nich sensacyjne i równie ulotne informacje, bo:

„Są przepiękne, po prostu przepiękne, pełne wdzięku – szczególnie te młode" – powiedzieć, że w oczach Patrycjusza Nowika widać zachwyt, to mało. To raczej uwielbienie. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno na myśl o owadach Patryk czuł wstręt. Bo mowa tu, oczywiście, nie o miłości do kobiet czy samochodów, ale o poświęceniu się owadom. Tak, tak, tym „robalom", które traktujemy różnymi trującymi sprejami, które z satysfakcją rozgniatamy obcasem. [...] Piotr Harazin, student II roku Akademii Rolniczej, przypatruje się wielkiemu owadowi tropikalnemu, który spaceruje po jego ręce. Czy może to brązowawy starzyk kolczasty spogląda na Piotra? Długie czułki ruszają się na wszystkie strony, a starzyk powolnymi krokami pokonuje studenckie przedramię. – „Wielu kolegów hoduje różne owady, nawet w akademikach" – opowiada Piotr i dodaje żartem: – „Ale to nieprawda, że owady nam się rozłażą po korytarzach i straszą studentki". Studentki zresztą wcale owadów się nie boją. Agnieszka Padykuła z II roku stoi nad szklanym pojemnikiem pełnym biedronek. Na tę okazję przygotowała specjalną kreację: czerwona bluzeczka, na tym czarne kropki, na głowie opaska z czułkami. – „Utarło się, że biedronki to takie ładne i miłe owady" – mówi – „Rzeczywiście są pożyteczne, zjadają mszyce, ale są też kanibalami". Od piątku cały hol Wydziału Ogrodnictwa Akademii Rolniczej [...] zastawiony jest pojemnikami z owadami. Można również podziwiać strukturę pszczelego ula, gniazdo os oraz owadożerne rośliny. Studenci Akademii Rolniczej bardzo chętnie o swoich podopiecznych opowiadają. Podkreślają, że niechęć do owadów to jedynie niczym nie uzasadniony stereotyp i owady można, a nawet trzeba pokochać. [...] o godz. 12 odbędą się zawody w owadzich skokach[19].

Czy organizatorzy i uczestnicy Dni Owadów mają świadomość, że choć – we własnym mniemaniu – zgrabnie realizują hasło: uczenie przez zabawę, to nadmiar ludyzmu może prowadzić do zbytniej infantylizacji imprezy, która zbliża się, moim zdaniem, niebezpiecznie do poziomu dobranocki z Pszczółką Mają w roli głównej?

[18] *Piękne oczy modliszki*, DP z dn. 15.05.2005.

[19] *Kanibalizm biedronek*, DP z dn. 23.05.2004.

Spektakl C. „Czar matematyki"

Jak się zdaje, można dość łatwo sprowadzić wiedzę humanistyczną, a tym samym nauki, które ją gromadzą, do poziomu ludycznego banału, do zbioru wrażeń i informacji lekkich do przyjęcia i łatwych do zapomnienia. Można to zrobić równie łatwo z wiedzą o świecie przyrody ożywionej (a także i nieożywionej, *vide* bardzo spektakularne i tłumnie odwiedzane wystawy kamieni niekoniecznie szlachetnych), ale z matematyką – przez wielu uważaną za królową nauk – jest już chyba inaczej. To opoka powagi naukowej. Ale czy rzeczywiście?

> 2 minuty i 8 sekund – tyle czasu potrzebowały Kasia i Edyta z SP nr 126 na rozwiązanie wcale niełatwego zadania matematycznego. Ten czas okazał się najlepszy w półfinale małopolskiego konkursu matematycznego „Czar matematyki". Uczestnicy rozwiązywali krzyżówki, grali w domino i karty oraz w różne układanki. Nie były to zwykłe gry i zabawy, tylko matematyczne. Konkursanci w parach musieli w jak najkrótszym czasie pokonywać kilkanaście trudnych zadań. Tylko 15 par młodych matematyków z 40 (na poziomie szkół podstawowych) mogło przejść do finału oraz 15 z 24 na poziomie gimnazjalnym. – „Matematykę polubiłem dzięki babci. Ona mnie nauczyła, jak szybko i poprawnie rozwiązywać zadania. Matma to dla mnie pestka" – mówi Maciek Kański z SP nr 29. Maciek wraz ze swoim konkursowym partnerem, Kubą Błońskim, zajęli pierwsze miejsce na etapie szkolnym. – „A ja lubię matematykę, bo uczy nas bardzo dobra pani" – dodaje Kuba. Pomysłodawczynią konkursu jest Halina Pulchny, nauczycielka z SP nr 156. Dziewięć lat temu postanowiła wymyślić nową, bezstresową formułę konkursu matematycznego. Przyszła jej do głowy genialna idea – ująć najtrudniejsze pojęcia i wzory w grach, np. w dominie, krzyżówkach, puzzlach. – „Dzieciom to się spodobało, bo nie muszą rozwiązywać testów lub odpowiadać przy tablicy, a tylko grać, a przy tym uczyć się" – zaznacza Halina Pulchny[20].

Grać i bawić się, a przy tym uczyć się matematyki, oczywiście bez stresu. Czy to jednak możliwe?

> „Chcemy, aby matematyka nie była kojarzona z trudnym przedmiotem szkolnym, lecz z niezłą zabawą" – mówią Jolanta Piekarska i Halina Pulchny, autorki idei konkursu „Matematyczny czar par", którego finał odbył się w sobotę w Krakowie. Zorganizowany przez krakowski oddział Stowarzyszenia Nauczycieli Matematyki konkurs przeznaczony jest na niższym poziomie dla uczniów klas piątych szkoły podstawowej, a na wyższym – dla młodzieży z drugich klas gimnazjum. Podzieleni na pary zawodnicy rywalizują z sobą w ośmiu konkurencjach, do których należą: gra planszowa, domino, tangram, układanka, gra w wojnę, krzyżówki – liczbowa i literowa oraz zadania problemowe. [...] – „Uczniowie startują parami. Nikt nie jest skazany tylko na siebie, a wygrana cieszy podwójnie [...]" – wyjaśniają Jolanta Piekarska i Halina Pulchny[21].

Konkursy mają „oswoić matematykę" – sam jej nigdy nie oswoiłem, niestety – i właściwie czynią to perfekcyjnie. Matematyka to już zabawa, ale czy gdzieś w tym spektaklu nie zapodziała się sama matematyka? Czytamy:

---

[20] *Nauka w zabawie*, GK z dn. 1.03.2004.

[21] *Czar matematyki*, DP z dn. 15.03.2004.

Młodzi matematycy, którzy wzięli udział w sobotniej imprezie, musieli stawić czoła nie lada problemom. Nie wszyscy potrafili znaleźć pomysł na to, jak umieścić ośmiu Indian (występujących pod postacią czarnych kropek) w lesie (zaznaczonym jako tabelka), w taki sposób, aby jeden drugiemu nie wchodził w drogę ani w linii poziomej, ani pionowej, ani po przekątnej [...]. – „Ten konkurs to przede wszystkim dobra zabawa. I wcale nie jest przeznaczony tylko dla »matematyków«. Najfajniejsze jest w nim to, że nie ma formy egzaminu – nie trzeba być ubranym na galowo i nikt się nie musi niczym stresować" – wyjaśniały Justyna Sak i Natalia Tarkowska [...]. – „Celem matematycznego czaru par jest propagowanie matematyki w sposób ciekawy dla uczniów. Poprzez zabawę chcemy zachęcić ich do rozwiązywania trudnych problemów. Chodzi o to, aby »oswoić« matematykę tak, aby nikt się jej nie bał" – tłumaczyły matematyczki Jolanta Piekarska i Halina Pulchny, ciesząc się, że ich konkurs budzi wśród uczniów tak wiele pozytywnych emocji i że... zmusza ich do myślenia[22].

Tych, którzy mają wątpliwości co do sensu takiego „oswajania" matematyki, te działania również zmuszają do myślenia, choćby na temat, czy rugowanie stresu (tzw. pozytywnego stresu, który jest motorem bardzo wielu nadzwyczajnych wyczynów i osiągnięć ludzkich) wpływa istotnie dodatnio na rezultaty myślenia i na samo myślenie. Teraz opuśćmy na chwilę Kraków i przenieśmy się do Oświęcimia, gdzie tamtejsi licealiści postanowili trafić do Księgi Guinnessa, przy okazji „oswajając" matematykę.

26 uczniów oświęcimskiego Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego wraz ze swoim nauczycielem Witoldem Pająkiem pobiło rekord w długości lekcji matematyki. Z wynikiem 48 godzin nieprzerwanej nauki trafią do Księgi Guinnessa. – „Przyznaję, że ostatnie godziny to był już *survival*" – żartował jeden z licealistów po wyjściu z sali. – „Jestem mocno wzruszony. Im bliżej było końca, tym bardziej żal, że się to kończy" – wyznał Witold Pająk [...][23].

Oto szczegółowa historia bicia rekordu, przytaczam ją ze względu na dobrze uchwyconą przez sprawozdawcę atmosferę ludyczną imprezy.

Próba pobicia ustanowionego przez uczniów II LO z Gniezna 45-godzinnego rekordu rozpoczęła się w środę o godz. 11. W piątek tuż przed 15 na korytarzu przed salą nr 40, w której zamknięci byli śmiałkowie z klas II g, II i, II h, II f i III i, nauczyciel, niezależni obserwatorzy i lekarz, rozległo się głośne odliczanie, ogłuszające gwizdy trąbek zabawek oraz gromkie okrzyki i oklaski. Dyrektor szkoły Jolanta Bąk miała łzy w oczach. – „Biliśmy rekord Guinnessa, ale najważniejszą wartością była sama matematyka, którą się bawiliśmy i której się uczyliśmy. Mam nadzieję, że tej lekcji nie zapomnicie długo" – cieszył się Witold Pająk[24].

Nastrój zabawy nie opuszczał zgromadzonych.

Po wyczynie bohaterowie szkoły wpadli w objęcia rodziców, nauczycieli, kolegów i koleżanek. Uczniowie „Konara" obsypali ich confetti, a dla wszystkich przygotowali papiero-

---

22 *Oswoić matematykę*, DP z dn. 14.03.2004.

23 *Dwie doby matmy*, DP z dn. 26.01.2008.

24 *Ibidem*.

we korony. Dla dyrektora – z napisem „Król Witold I". Był także ogromny tort oraz złote medale z wizerunkiem Stanisława Konarskiego, które zawisły na szyi każdego uczestnika bicia rekordu. [...] – „Była genialna atmosfera i na 200 proc. zdecydowałabym się podjąć taką próbę jeszcze raz" – powiedziała Karolina Smółka, jedna z uczestniczek matematycznego maratonu[25].

A najlepiej byłoby, gdyby nauka szkolna składała się z niekończących się tego rodzaju prób. A wyższe uczelnie, czy mają być gorsze?

Spektakl D. „88 godzin o demokracji"

Oto bynajmniej nie krótkie dzieje innego wyczynu, niekoniecznie naukowego, ale mającego naukowe konteksty i nieprzypadkowo wiążącego się z zasadniczym tematem w tym rozdziale poruszanym.

Najdłuższy i – jak zapewnia – najciekawszy wykład świata wygłosi dziś dwudziestoletni student z Zimbabwe Errol E.T. Muzawazi. Przez 88 godzin będzie mówił o demokracji. Próba bicia rekordu Guinnessa w długości przemówienia rozpocznie się dziś (w poniedziałek) o godz. 20.00 w Domu Studenckim Piast przy ul. Piastowskiej 47 (sala konferencyjna na 8. piętrze). Zakończy się – jeśli wszystko pójdzie dobrze – w piątek, 25 marca, w południe. Co osiem godzin prelegent będzie robił 15-minutowe przerwy na relaks. Przez cały czas próby nie zmruży oka, jeść zamierza wyłącznie owoce i lekkie przekąski, pić – soki i kawę. Errol przygotowywał się do próby ponad pół roku. W tym czasie jadł dużo mięsa, ziemniaków i soczystych owoców. Wykład wygłosi po angielsku. – „Ale żartował będzie po polsku" – obiecuje. Zgodnie z przepisami Księgi Rekordów Guinnessa słuchać Errola można nie dłużej niż przez cztery godziny naraz[26].

Spektakl jednego aktora wzbudził spore zainteresowanie w środowisku studenckim, znanym z bicia rozmaitych, raczej mało mądrych (na przykład ilu studentów zmieści się w maluchu) rekordów. Wydarzenie było relacjonowane przez krakowską prasę.

Już ponad 34 godziny mówi o demokracji Errol E.T. Muzawazi, 20-letni student prawa z Zimbabwe, który chce pobić rekord Guinnessa w długości wygłaszania wykładu. [...] Wczoraj po południu Errol omawiał poszczególne modele demokracji i zaczął mówić o historii parlamentaryzmu. Nie był zachrypnięty, żeby nie zasnąć, przechadzał się po sali, gestykulując i gryząc jabłka. – „Jest w całkiem dobrej formie. Ożywia się zwłaszcza, kiedy słuchacze zadają mu pytania. Stosunkowo mało pije, ratuje się czekoladą" – relacjonuje Ula Roman, oficjalny świadek próby bicia rekordu Guinnessa. Próba jest rejestrowana na wideo i fotografowana. W ciągu całego dnia przez salę konferencyjną Domu Studenckiego Piast, gdzie przemawia Errol, przewinęło się też kilkudziesięciu słuchaczy. – „Mówi bardzo szczegółowo, nic dziwnego, skoro ma tyle czasu. Widać już po nim zmęczenie, zobaczymy, co będzie w czwartek wieczorem" – zastanawia się Łukasz[27].

---

[25] *Ibidem*.

[26] *88 godzin o demokracji*, DP z dn. 21.03.2005.

[27] *Ibidem*.

Oczywiście, próba kończy się sukcesem.

„Marzę tylko o tym, aby położyć się spać" – mówi 20-letni student prawa UJ z Zimbabwe, który głosił swój wykład 88 godzin i 4 sekundy [...]. Eksperci za trzy miesiące ustalą, czy wykład Errola może być uznany za rekord Guinnessa. Errol kryzysy praktycznie miał każdej nocy. Najgorzej się czuł nad ranem. Wczoraj przed świtem był tak zmęczony, że gotów był zrezygnować z walki. – „Ale mobilizowaliśmy go na różne sposoby. Powtarzaliśmy: Errol, zostało tylko kilka godzin. Nie masz prawa teraz zasnąć" – wspomina Ewa Solarczyk, koleżanka studenta. [...] Errol Muzawazi już rok temu ustanowił rekord na najdłuższy wykład. Referował go wtedy 62 godz. 30 min. – „Tym razem było łatwiej, bo miałem doświadczenie. Ale teraz marzę tylko o tym, aby się wyspać" – zauważył. Nie ma jednak zamiaru spać długo. – „Nie mam za bardzo czasu na to, bo w najbliższy wtorek czeka mnie egzamin z logiki" – dodaje[28].

W spektaklu tym z pewnością było wiele zabawy, sporo ambitnego aktorstwa i pogoni za sławą (w końcu młody student z dalekiego kraju zyskał w Krakowie niemały rozgłos), ale logiki niewiele. Gdzieś tam, na marginesie, pojawia się demokracja, jak w innych opisywanych spektaklach nauka i wiedza. Nasuwa się również pytanie, czy prezydent Mugabe, jeden z najgłupszych i najbardziej szkodliwych dyktatorów Afryki, człowiek, który z powodów rasistowskich doprowadził Zimbabwe (dawniej Rodezja) do całkowitej ruiny gospodarczej, pogratulował rodakowi rekordu. I czy przejął się wykładem o demokracji[29].

Czyż można utrzymać powagę, gdy czytamy, że: „Pracownicy najstarszej uczelni w Polsce odpowiedzą dzieciom na wszystkie pytania". Jakież to pytania stawiają dzieci, a naukowcy ochoczo na nie odpowiadają? Warto poczytać:

„Dlaczego wulkany zieją ogniem? Skąd wiadomo, że dinozaury to nie smoki? Co jest najmniejsze na świecie? Czy ryby piją wodę? Kiedy zaczniemy latać poza Układ Słoneczny? Czy będzie tabletka z wiedzą? Kto wymyślił piłkę nożną? Dlaczego jedni są biedni, a drudzy bogaci? Oto pytania, na które odpowiedzi poszukują dzieci. I wkrótce wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego będą się starać udzielić im odpowiedzi. Wzorem uniwersytetu w Tybindze, w Krakowie powstaje właśnie Uniwersytet Dzieci. [...] Dziecko ma naturalną ciekawość świata i ogromny potencjał uczenia się, który rodzice nie zawsze potrafią umiejętnie wykorzystać. Jednocześnie zdają sobie sprawę, że nie wolno go zaprzepaścić.

---

[28] *Marzy, by porządnie się wyspać*, GK z dn. 26–28.03.2005.

[29] Odpowiedź na to pytanie znalazłem w artykule B. Kołodziej, *Afrykańskie marzenia*, GK z dn. 20.03.2009, gdzie czytamy: „Jako krakowski student [Errol Tapiwa Muzawazi – R.K.] trzykrotnie ustanowił rekord Guinnessa, wygłaszając najdłuższe przemówienie świata – *The Longest Lecture*. Sześć lat temu we Wrocławiu mówił 62 godziny i 30 minut. W 2005 roku w Krakowie pobił swój rekord. Trzy lata temu ponownie ustanowił rekord, wygłaszając w Harare wykład trwający 102 godziny! Nie spał i prawie w ogóle nie jadł. Po tym wyczynie został zaproszony na herbatę przez prezydenta Zimbabwe Roberta Mugabe oraz otrzymał stypendium rządu Zimbabwe, które umożliwia mu kontynuację nauki w Polsce". Ciekawe o czym Errol rozmawiał z prezydentem, może o pożytkach płynących z dyktatury? W najnowszych wywiadach znajdujemy m.in. informację, iż Errol pisze książkę o swojej wyprawie do Afryki oraz że bije kolejne rekordy, obecny wynosi 120 godzin! Afrykański student Uniwersytetu Jagiellońskiego stał się dzięki mediom prawdziwym celebrytą! Zob. *Długi wykład dla Afryki*, rozmowa Pauliny Wilk i Piotra Rąpalskiego z Errolem Muzawazi, GK z dn. 2.10.2009 oraz J. Ciećkiewicz, *Balonem do Zimbabwe*, rozmowa z Errolem Tapiwą Muzawazi, DP z dn. 27.05.2011.

Uniwersytet Dzieci ma im pomóc" – mówi Agata Wilam z Fundacji Paideia, którą tworzy kilku pasjonatów. Uniwersytet Dzieci zapraszać będzie młodych słuchaczy w wieku 7–12 lat w soboty. Wykłady będą poruszały tematy ze wszystkich niemal dziedzin wiedzy; od historii po biotechnologię, od medycyny po ekonomię, od prawa po filozofię. Dzieci będą mogły uczestniczyć w różnorodnych zajęciach umożliwiających dużą aktywność: warsztaty, zajęcia laboratoryjne, wycieczki poznawcze. Usiądą w miejscach zajmowanych na co dzień przez studentów. Będą mogły wysłuchać wykładów nauczycieli akademickich, a następnie z nimi podyskutować[30].

Najlepiej na temat, dlaczego jedni ludzie są mądrzy, a inni przeciwnie.
Nie dość tego, w Krakowie powstaje „Ogród Doświadczeń".

Na sześciu hektarach prezentowane będą urządzenia pokazujące prawa fizyki. Będzie to pierwszy taki park w Polsce [...]. Park wyposażony będzie w urządzenia edukacyjne, które obrazować będą różne prawa fizyki, np. związane z oddziaływaniem fizyki (huśtawki, elementy ukazujące działanie siły grawitacji), z utrzymywaniem równowagi (równoważnie, obrotowe tarcze, trampolina), dotyczące drgań i fonii, związane z działaniem wody (turbiny wodne), ze zmysłami: dotykiem, słuchem, węchem etc. – „Każdy będzie mógł sam doświadczyć zasad rządzących światem fizyki" – podkreśla Danuta Szymońska. Dodaje, że park będzie się stale rozwijał: co roku będą dochodzić nowe urządzenia, niektóre starsze będą przekazywane do szkół i przedszkoli. [...] Pomysłodawcy liczą też na aktywność środowisk naukowych, pasjonatów, modelarzy, którzy zechcą pomóc w wymyślaniu, konstruowaniu i wykonywaniu kolejnych urządzeń[31].

Tak oto dochodzimy do doskonałej symbiozy nauki, wiedzy naukowej i zabawy, do perfekcyjnego połączenia myśli i jej realizacji. Myśl brzmi: uczyć bawiąc, bawić ucząc. Co na to pedagodzy?

Pedagodzy, w odróżnieniu od popularyzatorów wiedzy, którzy są entuzjastycznie i raczej mało krytycznie nastawieni do nauczania poprzez zabawę, przejawiają sporo sceptycyzmu, a przynajmniej sensowną ostrożność. Wincenty Okoń, nestor polskich teoretyków i praktyków pedagogiki, także wybitny znawca problematyki ludyzmu i ludyczności, przyjął stanowisko Z. Włodarskiego, który we *Wstępie* do *Psychologii uczenia się* napisał: „[...] mechanizmy uczenia się pozostają ciągle w sferze hipotez, determinanty zaś poznane zostały dość gruntownie"[32]. Sytuacja taka, zdaniem W. Okonia, jest „zachętą do tego, aby nie zajmować się [...] prawidłowościami uczenia się w zabawie, lecz skupić uwagę na jego warunkach, oraz [...] na efektywności uczenia się"[33]. Wśród rezultatów uczenia się poprzez zabawę – w opinii W. Okonia – są osiągnięcia natury poznawczej.

Są nimi – pisze – przede wszystkim wiadomości, które dziecko zawdzięcza zabawie: wiadomości o ludziach, ich zawodach, obyczajach i zachowaniu; o przyrodzie – o zwierzętach, roślinach i pożytkach z nich; drobne utwory literackie; obrazy, filmy i utwory muzyczne.

[30] *Nie z tej ziemi*, DP z dn. 23.05.2007.

[31] *Fizyka w parku*, DP z dn. 5.04.2006.

[32] W. Budohoska, Z. Włodarski, *Psychologia uczenia się. Przegląd badań eksperymentalnych i teorii*, Warszawa 1977, s. 6.

[33] W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995, s. 175.

Wiadomości te docierają do dziecka mimochodem, ale włączając się w akcję zabawową, stają się elementem przeżycia. Zabawa sprzyja też odpowiedniej systematyzacji tych wiadomości, ułatwia tworzenie swoistych, bo zależnych od organizacji zabawy, struktur. Różna jest także ich trwałość. Sięga od ulotnego poznania, gdy zaledwie nazwa przedmiotu przy nowym z nim spotkaniu staje się nieobca, aż do dokładnego opanowania wyobrażeń przedmiotów, które ongiś pojawiały się w zabawie, czy do pełnej reprodukcji wiadomości z ewentualną umiejętnością ich zastosowania w jakimś działaniu praktycznym[34].

W. Okoń ma na myśli uczenie poprzez zabawę 4–6-latków, jednakże – w moim przekonaniu – uwagi przez niego przedstawione mogą dotyczyć wszystkich grup wiekowych poddanych tego typu nauczaniu, także dorosłych. Nabywanie wiadomości, ich zapamiętywanie, systematyzowanie i trwałość mogą się różnić w grupach wieku jedynie zakresem, stopniem, intensywnością.

Pedagogika zabawy, określana często po prostu jako nowy styl wychowania (i nauczania również), z pewnym trudem dąży do nobilitacji zabawy jako metodycznego środka, sposobu wzmacniania oddziaływania pedagogicznego w dzisiejszych trudnych dla pedagogiki czasach zmierzchu dotychczasowych autorytetów.

Pedagogika zabawy [...] – pisze U. Kaczmarek – to symboliczna nazwa poszukiwań metodycznych ułatwiających proces wychowawczy i uczenie się. Nie jest ona dyscypliną samą w sobie. Nie dąży do roli wiodącej, ale raczej chce wspierać zamysły pedagogów w stosowanych przez nich formach pracy i porozumiewania się. Chce być żywą i rozsądnie stosowaną metodyką, co w praktyce jest równoznaczne z otwarciem się na ludzi, szczególnie młodych, chęcią ich wspierania, „popychania” ku aktywności. Jest to propozycja ożywienia, urozmaicenia tradycyjnego nauczania. [...] Zadaniem omawianej metody jest stosowanie sytuacji naturalnych kontaktów między prowadzącymi a uczestnikami, burzenie wszelkich, często niepotrzebnych przecież, barier, ułatwianie procesu komunikacji itp.[35]

Ale nawet pedagodzy ceniący sobie i uprawiający pedagogikę zabawy zachowują ostrożność i pamiętają o wskazówkach A. Kamińskiego, który napisał: „Sztuka nauczania na tym m.in. polega, [...] aby zajęcia szkolne miały – gdy to możliwe – postać zabawy, a wartość pracy”[36]. Pedagodzy o tych słowach pamiętają, popularyzatorzy nauki i wiedzy nie, albo starają się o nich zapomnieć.

Oto niektóre wskazówki A. Kamińskiego dotyczące pedagogicznego wykorzystania zabawy, uczenia się poprzez zabawę, a które mogą także – w moim mniemaniu – mieć wielkie znaczenie w procesie popularyzowania nauki i wiedzy naukowej. U. Kaczmarek (za Kamińskim) wylicza:

[...] zabawy dydaktyczne należy stosować z umiarem, bowiem może się zdarzyć, że zbyt często stosowane opóźnią proces kształcenia; powinny być stosowane tylko tam, gdzie mogą być najbardziej użyteczne, tj. w celu utrwalenia materiału nauczania oraz urozmaicenia tematów szczególnie nużących dzieci [oczywiście, dotyczy to również dorosłych!

[34] *Ibidem*, s. 175–176.

[35] U. Kaczmarek, *Pedagogika zabawy – nowy styl wychowania*, „Zabawy i Zabawki” 1997, R. 1, nr 4, s. 8.

[36] A. Kamiński, *Aktywizacja i uspołecznienie uczniów w szkole podstawowej*, Warszawa 1966, s. 36–37.

– R.K.]; powinny wtedy pomóc „otwieraniu oczu”, ćwiczyć w postrzeganiu faktów i zjawisk, dostrzeganiu problemów; [...] zabawa powinna odzwierciedlać zainteresowania dzieci i młodzieży, a nie zainteresowania dorosłych [zatem inaczej popularyzuje się naukę i wiedzę naukową wśród dorosłych i wśród dzieci, nie ma jednej metody popularyzacji dla wszystkich! – R.K.][37].

Można jeszcze wskazać na potrzebę kompetencji, nie formułują tej myśli pedagodzy – chyba przez skromność – nauczanie poprzez zabawę, także popularyzacja nauki i wiedzy naukowej z wykorzystaniem zabawy, to umiejętność, której się trzeba nauczyć. Dobre chęci nie wystarczą.

Niewłaściwe sposoby nauczania i popularyzacji wiedzy, także nauczania i popularyzacji poprzez zabawę, mogą dać fatalne rezultaty, mogą dostarczać wiadomości, które budują „miraże erudycji”, dając „wiedzę krzyżówkową, teleturniejową”, jak to trafnie określił P. Kowalski.

Po specyficzny rodzaj „wiedzy” krzyżówkowej przychodzą do bibliotek „czytelnicy” wyposażeni w książeczki z treningowymi pytaniami do „Koła Fortuny”, teleturnieju „Jeden z dziesięciu”; nie ma potrzeby trudzić się czytaniem powieści Dostojewskiego, wystarczy zapamiętać imiona bohaterów jego dzieł, kilka anegdot. Chodzi w końcu o to, by już po streszczeniu, że to powieść o młodym człowieku, który siekierą zabił staruszkę, podać w ciągu 5 sekund tytuł... Zapamiętać można, że autorem *Boskiej komedii* był pewien znany poeta renesansowy, a *Komedię ludzką* napisał Francuz, wypijający ogromne ilości kawy[38].

Warto również pamiętać o pięknych oczach modliszek i kanibalizmie biedronek! Tak – zdaniem P. Kowalskiego, z którym się w pełni zgadzam – rodzi się problem nadmiaru informacji pozbawionych kontekstów, pozór erudycji.

Do największych sceptyków w kwestiach powyżej poruszanych należał niestrudzony krytyk współczesnej kultury, Neil Postman.

[...] znajdziemy opinię – pisał – że dzieci najlepiej uczą się wówczas, gdy są zaciekawione przedmiotem swej nauki. Spotkamy też wypowiedzi – na przykład Platona i Deweya – mówiące, że rozum najlepiej rozwija się wówczas, gdy ma swoje korzenie w silnym uczuciowym podłożu. Znajdziemy też takich, którzy są zdania, że uczenie się najbardziej ułatwia sympatyczny i życzliwy nauczyciel. Nikt wszakże nigdy nie powiedział ani nie zasugerował, że istotną wiedzę można skutecznie, trwale i wiarygodnie osiągnąć wówczas, gdy edukacja jest rozrywką. Filozofowie wychowania założyli, że nabywanie cech kulturowych jest procesem trudnym, ponieważ nieodłącznie wiąże się z narzucaniem ograniczeń. Dowodzili, że uczenie się musi przebiegać w jakimś porządku, że wytrwałość i odrobina potu są nieodzowne, że przyjemności jednostki muszą często ustępować

---

[37] U. Kaczmarek, *Pedagogika zabawy*..., s. 11–12.

[38] P. Kowalski, *Popkultura i humaniści. Daleki od kompletności remanent spraw, poglądów i mistyfikacji*, Kraków 2004, s. 81. Na s. 83 zauważa: „[...] wobec problemu z nadmiarem informacji pozbawionej kontekstów można (chyba już nawet trzeba?!) przebudować koncepcję człowieka kulturalnego, która wciąż jeszcze, niestety, znajduje uznanie u autorów programów, wizji szkoły, społeczeństwa informatycznego itd. [...] niespodziewanie, osobliwy geniusz autystycznego bohatera filmu *Rain Man* powoli zaczyna urastać do rangi porażająco adekwatnej etykiety współczesności, a nawet ideału edukacyjnego: choć ma się w sobie tak dużo informacji, niemożliwa jest komunikacja, można bez końca podawać dane, można przemnożyć kolumny liczb, a coraz bardziej nieosiągalne staje się rozumienie”.

na rzecz dobra trwałości grupy i że kształcenie w sobie krytycyzmu oraz koncepcyjnego i ścisłego myślenia nie przychodzi młodemu człowiekowi łatwo, lecz bywa ciężko wywalczonym zwycięstwem. Cycero wręcz zauważył, że celem edukacji jest wyzwolenie ucznia z tyranii teraźniejszości, co nie może być przyjemne dla młodzieży, która twardo walczy o to, by robić coś przeciwnego, to znaczy – przystosować się do bieżącej rzeczywistości[39].

Postmanowi wtóruje Marcin Głowacki:

Do niedawna proces przekazywania wiedzy był ciężką pracą polegającą między innymi na kształtowaniu świadomości człowieka. Obecnie ma się stać rodzajem zabawy. Zarówno dla kształcących, jak i kształconych. Szlachetny ideał harmonijnej edukacji człowieka trwa wprawdzie w okopach zacisznych sal uniwersyteckich, jednak kibice sportowi, młodzież spędzająca godziny na przyszkolnych boiskach i ich koledzy – użytkownicy komputerów, zamiast być uczestnikami procesu harmonijnej edukacji, od najmłodszych lat są przygotowywani do wypełniania roli konsumentów dóbr, do prowadzenia życia, którego celem jest popkulturowy hedonizm[40].

I jeszcze raz w tym kontekście zacytuję Postmana, który zadaje pytanie, czego nauczą się dzieci (także młodzież i dorośli), uczestnicząc w popularnonaukowych imprezach, także w rodzaju tych, które w tym rozdziale omawiałem. Powiada on: „Głównie nauczą się, że zdobywanie wiedzy jest formą rozrywki albo, ściślej, że wszystko, co jest warte przyswojenia, może lub powinno przyjąć formę rozrywki”[41].

Mam przekonanie, że zjawiska, o których w tym rozdziale pisałem, owe miejskie ludyczne spektakle z nauką i naukową wiedzą w tle to po prostu zabawa nauką i zabawa w naukę – przez analogię z poprzednio opisaną zabawą historią i zabawą w historię. Prawdziwa, mniej zabawowa, a bardziej poważna popularyzacja wiedzy i nauki ma miejsce w kulturze, miejsce utrwalone i mniej spektakularne. Gdybym się mylił, byłby to kolejny dowód na brzemienne w skutki postępy procesu nazwanego przeze mnie uludycznianiem kultury współczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego.

---

[39] N. Postman, *Zabawić się na śmierć. Dyskurs publiczny w epoce show-businessu*, tłum. L. Niedzielski, Warszawa 2002, s. 207–208.

[40] M. Głowacki, *Gry i zabawy (komputerowe)*, „Arcana” 2000, nr 31, s. 179.

[41] N. Postman, *Zabawić się...*, s. 217.

VII. POZNAJ INNEGO POPRZEZ ZABAWĘ, CZYLI NIE TRZEBA JECHAĆ DO AFRYKI, ABY SKOSZTOWAĆ NASION BAOBABU

„Sposób, w jaki ludzie się bawią, być może głębiej odsłania ich kulturę niż sposób pracy – daje bowiem wgląd w wartości serca".

Victor Turner

Wstęp

Od tysiącleci ludzie reprezentujący rozmaite zbiorowości, kontaktując się z sobą, zwracali przede wszystkim uwagę na różniące ich cechy kulturowe[1]. Odmienny język, ubiór, zachowania, zwyczaje czy jadło, były równie uważnie obserwowane, jak na przykład kolor skóry czy barwa włosów. Podział na swoich i obcych – z gruntu kulturowy, oparty bowiem na kulturowych różnicach – wpływał na charakter kontaktów międzyludzkich, decydował o układach i sojuszach, o pokoju i wojnie. My – swoi, oni – obcy...

Myślenie o obcych jako o potencjalnym zagrożeniu wpływało na intensywność procesów integracji swoich, rodzin, klanów, plemion, z czasem grup etnicznych i narodów. Swojskość łączyła, obcość dzieliła ludzi, powodowała konflikty, antagonizowała, wywoływała i podtrzymywała agresję. Poczucie swojskości (naszości) i poczucie obcości odgrywały zatem podstawową rolę w kontaktach międzyludzkich (jednostkowych) i międzygrupowych od zarania dziejów człowieka. Dziś, w czasach rozwoju i popularności takich dyscyplin naukowych, jak etnologia i antropologia społeczna (kulturowa), a także psychologia społeczna, problemy relacji my–obcy (inni) stały się przedmiotem subtelnych rozważań badawczych. Obcy – to pojęcie, które w tych rozważaniach nieuchronnie pojawia się w opozycji do pojęcia my (swoi). Obcy to inni, w istocie: ci, którzy prezentują (są nosicielami) inne, odmienne od naszych cechy kulturowe. Obcość to zatem po prostu odmienność kulturowa[2].

Ale obcość to coś więcej, budzi niepokój, poczucie zagrożenia, skłania do reakcji obronnych, a nawet agresywnych (wszak najlepszą obroną jest atak!). Nie skłania natomiast, tak przynajmniej sądzę, do prób zrozumienia owego obcego, do poznania jego kultury, co może być, choć oczywiście nie musi, krokiem ku jej zrozumieniu.

---

[1] Zob. np. W.J. Burszta, *Antropologia kultury. Tematy, teorie, interpretacje*, Poznań 1998, szczególnie rozdz. *Spotkanie z Innością – u korzeni antropologii*.

[2] Zob. J. Mikułowski-Pomorski, *Jak narody porozumiewają się ze sobą w komunikacji międzykulturowej i komunikowaniu medialnym*, Kraków 2006, zwłaszcza s. 361–368.

Inność, przeciwnie, to pojęcie, które zdaje się sugerować ciekawość, jest zachętą do poznania, do prób zrozumienia kultury obcych, a nawet – przynajmniej potencjalnie – zakłada możliwość akceptacji kulturowej odmienności, czy nawet przyjmowania obcych elementów kultury. Poznanie odmiennej kultury nie jest równoznaczne z jej akceptacją, ale może być istotnym krokiem w tym kierunku. Wiedza o obcej kulturze daje szansę na międzykulturowe porozumienie, tak przynajmniej twierdzą badacze i o tym przekonują liczne przykłady[3].

Nie będę używał określenia Obcy, opisywane przeze mnie zjawiska i procesy domagają się używania terminu Inny. Termin ten ma jednoznacznie wskazywać, iż zbiorowość, o której będzie mowa – Polacy, mieszkańcy Krakowa – są skłonni do kontaktów z innymi kulturami, z ich twórcami i nosicielami, że powoduje nimi ciekawość i zainteresowanie, będące fundamentem kulturowego dialogu.

Tematem moich rozważań będzie dialog kulturowy, będę pisał o tym, jak w przestrzeniach współczesnego miasta średniej wielkości, o dużych tradycjach kulturowych – Krakowa – jego mieszkańcy wchodzą w kulturowy dialog z kulturą Innych (bliższych, dalszych i całkiem egzotycznych) zbiorowości ludzkich. Mowa będzie o tym, jak i przez kogo kultury te są prezentowane, w jaki sposób chcą na siebie zwrócić uwagę, czym przyciągają, fascynują, a nawet w niektórych przypadkach uwodzą!

Miasto od zarania swoich dziejów było przestrzenią kulturowych kontaktów, było też wielokulturowe (kulturowo pluralistyczne) w najszerszym tego słowa znaczeniu[4]. Było wielokulturowe zarówno ze względu na różnorodność kulturową mieszkańców, jak i na fakt, że w przestrzeniach miasta, zwłaszcza współczesnego, można nie tylko za pośrednictwem rozmaitych środków medialnego przekazu, ale i naocznie, w kontakcie osobistym (etnolog używa określenia: *face to face*, twarzą w twarz), zetknąć się z różnymi kulturami prezentowanymi przez ich twórców i użytkowników, a czasem przez znawców i miłośników. Istnieją instytucje, stowarzyszenia, grupy zainteresowań, które za cel działań przyjęły propagowanie (promocję) kultur Innych, budzenie zainteresowania nimi. Stosują one różne środki działania, różne metody popularyzacji, a czasem nawet perswazji, o czym będzie mowa. Miasto współczesne w ten sposób staje się istnym supermarketem kultury, każdy może do woli wybierać z wielkiej liczby propozycji zgodnie ze swoimi preferencjami[5].

Moje rozważania zawężam do takich promocji kultur Innych, które mają mniejszy lub większy wymiar ludyczny, są „opakowane” w zabawę i rozrywkę lub przynajmniej zabawa i rozrywka odgrywają w ich prezentacji znaczącą rolę[6]. Dziś bardziej

---

[3] Zob. T. Paleczny, *Interpersonalne stosunki międzykulturowe*, Kraków 2007, rozdz. V. *Sposoby definiowania innych*.

[4] Zob. R. Kantor, *Wielokulturowość miasta. Prolegomena do badań nad zróżnicowaniem kulturowym społeczności miejskiej Krakowa*, [w:] *Miasto – przestrzeń kontaktu kulturowego i społecznego*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne”, red. I. Bukowska-Floreńska, t. 8, Katowice 2004.

[5] Zob. G. Mathews, *Supermarket kultury*, tłum. E. Klekot, Warszawa 2005.

[6] W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995, tak definiuje zabawę: „[...] w globalnym znaczeniu zabawa jest działaniem wykonywanym dla własnej przyjemności, a opartym na udziale wyobraźni tworzącej nową rzeczywistość. Choć działaniem tym rządzą reguły, których treść pochodzi głównie z życia społecznego, ma ono charakter twórczy i prowadzi do samodzielnego poznawania i przekształcania rzeczywistości” (s. 44). W najnowszych definicjach/charakterystykach zabawy podkreśla się jej hedonizm

niż kiedykolwiek wcześniej ludzie szukają zabawy i rozrywki, dążą do zaspokojenia potrzeby przyjemności, radości, uciechy[7]. Hedonizm jest cechą dzisiejszych czasów, jest też celem wielu imprez, o których będzie mowa, choć – oczywiście – ich funkcje poznawcze, informacyjne, nawet wychowawcze nie mogą zostać niezauważone. Bawimy się, ale i czegoś się możemy w trakcie zabawy nauczyć. Możemy poznać – pytania na ile i czy jest to wiedza prawdziwa, narzucają się natychmiast – kulturę Innych, możemy ją zrozumieć (może raczej, mamy taką szansę), a nawet zaczerpnąć z niej to i owo. Przynajmniej takie idee przyświecają inicjatorom działań, o których będzie tu mowa.

Dla etnologa szczególnie ciekawe jest ustalenie, jakie elementy i treści kultury Innych są przedmiotem przekazu, w jaki sposób ów przekaz przebiega oraz – co zresztą jest najtrudniejsze do ustalenia i wymaga bardzo szerokich badań – jaki jest jego wynik. Co w istocie dociera do odbiorcy, w jakim stopniu ewentualna wiedza, którą nabywa, wpływa na jego poglądy i zachowania.

Nie stawiam sobie celów nie do osiągnięcia. Próbuję pokazać pewne zjawisko, dać jego wstępny opis; posługuję się przy tym obserwacjami własnymi oraz materiałami prasowymi, które będą tu obficie cytowane. Przedstawię też skromne próby wyjaśnienia i uogólnienia prezentowanych treści. W sumie rozdział ten jest między innymi zachętą do dalszych obserwacji i bardziej pogłębionych studiów nad kwestiami kontaktu i dialogu międzykulturowego na obszarze współczesnego miasta. Jest też, do pewnego stopnia, dokumentacją interesującego mnie zjawiska w ostatnim dziesięcioleciu, co usprawiedliwia mnogość przytoczonych prasowych relacji.

Zacznijmy od ukazania ludycznych sposobów prezentowania dwóch kultur bynajmniej nam nieobcych, choć nie znaczy to, że znanych. Pierwsza z nich to kultura Romów, do niedawna zwanych „politycznie niepoprawnie” Cyganami. Romowie mieszkają wśród nas, nie cieszą się większym zainteresowaniem społeczeństwa, chyba że dochodzi do konfliktów jakże chętnie nagłaśnianych przez środki masowego przekazu.

Tabor na Błoniach i bielenie patelni

> Na Błoniach – czytamy w „Gazecie Krakowskiej” z 2004 roku – zbudowano tabor cygański z wozów sprowadzonych z Muzeum Okręgowego w Tarnowie. Były wystawy fotograficzne oraz cygańskiej sztuki użytkowej. W namiotach „Turkach” prezentowane były stroje estradowe i codzienne, a w Wiosce Wróżek dowiedzieć się można było wszystkiego na temat swojej przyszłości. Smakosze mogli spróbować ostrych potraw cygańskich i wę-

---

oraz nie czyni się różnicy między nią a rozrywką. Zob. np. J.E. Combs, *Świat zabaw. Narodziny nowego wieku ludycznego*, tłum. O. Kaczmarek, Warszawa 2011. Autor pisze, nie definiując zabawy, „zabawy doświadczamy jako działania”; „zabawa to aktywna rozrywka, która przybiera najczystszą postać wtedy, gdy oddając się jej, możemy zapomnieć o troskach i problemach codzienności”; „zabawa jest aktywnością społeczną”; „możliwością egzystencjalną” itp.

[7] Zob. R. Kantor, *Społeczeństwo konsumpcji zabawy. Przypadek polski*, [w:] *Wąż w raju. Zabawa w społeczeństwie konsumpcyjnym*, red. R. Kantor, T. Paleczny, M. Banaszkiewicz, Kraków 2011.

gierskich, które zapewniała Diabelska Kuchnia. Największym wydarzeniem dni romskich były jednak wieczorne koncerty gwiazd Edyty Górniak i Pawła Kukiza. W części artystycznej występowały krakowskie i małopolskie zespoły cygańskie: Kałe Jakha, La Roma, Magic Steps, Perełka. Dla uczestników imprezy postawiono specjalny autobus kursujący między Nowa Hutą a Błoniami[8].

Dla niewtajemniczonych, w Nowej Hucie zamieszkuje większość krakowskich Romów.

W innej notatce prasowej znajdziemy dodatkowe informacje:

[...] kawał stalowej blachy wprost na trawę rzucił Józef Orłowski, prezes Stowarzyszenia Romów w Andrychowie. Ta blacha chronić ma środowisko, a konkretnie ziemię przed zanieczyszczeniami związanymi z bieleniem patelni. Orłowski to najsłynniejszy w okolicy fachowiec od bielenia kotłów i patelni. Wiedzę zdobył od swojego ojca, sam przekazał swoim dzieciom. Jego patelnie są wieczne. Romowie sami na wielkiej sztancy robią stalowe patelnie. Najlepsze są te pobielane. Bielenie to nakładanie na surową blachę srebra i cyny. O proporcjach i sposobach Orłowski nie powie nikomu spoza rodziny. Na Błoniach działają wesołe miasteczka, ogródki gastronomiczne i piwne[9].

Impreza zwana Festiwalem Kultury Romskiej albo Dniami Kultury Romskiej, trwająca trzy dni, finansowana jest z budżetu miasta.

„Kraków bierze udział w rządowym programie na rzecz społeczności romskiej w Polsce. Na ten cel przeznaczono 100 mln zł, program ma trwać 10 lat" – wyjaśnia Beata Byszewska z Wydziału Spraw Społecznych [Urzędu Miasta – R.K.]. – „Celem programu jest m.in. doprowadzenie do pełnego udziału Romów w życiu społecznym i zniwelowanie różnic społecznych. Obejmuje także pomoc socjalną, m.in. świetlice dla dzieci romskich, wyprawki szkolne oraz propaguje rozwój kultury romskiej. Niestety, miasto na tę część kulturalną nie otrzymało środków, ale mimo tego prezydent zdecydował, że festiwal na Błoniach się odbędzie[10].

Wątpić należy, by podobne imprezy, same w sobie ciekawe i atrakcyjne, przyciągające wielu uczestników, miały jakiś wpływ na „doprowadzenie do pełnego udziału Romów w życiu społecznym" lub prowadziły do „niwelowania różnic społecznych". Zapewne przy ich okazji wielu krakowian dowiedziało się nieco na temat kultury Romów, choć w dużym stopniu wiedza ta miała dość stereotypowy charakter. Romowie, o czym wiadomo nie od dziś, to muzycy i tancerze, zajmują się też wyrabianiem patelni i wróżeniem, i choć od dawna wiodą w Polsce osiadły tryb życia, to przecież tęsknią za otwartą przestrzenią i wolnością. Ale, co oczywiste, „dziś prawdziwych Cyganów już nie ma". Jeden z reporterów zauważył: „Niektórych [uczestników imprezy na Błoniach – R.K.] pociąga romantyzm cygańskich wędrówek, podobają im się kolorowe stroje, egzotyczna uroda i uważają, że jedzenie najlepiej wychodzi na cygańskiej patelni"[11]. Dni Kultury Romskiej w dużym stopniu utrwaliły stereotyp

---

[8] *Górniak, tabor i karty tarota*, GK, z dn. 30.08.2004 .

[9] *Bielenie patelni*, GK z dn. 28–29.08.2004.

[10] *Potrzebują przestrzeni*, DP z dn. 27.08.2004.

[11] *Czy mamy inne łzy*, DP z dn. 30.08.2004.

kultury romskiej, choć nie można zaprzeczyć, że uważniejszym obserwatorom dostarczyły też wykraczający poza niego obraz. Prasa pisała o historii Romów, o dzisiejszych przejawach nietolerancji wobec nich, o ich martyrologii w czasach niemieckiej okupacji, o roli Cyganów w budowie Nowej Huty itp. Czy jednak te informacje dotarły do czytelników? Trudno o tym wyrokować.

Być może większe znaczenie dla poznania współczesnej kultury romskiej mają imprezy w rodzaju jasełek, zorganizowanych przez Nowohuckie Centrum Kultury.

> Monika Dunka do NCK [skrót mój – R.K.] przyszła z synami Ricardo i Sandro oraz z córką Melisą. To dla nich niecodzienne spotkanie. Tak jak i dla stu romskich dzieci, które wraz z rodzicami, dziadkami i kuzynami przyszły wczoraj do NCK na romskie jasełka. Urząd Miasta przygotował dla wszystkich uczestników świąteczne paczki. [...] Jasełka zorganizowane zostały po raz trzeci. Tym razem była to opowieść o starym romskim lichwiarzu, który szantażując długami, usiłował ożenić się z młodą dziewczyną Kasandrą zakochaną w Denisie chłopcu z taboru. Jak zwykle wszystko zakończyło się szczęśliwie, chciwy lichwiarz został ukarany, a młodzi żyli długo i szczęśliwie. Zenon Bołdyzer, prezes Towarzystwa Krzewienia Kultury i Tradycji Romskiej jest bardzo zadowolony z tego, że miasto urządza takie imprezy, które integrują środowisko romskie. W Krakowie jest około 2,5 tysiąca Romów, święta obchodzą w polskiej tradycji[12].

Wydaje mi się, że integrowanie środowiska romskiego jest jednak mniej istotne (są z pewnością wystarczająco zintegrowani) niż integrowanie Romów i nie-Romów, mieszkańców Nowej Huty, przynajmniej w świetle ambicji asymilacyjnych, wyraźnie brzmiących w przytoczonej poprzednio wypowiedzi przedstawicielki Urzędu Miasta.

Kule, walczyki, bukiniści oraz młode wino – Francja w Krakowie

Można zaryzykować opinię, że kultura francuska jest przez krakowian lepiej znana niż romska, nawet jeśli mamy na myśli tylko jej widzenie stereotypowe[13]. Do potwierdzania tej wiedzy przyczyniają się doroczne imprezy organizowane przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej z pomocą Konsulatu Generalnego Francji w Krakowie. „Chcemy pokazać krakowianom, że w święto narodowe można się bawić bez pochodów i wielkiej pompy, tylko tak, jak to robią Francuzi: na hucznej miejskiej zabawie" – mówi Leszek Konarski, prezes Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Krakowie. – „Dlatego po raz jedenasty zapraszamy w lipcu na spotkanie z Francją i jej kulturą"[14].

---

[12] M. Satała, *Romskie jasełka z morałem*, GK z dn. 19.12.2007.

[13] K. Kwaśniewski, hasło stereotyp, [w:] *Słownik etnologiczny. Terminy ogólne*, red. Z. Staszczak, Warszawa–Poznań 1987, s. 327 pisze: „Stereotyp etniczny [zawiera się w nim również kwestia stereotypowego widzenia kultury grupy etnicznej – R.K.] oznacza schematyczny, standaryzowany obraz danej grupy etnicznej lub wyobrażenie cech jej członków związane z ich przynależnością do danej grupy, zwykle zabarwione emocjonalnie oraz wartościująco i dlatego odznaczające się małą elastycznością".

[14] *Francja na Plantach*, GK z dn. 12.07.2004.

Opis obchodów w Krakowie święta narodowego Francji, 215. rocznicy zdobycia Bastylii, podaję za jednym z reporterów „Dziennika Polskiego", pomijając fragmenty oficjalne. „Stukot uderzających o siebie metalowych kul, skoczne walczyki, trójkolorowe flagi – Planty pomiędzy ulicami Szewską a Szczepańską zamieniły się wczoraj w kawałek Francji. Brakowało może tylko charakterystycznych dla francuskich parków platanów i języka francuskiego z chropowatym »r«"[15].

Platanów w Krakowie niewiele, to prawda, ale inscenizacja owej „Francji na Plantach" była celna. „Od samego rana alejki Plant zapełnili bukiniści, których również nie brakuje na paryskich bulwarach nad Sekwaną. Można było znaleźć dzieła bardzo różne – od poważnej literatury pięknej i filozoficznych traktatów do wyświechtanych romansideł, nieaktualnych już przewodników turystycznych i książek poświęconych sposobom pielęgnacji roślin"[16].

Święto było okazją do zabawy dziecięcej.

> W krakowskie obchody Święta Francji wpisały się też dzieci. Cały ranek pracowicie wyklejały z bibuły „Śniadanie na trawie" według Claude'a Moneta. Nie szkodzi, że z niektórych „dzieł" wystawały kłębki zwiniętego bibułkowego spaghetti czy klasyczny kotlet schabowy – tak widocznie dzieci widzą francuski piknik. Uwagę zwracała praca, na której naklejona była papierowa butelka sugestywnie podpisana „Martini". „Śniadanie na trawie" to kolejna już akcja z cyklu „Teraz Dzieci", który rozpoczął się w pierwszych dniach lipca; odbywa się w Krakowie od 8 lat – w czasie wakacji najmłodsi zbierają się w każdą niedzielę, na Plantach pod Bunkrem Sztuki, aby wspólnie malować, rzeźbić i rysować na różne tematy[17].

Główna atrakcja była jednak inna.

> Dopełnieniem francuskiego klimatu były wczoraj rozrywki pentanque, czyli gry w kule. To bardzo popularna francuska rozrywka – najczęściej grywa się w nią na żwirowych alejkach w parkach. – „Gra jest bardzo prosta, nie wymaga specjalnych umiejętności ani wyrafinowanego sprzętu" – tłumaczy Piotr Krzywka z Wrocławia, zajmujący się pentanque profesjonalnie. – „Wystarczy żwirowa alejka, metalowe kule, zwykle o wadze 680–800 gramów i »świnka«, czyli mała drewniana kulka. W Polsce gra ta staje się coraz popularniejsza. Zarejestrowano już Polską Federację Pentanque"[18].

O „innych" kulturowo sportach i grach, które zdobywają, raczej powoli, popularność w naszym kraju, będzie jeszcze mowa.

Atrakcje towarzyszące obchodom narodowego święta Francji w Krakowie zmieniają się z roku na rok. Na przykład w roku 2007 królowało kolarstwo.

> Jednym z elementów krakowskiego święta Francji była koronacja króla kolarskiego. Został nim Jan Kudra, kolarz szosowy i torowy [...]. Był trzykrotnym mistrzem Polski w szosowym wyścigu indywidualnym [...]. Torowym mistrzem Polski w wyścigu długodystansowym na 50 km [...]. Uczestniczył w Mistrzostwach Świata, a na olimpiadzie

---

[15] *Kule, walczyki, bukiniści*, DP z dn. 12.07.2004.

[16] *Ibidem*.

[17] *Ibidem*.

[18] *Ibidem*

> w roku 1964 zajął 13. miejsce w wyścigu indywidualnym. [...] Francja to kraj, w którym kolarstwo jest sportem narodowym, a wyścig Tour de France jest najbardziej znaną imprezą kolarską na świecie. Dlatego właśnie święto Francji stało się okazją do corocznego spotkania dawnych mistrzów kolarskich pod Wawelem i do założenia korony jednemu z nich. W ubiegłym roku tytuł przyznano Stanisławowi Gaździe[19].

Oczywiście, nie brakowało też akcentów *stricte* francuskich, „odsłonięto miniaturową wieżę Eiffela, odbyły się występy artystów, rozmowy o sztuce, zdrowiu i kuchni". Jednym słowem, Francja w Krakowie... ale gdzie francuskie wino?

Jest i wino, jeden ze znaków francuskiej kultury.

> Czwartek był dniem szczególnym. W trzeci czwartek listopada wszędzie na świecie rozpoczyna się oficjalna sprzedaż wina produkowanego w Beaujolais. Wino z Beaujolais idealnie nadaje się na niezobowiązujące imprezy. – „Jest lekkie, radosne i wprawia człowieka we wspaniały nastrój" – zapewnia Artur Dziurman, właściciel CKiSON Moliere. „W naszym lokalu tradycją stało się świętowanie pierwszego dnia sprzedaży. Jednak należy uważać, by nie przesadzić z nadmiernym spożyciem tego lekkiego trunku. Potrafi niepostrzeżenie wejść do głowy. Kaca leczy się przez kilka dni. – Wiemy to z doświadczenia własnego i cudzego, czyli bywalców premier wina"[20].

Krakowskie „świętowanie" Beaujolais Nouveau w trzeci czwartek listopada to przykład wprowadzenia, mniej więcej od początków nowego wieku, nieznanego u nas wcześniej zwyczaju. Moim zdaniem, wielki udział ma w tym prasa, propagująca gorąco spotykanie się krakowian w tym dniu w lokalach przy butelce dość mizernego i bardzo drogiego młodego wina. Czy zwyczaj ten, lansowany jako „światowy", mający zdecydowanie kontekst komercyjny, utrzyma się w Polsce i w naszym mieście, trudno powiedzieć. Dziś nic nie wskazuje na jego rozszerzanie się, przeciwnie, ogranicza się do stosunkowo wąskiego grona młodzieży i przedstawicieli snobistycznie nastawionej klasy średniej.

Festiwal Kultury Romskiej to impreza „oficjalna", jej zadaniem jest „walka z nietolerancją" (niezależnie od tego, jak to bywa określane w dokumentach i relacjach prasowych). Trudno powiedzieć, bez pogłębionych badań, czy rezultat podobnych imprez przekracza poziom zadowolenia uczestników koncentrujących się na „piwnych ogródkach" i podziwianiu tańca cygańskich artystek, czy w istocie budzą się jakieś głębsze refleksje oczekiwane przez organizatorów. Głębszych refleksji nie oczekują chyba organizatorzy „narodowego święta Francji" w Krakowie, tu liczy się uczestnictwo i zabawa, szczerze mówiąc, dość sztampowa.

Zdarza się jednak, że podobne imprezy zawierają wielki ładunek perswazji, co znaczy po prostu, że propaganda dominuje nad innymi funkcjami. Czy rzeczywiście można uprawiać propagandę „kulturową" podczas imprez tego rodzaju? Można, oczywiście, ale czy ze spodziewanym skutkiem?

---

[19] *Francuskie świętowanie*, GK z dn. 16.07.2007.

[20] *Zdrada młodego wina*, GK z dn. 21.11.2003.

Polskie muzułmanki – życie w chuście

W Krakowie, gdzie – jak się dowiadujemy – nie ma meczetu, w którym mogliby się modlić muzułmanie, gdzie jest jedynie sala modlitw, znajdująca się w miasteczku studenckim Politechniki Krakowskiej, w roku 2006 odbyły się Dni Kultury Islamu. W moim przekonaniu, owe dni, propagowane przez enigmatyczny Krakowski Klub Dialogu, to zmasowana, choć raczej nieudana propaganda islamu, nieunikająca jawnych przekłamań, niestety przyjmowanych bezkrytycznie przez krakowską prasę.

> Czym jest dla nich dżihad, czemu chodzą w chustkach i czy byłyby zazdrosne o kolejne żony swoich mężów – opowiadały Polki, które przyjęły islam – czytamy w sprawozdaniu z imprezy zamieszczonym w „Dzienniku Polskim. – „To najbardziej rewolucyjna religia. Już 1400 lat temu dała kobietom prawa majątkowe, podczas gdy w Anglii jeszcze 400 lat temu panie nie miały żadnych praw" – przekonywała Safija, która sześć lat temu nawróciła się na islam i przyjęła wschodnie imię. [...] Polskie muzułmanki opowiadały o swoim codziennym życiu: modlitwach pięć razy dziennie, zakazie jedzenia wieprzowiny i picia alkoholu. – „Nie kupuję np. galaretek, bo w Polsce robi się je wyłącznie z żelatyną wieprzową. Moje koleżanki z pracy wiedzą, jakiego jestem wyznania, i nigdy nie częstują mnie np. tortem z alkoholem" – mówiła Safija. Kobiety tłumaczyły też, czemu ukrywają włosy pod chustkami. – „Nikt nam nie każe nosić chust. Po prostu bez nich czujemy się, jakbyśmy nie miały na sobie ubrania" – mówi Ania, doktorantka z Uniwersytetu Warszawskiego, muzułmanka od ośmiu miesięcy. – „Pierwsze, co zrobiłam po przejściu na islam, to wskoczyłam w chustkę" – śmiała się[21].

Sielanka. Polskie muzułmanki wyjaśniały, co oczywiście uznać należy za interesujący wkład w budowanie fundamentów dialogu kulturowego, czym jest naprawdę dżihad. „To słowo należy tłumaczyć jako »wysiłek«, przede wszystkim duchowy" – mówiła Aisza. „Moim prywatnym dżihadem jest bycie posłuszną mężowi" – zdradziła Safija[22].

„Czy czują się szczęśliwe jako kobiety? – pyta dziennikarz. – „Islam pomógł mi stać się bardziej subtelną" – twierdzi Ania [polska muzułmanka – R.K.]. „To najlepszy system religijny dla kobiet" – twierdzi Safija. „W Koranie jest tylko jeden fragment, który mówi o tym, że mężczyzna może upomnieć swoją żonę. Setki innych nakazuje mu ją kochać, szanować i być dla niej czułym"[23].

Przytaczam te cytaty nie po to, aby szydzić z głupoty (i braku dociekliwości!) dziennikarzy, nie da się zaprzeczyć, iż szokującej, ani z naiwności owych „polskich muzułmanek" (w Polsce jest ponoć 20 tys. osób, które przeszły na islam, głównie kobiet). Chodzi mi raczej o pokazanie, że propagowanie obcych kultur może być po prostu ich propagandą, sposobem zaciemnienia negatywnych i źle ocenianych jej cech. Polacy, cokolwiek by powiedzieć o ich wiedzy o świecie i obcych kulturach, z pewnością nie są podatni, poza rzecz jasna wyjątkami, na jawnie perswazyjny, kłamliwy przekaz kulturowy. Nie należy zatem wróżyć powodzenia podobnym

[21] *Życie w chustce*, DP z dn. 30.01.2006.

[22] *Ibidem*.

[23] *Polskie muzułmanki*, GK z dn. 30.01.2006.

działaniom, jak powyżej opisywane. Nawiasem mówiąc, owe dni odbywały się na Uniwersytecie Jagiellońskim!

Przy okazji warto dodać, że owe niezwykle pouczające, jako popis dość bezczelnej propagandy, Dni Kultury Islamu miały również akcent ludyczny: „[...] w ciągu trzech dni można było nauczyć się podstaw kaligrafii arabskiej, posłuchać perskiej poezji, obejrzeć taniec brzucha i podyskutować”[24].

Przyznać trzeba, że na ogół prezentacja kultur Innych dokonywana jest w sposób o wiele subtelniejszy, pomija się aktualne problemy społeczne drążące owe kultury, tuszuje ich – nierzadką – brutalność w polityce wewnętrznej czy agresywność wobec obcych, kierując światło na sprawy niekonfliktowe, uniwersalne, nawet poniekąd ponadczasowe. Takimi są zwyczaje, obrzędy, wiele mówiące o zbiorowości ludzkiej, ale przecież niewyczerpujące problematyki kulturowej. Mówią one raczej o historii danej kultury, nie o jej dniu dzisiejszym. Może właśnie o to chodzi.

Chiński Nowy Rok, Japoński Dzień Dziecka i Indyjskie Święto Wiosny

O Chińczykach krakowianie najczęściej myślą jako o producentach niskiej jakości, ale tanich towarów. Upewnia ich w tym mniemaniu prasa, która na przykład corocznie utyskuje na asortyment towarów sprzedawanych na arcykrakowskim Emausie: „Królowały plastikowe i pluszowe zabawki, na których bez trudu można było znaleźć metkę »Made in China«. Najwięcej chyba było plastikowych militariów. Od malowanych na srebrno mieczy po skomplikowane karabiny maszynowe z »laserowymi« celownikami. Nie brakło również broni bardziej wymyślnej – plastikowych noży o dziwacznym kształcie i ząbkowaniu czy – również plastikowych – kastetów”[25].

Propagowaniem chińskiej kultury w Krakowie, niejako z urzędu, zajmuje się od lat Instytut Konfucjusza, afiliowany przy Uniwersytecie Jagiellońskim.

> Liczne wystawy, koncerty, konferencje naukowe, lektoraty z języka chińskiego – to bilans jedynego w Polsce Instytutu Konfucjusza propagującego kulturę Chin. – „Za największy sukces uważam uruchomienie grup lektorskich oraz entuzjazm, z jakim zostaliśmy przyjęci przez studentów, a także osoby z zewnątrz” – powiedział Bogdan Zemanek, lektor Instytutu Studiów Regionalnych Uniwersytetu Jagiellońskiego. W ciągu rocznej działalności placówka zgromadziła na swoim koncie liczne imprezy o charakterze kulturalnym, a także konferencje naukowe poświęcone tematyce Dalekiego Wschodu [...]. – „Zorganizowaliśmy wiele imprez przybliżających chińską tradycję, m.in. Chiński Nowy Rok [...]”. Krakowski Instytut Konfucjusza zrzesza ponad 300 osób skupionych w siedmiu grupach korzystających z lektoratów nauki języka chińskiego[26].

Przy całym szacunku dla tej instytucji powstałej w 2006 roku, trzeba jasno powiedzieć, że promowanie chińskiej kultury w Krakowie wyraźnie zaznaczyło się

[24] *Życie w chustce...*

[25] *Chiński odpust*, DP z dn. 18.04.2006. Gwoli prawdy na Emausie można było znaleźć także „rzeźby zwierząt z Indonezji” (DP z dn. 6.04.2010).

[26] *Promowanie chińskiej kultury*, DP z dn. 6.12.2007.

już wcześniej, w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. O Chinach i kulturze chińskiej najgłośniej jest w styczniu, w okresie Chińskiego Nowego Roku. Poniżej pokażę obchody tego święta w Krakowie, wybiórczo: w latach 2004, 2006 i 2010.

> W szczelnie wypełnionej sali Casinos Poland w hotelu Novotel odbyły się w niedzielę obchody chińskiego Nowego Roku. Imprezie zorganizowanej przez Centrum Choy Lee Fut Kung-Fu, mistrza Grzegorza Ciembroniewicza, polską organizację Kung-Fu i AKIE – Polsko-Chińskie centrum Współpracy Gospodarczej, patronowała honorowo Ambasada Chińskiej Republiki Ludowej w Polsce. [...] Nowy Rok jest najważniejszym i najhuczniej obchodzonym świętem we współczesnych Chinach. Tradycja jego obchodów sięga co najmniej 5 tysięcy lat. Dzień rozpoczęcia roku jest zarazem pierwszym dniem roku księżycowego i pierwszym dniem wiosny. Jest to przede wszystkim święto rodzinne. Rodzinnie było też w Casinos Poland. Rodzice z dumą obserwowali pokazy dzieci i młodzieży, prezentującej różne, często zapierające dech w piersiach, ćwiczenia z bronią (szablą, włócznią, mieczem, halabardą, kijem, wachlarzem czy nożami), inscenizowane walki, techniki samoobrony. [...] Nie obyło się też bez najbardziej charakterystycznego chińskiego rytuału noworocznego, jakim jest taniec lwa, symbolizujący zabawę, szczęście i ochronę przed złymi siłami. W Casinos Poland zatańczyły nawet dwa lwy. [...] Podczas obchodów Nowego Roku odbyła się recytacja wierszy Tadeusza Różewicza i jednego z chińskich poetów...[27].

W roku 2006 Ogólnopolskie Obchody Chińskiego Nowego Roku, taką nazwę ma ta impreza od roku 1996, odbyły się w Audytorium Maximum UJ. Jak zwykle patronowały im najwyższe urzędy: marszałkowski i wojewódzki oraz Chińska Ambasada, pomniejszych instytucji nie wymieniając.

> Atrakcji nie zabraknie – czytamy w prasowej notatce anonsującej uroczystość. – W akcji będzie można zobaczyć najlepszych zawodników kung/washu, mistrzów świata, Europy i Polski, którzy zaprezentują widzom zapierający dech w piersiach pokaz swoich umiejętności. Jak zwykle odbędzie się Taniec Lwa – unikalny i pełen kolorytu, nieodzowny element wszelkich uroczystości w Chinach, mający zapewnić uczestnikom obchodów zdrowie, pomyślność i sukcesy w nowym roku. [...] Każdy uczestnik będzie mógł zobaczyć prawdziwą, tradycyjną ceremonię parzenia herbaty, posłuchać wykładów przygotowanych przez specjalistów Akademii Feng Shui z Wrocławia o feng shiu, numerologii, I cing, chińskich talizmanach i amuletach, przekonać się, co przyniesie 2006 rok – rok Ognistego Psa, a także obcować z pięknem chińskiej kaligrafii. Dla osób, które chciałyby dowiedzieć się więcej o poszczególnych dziedzinach, proponujemy osobne warsztaty prowadzone przez fachowców[28].

To nie wszystko: „Organizatorzy nie zapomnieli też o najmłodszych entuzjastach sztuk walki, którzy jak co roku powinni licznie przybyć na imprezę, przygotowując dla nich specjalne konkursy, wystawy ich prac plastycznych oraz zabawy z nagrodami. Nagrody nie ominą także dorosłych widzów, każdy bowiem bilet będzie brał udział w losowaniu cennych nagród. Dla wszystkich przewidziano drobny poczęstunek i lampkę szampana"[29].

---

[27] *Taniec lwa, pokazy kung-fu*, DP z dn. 17.02.2004.

[28] *Atrakcji co niemiara*, DP z dn. 30.01.2006.

[29] *Ibidem*.

Impreza, jak widać, była płatna, odbywała się – bez wątpienia ze względu na porę roku – w pomieszczeniach zamkniętych i z tego powodu liczba uczestników była ograniczona. Nie da się ukryć, że nie zainteresowała krakowian w stopniu spodziewanym przez organizatorów. W roku 2010 Chiński Nowy Rok odbył się w Nowohuckim Centrum Kultury w raczej skromnym wymiarze, niemal półprywatnym. Wyraźnie można to odczytać z prasowej informacji o organizowanej imprezie.

> „W sobotę, w Nowohuckim Centrum Kultury, odbędzie się inauguracja Chińskiego Nowego Roku 2010. Każdy będzie mógł znaleźć tam coś dla siebie. Mam nadzieję, że dzień ten stanie się inspiracją do wyjazdu w tamte strony dla wielu ludzi” – mówi Jan Mela, 21-letni podróżnik, który poprowadzi imprezę. [...] W planie imprezy sylwestrowej przewidziane są: pokazy kung-fu i tai chi, prezentacja kuchni chińskiej, pokaz zdjęć i filmów z podróży po Kraju Środka, relaksacyjny koncert z gongami w tle, a nawet dyskoteka z karaoke. Z prelekcji „Przez Chiny z plecakiem” można będzie dowiedzieć się, jak tanio pojechać i podróżować po Chinach, natomiast podczas prelekcji dr. Marka Kalmusa, tybetologa i podróżnika, wykładowcy na Studiach Dalekiego Wschodu UJ, zebrani będą mogli zaznajomić się z tajnikami dalekowschodniej medycyny. Chiński kaligraf, Zhang Hongguang, podczas warsztatów kaligrafii pokaże piękno chińskich znaków, a Mao Rui, polonistka z Chin, i Natalia Brede, lektorka chińskiego z Polski, przekonywać będą, że język chiński wcale nie jest trudny. Ponadto, dzięki obecności ściągniętych na tę okazję stylistów i wizażystów, każdy z przybyłych będzie mógł przemienić się w zmysłową gejszę lub mandżurskiego wojownika. Imprezę zwieńczy pokaz sztucznych ogni i parada smoków[30].

Jak widać, zwiększyła się liczba atrakcji, a „taniec lwów”, jak najsłuszniej, zastąpiony został paradą smoków.

Ale największa zmiana polega na prywatyzacji imprezy, która już ma inny charakter, nie jest promowaną przez wojewodę i marszałka oraz chińską ambasadę drętwą nieco i oficjalną „akademią” noworoczną, a przez to mało interesującą krakowian.

> Inicjatorem tego przedsięwzięcia – czytamy o sylwestrze w NCK – jest krakowski przedsiębiorca, zafascynowany kulturą Chin, Jacek Kisiała. Kiedy jego podróżnicza natura przywiodła go w 2001 roku do kraju środka, od razu wiedział, że jest to miejsce, które chce bliżej poznać. Biznesowy partner, Robert Jurczak, umożliwił mu częste wyjazdy. Jacek Kisiała zaczął intensywnie zwiedzać, poznawać miejscowych ludzi, zgłębiać historię, kulturę i gospodarkę tego kraju, zaczął też uczyć się języka chińskiego, z którego państwowy egzamin będzie zdawać w tym roku. Na dzisiejszej imprezie będzie m.in. prezentować swoje zdjęcia oraz filmy z chińskich wypraw. – „Mam świra na punkcie Chin” – przyznaje Jacek Kisiała[31].

Wydaje mi się, że promowanie kultur Innych, jeśli nie jest istotną formą działania oficjalnych instytucji, dysponujących odpowiednimi funduszami, powinno się opierać na inicjatywach „świrów” w rodzaju Jacka Kisiały, inaczej narażone jest na efemeryzm, zwłaszcza gdy zainteresowanie tego rodzaju imprezami jest raczej umiarkowane.

---

30 *Moc atrakcji podczas chińskiego sylwestra*, DP z dn. 20.02.2010.

31 *Ibidem*.

Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie, jak się wydaje, posiada dostateczne fundusze, aby skutecznie promować japońską kulturę. Z wielu organizowanych przez tę instytucję imprez chciałbym przedstawić tu Japoński Dzień Dziecka, adresowany zresztą przede wszystkim, choć nie wyłącznie, do dzieci, co zrozumiałe.

W Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej po raz 10. obchodzony był wczoraj Japoński Dzień Dziecka, Kodo-mo-no Hi. Dzieci miały okazję wziąć udział m.in. w rozwiązywaniu japońskich krzyżówek, zobaczyć ceremonię parzenia herbaty i wyjść z buzią pomalowaną japońskimi znakami. Impreza rozpoczęła się od układania z gazet hełmu kabuto. Potem mogły wziąć udział w takich konkursach, jak: takeuma, czyli chodzenie na tyczkach bambusowych, układanie z kamyków ogrodu japońskiego, konkurs na komiks. Ci, którzy pokolorowali narysowane na papierze kimona, wachlarze i obi, otrzymali w nagrodę odznakę, na której po japońsku było napisane „mistrz kolorowanki”[32].

Najciekawsze zarówno dla dzieci, jak i dla rodziców były wyjaśnienia dotyczące owego japońskiego dnia dziecka.

W Japonii – czytamy w prasowym sprawozdaniu – z tej okazji rodzice wraz z dziećmi wieszają na długich masztach karpie: tatę – karpia, mamę – karpia oraz karpie symbolizujące dzieci w takiej liczbie, ile jest ich w domu. Według starojapońskiej religii wierzono, że nowonarodzonemu dziecku należy zapewnić opiekę bogów. Przywoływano je więc za pomocą bambusowego patyczka umieszczonego przed domem. Potem patyczek zamienił się w gigantyczne maszty dochodzące nawet do 20 metrów długości. Wieszano na nich kolorowe tkaniny, które potem zaczęły imitować karpie. Te ryby mają w Japonii szczególne znaczenie. Wierzono, że po przepłynięciu pod prąd trudnego odcinka rzeki Huanh He zamieniają się w smoki, czyli silne zwierzęta obdarzone nadzwyczajną dobrocią i wiarą. Karpie, czyli koinobori, zawieszane w dzień dziecka przed japońskimi domami były więc wyrażeniem marzeń rodziców, aby ich dzieci były dobre i śmiałe jak te ryby[33].

W sprawozdaniu z tej imprezy w roku 2008 czytamy dodatkowo:

Kodo-mo-no Hi jest w Japonii świętem narodowym i dniem wolnym od pracy. Zabiegani na co dzień Japończycy cały swój czas poświęcają wtedy dzieciom. Do dziś zachowało się też wiele tradycyjnych rytuałów. – „W tym dniu jemy na przykład tradycyjne japońskie słodycze: ciastka z mąki ryżowej, nadziewane słodką pastą z czerwonej fasoli i owinięte liśćmi bambusa” – zdradziła Emi Morita[34].

Z dotychczas opisywanych imprez, moim zdaniem, Japoński Dzień Dziecka ma najbardziej syntetyczną formę, która w połączeniu z jasną treścią stanowi doskonały i łatwy do przyswojenia zarówno dla dzieci, jak i dorosłych segment kulturowy. Przekonajmy się, czy podobnie jest w przypadku innego japońskiego święta, o nie tak dawnej tradycji jak Japoński Dzień Dziecka, Dnia Szacunku dla Starszych.

[32] *Śmiałe jak karpie*, DP z dn. 4.05.2004.

[33] *Ibidem*.

[34] *Z bogatymi tradycjami*, DP z dn. 5.05.2008.

W Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha już po raz czwarty zorganizowano Dzień Szacunku dla Starszych. Jest to próba zaszczepienia na polskim gruncie tradycji, która w Japonii od czterdziestu lat wpisana jest do kalendarza świąt państwowych. – „W Japonii to bardzo popularne święto. Cztery lata temu obawialiśmy się, jak będzie przyjęte w Polsce, gdzie ludzie niechętnie przyznają się do wieku" – mówi Katarzyna Nowak z Mangghi[35].

Problem, moim zdaniem, nie polega na tym, że Polacy nie przyznają się do wieku, lecz wynika z tzw. kultu młodości, który dominuje w naszej, atlantyckiej cywilizacji. Z niego wynika narastający brak szacunku dla wieku i tego, co z wieku w europejskiej kulturze dotychczas wynikało – autorytetu. Czy zatem jest jakakolwiek szansa na zakotwiczenie japońskiego święta w naszej niesprzyjającej starości kulturze?

Centrum stara się jednak zachęcać starsze osoby do przyjścia, organizując co roku imprezy tematyczne. – „Pokazywaliśmy już ceremonię parzenia herbaty, pielęgnację drzewka bonsai, a w tym roku nasi goście mogli poznać sztukę orgiami" – dodała Nowak. Nie była to jedyna atrakcja tego dnia. Uczestnicy święta obejrzeli również wystawę zdjęć autorstwa ambasadora Japonii w Polsce, Masaaki Ono. Ekspozycja zatytułowana „Nasza Polska" przedstawiła miejsca, które najbardziej urzekły go w naszym kraju. [...] „Mam dziś urodziny. Aż włos mi się jeży na głowie, jak pomyślę, które to już. Takie święto to idealny sposób godzenia się z uciekającym czasem. A jednocześnie świetna zabawa" – powiedziała Halina Maj, jedna z uczestniczek[36].

Japoński Dzień Dziecka, Dzień Szacunku dla Starszych, to imprezy nie tylko pokazujące egzotyczną dla nas kulturę japońską, ale niejako apelujące do naszego postrzegania uniwersaliów kulturowych, do miejsca i roli dziecka w kulturze, do rozumienia roli ludzi starych w przekazie kulturowym, do pojęcia kulturowego autorytetu. Można powiedzieć bez żadnej przesady, że kulturowe różnice – w tym przypadku – ustępują na rzecz kulturowych podobieństw. Powstaje coś w rodzaju fundamentalnej wspólnoty kulturowej, powstaje płaszczyzna kulturowego porozumienia, płaszczyzna sprzyjająca kulturowemu dialogowi. Czy jest jednak realna szansa, że dialog ten w istocie będzie miał miejsce, i – to pytanie również się narzuca – jakie realne formy przyjmie? Niestety, obserwacja nakazuje sceptycyzm, jak dotąd z omawianych imprez i idei, które im przyświecały, nic konkretnego nie wynikło.

Dotychczasowe przykłady prezentacji kultur Innych dają sporo do myślenia. Uczestników omawianych imprez przyciągają w szczególności efekty, nazwijmy je wizualnymi i smakowymi: taniec romski, chińska sztuka walki i... no właśnie, kulinaria. Tak też jest w przypadku Tygodnia Kultury Indyjskiej, który eksponując wiosenne święto Holi, koncentruje się szczególnie na kulinarnej stronie imprezy.

Znają 25 sposobów gotowania ryżu i czarodziejską „garam masala" mieszankę przypraw, na które nie ma stałego przepisu. Są święcie przekonani, że jedzenie jest darem boskim. Hindusi nie wezmą się do gotowania bez wysprzątania miejsca i dokładnego umycia wszystkich produktów. A jak się już wezmą, to z szacunkiem i pokorą. – „Cebulę trzeba pokroić cieniutko i rzucić na gorący olej, dodać kminku. Podsmażyć na brązowo. Po-

[35] *Manggha dla starszych*, GK z dn. 18.09.2006.

[36] *Ibidem*.

dobnie czosnek. Dodać do niego curry, kardamon, kurczaka na samym końcu" – kucharz Surjit Singh zdradzał krakowianom tajniki indyjskiego gotowania. Warsztaty zorganizowano w ramach Tygodnia Kultury Indyjskiej, który świętem kolorów Holi rozpoczął się w niedzielę[37].

Czy święto Holi można sprowadzić do kwestii kulinarnych? Z pewnością nie.

Samosa, *biryani*, *jirra, garam masala* – znaczenie tych tajemniczych wyrazów mieli okazję poznać ci, którzy wzięli udział w wieczorze indyjskim, który odbył się w Teatrze 38 przy Klubie pod Jaszczurami. Spotkanie zorganizowano w ramach obchodów Holi – indyjskiego święta kolorów. Holi oznacza początek wiosny i jest symbolem triumfu dobra nad złem. – „To czas, gdy wszyscy ludzie (należący do różnych kast i warstw społecznych) spotykają się, zapominając o podziałach i poróżnieniach. Wszyscy się wtedy radują, bawią, obdarowują słodyczami, pozdrawiają się wzajemnie i posypują kolorowymi proszkami. To święto przyjaźni, ulubione święto większości Hindusów" – tłumaczył Umesh Nautiyal, prezes Indyjsko-Polskiego Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Kultury. Podczas spotkania nie posypywano się kolorowym proszkiem, ale za to można było posłuchać indyjskiej muzyki i obejrzeć film pt. *Misja w Kaszmirze*. Atrakcją wieczoru był pokaz gotowania dań indyjskich, który poprowadził Surjit Singh. Można było zobaczyć, jak powstają pierożki *samosa* (z ziemniakami, groszkiem i cebulą), kurczak *curry* oraz *biryani* – ryż z mięsem, warzywami i przyprawami, takimi, jak np. curry, kurkuma, kminek indyjski, *jirra*, kardamon, imbir, czili czy *garam masala* (specjalna mieszanka ziołowa). Na koniec odbyła się degustacja potraw[38].

W innej notce prasowej autor cytuje dr. Przemysława Piekarskiego z Zakładu Indianistyki Instytutu Filologii Orientalnej UJ:

„Obchody święta są bardzo radosne, spontaniczne, nie pozbawione jednak zabarwienia erotycznego. Następuje swoiste seksualne rozluźnienie obyczajów, które w Indiach jest, wbrew pozorom, czymś zupełnie niezwykłym" – tłumaczy dr Piekarski. – „W sposobie obchodzenia święta można znaleźć też pewne elementy podobne do polskich zwyczajów żegnania zimy. W północnych Indiach pali się słomianą kukłę, ubraną w kolorowe szmaty, które symbolizują demonicę Putanę, która chciała zabić Krysznę" – dodaje dr Piekarski. W czasie polskich obchodów można było wziąć udział w warsztatach tworzenia rangoli, czyli sztuki rysowania specyficznych ornamentów za pomocą mąki, kredy, wapna i cynobru. W Indiach jest to bardzo popularny sposób ozdabiania ulic, domów, a także miejsc kultu[39].

W trakcie owego Święta Kolorów – Holi, które rozpoczęło w NCK Tydzień Kultury Indyjskiej, uczestnicy „oddali się bez reszty szaleństwu posypywania i malowania się nawzajem"[40]. Trudno doprawdy o bardziej „ludyczne" zachowanie.

Intuicja, a może i wiedza oraz doświadczenie, skłaniają organizatorów imprez interkulturowych do nasycania ich elementami uniwersalnymi, tańcami i oryginalnymi propozycjami kulinarnymi (kończącymi się degustacją), spełniającymi nakaz interaktywności, która – w przekonaniu wielu badaczy – obala zasadnicze przeciwieństwo za-

[37] *Święte gotowanie*, GK z dn. 10.03.2004.
[38] *Holi – święto wiosny*, DP z dn. 10.03.2004.
[39] *Radosnego Holi*, DP z dn. 8.03.2004.
[40] K. Kachel, *Palenie Holiki*, GK z dn. 8.03.2004.

bawy i rozrywki (pierwszej przypisuje się aktywność, druga charakteryzuje się biernością uczestnictwa). Oto dwa przykłady, pierwszy dotyczy kurdyjskiego Nowego Roku.

> Odegraniem hymnów: kurdyjskiego i polskiego rozpoczęły się uroczystości Kurdyjskiego Nowego Roku 2705 zorganizowane przez Ziyada Raoofa, pełnomocnika rządu regionalnego Kurdystanu w Polsce oraz Kurdyjskiego Centrum Informacji i Dokumentacji. Kilkadziesiąt kurdyjskich rodzin zjechało z Polski, Europy, a nawet z Kurdystanu do Tomaszowic, gdzie w przepięknych wnętrzach odbywała się radosna noworoczna uroczystość Newroz[41].

Pomińmy część oficjalną uroczystości, skupmy się na części drugiej, kulinarno-tanecznej:

> W części artystycznej wystąpili m.in. kurdyjscy i polscy studenci oraz doktoranci Uniwersytetu Jagiellońskiego, tańcząc oryginalne kurdyjskie tańce ludowe o bardzo wyrafinowanych krokach. Po części dla ducha gości zaproszono na uroczystą kolację, podczas której serwowano m.in. kebab, rybę na kwaśno, fattusz, dolmę i inne specjały. A potem już kurdyjskim tańcom nie było końca. – „Newroz to święto radości. Jest tu wielu moich przyjaciół, z którymi wkładamy sporo wysiłku we współpracę naukową, kulturalną i gospodarczą między Polską a Kurdystanem" – powiedział nam Ziyad Raoof, najlepszy ambasador Polski w Kurdystanie i Kurdystanu w Polsce, jak w sobotni wieczór określono gospodarza uroczystości[42].

Szczególny smak tej notki polega na tym, że uroczystość – ni to oficjalna, ni to tylko towarzyska (wszak Kurdystan nie jest podmiotem prawa międzynarodowego, nie jest niepodległym państwem) – odbyła się w prywatnej posiadłości Ziyada Raoofa (osoby powszechnie znanej w Krakowie, choćby z prowadzenia modnej restauracji w Przegorzałach) i traktować ją należy, jak sądzę – przede wszystkim – jako ważny i niesłychanie profesjonalny akt promowania kultury kurdyjskiej wśród politycznej i gospodarczej elity Polski.

Drugi przykład dotyczy kultury irańskiej, impreza nie ma charakteru oficjalnego, jest jednym z wielu przejawów promowania kultury poprzez znaczący jej element, jakim jest taniec. W Krakowie odbywa się wiele kursów, warsztatów i popisów tańców etnicznych.

> „On tańczy całkiem jak Szeherezada" – szeptały uczestniczki warsztatów tańca irańskiego, które w synagodze Poppera prowadził dr Marek Smurzyński. Warsztaty towarzyszyły pierwszym Dniom Kultury Irańskiej, zorganizowanym przez Staromiejskie Centrum Kultury Młodzieży. Przez weekend można było nauczyć się podstaw kuchni perskiej, obejrzeć irańską modę, posłuchać bajek i obejrzeć filmy. Sobotni kurs tańca przyciągnął do synagogi Poppera kilkadziesiąt młodych kobiet i jednego „rodzynka"[43].

Nasze wyobrażenia o współczesnym Iranie raczej nie kojarzą ponurej dyktatury tam panującej z zabawą. A jednak:

---

[41] *Newroz to święto radości*, DP z dn. 23.09.2009.

[42] *Ibidem.*

[43] *Irańskie podrygi*, DP z dn. 21.11.2005.

„Najważniejsze są ruchy dłoni, nadgarstków, ramion i miednicy” – demonstrował dr Marek Smurzyński z Instytutu Filologii Orientalnej UJ, opisując kroki biesiadnego tańca, łączącego elementy z wielu regionów Iranu. – „To takie podrygiwanie, trochę jak na dyskotece; wykonuje się je na przyjęciach, kiedy ludzie po prostu chcą się zabawić” – wyjaśniał. Zgromadzonym w synagodze pokazywał także kroki regionalnego tańca Bachtriarów. Wykonują go mężczyźni z kijami – obchodzą się wzajemnie i starają się niepostrzeżenie uderzyć. Biją przy tym dość mocno, więc nierzadko dochodzi do prawdziwych kłótni. Dr Smurzyński kroki irańskich tańców poznał podczas długoletniej pracy naukowej w Teheranie. – „Nigdy w życiu nie chodziłem na imprezy tak często jak wtedy. Iran kojarzy się głównie z Chomeinim, brodami i zamieszkami na ulicach, a tak naprawdę Irańczycy bardzo lubią się bawić! Nie potrzebują do tego alkoholu ani narkotyków. Tańczą z okazji ślubu, narodzin i dla samej przyjemności, choć jednocześnie taniec jest dla nich czymś intymnym, wstydliwym” – opowiadał. – „Iran jest bardziej kulturą słowa niż muzyki i ruchu. Jednak, choć są tam ludzie, którzy w ogóle nie tańczą, to jest ich znacznie mniej niż w Polsce” – oceniał[44].

„Opisanie”, charakterystyka kultury poprzez taniec, jest oczywiście nieuprawnioną redukcją, a jednak w działalności popularyzatorskiej ma niejednokrotnie miejsce. Doskonałym przykładem jest tu aktualna w Polsce moda na kulturę celtycką, kojarzoną zwykle przede wszystkim z tańcem, w drugiej kolejności z... piwem.

Wszyscy jesteśmy Irlandczykami. Szkockie skakanie

Zielone piwo, rubaszne irlandzkie szanty w wykonaniu grupy „Gulf Stream” oraz smukłe nogi tancerek z zespołu „Eriu” stały się głównymi atrakcjami „taneczno-muzycznej podróży po Irlandii” zorganizowanej przez Klub Plastyków „Wyspiański”. Przypadający na 17 marca Dzień Świętego Patryka jest chyba najpopularniejszym [...] świętem na świecie. W tym dniu w wielu krajach odbywają się parady, nosi się zielone ubrania, podawane jest zielone piwo. Właśnie kolor zielony kojarzony z wiosną oraz trójlistna koniczynka, na której święty Patryk wyjaśniał ludziom istnienie Trójcy Świętej, są symbolami tego święta[45].

Jest sprawą dość tajemniczą, dlaczego akurat Dzień Świętego Patryka tak mocno od lat wpisuje się w krakowski pejzaż kulturowy.

Nie wiadomo, czy to niepowtarzalny smak piwa, czy przenikliwy urok „Zielonej Wyspy” sprawiają, że od kilku lat narodowe święto Irlandii wypełnia tłumnie krakowskie puby, które w tym dniu organizują warsztaty tańca irlandzkiego, szkockiego i celtyckiego, serwują specjalnie barwione zielone piwo lub zieloną herbatę dla kierowców. Z kolei krakowskim akcentem tego święta w Irlandii było w tym roku dziewięć ogromnych smoków wykonanych przez dzieci podczas międzynarodowych warsztatów prowadzonych w teatrze Groteska. Smoki te stały się głównymi bohaterami wielkiego widowiska światła i ogni sztucznych podczas parady w Dublinie[46].

---

44 *Ibidem*.

45 *Wszyscy jesteśmy Irlandczykami*, GK z dn. 19.04.2007.

46 *Ibidem*.

Kraków podobno słynie w świecie z zawodów tańca irlandzkiego.

Trzeba mieć nie lada kondycję, żeby choć przez kilka minut zatańczyć taniec irlandzki. W Krakowie odbyły się Międzynarodowe Zawody Taneczne Ista Feis 2010. Kraków jest polską stolicą tańców irlandzkich. W Nowohuckim Centrum Kultury odbyły się niezwykłe zawody taneczno-sportowe; na scenie swój kunszt zaprezentowało blisko 300 tancerzy z różnych grup wiekowych. – „Ćwiczę od jedenastu lat, ale dziś ewidentnie mi coś nie idzie" – żartowała Dorota Czajkowska, mistrzyni Europy. – „Mam nadzieję, że sędziowie będą dla mnie łaskawi". – „Polacy bardzo dobrze sobie radzą, Michał Piotrowski jest trzykrotnym mistrzem Europy, po podobne tytuły sięgały też Dorota Czajkowska i Adrianna Suwald" – tłumaczy Konrad Zawada, tancerz i współorganizator imprezy. – „Może jeszcze nie jesteśmy tak perfekcyjni, jak rodowici mieszkańcy Zielonej Wyspy, ale powoli się od nich uczymy". W Polsce jest kilka świetnych szkół tańca, utworzyły się też zawodowe zespoły, które najlepiej popularyzują tę dyscyplinę. Tancerki występowały w specjalnie dobranych strojach i perukach. – „U nas tego nie widać, ale w Anglii stroje są zależne od mody i co roku się zmieniają. Taki kostium kosztuje tyle co mały samochód" – wyjaśnia Dorota Czajkowska. – „Do tego jeszcze musi być peruka i specjalne buty"[47].

Niektóre imprezy prezentujące kulturę celtycką miały bardziej zróżnicowany repertuar, nie ograniczały się do tańców etnicznych.

Jak z 6 metrów kraciastego materiału ułożyć tradycyjny kilt, z czego składa się ubiór dudziarza, także jak tańczą Szkoci – można się było dowiedzieć na Wieczorze Szkockim z okazji dnia św. Andrzeja (patrona Szkocji), który odbył się w sobotę wieczorem w Centrum Sztuki Współczesnej „Solvay". Impreza, zorganizowana przez Dom Kultury „Podgórze", zgromadziła pełną salę widzów. Młodzi i trochę starsi z entuzjazmem przyjęli występ orkiestry dudziarskiej „Częstochowa Pipes and Drums" oraz jej kierownika Tomasza Ujmy, który opowiedział o historii Szkocji, Szkotach i dudach. Okazało się, że orkiestra zaprezentowała typowo wojenną muzykę. Ubrany w wojskowy mundur dudziarzy Ujma wyjaśnił – z czego składa się i do czego służy każdy element tradycyjnego stroju dudziarza, a także co regulamin mówi o kilcie[48].

Tak czy inaczej, głównym punktem programu były tańce szkockie.

Instruktorzy ISTY Szkoły Tańca Szkockiego i Irlandzkiego zaprosili widzów do nauki kroków jednego z tańców. Zainteresowanie takimi warsztatami przerosło oczekiwania organizatorów. Chętni zapełnili całą scenę. – „Pięta, palce, pięta, palce" – padały komendy. Po 20 minutach uczniowie skakali już tak rytmicznie, jak należy. Instruktorzy obiecali, że na zakończenie wieczoru odbędą się kolejne warsztaty, a jeśli i tego będzie widzom mało – zaprosili na zajęcia do swojej szkoły. Świeżo upieczeni „szkoccy" tancerze z żalem wracali na widownię[49].

Impreza miała, jak widać, także wymiar reklamowy, przyciągała kandydatów do licznych w Krakowie szkółek tańca celtyckiego. Jednym z punktów programu opisywanej imprezy był konkurs układania tradycyjnych kiltów. „Po krótkim, dość

---

[47] *Tańce irlandzkie*, DP z dn. 1.03.2010.
[48] *Szkockie skakanie*, DP z dn. 22.11.2004.
[49] *Ibidem*.

niezwykłym instruktażu, podczas którego modelka kładła się na zwojach tkaniny, na scenie z metrami materiału męczyły się cztery pary. Radości było co niemiara”[50].

Od roku 2004 w Krakowie odbywa się Celtyckie Lato. Jest to cykl imprez, który ma pokazać, jak „[...] »różnorodna jest kultura celtycka. Mało kto wie, że składają się na nią tradycje szkockie, irlandzkie i bretońskie. Szczególnie te ostatnie niemal zupełnie nieznane [...]« – zachęca Marta Guzy ze Szkoły Tańca Irlandzkiego i Szkockiego ISTA, który współorganizuje imprezę”[51]. Głównym organizatorem jest Nowohuckie Centrum Kultury. Impreza adresowana jest przede wszystkim do dzieci i młodzieży, odbywa się w okresie wakacyjnym. Składają się na nią wystawy fotograficzne, popularne wykłady i odczyty oraz oczywiście kursy tańców celtyckich. W trakcie tygodnia, bo tyle trwa owo Celtyckie Lato, można także posłuchać irlandzkich legend i baśni, powycinać bretońskie koronki, ubrać kilt i pomalować celtyckie kolorowanki. Dodatkowo zdarzają się niespodzianki, na przykład dzieci odwiedza hodowca szkockich psów pasterskich i jego owczarki.

Propagowanie celtyckiej kultury w Krakowie trwa niemal dwie dekady, skutki są, w moim przekonaniu, widoczne, choć trzeba zauważyć, że propagowanie polega na eksponowaniu jedynie pewnych, wybranych i najbardziej efektownych elementów kultury, zwłaszcza tańca. Podobnie dzieje się na przykład z kulturami latynoamerykańskimi, które reprezentują także tańce: tango, salsa, samba oraz capoeira.

Boskie Buenos w Krakowie, uderzenie tańcem

Zacznijmy od salsy, tańca latynoamerykańskiego, którego nazwa według legendy, a może tylko anegdoty pojawiła się w Nowym Jorku w latach sześćdziesiątych. Salsa to właściwie nazwa ostrego sosu do mięs, dziś kojarzy się nieuchronnie z żywiołowym tańcem.

> „Ten taniec to nie tylko świetna zabawa, pozwalająca zachować dobrą kondycję i wygląd. Salsa może mieć również terapeutyczny wpływ na duszę” – dowodzi 25-letnia Małgosia Starzyńska. Salsa pojawiła się w słowniku Polaków już kilka lat temu, ale dopiero od ubiegłego roku zawładnęła ich duszami. Jak grzyby po deszczu powstają kluby salsy, warsztaty, na których zgłębia się jej tajniki, szkoły z regularnymi kursami dla początkujących i wtajemniczonych. Wyznawców salsy przybywa w tempie geometrycznym. [...] To również styl bycia i życia. Ci, którzy ulegli czarowi salsy, tworzą specyficzną kulturę. Są nawet posądzani o sekciarstwo[52].

[50] *Ibidem.*

[51] *Bretońskie koronki i szkockie owczarki*, DP z dn. 28.08.2004.

[52] G. Starzak, *Wyznawcy salsy*, DP z dn. 28.08.2004. Obok „wyznawców” salsy mamy również „wyznawców” flamenco i chyba jest to grupa bardziej elitarna. Mimo zastrzeżeń i deklaracji organizatorów imprezy flamenco adresowane są raczej do koneserów. „Małopolska zmieni się w krainę flamenco. Wszystko za sprawą Nuevo Mundo Festiwal. Bohaterami tegorocznej, drugiej już edycji imprezy są dźwięki, których ojczyzną jest Hiszpania. –»Nie chcemy tworzyć kolejnej imprezy dla koneserów. To ma być miejsce spotkania dla tych, którzy są wrażliwi na muzykę w różnych jej odsłonach«” (DP z dn. 7.10.2009). „Pokazy flamenco i tańca brzucha można było wczoraj obejrzeć w Śródmiejskim Ośrodku Kultury. W przedstawieniu wzięły udział uczestniczki warsztatów, które trwały od lutego do czerwca” (DP z dn. 9.07.2006).

Dorabianie ideologii do zabawy jest znane nie od dziś. Wynika z faktu, że w naszej kulturze zabawa zwykle utożsamiana była z odzyskiwaniem sił po pracy, niejako z przygotowywaniem się do dalszego wysiłku. To, przypominam, echo myśli Arystotelesa, który lekceważył zabawę jako zajęcie dla ludzi pracujących (wręcz niewolników), rezerwując dla ludzi wolnych zajęcia, które nie tyle bawią, ile raczej doskonalą człowieka[53].

Wróćmy do salsy. Zdaniem G. Starzak:

> Modę na salsę upowszechnił w Polsce kilka lat temu Jose Torres, Kubańczyk z pochodzenia, który ożenił się z Polką i w Tychach założył własną orkiestrę, grającą latynoskie rytmy. To on wraz z żoną założył pierwszą szkołę tego tańca i był organizatorem pierwszego, polskiego kongresu salsy. Uczestniczyło w nim około 400 osób z całego kraju. Dziś na festiwale przyjeżdża nawet kilkadziesiąt tysięcy osób. Czym wytłumaczyć tak duże zainteresowanie salsą? Jose Torres twierdzi, że Polacy, podobnie jak Kubańczycy, mają temperament i lubią się bawić. A salsa jest dla nich również sposobem na życie w atmosferze ciepła i bezinteresownej życzliwości, której nam na co dzień brakuje[54].

Mieszkańcy Krakowa w roku 2004, rok ten można przyjąć za początek wielkiego zainteresowania w tym mieście kulturą, a w szczególności tańcem latynoamerykańskim, co wiąże się nie tylko z reklamową działalnością szkół tańca tego rodzaju, lecz również z oficjalnymi związkami władz miasta z ekwadorską stolicą Quito (miasto partnerskie Krakowa), mieli okazję uczestniczyć w pierwszych w naszym mieście Dniach Kultury Latynoamerykańskiej, których główne wydarzenia odbyły się na Rynku Głównym.

> Zagrało ponad sto bębnów, w powietrzu fruwały ogniste pochodnie, a wszyscy tańczyli salsę. [...] Impreza rozpoczęła się paradą prowadzoną przez zielonego smoka, za którym kroczyła ubrana w skąpy strój rodem z Rio piękna dziewczyna. Za nimi szli odziani w barwne poncza Indianie i wszyscy miłośnicy Ameryki Południowej. Ci, którzy znaleźli się na Rynku, zostali wciągnięci w rueda (krąg tancerzy) przez uczniów szkoły tańca Salsa Kraków. Uczono latynoamerykańskich rytmów, Robert Makłowicz na estradzie przygotowywał mięsko z grilla według peruwiańskich przepisów. Polski Teatr Tańca z Poznania tańczy mambę, a Maciej Stuhr wygłaszał odę do Ekwadoru przy wtórze góralsko-andyjskiej kapeli[55].

Słowem totalny wygłup, czyli wedle popkulturowych reguł, doskonała zabawa.

Dni Kultury Latynoamerykańskiej zorganizowało Stowarzyszenie Miłośników Ameryki Łacińskiej wraz z Urzędem Miasta Krakowa, a honorowy patronat nad imprezą objęli, oprócz prezydenta miasta, ambasador Republiki Ekwadoru i konsul honorowy RP w Quito.

> Po raz pierwszy krakowianie mieli szansę wszechstronnie poznać kulturę Ameryki Południowej – od tańców poprzez muzykę, po narodowy sport walki (capoeira) i atrakcje turystyczne. Sprzedawano pamiątki z Ekwadoru i koszulki z Che Guevarą [komunistyczny zbrodniarz, dziś ikona popkultury! – R.K.]. Jak wygląda życie w Ameryce, opowiadali

---

[53] Zob. W. Okoń, *Zabawa...*, s. 66–67.

[54] G. Starzak, *Wyznawcy salsy...*

[55] *Rynek latynoamerykański*, GK z dn. 10.05.2004.

księża i zakonnicy z misji. Zmrok powitano na Rynku muzyką ponad setki bębnów i występami teatru ognia[56].

Dniom towarzyszył również festiwal kulinarny w restauracji Taco Mexicano, wystawa fotografii oraz koncert Zespołu Kameralnego Akademii Muzycznej.

Wspomniana w notce prasowej capoeira, brazylijski ni to taniec, ni to sztuka walki, zainteresował krakowian w równym stopniu co salsa czy znana nie od dziś samba. Mogli oni oglądać – w czerwcu! – barwny korowód karnawałowy na modłę brazylijską.

Lekcje portugalskiego, poznawanie literatury iberyjskiej, pokazy samby – to tylko niektóre z atrakcji zakończonego Festiwalu Kultury Brazylijskiej. – „Kraków jest przesiąknięty kulturą brazylijską" – uważa Adam Faba, organizator festiwalu i jednocześnie nauczyciel capoeiry, brazylijskiej sztuki walki. – Mamy konsula brazylijskiego, wiele osób tu mieszkających pochodzi z Brazylii. Chcemy, aby ludzie zainteresowali się tą kulturą i związali z nią, mieli szansę ją bliżej poznać, pobawić się[57].

Krakowianie zapewne z wielkim zdziwieniem dowiedzieli się, że Kraków przesiąknięty jest brazylijską kulturą, czego raczej na co dzień tu nie widać, ale byli chętni do zabawienia się.

W czasie festiwalu można było m.in. obejrzeć musical, oparty na motywach brazylijskich do muzyki zespołu Queen. Przez kilka dni, na Akademii Ekonomicznej, odbywały się warsztaty szkoleniowe capoeiry, prowadzone przez brazylijskich mistrzów. W sobotę ulicami Starego Miasta przeszedł barwny korowód karnawałowy, w którym uczestniczyły m.in. tancerki samby w charakterystycznych pióropuszach i karnawałowych strojach, zespół bębniarzy i adepci capoeiry. Wieczorem, na zakończenie festiwalu, wszyscy bawili się na Brazylijskiej Fieście – w imprezie do rytmu bębnów i muzyki didżejów[58].

Czyli można uczestniczyć w brazylijskim karnawale, nie jadąc do Rio!

Podobne imprezy odbywają się co roku, zainteresowanie kulturą latynoamerykańską, a przynajmniej tymi elementami, które organizatorzy serwują krakowianom, nie maleje.

Parada niczym podczas karnawału w Rio de Janeiro, perełki brazylijskiego kina i warsztaty, na których nawet najoporniejsi poddadzą się rytmom ognistej samby. By poczuć owe gorące klimaty, wcale nie trzeba będzie się ruszać z Krakowa. Już we czwartek pod Wawelem rozpocznie się Festiwal Kultury Brazylijskiej „Cracoviaxe", który opanuje niemal całe miasto [...]. W imprezie wezmą też udział niektóre krakowskie kluby, m.in. U Louisa. Przez trzy dni niemal bez przerwy rozbrzmiewać będzie tam gorąca muzyka brazylijska. Kulminacja tanecznego szaleństwa nastąpi w sobotę. Wówczas to zaplanowano Fiesta e Feira, karnawałową paradę, która w rytmie samby przejdzie przez Rynek [...]. Brazylijskie klimaty opanują również Planty. Na czas festiwalu powstanie tam nawet brazylijskie miasteczko, w którym prezentować się będą instytucje związane z kulturą tego kraju[59].

---

[56] *Ibidem*. Turystów zwiedzających Boliwię z pewnością zaskoczy bardzo awangardowy pomnik Che Guevary z La Paz.

[57] *Kraków w rytmie gorącej samby*, GK z dn. 18.06.2007.

[58] *Ibidem*.

[59] *Gorące brazylijskie klimaty na pewno rozgrzeją Kraków*, GK z dn. 9.06.2009.

Oczywiście odbyły się również warsztaty samby oraz gry na brazylijskich instrumentach. Nie zapomniano o przysmakach brazylijskiej kuchni.

Jak bardzo zakorzeniła się w Krakowie kultura brazylijska, może świadczyć Cracoviaxe 2011 Reaktywacja – Ogólnopolski Festiwal Kultury Afrobrazylijskiej w 2011 roku. Wydaje się, że ukształtowała się – zapewne nie ostatecznie – pewna formuła spotkań miłośników brazylijskiej kultury z całej Polski, a krakowianom dających wiele egzotycznej rozrywki. Główną atrakcją imprezy są pokazy capoeiry (nazywane czasem „uderzenie tańcem"), sztuki walki z elementami tańca, które wywodzi się z połączenia tradycji afrykańskiej i brazylijskiej. Do Krakowa, na przełomie września i października, przybywają mistrzowie i miłośnicy capoeiry z całego świata. Spotkania, którym towarzyszy wiele innych atrakcji, organizuje Stowarzyszenie Miłośników Kultury Afrobrazylijskiej „Cultura Baiana" i najstarsza grupa capoeiry w Polsce „Uniao International de Capoeira Regional". „Kultura brazylijska znalazła w Polsce wielu miłośników, dzięki niezwykłemu klimatowi, w którym główną rolę odgrywa zabawa i taniec. Klimat gorących i roztańczonych plaż pozwoli nam zapomnieć o rozpoczynającej się jesieni i wrócić do wspomnień upalnego lata"[60].

Jednak nie salsa, samba i capoeira – cokolwiek by powiedzieć o ich popularności w Krakowie – uwiodły najbardziej krakowian, a – przynajmniej jeśli wierzyć prasie i mierząc popularność liczbą imprez i notatek prasowych – uczyniło to tango. Tym samym nie Brazylia, a Argentyna i jej kultura święcą największe triumfy w sercach mieszkańców naszego miasta. Początki zainteresowania tangiem były raczej skromne. Taniec ten znany był oczywiście w Krakowie od dawna, nigdy jednak wcześniej nie zbudowano wokół niego takiej oprawy, jaką zapoczątkowano w Ośrodku Kultury im. Norwida w roku 2004.

> Dziś o godz. 19.30 Ośrodek Kultury im. Norwida proponuje „Wieczór z tangiem argentyńskim" w Sali Tańca (os. Górali 4). Cel spotkania, na które wstęp jest wolny, to oczywiście popularyzacja autentycznego tanga argentyńskiego. Podczas imprezy, dzięki prezentacji multimedialnej i tańcowi na żywo, będzie można poznać historię i klimat tanga. Atrakcją wieczoru będzie możliwość obejrzenia fragmentów doskonałego show „Tango Passion" oraz krótka nauka przed milongą, czyli potańcówką w rytmie tanga. [...] Ok. 20.15 na uczestników czeka lampka wina i pokaz filmowy [...]. Ok. 21 – pokazowa lekcja tanga argentyńskiego, a potem zaproszenie do tańca najodważniejszych gości [...]. Już teraz Ośrodek Kultury im. Norwida zaprasza wszystkich, którzy chcieliby nauczyć się tańczyć tango argentyńskie, do udziału w spotkaniach Klubu tanga Argentyńskiego [...][61].

Rok później odbył się w Krakowie pierwszy w Polsce Festiwal Tanga Argentyńskiego.

> Koncert krakowskiego zespołu Trio Revirado i pianisty Waldemara Malickiego, a także występ argentyńskiego duetu tanecznego Aisha i Victor zakończył w niedzielę wieczorem w krakowskiej Rotundzie pierwszy w Polsce Festiwal Tańca Argentyńskiego. Kilkaset osób z wielkim zainteresowaniem słuchało tang Astora Piazzoli i Richarda Galliano, a później

---

[60] *Festiwal Kultury Afrobrazylijskiej*, DP z dn. 29.09.2011. Są to słowa Adama Faby, prezesa Stowarzyszenia Miłośników Kultury Afrobrazylijskiej.

[61] *Zatańczmy tango argentyńskie*, GK z dn. 4.10.2004.

oglądało popisy taneczne. I jak na wieczór pełen tanga przystało, było nostalgicznie i zmysłowo. Zabawa trwała do późnych godzin nocnych. Od kilku lat tango argentyńskie jest w Polsce bardzo modne. Taniec ten coraz częściej pojawia się w klubach i salach koncertowych. Wieczory z tangiem cieszą się ogromną popularnością, o czym mogli się przekonać organizatorzy krakowskiego festiwalu – szkoła tańca i jogi Ananda. – „Cieszę się, że festiwal miał tak szeroki odbiór. Nie przypuszczałam, że tak wiele osób jest zainteresowanych tangiem" – powiedziała nam Maria Nemś, organizatorka Festiwalu Tanga Argentyńskiego[62].

Na pytanie, co dziś fascynuje w tangu, odpowiedział wybitny pianista i popularyzator kultury muzycznej, Waldemar Malicki: „Przede wszystkim dostrzegam w nim treści pozamuzyczne, to znaczy głęboką myśl o życiu, która temu tańcowi towarzyszy [...]"[63]. Inny rozmówca (Grzegorz Frankowski, kontrabasista, założyciel zespołu Trio Revirado), dodał: „Fascynuje mnie klimat muzyki, melancholia, nostalgia, a jednocześnie pole do popisu dla muzyków w wyrażaniu ekspresji"[64]. Tego rodzaju wypowiedzi pojawiło się w prasie wiele, walor tanga widziano przede wszystkim w tym, iż pokazuje uczucia, zarówno miłość, jak i gniew, że między tańczącymi wyzwalają się często niezwykłe emocje, że wreszcie tango oddaje gwałtowny charakter Argentyńczyków, w domyśle także i miłośników tanga – Polaków.

Niezwykle oryginalna impreza odbyła się w roku 2007 w restauracji na Dworcu Głównym w Krakowie.

Krakowscy miłośnicy tanga argentyńskiego – czytamy w prasowej relacji – regularnie spotykają się na milongach. Bawili się także w sobotnią noc, ale tym razem w nietypowym miejscu – w restauracji na I peronie Dworca Głównego PKP. – „To przepiękne wnętrze, które ma wyjątkowy klimat, przywodzący Buenos Aires u schyłku XIX wieku – właśnie wtedy rodziło się tango argentyńskie" – wyjaśnił organizator milongi Marcin Miszczak. – „Krakowski dworzec również powstał w XIX wieku. Poza tym jest to miejsce, gdzie szczególnie widać upływ czasu, wszystko wokół się zmienia, a w tangu też jest mnóstwo zmiennych emocji". Uczestnicy sobotniej milongi (ok. 150 osób) bawili się do późnych godzin nocnych [...]. Podczas imprezy kręcono również film dokumentalny (w reżyserii Wojciecha Majewskiego), którego bohaterami jest 6 mieszkańców Krakowa: krawcowa, sekretarka, wodzirej, niesłysząca pracownica fabryki, nauczyciel tańca i menedżer. Dokument ukazuje z jednej strony ich życie codzienne, a z drugiej nocne spotkania z tangiem argentyńskim – wspólna pasja, która ich połączyła[65].

Prasa krakowska lansowała, w związku z zainteresowaniem tangiem znacznej liczby krakowian, przekonanie, że Kraków dzięki temu staje się, przynajmniej w okresie festiwalu tanga (w 2009 roku impreza ta trwała już dziewięć dni!) – wykorzystując polskie tłumaczenie nazwy miasta – drugim Buenos Aires.

Powiedzenie „Pójść w tango" nabiera w Krakowie zupełnie nowego znaczenia. Wszystko dzięki V Festiwalowi Tanga Argentyńskiego „Puente del tango", który zaczyna się właśnie dziś. „Ten festiwal to most, który łączy wielbicieli tańca oraz różne ośrodki tanga w Polsce i na świecie. Most łączący nieznanych sobie ludzi i prowadzący do niezwykłej krainy,

---

[62] *Nostalgicznie oraz zmysłowo*, DP z dn. 25.01.2005.
[63] *Ibidem*.
[64] *Ibidem*.
[65] *Tango na dworcu*, DP z dn. 23.04.2007.

jaką jest TANGO. Krainy tańca, muzyki, sztuki, intensywnych emocji, odrębnej kultury i nowego sposobu na życie. Pragniemy choć trochę pokazać Ci tę krainę. W Krakowie jest dobry klimat dla tanga. Dobre powietrze – Buenos Aires" – zapowiadają organizatorzy[66].

W tej samej notce prasowej znajdujemy ciekawą wypowiedź:

„Po raz kolejny poczujemy w Krakowie klimat małych argentyńskich knajpek, w których rodził się ten niezwykły taniec. W jego ruchu widać dym papierosowy i to tajemnicze przyciąganie pomiędzy kobietą i mężczyzną" – tłumaczy Kamil Dawidek, na co dzień trenujący taniec towarzyski, ale na czas festiwalu zmieniający się w wielbiciela argentyńskiego tanga[67].

To, co tu zostało niedomówione, w jasny sposób formułuje Agnieszka Malatyńska-Stankiewicz, pisząc:

Tango jest tańcem zmysłowym, wręcz erotycznym. Niektórzy mówią, że można go uznać niemal za formę bezpiecznego seksu, bo choć między tańczącymi wyzwalają się często ogromne namiętności, to jednak one gasną, gdy para schodzi z parkietu. Dzięki tangu mężczyzna i kobieta powracają do swoich ról, które zatarły się w dzisiejszych czasach. On staje się odpowiedzialnym za partnerkę mężczyzną, który proponuje taneczną drogę, ona zmienia się w kobietę, która wybiera, jaką drogą chce z mężczyzną podążać[68].

Czy to wyjaśnia powodzenie tanga, współczesne nim zainteresowanie?

W roku 2010, w trakcie kolejnego festiwalu, uczestników czekała niemała niespodzianka.

Ciekawostką tej edycji – czytamy – był zaplanowany pokaz pary nieco dla publiczności niezbyt biegłej w historii tanga zaskakującej, czyli dwóch... mężczyzn, Martina Maldonado i Maurizio Ghella. To nawiązanie do początku XX wieku. Wtedy właśnie w Buenos Aires mężczyźni bardzo często tańczyli z sobą. Zobaczyliśmy, jak ruch staje się dialogiem nie tylko pomiędzy kobietą i mężczyzną, ale także synonimem rywalizacji, mierzenia sił. – „Różnorodność tego festiwalu sprawia, że każdy zobaczyć mógł dwie twarze tanga, czyli zarówno »pierwszą miłość«, jak i »pierwszą kłótnię«" – tłumaczy Katarzyna Lorenz, wielbicielka tanga, uczestniczka milong[69].

Nieco inaczej tłumaczy tę kwestię inna relacja:

[...] wydarzeniem, które z pewnością zapamiętają goście nie tylko z Polski, ale także z Francji, Austrii, Szkocji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych czy Grecji, był taniec niezwykłej pary, złożonej z dwóch... mężczyzn [...] zabrali nas w podróż do przeszłości tanga, kiedy głównie w Buenos Aires tańczyły z sobą pary męsko-męskie. Dziś wygląda to skandalizująco, lecz w tamtych czasach była to konieczność chwili – mężczyźni przyjeżdżali do stolicy kraju za pracą, zostawiając na prowincji swoje kobiety. Tak właśnie rodził się najbardziej zmysłowy z tańców, który wtedy, na początku XX wieku, był raczej zapisaną w ruchu męską rywalizacją, pokazem siły, witalności, ale i tęsknoty za kobiecością[70].

---

[66] *Poczujemy w Krakowie klimat argentyńskich knajpek*, DP z dn. 8.08.2009.

[67] *Ibidem.*

[68] A. Malatyńska-Stankiewicz, *Między tańczącymi wyzwalają się często ogromne namiętności*, DP z dn. 8.05.2009.

[69] *Pierwsza miłość, pierwsza kłótnia*, DP z dn. 4.05.2010.

[70] *Tango uwiodło Kraków*, DP z dn. 4.05.2010.

Warto zwrócić uwagę na dwie sprawy. Z jednej strony, fascynacja tangiem, choć objęła szerokie kręgi, nie przekłada się na głębsze zainteresowanie argentyńską kulturą. Organizatorzy imprez nie proponują ich uczestnikom niczego więcej niż taniec oraz pogłębianie o nim wiedzy. Spotkaniom miłośników tanga nie towarzyszą na przykład odczyty na temat innych przejawów kultury argentyńskiej. Tango nie kojarzy się, jak sądzę, jego miłośnikom jako oryginalna część tej kultury, ale raczej jako zjawisko taneczno-psychologiczne, odzwierciedlające emocje ogólnoludzkie, uniwersalne relacje między kobietą a mężczyzną.

Z drugiej jednak strony, tango łączy ludzi rozmaitych kultur, zainteresowanie nim stanowi fundament kontaktów międzykulturowych. Może się stać i zapewne staje się pomostem dla dialogu kulturowego wykraczającego poza sam fakt uprawiania tańca. W krakowskich spotkaniach miłośników tanga uczestniczą przedstawiciele wielu narodów i kultur. Fakt ten nie może być obojętny dla obserwatora – badacza kontaktów międzykulturowych.

Nie tylko argentyńskie tango służy do wyrażania emocji, podobnie jest z tańcami afrykańskimi. Zainteresowanie kulturami afrykańskimi nasiliło się w Krakowie na przełomie XX i XXI wieku, aby od 2007 roku, kiedy to odbył się pierwszy w tym mieście Festiwal Afrykański, przybrać liczne i atrakcyjne formy, także wyraźnie ludyczne.

Smok mówi suahili, nie trzeba jechać do Afryki, aby skosztować nasion baobabu

W trakcie rozmaitych imprez krakowskich akcenty afrykańskie pojawiały się często, na przykład: „Gorący klimat panował w Galerii »Teranga« Centrum Kultury i Sztuki Afrykańskiej przy ul. Kalwaryjskiej, gdzie można było skosztować afrykańskich owoców z drzewa baobab (ssie się je jak cukierek, owoców sidem, a także orzecha o nazwie ndir. Wszystko to można było popić owocową, afrykańską herbatą, na którą zapraszał pochodzący z Senegalu Ndiaye Papa Samba[71]”. Akcenty afrykańskie były częścią III Podgórskich Otwartych Drzwi, zorganizowanych w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa. Nikt oczywiście nie pytał, czy i w jaki sposób baobab i afrykańska herbata wpisują się w europejskie dziedzictwo.

Dużą rolę w propagowaniu afrykańskich kultur mieli studenci, w tym także afrykańscy, studiujący w Krakowie.

> Zespół Sasa Ni Afrika – czytamy w „Gazecie Krakowskiej” – tworzą studenci krakowskich uczelni [...]. Do Polski przyjechali dwa, trzy lata temu na studia. W skład zespołu wchodzą dwie tancerki, trzech tancerzy i dwóch bębniarzy. Mówią o sobie, że powstali przez przypadek. – „Ludzie byli ciekawi, jak brzmi afrykańska muzyka. Zagraliśmy, spodobało się i tak już zostało” – mówi bębniarz Michel Kapela, student III roku zarządzania i marketingu na UJ. Grupa występuje w tradycyjnych strojach afrykańskich: rafie, chusty,

---

[71] *Błękit z Saint-Denis*, DP z dn. 27.09.2004.

oryginalne makijaże twarzy i całego ciała. Na scenie pojawiają się narodowe instrumenty: bębny i kitcha-katchaki. [...] Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego docenił pracę i wkład zespołu w promocję kultury afrykańskiej i zaprosił artystów do występu podczas zeszłorocznego Bożonarodzeniowego Koncertu Uczelnianego. Sobotni koncert w Żaczku jak zwykle porwał publiczność do wspólnej zabawy i tańca[72].

Kultura afrykańska pojawiała się także podczas imprez organizowanych przez Polską Akcję Humanitarną.

Suahili dla dzieci, Afryka na alejkach pod Wawelem, piłka nożna z Kahlu Uche [swego czasu bardzo popularny zawodnik Wisły Kraków, pochodzący z Afryki – R.K.], Smok Wawelski w stroju afrykańskim. Oprócz tego seminaria, pokazy slajdów, wykłady i obchody afrykańskiego święta. W ten sposób Polska Akcja Humanitarna chce przybliżyć krakowianom Afrykę podczas akcji „Kraków bliżej Afryki", która rozpoczyna się dziś i potrwa do najbliższego wtorku [w sumie liczne imprezy odbywały się przez cztery dni – R.K.].

Akcja miała niezmiernie ambitne cele:

[...] otwarcie dyskusji społecznej i zwrócenie uwagi na problemy krajów afrykańskich. Polska Akcja Humanitarna chce również pokazać kulturę, sztukę i życie codzienne Afrykańczyków. Projekt realizowany jest we współpracy z Salezjańskim Wolontariatem Misyjnym oraz organizacją „Solidarni z Afryką". Jednym z zadań „Solidarnych z Afryką" jest przedstawienie prawdziwego wizerunku tego kontynentu i przeciwdziałanie stereotypom, np. „Afryka – ojczyzna słoni i wojen"[73].

Wiedza o kulturze Afryki, jak i o każdej innej kulturze, z pewnością działa na rzecz rugowania stereotypów. Czy jednak każda wiedza albo odrobina wiedzy podana w ludycznym sosie ma podobne działanie? Można mieć wątpliwości. Zobaczmy, jaka to wiedza przekazywana była w trakcie II Festiwalu Afrykańskiego, który odbył się w Krakowie w 2008 roku. Jednym z jego organizatorów (konkretnie organizatorem szóstego dnia festiwalu) było Afrykańskie Koło Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego (AKON).

Dzień szósty upłynął pod znakiem smaków afrykańskich. Goście degustowali tradycyjne potrawy z różnych regionów Afryki. W dużej mierze składały się one z ryżu, który stanowi podstawę większości dań. Smaki były specyficzne i niespotykane na polskich stołach. Potrawy takie, jak: fejioada, chapati, marachagure o ostrym słodko-kwaśnym zabarwieniu, a nawet kokosowych nutach, zaskakiwały[74].

„Smaki, dźwięki, tańce" – taki tytuł nosi cytowana wcześniej notatka, doskonale oddaje on istotę treści serwowanych uczestnikom festiwalu. Smaki – prezentacja i degustacja bardzo egzotycznych kuchni afrykańskich; dźwięki – koncerty grup bęb-

---

[72] *Dzień afrykański*, GK z dn. 22.10.2003. Podobne zjawisko szalonego, spontanicznego tańca widzimy na finałowych koncertach Festiwalu Kultury Żydowskiej, o którym nie piszę, gdyż jest znany powszechnie. Taniec daje upojenie, owo *ilinx*, które wedle Rogera Caillois jest cechą wielu zabaw. (Zob. R. Caillois, *Gry i ludzie*, tłum. A. Tatarkiewicz, M. Żurowska, Warszawa 1997, s. 30).

[73] *Smok mówi suahili*, DP z dn. 24.04.2004.

[74] I. Faron, A. Szklarczyk, *Smaki, dźwięki, tańce*, DP z dn. 27.05.2008.

niarskich cieszących się popularnością nie tylko w środowisku studenckim, i tańce afrykańskie (na przykład kizomba) – te jak zwykle „do białego rana" w klubach studenckich. Co prawda była jeszcze, dość elitarna, konferencja politologiczna, szumnie nazwana Międzynarodową Konferencją na rzecz Afryki, którą zaszczycili swoją obecnością ambasadorowie kilku krajów afrykańskich, uczeni – afrykaniści z polskich szkół wyższych, a otwierał ją sam rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wyliczono na niej kolejny raz problemy, z którymi boryka się Afryka i – jak zwykle – stwierdzono mało odkrywczo, że „Podczas, gdy w XXI wiek świat może iść spacerkiem, Afryka musi biec"[75]. Oryginalnym elementem festiwalu było przypomnienie Kazimierza Nowaka, który w latach 1931–1936 samotnie przebył kontynent afrykański z północy na południe na... rowerze, co było – nie tylko w tamtych czasach – niezwykłym wyczynem[76].

Ciekawym pomysłem i dającym duże nadzieje na obudzenie zainteresowań Afryką i przekształcenie ich w stałe poszukiwanie o niej wiedzy są zajęcia dla dzieci, odbywane w trakcie ferii szkolnych i wakacji. Oto dwa przykłady.

> Tuż przed godziną 10 rano w Śródmiejskim Ośrodku Kultury wielokrotnie powtarza się ta sama scenka: w pośpiechu wpada mama ze swoją pociechą lub pociechami, pędzą do szatni, całusek na pożegnanie, mama do pracy, a dzieciaki do... afrykańskiego buszu. Będą tańczyć, grać i bębnić, malować maski, przygotowywać egzotyczne ozdoby i słuchać afrykańskich legend aż do popołudnia. Julio Nicolas Moukete Ejakei i Josselin Cedric Mbakop, pochodzący z Kamerunu studenci z Politechniki Krakowskiej i UJ, nadzwyczajnie dobrze sobie radzą z gromadką liczącą sobie nawet czterdzieścioro dzieci, z których najmłodsze ma zaledwie cztery lata, a najstarsze około dziesięciu[77].

Owe „Ferie pod baobabem", kapitalny pomysł Śródmiejskiego Domu Kultury, stanowią z pewnością okazję dla uczestniczących w nich dzieci do „zabawienia się Afryką", ale w przyszłości do poznawania jej w głębszy sposób niż ten, studencki, ograniczający się do wspomnianych atrakcji „smaku, dźwięku i tańca". Owszem, są one ważne i znaczące, ich poznanie godne zachodu, ale ograniczenie się do nich jest niczym innym jak utrwalaniem stereotypów.

Podobne do „Ferii pod baobabem" imprezy organizuje również krakowskie Muzeum Etnograficzne.

> Niekoniecznie trzeba jechać na Czarny Ląd, by spotkać się z niezwykłościami afrykańskiego kontynentu. Muzeum Etnograficzne w Krakowie urządza wakacyjne warsztaty pod znakiem podróży w czasie i przestrzeni. Co tydzień muzealny okręt zawija do innego portu. Jeszcze dziś i jutro będzie to Afryka. Kapitanem rejsu jest Jacek Kukuczka, świetny znawca Afryki Zachodniej i Północnej [...]. – „Tutaj pan nie tylko opowiada i pokazuje przeźrocza, ale zachęca do przebierania się i zabaw" – zachwyca się Olo. – „Bardzo podobała mi się zabawa w afrykańskich wędrowców, którzy nazywają się Tuaregowie. Na pewno kiedyś pojadę do Kenii w Afryce" – zapewnia[78].

---

[75] I. Gałkowski, T. Stawowy, M. Tyniec, *Afryka musi biec*, DP z dn. 23.05.2008.
[76] K. Kazimierczak, P. Kobus, *Rowerem przez Czarny Ląd*, DP z dn. 20.05.2008.
[77] *Pod baobabem*, DP z dn. 6.02.2008.
[78] M. Satała, *Z cegieł banco buduje domy dla Afrykanów*, GK z dn. 5–6.07.2008.

Nawiasem, co mają wspólnego Tuaregowie, mieszkańcy Sahary, z Kenią?

Obserwując zakres, sposoby i treści prezentowania w Krakowie afrykańskich kultur, mogę stwierdzić, że zjawisko to jest wręcz imponujące, choć, rzecz jasna, nic nie gwarantuje podobnym akcjom trwałości. Być może jest to wyraz chwilowej mody na Afrykę, która niebawem przeminie. Czy również nowe gry, konkurencje sportowe, a także nowe święta w polskim kalendarzu są wynikiem nietrwałej mody na – nie tylko – poznawanie Innych, ale również na przejmowanie od nich atrakcyjnych elementów kultury, innych niż ludyczne?

Tygrysy na Święcie Dziękczynienia, gra samurajów i curling po krakowsku

Niewątpliwie sporty łączą różne grupy kulturowe, lokalne sporty czasem (jak piłka nożna) robią światową karierę, stają się pomostem do międzykulturowego porozumienia[79]. Niekiedy jednak uprawianie sportu, a może raczej kibicowanie, prowadzi do antagonizmów. Zatem sport i łączy, gdy na przykład na wszystkich kontynentach uprawia się te same dyscypliny, mające wspólne reguły, i dzieli, gdy spontanicznie niechęć kibiców do przeciwników przeradza się w agresję. W czasach globalizacji, zakładając, że zjawisko to przekracza ramy zjawisk ekonomicznych i obejmuje również kwestie kulturowe, zainteresowanie innymi, obcymi formami sportu (gier) może przyjmować wymiar kontaktu kulturowego, może stanowić wstęp do kulturowego dialogu.

Pisałem już wcześniej o francuskiej grze w kule, która zdaje się zyskiwać zainteresowanie w Polsce, a także o afroportugalsko-brazylijskiej capoeirze, tańcu – walce, która to dyscyplina sportowa, bo taką się stała, robi dziś furorę w naszym kraju. Wcześniej dotarły do nas chińskie i japońskie sporty walki, w niektórych z nich Polacy osiągnęli już międzynarodowe sukcesy. Przyglądnijmy się kilku innym, które – być może – staną się w Polsce szeroko popularne, a być może uzyskają sukces ledwie niszowy. Są one – i z tego względu się nimi zajmuję – propagowane w kulturowym „pakiecie", jako coś, co łączy się z określoną kulturą i tym samym stanowi jej, pośrednio, popularyzację.

> Kamil Pawel z Krakowa – czytamy w relacji w „Gazecie Krakowskiej" – jest najmłodszym graczem gomoku, który wszedł do finału krajowych mistrzostw. Ma 12 lat i błyskawicznie przesuwa kamienie na planszy. Gomoku zajął się półtora roku temu. Nie wiadomo, kiedy i jakim sposobem gra ta przywędrowała do naszego kraju. Pierwsze wzmianki o niej pochodzą z Chin i datowane są na rok 2000 p.n.e. Grano w nią także w antycznej Grecji i Ameryce prekolumbijskiej. Najbardziej rozpowszechniona była w krajach, gdzie sztuka wojenna i strategia stały na bardzo wysokim poziomie – więc w Chinach i później w Japonii, gdzie strategia wchodziła do kanonu wiedzy przyswajanej przez każdego samuraja. W Polsce nie grają w gomoko wojskowi, ale ci, w których życiu liczy się strategia. Na przykład ekonomiści. Przeważnie jednak gra stanowi sposób na zabicie czasu, jest niewinną rozrywką. [...]. – „Ja zacząłem w to grać po raz pierwszy, kiedy byłem w liceum.

[79] Zob. W. Lipoński, *World Sports Encyclopedia*, Poznań 2003.

> Nie wiedziałem wtedy nic o tym, że gra pochodzi z Japonii i nazywa się gomoku. My nazywaliśmy to »kółko i krzyżyk do pięciu«. [...] Grą interesują się zarówno osoby nastoletnie, jak i 50-latkowie, ale wśród wielbicieli gomoku przeważa młodzież. [...] Proste zasady i małe wymagania sprzętowe (wystarczy przecież zwykła kartka) sprawiają, że gra rozprzestrzenia się jak wirus[80].

Raczej nic nie wskazuje, wbrew opinii dziennikarki, aby gomoko zyskiwało w Polsce szczególne zainteresowanie. Podobnych gier jest wiele, są to nawet odmiany gomoko, które zdobywają popularność w różnych krajach: renju, pente. Popularność jednak nie oznacza powszechności, owszem, powstają kluby miłośników owych gier, odbywają się mistrzostwa, nawet krajowe, ale w końcu zainteresowanie nimi ogranicza się do grona stosunkowo wąskiego i zamkniętego. Podobnie będzie zapewne z innymi sportami/grami, o których w ostatnich latach pisała krakowska prasa.

W Krakowie w roku 2009 powstała czwarta w Polsce drużyna lacrosse'a.

> Lacrosse rozgrywany jest na trawiastym boisku lub hali ze sztuczną nawierzchnią i polega na umieszczeniu za pomocą specjalnej rakiety piłki w bramce przeciwnika. Do Europy i Polski dotarła wraz z amerykańskimi imigrantami. A czym lacrosse jest dla samych graczy? – „Świetnym sposobem na spędzanie wolnego czasu i alternatywą dla piłki nożnej oraz innych sportów, które dominują w naszym kraju" – odpowiada Michał Markiewicz, tegoroczny maturzysta i jeden z pomysłodawców założenia drużyny. – „Z lacrossem pierwszy raz zetknąłem się jeszcze podczas pobytu w Stanach, gdzie się urodziłem, ale byłem za mały, żeby myśleć o tym na poważnie" – dodaje. Jak się jednak okazuje, ludzi zainteresowanych tym sportem jest w naszym mieście więcej. – „Każdą wolną chwilę staram się spędzić na treningach z chłopakami" – komentuje Piotr Kuźniar, dwudziestosiedmiolatek, pracownik działu finansowego Naftobudowy w Krakowie. – „Zainteresowanie lacrossem wzięło się jeszcze z czasów studiów, których część spędziłem w Stanach. Od samego początku zafascynowała mnie ta gra, wszystko tutaj dzieje się znacznie szybciej, możemy oglądać wiele spektakularnych tricków i zagrań. Nawet kupiłem wtedy sprzęt z nadzieją, że jeszcze uda mi się zagrać. I udało się!" – dodaje z entuzjazmem. [...] Drużyna nie ma jeszcze oficjalnej nazwy ani barw, ale jak dowiadujemy się od pomysłodawców, będzie to coś nawiązującego do Krakowa i jego tradycji. – „Najprawdopodobniej Smoki Wawelskie. Jednakże najważniejsze jest dla nas skompletowanie stałego składu" – mówią[81].

Warto zwrócić uwagę na fakt, że nowy sport lansują w Krakowie ludzie, którzy zetknęli się z nim podczas pobytu i kontaktu z kulturami Innych. To dość oczywista droga do propagowania poznanych elementów kulturowych w miejscu aktualnego osiedlenia.

Większą, jak sądzę, szansę na zaistnienie w Krakowie ma curling, w końcu dyscyplina olimpijska (!), do niedawna, podobnie jak lacrosse, równie nieznana w Polsce.

---

[80] M. Frenkiel, *Gra samurajów*, GK z dn. 31.03.2006. „Gomoku – w jednej linii, pionowo lub na ukos – ułożyć pięć swoich kamieni. Gra się w parach, białymi i czarnymi kamieniami na pokratkowanej na pola planszy 15 na 15 cm".

[81] W. Kuchta, *Krakowskie Smoki ćwiczą na Błoniach indiańską grę*, DP z dn. 27.11.2009. O historii i zasadach tej gry zob. W. Lipoński, *World Sports...*, s. 338.

Chociaż curling wciąż jest w Polsce młodą dyscypliną sportu, to Krakowski Klub Curlingowy już może się pochwalić brązowym medalem Mistrzostw Polski Seniorów zdobytym w 2006 roku oraz udziałem w prestiżowym turnieju Baltic Cup. A to dopiero początek. Curling należy do sportów drużynowych i jest rozgrywany na prostokątnej tafli lodu przez dwie drużyny liczące po czterech zawodników. Do gry używa się ciężkich (20 kg) granitowych kamieni, które są wypuszczane na lodzie w kierunku celu zwanego domem. Liczba przyznanych punktów zależy od liczby kamieni znajdujących się najbliżej środka domu. Poziom umiejętności, precyzji i złożoności wykonywanych zagrań oraz odpowiednia strategia sprawiają, że curling jest nazywany szachami na lodzie. – „To wspaniała gra taktyczna, w której kondycja fizyczna ustępuje miejsca strategii i precyzji" – mówi Łukasz Wilczek, wiceprezes i jeden z założycieli Krakowskiego Klubu Curlingowego. Pomysł założenia Klubu zrodził się w 2002 roku, gdy ówczesny uczeń V LO w Krakowie, a dzisiejszy prezes klubu – Bartłomiej Schmidt – pierwszy raz zetknął się z tą dyscypliną sportu. – „Byliśmy wtedy młodzi i bardzo energicznie podeszliśmy do tematu. Wówczas nie było jeszcze reprezentacji Polski w curlingu, więc postanowiliśmy, że będziemy pierwsi. Po cichu marzyliśmy nawet o wystąpieniu na olimpiadzie" – mówi z uśmiechem prezes klubu[82].

Śledząc dzieje „krakowskiego curlingu", nie sposób nie zauważyć podobieństw do historii krakowskiego futbolu, który rodził się w początkach XX wieku. Widać podobny entuzjazm młodych ludzi (często uczniów i studentów), podobne trudności i wreszcie – czy podobne to się okaże – sukcesy. Może curling zadomowi się w Krakowie i z czasem nikt nie będzie pamiętał, że to egzotyczna gra rodem z Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Nowe gry i sporty lansowane w Krakowie, i w ogóle w Polsce, rzadko łączą się z propagowaniem obcych zwyczajów, obcych świąt. Wyjątkiem zdaje się być futbol amerykański.

Wraz z otwartością na ludzi i doświadczeniem trenerskim w futbolu amerykańskim Albert Hesskew do Krakowa przywiózł zwyczaj spotykania się z najbliższymi w czwarty czwartek listopada, by podsumować miniony rok. Coraz większa rzesza kibiców drużyny „Tigers", również zaczyna kultywować tę tradycję. Dla wielu krakowian gra w owalną brązową piłkę wydaje się egzotyczna. Jednak z miesiąca na miesiąc na trybuny przychodzi coraz więcej osób. Dla wielu nie jest to sport, ale cała kultura, która uczy innego spojrzenia na świat. – „Gdy w 2006 roku zakładałem klub w Krakowie kierowała mną przede wszystkim chęć zaszczepienia w Polakach większej otwartości na ludzi i to, co nowe oraz pokazanie, że sport może integrować nie tylko rodziny, ale i pokolenia" – tłumaczy Michał Truszkowski, prezes zespołu „Kraków Tigers". Jak dodaje, kultywowanie „Święta Dziękczynienia", czyli daty przypłynięcia pielgrzymów z Anglii do Ameryki to jeden z fundamentów tamtejszej kultury. Tegoroczne obchody święta są drugimi w naszym mieście. Zapoczątkował je obecny trener drużyny, który wraz z rodziną przyjechał do Krakowa z USA, aby szkolić młodzież. – „Choć w Polsce i Ameryce niektóre święta wyglądają nieco inaczej, jak np. Halloween i Wszystkich Świętych, to jest to wzajemna cenna lekcja kultury. Zapraszając polskich graczy do wspólnego stołu, chciałbym poszerzyć ich spojrzenie na mój narodowy sport" – mówi trener Albert Hesskew[83].

---

[82] W. Kuchta, *Szczotka, kamień i lód – czyli curling po krakowsku*, DP z dn. 7.01.2010.

[83] *Tygrysy na Święcie Dziękczynienia*, DP z dn. 15.11.2010.

Przy całym szacunku dla amerykańskiego trenera i jego działań oraz poglądów, owa „wzajemna lekcja kultury" zapewne przyda się i Polakom, i Amerykanom, twierdzę jednak, że transplantacja Święta Dziękczynienia na polski grunt nie ma widoków na powodzenie. Wynika to z faktu, iż święto to jest z gruntu amerykańskie, wynika z amerykańskiej historii i tradycji, a z polską tradycją i historią w żaden sposób nie da się go powiązać. Z pewnością stanie się okazją do miłego spotkania zawodników drużyny Tigers, ich rodzin, a może nawet, wciąż nielicznych, kibiców amerykańskiego futbolu. Nie zakorzeni się, mimo podejmowanych wysiłków, w świadomości Polaków. Jest bowiem pozbawione elementów uniwersalnych. Jak z kolei wygląda kwestia propagowania Halloween i walentynek, świąt od pewnego czasu propagowanych w Polsce?

Poczęstunek albo psikus oraz randki w tramwaju

Amerykański Halloween, nawiązujący do celtyckich tradycji święta zmarłych, niemający nic wspólnego z tradycjami chrześcijańskimi, Polakom był znany do niedawna jedynie z filmów – horrorów. Od końca ubiegłego wieku pojawiły się przypadki obchodzenia tego święta także u nas, choć miało i ma to miejsce jedynie w niektórych szkołach uczących języka angielskiego, z inicjatywy nauczycieli oraz w szkołach angielskojęzycznych. Popularność tych imprez nie wykracza poza te miejsca, choć prasa chętnie o nich i w ogóle o tym święcie donosi w rozmaitym kontekście. W roku 2003 czytamy w „Gazecie Krakowskiej":

> Moskiewskim szkołom zabroniono obchodzenia święta Halloween. Oficjalne pismo w tej sprawie moskiewski Departament Edukacji wystosował do szkół w lutym. W rozporządzeniu wyjaśniono, że „istnienie w obchodach elementów treści religijnej [...], a także kultu śmierci i jej personifikacji jest sprzeczne ze świeckim charakterem kształcenia w (rosyjskich) państwowych placówkach szkolnych i szkodliwe dla psychicznego i duchowo-moralnego zdrowia uczniów". Halloween – coraz popularniejszy i w Polsce – dociera wszędzie, nawet pod wodę[84].

Notka była ilustrowana zdjęciem pokazującym Konkurs Podwodnej Dyni na Florydzie.

Typowe obchodzenie święta Halloween w Polsce prezentuje, a poniekąd i propaguje Amerykańska Szkoła Międzynarodowa w Krakowie:

> Jak przystało na szkołę amerykańską i zgodnie z tradycją zza oceanu obchodzono święto duchów zwane Halloweenem. W ostatnim dniu października wewnątrz placówki przy ulicy Warneńczyka królowały dynie oraz fantazyjne stroje wychowanków i personelu. [...]. – „W Stanach Zjednoczonych żarty z okazji Halloween wiążą się z udekorowaniem domu sąsiada lub jego samochodu rolkami papieru toaletowego" – wyjaśnia nauczycielka, Gael Reilly. – „Tradycja tego święta określana jest jako »trick or treat« [psikus albo poczęstunek – R.K.]. Jeżeli nie możesz niczym poczęstować odwiedzających cię sąsiadów, musisz

[84] *Jutro Halloween*, GK z dn. 30.10.2003.

spodziewać się psikusa z ich strony". Z okazji obchodu Halloween na dzieci w szkole przy Warneńczyka czekały rozmaite zabawy. Były więc do zjedzenia wiszące na sznurkach jabłka, które należało ugryźć bez pomocy rąk. Między klasami trwała rywalizacja, która z grup przygotuje najatrakcyjniejszą dynię [...]. – „Święto Halloween trudno porównać z tradycjami obowiązującymi w Polsce" – mówi nauczycielka amerykańskiej szkoły. – „W Stanach Zjednoczonych jego obchody mają odegnać z domu złe duchy i zapewnić sobie opiekę ze strony zmarłych"[85].

Halloween raczej nie przyjmie się w krakowskich szkołach, mimo swojej atrakcyjności (zabawy w przebieranie!), doczekał się jednak ciekawej i godnej uwagi badacza ludycznej riposty.

Ponad 50 postaci z zaświatów nawiedziło wczoraj z samego rana Młodzieżowy Dom Kultury im. K.I. Gałczyńskiego na Kurdwanowie. Wszystko za sprawą IV Krakowskiego Zlotu Duchów i Duszków. Choć ranek to pora dla duchów „nieludzka", zjawy bawiły się wyśmienicie. Prezentowały na scenie najnowsze trendy mocy, tańczyły i – oczywiście – straszyły. [...] – „Imprezę organizujemy zawsze przed Dniem Zmarłych, aby się dzieciom utrwaliło, ale zabawa ta nie ma nic wspólnego z Halloween" – zastrzega Bogumiła Pamuła, organizator zlotu. – „Adresujemy ją do uczniów V i VI klasy szkól podstawowych oraz gimnazjów. Dzieci – oczywiście – rywalizują między sobą. Ich zadaniem jest przygotowanie najciekawszych strojów duchów z literatury, baśni lub z własnej fantazji. Ponadto mają przedstawić na scenie 5-minutowy program artystyczny[86].

Podtytuł notatki prasowej brzmiał: „Zamiast Halloween". Czy istotnie uda się zamknąć obchody tego święta w szkołach amerykańskich i w szkołach językowych, czy jednak rozpowszechni się ono bardziej, wyjdzie poza sale szkolne, dziś trudno powiedzieć.

Całkowicie odmiennie jest w przypadku walentynek, czyli Dnia Świętego Walentego (14 lutego), przez bardziej świecko nastawione media nazywanego Dniem Zakochanych. O komercyjnym tle tego święta, które – jak się wydaje – zadomowiło się w Polsce na dobre, celnie pisze A. Zboińska:

Walentynki to nie tylko święto zakochanych, ale również finansowe żniwa dla tysięcy firm zajmujących się produkcją, usługami i handlem. Na nowej, bo liczącej sobie w Polsce niespełna 15–18 lat, tradycji miliony zarabiają kwiaciarnie, cukiernie, restauracje, kina, a także spółki telekomunikacyjne czy linie lotnicze. Już na kilka dni przed walentynkami ich obroty wzrastają o 5–30 proc. Walentynki to jedno z trzech świąt w roku, przy okazji których wydajemy najwięcej na prezenty i gadżety. W tym roku portfele zakochanych schudną o 1,5 mld zł. To wprawdzie mniej, niż przeznaczyliśmy na prezenty w Boże Narodzenie, ale kwota, jaką wydajemy z okazji dnia zakochanych, będzie prawie o 20 proc. wyższa niż rok temu[87].

---

[85] *Poczęstunek albo psikus*, GK z dn. 2.11.2004.

[86] *Zjawy na Kurdwanowie*, DP z dn. 28.10.2004. W Polsce obchodzimy Dzień Wszystkich Świętych oraz Dzień Zaduszny, nazywanie tego pierwszego albo i drugiego Świętem Zmarłych jest praktyką z czasów komunistycznych, niezgodną z wielowiekową tradycją.

[87] A. Zboińska, *Zakochani mają święto, a polski biznes kwitnie*, GK z dn. 11.02.2008.

Polakom daleko do Amerykanów, którzy statystycznie na prezenty walentynkowe wydają 130 dolarów, o czym wspomina autorka artykułu, ale polskie 100 złotych też się liczy. Nic więc dziwnego, że medialna promocja walentynek jest niezwykle rozbudowana, co przyczynia się do rosnącej popularności w Polsce tego, rozprzestrzeniającego się na świecie, początkowo amerykańskiego święta. Można powiedzieć, że walentynki to święto nie tylko zakochanych, ale również, a może przede wszystkim, święto konsumpcji. Społeczeństwo polskie, przynajmniej jego część, w dniu tym świętuje radość z przynależności do świata konsumpcji, do którego przez dziesięciolecia bez skutku aspirowało.

Z ogromnej liczby imprez organizowanych z okazji walentynek w Krakowie, zwrócę uwagę na dwie, wyróżniające się oryginalnością. Są to: „śpiewanie na poczcie" i „walentynkowy tramwaj".

> Przez dwie godziny w sobotę, w holu Poczty Głównej, rozbrzmiewały piosenki o miłości, śpiewane przez artystów kabaretu Loch Camelot, którzy wspólnie z prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Piosenki Waldemarem Domańskim już po raz siódmy zaprosili na lekcję śpiewania. A że 14 lutego to walentynki, zatem rozbrzmiewały słowa o miłości – te z międzywojnia, jak „Miłość ci wszystko wybaczy", „Na pierwszy znak", i te bardziej współczesne, by tylko „Jej portret", „Takie ładne oczy" czy „Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał" lub „Do zakochania jeden krok" przypomnieć. [...] Chętni mogli też sami śpiewać, co nagradzano stosownymi upominkami. Kto chciał – mógł też opuszczając rozśpiewany urząd pocztowy (który w tym czasie działał – obsługiwał klientów) otrzymać stosowny stempel okolicznościowy z czerwonym sercem i napisem: „Każdemu wolno kochać – Walentynki z Pocztą, 14.02.2004 Kraków"[88].

Równie oryginalnym i sympatycznym pomysłem walentynkowym jest doroczny „walentynkowy tramwaj", inicjatywa „Gazety Krakowskiej" i Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego.

> Śpiew, muzyka, poczęstunek i prezenty. To wszystko czekało na każdego, kto wczoraj wsiadł do specjalnego, walentynkowego tramwaju, który przez kilka godzin jeździł ulicami Krakowa. Trasa przejazdu biegła dookoła Plant oraz do Cichego Kącika – jak mówił konferansjer – miejsca zacisznego, idealnego do spotkania wymarzonej miłości. – „Czekaliśmy na tę przejażdżkę już od soboty, bo każda okazja jest dobra do zabawy, a my jesteśmy otwarci na wszystkie ciekawe pomysły" – opowiadają Marta i Włodzimierz – zakochani od ośmiu miesięcy. [...] – „Kiedyś nie lubiłem walentynek, ale coś w tym jest, że miłość wszystko zmienia i zaczyna się obchodzić to święto" – mówi Piotr – zakochany w Karolinie od dwóch lat. [...] Każdy pasażer „Zakochanego Tramwaju" został poczęstowany kawą z kawiarni Tribeca oraz ciasteczkami z cukierni Michalscy. Kto chciał, mógł tańczyć i śpiewać miłosne przeboje wspólnie z zespołem Loch Camelot. Na najodważniejszych czekały drobne prezenty od krakowskiego MPK. – „Ten tramwaj to naprawdę fajny pomysł" – podsumowali Karolina i Krzysiek. [...] – „Bardzo nam się podobało i choć nie obchodzimy walentynek, to mogliśmy ciekawie spędzić czas" – dodali[89].

---

[88] *Każdemu wolno kochać i śpiewać*, DP z dn. 16.02.2004.

[89] *Tramwaj pełen zakochanych*, DP z dn. 15.02.2006.

Jak widać, są tacy, którzy mimo – a może właśnie z powodu – medialnego nacisku, walentynek nie obchodzą. Najczęściej, jak sądzę, jest to przejaw oporu wobec komercjalizacji tego święta. Jego „oprawa" budzi również spore opory estetyczne.

> Coraz brzydsze i coraz droższe – tak najkrócej można określić większość typowo walentynkowych upominków. W przypadku niektórych trudno dociec, co mają wspólnego ze świętem zakochanych [...]. Walentynkowa biedronka, tłuściutka jak prosiak, z sercami zamiast skrzydeł leży na wystawie jednego ze sklepów papierniczych w Podgórzu. Śmieją się z niej dzieci. – „Patrz, leży dziobem w glebie. Wygląda, jakby się spiła" – naigrawają się z maskotki dwaj chłopcy. Biedronka rzeczywiście tak wygląda, w dodatku kosztuje 7,99 zł i według zapewnień sprzedawczyni jest już ostatnia w sklepie. Wszystkie pozostałe ponoć sprzedały się znakomicie[90].

Owe „koszmarki od serca", jak zostały nazwane w prasowej notatce, są – zdaniem nie tylko przeciwników walentynek – przejawem złego gustu, jednym z dowodów amerykanizacji polskiej kultury. Dla mnie są dowodem, że polska kultura, także w wyniku przenikania do niej elementów kultury Innych, staje się segmentem współczesnej, nieomal już globalnej, kultury popularnej, niekiedy zwanej kulturą masową.

Zakończenie

Wnioski, jakie można wyciągnąć z przytoczonego materiału – raczej skromnego i wybiórczego, nieoddającego w pełni skali zjawiska – są dość oczywiste. Kraków od dwóch dekad, skoncentrowałem się na ostatniej dekadzie, jest miejscem, gdzie w sposób wcześniej niespotykany dochodzi do prezentacji kultur Innych. Odbywają się niezliczone imprezy, najczęściej – i o takich przede wszystkim była mowa – mające znaczny ładunek ludyczny, takie, które z założenia służą zabawie i rozrywce, choć również cele poznawcze i dydaktyczne odgrywają w nich sporą rolę, przynajmniej pojawiają się w deklaracjach organizatorów.

Omawiane imprezy miały niekiedy, raczej rzadko, charakter mocno oficjalny, o wiele częściej półoficjalny lub nie miały w sobie nic oficjalnego, były wyrazem spontanicznego działania jednostek lub grup ludzi. Te pierwsze organizowane były przez instytucje zajmujące się „zawodowo" propagowaniem kultury danego kraju czy narodu (na przykład wspomniany Instytut Konfucjusza, instytuty przy krakowskich konsulatach, na przykład Austrii, Instytut Niemiecki im. Goethego, Instytut Kultury Francuskiej itd. – podobnych instytucji w Krakowie nie brakuje, choć nie wykazują one nadmiernej aktywności). W takich imprezach uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, ambasadorzy i konsulowie państw, których kultura była propagowana. Czasami współorganizatorami bywają rozmaite organizacje społeczne, fundacje, kluby, a nawet galerie sztuki. Wielką rolę w takich, oficjalnych czy półoficjalnych, prezentacjach odgrywają domy kultury, podkreślić trzeba zwłaszcza aktywność NCK, Domu Kultury im. K. Norwida i Śródmiejskiego Domu Kultury.

---

[90] *Koszmarki od serca*, DP z dn. 13.02.2005.

Mniej oficjalne imprezy organizują kluby studenckie, Studenckie Koła Naukowe, stowarzyszenia miłośników takiej czy innej kultury, często są to organizacje zupełnie nieznane do momentu zorganizowania jakiejś, nagłośnionej przez prasę, imprezy oraz – co bardzo znamienne i coraz częstsze – także osoby prywatne, na przykład biznesmeni o kulturalnych zainteresowaniach.

Imprezy propagujące kulturę Innych mają zróżnicowany rozmach, bywają to imprezy plenerowe, masowe, przyciągające tysiące uczestników (do takich należą na przykład Targi Sztuki Ludowej, podczas których mają miejsce dni na przykład kultury węgierskiej, słowackiej czy ukraińskiej), ale znaczna ich część to imprezy bardziej kameralne, często – nie tylko ze względu na porę roku – odbywające się w pomieszczeniach zamkniętych (klubach, pubach, galeriach). Niektóre z imprez, początkowo skromne, z czasem rozrastają się do cyklicznych festiwali, zwanych niekiedy dniami (Kultury Żydowskiej, Latynoamerykańskiej, Romskiej, Afrobrazylijskiej itp.).

Nie da się zaprzeczyć, że większość podobnych imprez ma częściowo lub wręcz głównie charakter komercyjny, nie tylko proponują one zabawę i rozrywkę (czasem odpłatnie), ale służą także do reklamowania rozmaitych firm i produktów. Reklamujące się firmy sponsorują imprezy, do znaczących należą na przykład liczne i konkurujące z sobą szkoły językowe, szkoły i warsztaty tańca oraz prasa, choć ta ostatnia zwykle zapewnia tylko imprezie reklamę prasową.

Treści omawianych spotkań z kulturą Innych, jak można się było przekonać, choć pozornie bogate, koncentrują się i ograniczają najczęściej do kulinariów, muzyki i tańca. Organizatorzy, proponując zabawę i rozrywkę, unikają tematów poważniejszych, problemów konfliktowych i dyskusyjnych, bądź podają je w uproszczonej formie. Prezentacje są lekkie, łatwe i przyjemne, z gruntu – można powiedzieć – popkulturowe, przez co powierzchowne, stereotypowe, zgodne najczęściej z dyktatem politycznej poprawności.

Spotkania krakowian, omawiane w opracowaniu, z kulturą Innych są zatem dość liczne, lecz jednocześnie banalne i niosą niewiele znaczących treści, nie służą w istocie głębszemu poznaniu odmienności kulturowych, a raczej zabawie i rozrywce. Poważniejszych treści szukać należy gdzie indziej, najczęściej na własną rękę, poprzez studia, lekturę, poważne odczyty (są i takie, ale o nich jako pozbawionych elementu ludycznego w pracy nie wspominałem), wystawy, spotkania, konferencje naukowe i popularnonaukowe oraz – o czym nie można zapominać – naoczne obserwacje w trakcie pobytu w obcych krajach. Konkludując, idea poznawania kultur Innych poprzez zabawę, choć godna uwagi, nie została jeszcze przełożona na konkretne, skuteczne działania.

Oczywiście, nie można wykluczyć, że ludyczne spotkania z kulturą Innych stają się niejednokrotnie wstępem do dalszego, bardziej samodzielnego i pogłębionego studiowania wiedzy o kulturach. Dotyczy to, rzecz jasna, zarówno dzieci, młodzieży, jak i dorosłych. Do nich wszystkich bowiem adresowane są opisywane tu imprezy. Mimo ludycznego charakteru, a może czasem dzięki niemu, staną się one, w co nie przestaję wierzyć, bramą do poznawania, już na serio, kultury Innych, punktem wyjścia do budowania z Innymi kulturowego dialogu.

VIII. SPEKTAKLE LUDYCZNE W SŁUŻBIE REGIONALIZMU

„Pomiędzy dawnymi a wymyślonymi tradycjami można zauważyć jedną wyraźną różnicę. Te pierwsze miały charakter konkretnych i silnie wiążących praktyk społecznych, drugie były zwykle dość niekonkretne i mgliste co do natury wpajanych wartości oraz praw i obowiązków związanych z członkostwem w grupie".

Eric Hobsbawm

Wstęp

Wydaje się, że współcześnie w czasach dominacji kultury popularnej przesyconej hedonizmem, dążeniem do osiągania zadowolenia i przyjemności, nie ma nic gorszego, nic bardziej przygnębiającego dla jednostki, jak być anonimowym. Być bowiem anonimowym to dla większości ludzi być nikim, zerem, po prostu nie być. Stąd też niemała część aktywności człowieka prowadzić ma – w sposób założony, a bywa, że po prostu intuicyjnie – do tego, że zostanie on zauważony, doceniony, w ostatecznym, acz rzadkim przypadku, stanie się sławny i – dodałbym tu jeszcze, choć wcale nie musi to być głównym motywem działania – bogatym. Ludzie kształcą się, uprawiają politykę lub sport (a niekiedy jedno i drugie razem), kolekcjonują najdziwniejsze przedmioty, tańczą i śpiewają, czasem gotują na oczach tłumu, odpowiadają na mądre – rzadziej, i całkiem głupie – najczęściej, pytania reporterów oraz robią tysiące innych rzeczy niekoniecznie sensownych, aby zaistnieć w mediach, stać się kimś, wywołać sobą zainteresowanie, mieć swoje pięć minut popularności oraz – przy okazji – zabawić się. Dziś w czasach dominacji środków masowego przekazu, ich potęgi i wszechpanowania, wmówiły one ludziom, że szczytem ich marzeń to być kimś znanym, być celebrytą[1]. Oraz doskonale się bawić, a któż bawi się lepiej, jak nie celebryta? Bardzo wielu w to uwierzyło i choć niewielu może osiągnąć status celebryty, to wszyscy mogą się dobrze bawić.

Wydaje się również, że we współczesnym świecie narastającej globalizacji, której kulturowy wymiar oznacza realizowanie tendencji do uniformizacji zwyczajów, obyczajów, opinii, gustów, form zabawy i rozrywki, po prostu niemal całej kultury, nie ma nic gorszego, jak nie posiadać oryginalnego kulturowego dziedzictwa, niepowtarzalnych, wyróżniających epizodów dziejowych, godnych powszechnej uwagi, zdobyczy materialnych i niematerialnych, w ostateczności chociaż osobliwych i nigdzie

---

[1] W. Godzic, *Znani z tego, że są znani. Celebryci w kulturze tabloidów*, Warszawa 2007.

indziej niespotykanych pozycji w jadłospisie[2]. To pragnienie, rodzaj oporu wobec globalizacji, nie może dziwić, nie może też nie budzić sympatii.

O przezwyciężaniu poczucia anonimowości jednostek ludzkich, m.in. poprzez zabawę, pisałem już w innym miejscu. Tu przedmiotem moich wywodów będą próby – skoncentruję się na pierwszym dziesięcioleciu nowego tysiąclecia – udane, mniej udane i całkiem poronione, dokonywane przez zbiorowości lokalne, wiejskie, gminne, małomiasteczkowe, które ogólnie nazwać można ucieczką z cienia anonimowości, a używając współczesnego języka popkultury: wypromowania się.

Duże, historyczne miasta, na przykład Kraków, Poznań, Wrocław czy Warszawa, także mniejsze ośrodki miejskie, ale posiadające znane zabytki, zasłużonych obywateli – postacie historyczne, jednostki twórcze czy doceniane walory turystyczne (Toruń, Wadowice, Zakopane), nie mają z promocją większego problemu. Jeśli jakieś problemy się pojawiają, to są wynikiem nieudolności, opieszałości lokalnych władz, czy rezultatem zgubnego przekonania, że wystarcza fakt posiadania pewnych atutów, aby promocja sama się dokonała, że nie potrzeba działań reklamowych.

Inaczej jest w przypadku miasteczek, subregionów czy wsi, które nie zostały dotychczas zauważone, bo nie mogą się pochlubić uznanymi walorami, muszą dopiero wywalczyć sobie pozycję, lub – co też się zdarza – odzyskać ją po okresie stagnacji czy wręcz upadku. Taka sytuacja wymusza na obywatelach i władzy – niestety, nie zawsze zauważamy między nimi harmonijną współpracę, a to jest podstawowym warunkiem powodzenia – działania, które uznaję za podstawowe. Są to poszukiwania elementów kulturowego i historycznego dziedzictwa – można to dziedzictwo określić mianem tradycji danej grupy[3] – które to elementy mogłyby spełnić rolę zaczynu, spowodować pojawienie się zainteresowania lub wzrost zainteresowania tą zbiorowością i miejscem jej zamieszkania.

Takie poszukiwania już są znaczące, powodują bowiem także wzrost świadomości lokalnej, przynajmniej jakiejś części zbiorowości, narastanie poczucia więzi z miejscem zamieszkania, pojawienie się i krzepnięcie tego, co ogólnie nazywa się postawami regionalistycznymi[4]. W końcowym rozrachunku, niezależnie od tego, czy owo poszukiwanie da jakieś konkretne rezultaty, wpływa na utożsamianie się aktywniejszych jednostek z dziejami i kulturą grupy, ma zatem istotne znaczenie dla budowania tożsamości kulturowej na poziomie lokalnym czy regionalnym[5].

Jeśli poszukiwania specyfiki historycznej czy kulturowej powiodą się, to znaczy, że ujawnione zostaną, dowiedzione lub – co nierzadkie – wymyślone jakieś atrakcyjne „znaki” przynależne do tej i żadnej innej grupy, problemem będzie ich upo-

---

[2] W.J. Burszta, W. Kuligowski, *Sequel. Dalsze przygody kultury w globalnym świecie*, Warszawa 2005, s. 88–123.

[3] Zob. R. Kantor, *Istota i siła tradycji*, [w:] *Bogaci tradycją. Kontynuacja i zmiana w kulturze współczesnej wsi polskiej*, Kielce 1996, s. 9–17.

[4] Zob. P. Kwiatkowski, *Ideologia regionalizmu w Polsce międzywojennej*, „Kultura i Społeczeństwo” 1984, nr 4, s. 143.

[5] T. Smolińska, *O potrzebie utożsamiania się z regionem. Społeczne inicjatywy folklorystyczne*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne”, t. 2: *Kultury regionalne i pogranicza kulturowe a tożsamość etniczna*, Katowice 1999.

wszechnienie, nie tylko w samej grupie, bo to jest stosunkowo proste, choć nie automatyczne, lecz w szerszej zbiorowości, która – być może – o tej grupie, jej dziejach i kulturze, nic dotychczas nie wiedziała. Skuteczna reklama dziedzictwa historycznego i kulturowego zależy od wielu czynników, także od szczęśliwego przypadku, jest trudna i wymaga wielu zachodów. „Przebicie się” do mediów, a co za tym idzie możliwość zaprezentowania swoich walorów i atrakcji w radiu, prasie, a zwłaszcza w telewizji, ogólnopolskiej w szczególności, to dopiero początek. Tego rodzaju sukces należy jeszcze umieć zdyskontować, utrzymać chwilowe zainteresowanie, spowodować, aby przerodziło się ono w stałe, aby zaowocowało w sferze ekonomicznej. Przyciągnąć wczasowiczów, turystów, a przede wszystkim sponsorów, to zadanie karkołomne, o czym przekonała się niejedna zbiorowość lokalna, zbytnio ufając w trwałość pierwszego sukcesu.

A co się dzieje, jeśli poszukiwania mimo wszystko okażą się niewypałem? Nie należy tracić ducha, specyfikę lokalną można przecież albo „wyinterpretować” (tak określam działania na pograniczu nadinterpretacji rzeczywistych faktów historycznych i kulturowych), albo – jak już poprzednio wspomniałem – po prostu wymyślić (to już oczywiście coś więcej niż nadinterpretacja, nazwijmy taki proceder konfabulacją). Można też korzystać z podszeptów popkultury, łączyć elementy dziedzictwa historycznego i kulturowego z jej treściami i formami występowania. Jak później zobaczymy, takie hybrydy, rażące wielu miłośników tradycji, mogą się stać oryginalnymi elementami współczesnej kultury lokalnej, mogą nawet zostać uznane za wynik jej modernizacji. Modernizacja kultury polega przecież na umiejętnym czerpaniu inspiracji i tematów dziedzictwa kulturowego, w istocie na jego selekcji, tworzeniu nowych elementów kulturowych oraz na zapożyczaniu (adaptowaniu) elementów kultury szerszej, masowej, popularnej, narodowej itd.[6]. Konglomerat, nie zawsze możliwy do akceptowania, często wręcz rażący, osobliwy czy śmieszny, tworzy niemałą część współczesnej kultury lokalnej, subregionalnej czy regionalnej, która przy wszystkich swoich słabościach, a nawet sprzecznościach, może być atrakcyjna i przyciągająca nie tylko dla jej twórców, lecz także dla ludzi z zewnątrz, może dawać szansę wyjścia lokalnej grupy z cienia, z owej anonimowości, która tak doskwiera współczesnemu człowiekowi i ludzkim grupom. A że czasami kultury lokalne jawią się obserwatorom (a zapewne także wielu członkom owych grup) czymś w rodzaju dań wielokrotnie odgrzewanych, lub po prostu przysłowiowym grochem z kapustą, bynajmniej nie oznacza, że dania takie nie mogą smakować. Współczesna kultura nazywana jest niekiedy supermarketem, w którym wśród rozmaitości towarów różnego pochodzenia i wartości każdy znajdzie coś dla siebie. Czy współczesne kultury lokalne wyglądają inaczej? Każdy ich uważny obserwator temu zaprzeczy.

Poniżej zaprezentuję obszerny zestaw wybranych dowolnie, ale mających ilustrować bogatą i różnorodną paletę działań na rzecz promocji lokalnych zbiorowości wsi, miasteczek, subregionów i regionów Polski. Działania te mają niekiedy mocne korzenie w dziedzictwie historycznym i kulturowym grup lokalnych, czasem jednak śmiało

[6] R. Kantor, *Modernizacja kultury – kaprys czy konieczność?*, [w:] *Wspólne jutro. Kontynuacja i zmiana w kulturze współczesnej wsi polskiej*, red. R. Kantor, Kielce 1998, s. 11–19.

sięgają po elementy współczesnej kultury popularnej, niekiedy są po prostu formami kreowania jej treści. Rozmaitość owych działań nie pozwala, na tym etapie badań, na tworzenie ich klasyfikacji czy choćby typologii. Zatrzymam się zatem na etapie dokumentacji, opisu, nie ukrywając bynajmniej, że dobór przykładów dokonany został także ze względu na ich spektakularność, barwność, niekiedy śmiałość i osobliwość oraz ogólnie związek ze sferą ludyczności. Przypominam, że współczesna kultura, zwana konsumpcyjną, bądź po prostu kulturą zabawy, wręcz wymusza nasycanie akcji promocyjnych – a przecież mamy tu do czynienia, niejako w ostatecznej instancji, z promocją zbiorowości i kultur lokalnych – elementami ludycznymi, co zresztą daje często całkiem interesujące wyniki i dodatkowo bywa nader skuteczne.

Relacje moje, jak i w poprzednich rozdziałach, oparłem na źródłach prasowych i internetowych, wiele akcji promocyjnych oraz ich rezultatów obserwowałem na żywo, stąd biorą się osobiste uwagi i oceny, którymi, nawet bardzo krytycznymi, nikogo nie zamierzałem urazić, a tym bardziej zniechęcić do działania. Ludzi, którzy opisane poniżej działania podejmują, niezwykle szanuję, ich rolę w pełni doceniam, czemu dawałem wyraz w wielu publikacjach[7].

Spektakl I. Buty, krasnoludki i Tatarzy

Na pograniczu Małopolski i Śląska, w powiecie chrzanowskim, leży wieś i gmina Chełmek, kojarzona być może przez wielu Polaków z zakładami obuwniczymi. Niewielu jednak łączy to miejsce z dziejami światowego imperium obuwniczego Tomasza Baty. Na tym nazwisku i na obuwniczych tradycjach Chełmek pragnie dziś oprzeć swoją promocję. Pierwszym krokiem było przypomnienie lokalnej zbiorowości dziejów fabryki obuwia w Chełmku:

> Polska Spółka Obuwia BATA SA w Krakowie została zarejestrowana pod koniec grudnia 1929 roku w Sądzie Okręgowym. Kapitał akcyjny wynosił 3 mln złotych i został podzielony na 12 tys. akcji po 250 złotych. W momencie rejestracji spółki Bata nie miał jeszcze pomysłu odnośnie miejsca, gdzie wybuduje fabrykę. Rozważał kilka ofert, aż w końcu zdecydował się na Chełmek. Wówczas była to mała, rolnicza wioska, położona na kraju województwa krakowskiego. Bata liczył na zakup tanich gruntów i tanią siłę roboczą [...]. W 1931 roku pierwsza grupa ludzi jedzie na szkolenie do macierzystych zakładów Tomasza Baty w Zlinie[8].

Utworzenie fabryki spowodowało znaczący rozwój miejscowości i podniosło poziom życia mieszkańców. W 1938 roku produkcja obuwia w Chełmku wyniosła 2 mln 260 tys. par przy zatrudnieniu 1669 osób. Tomasz Bata już wtedy nie żył, zginął w katastrofie lotniczej w roku 1932. Jednakże mieszkańcy Chełmka pamięć o nim

[7] *Idem*, *Kulturotwórcza rola liderów w zbiorowościach lokalnych*, „Małopolska – regiony – regionalizm – małe ojczyzny” 2005, t. 7, s. 9–17.

[8] Wykorzystałem pracę M. Kopały, *Instytucje użyteczności publicznej o charakterze społeczno-kulturowym w Chełmku*, wykonaną jako zaliczeniową z przedmiotu „Edukacja przez projekty”, prowadzący prof. R. Kantor, socjologia r. III, Szkoła Wyższa im. B. Jańskiego, Kraków 2009.

utrzymali w okresie po II wojnie światowej, kiedy to fabryka działała jako jedna z sieci wytwórni zwanych „Południowymi Zakładami Przemysłu Skórzanego". Lata 1990–1995 to okres restrukturyzacji przedsiębiorstwa. Dodać tu trzeba, że Chełmek uzyskał w 1969 roku prawa miejskie.

Firma Baty, pod zarządem syna Tomasza, Jana Tomasza Baty i jego stryja Jana Antoniego, osiągnęła po II wojnie światowej status koncernu globalnego, działającego na wszystkich kontynentach i w wielu krajach, poza – rzecz jasna – krajami komunistycznymi. W Czechosłowacji, gdzie firma się narodziła, zacierano jej wszelkie ślady, zmieniając nawet nazwę miasta – głównej siedziby. Zlin, w którym powstało w roku 1894 imperium Baty, stał się Gottvaldovem, dziś wrócił już do dawnej nazwy[9].

W roku 2006 został oddany w Chełmku do użytku „Dom Pamięci Baty". Powstał dzięki staraniom lokalnego samorządu i finansowemu wsparciu Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego i budżetu Państwa Polskiego. Mieszczą się w nim sale muzealne poświęcone rodzinie Baty, historii przemysłu obuwniczego, kulturze subregionu oraz nowoczesna remiza straży pożarnej, a także sala spotkań. Gospodarzem „Domu" jest Stowarzyszenie „Klub Idei Tomasza Baty".

W roku 2007 Chełmek odwiedził Tomasz Jan Bata (1914–2008), który dokonał otwarcia obiektu – symbolu pamięci i wdzięczności mieszkańców Chełmka i okolic.

> W Chełmku – pisze M. Kopała – marzą, by Dom Pamięci Baty stał się miejscem tętniącym życiem. Na razie miasta nie stać jednak, aby był otwarty całymi dniami. Ośrodek Kultury nie ma pieniędzy na zatrudnienie osoby, która nieustannie pilnowałaby zbiorów i była do dyspozycji zwiedzających. W każdej chwili jednak wystarczy zadzwonić czy przyjść do miejskiego ośrodka i w ciągu trzech minut jesteśmy w muzeum. Ekspozycja poświęcona Bacie, historii jego imperium i ziemi chełmeckiej, zajmuje trzy sale na piętrze domu Baty[10].

Chełmek jest przykładem, może nie nazbyt udanym, budowania tożsamości regionalnej na odkrywanych na nowo, po czasach komunistycznej niepamięci, dziejach przemysłu lokalnego, co nie jest bynajmniej oryginalne. Podobne przypadki znane są w Polsce, na przykład Złoty Stok na Dolnym Śląsku i tamtejsze Muzeum Hutnictwa i Górnictwa z Podziemną Trasą Turystyczną „Kopalnia Złota", Bóbrka – Muzeum Skansen Przemysłu Naftowego, Świątniki Górne koło Krakowa, gdzie mieści się Muzeum Ślusarstwa im. Marcina Mikuły, czy Manufaktura Ceramiki w Ćmielowie. Brak w dziedzictwie historycznym i kulturowym innych, może bardziej atrakcyjnych elementów, skłania do wyboru tych istniejących, a zatem narzucających się, choć dość trudnych do popularyzacji. Tym bardziej trzeba cenić inwencję organizatorów za podjęcie takiego zadania. Ileż bowiem trzeba pomysłowości, aby z demonstracji dawnych technik, na przykład wyrobu ceramiki lub wydobywania ropy naftowej, uczynić nie tylko dydaktyczny, ale i ludyczny spektakl. Oczywiście, niekiedy powstają „naturalne" spektakle najwyższej ludycznej klasy, na przykład zabawa w wypłukiwanie złota w Złotym Stoku. Najczęściej jednak daje się zauważyć niedostatek ludyzmu, a nadmiar dydaktyki, na czym trudno budować atrakcyjność danego miej-

---

[9] A. Kopyt, *Zlin – miasto idealne*, „Wprost" 2010, nr 3.

[10] M. Kopała, *Instytucje użyteczności publicznej...*, s. 20.

sca. Należy mieć nadzieję, że i mieszkańcy Chełmka znajdą z czasem sposób na ludyczne „obudowanie" odtwarzanych tradycji obuwniczych.

Wielką szansę otrzymało natomiast Drawno, niewielkie miasto na Pojezierzu Pomorskim, położone w najbliższych okolicach Drawieńskiego Parku Narodowego; może się stać sławne dzięki ogrodowym krasnalom[11].

W roku 2009 odkryto prasową ofertę z roku 1886, która przedstawiała: „trzy krasnale; stojący, długości 90 cm oparty jest o siekierę, leżący długości 1 m wsparty na ramionach i siedzący na pieńku wys. 75 cm". Dzięki temu odkryciu okazało się, że Drawno (dawniej Neuwedell) może być (jest?) kolebką terakotowego krasnala na Pomorzu i w Prusach. Nie jest to do końca pewne, ale tak czy inaczej Drawno wysunęło się dziś niespodziewanie na czoło wśród pierwszych producentów krasnali ogrodowych. Dotychczas prym wiodła Turyngia, ale pierwsze wiarygodne wzmianki o produkowaniu tam krasnali pochodzą dopiero z roku 1893!

W Drawnie w roku 1866 pojawiła się firma „Etruria", która produkowała ozdoby ceramiczne z przeznaczeniem dla ogrodów, parków i cmentarzy. Wśród jej wyrobów były również pomoce naukowe, figury wystawowe, donice itd. Właścicielem firmy była rodzina Seeger. Lokalizacja fabryki w Drawnie nie była przypadkowa, okolice miasta obfitują w pokłady odpowiedniej glinki.

„Mamy Drawę, Drawieński Parka Narodowy i Piknik nad Drawą – pisał lokalny dziennikarz Tadeusz Krawiec – do tego potrzebny nam porządny produkt turystyczny". Rychło władze miejskie za taki produkt uznały krasnale. Powzięto pomysł zorganizowania festiwalu tych sympatycznych postaci:

> Festiwal nie ma jeszcze swojej nazwy, ale już wiadomo, że podczas tygodniowej imprezy wybrany będzie krasnal roku, ogłoszony też będzie konkurs na tematyczną legendę i opowiadanie. Zaplanowano też seminarium. Co na to mieszkańcy? – „Jak iść, to za ciosem. Proponuję odtworzyć fabrykę, przecież zabudowania stoją" – pani Barbara pokazuje na stare zabudowania przy ul. Choszczeńskiej.

Obserwatorzy w mig zrozumieli znaczenie pomysłu. Jeden z nich na forum „Gazety Lubuskiej" (z dn. 16.02.2009) napisał: „Pragnę pozdrowić pomysłodawców tej imprezy i pogratulować pomysłu. Impreza [...] z biegiem czasu przyniesie wam duże wpływy do budżetu miasta i pozwoli zmniejszyć bezrobocie".

A oto krótki opis tygodniowej imprezy:

> 27.06.2009 r. kolorowy korowód prowadzony przez orkiestrę dętą z Choszczna [...] uroczyście otworzył ciąg imprez towarzyszący I Festiwalowi Krasnali w Drawnie. Na Placu Wolności pojawiło się tysiące krasnali i innych postaci baśniowych, zaczarowany świat zwierząt, wiatraki, figury ogrodowe i elementy dekoracyjne. W ciągu tych baśniowych dni producenci z całej Polski zaprezentowali swoje wyroby [...]. Festiwal był okazją do nabycia krasnali i różnego rodzaju figur dekoracyjnych i ogrodowych. Do dyspozycji kupujących były również katalogi z ciekawymi ofertami. Korzyść była obustronna – pro-

[11] Dziękuję dr. R. Hołdzie za zwrócenie mojej uwagi na Drawno i tamtejsze krasnale. Informacje zebrałem ze strony www.drawno.pl, ostatni wgląd listopad 2011. Zob. zwłaszcza A. Szutowicz, M. Twardowski, *Krasnale z Drawna*. W roku 2011, w dniach 1.07–3.07, odbył się III Festiwal Krasnali.

ducenci, dzięki nowym formom prezentacji, zyskali lepszą pozycję na rynku i nawiązali nowe kontakty handlowe, a klienci nabyli nietypowe towary.

Wszystko wskazuje na to, że festiwal był wielkim sukcesem nie tylko handlowym, odbyły się także liczne imprezy artystyczne, tysiące rodzin wybrało się do Drawna i zapewne wybiorą się tam również na kolejne edycje krasnalowej zabawy. Zobaczymy zatem, czy dalsze działania władz Drawna rzeczywiście doprowadzą do tego, że – co się im marzy – „krasnale staną się znakiem rozpoznawczym miasta”[12].

Czy można wypromować miejscowość, opierając się na jej odmienności kulturowej, etnicznej, religijnej w stosunku do reszty otoczenia? Pozytywnym przykładem tego rodzaju promocji mogą być Kruszyniany, wieś leżąca na Podlasiu około 20 km od Białegostoku, niegdyś izolowana, dziś miejsce sobotnio-niedzielnych pikników dla mieszkańców tego miasta.

Kruszyniany to wieś położona niedaleko Krynek – czytamy w pracy L. Matei – zamieszkana w części przez potomków Tatarów. Wieś została założona prawdopodobnie już w wieku XVI. W 1679 roku Jan III Sobieski nadał Tatarom m.in. Kruszyniany oraz pobliskie wsie – Nietupa, Łużany i część Poniatowicz. Osadzeni we wsiach Tatarzy, nazywani w tamtym czasie przez Polaków Lipkami, walczyli po stronie Polski z Turkami. W Kruszynianach osiadło 45 rodzin tatarskich[13].

Dziś w Kruszynianach zamieszkuje na stałe siedem osób wyznających islam, istnieje tu jednak wciąż piękny drewniany meczet, którego architektura wyrasta wprost z niemuzułmańskiego budownictwa sakralnego Podlasia, muzułmański cmentarz, miejsce pochówku wielu pokoleń polskich Tatarów, a „w święta tatarskie przyjeżdża wielu wiernych z całego kraju. Niektórzy mają wykupione lub odziedziczone domy, w których spędzają wakacje. Część rodzin tatarskich to rodziny mieszane, w których współmałżonkowie są katolikami lub prawosławnymi”[14].

W Kruszynianach znajduje się również cerkiew i drewniana kaplica cmentarna z końca XVIII wieku oraz interesujące drewniane chałupy. Liczni turyści, których przyciągają m.in. obfitujące w grzyby okoliczne lasy, mogą korzystać z kilku restauracji, a zwłaszcza z „Tatarskiego Jadła”, którą wraz z gospodarstwem agroturystycznym prowadzi Dżenetta Bogdanowicz.

Godne polecenia – pisze L. Matela – są kołduny tatarskie z wołowiną, a i babka i kiszka ziemniaczana ponoć nie mają sobie równych. Tym, co niektórych niepokoi, jest postępująca komercjalizacja. Ci, którzy bawili w Kruszynianach jeszcze w latach 80-tych bądź wcześniej, pamiętają serdecznych i gościnnych mieszkańców. Dziś nawet za sfotografowanie starej chałupy nierzadko można usłyszeć od miejscowych żądanie zapłaty[15].

---

[12] Jak można się dowiedzieć z pracy: K. Sawala, W. Krawczyk, J. Bednarski, *Wielkie fiesty Europy*, Poznań 2005, dzisiejszy sukces komercyjny niektórych miast i festiwali przez nie organizowanych miał niekiedy skromny i całkiem niedawny początek.

[13] L. Matela, *Magiczne zakątki. Przewodnik po miejscach mocy Podlasia, Suwalszczyzny, Mazur i Ziemi Łomżyńskiej*, Białystok 2007, s. 128.

[14] *Ibidem*, s. 129. Zob. także G. Starzak, *Mekka na Podlasiu*, DP z dn. 11.12.2009. W artykule tym mowa o drugiej „tatarskiej” wsi na Podlasiu, Bohinikach.

[15] L. Matela, *Magiczne zakątki*..., s. 130.

Byłem w Kruszynianach we wrześniu 2009 roku i nie mogę potwierdzić tego rodzaju „komercyjnych" zachowań miejscowej ludności. Sądzę jednak, że komercjalizacja jest nieunikniona, w końcu – pomijając wszystko inne – mieszkańcy Kruszynian chcą zdyskontować walory swojej miejscowości w sferze ekonomicznej, chcą na tym po prostu zarobić. Bardziej niepokoją mnie przekłamania kulturowe: pseudotatarski wystrój restauracji, owe niby tatarskie dania i – pożal się Boże – główna dziś atrakcja turystyczna: „tatarska jurta", niewiążąca się w żaden sposób z kulturą osiadłych od wieków polskich Tatarów. Odnoszę wrażenie, że w Kruszynianach brakuje pomysłów, które uatrakcyjniłyby pobyt turystom we wsi, a pogoń za wątpliwą egzotyką może prowadzić donikąd. Odmienność kulturowa może być cennym elementem prezentacji zbiorowości lokalnej, może dostarczać także wielu ludycznych atrakcji, ale tylko w tym przypadku, gdy zostanie prawidłowo rozpoznana i w sposób przekonujący, nienachlany i harmonijny wpleciona w promocyjne działania[16].

Spektakl II. Bociany, „skalaki z nietoperzem", żubry, koziołek, dinozaury, renifery i wieprze

Promować zbiorowość lokalną można także, używając do tego celu zwierząt, prawdziwych i wymyślonych, żyjących „na łonie natury", zgoła mitycznych, dziś rzadkich, albo wręcz już niespotykanych, a nawet... uczłowieczonych. Oto przykłady.

W pobliżu Tykocina na Podlasiu, miasteczka wielce historycznego – spotkamy je na kartach *Potopu* H. Sienkiewicza – dziś cichego i zgoła zapomnianego, będzie jeszcze o nim mowa, leży Pentowo, Europejska Wioska Bociania. O dziejach tej stosunkowo nowej podlaskiej atrakcji tak pisze *Polska niezwykła*:

> W 1991 roku wierzchołki połamanych przez huragan drzew w Pentowie upodobały sobie bociany. Na drzewach, a także na dachach domów i słupach pobudowały gniazda. Ponieważ były one źle umocowane, Północnopodlaskie Towarzystwo Ochrony Ptaków wybudowało we wsi specjalne platformy na gniazda dla 23 par bocianów. Prawdziwym rekordzistą jest gospodarstwo państwa Toczydłowskich, na którego terenie znajduje się aż 19 gniazd. W 2001 roku niemiecka organizacja proekologiczna „Euronatur" nadała wsi Pentowo tytuł Europejskiej Wioski Bocianiej. Wyróżnienie ma charakter prestiżowy, bowiem nadawane jest tylko jednej wsi w danym kraju i świadczy o wyjątkowych walorach ekologicznych tego miejsca. We wsi wzniesiono specjalną 12-metrową „bocianią" wieżę z zadaszoną platformą, z której można wygodnie i bezpiecznie obserwować życie rodzinne bocianów. W odremontowanej stodole państwa Toczydłowskich została otwarta unikatowa Galeria Bociania. Są tam zdjęcia bocianów autorstwa zawodowych fotografików, a także plakaty, pocztówki, ulotki, książki, albumy i inne przedmioty poświęcone tym ptakom[17].

[16] Przykładem braku umiejętności wykorzystania walorów, jakie daje działaniom promocyjnym odmienność kulturowa, są moim zdaniem Wilamowice. Zob. M. Lipok-Bierwiaczonek, *Mit flamandzki, stereotyp i rzeczywistość kulturowa*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne", t. 6 *Dawne i współczesne oblicze kultury europejskiej – jedność w różnorodności*, Katowice 2002.

[17] *Pentowo*, [w:] *Polska niezwykła. Turystyczny atlas samochodowy*, Warszawa 2007, s. 101; według artykułu W. Ziobro, *Wabienie bocianem*, DP, z dn. 10.07.2009, jest obecnie w Polsce 14 bocianich wsi.

Pentowo znane jest oczywiście każdemu miłośnikowi przyrody w naszym kraju i być może wielu poza nim. Wiem, że są tacy admiratorzy bocianów, którzy systematycznie obserwują w Internecie pentowskie rodziny bocianie, wielu też przybywa w sezonie do tej miejscowości, by przeprowadzać obserwacje na miejscu. Jednakże budowanie promocji jednej niewielkiej wsi pozbawionej znaczącej bazy agroturystycznej, poza wspomnianym dworkiem, na obecności bocianów – w końcu tylko sezonowej – nie ma chyba przyszłości. Jakoś nic nie słychać o Ogólnopolskim Festiwalu Bocianów!

Z kolei Dolina Prądnika z Ojcowem i licznymi jaskiniami, na przykład Grota Łokietka, z zamkami (Pieskowa Skała, Ojców) jako część dobrze zagospodarowanej Jury Krakowsko-Częstochowskiej, jeden z najatrakcyjniejszych obszarów w Polsce, nie wymaga, z pozoru, szczególnej promocji. A jednak – co świadczy dobrze o mieszkańcach i władzach tego terenu – promocja taka ma nieustannie miejsce. Ostatnio władze gminy Skała promują region za pomocą dukatów z nietoperzem.

> Gmina Skała – pisze Barbara Ciryt – ma własną monetę – skalaka. Jej nominał to 4 skalaki odpowiadające 4 złotym. 20 tys. sztuk tego lokalnego dukata zostało wybite kilka tygodni temu w Mennicy Polskiej. A płacić tą niezwykłą monetą można już w pięciu placówkach w gminie [...]. Skalska moneta jest nieco większa od pięciozłotówki. Na awersie ma herb miasta i gminy oraz napis: „Wybito w 742. rocznicę lokacji miasta”. Na rewersie jest nietoperz i podpis „nocek duży” (*Myotis Myotis*). Na pomysł wydania skalaka wpadł wiceburmistrz Skały [...]. Nazwę monety wymyśliła komisja konkursowa. – „W dyskusji padło słowo »skalak« i tak zostało” – mówi reprezentantka komisji [...]. – „Tylko na razie to bardziej promocja Ojcowa i parku. Chcielibyśmy, żeby monety promowały całą gminę” [...]. Dukat to ciekawy pomysł na promocję regionu [...]. Czteroskalaki zostaną w obiegu do 31 października. Potem będą funkcjonowały tylko jako monety kolekcjonerskie[18].

Nietoperz nieprzypadkowo pojawił się na monecie, jest symbolem Ojcowskiego Parku Narodowego. Sam pomysł wydania monety, która wchodzi na jakiś czas do obiegu (na przykład na czas dni danego miasta, festiwalu itp.), aby później stać się atrakcją dla kolekcjonerów, nie jest oryginalny, wcześniej takie monety wydawał Gdańsk, Kraków, Kazimierz nad Wisłą. Niemniej jednak wykorzystanie go w działaniach promocyjnych uznać należy za trafne, a i wymiar ludyczny jest tu dość efektowny: zabawa w zakupy za pomocą oryginalnych monet!

Kiermusy, kolonia wsi Nieciecice, w gminie Tykocin, postawiły na żubra. Od stolicy gminy Kiermusy oddalone są o 3 km, od Białegostoku 30. W miejscu tym, właściwie od zera, powstał ośrodek, który zyskał już ogromny rozgłos i powodzenie wśród finansowej i artystycznej elity Warszawy. O tym, co proponują Kiermusy, będące dziś wizytówką turystyczną Podlasia, mówi dość nieudolny językowo opis, którego obszerne fragmenty zamieszczam poniżej.

> Kiermusy – czytamy na internetowej stronie w tekście ni to reklamowym, ni to pretendującym do obiektywnego opisu, co sugeruje pewna zauważalna ironia – reklamowane są

W jednej z nich, w Niedzieliskach w gminie Szczurowa na Powiślu Dąbrowskim w Małopolsce, wybudowano pomnik bociana.

[18] B. Ciryt, *Skalaki z nietoperzem promują gminę i park*, GK z dn. 1.08.2009.

> jako ostoja tradycji szlacheckiej i faktycznie coś w tym jest. Znajdziemy tu bowiem kilka atrakcji charakterystycznych i kojarzonych ze szlachtą. [...] Gdy wjeżdżamy do Kiermus, naszym oczom rzucają się natychmiast cztery domki „Dworskie Czworaki". Każdy z nich zdobiony w inny sposób przyciąga swoim widokiem. Jeden to chata garncarza, drugi bartnika, trzeci tkacza, a czwarty rolnika. Niestety domków nie możemy zwiedzać od wewnątrz, ponieważ jest to część tutejszej bazy noclegowej.
>
> Naprzeciw domków dumnie stoi „Dworek nad Łąkami" [...] oraz tuż obok „Karczma Rzym", gdzie zgromadzeni goście mogą się posilić staropolskim jadłem. Po obfitym posiłku powinniśmy się nieco zrelaksować i do tego przyszykowano zwiedzającym dwie atrakcje. Po pierwsze jest to kryty basen, który znajduje się poza dworkiem, a po drugie Altanę zdrowia i urody SPA. Wątpię, aby ówczesna szlachta korzystała z dobrodziejstw, takich jak jacuzzi, sauny, masaże i maseczki, ale dlaczego my mamy tego nie zrobić? Gdy już wystarczająco wypoczniemy, możemy udać się na kilkuminutowy spacer pod zamek, gdzie nie tylko zamek stanowi tutaj atrakcję. Poruszamy się bowiem po drewnianych mostkach i kładkach zlokalizowanych nad małym rozlewiskiem wodnym. Wycieczka bezpośrednio nad lustrem wodnym dostarcza bardzo przyjemnych emocji oraz udanych zdjęć. Sam zamek „Jantarowy Kasztel" pochodzi z XV wieku [...]. Ostatnią główną atrakcją turystyczną Kiermus jest odtworzona dopiero w 2008 roku Zagroda Żubra, po której możemy się swobodnie poruszać, podziwiając te zwierzęta. Dodatkowo będziemy mogli tutaj zobaczyć owoce wrzosówki, oraz akwen wodny [akwen zwykle jest wodny – R.K.] z rzadkimi gatunkami ryb[19].

Kiermusy są w sezonie wręcz oblegane, szczególnie atrakcyjne bywają imprezy organizowane w pierwszą i trzecią niedzielę miesiąca. Gromadzą one miłośników rękodzieła i sztuki ludowej oraz kolekcjonerów. Oficjalna nazwa imprezy to Jarmark Staroci i Rękodzieła. Wtajemniczeni twierdzą, że największą atrakcją jarmarków są znani aktorzy i piosenkarze, którzy w ośrodku spędzają wakacje.

Miejsce to bez wątpienia dobrze promuje Podlasie, a szczególnie gminę Tykocin, głównie ze względu na podkreślanie szlacheckiego, w istocie drobnoszlacheckiego dziedzictwa regionu. Trzeba tu jednak zauważyć, że dziedzictwo to prezentowane jest w sposób absolutnie sztuczny, wręcz teatralny, ośrodek ten to rodzaj parku tematycznego zbudowanego bez jakiejkolwiek dbałości o autentyzm, czego najlepszym dowodem jest ów „zamek z XV wieku", twór zgoła disnejowski. Ale przedsięwzięcie – jego symbolem, jak i symbolem szlachetczyzny, którą jakoby prezentuje, jest właśnie żubr! – okazało się wielkim sukcesem komercyjnym i zadowoliło turystów, dostarczyło im dobrej zabawy. Cel został osiągnięty, może niezbyt ambitny, bo tylko ekonomiczny i ludyczny, ale przecież, przy okazji, na marginesie, wzrosło (?) także zainteresowanie autentycznym dziedzictwem kulturowym regionu. Mój stosunek do tego rodzaju promocji jest, delikatnie pisząc, ambiwalentny.

Zróbmy teraz mały przeskok na pogranicze małopolsko-śląskie. Zator – dziś niewielkie miasto w Małopolsce – jego dzieje sięgają XII wieku, krótko był stolicą Księstwa Zatorskiego, niegdysiejsza siedziba starostwa niegrodowego, centrum reformacji, słynął przez wieki z hodowli karpia królewskiego. Dziś dawne tradycje powoli odżywają, znów króluje karp. Zator i okolice zwie się Doliną Karpia, promuje

[19] www.atrakcjepodlasia.pl (wgląd styczeń 2010).

się miasto – i oczywiście hodowlę szlachetnej ryby – za pomocą imprez w rodzaju dorocznego Jarmarku Karpia czy Zatorskich Żniw Karpiowych. Na co dzień nad zatorskie stawy przybywają coraz liczniej wędkarze i nabywcy doskonałego i stosunkowo taniego karpia.

Jednak nie odwoływanie się do historycznych tradycji przyniosło wielkie zainteresowanie Zatorowi – dziś jeszcze ograniczające się do części Małopolski i Śląska, jutro – być może – obejmie ono całą Polskę – a DinoZatorland i Park św. Mikołaja, niemające z dziedzictwem historycznym i kulturowym miasta i regionu nic wspólnego.

DinoZatorland otworzył swoje podwoje w roku 2009.

> DinoZatorland z Zatorze – czytamy w krakowskiej prasie – organizuje jutro dla dzieci Dzień Uśmiechu. Maluchy, które w życiu miały nieco mniej szczęścia niż inne [chodzi o dzieci niepełnosprawne – R.K.], będą mogły za darmo wejść do krainy dinozaurów. Tu będzie na nich czekało kilkadziesiąt ryczących prehistorycznych gadów, w tym największy na świecie ruchomy T-rex, małe drapieżne tyranozaurki, rogaty triceratops, a także roślinożerne 35-tonowe kolosy omeizaur i apatozaur. Dzieci będą mogły spacerować ścieżką edukacyjną, wytyczoną wśród starodrzewu i nad bagienną łąką. DinoZatorland to park niezwykły, który uczy przy okazji zabawy. Tu łatwiej zapamiętać, że dzieje ziemi dzielą się na ery, a te na okresy, że jeden z najgroźniejszych stąpających po ziemi drapieżników nazwany został allozaurem, a ledwie 30-kilogramowy owiraptor uchodzi za złodzieja jaj. Jest również m.in. Muzeum Szkieletów i Skamieniałości, tor gokartowy, ogromna dinozjeżdżalnia, kulkoland, trampoliny, karuzela, specjalny pociąg...[20].

Jakby tego było mało, dwa miesiące później otwarto w pobliżu DinoZatorlandu Park św. Mikołaja.

> Jakie jest najważniejsze miejsce w parku? Oczywiście Magiczny Domek, w którym mieszka najsłynniejszy siwobrody dziadek świata. Prowadzi do niego zaczarowana ścieżka, przy której będzie można zobaczyć m.in. sprowadzone ze Szwecji, ośmiomiesięczne renifery – Rudolfa i Kometę. Po drodze zwiedzający park turyści będą mogli zajrzeć do tajemniczych domków, bożonarodzeniowej szopki z żywymi zwierzętami[21].

Oczywiście to tylko wybrane atrakcje obu parków, które w krótkim czasie rozsławiły Zator. Jak przy konkurencji tego rodzaju ludycznych atrakcji przebiegać będzie promocja miasta i regionu – historycznej Doliny Karpia? Czy w ogóle jest potrzebna, wszak o Zatorze wie już każde dziecko w Polsce, przynajmniej południowej. Warto obserwować obie promocje, nierówne pod względem rozmachu, ale i skuteczności. Pierwszą nazywam komercyjno-ludyczną, drugą historyczno-kulturową bądź regionalistyczną. Oczywiście ta druga nie jest pozbawiona elementów komercyjnych i ludycznych, nie wysuwają się one jednak na plan pierwszy.

Do dziedzictwa kulturowego, choć dość specyficznego, bo literackiego, odwołuje się niegdysiejsze miasto (do 1869 roku), dziś wieś i gmina Pacanów leżące na po-

---

[20] *Dzień Uśmiechu w DinoZatorlandzie*, DP z dn. 1.09.2009. Na temat parków rozrywki pisze M. Nieszczerzewska, *Umiejscowiona rozrywka*, [w:] *Karnawalizacja. Tendencje ludyczne w kulturze współczesnej*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004. O rosnącej liczbie parków rozrywki w Polsce, typu DinoZatorpark, zob. A. Niewińska, J. Stróżyk, *Zróbmy sobie Disneyland*, „Uważam Rze” 2011, nr 40.

[21] *Święty Mikołaj mieszka w Zatorze*, DP z dn. 21.10.2009.

graniczu Niecki Nidziańskiej i Kotliny Sandomierskiej. W dawnym herbie tej miejscowości jest św. Marcin, ale „ równorzędnym symbolem miasteczka [w istocie wsi o miejskich ambicjach – R.K.] stał się Koziołek w czerwonych spodenkach”[22].

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku mieszkańcy i samorządowe władze Pacanowa bardzo ostrożnie podeszły do propozycji, aby promocję gminy oprzeć na postaci Koziołka z niezmiernie popularnej komiksowej opowieści Kornela Makuszyńskiego i Waleriana Walentynowicza. Ten ostatni, znakomity rysownik, nadał postaci Koziołka powszechnie dziś znany kształt[23]. Potwierdzam informacje, iż „pomysł, aby Koziołek promował Pacanów, pojawił się w latach dziewięćdziesiątych, choć wtedy wydawał się jeszcze rodem z księżyca”. Pracowałem wówczas w Muzeum Zabawkarstwa w Kielcach jako konsultant i byłem jednym z pomysłodawców. Propozycja nie została przyjęta nie dlatego, że była z księżyca, ale – jak sądzę – z powodu, iż ówczesne władze Pacanowa, a może i mieszkańcy wstydzili się bajkowej postaci (w końcu był to Matołek!), uważając, że ośmiesza ona miejscowość. Dziś wydaje się to niewiarygodne, ale woleli, aby wszyscy zapomnieli o tym, że podróżujący po świecie Koziołek wciąż bezskutecznie zmierza do Pacanowa, gdzie kozy kują!

> Koziołek w Pacanowie jest wszędzie – czytamy na oficjalnych stronach gminy – na witrynach i w nazwach sklepów oraz firm, na fasadach budynków. Pluszowego Koziołka można kupić w każdym sklepie za kilka lub kilkadziesiąt złotych – w zależności od rozmiaru. Jest także na kartkach pocztowych i pieczątkach na poczcie, a nawet na służbowych samochodach, tablicach ogłoszeń i w nazwie restauracji.

Przełomowy był rok 2003, rocznica urodzin niestrudzonego, choć pechowego podróżnika. Ministerstwo Kultury zaprojektowało dziecięcy festiwal, którego siódma edycja obyła się 12–14 czerwca 2009 roku. „Wiele osób dowiedziało się, że Pacanów istnieje naprawdę, a nie tylko w bajce”. Kolejne festiwale były skuteczną promocją Pacanowa w polskich mediach, zdjęcia z nich pojawiały się na łamach ogólnopolskiej prasy, migawki filmowe prezentowały telewizje.

W Pacanowie działa Europejskie Centrum Bajki im. Koziołka Matołka, sponsorowane przez ministerstwo, a także przez TVP 1, PZU, Polskie Składy Budowlane, Fabrykę Zabawek Wader-Woźniak i inne firmy. Centrum organizuje liczne imprezy dla dzieci, a ambicją Pacanowa jest status Europejskiej Stolicy Bajki. Służyć temu ma budowa kompleksu, o którym czytamy: „Bajkowy jest sam projekt. W Pacanowie powstanie Dom Dziecięcy Kultury, mieszczący m.in. muzeum, bibliotekę, salę kinową i teatralną, pracownie, księgarnię, sklep z pamiątkami i kawiarnię. Obok budynku oczami wyobraźni niektórzy widzą ekologiczny ogród edukacyjny, kuźnię znaną z bajki o Koziołku Matołku i bajkowy amfiteatr nad stawem”.

Niechciany Koziołek Matołek wypromuje na cały świat senną gminę o szacownej historii i – do niedawna – nikłych perspektywach? To wielce prawdopodobne, na portalu www.stolica-bajek.pl pod datą 15 marca 2010 roku ukazała się informa-

---

[22] Informacje zebrałem ze stron gminy Pacanów i Europejskiego Centrum Bajki w Pacanowie. Stamtąd też zostały zaczerpnięte cytaty.

[23] A. Rusek, *Tarzan, Matołek i inni. Cykliczne historyjki obrazkowe w Polsce w latach 1919–1939*, Warszawa 2001.

cja o uroczystym oddaniu do użytku wymarzonego kompleksu. Z kolei pod datą 24.10.2011 roku czytamy: „Obiekt Europejskiego Centrum Bajki im. Koziołka Matołka poświęcił podczas wspólnej zabawy z dziećmi biskup pomocniczy diecezji kieleckiej ks. Marian Florczyk".

Koziołek promujący zbiorowość lokalną, to jeszcze ujdzie, ale świnia, prosiak, wieprz? To już trudniej sobie wyobrazić, choć akurat wyobraźnia nie jest tu niezbędna. To już ma miejsce.

W miejscowości i gminie pod nazwą Wieprz (12 tys. mieszkańców i 15 tys. świń), położonej w powiecie wadowickim, tuż pod Andrychowem, powstaje Muzeum Świni, ewentualnie Prosiaczka. W końcu nazwa miejscowości zobowiązuje, choć podobno nazwa wcale od świni (wieprza) nie pochodzi, lecz od łacińskiego słowa *vepres* – krzaki[24].

„Gdzie można zjeść najsmaczniejszą szynkę z kością? – czytamy na stronach tworzącego się muzeum – W Wieprzu. Gdzie hodowane są wieprze? W Wieprzu. Gdzie jest pierwsze muzeum świń i prosiaków w Polsce, w Europie, na świecie? W Wieprzu".

Miejscowy Klub Integracji Społecznej ogłosił: „przyjmujemy wszystko, co przypomina prosiaczki (żywych prosiaczków nie przyjmujemy): maskotki, skarbonki, breloczki, koszulki – wszystko, co przypomina świnki, wieprze, prosiaczki. Promujemy nazwę gminy i tworzymy pierwsze w Polsce, a nawet w Europie muzeum".

Pomysł narodził się przypadkowo:

> [...] od wycieczki z Wieprza do Kudowy-Zdroju. Kiedyś wolontariusze przenosili tam płazy przez jezdnię – by ratować je, potem wybudowano tam podziemne przejście, a wreszcie ktoś przekazał kolekcję żabich maskotek dyrekcji Parku Narodowego Gór Stołowych i tak powstało Muzeum Żaby, a nie ma Muzeum Świni, to trzeba takie założyć u nas – tłumaczy wójt gminy Wieprz Małgorzata Chrapek – A skoro prosiaczek to mała świnia, będzie to Muzeum Prosiaka. To sympatyczne zwierzę, a dodatkowo bardzo smaczne.

Pomysłów jest sporo, oczywiście lokal dla Muzeum Świni (Prosiaczka, Wieprza?) w budynku dawnego Ośrodka Zdrowia, kontakty z polskimi miejscowościami o nazwie Wieprz, jest ich podobno co najmniej pięć, coroczny Festiwal Świni itp. Dodać tu jeszcze należy otwarcie na szeroki świat, gdzie również są miejscowości o takiej samej nazwie, tyle że w innym języku: włoskie Maiale, hiszpańskie Cerdo czy francuskie Cochon. Gmina oczekuje na rzesze turystów polskich i zagranicznych zwabionych zabawnym muzeum i – rzecz jasna – smakołykami wieprzowymi. I być może już nikt nie będzie się śmiał z nazwy wsi, a jej mieszkańców obrażał. Bo ponoć, gdy młodzież z Wieprza szła do szkół w pobliskim Andrychowie, łatwo mogła usłyszeć złośliwe; „Kto z Wieprza, niech spieprza".

---

[24] Informacje i cytaty z www.muzeumswini.wieprz.pl oraz P. Subik, *Świnia musi odzyskać dobre imię*, DP z dn. 27.12.2008 i *Świnia – symbol Wieprza*, DP z dn. 10.07.2009.

Spektakl III. Sami swoi. Rancho, seksmisja, kapitan Kloss i inni popkulturowi bohaterowie

Wsie, gminy, miasteczka wykorzystują do promocji, jak widać z poprzednich przykładów, elementy dziedzictwa historycznego, kulturowego, literackiego, czasem również przyrodniczego. Sposób wykorzystania bywa rozmaity, niekiedy zaskakujący, a nawet zabawny, rozśmieszający. Dziedzictwo historyczno-kulturowe jest poddawane selekcji zgodnie ze współczesnymi jego interpretacjami, niekiedy wręcz nadinterpretacjami, przez co rozumiem procesy podkreślania, dopełniania czy wręcz zmyślania pewnych elementów. Kanwą jest mniej lub bardziej znana, albo mniej lub bardziej wyobrażona miniona rzeczywistość, elementy – rzeczywiste lub „wymyślone" – muszą „pasować" do współczesnej kultury, masowej, popularnej, konsumpcyjnej, przesiąkniętej treściami ludycznymi.

Często promocja opiera się nie na elementach dziedzictwa historyczno-kulturowego, a po prostu na przenikających do kultury lokalnej, utrwalonych już w niej, albo tylko obecnych i dopiero utrwalanych, treściach kultury masowej. Daje to rozmaite rezultaty, nie zapewnia automatycznie sukcesu, bywa, że kończy się spektakularnym niepowodzeniem. Świadczą o tym niektóre z poniższych przykładów.

Lubomierz, niewielkie miasteczko leżące w pobliżu Jeleniej Góry, stał się głośny w latach 90. dzięki wykorzystaniu popularności kultowych filmów Sylwestra Chęcińskiego.

> Na lubomierskim rynku Pawlak, szukając felczera, przypadkowo poznaje pijanego w sztok Kokeszkę. Prawie wszyscy znamy tę scenę ze słynnej komedii Sylwestra Chęcińskiego „Sami swoi". Warto więc wiedzieć, że ten film oraz pozostałe części epopei repatrianckiej powstawały w Lubomierzu i okolicy [...]. Od 1996 roku w XVI-wiecznym Domu Płócienników działa Muzeum Kargula i Pawlaka, w którym zgromadzono przedmioty znane z filmów Chęcińskiego[25].

W Lubomierzu od roku 1997 odbywają się – w połowie sierpnia – Ogólnopolskie Festiwale Filmów Komediowych, od roku 1998 przyznawane są nagrody o zabawnych nazwach doskonale zrozumiałych dla fanów filmów Chęcińskiego: Złoty, Srebrny i Brązowy Granat oraz Granat Publiczności. Odbywa się także batalia o laur Festiwalu Śmiesznego Kina Niezależnego (nagrody: Złota, Srebrna, Brązowa Zawleczka, oraz Zawleczka Publiczności). Przy okazji festiwalu odbywają się liczne imprezy estradowe, popisy kabaretów itd. Przez kilka dni w miasteczku goszczą gwiazdy kina i estrady, gromadzą się dziennikarze prasy lokalnej i ogólnopolskiej, oraz oczywiście przedstawiciele władz wojewódzkich. Jednym słowem, miasteczko ma wtedy swoje pięć minut. Na co dzień jest to sympatyczna, choć raczej senna miejscowość, a Muzeum Kargula i Pawlaka, niestety bardzo nieprofesjonalne – skład różności związanych z trylogią Chęcińskiego, fatalnie eksponowanych – nie jest zbyt wielką atrakcją turystyczną.

---

[25] *Polska niezwykła...*, s. 203.

Nie da się zaprzeczyć, że w roku 1967 nakręcono w Lubomierzu sporo scen do filmu, który do dziś cieszy się wielkim (chyba jednak malejącym) i zasłużonym powodzeniem. Fakt ten miał (mógł mieć?) dla miasteczka przełomowe znaczenie. Być może jest nawet tak, jak sugerują dziennikarze, że zaowocowało to aktywizacją kulturalną środowiska. Potwierdzenie lub zaprzeczenie tego rodzaju przekonaniom wymaga dłuższej obserwacji. Lubomierz zyskał ogólnopolski rozgłos (raczej krótkotrwały), zwiększyła się też zapewne liczba przybywających tu turystów, głównie jednak w okresie trwania festiwalu. Co pozostanie z rozgłosu, gdy zainteresowanie filmami Chęcińskiego przeminie, gdy zmaleje znacząco grono ich fanów? W kulturze masowej obserwujemy przemijalność zainteresowania jej treściami, fascynacja nowymi spycha w cień poprzednie. Proces ten następuje szybko, coraz szybciej. Czy zatem warto na nich, tak nietrwałych, łatwo zastępowanych nowymi, budować promocję? Celem promocji jest budowanie bardziej trwałego zainteresowania, skupienie uwagi na dłużej, przyciągnięcie turystów na stałe, a przynajmniej na lata, nie na jeden czy kilka krótkich sezonów, na jeszcze krótszy czas trwania festiwalu, konkursu czy występu znanego artysty. Na promocji opierają się nadzieje na trwały dobrobyt lokalnej zbiorowości, na niej buduje się jej poczucie wartości. Czy tak jest, czy tak będzie w przypadku Lubomierza? Obserwacja skłania mnie do pesymizmu.

Fenomen Lubomierza ma już wymiar historyczny, wiele wskazuje na to, że się już kończy. Na naszych oczach powstaje nowe, równie godne uwagi badacza zjawisko, zainteresowanie filmową Wilkowyją, w istocie miejscowością Jeruzal[26].

Jeruzal to urocza, niewielka wieś w powiecie mińskim, położona 70 km od Warszawy. Trudno do niej trafić, a jednak – przez przypadek lub z woli Opatrzności – znana jest dziś milionom widzów telewizyjnego serialu *Rancho*, serialu realizowanego głównie w tej miejscowości przez cztery kolejne lata.

Wojciech Adamski, reżyser serialu wspomina:

> Do Jeruzala trafiliśmy tylko dlatego, że pojechaliśmy na skróty w drodze do zupełnie innej miejscowości, kiedy ujrzeliśmy plac przed kościołem, kazałem zatrzymać mikrobus, wysiedliśmy i po chwili zrozumiałem, że znalazłem swoje Wilkowyje [...]. Plac z kościołem, sklepem, przystankiem, plebaniami, domami, w których mieli mieszkać nasi bohaterowie, poprzez niemal symboliczne nagromadzenie tych elementów okazał się idealną przestrzenią do wydarzeń serialu *Rancho*.

Nadzwyczajne powodzenie serialu spowodowało znamienne konsekwencje dla miejscowości, która – jak wiele – w dawnych czasach znacząca, po 1820 roku pozbawiona praw miejskich niejako usunęła się w cień. Dziś ma wielką szansę.

> W telewizji liczą milionowe zyski, a prawdziwy proboszcz z małej mazowieckiej wioski pod Warszawą codziennie dziękuje Bogu. Ksiądz A. Sobczyk ma za co dziękować, bo gdyby nie ten serial pewnie nie udałoby mu się uratować przed zagładą zabytkowego drewnianego kościoła w Jeruzalu i wyremontować plebanii. Ale, ale... do podziękowań

---

[26] Na podstawie portali internetowych zawierających m.in. artykuł M. Kroczyńskiej, *Dziękuję Bogu za Ranczo*, „Nowa Trybuna Opolska" oraz obserwacji własnych. Zob. także I. Nyc, A. Niedek, *Ranczo na żywo*, „Wprost" 2009, nr 19.

dołącza się również wójt, Dariusz Jaszczuk: „bo wiele rodzin za sprawą tego filmu stanęło na nogi. Pracowali przy produkcji, najmowali się za statystów i nieźle na tym zarabiali. W takiej biednej rolniczej gminie, jak nasza, to rzeczywiście zrządzenie Opatrzności".

Miejscowy proboszcz krótko stwierdza: „Pan Bóg nam zesłał ten film". Ale i człowiek miał tu coś do zdziałania, parafia w Jeruzalu rozprowadza folder-cegiełkę, z której zysk przeznacza na zagospodarowanie terenu wokół kościoła. Gabloty przed kościołem i w samym kościele pokazują zdjęcia z realizacji serialu i z imprez, m.in. odpustów, kiermaszy, pikników, w których udział brali aktorzy występujący w filmie. Doskonałym przykładem dyskontowania powodzenia serialu są dożynki w Jeruzalu (pierwsze miały miejsce w roku 2009) łączące mazowieckie tradycje ludowe z telewizyjną popkulturą. Były na nich: „Wieńce zboża, bochny chleba, przyśpiewki ludowe, kiermasz rozmaitości, pierogi i szarlotka Solejukowej [jedna z bohaterek serialu – R.K.], wino marki »Mamrot« [kultowy napój części mieszkańców Wilkowyi, filmowej wsi – R.K.]".

Jednak troska o przyszłość przebija z wywiadu przeprowadzonego z wójtem gminy Mrozy, do której należy Jeruzal, wspomnianym już Dariuszem Jaszczukiem: „[...] do wsi całe autokary przyjeżdżają i prywatne wycieczki. Ludzie fotki pstrykają, Mamrota kupują [butelka 5 zł – cena z września 2009 roku – R.K.], przysiadają na ławeczce. Ale – filozoficznie zauważa wójt – film zniknie z ekranu, ludzie zapomną, problemy pozostaną".

Niepokój w pełni uzasadniony, łaska turysty na pstrym koniu jeździ. Dziś odwiedza Jeruzal, jutro o nim zapomni na rzecz nowej popkulturowej atrakcji. Co zatem czynić, aby na dłużej utrzymać zainteresowanie wsią? O to już martwić się muszą jej mieszkańcy i władze, badaczowi pozostaje obserwacja zjawiska.

Warto oczywiście obserwować losy innych podobnych przedsięwzięć. Spektakularną klapą zakończyła się działalność Muzeum Hansa Klossa w Katowicach. Owo „muzeum" (podobnie zresztą jak i muzeum w Lubomierzu!) w świetle obowiązującej ustawy o muzeach nie miało prawa używać takiej nazwy i zastrzeżenia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego były zasadne. Nadużywanie nazwy „muzeum" dla działalności całkowicie komercyjnej i niewypełniającej ustawowych funkcji zostało zakazane, a całe przedsięwzięcie zamarło po 10 miesiącach.

„Muzeum Hansa Klossa – czytamy w notce portalowej – udostępniło swoje zbiory zwiedzającym na początku marca 2009 roku. W stylizowanych na czasy II wojny światowej pomieszczeniach można zobaczyć m.in. woskowe figury Klossa i Brunnera, a także liczne pamiątki związane z serialem *Stawka większa niż życie*".

„Muzeum" mimo ogólnopolskiej reklamy i równie szerokiej antyreklamy – na łamach jakiejś gazety zarzucono tej placówce germanizowanie społeczeństwa – nie przyciągnęło tylu zwiedzających, aby mogło swobodnie prosperować, a na dodatek pojawiły się wspomniane zastrzeżenia ministerstwa. Właściciel „muzeum", Piotr Owcarz, skomentował niepowodzenie: „Nie chcą czynniki oficjalne, żeby były popkulturowe muzea w Polsce, to po prostu ich nie będzie".

Pesymizm chyba przedwczesny, bo oto w roku 2009 narodziły się dwie inne placówki, które można chyba nazwać gabinetami osobliwości (filmowych), na

wzór XVIII-wiecznych kolekcji prezentowanych ówczesnej publiczności. W kopalni w Wieliczce powstaje ekspozycja rekwizytów z kultowej komedii Juliusza Machulskiego *Seksmisja*. Miejsce właściwe, tu bowiem nakręcono znaczną część zdjęć do filmu, a i czas dogodny (25-lecie premiery)[27]. Z kolei w lubuskim Żaganiu ma powstać muzeum serialu wszechczasów *Czterej pancerni i pies*, na tamtejszym bowiem poligonie nakręcono liczne odcinki[28]. Niejako na marginesie dodać można, że w Rzeszowie powstało Muzeum Dobranocek[29].

Czy te „muzea" podzielą los Muzeum Hansa Klossa, czy raczej osiągną sukces podobny temu, który przez lata towarzyszył działalności Muzeum Kargula i Pawlaka w Lubomierzu, czas pokaże. Jest z pewnością w Polsce miejsce dla placówek prezentujących rozmaite elementy popkultury, nie tylko filmowej czy telewizyjnej. Wspomniany wcześniej DinoZatorpark należy właśnie do tej kategorii. Większe jednak powodzenie można wróżyć podobnym przedsięwzięciom ulokowanym w mniejszych miejscowościach, o słabej kulturowej infrastrukturze. W miastach w rodzaju Katowice czy Rzeszów oraz w miejscowościach o mocnych atrakcjach turystycznych, jak Wieliczka, trudniej jest osiągnąć sukces, mierzony przecież frekwencją i zyskami. Ale, jak zwykle, sukces zależy od inwencji ludzkiej, od pomysłowości.

Spektakl IV. Posadzić drzewo... i zbudować (odbudować) zamek

Dziś, aby zostać uznanym za prawdziwego mężczyznę, nie trzeba posadzić drzewa, ani tym bardziej spłodzić syna, wystarczy zbudować, względnie odbudować zamek. Jak uczą przykłady, wiąże się to z pokonywaniem takich problemów, z którymi tylko prawdziwy mężczyzna jest w stanie sobie poradzić. Budowanie i odbudowywanie zamków ma, poza indywidualnymi konsekwencjami, na przykład dowartościowanie się jednostki, także duże społeczne znaczenie. Zamki, ale też dwory, stają się atrakcyjnymi miejscami rozrywki, przyciągają turystów, przynoszą dochody i promują lokalne zbiorowości oraz – co także ma swoje znaczenie – rewitalizują rycerski i szlachecki etos[30].

W pobliżu Kartuz na Kaszubach stoi „najnowszy zamek świata", będący niezwykłą atrakcją turystyczną i... solą w oku miejscowych władz.

---

[27] K. Albrecht, *Muzeum „Seksmisji" w wielickiej kopalni*, GK z dn. 5.08.2009.

[28] „W Żaganiu można zobaczyć nie tylko miejsca znane z serialowych kadrów, ale także poznać wiele anegdot i historii związanych z filmem. Stowarzyszenie »Klub Pancernych« posiada kolekcję pamiątek, fotografii, wspomnień, gadżetów i artykułów dotyczących serialu" (inf. z portalu interia.pl z dn. 10.05.2011). Największą atrakcją dla turystów nie są jednak tego rodzaju zbiory, ale pobyt na poligonie w miejscach, gdzie kręcono sceny z serialu. Pojawiła się konkurencja dla Żagania, pomysł zorganizowania plenerowego muzeum serialu powstał również w Baligrodzie, w Bieszczadach. W miasteczku tym stoi na rynku czołg, który jakoby „grał" rolę w filmie. Zob. Ł. Gazur, *Czy znajdzie się miejsce dla Szarika?* DP z dn. 9.03.2009.

[29] M. Sysoł, *Muzeum Dobranocek w Rzeszowie ze zbiorów Wojciecha Jamy*, „Zabawy i Zabawki" 2009, R. 7, nr 1–4, s. 195–198.

[30] R. Hołda, *Rodowe gniazda – zamki, dwory, pałace. Współczesne przestrzenie ludyczne czy rewitalizacja szlacheckiego etosu*, „Zabawy i Zabawki" 2007, R. 5, nr 1–4, s. 174–185.

> Jeśli wierzysz – czytamy na jednym z portali w 2009 roku – że tylko szejków arabskich stać na rozmach w naszych czasach, to jesteś w błędzie. W Łapalicach pod Kartuzami pewien nieznany polski rzeźbiarz rozpoczął ponad 20 lat temu, w czasach PRL, budowę najprawdziwszego zamku. Ten producent mebli gdańskich otrzymał w latach osiemdziesiątych pozwolenie na budowę pracowni o powierzchni 170 m^2. Zaczął budować... i budować. Z biegiem czasu urósł z tego zamek o powierzchni 5000 m2. Teraz w jego skład wchodzi kilka budynków zwieńczonych 12 wieżyczkami (każda symbolizuje jednego z apostołów), wielka sala balowa, pod nią basen, a wejścia strzeże ogromna wieża z bramą.

Piotr Kazimierczak, budowniczy i właściciel zamku, przetrwał dwa bankructwa swoich firm, otrzymał też nakaz rozbiórki dzieła życia. Zamek jednak stoi, zwiedzany nielegalnie zadziwia rozmachem i – może nieco mniej – oryginalną architekturą. „Całość wymaga jeszcze gigantycznych nakładów [...], póki co możesz sam przeżyć coś niesamowitego, odwiedzając najnowszy zamek świata osobiście" – czytamy w jednym z przewodników. Zamek ten – niedokończony i już malownicza ruina – promuje Kaszuby. Wykończony, na co raczej się nie zanosi, byłby pewnie hotelem i centrum konferencyjnym.

W innym miejscu (notka w Internecie z 2007 roku) znajdujemy refleksję: „Niesamowite miejsce opisywane w wielu przewodnikach (w jednym z nich zaliczony został do stu najciekawszych obiektów w Polsce) od lat przyciąga tłumy ciekawskich, chcących zobaczyć na własne oczy jedną z największych budowli na Pomorzu i ewenement na skalę europejską. Problem w tym, że to niezwykła, ale jednak samowola budowlana".

Można się zastanawiać, dlaczego miejscowe władze walczą z zamkiem i jego budowniczym, zamiast włączyć oficjalnie opisywany fenomen do pakietu promocyjnego tej części Kaszub. Zapewne wina leży po obu stronach, nie tu miejsce na rozstrzyganie tej kwestii. Niezależnie od wszystkiego, nie sądzę, aby taka budowla, obecna od lat na turystycznej mapie Polski, mogła zostać rozebrana[31].

O wiele pewniejszą i prawnie gwarantowaną sytuację ma szlachecki zamek w Korzkwi (kilkanaście kilometrów od Krakowa), odbudowany przez obecnego właściciela, Jerzego Donimirskiego. Stał się on, tj. zamek, nie tylko wizytówką miejscowości, ale i niezwykłą atrakcją znaną daleko poza Polską. W korzkiewskim zamku odbywają się wesela (poprzedzone ślubami w pobliskim zabytkowym kościele) par przybyłych ze Szkocji, Anglii, Irlandii i Niemiec, dla których miejsce to jest dodatkowo atrakcyjne ze względu na stosunkowo niska cenę wynajmu (ponoć 8 tys. złotych za dzień plus catering 80–200 zł od osoby)[32].

Można uznać, że Korzkiew mocno wpisała się w europejski szlak turystyki ślubnej, ale też zdobywa znaczące miejsce w obfitującej w turystyczne atrakcje okolicy Krakowa. Planowany Korzkiewski Park Kulturowy będzie się składał nie tylko z zamku i zamkowego parku, ma być też odtworzony dwór i zabudowania dworskie, jak również dawna austeria. W sumie działania jednego człowieka wywołały – jak

---

[31] Zamek w Łapalicach wciąż stoi, o czym można się dowiedzieć z art. *Zamek w Łapalicach: Co dalej z legalizacją?* (www.dziennikbaltycki.pl, wgląd listopad 2011).

[32] Według www.zamek.com.pl, wgląd grudzień 2009.

można ocenić – znaczne ożywienie w gminie, uwierzono w szansę wielkiej promocji, choć do niedawna wydawało się, że w okolicach Krakowa karty zostały już dawno rozdane.

Z kompletnej ruiny odbudował średniowieczny zamek Jarosław W. Lasecki – z pomocą brata Dariusza – człowiek bogaty i nieustraszony, co okazało się znaczące, gdyż musiał stoczyć niejedną bitwę z polską biurokracją, konkretnie z częstochowską, gdyż chodzi tu o zamek w Bobolicach, położony na szlaku Orlich Gniazd[33].

Dziś zamek jest już całkowicie odbudowany, można go zwiedzać bez opłaty, co uczyniło już 150 tys. turystów:

> W trzech komnatach zamku w Bobolicach – pisze D. Baliszewski – ma powstać muzeum zamkowe z czasów Kazimierza Wielkiego, a w kilku z siedemnastu izb będą pokoje gościnne. Już powstała kaplica z Matką Boską Zamkową. Powstaje także w pobliżu zamku karczma żydowska dla spodziewanych turystów. W 2010 roku w 700-lecie urodzin Kazimierza Wielkiego zamek w Bobolicach będzie już żył własnym, gwarnym życiem.

Tak w istocie się stało, szlak Orlich Gniazd wzbogacił się o nową atrakcję.

Pasja braci Laseckich i ich walka z rzucanymi im pod nogi kłodami przez biurokratów to dość typowe zjawisko we współczesnej Polsce. Podobnie było przy okazji odbudowy innego zamku, w Tykocinie, który to zamek wzniósł od fundamentów (tylko one oraz piwnice zachowały się z historycznej budowli) białostocki biznesmen, Jacek Nazarko.

> Tykocin – donosiły portale – ma stać się centrum kulturalno-hotelowo-konferencyjno-muzealnym. Muzeum będzie w oryginalnych w większości podziemiach eksponować głównie rezultaty wykopalisk. Problemem był brak ikonografii, ale w końcu na szczęście konserwator zezwolił na odbudowę. Polska odzyska cenny pomnik naszej historii, a miejscowa ludność miejsce zatrudnienia. Łatwo sobie wyobrazić, jakie tam będzie można wspaniałe spektakle pokazywać, na przykład tak pięknie opisane przez Sienkiewicza zdobycie zamku przez konfederatów i śmierć Janusza Radziwiłła.

Być dzisiaj budowniczym zamków, choćby to znaczyło jedynie, albo raczej aż, podnoszenie ich z ruin, to zadanie niezwykle trudne, kosztowne w sensie finansowym i wymagające wielkiej odporności psychicznej, koniecznej dla przełamywania biurokratycznych oporów. Ludzie podejmujący takie zadania często nazywają siebie straceńcami czy wręcz głupcami topiącymi majątki w ryzykownych przedsięwzięciach. Ich rola jest jednak ogromna, jakże często takie działania ożywiają gospodarczo okolicę, tworzą podwalinę pod ruch turystyczny i nadają nowy wymiar życiu kulturalnemu lokalnych zbiorowości. Jeśli działają w zgodzie z dążeniami owych zbiorowości – co zwykle ma miejsce – to nawet zdarzające się niekiedy (o wiele za często!) obstrukcyjne kroki niewydarzonych instytucji państwowych (dziwne, że są to zwykle urzędy konserwatorskie, na ogół mało sprawne w kwestiach, którymi mają się ustawowo zajmować), a bywa, że i samorządowe, mogą jedynie spowolnić takie działania. Może dzięki takim pasjonatom Polska stanie się drugą Francją, gdzie

---

[33] Inf. według P. Subik, *Odnowiciele*, DP z dn. 13.11.2009; D. Baliszewski, *Wielka historia w Bobolicach*, „Wprost” 2009, nr 47.

w stopniu wyjątkowym właśnie zamki napędzają ekonomię i życie kulturalne miast i miasteczek, czyniąc zamieszkujące je zbiorowości zamożnymi.

„Czy marzenia o Polsce bogatej dzięki turystyce – pyta D. Baliszewski – kiedykolwiek się ziszczą? Jedno jest pewne: ludzie, którzy będą tysiącami stawać przed wspaniale odbudowanym zamkiem w Bobolicach, chcąc nie chcąc, pomyślą o tym, że wszystko jest możliwe".

Spektakl V. Co nam da wampir-ludożerca?

Zdarzają się jednak przypadki promocji, które budzą kontrowersje, skłaniają do postawienia pytania, czy każdy fakt z przeszłości, choćby najbardziej fascynujący, spektakularny, warto uczynić elementem promocji lokalnej zbiorowości. Czy może, czy powinno służyć promocji coś, co budzi wstręt, co wznieca niezdrowe emocje? Taki dylemat mają dziś mieszkańcy Ziębic, miasteczka w powiecie ząbkowickim, położonego 60 kilometrów na południe od Wrocławia, niegdyś zwanego Munsterberg. Niegdyś, bo chodzi tu o lata dwudzieste ubiegłego wieku, kiedy to wydarzyła się historia, która wróciła dziś jak bumerang i skłania do stawiania pytań o etyczne granice autoreklamy lokalnych zbiorowości.

W Munsterbergu bowiem „zdarzyła się rzecz, która wciąż może przyprawić człowieka o dreszcze na plecach. Szanowany mieszczanin, Karl Denke, przerobił kilkadziesiąt osób na mięso, które sprzedał potem na placu handlowym – jako peklowaną wieprzowinę"[34].

Dziś w Ziębicach nie ma już nikogo, kto pamiętałby tamte czasy oraz sensację wywołaną odkryciem zbrodni Denkego. Większość obecnych mieszkańców w ogóle o tej sprawie nic nie wiedziała. Nie wiedziała do roku 1999, kiedy to – jak piszą D. Diehl i M.P. Donnelly:

> Muzeum w Ziębicach [Muzeum Gospodarstwa Domowego, założone w 1931 roku – R.K.] – mieszczące się w jednej małej sali miejscowego ratusza – urządziło pod niewinnym skądinąd tytułem „Ikonografia dawnych Ziębic", wystawę noży, kadzi do peklowania mięsa, słojów i innych narzędzi, których używał Denke. Ekspozycja spotkała się z ogromnym zainteresowaniem zarówno mieszkańców miasta, jak i odwiedzających je turystów[35].

Tak się zaczęło. Teraz przyjeżdżają do Ziębic autokary z turystami z Niemiec, zainteresowani dzwonią do muzeum, dopytują się o szczegóły. Chcą także zwiedzać celę w ratuszu, gdzie morderca targnął się na życie. „To teraz pomieszczenie gospodarcze, często jemy tu drugie śniadanie" – mówi z uśmiechem Jarosław Żurawski, dyrektor muzeum. „Kraty w oknach są podobno te same". Z artykułu P. Subika dowiadujemy się, że burmistrz Antoni Herbowski chciałby, aby izba poświęcona

---

[34] P. Subik, *Ludożerca z Ziębic*, DP z dn. 18.12.2009. Obszerne omówienie przypadku Denkego można znaleźć, [w:] N. Constantine, *Historia kanibalizmu*, tłum. P. Głuchowska, Warszawa 2007, s. 152–154; D. Diehl, M.P. Donnelly, *Dzieje kanibalizmu*, tłum. M. Urbański, Warszawa 2008, s. 79–82.

[35] D. Diehl, M.P. Donnelly, *Dzieje*..., s. 82.

Denkemu powstała w Bramie Paczkowskiej, gdyż tylko ta została odremontowana. Miałoby to być swoiste memento dla współczesnych. „Choć nie ma się czym szczycić – powiada – nie uznajemy tej historii za niebyłą. Ci, którzy patrzą tylko na jasną stronę życia, używają go hedonistycznie, uświadomiliby sobie, że w swym życiu zamożnym, pięknym, powinni się zastanowić choć przez chwilę, czy aby czegoś podobnego nie robi za ścianą ich sąsiad".

No cóż, makabryczna historia Denkego jest atrakcyjna turystycznie, podobno nie brakuje chętnych do zwiedzania Ziębic szlakiem jego czynów, choć – jak podkreśla burmistrz – jeszcze „ulicy swego imienia nie ma i – ufa – mieć nie będzie". Nie będzie? Nie jestem wcale tego pewien, początek został już przecież zrobiony. Denke wizytówką Ziębic?

Zakończenie

Zadziwić może, z jaką swobodą współczesne zbiorowości lokalne, wiejskie, gminne, małomiasteczkowe, sięgają po dziedzictwo historyczno-kulturowe. Obok folkloru, który jednak nie cieszy się już takim powodzeniem, jak jeszcze kilkanaście lat temu, zainteresowanie budzą elementy dawniej pomijane, na przykład odrębność etniczna i kulturowa ludności lub jej części, a także wydarzenia historyczne drugorzędnej rangi, a odznaczające się jakąś spektakularną treścią. Dziś na nich, a czasem jedynie na ich „cieniu", enigmatycznej kanwie, rekonstruuje się lub wymyśla „fabuły", które stają się punktem wyjścia do działań promocyjnych: konkursów, festiwali, popisów, pikników, kiermaszy itp.[36].

Zbiorowości lokalne nie lękają się już sięgania do ryzykownych znaczeń i skojarzeń. Można powiedzieć, że śmiało podejmują wyzwania i ochoczo wymyślają własne rozwiązania, ale też naśladują pomysły innych zbiorowości, nie tylko polskich, od których opisów roi się w Internecie. Tatarskie jadło i zwyczaje, częściowo wymyślone, poparte całkiem wymyśloną, a spektakularną jurtą, tworzą na użytek turystów nową, eklektyczną jakość, zaskakującą i przyciągającą uwagę. Ośmieszane przez estetów krasnoludki ogrodowe dają asumpt do nieograniczonej wprost wynalazczości ludycznej, która z powodzeniem – moim zdaniem – zadaje kłam bezużytecznej dla badań współczesnej kultury popularnej kategorii pojęciowej, jaką jest kicz[37]. Kiczem w tej kulturze jest wszystko, a zatem nic. Owa jurta tatarska, Kozio-

---

[36] Z bardziej oryginalnych pomysłów warto zauważyć wybór cesarza i cesarzowej czosnku w gminie Radziemice, w Małopolsce. „Pod patronatem »Dziennika Polskiego« w niedzielę odbędzie się III Małopolskie Święto Czosnku w Prandocinie. O godz. 14 rozpocznie je msza św. odprawiona w kościele pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Potem zaplanowano m.in. wybory Cesarza i Cesarzowej Czosnku, koncert orkiestr dętych z Prandocin i Zielenic, występy zespołów ludowych z Smrokowa, Szczepanowic i Miłocic, a także widowisko »Biesiada polska«" (P. Subik, *Uchodzi za cudowne warzywo*, DP z dn. 1.08.2009). Tak zatem, oprócz króla i królowej kapusty (Charsznica, Małopolska) mamy również cesarza i cesarzową czosnku, o Harnasiu, Ceprze i Ceperce nie wspominając (Białka Tatrzańska, Podhale). To oczywiście nie wszystkie tego rodzaju pomysły zbiorowości lokalnych.

[37] Zob. *Kiczosfery współczesności*, red. W.J. Burszta, E.A. Sekuła, Warszawa 2008.

łek Matołek, krasnoludek ogrodowy, Batowskie buty, prosiaczki spod Andrychowa i szlachecka kultura *made in* Kiermusy, to wszystko jest kiczem, albo nim nie jest. Mieści się tu zamek „jak senne marzenie" i zamek pieczołowicie „rekonstruowany", choć w istocie do rekonstrukcji nie było żadnych podstaw (brak ikonografii!). W jednym szeregu kroczą Kargul i Pawlak, bohaterowie *Rancha* i *Seksmisji*, czterej pancerni i pies, a towarzyszy im tym razem przegrany kapitan Kloss, za nimi chyłkiem podąża Denke. Nawet bociany i żubry nie są do końca prawdziwe, są raczej elementem popkulturowej zabawy i gry. Bawić się trzeba, bo przecież dobra zabawa to niezbywalne prawo współczesnego człowieka, wedle wielu wręcz sens jego życia, a gra... gra idzie o wielką stawkę.

Tą stawką jest – wspomniane we *Wstępie* – wyjście z cienia, owe pięć minut rozgłosu dla wsi, gminy, miasteczka, które może się zmienić w dłuższe zainteresowanie, za czym kryją się profity. Przyjadą turyści, wczasowicze, zwiększy się liczba miejsc pracy, pojawi się stały lub choćby sezonowy dochód. To dążenie do polepszenia sytuacji materialnej oczywiście nie jest czymś nagannym, raczej jest naturalne i chwalebne. Z takich bowiem motywów wypływają działania korzystne dla jednostki i zbiorowości ludzkich. Z nich, a nie ze szlachetnych złudzeń tworzy się kultura, nie tylko niska, czasem osiągająca także wysoki poziom, mimo że jedna i druga tkwią korzeniami w pogardzanej bezpodstawnie komercji.

Sądzę, że tak właśnie jest w przypadkach omawianych i w dziesiątkach innych, podobnych, mających miejsce we współczesnym życiu lokalnych zbiorowości. J. Świder w artykule *Kapuściane jarmarki – czyli gminy w promocji* jakże słusznie zauważył:

> Polskie gminy szukają sposobów na skuteczną promocję. Tam, gdzie kapusty zabraknie (np. w Wąchocku), sołtysi rywalizują „w zwijaniu asfaltu na noc", a mieszkańcy uprawiają „pogoń z kłonicą za Kubicą". Gdy inne pomysły do głowy nie przyjdą, zawsze można urządzić doroczne „mistrzostwa świata w rzucie beretem" (Krotoszyn w Wielkopolsce). Aby próba była zaliczona, beret musi spaść antenką do góry. Rekordzista rzucił ponad 40 metrów! W Augustowie pływa się na byle czym, w Kurozwękach błądzi się w kukurydzianym labiryncie, a w Janowie Lubelskim można zasmakować kaszanki podczas Święta Kaszy. W Białym Dunajcu wybierają Najświarniejso Góralecke, a w Pcimiu „ciocię z Pcimia"[38].

Ta ogromna, wprost porażająca inwencja, ta feeria pomysłów, czasem znakomitych, niekiedy tylko śmiesznych, zachwyca mnie, bo za nimi stoją ludzie na serio myślący o pomyślności swojej wsi, gminy, miasteczka, chcący je zareklamować, uczynić znanym, a nawet podziwianym. Tak dziś daje o sobie znać świadomość regionalna, przywiązanie do miejsca, w którym się żyje; przekonanie, że ma ono niepowtarzalne walory, takie, które są godne zaprezentowania innym. Ta prezentacja odbywa się w sposób charakterystyczny dla współczesnej kultury, środkami w niej praktykowanymi. Pytanie badacza powinno brzmieć, nie jakie one są, bo to widać, a na ile są skuteczne.

---

[38] J. Świder, *Kapuściane jarmarki – czyli gminy w promocji*, DP z dn. 10.07.2009.

A są skuteczne przynajmniej na jednej płaszczyźnie, nieodmiennie integrują zbiorowości lokalne, gromadzą je wokół lokalnych, owych poważanych na ogół, choć czasem pobłażliwie traktowanych i uważanych za maniaków liderów. To oni, ich działalność powoduje, że ludzie – przynajmniej ich część – wciąż jeszcze odrywają się od telewizorów i uczestniczą w życiu lokalnej zbiorowości, choćby to życie polegało na uczestnictwie w festiwalach, piknikach, konkursach i kiermaszach. Ludzie bawiący się razem, razem uczestniczący w rozrywkach, są bowiem zdolni do innych, bardziej konstruktywnych czynów dla zbiorowości, której są cząstką.

IX. RELIGIA W ZDRADZIECKIM UŚCISKU KULTURY KONSUMPCYJNEJ

„Religię można zdefiniować jako to, co przenosi rzeczy, miejsca, zwierzęta lub osoby ze sfery ludzkiego użytkowania w inną, wydzieloną sferę. Religia nie może istnieć bez separacji, co więcej, każda separacja jest w swej istocie religijna".

Giorgio Agamben

Jeśli religia nie może istnieć bez separacji, a każda separacja w istocie – zdaniem G. Agambena wyrażonym w znanej pracy zatytułowanej *Profanacje*[1] – jest religijna, to dążenia do zniesienia separacji, do integracji religii z innymi sferami życia, do jej „unowocześnienia", „zbliżenia do współczesności", do oczekiwań „dzisiejszego człowieka", może być ocenione – i bywa – jako działanie antyreligijne, osłabiające jej nieredukowalną rangę w życiu społeczeństw i jednostek ludzkich. Dążenia integracyjne parafii rzymskokatolickich (w rozważaniach skoncentruję się wyłącznie na tym wyznaniu, co nie oznacza, że omawiana tendencja tylko jego dotyczy), zakonów, indywidualne działania duchownych i świeckich zgrupowanych w religijnych stowarzyszeniach, dążenie do szeroko rozumianej ewangelizacji środkami wypracowanymi przez kulturę popularną, w tym oczywiście również środkami ludycznymi, rozrywkowymi, oceniane bywa rozmaicie, nie zawsze w duchu entuzjastycznie modernistycznym[2].

Problem nie polega na tym, czy Kościół katolicki, kler i katolicy świeccy, powinni posługiwać się językiem i środkami działania kultury popularnej, konsumpcyjnej, zajmować się tzw. marketingiem religii, stosując reklamę, widowisko, happening, wspólną zabawę i inne „chwyty" służące w tej kulturze do wzmagania potrzeb konsumpcyjnych, pomnażania zadowolenia, radości, słowem do hedonizacji życia. Działania takie, jak zobaczymy, mają już miejsce na zadziwiająco wielką skalę. Pytanie brzmi raczej, czy można, używając (czasami nadużywając!) takich środków, ewangelizować ludzi, mówić im o wartościach całkowicie odmiennych od tych, które dominują w społeczeństwie konsumpcyjnym, wręcz dobitnie im się przeciwstawiać. Czy możliwy jest dialog między religią a kulturą konsumpcyjną i co z niego wynika dla religii i konsumpcji. Czy uda się w jego wyniku uratować fundamentalne wartości religijne, osłabić nimi drapieżny hedonizm kultury konsumpcyjnej, czy raczej religia utraci w tym dialogu swoją siłę, a Kościół – jak ironicznie i przenikliwie pisał S. Michalkiewicz – stanie się w kulturze konsumpcyjnej „gigantycznym przedsiębiorstwem

[1] G. Agamben, *Profanacje*, tłum. M. Kwaterko, Warszawa 2006, s. 94.

[2] J. Życiński, *Bóg postmodernistów*, Lublin 2001.

rozrywkowym, skrzyżowanym z ośrodkiem pomocy socjalnej”[3]. Nie przesądzając rezultatów owego dialogu religia – kultura popularna (konsumpcyjna)[4], na początek przedstawię trzy szczególnie dobitne przykłady działań, w których zastosowane zostały środki z arsenału kultury współczesnej do działań ewangelizacyjnych.

Spektakl I. Happening duszpasterza

Opisywane szeroko przez prasę i rozmaicie komentowane wydarzenie miało miejsce w okresie przedświątecznym w Krakowie w roku 2008.

> Klienci Galerii Krakowskiej, największego centrum handlowego w Krakowie, spieszący na tramwaj z pękatymi tobołami w przedświąteczny weekend przecierali oczy ze zdumienia. Przed wejściem do kompleksu w niedzielne popołudnie stanął przenośny konfesjonał, a w nim zasiadł ksiądz. Prawdziwy. [...] Akcja z konfesjonałem to happening ks. Jacka Stryczka [...], który chciał w ten sposób zwrócić uwagę na duchową stronę świąt. [...] „Nic nie mam do handlowców, ale chcę pokazać, że święta można przeżyć inaczej, bez zakupowego szaleństwa” – tłumaczy ks. Stryczek. – „Coraz mniej rozmawiamy, a coraz więcej pędzimy i oglądamy. Nawet w Wigilię włączamy telewizor i milczymy. A za rozmowę płacimy terapeutom i psychoanalitykom”. Dlatego właśnie postawił konfesjonał – miejsce, w którym ksiądz rozmawia z wiernymi. Nie był to zwykły kościelny mebel. Wypożyczyła go pobliska parafia św. Floriana. Stary, pogryziony przez korniki sprzęt prawdopodobnie służył Karolowi Wojtyle, który był tam wikarym w latach 1949–51[5].

Akcja, choć trwała krótko, ledwie przez godzinę, w przejmującym zimnie i wietrze, została zauważona przez krakowian. Relacja prasowa, powyżej przytoczona, zawierała również adres blogu księdza Stryczka, na który zainteresowani mogli pisać, wyrażając swoją opinię na temat jego działań.

Z artykułu opublikowanego kilka miesięcy później dowiadujemy się o innych działaniach księdza Jacka Stryczka, kapłana, głoszącego w niekonwencjonalny sposób Dobrą Nowinę.

> Chcąc zwrócić uwagę na świat wartości duchowych, ks. Stryczek wymyśla np. coraz to nowe akcje uliczne. W Wielkim Poście jeździł po ulicach Krakowa z wielkim brzozowym krzyżem na plecach. W Środę Popielcową wystawił na Rynek Podgórski rowerek treningowy i ubrany w sutannę zapamiętale ćwiczył. To samo zrobił podczas mszy w kościele św. Józefa. Rowerek miał być symbolem, sygnałem do aktywnego przeżywania mszy, do

[3] S. Michalkiewicz, *Protector traditorum*, Warszawa 2007, s. 127–128.

[4] A. Regiewicz, *Uliczna neoewangelizacja – czy możliwy jest dialog chrześcijaństwa z kulturą popularną?* [w:] *Sfera sacrum i profanum w kulturze współczesnych miast Europy Środkowej*, red. A. Koseski, A. Stawarz, Warszawa–Pułtusk 2004. Artykuł wydaje się niezbyt uporządkowanym rejestrem problemów anonsowanych w tytule. Jego bezsprzeczną zaletą jest powoływanie się na dość niejednoznaczne dokumenty Kościoła dotyczące kwestii, którą określę ogólnie jako „promocja religii środkami czerpanymi z kultury popularnej”. W moich rozważaniach koncentrowałem się na praktyce, nie na „teorii” zawartej we wspomnianych dokumentach.

[5] M. Paluch, *Konfesjonał przed sklepem w Krakowie*, GK z dn. 22.12.2008.

duchowych ćwiczeń, duchowego rozwoju. Nie tylko w Wielkim Poście. W trzecią rocznicę śmierci Jana Pawła II ks. Stryczek razem ze studentami nosił po Krakowie kajak. Na podobnym sprzęcie pływał w latach 60. wraz z grupą przyjaciół Karol Wojtyła. Kajak stał w kościele św. Józefa podczas rekolekcji, które miały uświadomić młodym ludziom drogę, jaką przebył Jan Paweł II, i to, że podążając tą samą drogą, staną się tacy sami jak On. W czasie mszy ks. Jacek Stryczek często korzysta z filmów, prezentacji komputerowych. Urozmaica kazania gadżetami-monetami, gdy zaczyna opowiadać o synu marnotrawnym, puszkami piwa w poście[6].

W cytowanym artykule znalazła się interesująca wypowiedź ks. Stryczka, który – nawiasem pisząc – był przed laty inicjatorem ogólnopolskiej dziś akcji „Świąteczna (Szlachetna) Paczka”: „Ludzie przeważnie mają dystans do wyjątkowych, zaskakujących elementów podczas Eucharystii. Wolą standard. Ja uważam, że w erze konsumpcjonizmu i szaleńczej pogoni za dobrami materialnymi trzeba w wyrazisty sposób pokazać pędzącemu bez opamiętania za złudnymi wartościami człowiekowi to, co powinno być dla niego naprawdę ważne”[7]. Ową wyrazistość uzyskać można, jak wskazuje przekonanie i działalność duszpasterza, poprzez zaskoczenie, tworzenie nieoczekiwanych sytuacji, używanie zdumiewających akcesoriów, poprzez happening, show, którymi karmi nas współczesna kultura.

Ksiądz Jacek Stryczek i jego działalność, którą wielu nazywa z przekąsem medialną, budzą wśród krakowian rozmaite opinie, hierarchia zdaje się ostrożnie akceptować owe nowoczesne formy ewangelizacji, czego dowodem może być mianowanie kapłana duszpasterzem środowisk biznesowych.

Z oryginalnych sposobów docierania do wiernych znany jest również jeden z hierarchów Kościoła katolickiego w Polsce. Jego pobyty w Krakowie nie uchodzą uwadze prasy.

Spektakl II. Biskup tańczy, śpiewa i opowiada

Jest taki hierarcha – czytamy w „Dzienniku Polskim” – który nie lęka się wejść na scenę i z niej głosić słowo Boże, śpiewając i tańcząc. To biskup Antoni Długosz, ulubieniec dzieci. [...] W minioną sobotę biskup Antoni Długosz zawitał pod Wawel. Koncert kolęd w jego wykonaniu, zorganizowany przez Wydawnictwo Biały Kruk i „Dziennik Polski”, zakończyło się owacją na stojąco. Teatr im. Juliusza Słowackiego, gdzie koncertował bp Długosz, zapełnił się dziećmi, ich rodzicami, dziadkami i opiekunami na długo przed rozpoczęciem występu. Czekając na głównego „aktora”, mali widzowie mogli podziwiać ustawioną na scenie teatru szopkę z figurami naturalnej wielkości. Gdy na scenie pojawił się biskup Długosz, a wraz z nim Święty Mikołaj, anioł i kosmaty, machający ogonem diabeł, szopka i cała widownia ożyła. Biskup Długosz śpiewał kolędy przy wtórze dzieci, które miały tekst kolęd na płytce, wręczonej im przez biskupa. Każdą kolejną kolędę poprzedzała opowieść bpa Antoniego o narodzinach Jezusa, a także o Świętej Rodzinie[8].

---

[6] G. Starzak, *Świat według ks. Stryczka*, DP z dn. 10.01.2009.

[7] *Ibidem*.

[8] *Biskup Antoni Długosz śpiewał, tańczył i opowiadał*, DP z dn. 29.12.2009.

Relacja z innego krakowskiego spotkania z biskupem A. Długoszem jeszcze dobitniej ukazuje ewangeliczno-ludyczny charakter imprezy.

> Kościół św. Stanisława Kostki na Dębnikach, znany z tego, że tutaj często modlił się młody Karol Wojtyła, był oblężony przez dzieci i młodzież. Ksiądz biskup Antoni Długosz jest bodaj jedynym biskupem na świecie, który śpiewa i... tańczy. Do Krakowa przyjechał nie tylko z Pismem Świętym, ale również z gitarą i aparaturą nagłaśniającą. Ta zabawa miała ewangeliczne przesłanie. Rozmawiając z dziećmi, ksiądz biskup cytował niektóre frazy ze swojej wydanej niedawno książki pt. *Chrześcijanin radosny*. To zbiór 70 kazań, a raczej literackich opowiadań na bazie Ewangelii, opracowanych z myślą o młodych czytelnikach[9].

„Czas na dobre kazanie". Pod tą nazwą kryje się kilkumiesięczna akcja „Dziennika Polskiego" zorganizowana w 2009 roku, a mająca na celu „wyłonienie nowych talentów kaznodziejskich na terenie Krakowa"[10]. Inicjatywa ta natrafiła, jak zapewniają organizatorzy, na duży odzew czytelników.

> Wśród zgłoszonych kandydatów są zarówno księża diecezjalni, jak i zakonni, kaznodzieje już rozpoznawalni oraz tacy, którzy całkiem niedawno zdobyli uznanie i mają w sobie talent mówcy. [...] Czytelnicy zgłaszali głównie księży ze swoich parafii, ale także wiele osób przyznało, że ma już wybranego duchownego, dla którego homilii są gotowi przejechać całe miasto. W galerii dobrych mówców krakowskiej ambony szczególne miejsce zajął ks. Bogusław Mielec, który nie jest związany z żadną parafią, tylko głosi kazania jako ksiądz pomocniczy przy cmentarzu Rakowickim. To duże wyróżnienie, bo stale zmieniający się słuchacze, którzy trafiali przypadkowo na jego kazania (ksiądz nie ma ustalonych stałych terminów mszy św.), zauważyli wartość jego homilii. Czytelnicy typowali dobrych mówców bez względu na wiek. [...] Młodsi zyskują sympatię optymizmem i otwartością. Często wzbogacają kazania o scenki i rekwizyty, co szczególnie trafia do dzieci i młodzieży. Prowadzą *quasi*-dialog ze słuchaczami, stawiają pytania, rozważają różne możliwe odpowiedzi[11].

Na podstawie głosów czytelników redakcja „Dziennika Polskiego" ogłosiła „Galerię dobrych mówców" oraz opublikowała „Dekalog dobrego mówcy, według ks. prof. Wiesława Przyczyny". Zapowiadała też kontynuację akcji w nieco zmienionej formie, poprzez prezentowanie na łamach pisma sylwetek wyróżniających się kaznodziejów.

Spróbuję ująć kwestię ewangelizacji za pomocą metod i środków oferowanych przez kulturę popularną, w sposób bardziej metodyczny. Chciałbym uporządkować, przynajmniej do pewnego stopnia, zgromadzony przeze mnie materiał, będący dokumentacją wielkiej liczby rozmaitych akcji, działań, ofert, imprez i widowisk proponowanych przez Kościół i organizacje chrześcijańskie, których znaczna część może być zaliczona do działań ludycznych, to znaczy takich, które nie tylko służą ewangelizacji (to ich pierwsza i najważniejsza funkcja), ale również – z intencji bądź nawet i bez intencji organizatorów – bawią, dostarczają rozrywki, budzą radość, cieszą.

---

[9] *Zatańczyli z biskupem*, DP z dn. 1.12.2008.

[10] P. Polak, *Finał akcji „Czas na dobre kazanie"*, DP z dn. 4.07.2009.

[11] *Ibidem*.

Pisząc o występowaniu elementów ludycznych w kulturalnej działalności parafii na Śląsku Cieszyńskim, Halina Rusek stwierdziła, że:

> Na gruncie Kościoła funkcje religijne splatają się bardzo wyraźnie z innymi funkcjami, w tym społecznymi i kulturalnymi, podejmowanymi przez tę instytucję. Jeżeli przypatrzymy się wszystkim płaszczyznom działalności jakiejkolwiek parafii, to znajdziemy tam też zabawę i rozrywkę[12].

Po tej dość oczywistej konstatacji autorka wyróżniła dwa wzory ludyzmu widoczne w działalności parafii:

> [...] pierwszy, rzadziej realizowany, przejawia się w postaci zabawy organizowanej przez parafie nie przy okazji wypełniania jej funkcji religijnych, ale z zamiarem dostarczenia parafianom rozrywki w wymiarze autotelicznym, będącym celem samym w sobie. Dyskoteki dla młodzieży, bale dla parafian, gry i zabawy organizowane przy okazji rajdów turystycznych, wakacyjnych wyjazdów dzieci i młodzieży i wiele innych podobnych form wypełnia ten wzór[13].

Realizacje tego pierwszego wzoru nie będą mnie tu interesowały. W tych przypadkach Kościół jawi się jako jedna z wielu instytucji, które starają się, z różnym zresztą skutkiem, zorganizować ludziom (tu szczególnej grupie: parafianom) „godną rozrywkę", „interesującą zabawę". Zajmują się tym także szkoły, domy kultury, rozmaite fundacje, związki zawodowe, samorządy gminne i miejskie, liczne organizacje społeczne itp. W działaniach parafii, zakonów i organizacji religijnych wyróżniające jest to, że w zabawach i rozrywkach pojawiają się zwykle, choć raczej marginalnie wątki religijne, które w imprezach organizowanych przez inne instytucje występują sporadycznie. Funkcją naczelną jest zabawa, inne mają mniejsze znaczenie.

O wiele bardziej interesujący jest drugi wzór ludyczny, wyodrębniony przez H. Rusek:

> [...] to zabawa – pisze ona – różnorodne rozrywki pojawiające się przy okazji realizowania przez parafie funkcji religijnych, liturgicznych, przy okazji świętowania i dokonywania się obrzędów religijnych. Tu działania religijne parafii albo bezpośrednio, w trakcie ich trwania, splatają się z zabawą, rozrywką (np. przy okazji odpustu parafialnego, obrzędów związanych z kultem świętych itp.) lub są pretekstem do zabawy (np. przy okazji chrztu, pierwszej komunii św., ślubu itp., gdzie część oficjalna dokonuje się na gruncie kościoła, a po niej następuje część druga, właśnie zabawa)[14].

Przykładowo, pierwszy wzór ludyzmu realizowany jest w Krakowie, w znaczącej i coraz bardziej rozbudowywanej imprezie sportowej Juliadzie, o której była mowa w innym miejscu[15]. Impreza ta nasycona jest treściami religijnymi (może właściw-

---

[12] H. Rusek, *Elementy ludyczne w kulturalnej działalności parafii na Śląsku Cieszyńskim*, „Zabawy i Zabawki" 1999, R. 3, nr 1–4, s. 72.

[13] *Ibidem*, s. 72–73.

[14] *Ibidem*.

[15] „Celem Juliady, którą organizujemy już po raz dziesiąty, jest promocja aktywnego, sportowego stylu życia wśród młodzieży. Zależy nam na tym, aby młodzi ludzie pozostający w mieście podczas wakacji zobaczyli, że mogą wspólnie zorganizować sobie czas wolny... od nudy. Organizując Juliadę, promujemy

sze byłoby określenie: wartościami chrześcijańskimi), nie ma jednak bezpośredniego związku z kultem religijnym. Uchodzi w opinii publicznej za „religijną" tylko ze względu na to, że organizowana jest przez księży.

Drugi wzór ludyzmu według H. Rusek łączę z działalnością nie tylko parafii, ale także na przykład zakonów i organizacji chrześcijańskich. Działalność tę można skrótowo nazwać „ewangelizacją poprzez zabawę", choć mam świadomość, że takie określenie zbytnio uwypukla element ludyczny, który często bywa zakamuflowany, dyskretny, bądź wręcz ujawnia się dopiero poprzez emocje uczestników, a nie wynika z intencji organizatorów. Być może lepsze byłoby zatem określenie „ewangelizacja innymi, oryginalnymi, nowymi sposobami", w tym także ludycznymi. Oczywiście, określenie ewangelizacja – używam je, aby podkreślić dominację funkcji religijnej – bywa często zastępowane w publicystyce, przez dziennikarzy i obserwatorów, rzadziej przez organizatorów i uczestników – pojęciami: promocja religii, marketing religijny bądź wręcz reklama religii!

Poniżej przedstawię kilka spektakli, poprzez które realizowany jest ów drugi wzór ludyczny, ściśle sprzęgnięty z posługą religijną, z religijnymi obrzędami, świętami religijnymi i z postaciami znaczącymi dla religijnego kultu (Jan Paweł II).

Spektakl III. Cappuccino dla Afryki

Nie ma chyba wątpliwości, że szeroko rozumiana działalność misyjna, ewangeliczna, należy do najistotniejszych funkcji religijnych Kościoła katolickiego. Tę działalność zakonów misyjnych, kapucynów, franciszkanów i innych, połączyć można – a jak się okazuje, nawet trzeba – z działalnością promocyjną z elementami ludycznymi.

> „Jak zachęcić krakowian, aby sypnęli groszem na budowę studni w Republice Środkowoafrykańskiej?" – pyta reporterka „Gazety Krakowskiej" i odpowiada: „Wsiąść do tramwaju i opowiedzieć pasażerom o 25 latach misji w Afryce". Tak postanowili zrobić bracia kapucyni. W najbliższy czwartek w godz. 8–20 będą jeździć po ulicach miasta bombardierem. Tramwaj „ósemka" będzie kursował normalną trasą – od Borku Fałęckiego do Bronowic Małych. Oprócz misjonarzy-kapucynów pojadą nim również wolontariusze. Skąd ten pomysł? Brat Benedykt Pączka właśnie wrócił z Afryki. Widział tam wiele. – „Ogromną biedę, myszy i szczury sprzedawane na targach na mięso, ludzi umierających z powodu braku czystej wody" – opowiada. – „Chcemy opowiedzieć krakowianom o tym, że mogą Afrykańczykom podarować życie" – mówi. Koszt najtańszej, płytkiej studni to około 2 tysiące euro. Droższe kosztują do 15 tys. „Teraz wygląda to tak, że ludzie chodzą kilkanaście kilometrów do studni. Niekiedy czerpią wodę z rzek i jezior – a tam pełno jest pasożytów" – tłumaczy brat Pączek. Po napiciu się takiej wody ludzie się trują i umierają. – „Dlatego chcemy im zbudować studnie. Mamy nadzieję, że w ciągu najbliższych trzech lat uda nam

---

zdrowe formy współzawodnictwa sportowego w takich dziedzinach, jak koszykówka uliczna (*streetball*), piłka nożna, szachy. Juliadzie towarzyszą także pokazy cyklotrialu, breakdance'u, jujitsu, jazdy na rowerach, rolkach i wiele innych atrakcji" (*Lato inne niż wszystkie*, rozmowa P. Stachnika z Sylwią Biernacką ze Stowarzyszenia „U Siemachy", DP z dn. 19.07.2008. Pomysłodawcą i głównym organizatorem Juliady jest ks. Andrzej Augustyński.

się wykopać 30. Wiemy jednak, że potrzeba aż 100" – podkreśla zakonnik. [...] Podczas czwartkowej przejażdżki tramwajem misjonarze będą rozdawać pasażerom kubki z wodą. Opowiedzą im także o tym, jak się żyje w Afryce i co robią na misjach [...][16].

Kapucyni, jak widać, nie tylko prowadzą misje, m.in. w Afryce, budują kościoły, studnie i szkoły, ale również – prowadząc w Polsce kwestę – potrafią zabawić młodzież i dorosłych, bo przecież przejażdżka misyjnym tramwajem jest formą zabawy. Okazją do niej był także jubileusz 25-lecia obecności Braci Mniejszych Kapucynów Prowincji Krakowskiej w Afryce.

„Nie bądź sknerą, nie szarp sznura, wrzuć banknocik do kaptura" – pod takim hasłem Bracia Kapucyni organizują w niedzielę na Rynku, od godziny 14 imprezę „S.O.S. dla Afryki". Koło Wieży Ratuszowej powstanie pigmejska wioska, będzie można spróbować afrykańskich pączków i miodu prosto z Afryki; przewidziano spotkanie z uczestnikami sztafety Afryka Nowaka oraz koncert Maleo Reggae Rockers, Arki Noego i KapBand. – „A wszystko po to, aby uzbierać pieniądze na budowę szkoły dla dzieci w Nzoro w republice Środkowoafrykańskiej" – podają organizatorzy. [...] Na Rynku stanie pięć chat wybudowanych dokładnie tak, jak robi się to w Afryce, a każdy będzie mógł zajrzeć do wnętrza. Będą także warsztaty tańca afrykańskiego, afrykańska przebieralnia (będzie można przymierzyć pigmejską spódniczkę i zrobić sobie w niej zdjęcie), a po zmroku rozpocznie się impreza „w świetle ognia i w rytmach tam-tamów"; atrakcją będzie możliwość zasmakowania pączków afrykańskich (zostanie przygotowanych 2 tysiące) tworzonych według specjalnej receptury. Obok stoiska z afrykańskimi przysmakami stanie kram z ręcznie robioną biżuterią artystyczną, a dochód ze sprzedaży zostanie także przeznaczony na budowę szkół w Afryce[17].

W kolejnym roku kapucyni zorganizowali, zapewne podbudowani sukcesem poprzedniej, imprezę pod zagadkową z pozoru nazwą „Cappuccino dla Afryki".

Pijąc od najbliższego piątku do niedzieli kawę cappuccino w wybranych kawiarniach w Krakowie – doniosła prasa – można wesprzeć akcję budowy szkoły w Nzoro [...]. To pomysł Fundacji „Kapucyni i Misje". – „Zrodził się, kiedy siedzieliśmy w kawiarni i zastanawialiśmy się, w jaki sposób podczas picia kawy nie myśleć tylko o sobie, ale też o tych, którzy potrzebują pomocy" – opowiadał wczoraj prezes fundacji, brat Benedykt Pączek OFMCap., w kawiarni „Noworolski" na Rynku Głównym. To pierwsza – jak na razie z kilku – kawiarnia, której właściciele zdecydowali się uczestniczyć w akcji [...]. Nie przez przypadek osoby chcące wesprzeć akcję będą pić cappuccino. Nazwa ta wywodzi się właśnie od kapucynów, gdyż kolor kawy przypomina kolor ich habitów. – „Zapominamy o tym, że dawniej w Krakowie i Galicji piło się tylko trzy rodzaje kawy: kawę czarną, »kapucyna«, czyli kawę z mlekiem, oraz »murzynka«, kawę z bitą śmietaną. Dopiero po wojnie nastąpiła ekspansja mody włoskiej i teraz mówi się »cappuccino«" – zwracał uwagę właściciel kawiarni Wojciech Noworolski. Zakonnicy chcą, aby mieszkańców Krakowa i turystów do wizyt w kawiarniach zachęcali m.in. proboszczowie podczas mszy św. Zaś w niedzielę w klasztorze przy ul. Loretańskiej 11 (w godz. 9–22) kawę serwować będą sami... kapucyni. Każdy chętny będzie mógł porozmawiać z misjonarzami, zobaczyć artefakty przywiezione z Afryki[18].

---

16 M. Paluch, *Rusza tramwaj pełen misjonarzy*, GK z dn. 23.03.2010.

17 *Pigmejska wioska na Rynku*, DP z dn. 21.05.2011.

18 P. Skubik, *Cappuccino z pomocą dla dzieci z Afryki*, DP z dn. 4.01.2012.

Podobną akcję zorganizowano na rzecz dzieci w Ugandzie, nosiła ona nazwę „Ołówek zamiast karabinu" i miała zasięg ogólnopolski.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia kilkadziesiąt tysięcy dzieci w całej Polsce rozpocznie kolędowanie na rzecz swoich rówieśników w Ugandzie. W ramach dorocznej już akcji „Kolędnicy Misyjni" opowiedzą o trudnej sytuacji dzieci w tym kraju. [...] Hasło tegorocznego kolędowania brzmi: „Ołówek zamiast karabinu". Zebrane podczas tegorocznej kolędy fundusze będą przeznaczone m.in. na zakup pomocy szkolnych dla ugandyjskich dzieci, wyposażenie sal, w których będą mogły się uczyć, oraz pomoc medyczną. [...] Obecnie w Polsce nie ma diecezji, w której nie byłoby małych misyjnych kolędników. Do kolędowania przygotowują się wiele miesięcy, ucząc się jasełek, w scenariuszach których zawarte są elementy kultury różnych krajów. Przy okazji dowiadują się wiele o życiu i problemach swoich rówieśników na świecie[19].

W działaniach charytatywnych tego rodzaju uczestniczą również samorządy, a dochody z imprez przez nie organizowanych, charakteryzujących się niekiedy wielkim rozmachem oraz obecnością elementów ludycznych, wydatnie zasilają fundusze misyjne.

Degustacja manioku, budowanie domków Pigmejów, licytacja afrykańskich masek oraz modlitwy w języku sango i pana to tylko niektóre z atrakcji, jakie przygotowali dla krakowian organizatorzy akcji „Zapal światło" i święta Dzielnicy VII Zwierzyniec. Impreza odbyła się na krakowskich Błoniach. – „Chcemy poszerzyć misyjną świadomość krakowian i pokazać im, że trzeba się dzielić. Dochód z imprezy jest przeznaczony dla ludzi z Republiki Środkowoafrykańskiej i Czadu" – wyjaśnił o. Bernard Pączek, kapucyn. Podczas imprezy wystąpił m.in. Krzysztof Piasecki, Zbigniew Wodecki i Zespół Raz, Dwa, Trzy. O zmroku wokół Kamienia Papieskiego zapłonął ułożony ze świec Kontynent Afrykański. Każdy mógł dołożyć swoje światełko[20].

Kolejne trzy przykłady pokazują zakres ewangelicznych działań krakowskich klasztorów, działań, w których pojawiają się w mniej lub bardziej wyraźny sposób elementy ludyczne.

W krakowskim klasztorze oo. Dominikanów – czytamy w „Gazecie Krakowskiej" – trwają przygotowania do premiery musicalu „Zazdrosna miłość, czyli historia niewierności". Będzie to przedstawienie zaiste gigantyczne, na scenie pojawi się ponad stu wykonawców. [...] Wokół klasztoru oo. Dominikanów skupia się spore środowisko artystyczne i młodzieżowe. Nie było więc problemu ze znalezieniem chętnych do współpracy. – „Bycie dominikaninem zobowiązuje, zwłaszcza do działań niekonwencjonalnych. Już św. Dominik kazał nam robić rzeczy dziwne i szalone" – wyjaśnia kulisy przedsięwzięcia Adam Szustak OP, autor libretta. Tekst musicalu odwołuje się do biblijnej księgi Ozeasza. – „Prorok Ozeasz zostaje wezwany przez Jahwe do poślubienia Gomer, nierządnicy, celem sprowadzenia jej na właściwą drogę. Gomer jednak zdradza Ozeasza, który mimo to raz jeszcze otrzymuje wezwanie do małżeństwa. To historia pełna dramatyzmu, o silnym, znaczącym przesła-

[19] G. Starzak, *Ołówek zamiast karabinu*, DP z dn. 23.12.2010.

[20] *Afryka zagościła na Błoniach*, GK z dn. 29.06.2009.

niu" – wyjaśnia fabułę spektaklu Adam Szustak OP. Losy bohaterów są metaforą miłości Boga do niewiernego narodu wybranego[21].

Dochód z przedstawienia został przeznaczony na zasilenie funduszu Stypendium św. Jacka. To znana inicjatywa oo. Dominikanów, pragnących wesprzeć materialnie edukację młodzieży, zwłaszcza z terenów wiejskich. W roku 2000, kiedy powstała ta inicjatywa, ufundowano 40 stypendiów, na przełomie lat 2003–2004 aż 150.

Zakony szukają sposobów na przyciągnięcie kandydatów. Franciszkanie wpadli na oryginalny pomysł walki ze spadającą liczbą powołań: urządzają ferie w klasztorze z bogatym programem pozareligijnym. – „Ci, którzy skorzystali z zaproszenia, mają okazję poznać rytm naszego codziennego życia i przekonać się, czy odpowiadałoby im to na dłuższą metę" – mówi o. Jan Maria Szewek, rzecznik zgromadzenia. Organizatorzy tych nietypowych ferii zadbali o to, aby ich uczestnicy nie tylko poznali codzienne życie zakonników i obowiązujące w zgromadzeniu zasady postępowania. W programie „Ferii ze św. Franciszkiem" jest też sporo zajęć o charakterze kulturalnym i sportowym. – „Chodzimy na Skałki Twardowskiego, na kopiec Kościuszki i na salę gimnastyczną. Zwiedzamy miasto, zabytki Krakowa. Jutro będziemy w centrum Jana Pawła II i w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia" – relacjonuje o. Piotr Raizner, asystent prowincjała ds. powołań"[22]. Być może ferie w klasztorze nie przyczynią się wydatnie do zwiększenia powołań, lecz dla uczestników są dobrą okazją nie tylko do zrozumienia życia zakonnego, ale i do relaksu.

Z kolei tynieccy benedyktyni na karnawał polecają medytacje zamiast hucznych zabaw i fajerwerków.

> Po ogromnym sukcesie sylwestra organizowanego przez benedyktynów z Tyńca mnisi zapraszają do siebie na... karnawał. Chętnym, zamiast hucznej zabawy, proponują wspólną lekturę Pisma Świętego, medytacje, rozmowy z braćmi na różne tematy. W programie „karnawału z mnichami" są też nieszpory, a na zakończenie nabożeństwo pokutne z posypywaniem głowy popiołem. – „Pomysł „karnawału z mnichami" zrodził się spontanicznie" – mówi Ewelina Drela z Benedyktyńskiego Instytutu Kultury. – „To w pewnym sensie kontynuacja cieszącego się ogromnym powodzeniem »Antysylwestra«. Okazuje się, że coraz więcej osób zamiast hucznej i hałaśliwej zabawy karnawałowej pragnie w tym czasie pogłębić swoje życie duchowe. Karnawał w Tyńcu będzie więc czasem modlitwy i refleksji, medytacji, wspólnej lektury Pisma Świętego oraz, w razie potrzeby, rozmów z żyjącymi tu benedyktynami. Myślę, że będzie to okazja, aby doświadczyć radości, która jest udziałem wybranych" – dodaje Ewelina Drela[23].

Zamiast sylwestrowej zabawy „antyzabawa" w klasztorze, doświadczenie radości przez wybranych. Rezerwacja miejsc z rocznym wyprzedzeniem! Medytacje i modlitwa, czytanie Pisma Świętego, rozmowy z mnichami to nie jedyne zajęcia uczestników.

> Na tych, którzy zdecydują się na udział w „karnawale z mnichami", czeka 80 pokoi, które co prawda przypominają klasztorne cele, ale w każdym jest łazienka. Program „karnawa-

---

[21] *Prorok i nierządnica*, GK z dn. 2.06.2004.

[22] *Nietypowe ferie w klasztorze*, DP z dn. 21.02.2012.

[23] *Karnawałowe medytacje w tynieckim klasztorze*, DP z dn. 21.01.2012.

łu" jest z góry ustalony, jednak goście mogą sobie organizować czas wedle upodobań, np. przyglądając się z bliska codziennemu życiu mnichów. Dla niektórych gości dodatkową atrakcją może być słynąca z przysmaków klasztorna kuchnia[24].

Elitarna moda na „karnawał z mnichami" zdaje się przekraczać granice przeżycia religijnego, staje się przynajmniej dla niektórych uczestników – stwierdzę to śmiało – przeżyciem religijnym z zabawą w tle, zabawą w mnicha. Organizatorzy nie widzą w tym nic zdrożnego, choć oczywiście jest to pomieszanie *sacrum* z *profanum*. Dziś nie tylko zakonnicy wychodzą z klasztorów, nawet medytacyjnych, ale i do klasztorów przybywają profani, nie zawsze zapewne kierowani tam pobożnością.

Spektakl IV. Pokropione zwierzęta

Od roku 1992 w Krakowie można odwiedzać „Żywą szopkę", organizowaną przez franciszkanów zgodnie z wielowiekową tradycją zainicjowaną we Włoszech przez św. Franciszka. Pierwszą krakowską „Żywą szopkę" zorganizowano w domku w auli bł. Jakuba w klasztorze oo. Franciszkanów, w Wigilię odwiedził ją ówczesny metropolita, ks. kardynał Franciszek Macharski[25].

Oto zapowiedź „Żywej szopki" w 2005 roku:

> Po raz 14. będzie można oglądać „Żywą szopkę" – przy ulicy Franciszkańskiej – na skwerze, naprzeciwko budynku Kurii Metropolitarnej. Klerycy Wyższego Seminarium Duchownego Franciszkanów w Krakowie zapraszają tam dziś od godz. 20 do północy; będzie m.in. wspólne kolędowanie i dzielenie się opłatkiem, a później pasterka. W niedzielę „Żywa szopkę" będzie można oglądać od godz. 15.30 do 19 (jasełka, konkursy, wspólne kolędowanie); około godz. 18 rozpocznie się koncert kolęd w wykonaniu zespołu Skaldowie. Na poniedziałek, na godz. 15, zaplanowano koncert kleryckiego zespołu „Bracia Franciszka" z Sankt Petersburga. Aktorami będą klerycy z I roku i uczennice szkoły ss. Prezentek. Do szopki trafią też wypożyczone (m.in. z zoo i Akademii Rolniczej) żywe zwierzęta: kozy, owce, kucyki, osiołek, lamy i króliki[26].

„Żywa szopka" stała się już w Krakowie ważną atrakcją świąteczną – zwłaszcza dla dzieci, które nie mają w wielkim mieście wiele okazji, by oglądać zwierzęta na żywo – podobną do tradycyjnych już świątecznych odwiedzin kościołów z bożonarodzeniowymi szopkami i wielkanocnych „grobów Pańskich". Podobną atrakcją staje się mało jeszcze znany krakowianom, bo obchodzony na peryferiach miasta, w Prokocimiu, „wjazd Jezusa do Jerozolimy", zainicjowany w roku 2001 i połączony z konkursem palm.

> Tradycyjnie już, po raz piąty, w Prokocimiu w Niedzielę Palmową park Jerzmanowskich przemierzał wczoraj osiołek w otoczeniu dzieci. W tym przejściu procesyjnym na mszę św. do kaplicy w parku – kościoła rektoralnego Augustianów pw. św. Mikołaja z Tolen-

---

[24] *Ibidem*.

[25] Według M. Paluch, *Kuce, kozy i osły będą grać w żywej szopce*, GK z dn. 18.12.2008.

[26] *Klerycy, uczennice i wypożyczone zwierzęta*, DP z dn. 24.12.2005.

tino – odtwarza się wjazd Jezusa do Jerozolimy. Dzieci przebierają się za Jezusa, Matkę Bożą, apostołów. Przynoszą też smakołyki dla osiołka. Osiołek jest wypożyczany z ogrodu zoologicznego; nie zawsze podczas tej procesji chce iść tam, gdzie go prowadzą, ale tym razem nie było problemów – kroczył dzielnie i jak trzeba dowiózł na miejsce Pana Jezusa. Po mszy św. rozstrzygnięto też tutaj konkurs palm. Oceniane były one w trzech kategoriach: palm wykonanych przez uczniów szkół podstawowych, gimnazjalistów oraz palm rodzinnych, które przygotowywali najmłodsi[27].

Religijno-ludyczną imprezą są również doroczne msze w intencji opiekunów zwierząt, a także samych zwierząt, które odbywają się, o czym już wspomniałem w innym kontekście, w Krakowie od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Organizowane są w październiku (Miesiąc Dobroci dla Zwierząt i miesiąc, w którym Kościół obchodzi wspomnienie św. Franciszka) przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami przy udziale oo. Bernardynów. Do 2010 roku miały miejsce na dziedzińcu przed kościołem oo. Bernardynów, w 2011 odbyły się na placu Szczepańskim. Oto prasowy opis jednej z takich imprez, opis żartobliwy, ale oddający celnie ludyczny nastrój spotkania:

Najbardziej pobożne – sądząc po liczbie – są psy, które przyprowadziły swoich właścicieli na nabożeństwo na dziedziniec kościoła oo. Bernardynów. Jak co roku jest ono odprawiane po święcie, w którym wspomina się św. Franciszka. Niektóre zwierzęta przyszły na własnych nogach, niektóre, jak chomiki i papugi w klatkach, inne – głównie koty – wdrapywały się ze względów bezpieczeństwa na ramiona swoich panów. Janina Bartyzel przyszła z Murzynem, kundelkiem, którego mama była jamniczką, co widać po jego długości. Na niedzielę Murzyn został przystrojony w czerwone wstążki[28].

Inny opis bardziej akcentuje religijny wymiar imprezy:

Psy, koty, żółw, królik, a nawet konik polski przywędrowały wczoraj na plac przed kościołem oo. Bernardynów na doroczne nabożeństwo w intencji opiekunów zwierząt. [...] Podczas nabożeństwa, któremu przewodniczył o. Aleksander Sitnik, proszono – za pośrednictwem św. Franciszka z Asyżu – o błogosławieństwo dla zwierząt, które zostały przyprowadzone przez swoich opiekunów; dziękowano też, że Bóg wywyższył człowieka nad wszystkie stworzenia na ziemi. Ojciec Sitnik zwracał uwagę, że zwierzęta uczestniczą w losach człowieka i towarzyszą mu w życiu; podawał przykłady z Biblii [...]. – „Świętego Franciszka prawie zawsze otaczały zwierzęta”– o. Sitnik przywoływał przekazy biografów na ten temat (np. o tym, że w celi zakonnej świętego było słychać granie świerszcza, a Franciszek wygłaszał kazania do ptaków). – „Zwierzęta instynktownie wyczuwały wielką dobroć świętego. A on nazywał ich swoimi braćmi. Święty Franciszek jako pierwszy zwrócił uwagę, że przyrodzie należy się szacunek i troska. Świat, w którym żyjemy, nie jest naszą własnością. Dostaliśmy go jako dar od Boga, który powinniśmy szanować, by mógł służyć także tym, którzy przyjdą po nas”. Na zakończenie nabożeństwa zwierzaki zostały pokropione wodą święconą. Do poświecenia podszedł ze swoimi opiekunami

---

27 *Na osiołku przez park*, DP z dn. 10.04.2006. W XVII wieku odbywały się w Krakowie inscenizacje wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, ale nie na żywym, lecz „lipowym osiełku”. Zob. R. Kantor, *Przestrzenie ludyczne dawnego i współczesnego Krakowa. Wprowadzenie do problemu*, [w:] *Kraków ludyczny*, Kraków 2009, s. 55.

28 *Bernardyn u bernardynów*, DP z dn. 11.10.2004.

m.in. Aleks – 4-letni pies rasy golden retriever. – „Potrzebne są takie nabożeństwa, żeby zwierzęta też czuły obecność Boga" – uznał właściciel Aleksa Marian Grabowski. Przyszedł z psem do kościoła, aby pomodlić się o jego zdrowie[29].

Nowe formy ewangelizowania z użyciem „środków" ludycznych stosowane są nie tylko przez klasztory i zakonników, korzystają z nich również parafie świeckie i organizacje katolickie, w tym katolickie szkoły.

Spektakl V. Cymbergaj i modlitwa przez taniec

Doskonałym, niemal modelowym przykładem powiązania imprezy religijnej z zabawą jest Familiada „ToR" 2004; podobnych imprez odbywa się wiele.

> Dniem modlitwy, a w nim m.in. pieszą pielgrzymką z sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach do sanktuarium Najświętszej Rodziny w Nowym Bieżanowie rozpoczęła się Familiada „ToR" 2004, której hasłem jest troska o rodzinę. Dziś w ramach familiady odbywają się przede wszystkim imprezy sportowe i kulturalne oraz targ familiadowy, jutro świętowany będzie odpust parafialny. Organizatorzy to parafia pw. Najświętszej Rodziny, Rodzina Kolpinga, Wspólnota Aktywnie Poszukujących Pracy oraz wspólnoty parafialne[30].

Liczba atrakcji oferowanych uczestnikom wręcz poraża. Pomijając roraty familijne, mszę dla młodzieży „o szczęśliwą miłość", sumę odpustową, mszę dla jubilatów „świętujących właśnie 50- i 25-lecie sakramentalnego małżeństwa", uczestnicy mogą skorzystać z atrakcji w rodzaju: targu familijnego, „w którym do udziału zapraszane są szczególnie małe firmy rodzinne, jak i osoby, które mogą wystawić na sprzedaż własne wyroby czy na przykład wyhodowane przez siebie warzywa". Na obiektach sportowych miejscowego klubu, osiedlowych szkół, domu kultury i spółdzielni mieszkaniowej rozgrywano turnieje koszykówki, tenisa stołowego, cymbergaja, odbył się bieg przełajowy na łąkach, mecz piłkarski dziewcząt z licealnej klasy wojskowej z lektorami parafialnymi. Nie dość to: „przewidziane są występy grup artystycznych, pokazy sztuk walki, tańce akrobatyczne, koncert muzyczno-baletowy [...], występ Zuzanny Madejskiej (lokalna kilkunastoletnia gwiazda)". Można było także obejrzeć spektakle Teatru Parafialnego, zaplanowano kiermasz pracy oraz seminarium zatytułowane „Poszukiwania sposobów wspomagania bezrobotnych", kiermasz wydawnictw katolickich, punkt pomiaru ciśnienia tętniczego, loterię fantową, przejażdżki konne, znakowanie przedmiotów wartościowych. Dostępny był również punkt honorowego krwiodawstwa.

Familiady parafialne mają już dłuższą tradycję, organizowane są od końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku i stanowią bardziej rozbudowaną formę odpustów, choć nie zawsze mają bezpośredni związek ze świętami patronów danej parafii. Bywają – jak w przypadku poniżej przedstawionym – zarówno odpustem (notatka

---

[29] *Pokropione zwierzaki*, DP z dn. 8.10.2004.

[30] *Zuzanna i cymbergaj*, DP z dn. 25.09.2004. Wszystkie dalsze cytowane informacje pochodzą z tej notatki.

prasowa nie eksponuje elementów religijnych imprezy), jak i znaczącym elementem osiedlowej działalności kulturalno-rozrywkowej z dodatkiem elementów religijnych. Taki charakter miała kolejna familiada, która odbyła się trzy lata później w tymże Nowym Bieżanowie.

> W sobotę wszystkie szkoły, przedszkola, ośrodki kultury, parafia otworzyły swoje drzwi dla mieszkańców. W Nowym Bieżanowie po raz osiemnasty odbyła się familiada. Na sali gimnastycznej i boisku Gimnazjum nr 29 już od rana pojawili się dziewczęta i chłopcy, chcący spróbować swoich sił w rozgrywkach sportowych. – „Będzie streetball, siatkówka, piłka nożna" – wyliczał Jacek Szarek, wicedyrektor gimnazjum. – „Każda szkoła przygotowała zajęcia dla dzieci i młodzieży". Z kolei w pobliżu kościoła rozłożyły się stoiska jarmarku familiady. Można było na nich kupić książki, odzież, balony, zabawki. Uczniowie przynieśli ciasta, były też obrazy, rozmaite wyroby z papieru. – „Każdy może przyjść na jarmark i coś zaoferować" – mówi Katarzyna Jędrzejczyk-Kiełbasa, współorganizatorka familiady. – „Oprócz tego w programie familiady są spektakle teatralne i występy zespołów muzycznych. Główne wydarzenie to koncert Edyty Geppert". Pomysłodawcą familiady jest ks. Józef Jakubiec, proboszcz parafii Najświętszej Rodziny. – „Mieszkańcy tego osiedla przybyli z różnych stron Polski. Należało podjąć wysiłek w kierunku braterstwa i sąsiedzkiej solidarności. Familiada stała się sztandarowym wydarzeniem wpisanym w kalendarz wszystkich instytucji na osiedlu. Wcześniej nic się tu nie działo, nie było oferty kulturalnej" – mówi[31].

Podobny charakter mają pikniki organizowane przez katolickie szkoły. Poniżej omówię szerzej pierwszy piknik, jaki zorganizowano w Zespole Szkół im. Świętej Rodziny z Nazaretu Katolickiego Centrum Edukacyjnego Archidiecezji Krakowskiej Caritas. Piknik odbył się cztery lata temu i z jednej strony był sumą doświadczeń, jakie zdobyły wcześniej szkoły katolickie organizujące tego rodzaju imprezy, z drugiej zaś wyznaczył niejako ich model na dalsze lata.

> Spotkanie rozpoczęło się od polowej mszy, którą w intencji uczniów, nauczycieli, absolwentów, przyjaciół i rodzin związanych z krakowską placówką odprawił dyrektor zespołu szkół ks. Krzysztof Wilk. [...] – „Pomysł pikniku zrodził się już kilka lat temu, ale dopiero teraz, w spokojnym czasie udało się go zrealizować" – mówi zastępca dyr. szkoły Krystyna Karkowska. Główna w tym zasługa Rady Rodziców oraz Stowarzyszenia Absolwentów Szkoły i sponsorów, ale swoją cegiełkę dokładał, kto tylko mógł. Dzięki temu kilkaset osób bawiło się znakomicie. Program niedzielnego spotkania był niezwykle bogaty – prezentowały się artystyczne zespoły szkolne i „zewnętrzne" – „Małe Słowianki", rozgrywano konkursy w różnych dziedzinach. Co potrafią, pokazali zarówno „intelektualiści", jak i sportowcy, by nie marnował się żaden talent. Na spotkanie – poza przedstawicielami władz kościelnych i oświatowych – zaproszono obecnych uczniów i ich rodziny, a także byłych wychowanków. Byli wśród nich laureaci międzyszkolnych olimpiad, którzy mogli pochwalić się swoimi naukowymi osiągnięciami, a tym samym dali dowód, że warto należeć do szkolnego koła fizycznego czy chemicznego. Oczywiście, jak na każdym pikniku, zatroszczono się i o potrzeby ciała, serwując pieczone kiełbaski, ciasta, lody i napoje. – „Skoro to pierwszy piknik, będą i następne. Już nasza w tym głowa" – zapewnił dyrektor zespołu szkół ks. Krzysztof Wilk[32].

---

[31] *Dawniej nic się nie działo*, DP z dn. 1.10.2007.

[32] *Piknik u Świętej Rodziny*, DP z dn. 9.06.2008.

Ten piknik świadomie wyważający cele dydaktyczne i elementy religijne oraz nieeksponujący nadmiernie ludycznych odbył się pod patronatem „Dziennika Polskiego".

O ile pikniki tego rodzaju zadomowiły się w krakowskich szkołach katolickich na dobre, kolejna impreza szuka dopiero swojego miejsca, choć – jak się wydaje – jest wystarczająco atrakcyjna, aby stać się cykliczną. Mowa o I Festiwalu Filmowym „Prawda. Droga. Życie" zorganizowanym przez Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Gościem festiwalu był znany aktor Krzysztof Globisz, co oczywiście podniosło atrakcyjność spotkania.

> Podczas festiwalu – czytamy w prasowej notatce – będzie można zobaczyć filmy nagrodzone w czasie renomowanego już festiwalu filmowego w Niepokalanowie. Podejmują one temat wiary katolickiej w niebanalnym ujęciu i przedstawiają problemy społeczne od strony chrześcijańskiej. [...] Projekcji będą towarzyszyły spotkania z twórcami. Oprócz Globisza udział zapowiedział Dominik Tarczyński, reżyser filmu *Kolumbia – świadectwo dla świata*. Film otrzymał w Niepokalanowie I nagrodę za pokazanie prawdziwego oblicza Kolumbii, gdzie wyznawanie wiary przez rządzących pomaga w zwalczaniu narkotykowej mafii. W ostatnim dniu festiwalu organizatorzy wyświetlą filmy związane z tematyką pro-life, a komentarz do nich wygłosi dr inż. Antoni Zięba, prezes Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka. Wtedy też odbędzie się także mini-przyjęcie urodzinowe z okazji pierwszej rocznicy powstania katolickiego miesięcznika „Tryby", którego zespół jest pomysłodawcą festiwalu. Podczas festiwalu odbędzie się loteria fantowa, z której dochód będzie przekazany na druk kolejnych numerów miesięcznika[33].

Także i w tym przypadku prezentacja poważnych treści nie wyklucza wprowadzania w bardzo umiarkowany sposób elementów ludycznych.

Czy warsztaty taneczne mogą być jednocześnie formą modlitwy? Tak uważają organizatorzy kolejnej prezentowanej imprezy.

> W tym roku po raz kolejny odbyły się w Krakowie warsztaty tańca, będące kontynuacją organizowanych czterokrotnie przez Katolickie Centrum Kultury tego typu spotkań. Warsztaty były jednocześnie formą rekolekcji. Dlatego obok zajęć praktycznych odbywały się wspólna modlitwa oraz wykłady dotyczące tematyki ciała, cielesności oraz tańca. Zajęcia prowadzone były przez nauczyciela tańca współczesnego Alicję Gil oraz członków wspólnoty Emmanuel z Katowic. – „Jak co roku, nie było to wydarzenie jedynie artystyczne, lecz również duchowe, a uczestniczyły w nim nie tylko osoby świeckie, lecz również konsekrowane. Specyfiką naszych warsztatów jest właśnie to przenikanie i dopełnianie się treści przekazywanych w trakcie nauczań z tematyką zajęć praktycznych" – mówi Alicja Gil. W tym roku myślą przewodnią zajęć była benedyktyńska myśl: *Ora et labora*, czyli „Módl się i pracuj". W kontekście tańca oznaczało to, że uczestnicy skupili się bardziej nad stroną warsztatową tańca. Prowadzący chcieli ukazać, że praca nad warsztatem tanecznym jest swoistą modlitwą, oczyszczającą i uzdrawiającą ich uczestników[34].

Można oczywiście mieć wątpliwości, co oznacza taniec jako swoista modlitwa. Organizatorzy problem ten wyjaśniają następująco:

---

[33] G. Starzak, *Festiwal filmowy o wierze i życiu*, DP z dn. 9.01.2012.

[34] *Modlitwa przez taniec*, DP z dn. 8.12.2004.

[...] coraz więcej osób i grup odczuwa pragnienie tańczenia, jednak nie posiadają podstawowego narzędzia, jakim jest warsztat taneczny. Tymczasem taniec – jak każda dziedzina sztuki – rządzi się pewnymi zasadami, których nie można ignorować, przygotowując układy taneczne, a szczególnie te na cele ewangelizacyjne. Jak mówi Alicja Gil, zorganizowane już po raz piąty warsztaty stają się miejscem wielu decyzji życiowych: jedni zaczynają edukację taneczną, inni piszą prace magisterskie na temat tańca, jego wymiaru modlitewnego, a nawet liturgicznego. Alicja Gil jest nauczycielem tańca współczesnego. Uczyła się tańca w Polsce i w Belgii, występuje i prowadzi warsztaty tańca i modlitwy poprzez taniec w Polsce i za granicą. Nauczania prowadzone były przez diakonię tańca ze wspólnoty Emmanuel z Katowic posiadającą wieloletnie doświadczenie w prowadzeniu rekolekcji modlitwy poprzez taniec[35].

Być może notatka prasowa niezbyt precyzyjnie wykłada sens owych rekolekcji-modlitwy poprzez taniec. Trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, że taniec, podobnie jak i teatr, mają wedle historyków sztuki korzenie sakralne, do których dziś odwołują się często – jak we wspomnianym przypadku – współcześni artyści[36].

Nawiasem mówiąc, atrakcyjność rekolekcji wzmacniają dodatkowe propozycje, na przykład post oczyszczający, o czym informację znalazłem w katolickiej prasie. „Dla ducha i ciała. Rekolekcje z postem oczyszczającym warzywno-owocowym według Ewy Dąbrowskiej w Archidiecezjalnym Domu Rekolekcyjnym w Zaborówce k. Leszna Wlkp."[37]. Patronką rekolekcji jest św. Urszula Ledóchowska.

Spektakl VI. Zrób się na bóstwo w czasie postu

Rekolekcje odbywają się z okazji najważniejszych świąt katolickich, Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. To drugie święto stało się okazją m.in. do wskrzeszania wielkich widowisk-misteriów Męki Pańskiej w Krakowie.

Tuż przy kościółku św. Wojciecha stanęła Golgota. Na jej szczyt, zwieńczony wielkim krzyżem, wiodła dróżka pomiędzy żółtobrązowymi, metalowymi konstrukcjami, przypominającymi zbocza góry. Z lewej strony Golgoty, na podwyższeniu, wyrósł ogród oliwny, który symbolizowało zaledwie jedno drzewko, i niski, okalający je płot. Po prawej stronie mansjon, w którym oprawcy Chrystusa ukoronują Go koroną cierniową i ubiczują. Zanim jednak zacznie się widowisko, główny punkt scenografii, czyli Golgota, jest ładnie malarsko podświetlony. Mansjony po obydwu stronach na razie pozostają w cieniu. Wszyscy niecierpliwie czekają na to, co się wydarzy[38].

To, co miało się wydarzyć, tydzień wcześniej anonsował „Dziennik Polski":

12 obrazów z życia Chrystusa – m.in. wjazd do Jerozolimy, ostatnia wieczerza, sąd u Piłata, droga krzyżowa, ukrzyżowanie, zmartwychwstanie – złoży się na wielkie widowisko

---

[35] *Ibidem*.

[36] Zob. np. *Historia teatru*, red. J.R. Brown, tłum. H. Baltyn-Karpińska, Warszawa 1999.

[37] Anons z : „Informator Pielgrzyma", wyd. okolicznościowe nr 3/2009.

[38] M. Huzarska, *Pasja na Rynku*, GK z dn. 13.04.2004.

plenerowe „Dialog o męce i zmartwychwstaniu Pańskim". Spektakl, przygotowany przez teatr Groteska, rozpocznie się o godz. 21.30 w Wielką Sobotę, w Rynku Głównym w Krakowie. Widowisko będzie centralną imprezą trwającego od Wielkiego Piątku Festiwalu Misteria Paschalia, którego organizatorem jest Biuro Kraków 2000. [...] Spektakl wyreżyseruje Adolf Weltschek, zaś choreograficznie oprawi widowisko Roman Angel [scenografia i kostiumy Jan Polewka – R.K.]. [...] „To ogromny spektakl. Wystąpi blisko 120 osób: aktorów, muzyków, śpiewaków, tancerzy i statystów" – mówi Jacek Stankiewicz, asystent reżysera. – „Jest to bardzo trudne przedsięwzięcie. W przestrzeni, w jakiej będziemy grać na Rynku, możliwą mamy tylko jedna próbę. Na razie ćwiczymy poszczególne sekwencje z wyrysowanym tylko na podłodze obrysem scenografii" – dodaje[39].

Ale przedsięwzięcie jest trudne nie tylko z powodów technicznych. Istotę wątpliwości oddaje cytat z innej prasowej notatki.

Przestałam cieszyć się wigilią Bożego Narodzenia, odkąd na choinki i mikołaje muszę patrzeć od połowy listopada. Boję się, że materiałem reklamującym kolejne wielkie święta stanie się smutna twarz Galilejczyka. Reklamuje lepiej, niż neutralne pisanki i zajączki, bo przemawia do podświadomości. Poszłam w końcu na „Pasję" i może nawet zobaczę fragment przedstawienia Weltschka. Ale czy będę jeszcze w stanie poczuć, że w Wielką Niedzielę zdarzyło się coś wyjątkowego?[40].

Dominikanie nie obawiają się komercjalizacji wielkich katolickich świąt. Przeciwnie,

[...] zachęcają do przeżywania okresu Wielkiego Postu w wyjątkowy sposób. – „Pościć można na różne sposoby. My namawiamy do tego, aby oprócz tego ładnie się ubrać" – mówi dominikanin z Krakowa o. Adam Szustak. To pomysł wymyślony przez studentów z Beczki, duszpasterstwa akademickiego. Polega na tym, że co tydzień w każdą wielkopostną niedzielę podczas mszy świętej będzie można poprosić kogoś w kościele o post w konkretnej intencji. Można o niej powiedzieć albo napisać na kartce. Każdy, kto przyjmie ją od kogoś innego, zobowiązuje się do jednodniowego postu w dowolnej formie. – „Postem może być dowolne ograniczenie, np. odmówienie sobie czegoś przyjemnego" – mówi o. Adam Szustak. Dominikanie zachęcają, aby oprócz tego odświętnie się ubrać. „Zrób się. Akcentem wyróżniającym dzień postu będzie odświętny strój, w myśl słów Pana Jezusa: Kiedy pościcie, nie bądźcie posępni jak obłudnicy, którzy przybierają wygląd ponury. Ty zaś, kiedy pościsz, namaść sobie głowę i umyj twarz" – zachęcają dominikanie na swojej stronie internetowej. – „Jest w tym także element prowokacji. Kiedy ktoś zapyta, dlaczego jesteś tak wystrojony, można odpowiedzieć, »bo poszczę«" – mówi o. Adam Szustak[41].

Uczcić okres Męki Pańskiej można również, nosząc po mieście krzyż. Ten happening ma przypominać o Wielkim Poście.

Czternaście półtorametrowych brzozowych krzyży zawędrowało ze swoimi właścicielami do pracy i na uczelnię. Na plecach rowerzystów, w rękach studentów i lekarzy, jeździły

[39] *Ibidem*.

[40] M. Bosak, *Męka Pańska Show*, DP z dn. 10.04.2004.

[41] *Zrób się na bóstwo w czasie postu*, DP z dn. 11.04.2011.

tramwajami i stały pod ścianą podczas wykładów. Podczas jednodniowej akcji organizacji „Wiosna Kościoła PRO" działającej przy parafii św. Józefa w Krakowie młodzi ludzie chcieli udowodnić, że Kościół ma do ludzi przychodzić. [...] Happening miał pobudzić świadomość ludzi, że nadszedł kolejny piątek Wielkiego Postu[42].

Happening uważany jest powszechnie za sposób deklarowania poglądów estetycznych, formę ekspresji sztuki nowoczesnej albo nawet zabawę sztuką, rzadziej służy głoszeniu poglądów religijnych. Krakowskim specjalistą od takiego wykorzystania happeningu jest wspomniany już na początku tego rozdziału ks. Jacek Stryczek. Miał on udział w poprzednio opisanym happeningu, kolejny wydaje się równie zaskakujący.

Manekiny ubrane w papierowe, dobrze skrojone stroje. Krzyżyk przypięty do torby na laptopa, zawieszony na szyi, trzymany w kieszeni. Parter krakowskiego biurowca przy ulicy Lubelskiej stał się wczoraj sceną niecodziennego happeningu. – „W godzinach pracy wielu z nas znajduje czas, aby przeczytać coś w Internecie. Dlatego korporacyjna droga krzyżowa zamieszczona została na popularnych portalach. To alternatywa dla tych, którzy nie mają czasu lub siły, aby pójść do kościoła" – tłumaczy ks. Jacek Stryczek [...] duszpasterz ludzi biznesu. Bartek Chochla odgrywał rolę korporacyjnego pracownika. Sam właśnie kończy studia prawnicze i prawdopodobnie wkrótce trafi do podobnej firmy. – „Jesteśmy w drugim dniu Triduum Paschalnego. Zapewne część bardzo zapracowanych ludzi sobie tego nie uświadamia. Jesteśmy tu, aby przypomnieć, że również w pracy jest miejsce na duchowość" – mówi Bartek. Treść krótkich rozważań drogi krzyżowej nawiązuje do codziennych rozterek i problemów ludzi pracujących zawodowo. – „Warto ciężko kreatywnie pracować. Im bardziej człowiek ceni siebie i wie, że dużo rzeczy umie, tym jego wartość na rynku pracy wzrasta i to czyni go wolnym. I odwrotnie: im bardziej człowiek się boi o swoje stanowisko pracy, tym bardziej daje się zniewolić korporacji" – uważa ks. Jacek Stryczek[43].

Najbardziej głośna akcja ks. Jacka Stryczka to Ekstremalna Droga Krzyżowa z Krakowa do Kalwarii Zebrzydowskiej, pierwszy raz została zorganizowana w roku 2009. Posłużę się opisem najnowszej edycji tego przedsięwzięcia z roku 2012.

Uczestnicy Ekstremalnej Drogi Krzyżowej szli w nocy z piątku na sobotę z Krakowa do Kalwarii Zebrzydowskiej trzema trasami. Dwie z nich były przygotowane dla grup, jedna dla samotników. Wyruszali najczęściej spod kościoła pw. św. Józefa w Podgórzu. Ale niektórzy decydowali się na rozpoczęcie wędrówki w Tyńcu, Skawinie, Skotnikach lub Sidzinie. Najkrótszy wariant miał 24 km, a najdłuższy 44 km. Jedynie trasa dla tych, którzy samotnie chcieli się oddać rozmyślaniom, nie miała wariantów i na niej trzeba się było wykazać hartem ducha i ciała – bo do przejścia, w absolutnej ciszy, było aż 47 kilometrów. Taki szlak pokonał m.in. student z Krakowa Tomasz Bełz. – „Dwa razy szedłem z grupą, tym razem postanowiłem pójść sam. Zadecydowało to, że idzie się w milczeniu. To jest coś dla mnie, pomyślałem, bo pielgrzymowałem tak na »camino« do Santiago de Compostela w Hiszpanii. Taka wędrówka to wyciszenie, pełny spokój" – powiedział Tomasz Bełz[44].

---

[42] M. Paluch, *Chodzili po mieście nosząc ze sobą krzyże*, GK z dn. 8.03.2008.

[43] *Korporacyjna droga krzyżowa*, DP z dn. 23.04.2011.

[44] R. Szkutnik, *Ekstremalnie do Kalwarii*, DP z dn. 2.04.2012.

Pielgrzymka z pozoru przypomina znane we współczesnej kulturze ekstremalne próby zmagania się z ograniczeniami fizycznymi ciała ludzkiego, szczególnie ulubionymi przez młodzież. Ma jednak wymiar religijny dominujący nad wymiarem fizycznym.

> Każdy z uczestników EDK mógł zabrać na drogę brzozowy krzyż, każdy otrzymał książeczkę z tekstami rozważań opracowanymi przez pomysłodawcę EDK, ks. Jacka WIOSNĘ Stryczka. Podczas nocnej wędrówki pątnikom towarzyszyło hasło „Ideały i Poświęcenie". EDK skierowana była do wszystkich, którzy chcą pełniej przeżyć ostatnie dni Wielkiego Postu i zagłębić się w Misterium Drogi Krzyżowej. [...] To strażacy z Piekiełka w gm. Tymbark trasę z Krakowa do Kalwarii pokonali jako jedni z pierwszych. Zajęło im to niecałe osiem godzin. Twierdzili, że takie pielgrzymki to dla nich nie pierwszyzna, bo pokonywali już dłuższe trasy, np. do Ludźmierza czy na Krzeptówki. Ich grupa składała się z pięciu druhów, dla których była to forma pokuty (co tłumaczyli ze śmiechem), i policjanta z Krakowa, który podjął ten trud, aby „spotkać dobrych ludzi". Pątnicy nieśli nie tylko brzozowe krzyże przygotowane przez organizatorów, ale także zrobione przez siebie z listewek i patyków. Zostawiali je potem na ulicach Kalwarii i na dziedzińcu klasztoru. [...] Podczas tegorocznej EDK obowiązywała co prawda zasada milczenia, były jednak wyjątki od tej reguły – rozważania na każdej stacji. W ich trakcie, po przeczytaniu tekstu można było dyskutować z resztą uczestników EDK. Wiele grup prowadziło takie rozważania jeszcze u stóp klasztoru. Potem uczestniczono w mszy św. I to nie w jednej, gdyż pierwsi pątnicy przyszli do sanktuarium po piątej rano, a ostatni dotarli około południa[45].

Młodzież poszukuje nie tylko przeżyć religijnych, poszukuje także godziwej rozrywki. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że ekstremalna pielgrzymka dostarcza jednego i drugiego, stąd jej powodzenie. Podobnie wielkim powodzeniem cieszy się adwentowy obóz przetrwania połączony z rekolekcjami. Trzeba tu dodać, że rekolekcje w Adwencie, w odróżnieniu od wielkopostnych, nie są w Kościele katolickim obowiązkowe.

> Kto ma cierpliwość, by słuchać po kilka godzin głosu kaznodziei, choćby najlepszego? – pisze M. Paluch – Niewielu. Dlatego duchowni zakasali rękawy i postanowili pokazać, że rekolekcje nie muszą być nudnym wykładem, a mogą się stać szkołą kontemplacji, a nawet prawdziwą szkołą przetrwania. Coraz częściej parafie i zakony organizują rekolekcje, podczas których nie tylko się słucha, ale i działa razem. To, według uczestników, bardziej zbliża uczestników do siebie i do Boga. Trzynastu młodych krakowian (20–30 lat) poznało smak prawdziwej przygody podczas adwentowego obozu survivalowego. Przez kilka dni mieszkali w Gorcach w drewnianej chacie. Wodę musieli czerpać ze studni, pokój ogrzewali drewnem. A nocami chodzili po śladach partyzantów ukrywających się tu podczas II wojny światowej. Mężczyźni urządzali zasadzki, szukali tropów grupy „Wilka", którą Niemcy rozbili w 1943 roku. Było ciężko, zimno, ale nie narzekali. – „To taka adrenalina, wyzwanie, jakich nam brakuje w codziennym życiu" – mówi Karol Korzycki, jeden z uczestników obozu zorganizowanego przez wspólnotę „Wiosna Kościoła PRO". Podkreśla, że zwykłe rekolekcje, na które kiedyś często chadzał, już go nie pocią-

---

[45] *Ibidem*.

gają. – „Tu spotkaliśmy się z ludźmi, przeżywaliśmy coś razem, modliliśmy się i dyskutowaliśmy. Trudne warunki tylko wzmocniły te przeżycia" – mówi[46].

W styczniu 2012 roku mogliśmy zaobserwować w Krakowie, w istocie w całej Polsce, próbę kształtowania nowego zwyczaju przeżywania w nastroju zarówno religijnym, jak i ludycznym Święta Trzech Króli.

Spektakl VII. Sposób na wspólne świętowanie

Pierwszy orszak Trzech Króli, po ustanowieniu na nowo tego święta dniem wolnym od pracy, przeszedł w Krakowie w roku 2011. Była to jakby próba generalna przed kolejnym marszem, o którym pisała prasa krakowska:

> Idea organizowania pochodów w święto Trzech Króli zyskała pod Wawelem wielu sojuszników. Organizatorzy orszaku – przedstawiciele organizacji, fundacji, stowarzyszeń świeckich i religijnych – mają nawet swoją stronę internetową. Są na niej m.in. wzory strojów obowiązujących uczestników orszaku. Nie są wymyślne. Bardzo łatwo można je skompletować. Tegoroczny przemarsz aktorów amatorów przebranych za Trzech Króli, dwór i wojsko, aniołów i diabłów, rozpocznie się 6 stycznia około godz. 11 przed katedrą wawelską. Orszak wyruszy po mszy św. w katedrze. Na czele pójdą Trzej Królowie symbolizujący trzy kontynenty – Europę, Azję i Amerykę. Ich świtę będą stanowić dzieci z krakowskich szkół i organizacji harcerskich ubrane w kolorowe stroje świadczące o przynależności do jednego z trzech orszaków. Towarzyszyć im będą m.in. zespoły muzyczne, reprezentanci trzech stanów: szlacheckiego, mieszczańskiego i chłopskiego. Wszyscy podążą za Gwiazdą Betlejemską przez plac przy kościele św. Idziego i dalej ul. Grodzką do Rynku. Do orszaku można się dołączać na całej trasie przemarszu. Wszyscy uczestnicy korowodu otrzymają papierowe korony i śpiewniki[47].

Drugi korowód Trzech Króli miał wyruszyć spod kościoła Mariackiego w południe tego samego dnia. „Poprowadzi go kolędnik z gwiazdą i krakowiak z dzwonkiem. Przejdą w nim grupy kolędnicze i kapela – z gminy Iwanowice, z Przytkowic, Brzeszcz, Modlnicy i Dobczyc. Korowód okrąży Rynek i dotrze pod pomnik Mickiewicza, gdzie planowane jest wspólne kolędowanie, występy grup regionalnych i połączenie z orszakiem Trzech Króli idącym z Wawelu"[48].

W zabawie wzięło udział wiele tysięcy krakowian, w tym ks. kard. Stanisław Dziwisz, których nie zniechęcił ani padający deszcz, „ani zastęp diabłów, który starał się zawrócić ich z drogi".

Na pytanie, skąd wziął się pomysł na organizację orszaku w Święto Trzech Króli, główny organizator imprezy Robert Kowalski odpowiedział:

> Jędrzej Kitowicz już w XVIII wieku wspominał o podobnych orszakach, wtedy była to żywa tradycja, ale została przerwana okresem zaborów i różnych innych naszych nie-

[46] M. Paluch, *Byli na adwentowym obozie przetrwania*, DP z dn. 9.12.2008.
[47] *Królowie i pastuszkowie pójdą w orszaku*, DP z dn. 3.01.2012.
[48] *Korowód i wspólne kolędowanie na Rynku*, DP z dn. 5.01.2012.

szczęść dziejowych. Dzisiaj jest dobry czas, żeby reaktywować takie barwne, rozśpiewane pochody. Orszak to uliczne jasełka, w których każdy jest aktorem. Dla nas jest to sposób na wspólne, rodzinne świętowanie[49].

Odpusty, podobnie jak i familiady wiążą się z patronami parafii, świętymi i błogosławionymi Kościoła katolickiego. Są również inne imprezy, które nawiązują do patronów, na przykład grup zawodowych. Powszechnie znane są religijno-ludyczne obchody patrona górników, św. Barbary (popularne „karczmy piwne"), czy patrona strażaków, św. Floriana. Mniej znane są na przykład obchody dnia św. Hieronima, patrona optyków i okulistów.

Małopolski Cech Optyków obchodził wczoraj uroczystości związane ze świętem św. Hieronima, patrona optyków polskich. Rano optycy oraz zaproszeni goście wzięli udział w mszy św. w bazylice Mariackiej (w intencji optyków i... okularników), po południu wypłynęli w rejs do Tyńca. – „Spotykamy się w ten sposób już po raz czwarty" – mówił Marian Wójcik, starszy Małopolskiego Cechu Optyków. – „Najpierw msza, a potem rejs i zabawa. To znakomita okazja, by lepiej się poznać i zintegrować, a także przy tej okazji pomóc innym". Od kilku lat małopolscy optycy pomagają Domowi Dziecka im. J. Brzechwy w Krakowie. W tym roku postanowili zebrać pieniądze nie tylko na dom dziecka, ale i na rzecz dzieci w Biesłanie. Podczas rejsu zorganizowano wielką licytację charytatywną[50].

Ogromna liczba imprez religijno-ludycznych odbywała się w trakcie trwania pontyfikatu Jana Pawła II i po jego śmierci, przed wyniesieniem „polskiego papieża" na ołtarze i po tym fakcie. Poniżej zaprezentuję zaledwie kilka przykładów. Sposoby czczenia Jana Pawła II, także w wymiarze ludycznym, to temat odrębny i bardzo szeroki[51].

Spektakl VIII. Bieg z różańcem i pływanie

W sobotę z Wadowic do Watykanu wystartował III Bieg-Sztafeta TKKF Leskowiec. W ciągu ośmiu dni uczestnicy biegu-pielgrzymki zamierzają przebiec blisko 1,5 tys. km, by w ten sposób uczcić 25. rocznicę pontyfikatu Jana Pawła II. Do wadowiczan w tym roku dołączyli biegacze z innych miejscowości. W sobotę ekipa biegaczy, która przygotowywała się do sztafety kilka tygodni, wystartowała spod Bazyliki Najświętszej Marii

[49] *Sposób na wspólne świętowanie*. Rozmowa z Robertem Kowalskim, głównym organizatorem orszaku Trzech Króli. Rozmawiał M. Pietrzyk, DP z dn. 4.01.2012. O orszakach Trzech Króli nic u Kitowicza nie znajdziemy. Pojęcie orszaku odnosi się tam jedynie do figurek w kościelnych szopkach, ewentualnie do fragmentów odgrywanych przez dzieci szkolne jasełek. Zob. J. Kitowicz, *Opis obyczajów za czasów Augusta III*, Warszawa 1985.

[50] *Dla Biesłana*, GK z dn. 20.09.2004.

[51] G. Starzak, *Myśl, pomniki, zapalniczki*, DP z dn. 28.03.2008. W 2007 roku obiegła świat wiadomość, iż: „Pluszowy »miś – papież« w trzech wersjach został wyprodukowany przez bawarską firmę Hermann z Coburgu, z okazji 80. urodzin papieża Benedykta XVI, które przypadają 16 kwietnia. Na rynek trafi po 800 sztuk maskotek każdego rodzaju w cenie 180 euro za sztukę" (DP z dn. 30.03.2007). Do notatki dołączone jest zdjęcie trzech misiów w trzech różnych szatach pontyfikalnych. O ile wiem, Jan Paweł II nie pojawił się w charakterze maskotki...

Panny w Wadowicach. W wadowickim biegu-pielgrzymce uczestniczy 30 osób; 25 z nich to zawodnicy, którzy będą zmieniać się w sztafecie średnio co 20 km. W skład pięcioosobowej ekipy technicznej wchodzi m.in. lekarz i ksiądz. Uczestnicy biegu zamierzają przebiec 1442 km. Jeśli dobiegną na czas, to w niedzielę spotkają się z Ojcem Świętym podczas prywatnej audiencji w Watykanie. – „Zamierzamy pokonać z różańcem w ręku blisko 1500 kilometrów, oczywiście nawiedzając na trasie sanktuaria maryjne. Naszym głównym celem jest utworzyć na placu św. Piotra w Watykanie biało-czerwony różaniec, aby w ten sposób podkreślić, że jest to różańcowa sztafeta. Mamy Rok Różańca Świętego, w związku z tym taka właśnie inicjatywa" – powiedziała przed wyruszeniem w trasę kierowniczka sztafety Halina Kulbacka. W biegu bierze udział jeszcze 26 osób z kilku innych małopolskich miejscowości. Do wadowickiej sztafety dołączyli oni wczoraj rano w Kutach na Słowacji[52].

W Krakowie w tym samym okresie z okazji rocznicy pontyfikatu odbywały się liczne, głównie religijne imprezy. Nie brakowało jednak elementów ludycznych:

O godz. 18 [12 października – R.K.] – niemal jednocześnie w Bazylice Mariackiej i na Rynku rozpoczęły się koncerty dedykowane Ojcu Świętemu. W Bazylice występował chór „Organum", który brał udział w wielu papieskich mszach podczas pielgrzymek Jana Pawła II do ojczyzny. Koncert w bazylice poprzedziła msza św. w intencji papieża. Na Rynku Głównym w koncercie „Przystanek Nadziei" wystąpili m.in. Beata Rybotycka, Anna Szałapak, Grzegorz Turnau, zespół Kroke, Po Godzinach oraz krakowscy aktorzy[53].

Uroczyście obchodzono rocznicę śmierci Jana Pawła II, oczywiście w poważnym nastroju religijnym, choć organizowano również koncerty, na przykład w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" (Kraków 2.04.2011 roku w kościele Mariackim), występy teatralne (1.04.2011 roku w Tarnowie). Odbyły się również mniej solenne imprezy.

Z okazji rocznicy – czytamy w krakowskiej prasie – odbędzie się nietypowy memoriał pływacki. Jego uczestnicy przez całą noc z 2 na 3 kwietnia na basenie w Mościcach przepłyną 26 km 516 metrów, tyle lat – 26 i miesięcy – 5 oraz dni – 16 trwał pontyfikat Jana Pawła II. Pływanie rozpocznie się o godz. 21.37, dokładnie w godzinę śmierci papieża. Jerzy Kacer, prezes tarnowskiego WOPR-u, ma nadzieję, że udział w maratonie zgłosi spora liczba uczestników. Każdy otrzyma pamiątkowy dyplom. Podczas memoriału będzie prowadzona zbiórka pieniędzy na rehabilitację dla Stanisława Skiby, który po skoku do wody jest osobą niepełnosprawną[54].

W roku 2008 z okazji rozpoczęcia budowy Centrum Jana Pawła II „Nie lękajcie się" wyszli na ulicę Krakowa aniołowie:

Akcja „Anioł na jeden dzień" to pierwsza inicjatywa mająca na celu upowszechnienie informacji o Centrum [...]. O godz. 18 młodzi ludzie uczestniczący w akcji będą się modlić o rychłą beatyfikację Jana Pawła II podczas mszy świętej pod przewodnictwem kard. Stanisława Dziwisza – w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach. O godz. 20

[52] *Bieg z różańcem*, DP z dn. 22.09.2003.

[53] *Kochany Ojcze Święty...*, DP z dn. 13.10.2003.

[54] *Czuwanie, koncerty i... pływanie*, DP z dn. 31.03.2011.

w tamtejszej auli odbędzie się koncert grupy Cardiac Move z Wiednia. Młodzież będzie mogła obejrzeć krótkie filmy na temat Centrum [...]. Celem organizatorów akcji „Anioł na jeden dzień" jest zachęcenie młodych ludzi do utworzenia wolontariatu działającego na rzecz centrum[55].

W pierwszą rocznicę beatyfikacji Jana Pawła II w Krakowie odbyły się liczne uroczystości religijne. Nie obyło się także bez imprez o nastroju ludycznym:

O godz. 18 w Filharmonii Krakowskiej odbędzie się koncert Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk. Jego tytuł brzmi: *Santo Subito*! – Tańce Polskie". Wcześniej, o godz. 15, przy ul. Franciszkańskiej 3, pod najsłynniejszym oknem świata wystąpi dziecięcy zespół góralski „Zawaternik" z Leśnicy. Uczestnicy spotkania pod „oknem papieskim" wypuszczą balony, do których zostanie dołączony tekst modlitwy dziękczynnej w intencji papieża Polaka[56].

Wszystkie przytoczone spektakle pokazują, że można treści religijne łączyć z propozycjami rozrywkowymi, nastawionymi na zabawę, na dostarczanie zadowolenia, przyjemności, można zatem – w praktyce – nasycać, przyznajmy, że najczęściej – przynajmniej w Polsce – w wymiarze raczej ostrożnym, bez naruszania przekazu religijnego, elementem hedonizmu. Mimo owej ostrożności mamy jednak do czynienia z pomieszaniem *sacrum* z *profanum* i to wzbudza zainteresowanie oraz zaniepokojenie części duchownych i świeckich, wielu obserwatorów i publicystów, niekoniecznie nawet związanych z katolicyzmem.

Pomijam wypowiedzi tych, którzy wskazują, że religia (wyznania i Kościoły) zawsze starała się dostosować do zmieniającego się zapotrzebowania wiernych, że w tym dążeniu sięgała do metod i sposobów oddziaływania charakterystycznych dla danej epoki, do aktualnych treści, na które się „otwierała" mniej lub bardziej świadomie, nie bacząc na ryzyko utraty autorytetu, który się brał m.in. z owego dążenia i utrzymywania separacji religii w stosunku do zwyczajnego życia, utrzymywania opozycji między *sacrum* a *profanum*. Zbiór esejów Erika von Kuehnelt-Leddihna *Przeciwko duchowi czasu* kwestie te znakomicie podnosi[57]. Autor zadaje istotne pytania: jak dalece można „unowocześnić" religię, nie niszcząc jej tożsamości, jak dalece religia ma schlebiać masom, dostosowywać się do ich gustów, nawet: zaspokajać ich hedonistyczne pragnienia. Damian Leszczyński, w recenzji z pracy von Kuehnelta-Leddihna pisze, podsumowując rozważania autora:

[...] Kościół, dostosowując się do gustu mas, staje się coraz bardziej tolerancyjny i ekumeniczny [...] przeradza się stopniowo w substytut centrum rozrywki i handlu, do którego można wejść i wyjść bez żadnej odpowiedzialności i wysiłku [...]. Tak więc rezultatem „otwierania" Kościoła może być tylko jego stopniowy zanik, rozpłynięcie się religii w mnogości innych możliwych do wyboru sposobów spędzania wolnego czasu[58].

---

[55] *Aniołowie wyjdą na ulice*, DP z dn. 12.04.2008.

[56] *Msze święte, pielgrzymki, koncerty i... balony z modlitwą w rocznicę beatyfikacji Jana Pawła II*, DP z dn. 27.04.2012.

[57] E. von Kuehnelt-Leddihn, *Przeciwko duchowi czasu*, tłum. T. Gabiś, Wrocław 2008.

[58] D. Leszczyński, *O dobroczynności fundamentalizmu*, „Najwyższy Czas" 2008, nr 20.

Są autorzy, którzy uważają, że w dzisiejszym świecie hedonistycznej kultury postindustrialnej, w świecie postmodernizmu, nie ma już dawnego chrześcijaństwa. Jego nowa wersja to religia wymyślona na nowo, jej główną cechą jest wrażliwość na mody współczesnego świata, a duchowość ogranicza się do wrażliwości estetycznej i indywidualnego ludzkiego doświadczenia emocjonalnego. Nie ma miejsca na pierwiastek boski. Pisząc o poglądach Edwarda Normana, kanclerza katedry w Yorku i wykładowcy uniwersytetu w Cambridge, autora wydanej na początku nowego tysiąclecia książki *Sekularyzacja*, niestety nieznanej w Polsce, Maciej Rybiński konkluduje:

> Dyskusje, jakie się toczą w świecie chrześcijańskim o przyszłości religii, są mieszaniną telewizyjnych *talk shows* z upersonalizowaną kulturą, której podstawową zasadą jest unikanie filozoficznej precyzji myśli. W rezultacie dostajemy eklektyczną mieszankę, którą jej producenci nazywają chrześcijaństwem. Eklektyczna religia popularna jest z entuzjazmem wyznawana przez zdemoralizowany kler, zbyt ostrożny, aby się angażować w spory, wystraszony perspektywą naznaczenia piętnem antyliberalizmu, wygodny. Ich religia jest po prostu terapią dla jednostek, a nie odpowiedzią na boskie wyzwanie[59].

Można zatem na pytanie o to, czy możliwy jest dialog religii z kulturą konsumpcji zabawy (współczesną kulturą popularną) odpowiedzieć, iż jest możliwy, ale bardzo niebezpieczny dla religii, która może doznać poważnego uszczerbku, w istocie promując w swoim dążeniu do „otwierania się" na świat współczesny nihilistyczny hedonizm, miast go przezwyciężać. Zatem, czy są jakieś granice, które dzielą stosowną i skuteczną ewangelizację przy zastosowaniu odrobiny zaskoczenia, nowości, zabawy i rozrywki, od totalnego „uludycznienia" religii, uczynienia z niej jeszcze jednej atrakcji dla mas łaknących coraz to nowych form hedonistycznego zaspokojenia? Na to pytanie – jak sądzę – znajdziemy odpowiedź już w nieodległej przyszłości. Dziś na przykład rekolekcje wielkopostne powinny być atrakcyjne, ciekawe, dostarczać innych jeszcze niż religijne emocji, jutro – wcale by mnie to nie zdziwiło – okaże się, że mają być również wesołe, zabawne, bo przecież nie należy ludzi zniechęcać do religii, dość mają problemów w codziennym życiu.

---

[59] M. Rybiński, *Chrześcijaństwo wynalezione na nowo*, [w:] *Idem*, *Jestem, więc piszę. Felietony z „Rzeczypospolitej" z lat 2003–2005*, Lublin 2005, s. 220.

ZAKOŃCZENIE

Społeczeństwo polskie – zwłaszcza społeczności miejskie, co starałem się ukazać w pracy – staje się na naszych oczach społeczeństwem konsumpcyjnym, to jest takim, w którym – przypominam słowa G. Ritzera – „konsumpcja przenika nasze życie". Istotnym przedmiotem konsumpcji, coraz bardziej dominującym, jest zabawa i rozrywka, a społeczeństwo konsumpcyjne, jak najsłuszniej, nazywane bywa społeczeństwem zabawy, jego kultura zaś kulturą zabawy bądź kulturą przyjemności.

Uludycznianie kultury to proces rozszerzania się społecznego zasięgu i dostępności zabawy, to stałe zwiększanie się ilości czasu poświęcanego zabawie, to mnożenie się miejsc i form zabawy, choć niekoniecznie podnoszenie się jej jakości.

Współczesny Polak zabawie i rozrywce poświęca coraz więcej czasu w przekonaniu, które jakże sprawnie utwierdzają w nim środki masowego przekazu, że zabawa jest nie tylko jego przywilejem, wręcz prawem, ale i swoistym obowiązkiem. O to, aby z tego przywileju – prawa korzystał, dbają coraz liczniejsze zastępy „specjalistów od zabawy", o których inwazji wieszczył już przed wielu laty A. Toffler.

„Wymyślamy coraz więcej form spędzania wolnego czasu – pisał ten badacz – gier, hobby, sportów i rozrywek. Odrębne grupy ludzi skupiają się wokół różnych pasji, jak na przykład surfing, pokazując, że zajęcie to może stać się podstawą pewnego stylu życia"[1]. W innym miejscu dodawał:

> W dziedzinie rozrywki, odwrotnie niż w sferze pracy, na praktyczne hamulce nie ma co liczyć. Wyobraźnia ma tu ogromne pole do popisu i ludzka pomysłowość może wytworzyć najbardziej niewiarygodne koncepcje „przyjemności". Otrzymawszy do dyspozycji czas, pieniądze i nowe możliwości techniczne, człowiek jutra wymyśli takie zabawy, o jakich nigdy nikomu się nie śniło. Będą to dziwne gry seksualne, zabawy z ludzkim umysłem, gry ze społeczeństwem. W ich obmyślaniu i realizowaniu ludzie rozpadną się na nowe podgrupy i nowe subkultury, co sprawi, że staną się jeszcze bardziej od siebie odlegli[2].

Słowa te napisał A. Toffler przed czterdziestoma laty. Warto dziś spytać, czy ów „człowiek jutra" to my, członkowie społeczeństwa konsumpcyjnego, my – dążący do zażywania przyjemności często za wszelką cenę, my – hedoniści przekonani/przekonywani o tym, że przysługuje nam niezbywalne prawo do zabawy i rozrywki, które w nadmiarze oferują niezliczone instytucje współczesnego świata. Może zatem warto zastanowić się nad tym, co oznacza, jakie konsekwencje niesie bycie/stawanie się *homo ludens* ery masowej konsumpcji.

Aby na postawione powyżej pytanie odpowiedzieć, należy wcześniej uchwycić istotę społeczeństwa konsumpcyjnego – mam nadzieję, że moja praca do tego

---

[1] A. Toffler, *Szok przyszłości*, tłum. W. Osiatyński, E. Ryszka, E. Woydyłło-Osiatyńska, wyd. 2 uzup., Warszawa 1998, s. 279–280.

[2] *Ibidem*, s. 281.

się przyczyniła – które kształtuje człowieka ery konsumpcyjnej; trzeba także przyglądnąć się konsumpcji, ulubionemu zajęciu owego człowieka oraz określić konsumeryzm jako styl życia. Czy styl życia nazywany konsumeryzmem dominuje już w społeczeństwie polskim? Nawet jeśli tak nie jest, to z pewnością znaczna część społeczeństwa do tego stylu aspiruje, uznając go za atrakcyjny i nobilitujący. Styl ten, a w istocie ideologia konsumeryzmu, propagowany jest przez środki masowego przekazu. To one głównie tworzą – jak to określił C. Campbell – „metafizyczne podstawy nowoczesnego konsumeryzmu[3].

Obserwując dzieje gatunku ludzkiego, zauważamy, że w każdej kulturze człowiek bawił się w sposób dla tej kultury charakterystyczny, zgodny ze społecznymi regułami przez nią wypracowanymi. W każdej kulturze zauważymy podział na czas zabawy i czas powagi (najczęściej po prostu pracy). W. Okoń wysnuł z tego wniosek, że istnieją bądź raczej przewijają się w życiu społeczeństw, a także w życiu jednostek ludzkich, dwie rzeczywistości, dwie płaszczyzny egzystencji: płaszczyzna zwykła, prawdziwa, rzeczywistość powagi, zwana niekiedy właściwą, pierwszą oraz płaszczyzna zabawy (rzeczywistość na niby, druga)[4]. W pierwszej rzeczywistości dominuje powaga, nie ma w niej miejsca na zabawę. Druga po prostu jest zabawą, niepowagą. Człowiek nieustannie przemieszcza się z jednej płaszczyzny na drugą, płaszczyzna powagi uprzytamnia mu doniosłość jego egzystencji, odpowiedzialność wobec społeczności, której jest częścią. Zabawa daje mu poczucie radości, zadowolenia, przyjemność, bywa wentylem bezpieczeństwa, zapewnia potrzebną harmonię społeczeństwu, niekiedy spełnia funkcje pacyfikujące. Biada temu, kto myli owe płaszczyzny lub zapomina o ich komplementarności. Biada społeczeństwom, które zatraciły rozumienie sensu powagi lub lekceważą potęgę zabawy. Na straży równowagi między obu rzeczywistościami, płaszczyznami stały wszystkie znane nam systemy socjalizacji, czy – jak to woli określać antropolog kultury – systemy enkulturacji. Tak było dotychczas, do naszych czasów, do czasów ukształtowania się i dominacji konsumeryzmu, dominacji nowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego.

Społeczeństwo konsumpcyjne ma szczególny, wcześniej na taką skalę niespotykany, stosunek do zabawy, która – jak wiadomo – niesie przyjemność, a ta z kolei zawsze była celem jednostek i grup zabawę uprawiających. Cel ten bywał ograniczany, niekiedy kwestionowany. Z. Melosik celnie stwierdził:

> [...] w przeszłości obowiązujące doktryny propagowały życie ku chwale Boga, a osobiste cechy człowieka stanowiły „kapitał” dla mądrej inwestycji, dziś „obowiązkiem” obywatela – o czym dowiaduje się on od najwcześniejszych lat swojego życia – jest „przyjemność i radość [...]. W przeszłości życie człowieka wyznaczone było przez kategorie ból – przyjemność – najpierw ciężka praca, a potem przyjemność [...]. Współcześnie mamy do czynienia z niekończącą się przyjemnością. Przyjemność na początku, w środku i na końcu[5].

[3] Zob. C. Campbell, *Kupuję, więc jestem. Metafizyczne podstawy nowoczesnego konsumeryzmu*, tłum. M. Brzozowska-Brywczyńska, „Kultura Popularna” 2006, nr 4, s. 47–60.

[4] W. Okoń, *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995, s. 61.

[5] Z. Melosik, *Kryzys męskości w kulturze współczesnej*, Poznań 2002, s. 13.

W społeczeństwie konsumpcyjnym zasięg społeczny i dostępność zabawy są właściwie nieograniczone, religie – jak się powszechnie uważa – utrudniają zwycięski pochód konsumeryzmu, ale ich wpływ maleje. Jeśli istotnie tak jest, to mamy do czynienia z fundamentalnymi przemianami systemu wartości. W nowym hedonistycznym systemie, co nie może dziwić, zabawa, „dobra zabawa", znalazła się na pierwszym miejscu wśród celów większości ludzi, zwłaszcza przedstawicieli młodszych pokoleń. Niemal wszyscy chcą się bawić, to oczywiste, nie inaczej było w przeszłości, ale nigdy wcześniej nie ukształtowała się ideologia zabawy dla wszystkich, czy wręcz permanentnej zabawy dla wszystkich. Dla jednych ograniczeniem była pozycja społeczna, dla innych sytuacja materialna, a jeszcze inni mieli wobec zabawy opory kulturowe (do nich zaliczam na przykład zakazy religijne, a także oczekiwania wiązane z pełnionymi rolami społecznymi). Dziś względy te i wszystkie inne ograniczające uczestnictwo w permanentnej zabawie odgrywają niewielką rolę, każdy może się bawić jak chce, życie pełne przyjemności jest – w niemal powszechnej opinii – moralne, bawienie się, dążenie do osiągnięcia przyjemności to prawie społeczny nakaz. Opinie przeciwne giną w zgiełku masowej akceptacji postaw hedonistycznych, są „niemodne", konserwatywne, niedzisiejsze itd.

Dostępność przyjemności, jaką daje zabawa, w społeczeństwie konsumpcyjnym nieustannie się rozszerza, jednostka sama poszukuje zabawy bądź to zabawa ją odnajduje, na zabawę natrafia na każdym kroku. Powstaje coraz więcej instytucji, których głównym, choć nie zawsze jedynym zadaniem jest dostarczanie przyjemności. Hedonizm społeczeństwa konsumpcyjnego stanowi jego najbardziej uderzającą cechę, w oczach członków tego społeczeństwa także najbardziej atrakcyjną. Społeczeństwo konsumpcyjne całkowicie hedonistyczne – dziś to jeszcze wizja przyszłości, ale czy odległej – stanie się w pełni społeczeństwem zabawy, zabawa zaś głównym (a może wręcz jedynym) celem człowieka – *homo ludens* ery masowej, nieograniczonej konsumpcji zabawy.

Rodzi się kolejne pytanie, pytanie o tożsamość członków społeczeństwa konsumpcyjnego, tożsamość indywidualną i tożsamość zbiorową jednostki. Nie wchodząc w gorące debaty na temat rozumienia przywołanych terminów, przypomnę, że Z. Bokszański tożsamość indywidualną rozumie jako „zbiór wyobrażeń, sądów i przekonań, które (jednostka) konstruuje wobec samego siebie i [...] jako układ autodefinicji aktora społecznego"[6].

Z kolei możemy przyjąć, że na tożsamość społeczną jednostki składają się te jej cechy, które jednocześnie spełniają następujące trzy kryteria: (1) są cechami, które jednostka dzieli obiektywnie z innymi członkami zbiorowości, (2) są cechami stanowiącymi dla jednostki subiektywną podstawę jej identyfikowania się ze zbiorowością oraz (3) są cechami znakowymi, tj. takimi, które umożliwiają innym członkom zbiorowości, a także wszystkim obserwatorom zewnętrznym, postrzegać daną jednostkę jako członka tej właśnie zbiorowości[7].

[6] Z. Bokszański, *Tożsamość – integracja – grupa. Tożsamość jednostki w perspektywie socjologicznej*, Łódź 1989, s. 12.

[7] Według M. Ziółkowski, *Dziedziczenie i wybór*, [w:] *Socjologia a przemiany współczesnego świata*, Warszawa 2004, s. 129.

Tożsamość jednostki (indywidualną) w społeczeństwie konsumpcyjnym z pewnością nie jest łatwo w jednoznaczny sposób określić. Czy można ją nazwać tożsamością konsumpcyjną? Zapewne tak, gdy uznamy, że współczesne społeczeństwo w istocie jest społeczeństwem konsumpcyjnym, czyli takim, które spełnia się w konsumpcji, dla którego konsumpcja jest celem, które w konsumpcji się zatraca i w niej poszukuje podstaw do samookreślenia. Rozważania o tożsamości konsumpcyjnej jednostek uprawnione są z powodu zauważalnego i przybierającego charakter masowy zjawiska, jakim jest dążenie do rozszerzania konsumpcji i budowania na niej prestiżu społecznego. Można iść dalej, twierdzić – nie bez podstaw – że kształtuje się typ człowieka konsumpcji, którego tożsamość ufundowana jest na dążeniu i osiąganiu satysfakcji z konsumpcji, przede wszystkim, albo i wyłącznie z niej.

Człowiek konsumpcji to zarazem człowiek zabawy, bo konsumpcja staje się rodzajem pożądanej i powszechnie uprawianej zabawy, konsumuje się w aurze zabawy, konsumpcja – jak się rzekło – utożsamiana jest z zabawą. Zatem można, z niewielką chyba przesadą, uznać, że człowiek konsumpcji, członek społeczeństwa konsumpcyjnego jest/staje się/chce być człowiekiem zabawy, współczesnym *homo ludens*, *homo ludens* ery masowej konsumpcji.

W literaturze naukowej i publicystyce niejednokrotnie pojawia się spostrzeżenie, że konsumowanie jest wytwarzaniem społecznej tożsamości[8]. Zatem w dobie powszechnej konsumpcji także społeczna tożsamość jednostki jest tożsamością konsumenta. Jednostka widzi siebie jako konsumenta i taki jest też jej obraz w oczach innych. Bycie konsumentem jest dla jednostki ważne i atrakcyjne, jest podstawą autoidentyfikacji, ale także pozwala jej czuć się częścią większej całości, częścią społeczeństwa, z którym bez skrępowania dzieli swoje upodobania, zwłaszcza dążenie do uzyskania przyjemności, zadowolenia. Tożsamość indywidualna i tożsamość zbiorowa spotykają się w pełnej harmonii na gruncie powszechnie akceptowanego hedonizmu.

Homo ludens ery masowej konsumpcji czuje się swojsko po odrzuceniu wcześniej obowiązującego, restrykcyjnego systemu wartości, w społeczeństwie bez ograniczeń, jeśli chodzi o dostęp do konsumpcji zabawy i przyjemności.

Ale przecież, o czym wcześniej już wspomniałem, we wszystkich dotychczas znanych społeczeństwach konsumpcja, a zwłaszcza konsumpcja zabawy i rozrywki, była ograniczana. Takim ograniczeniem był czas, pozycja społeczna jednostki, możliwości materialne, wiek i wiele innych elementów. Jednostka była ograniczana, ale też i sama się ograniczała, na przykład ze względów religijnych. Konsumować i bawić się – zgodnie z regułami życia społecznego – mogli niektórzy członkowie zbiorowości, a jeśli nawet wszyscy, to wtedy, gdy spełnili warunki stawiane przez normy społeczne, gdy zasłużyli na konsumpcję i zabawę. Trzeba bowiem jasno powiedzieć, iż nigdy dotąd konsumpcja i zabawa nie były traktowane jako prawo człowieka, były przywilejem związanym z pozycją społeczną bądź nagrodą za zasługi, dobrze wykonaną pracę, solidne wypełnianie obowiązków na wspomnianej, pierwszej, naj-

[8] Zob. R. Drozdowski, *Obraza na obrazy. Strategia społecznego oporu wobec obrazów dominujących*, wyd. 2 rozszerzone, Poznań 2009, s. 64.

ważniejszej płaszczyźnie egzystencji. Praca – zabawa, powinność – przyjemność, wesołość – powaga, tworzyły ściśle z sobą związaną sieć życia jednostki i społeczeństwa i określały zachowania ludzi aż do czasów najnowszych. One tworzyły granice owych dwóch płaszczyzn, które były fundamentem indywidualnej i zbiorowej tożsamości człowieka. Tworzyły granice, bo przecież do niedawna człowiek jedynie bywał człowiekiem zabawy, dziś – w społeczeństwie konsumpcyjnym – chce nim być nieustająco i być może cel ten jest w stanie osiągnąć.

Dotychczasowe systemy socjalizacji (enkulturacji) zasadzały się na budowaniu tożsamości jednostki, którą można nazwać tożsamością podzieloną; podzieloną w tym sensie, że wpajały jednostce przekonanie o ważności (ale nie ważności jednakowej!) owych dwóch płaszczyzn życia, płaszczyzny powagi (pracy, obowiązku) i płaszczyzny zabawy (społecznej konsumpcji zabawy i przyjemności). Więcej powiem, tożsamość indywidualna jednostki i jej tożsamość społeczna budowane były na zasadzie uznawania absolutnej nadrzędności, dominacji płaszczyzny pierwszej. Nie znaczy to, że sporadyczne zachowania jednostek o charakterze transgresyjnym nie podważały tej zasady. Nie miały one jednak destrukcyjnych skutków dla trwałości społeczeństwa.

Dziś instytucje, na których gruncie dokonywał się proces enkulturacji, przeżywają kryzys, straciły – być może bezpowrotnie – swoje znacznie i autorytet. Nie rodzina, nie szkoła, nie autorytety lokalne, nie Kościół są dziś głównym kanałem enkulturacji, są nim media. „Coraz rozleglejszy zakres naszej wyobraźni jest zapośredniczony, wręcz kształtowany poprzez przekazy medialne. Można już nawet mówić, iż media oferują nowy rodzaj enkulturacji, a tym samym [...] nowy styl współczesnej kultury. To one kształtują krajobraz zbiorowych aspiracji [...]”[9].

Takie konstatacje, o dziwo, nie budzą u piszących na temat współczesnych problemów kultury konsumpcyjnej poważniejszych refleksji, a przynajmniej budzą je stanowczo zbyt rzadko. Nie chodzi tu przecież o tzw. ekstrema konsumeryzmu, jak na przykład „wprzęganie w machinę konsumpcyjną maleńkich dzieci”[10]. Chodzi o kwestię zasadniczą, o kształtowanie tożsamości indywidualnej i społecznej człowieka ery masowej konsumpcji, nowego, totalnego *homo ludens*.

Ten nowy, już wśród nas obecny, *homo ludens* ery masowej konsumpcji ma pewność, że:

1) konsumpcja i zabawa to jedno, a przynajmniej konsumpcja powinna bawić, dawać przyjemność;
2) konsumpcja i zabawa należy się człowiekowi bez żadnych warunków wstępnych (ta roszczeniowość oznacza odrzucenie koncepcji, iż konsumpcja i zabawa mogą stanowić przywilej lub nagrodę za jakieś zasługi);
3) nawet nauka, wiedza naukowa staje się igraszką, daje okazję do zabawy; bawimy się historią i w historię; religia – do niedawna opoka powagi – coraz

---

[9] W.J. Burszta, *Asteriks w Disneylandzie. Zapiski antropologiczne*, Poznań 2001, s. 109.

[10] T. Szlendak, K. Pietrowicz, *Moda, wolność i kultura konsumpcji*, [w:] *Rozkoszna zaraza. O rządach mody i kulturze konsumpcji*, Wrocław 2007, s. 15.

częściej kojarzy się z zabawą, rozrywką i przyjemnością, a coraz mniej z duchowością, dotykiem absolutu;

4) takie pojęcia, jak odpowiedzialność, powaga, trud, służba społeczna w dzisiejszych czasach straciły wszelki sens, a przynajmniej – jak się zdaje – straciły jakikolwiek związek z konsumpcją i zabawą.

Wraz z powiększaniem się liczby *homo ludens* w społeczeństwie konsumpcyjnym, a zjawisko to raczej nie ulega wątpliwości, zanika, jakże istotny we wszystkich istniejących wcześniej kulturach, podział na sferę życia codziennego (tak bywa niekiedy nazywana pierwsza płaszczyzna bytu) i sferę zabawy.

Można przypuszczać, że dominacja medialnej indoktrynacji o treści konsumpcyjnej i hedonistycznej spowoduje szybkie upowszechnienie tożsamości konsumpcyjnej i hedonistycznej w kolejnych pokoleniach obywateli społeczeństwa masowej konsumpcji. Dla nich powaga i odpowiedzialność będą pustymi dźwiękami, obowiązki rodzinne, powinności społeczne, postawa obywatelska, wszystko to, co kształtuje się i stanowi istotę ludzkiego bytu na owej pierwszej pozazabawowej płaszczyźnie egzystencji, zejdzie na plan dalszy, już schodzi.

Społeczeństwo konsumpcyjne, a może należy mówić raczej o zbiorze konsumentów, ludzi zabawy, owych *homo ludens* ery masowej konsumpcji, których wizję tu przywołałem z wielkim niepokojem, to społeczeństwo niedojrzałe[11], infantylne; wszak zabawa to domena dzieci, topiące swoje lęki egzystencjalne w konsumpcji, zabawie i rozrywce[12].

Najbardziej katastroficzną wizję kultury takiego społeczeństwa przedstawił N. Postman, pisząc: „[...] kiedy życie kulturalne zostaje zdefiniowane na nowo jako nieustające pasmo rozrywki, kiedy publiczna rozmowa upodabnia się do niemowlęcego gaworzenia, kiedy wreszcie społeczeństwo staje się widownią, a jego interes publiczny wodewilowym spektaklem, narodowi zagraża niebezpieczeństwo, a możliwość śmierci kultury staje się nieuchronna”[13]. Czy rację mają myśliciele formułujący takie sądy, czy kultura konsumpcji, także konsumpcji zabawy, staje się na naszych oczach antykulturą?

---

[11] F.M. Cataluccio, *Niedojrzałość. Choroba naszych czasów*, Kraków 2006.

[12] A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość. „Ja” i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*, tłum. A. Szulżycka, Warszawa 2002.

[13] N. Postman, *Zabawić się na śmierć. Dyskurs publiczny w epoce show-businessu*, tłum. L. Niedzielski, Warszawa 2002, s. 220.

BIBLIOGRAFIA

Monografie

Agamben G., *Profanacje*, tłum. M. Kwaterko, Warszawa 2006.

Bachtin M., *Problemy poetyki Dostojewskiego*, tłum. M. Modzelewska, Warszawa 1970.

Balme Ch., *Wprowadzenie do nauki o teatrze*, tłum. i uzup. W. Dudzik, M. Leyko, Warszawa 2002.

Baudrillard J., *Społeczeństwo konsumpcyjne. Jego mity i struktury*, tłum. S. Królak, Warszawa 2006.

Bąkowski K., *Dzieje Krakowa*, Kraków 1911.

Bokszański Z., *Tożsamość – integracja – grupa. Tożsamość jednostki w perspektywie socjologicznej*, Łódź 1989.

Budohoska W., Włodarski Z., *Psychologia uczenia się. Przegląd badań eksperymentalnych i teorii*, Warszawa 1972.

Burszta W., *Antropologia kultury. Tematy, teorie, interpretacje*, Poznań 1998.

Burszta W.J., *Asteriks w Disneylandzie. Zapiski antropologiczne*, Poznań 2001.

Burszta J., Kuligowski W., *Sequel. Dalsze przygody kultury w globalnym świecie*, Warszawa 2005.

Bystroń J.S., *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*, t. 1–2, Warszawa 1976.

Caillois R., *Gry i ludzie*, tłum. A. Tatarkiewicz, M. Żurowska, Warszawa 1995.

Caillois R., *Człowiek i sacrum*, tłum. A. Tatarkiewicz, E. Burska, Warszawa 1995.

Cataluccio M., *Niedojrzałość. Choroba naszych czasów*, tłum. S. Kasprzysiak, Kraków 2006.

Combs J.E., *Świat zabaw. Narodziny nowego wieku ludycznego*, tłum. O. Kaczmarek, Warszawa 2011.

Constantine N., *Historia kanibalizmu*, tłum. P. Głuchowska, Warszawa 2007.

Debord G., *Społeczeństwo spektaklu* oraz *Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, tłum. M. Kwaterko, Warszawa 2006.

Dembieński J. ks., *Radości mało – goryczy dużo*, Warszawa 1985.

Diehl D., Donnelly M.P., *Dzieje kanibalizmu*, tłum. M. Urbański, Warszawa 2008.

Drozdowski R., *Obraza na obrazy. Strategia społecznego oporu wobec obrazów dominujących*, wyd. 2 rozszerzone, Poznań 2009.

Dudzik W., *Karnawały w kulturze*, Warszawa 2005.

Erikson E.H., *Dzieciństwo i społeczeństwo*, tłum. P. Hemej, Poznań 1997.

Fiedler A.M., *Majowie. Reaktywacja*, Pelplin 2011.

Galicyjskie wspomnienia szkolne, Kraków 1955.

Giddens A., *Nowoczesność i tożsamość. „Ja" i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*, tłum. A. Szulżycka, Warszawa 2002.

Gloger Z., *Encyklopedia staropolska*, t. 1–4, Warszawa 1994.

Godzic W., *Znani z tego, że są znani. Celebryci w kulturze tabloidów*, Warszawa 2007.

Golka M., *Socjologia kultury*, Warszawa 2007.

Górski M.K., Weyssenhoff J., *Z młodych lat. Listy i wspomnienia*, Warszawa 1985.

Grabowski A., *Wspomnienia*, t. 1–2, Kraków 1909.

Hechel F., *Człowiek nauki, jakim był*, t. 2, Kraków 1939.

Hoesick F., *Powieść mojego życia*, t. 1, Wrocław 1959.

Huizinga J., *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, tłum. M. Kurecka, W. Wirpsza, wyd. 2, Warszawa 1985.

Kamiński A., *Aktywizacja i uspołecznienie uczniów w szkole podstawowej*, Warszawa 1966.

Kantor R., *Kalejdoskop krakowski. Gawędy o Krakowie, krakowianach i ich zwyczajach*, Kraków–Toruń 1996.

Kantor R., *Poważnie i na niby. Szkice o zabawach i zabawkach*, Kielce 2003.

Karnawalizacja. Tendencje ludyczne w kulturze współczesnej, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Kiczosfery współczesności, red. W.J. Burszta, E.A. Sekuła, Warszawa 2008.

Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Warszawa 1985.

Kleszczowa I., *Ceremonie i parady w porozbiorowym Krakowie 1796–1815*, Kraków 1999.

Kolankiewicz L., *Wielki mały wóz*, Gdańsk 2001.

Konsumpcja – istotny wymiar globalizacji kulturowej, red. A. Jawłowska, M. Kempny, Warszawa 2005.

Korta K., *Gimnazjum św. Anny w Krakowie. Wspomnienia ucznia z lat 1888–1896*, Kraków 1938.

Kozieradzki A., *Wspomnienia z lat szkolnych 1820–1831*, Wrocław 1962.

Kraków. Przestrzenie kulturowe, red. J. Bujak, A. Kunachowicz-Steczkowska. R. Godula, Kraków 1993.

Krzesiński S., *Koleje życia, czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych*, Warszawa 1957.

Kowalski P., *Popkultura i humaniści. Daleki od kompletności remanent spraw, poglądów i mistyfikacji*, Kraków 2004.

Kuehnelt-Leddihn E. von, *Przeciwko duchowi czasu*, tłum. T. Gabiś, Wrocław 2008.

Lipoński W., *World Sports Encyclopedia*, Poznań 2003.

Lipoński W., *Rochwist i palant. Studium etnologiczne dawnych polskich sportów i gier ruchowych na tle tradycji europejskiej*, Poznań 2004.

Lisowska-Magdziarz M., *Pasażer z tylnego siedzenia. Media, reklama i wychowanie w społeczeństwie konsumpcyjnym*, Warszawa 2010.

Ludyczny wymiar kultury, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Łoś J., *Na paryskim i poznańskim bruku*, Kórnik 1993.

Maffesoli M., *Czas plemion. Schyłek indywidualizmu w społeczeństwach ponowoczesnych*, tłum. M. Bucholc, Warszawa 2008.

Makowski G., *Świątynia konsumpcji. Geneza i społeczne znaczenie centrum handlowego*, Warszawa 2005.

Matela L., *Magiczne zakątki. Przewodnik po miejscach mocy Podlasia, Suwalszczyzny, Mazur i Ziemi Łomżyńskiej*, Białystok 2007.

Mathews G., *Supermarket kultury*, tłum. E. Klekot, Warszawa 2005.

Melosik Z., *Kryzys męskości w kulturze współczesnej*, Poznań 2002.

Michalkiewicz S., *Protector traditorum*, Warszawa 2007.

Mikułowski-Pomorski J., *Jak narody porozumiewają się ze sobą w komunikacji międzykulturowej i komunikowaniu medialnym*, Kraków 2006.

Ogrodowska B., *Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce. Mały słownik*, Warszawa 2000.

Okoń W., *Zabawa a rzeczywistość*, wyd. 2, Warszawa 1995.

Paleczny T., *Interpersonalne stosunki międzykulturowe*, Kraków 2007.

Postman N., *Zabawić się na śmierć. Dyskurs publiczny w epoce show-businessu*, tłum. L. Niedzielski, Warszawa 2002.

Pułka L., *Kultura mediów i jej spektakle na tle przemian komunikacji społecznej i literatury popularnej*, Wrocław 2004.

Riesman D., Glazer N., Denney R., *Samotny tłum*, tłum. J. Strzelecki, Warszawa 1996.

Ritzer G., *Magiczny świat konsumpcji*, tłum. L. Stawowy, Warszawa 2001.

Rozkoszna zaraza. O rządach mody i kulturze konsumpcji, red. T. Szlendak, K. Pietrowicz, Warszawa 2007.

Rusek A., *Tarzan, Matołek i inni. Cykliczne historyjki obrazkowe w Polsce w latach 1919–1939*, Warszawa 2001.

Sawala K., Krawczyk W., Bednarski J., *Wielkie fiesty Europy*, Poznań 2005.

Schiller F., *Listy o estetycznym wychowaniu człowieka i inne rozprawy*, tłum. I. Krońska, J. Prokopiuk, Warszawa 1972.

Schorr J.B., *The Overspent American. Why We Want We Do Not Need*, New York 1999.

Schultz F., *Podróż Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791–1793*, tłum. J.I. Kraszewski, Warszawa 1956.

Scruton R., *Zachód i cała reszta*, tłum. T. Bieroń, Poznań 2003.

Seweryn T., *Tradycje i zwyczaje krakowskie*, Kraków 1961.

Słownik etnologiczny. Terminy ogólne, red. Z. Staszczak, Poznań 1987.

Sułkowski B., *Zabawa. Studium socjologiczne*, Warszawa 1984.

Smoleń W. ks., *Ilustracje świąt kościelnych w polskiej sztuce*, Lublin 1987.

Szlendak T., *Supermarketyzacja. Religia i obyczaje seksualne młodzieży w kulturze konsumpcyjnej*, Wrocław 2004.

Teoria karnawalizacji. Konteksty i interpretacje, red. A. Stoff, A. Skubaczewska-Pniewska, Toruń 2011.

Toffler A., *Szok przyszłości*, wyd. 2 uzupełnione, tłum. W. Osiatyński, E. Ryszka, E. Woydyłło-Osiatyńska, Warszawa 1998.

Wąż w raju. Zabawa w społeczeństwie konsumpcyjnym, red. R. Kantor, T. Paleczny, M. Banaszkiewicz, Kraków 2011.

Winter R., *Nuda w kulturze rozrywki. Poradnik*, tłum. Z. Kasprzyk, Kraków 2012.

Wojciechowski J., *Żywot własny robotnika*, Warszawa 1985.

Życiński J., *Bóg postmodernistów*, Lublin 2001.

Artykuły naukowe

Baranowski W., *Wspomnienia majówek młodzieży szkolnej w czasach Rzplitej Krakowskiej 1816–1822*, [w:] *Galicyjskie wspomnienia szkolne*, Kraków 1955.

Biechoński T., *Bursa krakowska i bursacy w pierwszej ćwierci XIX wieku*, [w:] *Galicyjskie wspomnienia szkolne*, Kraków 1955.

Brencz A., *W kuchni i za stołem. Dystanse i przenikanie kultur*, Gdańsk 2003.

Bujak J., Pilichowska B., *Lajkonik w oczach badaczy*, „Polska Sztuka Ludowa” 1980, R. 24, nr 1.

Bujak J., Pilichowska B., *Lajkonik – dzieje i przemiany krakowskiego zwyczaju ludowego*, ZN UJ „Prace Etnograficzne” 1986, z. 21.

Bylok F., *Model społeczeństwa konsumpcyjnego i jego zastosowanie na początku XXI wieku*, [w:] *Konsumpcja – istotny wymiar globalizacji kulturowej*, red. A. Jawłowska, M. Kempny, Warszawa 2005.

Campbell C., *Kupuję, więc jestem. Metafizyczne podstawy nowoczesnego konsumeryzmu*, tłum. M. Brzozowska-Brywczyńska, „Kultura Popularna” 2006, nr 4.

Dobroczyński B., *Derrida w supermarkecie (widmo postmodernizmu krąży po Europie Wschodniej)*, [w:] *Idem*, *Trzecia rzesza popkultury i inne stany*, Kraków 2004.

Dominiak Ł.M., *Zabawa w przeszłość. Festyn archeologiczny jako forma karnawału*, [w:] *Karnawalizacja. Tendencje ludyczne w kulturze współczesnej*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Goczałkowski W., *Student Liceum św. Anny 1820–1824*, [w:] *Galicyjskie wspomnienia szkolne*, Kraków 1955.

Grad J., *Zabawa – analiza pojęć i koncepcji*, „Zabawa i Zabawki” 1997, R. 1, nr 1–2.

Grad J., *Problem karnawalizacji kultury współczesnej*, [w:] *Ludyczny wymiar kultury*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Grad J., Mamzer H., *Wprowadzenie*, [w:] *Ludyczny wymiar kultury*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Hobsbawm E., *Wprowadzenie*, [w:] *Tradycja wynaleziona*, red. E. Hobsbawm, T. Ranger, tłum. M. Godyń, F. Godyń, Kraków 2008.

Hołda R., *Rodowe gniazdo – zamki, dwory, pałace. Współczesne przestrzenie ludyczne czy rewitalizacja szlacheckiego etosu*, „Zabawy i Zabawki" 2007, R. 5, nr 1–4.

Kaczmarek U., *Pedagogika zabawy – nowy styl wychowania*, „Zabawy i Zabawki" 1997, R. 1, nr 4.

Kantor R., *Kraków – wielka scena narodowego spektaklu*, [w:] *Klejnoty i sekrety Krakowa*, red. R. Grodula, Kraków 1994.

Kantor R., *Istota i siła tradycji*, [w:] *Bogaci tradycją. Kontynuacja i zmiana w kulturze wsi polskiej*, red. R. Kantor, Kielce 1996.

Kantor R., *Człowiek – kultura – zabawa. O socjalizacyjnych i pacyfikacyjnych funkcjach zabawy*, „Zabawy i Zabawki" 1998, R. 2, nr 3.

Kantor R., *Modernizacja kultury – kaprys czy konieczność*, [w:] *Wspólne jutro. Kontynuacja i zmiana w kulturze współczesnej wsi polskiej*, red. R. Kantor, Kielce 1998.

Kantor R., *Krakowiacy znani czy nieznani? Kilka uwag o stanie wiedzy o Krakowiakach i ich kulturze*, [w:] *Ludoznawstwo i etnografia między Wiedniem, Krakowem a Pragą*, Kraków 1999.

Kantor R., *Zabawa jako składnik wychowania interetnicznego*, [w:] *Oświata etniczna w Europie Środkowej*, red. Z. Jasiński, Opole 2001.

Kantor R., *Wielokulturowość miasta. Prolegomena do badań nad zróżnicowaniem kulturowym społeczności miejskiej Krakowa*, [w:] *Miasto – przestrzeń kontaktu kulturowego i społecznego*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne", t. 8, red. I. Bukowska-Floreńska, Katowice 2004.

Kantor R., *Kulturotwórcza rola liderów w zbiorowościach lokalnych*, „Małopolska – regiony – regionalizmy, małe ojczyzny" 2005, t. 8.

Kantor R., *Przestrzenie ludyczne dawnego i współczesnego Krakowa. Wprowadzenie do problemu*, [w:] *Kraków ludyczny*, Kraków 2009.

Kantor R., *Biesiada i biesiadowanie we współczesnej kulturze polskiej*, „Zabawy i Zabawki" 2009 (wyd. 2010), R. 6, nr 1–4.

Kantor R., *Społeczeństwo konsumpcji zabawy. Przypadek polski*, [w:] *Wąż w raju. Zabawa w społeczeństwie konsumpcyjnym*, red. R. Kantor, T. Paleczny, M. Banaszkiewicz, Kraków 2011.

Kazimierczak K., *Zabawa w rycerstwo*, „Kultura Popularna" 2005, nr 12.

Kowalik A., *Centrum handlowe jako nowa przestrzeń zabawy młodzieży*, [w:] *Wąż w raju. Zabawa w społeczeństwie konsumpcyjnym*, red. R. Kantor, T. Paleczny, M. Banaszkiewicz, Kraków 2011.

Krawczuk W., *Żołnierzyki i przebierańcy (wargaming i reenacting). Zabawa w wojnę?*, „Zabawy i Zabawki" 2008 (wyd. 2010), R. 6, nr 1–4.

Kwiatkowski P., *Ideologia regionalizmu w Polsce międzywojennej*, „Kultura i Społeczeństwo" 1984, nr 4.

Lipok-Bierwiaczonek M., *Mit flamandzki, stereotyp i rzeczywistość kulturowa*, [w:] *Dawne i współczesne oblicze kultury europejskiej – jedność w różnorodności*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne", t. 6, red. H. Rusek, Katowice 2002.

Miksztyn J., *Elementy ludyczne w młodzieżowych obchodach Dnia Wagarowicza*, „Zabawy i Zabawki" 1999, R. 3, nr 1–4.

Nieszczerzewska M., *Umiejscowiona rozrywka*, [w:] *Karnawalizacja. Tendencje ludyczne w kulturze współczesnej*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Nieszczerzewska M., *Miasta nie-miasta*, „Kultura i Społeczeństwo" 2005, nr 1.

Paleczny T., *Społeczne podłoże zabawy*, „Zabawy i Zabawki" 1997, R. 1, nr 1–2.

Regiewicz A., *Uliczna ewangelizacja – czy możliwy jest dialog chrześcijaństwa z kulturą popularną?*, [w:] *Sfera sacrum i profanum w kulturze współczesnych miast Europy Środkowej*, red. A. Koseski, A. Stawarz, Warszawa–Pułtusk 2004.

Rusek H., *Elementy ludyczne w kulturalnej działalności parafii na Śląsku Cieszyńskim*, „Zabawy i Zabawki" 1999, R. 3, nr 1–4.

Rybiński M., *Chrześcijaństwo wynalezione na nowo*, [w:] *Idem*, *Jestem, więc piszę. Felietony z „Rzeczpospolitej" z lat 2003–2005*, Lublin 2005.

Skórzyński A., *Od karnawalizacji do teatralizacji miejskiego święta. Parada lokacyjna*, [w:] *Ludyczny wymiar kultury*, red. J. Grad, H. Mamzer, Poznań 2004.

Smolińska T., *O potrzebie utożsamiania się z regionem. Społeczne inicjatywy folklorystyczne*, [w:] *Kultury regionalne i pogranicza kulturowe a tożsamość etniczna*, „Studia Etnologiczne i Antropologiczne", t. 2, red. I. Bukowska-Floreńska, Katowice 1999.

Sozanski T., *Co to jest nauka?*, [w:] *Nauka, tożsamość i tradycja*, red. J. Goćkowski, S. Marmuszewski, Kraków 1995.

Sulima R., *Supermarket. Przyczynek do retoryki konsumpcji*, [w:] *Idem*, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000.

Szlendak T., Pietrowicz K., *Moda, wolność i kultura konsumpcji*, [w:] *Rozkoszna zaraza. O rządach mody i kulturze konsumpcji*, red. T. Szlendak, K. Pietrowicz, Wrocław 2007.

Szromba-Rysowa Z., *Smak potraw w aspekcie tożsamości kulturowej*, „Małopolska – regiony – regionalizmy i małe ojczyzny" 2003, t. 5.

Sysoł M., *Muzeum Dobranocek w Rzeszowie ze zbiorów Wojciecha Jamy*, „Zabawy i Zabawki" 2007, R. 5, nr 1–4.

Ziółkowski M., *Dziedziczność i wybór*, [w:] *Socjalizacja a przemiany współczesnego świata*, Warszawa 2004.

Artykuły prasowe

W bibliografii uwzględniono jedynie artykuły sygnowane nazwiskiem autora, pominięto liczne notki prasowe opatrzone jedynie inicjałami lub w ogóle niepodpisane.

Agaciak A., *Piknik lotniczy powraca na Czyżyny*, „Dziennik Polski" (dalej jako DP) z dn. 16.07.2012.

Albrecht K., *Muzeum „Seksmisji" w wielickiej kopalni*, „Gazeta Krakowska" (dalej jako GK), z dn. 5.08.2009.

Baliszewski D., *Wielka historia w Bobolicach*, „Wprost" 2009, nr 47.

Bosak M., *Męka Pańska Show*, DP z dn. 10.04.2004.

Ciećkiewicz J., *Balonem do Zimbabwe*, DP z dn. 27.05.2011.
Ciryt B., *Skalaki z nietoperzem promują gminę i park*, GK z dn. 1.08.2009.
Faron I., Szklarczyk A., *Smaki, dźwięki, tańce*, DP z dn. 27.05.2008.
Frenkel M., *Gra samurajów*, GK z dn. 31.03.2006.
Frenkel M., *Wiśniowe z makiem*, GK z dn. 14.08.2006.
Gałkowski I., Stawowy T., Tyniec M., *Afryka musi biec*, DP z dn. 23.05.2008.
Gazur Ł., *Gdzie znajdzie się miejsce dla Szarika*, DP z dn. 9.03.2009.
Głowacki M., *Gry i zabawy (komputerowe)*, „Arcana" 2000, nr 31.
Grzędowicz J., *Powrót wikingów*, „Gazeta Polska" z dn. 11.05.2005.
Grzymalski Ł., *Pryszcz na Słońcu*, GK z dn. 9–10.05.2004.
Huzarska M., *Pasja na Rynku*, GK z dn. 13.04.2004.
Kachel K., *Palenie Holi*, GK z dn. 8.03.2004.
Kajtoch A., *Dyngusowa kąpiel pod okiem policji*, GK z dn. 29.03.2005.
Kazimierczak K., Kobus P., *Rowerem przez Czarny Ląd*, DP z dn. 25.05.2008.
Klimek K., *Rozpędzili demonstrantów*, DP z dn. 14.12.2008.
Knap W., *Polskie świętowanie*, DP z dn. 10.11.2005.
Kobylarczyk K., *Kultura bez gwoździ*, DP z dn. 7.01.2005.
Kobylarczyk K., *Powrót do przeszłości*, DP z dn. 3.09.2005.
Kołodziej B., *Afrykańskie marzenia*, GK z dn. 20.03.2009.
Kopyt A., *Zlin – miasto idealne*, „Wprost" 2010, nr 3.
Kuchta W., *Krakowskie Smoki ćwiczą na Błoniach indiańską grę*, DP z dn. 27.11.2009.
Kuchta W., *Szczotka, kamień i lód – czyli curling po krakowsku*, DP z dn. 7.01.2010.
Lamparska J., *Eksperyment według Cezara*, DP z dn. 18.08.2004.
Leszczyński D., *O dobroczynności fundamentalizmu*, „Najwyższy Czas" z dn. 17.05.2008.
Malatyńska-Stankiewicz A., *Między tańczącymi wyzwalają się często ogromne namiętności*, DP z dn. 8.05.2009.
Niewińska A., Strózyk J., *Zróbmy sobie Disneyland*, „Uważam Rze" 2011, nr 40.
Nyc I., Niedek A., *Ranczo na żywo*, „Wprost" 2009, nr 19.
Paluch M., *Chodzili po mieście nosząc ze sobą krzyż*, GK z dn. 8.03.2008.
Paluch M., *Byli na adwentowym obozie przetrwania*, GK z dn. 9.12.2008.
Paluch M., *Kuce, kozy i osły będą grać w żywej szopce*, GK z dn. 18.12.2008.
Paluch M., *Konfesjonał przed sklepem w Krakowie*, GK z dn. 22.12.2008.
Paluch M., *Rusza tramwaj pełen misjonarzy*, GK z dn. 23.03.2010.
Polak P., *Finał akcji „Czas na dobre kazanie"*, DP z dn. 4.07.2009.
Satała M., *W koło Ratusza*, GK z dn. 8.04.2004.
Satała M., *Teatr Słowackiego w Galerii Krakowskiej*, GK z dn. 16.03.2009.
Satała M., *Wielkanocne stoły dla gości i ubogich*, GK z dn. 9.04.2009.
Satała M., *Romskie jasełka z morałem*, GK z dn. 19.12.2007.

Satała M., *Z cegieł banco buduje domy dla Afrykanów*, GK z dn. 5–6.07.2008.

Sawicka M., Chełminiak W., *Pieśnia i mieczem*, „Wprost" 2003, nr 35.

Serafin D., *Poduchowa bitwa studentów o Kraków*, GK z dn. 6.04.2009.

Stachnik P., *Historia na żywo*, DP z dn. 14.07.2006.

Starzak G., *Wyznawcy salsy*, DP z dn. 28.08.2004.

Starzak G., *Myśl, pomniki, zapalniczki*, DP z dn. 28.03.2008.

Starzak G., *Świat według ks. Stryczka*, DP z dn. 10.01.2009.

Starzak G., *Mekka na Podlasiu*, DP z dn. 11.12.2009.

Starzak G., *Ołówek zamiast karabinu*, DP z dn. 23.12.2010.

Starzak G., *Festiwal filmowy o wierze i życiu*, DP z dn. 9.01.2012.

Szkutnik R., *Ekstremalnie do Kalwarii*, DP z dn. 2.04.2012.

Subik P., *Uchodzi za cudowne warzywo*, DP z dn. 1.08.2009.

Subik P., *Odnowiciele*, DP z dn. 13.11.2009.

Subik P., *Ludożerca z Ziębic*, DP z dn. 18.12.2009.

Subik P., *Przeszłość pod ręką*, DP z dn. 25.06.2011.

Subik P., *Cappuccino z pomocą dla dzieci z Afryki*, DP z dn. 23.12.2012.

Świder J., *Sandor Odważny, Sandor Bogaty*, DP z dn. 21.11.2008.

Świder J., *Kapuściane jarmarki – czyli gminy w promocji*, DP z dn. 10.07.2009.

Tadeusiewicz R., *Festiwal Nauki*, dodatek do prasy krakowskiej pt. *Festiwal Nauki w Krakowie 13–15 maja 2005*, z dn. 9.05.2005.

Turczyński J., *Festyn w ogrodzie*, GK z dn. 18.06.2007.

Tymczak P., *Kto zarobi na Bonarce?*, DP z dn. 1.03.2008.

Zamorski M., *Supermarket kultury*, „Wprost" 2002, nr 50.

Zboińska A., *Zakochani mają święto, a polski biznes kwitnie*, GK z dn. 11.02.2008.

Ziobro W., *Wabienie bocianem*, DP z dn. 10.07.2009.

Redaktor
Dorota Węgierska

Korekta
Izabela Bilińska-Socha

Skład i łamanie
Hanna Wiechecka

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego
Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków
tel. 12-631-18-81, 12-631-18-82, fax 12-631-18-83